

**WASYL ROZANOW**

# **MYŚLI**

**1-926**

## **I**

**ODOSOBNIONE**

**OPADŁE LIŚCIE**

**EMBRIONY**

**NOWE EMBRIONY**

**ŚMIERTELNE**

Przetłumaczył  
Henryk Paprocki

Kęty 2004  
Wydawnictwo ANTYK

TYTUŁ ORYGINAŁU

**Ujediniennoje**, Piotrograd 1916; **Opawszyje listja**, Petersburg 1913, I;  
Piotrograd 1915, II

© 2004 for the Polish translation by Henryk Paprocki

© 2004 for the Polish edition by Wydawnictwo ANTYK

Wydanie pierwsze

Przełożył: Henryk Paprocki

Skład i łamanie tekstu: Dariusz Loranc

Korekta: Katarzyna Szelaǳ-Juchnik

Korekta techniczna: Piotr Derewiecki

Projekt okłady: „Grafikon”, Bielsko-Biała

Druk i oprawa: Drukarnia Narodowa S. A.

ul. Marszałka J. Piłsudskiego 19  
31-110 Kraków

ISBN 83-88524-

Wydawnictwo ANTYK – Marek Derewiecki

ul. Szkotnia 29a, 32-650 Kęty

Tel./fax (033) 8454149, 0602434217

E-mail: [wydawnictwo@antyk.kety.pl](mailto:wydawnictwo@antyk.kety.pl)

[WWW.antyk.kety.pl](http://WWW.antyk.kety.pl)

Dystrybucja: Firma Dystrybucyjna ANTYK, tel. (033) 8561584, 0502637305

# „ZAPIEKŁY REAKCJONISTA”

## (Wstęp)

Rzadko który myśliciel zasłużył na takie zapomnienie – przymusowe – jak Wasyl Rozanow. W czasach radzieckich jego nazwisko nie było wymieniane. Co najwyżej „specjaliści od Dostojewskiego” znali jego książkę „Legenda o Wielkim Inkwizytorze”<sup>1</sup>. Gdy władza chyliła się już ku upadkowi, pozwalano na wspomnianie Bierdiajewa, Łosskiego, Bułgakowa, Florenskiego, ale nie Rozanowa. Tak, jakby nie istniał. Nie urodził się, nie żył i nie umarł. Po prostu go nie było. Chociaż pozostało po nim 50 tomów dzieł, z których 20 ma nieprzemijającą wartość. Za życia spotykało Rozanowa przeważnie niezrozumienie. Uważano go za „szatana”, zwolennika „prostytucji i pornografii”, czego tam jeszcze nie było. Charakterystyczna jest w tym wypadku opinia Dymitra Mereżkowskiego:

Kiedy ten myśliciel, ze wszystkimi swoimi słabościami i intuicjami, równie genialny jak Nietzsche, a może bardziej genialny od Nietzschego, samorodny, pierwotny w swoim antychrześcijaństwie, zostanie zrozumiany, to okaże się być zjawiskiem groźniejszym i wymagającym większej uwagi ze strony Kościoła, niż Lew Tołstoj, nie bacząc na całą obecną różnicę i wpływ społeczny obu pisarzy<sup>2</sup>.

Kim był więc myśliciel, którego nie chcieli znać ani bolszewicy – chociaż uważano Rozanowa za wroga chrześcijaństwa – ani wierzący. Odrodzenie zaczęło się niedawno...

Wasyl Wasiljewicz Rozanow urodził się 2 maja 1856 r. w Wietłudze, powiatowym miasteczku w guberni kostromskiej. Jego ojciec był leśniczym. Błędna jest informacja, powtarzana przez wielu badaczy, że był synem duchownego. Był wnukiem duchownego. Ojciec Rozanowa zmarł w 1861 r., a po jego śmierci rodzina biedowała w Kostromie. Sytuacja była tragiczna, czego świadectwo pozostawił sam Rozanow:

Pamiętam jak dzisiaj: w domu była tylko kopiejka i „wszyscy” mówią: „Idź, Wasia, kup ½ funta chleba”. Było mi wstyd iść z kopiejką, ale milczałem i nie szedłem – w końcu poszedłem. Wszedłem do piekarni i powiedziałem obojętnemu chłopcu-sprzedawcy (17 lat): „Poproszę chleba za kopiejkę”. On nic nie powiedział (mógłby się roześmiać), a ja byłem taki zadowolony.

---

<sup>1</sup> W. Rozanow, *Legiendy o Wielkim Inkwizytorze*, Petersburg 1894.

<sup>2</sup> D. Mereżkowski, *Tołstoj i Dostojewskij*, Moskwa 1975, s. 150.

Można w tym upatrywać wielu późniejszych traum. Rozanow zmieniał kilkakrotnie gimnazja, dwukrotnie repetował, w końcu rozpoczął studia na wydziale historyczno-filologicznym uniwersytetu moskiewskiego. Jako student trzeciego roku Rozanow ożenił się z Apolinarią Prokofiewną Susłową (1840-1918), znaną ze swoich bliskich kontaktów z Fiodorem Dostojewskim (była prototypem Pauliny w „Graczu”). Rozanowa oczarowała bezkompromisowa, piękna kobieta, chociaż prawie 20 lat starsza od niego. Rozanow ożenił się z Susłową... z szacunku do Dostojewskiego. W 1822 r. ukończył uniwersytet moskiewski i zaczął pracować jako nauczyciel gimnazjalny w prowincjonalnych miastach Rosji. W tym czasie opublikował swoją pracę „O rozumieniu”<sup>3</sup> oraz tłumaczył „Metafizykę” Arystotelesa. Spotkał go też dramat rodzinny – opuściła go Susłowa i do końca życia nie godziła się na rozwód. W odpowiedzi na prośby Rozanowa, żeby wróciła, lub zgodziła się na rozwód, napisała: „Tysiące mężów znajduje się w takiej sytuacji jak pan, ale nie wyją – ludzie to nie psy”<sup>4</sup>. Mało kobiet może pochwalić się tym, że podzieliło los dwóch wielkich pisarzy różnych pokoleń<sup>5</sup>. To wydarzenie określiło nie tylko dalsze życie Rozanowa, ale także jego poglądy. Po kilku latach Rozanow spotkał w Jelcu „kobietę swego życia”, Barbarę Dmitrijewną Rudniewą, owdowiałą córkę duchownego, z którą w 1891 r. zawarł „tajne małżeństwo” i właściwie z punktu widzenia prawa był bigamistą, a dzieci urodzone z tego związku były „dziećmi z nieprawego łoża”. Rozanow miał 4 córki i 1 syna, poza tym był opiekunem córki żony z jej pierwszego małżeństwa. Aby dzieci mogły nosić jego nazwisko, Rozanow napisał prośbę do cara, która została załatwiona pozytywnie. Susłowa była nieugięta – nazywano ją „żelazną”, Zinaida Gippius posunęła się do określenia „uciążliwa starucha”<sup>6</sup>. Konflikt z prawem i sumieniem (zwłaszcza drugiej żony, głęboko wierzącej) był przyczyną zajęcia się przez Rozanowa problematyką płci, co później stało się powodem wielu nieporozumień.

W 1890 r. Rozanow opublikował artykuł „Miejsce chrześcijaństwa w historii”<sup>7</sup>, który zapewnił mu sławę i w istotny sposób wpłynął na zmianę jego życia. Zaproponowano mu porzucenie pracy nauczyciela i przeniesienie się do Petersburga w charakterze publicysty. Przed przeniesieniem Rozanow wywołał skandal swoją książką „Zmierzch oświaty”<sup>8</sup>, w której poddał krytyce system nauczania w Rosji. W Petersburgu szybko stał się sławny i bogaty. Wystąpił z gwałtowną krytyką ówczesnej moralności małżeńskiej oraz walką o czystość płci i miłości. Wywołało to wiele nieporozumień. Uznano go za wroga chrześcijaństwa i ateistę. Tymczasem Rozanow walczył o małżeństwo, a nie o rozpustę. Jego bezkompromisowość stała się powodem wielu ataków, łącznie z

---

<sup>3</sup> W. Rozanow, *O ponimaniu*, Moskwa 1886.

<sup>4</sup> L. Grossman, *Put' Dostojewskogo*, Leningrad 1924, s. 150.

<sup>5</sup> W. Fatiejew, *W. W. Rozanow. Żywność, twórczość, liczność*, Petersburg 1991, s. 195.

<sup>6</sup> Z. Gippius, *Zadumczywyj strannik*, [w:] *W. W. Rozanow: pro et contra*, Petersburg 1995, I, s. 154-157.

<sup>7</sup> W. Rozanow, *Miejsce christianstwa w istorii*, Petersburg 1890.

<sup>8</sup> W. Rozanow, *Sumierki proswieszczenija*, Petersburg 1899.

wykluczeniem go z zebrań religijno-filozoficznych. Rozanow był jednym z najbardziej wierzących ludzi swoich czasów, a traktowano go jako wroga religii. Przeciwno wykluczeniu Rozanowa z zebrań protestowali duchowni. Rozanow miał wśród duchownych wielu przyjaciół, zwłaszcza ojca Aleksandra Ustinskiego, ale miał też wielu wrogów<sup>9</sup>.

Największą sławę, poza „Metafizyką chrześcijaństwa” (książki „Ciemne oblicze”<sup>10</sup> i „Ludzie księżycowej poświaty”<sup>11</sup>), przyniosły mu zbiory aforyzmów i myśli. „Rosyjski Pascal” wpłynął też na Emila Ciorana – niektóre podobieństwa są wręcz ewidentne<sup>12</sup>. Wybory aforyzmów Rozanowa funkcjonują w wielu językach. Wydaje się jednak, że jest to zawsze ze stratą dla zrozumienia tego najbardziej paradoksalnego myśliciela rosyjskiego renesansu, gdyż dopiero wszystkie jego aforyzmy, myśli, rozważania składające się na specyficzną twórczość Rozanowa, pozwalają poznać jego skomplikowaną osobowość. Inaczej można nigdy nie poznać takiej, na przykład, „perełki”, zawartej w dość długim rozważaniu:

Czy nie rozumiecie, że cywilizacja to nie Bocklik z Darwinkiem, to nie Spencerek w 20 tomach, to nie nasz Mikołaj Gawryłowicz (Czernyszewski), wszystkie te łapcie i onuce rosyjskiego Oświecenia, że cywilizacja to czas od najazdu Hunów i Alaryka do Edwarda Wyznawcy, do wypraw krzyżowych, do rycerstwa, do Cervantesa, do Shakespeare’a i do samej rewolucji. Dlaczego więc „w wydaniach Pirożkowa” trzęsą się Renan i Strauss, gdy tymczasem należało wytargać ich za uszy, dać im kopniaka i posłać do diabła.

Rozanow życzył sobie, żeby jego aforyzmy i myśli wydawać bez żadnych przypisów pod tekstem. Utrudnia to niekiedy zrozumienie jego myśli, ale aby uszanować jego wolę przypisy będą umieszczone w końcu ostatniego tomu. Natomiast w tym pełnym wydaniu aforyzmów Rozanowa zostały one ponumerowane i przypisy należy poszukiwać pod numerem aforyzmu. „Zjadły reakcjonista”, jak go określali rewolucjoniści, zasługuje na uszanowanie jego woli.

We wrześniu 1917 r. Rozanow przeniósł się do Siergijew Posadu, gdzie zmarł 5 lutego 1919 r. w biedzie i z powodu wyniszczenia organizmu. Przed śmiercią napisał szereg listów, w tym odezwę do Żydów, w której prosił o przebaczenie swoich agresywnych i niczym nieusprawiedliwionych ataków na ten naród. W trudnych latach porewolucyjnych, które były zarazem jego ostatnimi latami, napisał arcydzieło „Apokalipsa naszych czasów”<sup>13</sup>. Jego pogrzebowi przewodniczył przyjaciel, wielki myśliciel rosyjski, ojciec Paweł

---

<sup>9</sup> W. Fatiejew, *W. W. Rozanow. Żywność, twórczość, liczność*, s. 102-105.

<sup>10</sup> W. Rozanow, *Tiemnyj lik. Metafizyka chrześcijaństwa*, Petersburg 1911.

<sup>11</sup> W. Rozanow, *Ljudi lunnogo swieta. Metafizyka chrześcijaństwa*, Petersburg 1911.

<sup>12</sup> Por. E. Cioran, *Pokusa istnienia*, przeł. K. Jarosz, Warszawa 2003, s. 163-167.

<sup>13</sup> W. Rozanow, *Apokalipsa naszych czasów*, przeł. W. Krzemień, Białystok 1998.

Florenski<sup>14</sup>. Kiedyś Rozanow powiedział o swoim przyjacielu: „Ojciec jest *noumenem*. Ma jednak ojciec jeden niedostatek. Jest zbyt czarujący, a rosyjski duchowny nie może być czarujący”<sup>15</sup>.

Rozanow był myślicielem paradoksalnym. Paweł Florenski twierdził, że „istota Rozanowa jest Bogoburcza. Jest to żywioł chaosu, należy go brać takim, jakim jest”<sup>16</sup>. Sprzeczności w poglądach Rozanowa, sprawiające wręcz wrażenie patologii, pozwalały na traktowanie go jako rewolucjonisty i jako skrajnego konserwatysty. Pełna żączy miłość do Chrystusa łączyła się z nienawiścią do Niego, podobnie jak miłości do Żydów towarzyszył wręcz zoologiczny antysemityzm. Rozanow łączył w sobie zachwyty i nienawiść<sup>17</sup>. Interesująca jest też opinia Mikołaja Bierdiajewa:

Wasył Rozanow był jednym z najbardziej niezwykłych i najbardziej oryginalnych ludzi, jakich spotkałem w życiu. Był postacią unikalną. Miał typowe cechy rosyjskie, ale równocześnie nie był do kogokolwiek podobny. Zawsze wydawało mi się, że Rozanow zrodził się w wyobraźni Dostojewskiego i przypomina Fiodora Pawłowicza Karamazowa, który został pisarzem. Jego powierzchowność, zadziwiająca powierzchowność, przypominała chytrego, rudego chłopca z okolic Kostromy. Często mówił szeptem i popluwał. Najbardziej wstrząsające myśli mówił na ucho, popluwając przy tym... Książki Rozanowa czytałem z zachwytem. Jego talent literacki był zadziwiający, największy talent w prozie rosyjskiej. Jest to autentyczna magia słowa. Jego myśli bardzo tracą, kiedy chce się je przedstawić własnymi słowami<sup>18</sup>.

Zinaida Gippius napisała po prostu:

Co można powiedzieć o Rozanowie? On sam o sobie napisał. A napisał tak, jak nikt przed nim nie mógł napisać i po nim nie będzie mógł, gdyż... Jest bardzo dużo tych ‘gdyż’. Najważniejsze: gdyż on do tego stopnia nie znajdował się w szeregu innych ludzi, do tego stopnia nie stał między nimi, a obok nich, że jego raczej można nazwać *zjawiskiem*, niż człowiekiem<sup>19</sup>.

Do Rozanowa można odnieść słowa Florenskiego na temat geniusza, który zawsze wyprzedza swoje czasy i jest niezrozumiały przez współczesnych. Stąd też wyjątkowo rozbieżne opinie współczesnych – od zachwyty do potępienia: „Opadłe liście. Nie warto ich czytać, to są wyłącznie opadłe liście”<sup>20</sup>. Po stu latach od ich napisania są zupełnie czymś innym...

*Henryk Paprocki*

---

<sup>14</sup> Szerzej o życiu Rozanowa patrz: E. Gollerbach, *W. W. Rozanow. Żytn' i twórczość*, Petersburg 1922, Paris 1976; W. Fatiejew, *W. W. Rozanow. Żytn', twórczość, licznosc'*, Petersburg 1991; *W. W. Rozanow: pro et contra*, Petersburg 1995, I-II.

<sup>15</sup> S. Fudiel, *Sobranije soczynienij w triech tomach*, Moskwa 2001, I, s. 35.

<sup>16</sup> List P. Florenskiego do M. Łutochina, [w:] *W. W. Rozanow: pro et contra*, II, s. 316.

<sup>17</sup> Por. A. Mien', *Bibliologiczeskij słowar'*, Moskwa 2002, III, s. 49-50.

<sup>18</sup> M. Bierdiajew, *Autobiografia filozoficzna*, przeł. H. Paprocki, Kęty 2002, s. 131-132.

<sup>19</sup> Z. Gippius, *Zadumczywyj strannik*, [w:] *W. W. Rozanow: pro et contra*, I, s. 142.

<sup>20</sup> S. Fudiel, *Sobranije soczynienij w triech tomach*, I, s. 37.

# ODOSOBNIONE

Wiatr szumi o północy i zrywa liście... Podobnie życie w swym szybkim biegu wyrywa z naszej duszy westchnienia, słowa zachwytu, pół-myśli, pół-uczucia... które będąc dźwiękowymi urywkami mają to znaczenie, że „wyszły” wprost z duszy, bez żadnego opracowania, bez celu, bez zamiaru – bez niczego postronnego... Po prostu – „dusza żyje”... to znaczy „żyła”, „oddychała”... Od dawna już te „nieoczekiwane słowa” z jakiegoś powodu podobały mi się. Mówiąc ściśle, one płyną w nas nieprzerwanie, ale nie zdążamy ich zapisywać (nie ma papieru pod ręką) – i one umierają. Później nie można ich sobie przypomnieć. Coś jednak zdążyłem zapisać. Notatki rozrastały się. Postanowiłem zebrać te „opadłe liście”.

Po co? Komu one są potrzebne?

Po prostu – mnie są potrzebne. Och, dobry czytelniku, ja już od dawna nie piszę „dla czytelnika” – po prostu dlatego, że *tak mi się podoba*. Publikuję również nie „dla czytelnika”... Nie będę ani płakać, ani się złościć, jeśli czytelnik, który przez pomyłkę kupi tę książkę, wrzuci ją do kosza (lepiej, żeby nie rozcinał kartek, a jedynie zajrzał do książki i sprzedał ją bukiniście ze zniżką 50 %).

No, czytelniku, nie ceregieleń się z tobą, – ty też ze mną nie musisz się ceregielić:

- Do diabła...
- Do diabła!

*Au revoir* i do spotkania na tamtym świecie. Z czytelnikiem jest znacznie bardziej nudno, niż z samym sobą. Czytelnik otwiera buzię i czeka, co dostanie. W takim wypadku wygląda jak osioł przed zarznięciem. Nie jest to jedno z najpiękniejszych widowisk... Bóg z nim... Piszę dla jakichś „nieznanych przyjaciół”, być może dla nikogo...

1. Kiedy odwiedzali mnie dekadenci – to o pierwszej godzinie w nocy przepuszczałem ich, bezpłodnych, do przodu – ale zatrzymywałem ostatniego, dobrego Wiktora Piotrowicza Protiejkinskiego (nauczyciel z fantazją) i wskazywałem na przestrzeń między drzwiami...

Człowiek ma dwie nogi: gdy zdejmie kalosze, założmy pięciu ludzi – to wydaje się, że kaloszy jest strasznie dużo. Pomiędzy drzwiami stało takie mnóstwo małych kaloszy, że sam się dziwiłem. Nie można ich było szybko policzyć. Obaj z Protiejkinskim tarzaliśmy się ze śmiechu:

– Ileż ich jest!...

– Ileż!...

Zawsze z pychą myślałem: „Civis Romanus sum”. Przy moim stole zasiada 10 ludzi – mam też służącą. Wszyscy żyją dzięki mojej pracy. Wszyscy dzięki mojej pracy *znaleźli miejsce w świecie*. Jestem *civis Rossicus* – nie „Hercen”, a „Rozanow”.

Hercen jedynie „spacerował”.

\*

Wobec Protiejkinskiego odczuwam wielką winę. On odnosił się do mnie z nienagannie, a ja, chociaż ze zmęczenia, kiedyś z niego zakpiłem. A to dlatego, że on „nigdy nie może skończyć mówić” (taki ma już sposób wypowiedzania się), a ja byłem zmęczony i nie miałem siły, żeby go słuchać... A to słowo o nim powiedziałem *zaocznie*, kiedy on już wyszedł.

\* \* \*

2. Nasze myśli przychodzą z tego, co niewiadome i odchodzą do tego, co niewiadome.

Po pierwsze: kiedy chcesz usiąść i *coś napisać*, to gdy usiądziesz, napiszesz *coś zupełnie innego*.

Między „chcę usiąść” i „usiadłem” – mija jedna minuta. Skądże więc te zupełnie inne myśli na *nowy temat*, niż te, z którymi chodziłem po pokoju, a nawet *usiadłem, żeby właśnie je zapisać*...

\* \* \*

3. M. usiadł na worku korekt, rękopisów, „listów do redakcji” i zasnął:

Śni się jemu dolina Dagestanu:  
Z ołowiem w piersi leżał on...

Sen naszego redaktora jest mniej nudny: marzą się mu nóżki aktorki Wskiej, która na wszystkie jego zaloty odpowiada:

Jestem już innemu oddana,  
Będę mu wierna na wieki.

We śnie problem kręci się wokół tego, jak przezwyciężyć „wierność Tatiany”, wobec której gdzieś mają się podziąć redaktorzy, piloci, marynarze i inni ludzie, którzy nie nadaremno „kopcą niebo”.

\*

Otwieram drzwi do drugiego gabinetu... Wspaniale urządzone: na pewno należy do generała M. Na krześle, obitym wspaniałą skórą w ciemnym kolorze, siedzi Borys. Siedzi bez surduta, w krawacie i kamizelce. Kop perli się na jego czole... Wspomina, jak śpiewała „Waria Panina” i jak tańczyła Anuszką. Przed nim leży długa szpalta korektorska.

- Borys, co czytasz?
- „Korespondencję wewnętrzną”.
- O czym rozmyślasz? Wszystko od razu zatwierdź.
- Nie można. Nie zmieści się w gazecie.
- To pošlij ją do...

.....

- Też nie można. Czytelnik się rozłości.
- Praca redaktora jest jednak trudna. Jakże mógłbym się z nim porównywać...

(w naszej redakcji)

\* \* \*

4. Przeklęty Gutenberg jak gdyby oblizał swoim mosiężnym językiem wszystkich pisarzy, którzy wszyscy „w druku” stracili osobowość, charakter, moje „ja” jest tylko w rękopisach, jak i „ja” każdego pisarza. Chyba z tego powodu odczuwam zabobonny lęk przed darcie listów, zeszytów (nawet dziecięcych), rękopisów – nic nie drę: zachowałem co do jednego wszystkie listy kolegów z gimnazjum; z żalem drę jedynie swoje rękopisy i rzucam na stertę – z bólem i rzadko.

(w wagonie)

\* \* \*

5. Myślę, że gazety przeminą tak samo, jak i „wieczne wojny” Średniowiecza, jak turniury kobiet... Póki co, popiera je „powszechna oświata”, którą chcą nawet uczynić „obowiązkową”. Taki ktoś z „obowiązkową oświatą”, oczywiście, z zainteresowaniem przeczyta coś „z Hiszpanii”.

Zacznie się, jak sędzę, od *odwykania* od gazet... Następnie czytanie gazet zostanie po prostu uznane za nieprzyzwoite i małoduszne („parva anima”).

– Na czym pan opiera swoje poglądy? – A na tym, co piszą w „Głosie Prawdy” (ale wymyślili!)... lub „Prawdzie Ostatecznej” (jutro wymyślą taki tytuł). – Ten, kto usłyszy takie słowa będzie się uśmiechał i od tego *uśmiechu* powoli wszystkie gazety zejdą do mogiły.

Jeśli już coś czytać, to tylko „Kołokoł”, jak Wasyl Michajłowicz nazwał swój organ, naśladując Hercena.

Ten Wasyl Michajłowicz jest pięknym człowiekiem. W domu (jak słyszałem) wydał takie polecenie: gdy dzieci po powrocie z gimnazjum zapytają „Gdzie tata?” – służąca ma odpowiedzieć „Generała nie ma w domu”, a nie „Pana nie ma w domu”. Jeśli przypomnisz to sobie nawet na Sądzie Ostatecznym, to się roześmiesz.

Zawsze lubiłem Wasyla Michajłowicza. Broniłem go przed Tołstojem. Zdumiewa, że jest on *prostolinijny* i to we wszystkim, nie jest cwany, nie jest pyszny, ma „chrześcijańskie cnoty”.

Męczy się jedynie nad nierozwiązanym problemem: Jakąż to ziemską rangę mają aniołowie? Nie może sobie wyobrazić ani jednej istoty „bez rangi”. Podobnie, jak mówił Pitagoras: „Nic nie istnieje *bez swojej liczby*”. Natomiast według Wasyla Michajłowicza nic nie istnieje bez odpowiedniej rangi, bez jakiegoś miejsca w hierarchii.

Określenie „generał” daje mu ogromne zadowolenie. Rosją niewiele się przejmuje. Ze względu na niego nie pozwoliłbym znieść tabeli rang. Komuż one szkodzą? A dla cywili też wystarczy, przecież nikomu nie zabrania się chodzić z „oznaką adwokacką”. Dlaczego więc nie jest to „ranga” ani też „order”? Przecież jest to zasłużona ranga społeczna. Pozwólcie więc Wasylowi Michajłowiczowi mieć taką rangę, jaką chce. Inaczej będzie despotyzm.

Niektórzy uważają, że Wasyl Michajłowicz jest „karierowiczem”. W żadnym wypadku! Rangę, pracę i obowiązek kocha jak *część swojej duszy*. Pewien człowiek wyraził się o nim bardzo głęboko: „Kiedy rozmyśla się o tym, *kim jest Rosjanin*, należy zawsze mieć na uwadze Wasyla Michajłowicza”. On jest Rosjaninem, oczywiście *nie tylko* „Skworców”, ale *także* „Skworców”.

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

6. „Koniec wieńczy dzieło”... ukazuje jego *potęgę*. Boże, czy trzeba dopowiedzieć, że „ukazuje też jego *prawdę*”?... Cóż się stało z „rosyjską reformacją”?!! Jeden kupił jacht, drugi zajmuje się numizmatyką, a trzeci „jeździ za granicę”... Biskupi pospieszyli do swoich diecezji i, jak słyhać, zamiast na „łaskę”, powołują się na ostatnie rozporządzenie ministerstwa spraw wewnętrznych. Boże, cóż to takiego? Ktoś został sekciarzem, ale w tajemnicy posyła swoje artykuły do czasopisma „Nowoje Wriemja” i wcale nie ma innych poglądów jak redakcja w *ostrej kwestii kościelno-pisarskiej* (z powodu śmierci Tołstoja). Cóż to takiego? Cóż to takiego?

Karać?

Albo powiedzieć wraz z Turgieniewem: „Tak kończy się wszystko, co rosyjskie”...

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

7. Popatrzysz ostro na Rosjanina... On też ostro popatrzy na ciebie...

Wszystko jest jasne.

Nie potrzeba żadnych słów.

Właśnie w ten sposób nie można postąpić z cudzoziemcem.

(na ulicy)

\* \* \*

8. Naprzeciw siebie stoją dwa narody, pełne gniewu:

– Komu oddajesz cześć, bałwanie??! – *Bożkowi*, który jest dziełem ludzkich rąk, jest zrobiony z miedzi i drzewa, jak mówi prorok *N.* w Piśmie. Ja natomiast oddaję cześć czcigodnym *ikonom*, ty bałwanie i poganinie...

„Poganin” stoi z wybałuszonymi oczyma, nic nie rozumie. W końcu przeraził się, zdjął czapkę i całą gorliwością mordwińską pokłonił się do ziemi przed Przeczystą Ikoną oraz zapalił świeczkę.

Iłowajski napisał nowy rozdział w swojej godnej uwagi historii: „Nawrócenie na chrześcijaństwo Mordwinów, Wotiaków i Permiaków”.

Mój krewny (przyjechał z „Szachranu” w guberni kazańskiej) opowiadał przy herbatce: „W dniu świętowania boga Wotiaków (zdaje się „Keremeta”), którego kukła stoi na dzwonnicy w wiejskiej cerkwi, wszyscy niżsi słudzy cerkiewni – diak, ponomar i stróż cerkiewny – zamykają się na klucz w specjalnej klatce i siedzą w niej cały dzień... A ile pieniędzy im tam (do klatki) rzucają Wotiakowie!!! Póki są oni zamknięci, Wotiakowie świętują przed swoim bogiem...” Jest to dzień „oddany pogaństwu”, jak w prawosławiu „oddanie Paschy”. Wotiakowie wynagradzają niższą służbę cerkiewną, po części płacą im ze strachu za to, że oddają jeden dzień w roku ich „staruszkowi”... W „klatce” prawosławni siedzą jak „w niewoli”, w więzieniu, a nawet (według Wotiaków) „w piekle”, póki ich stary „bóg” (według nas „czort”) wychodzi z prawosławnego „więzienia”, aby świętować ze swoim ludem, ze swoimi byłymi „czcicielami”. Jest to zwyczaj godny uwagi, który zachował się aż do obecnego 1911 r.

\* \* \*

9. Literatura rosyjska zaczęła się od satyry (Kantemir) i później cały XVIII w. był dość satyryczny.

Połowa XIX w. była patetyczna.

Następnie, od lat sześćdziesiątych znowu zatryumfowała satyra.

Nigdy jednak nie było czegoś tak wyjątkowego, jak w XVIII w. Nowikow, Radiszczew, Fonwizin, a potem po ½ wieku Szczedrin i Niekrasow odnieśli taki sukces, jakiego nigdy nie odniósł nawet Puszkini. W epoce moich lat gimnazjalnych o Puszkini nawet nie wspomniano – chociaż był czytany. Natomiast Niekrasowa czytano do upojenia, znano każdy jego wers, szukano każdego wiersza. Ja natomiast nie miałem żadnego zainteresowania

Szczedrinem i dotychczas nie przeczytałem żadnej jego „rzeczy”. „Szkice gubernialne” – nawet nie widziałem tego utworu, a z „Dziejów pewnego miasta” przeczytałem pierwsze trzy strony i rzuciłem z odrazą. Mój brat Mikołaj (nauczyciel historii w gimnazjum, człowiek z *pozytywnymi idealami*), czytał Niekrasowa i lubił czytać głośno jego utwory swojej żonie. Przechodząc słyszałem: „Głumow zaś powiedział”... „Bałałajkin odpowiedział”: stąd wiem, że są to bohaterowie Szczedriny. Nigdy jednak nie miałem ochoty dowiedzieć się, co *powiedział* Głumow, ani samemu to przeczytać. Myślę, że właśnie przez to uratowałem wiele w swojej duszy.

Ten przeklinający wicegubernator – to ohydne zjawisko. Trzeba było pogodzić się z całym brakiem smaku naszego społeczeństwa, żeby znieść coś takiego.

Pozwolę sobie na ton inkwizytorski: przecież młody Szczedrin nie poszedł drogą kariery prawniczej, nie trafił do pracowników ministerstwa, nie został nauczycielem gimnazjum, a jak Cziczikow lub Sobakiewicz wybrał sobie „krzesło, które się nie rozleci” – ministerstwo spraw wewnętrznych. „Dosłużył się” w nim tytułu wicegubernatora, gdyż ciągle awansował: to niemała ranga. Później „posprzeczał się o coś z władzami”, albo „wstawiając się za staroobrzędowcami” albo „broniąc młodych studentów” i został zwolniony. „Zwykła historia”...

Został znakomitym pisarzem. Jego przyjaźni poszukiwał Loris-Mielikow, a on sam gubernatorów miał „za nic”.

Cóż za różnica z losem Dostojewskiego!

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

10. Z bródką, z łagodną, dziewczęcą twarzą, A. P. U-skij szuka czegoś w riasie, coś znajduje i czegoś nie znajduje.

– Czy potrzebna jest szpilka? O co chodzi?

– Nie trzeba. Mam ze sobą. Muszę przyczepić medal z podobizną Aleksandra III, gdyż idę do metropolity. A także order.

W końcu wszystko jest: i krzyż, i portret Cara na nim. Stoi i uśmiecha się, zupełnie jak dziewczynka.

Jak ja go lubię, ciągle go lubię, tego najmądrzejszego kapłana za naszych dni – ze zdecydowanym słowem, żelaznym, z prostolinijną i jasną myślą. Oto kto powinien napisać „katechizm”.

Bez względu na jego wiek – on jest „nasz”, „rosyjski pop”.

Równocześnie jest on z rodu proroków, cały apokaliptyczny. Zadziwiające zjawisko.

Chcę, żeby po mojej śmierci jego listy do mnie (które zachowałem co do jednego) zostały opublikowane. Wtedy wszyscy się dowiedzą, cóż to był za szlachetny i prawy człowiek. Dziękuję Bogu, że podarował mi jego przyjaźń.

(zajmując się numizmatyką; A. P. Ustyński)

\* \* \*

11. Wsiadam do dorożki, jadę do redakcji. Jestem w dobrym nastroju.

– Ile?

– Trzydzieści pięć kopiejek.

– Niech będzie za trzydzieści.

Siadam, dotykam pleców dorożkarza i mówię:

– Jak tak można? Tracisz kapitał!

Dorożkarz śmieje się i kiwa głową. Chłopak, ma około osiemnastu lat. Ogląda się do tyłu, cała twarz w uśmiechu:

– Jak pan może mówić, że tracę „kapitał”? Co to za „kapitał”... trzydzieści pięć kopiejek?!

Ciągle kiwa głową i nic nie rozumie.

– Jesteś jeszcze młody, a ja już się natrudziłem. Trzydzieści pięć kopiejek – to ogromny kapitał, jeśli samemu na niego pracować. Ktoś inny za trzydzieści pięć kopiejek pracuje cały dzień.

– Ano tak – dorożkarz stał się poważny. Wziął bat w rękę: „No!”

Koń biegł szybko.

(na ulicy)

\* \* \*

12. Nina Rudniewa (krewna), dziewczyna siedemnastoletnia, odpowiedziała na pytanie, co jest we mnie *męskiego, silnego*:

– Męskie to pan ma tylko... *spodnie*...

I urwała...

To znaczy, że *poza ubraniem* – wszystko jest *żeńskie*? Ale ja nigdy nie podobałem się kobietom (poza „przyjacielem”) – i to tłumaczy antypatię kobiet do mnie, co mnie zawsze (od gimnazjum) dręczyło.

\* \* \*

13. Każdego dnia żyj tak, jakbyś całe życie żył dla tego dnia.

(w drzwiach, wracając do domu)

\* \* \*

14. Tajemnica pisarstwa zamyka się w wiecznej i *przymusowej* muzyce w duszy. Jeśli jej nie ma, to człowiek może jedynie „zrobić z siebie pisarza”. Ale nie jest pisarzem...

.....  
Coś płynie w duszy. Wiecznie. Nieustannie. Co? Dlaczego? Któż to wie?  
– najmniej wie o tym sam autor.

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

15. Takich, jak te dwa wersy z Niekrasowa:

Jadę nocą ciemną ulicą –  
Samotny przyjaciel!...

nie ma jeszcze w *całej literaturze rosyjskiej*. Tołstoj, który powiedział o nim, że „on *wcale* nie był poetą”, nie tylko wykazał mało „chrześcijańskiej pokory”, ale także nie ujawnił bezstronności przeciętnego sędziego pokoju. Wiersze, jak

Dom nie jest wozem dziadka Jakuba

są bardziej ludowe niż wszystko, co napisał Tołstoj. Niekrasow napisał dziesięć stron wierszy *tak ludowych*, że dotąd nie udało się to żadnemu z rosyjskich poetów i prozaików.

Oto te 2/10 jego wierszy są *wiecznym wkładem* do literatury rosyjskiej i *nigdy nie umrą*.

Jego znaczenie było, oczywiście, nadzwyczaj przesadzane („lepszy od Puszkina”). Ale i na jego temat trzeba napisać swoją *nota bene*: on był „władcą myśli” pokolenia niezwykle aktywnego, energicznego i *czystego sercem*. Nie było to najgorsze z rosyjskich pokoleń – jest to fakt *historyczny*, którego nie da się uniknąć przez „żadną ślepotę”. „Zły czy dobry Katylin – a trzeba o nim wspomnieć”, i wspomni każdy Iłowajski, podczas gdy Iłowajskiego nikt nie wspomni. To jedno. A następnie owe 2/10 wierszy – ludowych, prostych, naturalnych, *mocnych*. „Muza zemsty i smutku” jest jednak silna, a gdzie siła, żądza, tam i *poezja*. Jego „Własowi” żaden szalenciec nie odmówi poezji. Jego „Ogrodnik”, „Woźnica”, „Zapomniana wieś” są wspaniałe, zadziwiające, zabrzmiały nowymi *tonami* w literaturze rosyjskiej. Niekrasow stworzył *nowy ton* wiersza, *nowy ton uczuć*, nowy ton i dźwięk *mowy*. Jest w nim zadziwiająco dużo elementów wielkoruskich: taką „mową”, nieco chytrą i nachalną, pomrugując okiem i wymigując się, *na pewno* nie posługują się ani w guberni penzenskiej, ani też w guberni riazanskiej, a jedynie na przystaniach nad Wołgą i na bazarach. Właśnie tę lokalną cechę wprowadził on do literatury, a nawet do poezji, zrobił ogromny i śmiały krok, *na jedno pokolenie* wszystkich oczarował i zachwyił.

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

16. Ból życia jest znacznie silniejszy niż zainteresowanie życiem. Oto dlaczego religia zawsze będzie zwyciężać *filozofię*.

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

17. Mówią, że chwała „jest pożądana”. Być może, w młodym wieku. Na starość nie ma nic bardziej wstrętnego i nieznośnego od władzy. Nie chodzi o „nudę”, a o stan chorobliwy.

Napoleon „żądny chwały” zmarł przecież w wielu 40 lat.

Jakże podoba mi się Pobiedonoscow, który na słowa: „To wywoła w społeczeństwie złe następstwa” zatrzymał się i – nie splunął, a wypuścił ślinę na podłogę, starł ją butem i nic nie powiedziawszy, poszedł dalej. (Opowiadanie ojca Pietrowa o Pobiedonoscowie, pełne niechęci).

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

18. Prostyucji – „z którą wszyscy bezsilnie walczą” – bezspornie dotyczy idea: „Ja należę do wszystkich”, a więc taka sama, jak idea *pisarza, mówcy, adwokata* – urzędnika „na usługach państwa”. W ten sposób z jednej strony prostytucja jest „zjawiskiem społecznym”, w pewnym sensie antyspołecznym, a nawet można powiedzieć, że *rei publice natae sunt ex feminis publicis*, „pierwsze państwa rodziły się z instynktu kobiet do prostytuowania się”... W skrajnym wypadku nie gorzej, niż fakt, że „Rzym rozwinął się z tego powodu, że w pobliżu płynęła rzeka Tyber” (Momsen) lub też „miasto Moskwa – z powodu geograficznych osobliwości rzeki Moskwy”. A z drugiej strony przecież *rzeczywiście* w istotę aktora, pisarza, adwokata, a nawet „księdza, który wszystkich odprowadza na miejsce ostatniego spoczynku” – wchodzi psychologia prostytutki, to znaczy obojętności „do wszystkich” i łaskawości „dla wszystkich”. – „Pan przyszedł w sprawie pogrzebu czy ślubu” – pyta ksiądz interesanta z tym samym łagodnym uśmiechem, gotów natychmiast „wyrazić współczucie” lub też „pogratulować”. Uczony – gdyż *publikuje* swoje prace, pisarz – gdyż *drukuję* swoje utwory, są, oczywiście, prostytutkami. Profesorowie są wyłącznie *prostitues pecheurs*. Czyż nie wynika z tego, że „z prostytucją nie należy porównywać”, podobnie jak z państwowością, drukiem... A z drugiej strony czyż nie wynika, że należy „im wszystko przebaczyć” i... „należy zostawić ich w spokoju”. Widocznie prostytucję, „tak oczywistą”, nie da się w rzeczywistości ogarnąć umysłem z powodu różnych motywów i istoty. Jest ona bardziej *ludowa* i *metafizyczna* na przykład od „profesury zwyczajnej” – nawet nie ma co o tym dyskutować... „Profesura zwyczajna” – malutki wróbelek, a prostytucja... czort wie, być może ona jest nawet „wieszczym ptakiem Gamajonem”.

W istocie, w pełni metafizycznie: to, co „najbardziej *intymne* – oddaję *wszystkim*”... Czort wie, co to jest takiego: można zabić z nienawiści i można... zamyślić się – „Jak wam się podoba” – jeśli użyć tytułu komedii Shakespeare’a.

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

19. Na palcach, z zadowoloną twarzą, podchodzi do nas Schwarz lub Schmidt i mówi z wyraźnym akcentem:

– Dzisiaj mamy *szpik*.

Oznacza to, że dzisiaj nie będzie wiecznego „skrzydełka gęsi”, to znaczy kości obciążonej szorstką skórą, którą żeśmy gryźli

bez bóstwa, bez natchnienia.

Podczas obiadu śmialiśmy się z Konstantynem Wasiljewiczem (Wozniesińskim) z tego „szpiku”. Kuchmistrz cieszył się, że podał nam coś eleganckiego.

Dla Niemców radość, a dla nas, studentów, smutek. Zjedliśmy szpik. Pewnego razu prawie otrułem się kawałkiem cielęciny (w kapuście), oczywiście – zgnilej. Ledwo przełknąłem, a stało się ze mną coś niezwykłego: jakbym zjadł żabę. Cały dzień, a może i dwa byłem chory.

(w uniwersytecie)

\* \* \*

20. Jakież fałszywe i podłe życie ma R., jakaż nieznośna i sprzeczna jest jego osobowość. A jest geniuszem. Nie mówię o chorobie: a jednak fizycznie prawie nie można znieść tego połączenia geniuszu i kalectwa.

Czy jest mu ciężko? Nie zauważyłem. Wydaje się, że jest ciągle szczęśliwy. Jak jednak ciężko musi być jego duszy!

Obok niego ta gruba i piękna żona, która go połknęła, jak wieloryb Jonasza: pełna żądzы władzy, pychy, a równocześnie pełna zachwyту i sławienia męża. Obydwoje są demokratami i marzą wyłącznie o tym, żeby otrzymać zamówienie z pałacu (kilka wierszy w jej pamiętnikach).

A tymczasem on jest geniuszem, którego nawet nie ma co porównywać z innymi geniuszami, którzy byli w przeszłości i są teraz.

Jakże jest to smutna i *dziwne*. Oczywiście, wielu spraw nie rozumiem i może dlatego to wszystko wydaje mi się *dziwne*. Jakiś „lej w głąb *otchłani*”...

(na odwrocie ulotki)

\* \* \*

21. Małą trawkę jest trudniej wyhodować, niż zburzyć kamienny dom.

Z „serca gorzkiego”: w ciągu wielu lat mojej działalności literackiej zauważałem, widziałem, obserwowałem w księdze przychodów i rozchodów (według wydań), z „recenzji w prasie”, że gdy tylko napiszę coś ironicznego, złego, niszczącego, zabijającego – wszyscy ludzie z żądzą chwytają książkę, artykuł. – „I poszło, i poszło”... A jeśli napiszę książkę lub artykuł z czystego serca, z miłości, z pozytywną treścią – leży martwa, nikt nie zada sobie trudu, aby otworzyć książkę, rozciąć kartki broszury, artykułu.

– „Nie chce mi się – to nudne, mam dosyć”.

– „Dlaczego nudne? Czy Pan czytał?”

- „Wszystko jedno – mam dosyć. Od razu wiadomo”...
- „Musimy uciekać. Dziękujemy”.
- „Za co dziękować? Przecież upadło i zadusiło, albo upadnie i zadusi”.
- „Wszystko jedno... Wesoło. Wesoło trzeba żyć”. Ludzie lubią pożar. Lubią cyrk. Polowanie. Nawet gdy ktoś tonie – to właściwie lubią popatrzeć: zbiegają się.

Oto, w czym rzecz.

I literatura stała mi się czymś obcym.

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

22. Oczywiście, niewykorzystanie takiej wrzącej energii, jak w wypadku Czernyszewskiego, do budowania państwa – było przestępstwem graniczącym ze zbrodnią. Do Czernyszewskiego zawsze przykładałem nie tę miarę, co trzeba: *myśliciela, pisarza... nawet polityka*. W tych dziedzinach nie stanowi on czegoś *szczególnego*, a niekiedy jest wręcz śmieszny i pretensjonalny. Nie w tym rzecz: lecz w tym, że od samego Piotra I nie obserwujemy jeszcze natury, w której każda godzina by *oddychała*, każda minuta *żyła* i każdemu krokowi towarzyszyłaby „troska o ojczyznę”. Wszystkie jego „zagraniczne książki” – to bzdura; reforma „Ekonomii politycznej” Milla – wypracowanie odważnego seminarzysty. Cały ten galimatias *można by* mu darować i *należy* darować oraz korzystać nie z głowy, a ze *skrzydeł* i *nóg*, które były zadziwiające, nie do porównania z innymi, a dokładniej: takie nogi miał jeszcze tylko niespożyty, niepotrafiący się zatrzymać Piotr. Dlaczego nasz słaby, pozbawiony życia i nie wiedzący gdzie znaleźć „energię” i pracowników” mechanizm państwowy nie wykorzystał tej „maszyny parowej”, a raczej „silnika elektrycznego” – jest niezrozumiałe. Kimże są przy nim ci wszyscy Aksakowowie, Samarinowie i Chomiakowowie, lub też znakomity Mordwinow, przy nim jako *potencjalnym działaczu*, który zakopał się gdzieś w śniegach Wulujska? Możemy jednak na niego napadać: w jaki sposób, czując w piersiach taki *zapas energii*, nie rzucił się w wir pracy, nie ucałował rączek wszystkim generałom i ogólnie kogo trzeba – aby tylko pozwolili pomóc narodowi, dopuścili do narodu, „dali departament”. Pokazawszy „potrójny ogonek” swoich idei socjaldemokratycznych, pobłogosławiwszy go *osobiście* na życie choćby z półsetką studentek, a nawet zaduszenie przez samą Cebrikową – ja bym go jednak postawił jako *osobę* i *energię* nie tylko na czele ministerstwa, ale także na czele systemu ministerstw, powierzył rolę Speranskiego i „stałość” Arakczejewa... Takie *osoby* rodzą się raz na kilka wieków, a tu rzucają je w śnieg i głuszę, jeśli nie w błoto... to... to... czort wie, co to takiego. Już czytając jego zdania (czytałem o Lessingu, początek), po prostu czujesz: on nigdy nie przestanie, nigdy nie uspokoi się, myśl jasna, pragnień bez liku. Po prostu „pioruny” w duszy. Teraz (korespondencja z żoną i kontakty z Dobrolubowem) wszystko się wyjaśniło: on

był duchowym, spirytualistycznym „s”, a te orły nie składają skrzydeł, a lecą i lecą, do śmierci lub zwycięstwa. Nie znam jego doświadczeń życiowych, ale to nie jest ważne. Był *działaczem państwowym* (społeczno-państwowym) większym od Speranskiego i każdego z „orłów Katarzyny”, od brawurowego Pestela i bezsensownego Bakunina, od żadnego sławy Hercena. On był rzeczywiście *solo*. Fatalna sytuacja *pełnej bezsily* rzuciła go do literatury, publicystyki, filozofowania, a nawet beletrystyki: jednak nie mając po temu *żadnego powołania* (cisza, kontemplacja), połamał wszystkie krzesła, porozbijał stoły, zabrudził pokoje i w ogóle dokonał „nihilizmu” – nic innego nie mógł dokonać... To – Dizraeli, któremu nie pozwolono pójść dalej, niż „powieściopisarzowi”, lub Bismarck, którego za pojedynkę ze studentami skazali, aby całe życie „walczył na rapiery” i „zabronili gdziekolwiek i kiedykolwiek podejmować pracę”. Czort wie, co to jest: fatum, los, i to nie tyle *jego*, co *Rosji*.

A i on sam: nie potrafił „ścisnąć jak pięści” swego nihilizmu i „seminarszczyzny”. Dla narodu. Dla pozbawionych krów i koni chłopów.

Zdumiewające: przecież to jest prosta droga do Cuszimy. Jeszcze bardziej zdumiewające: gdyby zajął się *praktyczną działalnością*, to w Rosji *nie byłoby teoretycznego nihilizmu*. W tej jednej rzeczywiście godnej uwagi biografii zbliżyliśmy się do Drzewa Życia: ale je zrabano. Zrabano, „żeby zrobić z niego łapcie” dla Obłomowa...

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

23. Pieszehonka – ostatnia znacząca postać w socjaldemokracji. Jednak jej znaczenie tkwi wyłącznie w jej *czystości*. To „biedny rycerz”. O którym pisze Puszkina, kiedyś gwałtownej, a później tylko długotrwałej walki, gdy byli giganci, także intelektualni: ale gdzie u P. jakikolwiek intelekt? To „dyrektor”, a nie minister. Oczywiście, ten fakt nie pozbawia go wszystkich cech ludzkich. Zadziwiające: gdy go zobaczysz (na giełdzie), to ciągnie cię ku niemu, chociaż wiesz, że żadnej interesującej rozmowy nie będzie (a do Mjakotina, Pietriszczewa i Korolenki nic mnie nie ciągnie – żadnego zainteresowania). Ma on niezwykle dobrą naturę. Żadnego zmeńnienia. Na miejscu C. postawiłbym go na czele inteligencji... „Pisz, pisarzu, nie ty powinienes dowodzić pułkami. Ale ty nie ukradniesz i innym nie dasz ukraść”. Ze względu na „służbę i obowiązek” przymknąłbym oczy na całą jego socjaldemokrację. „Do diabła z nią”. „To dobry minister, ale głupi”. Ja bym (wypróbowaawszy kanciarzy) wszystkim socjaldemokratom pozwoliłbym „działać”, traktując ich „przekonania” jako chwilowe szaleństwo, które trzeba tolerować, jak w rodzinie znosi się „szaleństwa” dzieci. „Do diabła z nimi”. Los. Karma imperium Rosji. Nie wiem, kim należałoby mianować Mjakotina. Naczelnikiem wszystkich kuźni w Rosji. W każdym bądź razie można skierować do kawalerii. Nie mam żadnych idei na temat Pietriszczewa, poza tym, że namawia biedne studentki do strajków, w

czym zgadza się z Zubatowem. Najprawdopodobniej „głupek” – ale ze „szlachetnych”, rozum ma jednak wyjątkowo słaby. Sympatyczny, jednak Iwanczyn-Pisariew (raz go widziałem) to przy nim dama, też sympatyczna, rozumna i pełna energii. Dałbym im jakieś tereny „na osiedlenie”, może cały powiat na zjedzenie (!) lub rozkwit. Któż to wie, gdyby się udało, to dlaczego nie skorzystać z okazji? Państwo powinno być sprawiedliwe i spokojnie rozglądać się na wszystkie strony. Zapomniałem o Hornfeldzie. Pozwoliłbym mu handlować trzcina (chodzi z trzciniową laską, pod krawatem i, jak się wydaje, na razie bez cylindra). Korolenko jest jakiś ponury i chyba niezbyt rozumny. Wydaje mi się, że jest nieco zwariowany. Zwariowany z powodu swojej dziwnej i poplątanej biografii, w której nie mógł zachować równowagi ducha. Miał ojca, wspaniałego „służbistę” z czasów Mikołaja, matka – Polka, rozdierające serce sceny ucisku w kraju południowo-zachodnim, a potem spotkanie z socjaldemokratami. Gdyby miał głupiego ojca – wszystko byłoby jasne, ale przyplątał się (honorowy) „cień ojca” i syn okazał się być „Hamletem” w partii, która domaga się działania, jedności i nie dopuszcza *wątpliwości, zwłaszcza w rozumie*. A Korolenko ma swoje (tajemne) wątpliwości. Raz rozmawiałem z nim przez chwilę w pałacu Tawryczewskim. Nie bacząc na oczarowanie utworami, on sam żadnego dobrego wrażenia nie wywarł (wymiguje się, nie jest bezpośredni).

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

24. Sekret jej cierpień – pomimo swego zdumiewającego blasku intelektualnego we wszystkim miała jedynie pół-talentu. Ani malarka, ani uczona, ani śpiewaczka, chociaż *i* śpiewaczka, *i* malarka, *i* (w największym stopniu i najłatwiej) uczona (lata nauki, przyswojenie sobie lingwistyki). A ona sama *ciągle* szarżała i szarżała...

(zajmując się numizmatyką, o Baszkirczewoj)

\* \* \*

25. Moje nazwisko jest wyjątkowo okropne. Zawsze podpisuję się z takim odczuciem „W. Rozanow” pod artykułami. Żeby chociaż „Rudniew”, „Bugajew”, cokolwiek. Lub po prostu rosyjskie „Iwanow”. Idę kiedyś ulicą. Podniosłem głowę i przeczytałem:

„Niemiecka piekarnia Rozanowa”.

Otóż to! Wszyscy piekarze to „Rozanowowie”, a tym samym wszyscy „Rozanowowie” są piekarzami. Co tacy durnie (z tak głupim nazwiskiem) mają robić? Gorsze nazwisko od mojego – to tylko „Kabłukow”, to już po prostu hańba. Albo „Steczkin” (krytyk „Rosyjskiego Wiestnika”, ale podpisuje się „Starodumow”); to już zupełna sromota. To straszne, żeby samemu nosić nieprzyjemne nazwisko. Myślę, że „Briusow” ciągle cieszy się ze swojego nazwiska. Dlatego

## UTWORY W. ROZANOWA

wcale mnie nie pociągają. Wręcz śmieszne.

## WIERSZE W. ROZANOWA

nawet nie można sobie wyobrazić. Kto będzie „czytać” takie wiersze?

- Co ty robisz, Rozanow?
  - Piszę wiersze.
  - Dureń. Lepiej piekłybyś bułki.
- Całkowita racja.

Takie nienaturalne i wstrętne nazwisko dano mi jako dopełnienie mojej mizernej postury. Ileż to razy jako gimnazjalista zatrzymywałem się (kiedy uczniowie wyszli już z gimnazjum) przed ogromnym lustrem w korytarzu – i „ileż łez wylałem w tajemnicy”. Twarz czerwona. Skóra jakaś nieprzyjemna, łuszcząca się (nie sucha). Włosy po prostu koloru ognistego (u gimnazjalisty!) i sterczą, ale nie w formie szlachetnego „jeża” (charakter męski), a wznoszą się jakąś falą, okropnie – u nikogo nie widziałem czegoś podobnego. Natarłem je pomadą – dalej sterczą. Potem, po przyjściu do domu znowu lustro (maleńkie, z rączką): „Któż pokocha taką szkaradę?” Po prostu przerażenie: ale za to *lubili mnie koledzy* i zawsze byłem „przywódcą” (przeciwko władzy, nauczycielom, a zwłaszcza przeciwko dyrektorowi). W lustrze, poszukując urody swojej twarzy i „wybałuszając oczy”, nie postrzegałem „wyglądu”, „uśmiechu”, żadnego *życia twarzy*, ale myślę, że właśnie ta strona żyła i pobudzała to, co jest we mnie godnego uwagi i co wielu lubiło (jak i ja zawsze lubiłem).

Ale myślałem sobie:

– Nie, to koniec. Żadna kobieta *nigdy mnie nie pokocha, żadna*. Cóż pozostaje? *Zamknąć się w sobie, żyć z sobą, dla siebie* (nie egoistycznie, a duchowo), *dla przyszłości*. Oczywiście, ubocznie mój wygląd zewnętrzny stał się przyczyną pogłębienia własnego życia.

Teraz nawet mi się to podoba, że „Rozanow” jest tak wstrętny. Muszę dodać, że od dzieciństwa lubiłem znoszoną i zniszczoną odzież. „Nowa” zawsze mnie uciskała, była nawet nieznośna. Jednym słowem, jak o winie:

Im starsze, tym lepsze

– właśnie tak myślałem o butach, czapkach i o tym, co „zamiast surduta”. A teraz wszystko to zaczęło mi się podobać.

– Po prostu nie mam formy (*causa formalis* według Arystotelesa). Jakiś „kłębek” lub „gąbka”. A to dlatego, że cały jestem duchem, podmiotem. To, co subiektywne, jest we mnie rzeczywiście nieskończenie rozwinięte, u nikogo nie spotkałem czegoś podobnego, nawet czegoś takiego nie zakładałem u innych. Ja jestem „najmniej urodzonym człowiekiem”, jakbym „jeszcze leżał” (jak kłębek) w łonie matki (nieskończenie ją kocham, to znaczy zmarłą mamę) i „słuchał rajskich śpiewów” (ciągle słyszę muzykę – to moja cecha). Wspaniale,

wspaniale! Po co potrzebna mi „interesująca fizjonomia” lub jakiś „nowy płaszcz”, kiedy ja *sam* (w sobie, w kłębkach) jestem nieskończenie interesujący, a w duszy bardzo stary, doświadczony, jakbym miał 1 000 lat, a zarazem jestem młody, jak dziecko... Dobrze! Zupełnie dobrze...

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

## GOŁĘBIA MIŁOŚĆ

26. ...Za każdym razem, kiedy podchodziłem do tego wysokiego kamiennego domu i wchodziłem na ganek, słyszałem muzykę. Znacznie później dowiedziałem się, że to „gamy”. Wydawały mi się czarownicami. Powoli, zamyślony szedłem w stronę wspaniałego podjazdu, ogromnej sieni, zdejmowałem gimnazjalne palto i przechodziłem do pokoju kolegi.

Kolega nie wiedział, że kochałem się w jego siostrze. Widziałem ją raz – podczas herbatki i jeszcze jeden raz – na podjeździe domu, w którym mieścił się klub szlachecki (koncert symfoniczny). Podczas herbatki ona rozmawiała z matką po francusku, a ja czerwieniłem się i żartowałem z kolegą.

Potem herbatę przynoszono nam do jego pokoju. Zza ściany słyszałem niekiedy jej srebrzysty głos – mówiła o herbacie, o czymś jeszcze...

A na podjeździe było tak: szedłem na koncert lub może jakoś tak wyszło... Wszystko jedno. Stałem koło podjazdu, do którego bez przerwy podjeżdżały karety i sanki, jedne za drugimi. Z jednych sanek wychodzi ona z matką – nieprzyjemną, ważną staruchą.

Poza bladą i szczupłą twarzą, niezwykłą figurą, wspaniałym zarysem uszu, prostym i małym noskiem, takim delikatnym, moje serce „zauważyło” jeszcze to, że zawsze chodziła z opuszczoną głową – co wraz z kształtem piersi i pleców tworzyło dla mnie niezwykle czarującą linię. „Gazela pijąca wodę”... Wydaje się, że główne oczarowanie tkwiło w jej ruchach, jakichś tanecznych, lekkich... I to, co najważniejsze – w duszy.

Chociaż: jakie mogłem mieć o niej pojęcie?

Wyobrażałem sobie tę duszę – wszystkie ruchy jej ciała potwierdzały moją myśl – hardą. Nie chodzi o pychę, ona była pograżona w swoim wewnętrznym zachwycie i nie zauważała ludzi... Ona jedynie przechodziła obok ludzi, rzeczy, brała to, co potrzebne, ale nie miała z nimi żadnego związku. Gdy była sama, to grała na pianinie, tak powinno być... Wiedziałem, że brała lekcje matematyki u miejscowego nauczyciela gimnazjum – wyższej matematyki, gdyż już kończyła instytut. „Są tacy szczęśliwcy” (nauczyciel).

Pewnego razu mój kolega coś zbroił: zdaje się, że podrobił oceny na świadectwie, a potem opisując mi całe to zdarzenie, mimochodem dodał:

– Siostra powiedziała mamie: „Wydaje mi się, że to wszystko z tego powodu, iż Wołodia przyjaźni się z tym Rozanowem... Ta przyjaźń źle na niego wpływa. Wołodia nie zawsze był taki...”.

Wołodzia był głupim i dobrym chłopcem – zupełnie nieodpowiedzialnym. Pisałem za niego wypracowania, a potem żartowaliśmy... Jednak nie wywierałem na niego żadnego „złego wpływu”, gdyż ze względu na jego naiwność nie można było na niego wywierać żadnego „wpływu”.

Słuchałem w milczeniu...

Chciałem wtedy umrzeć.

Nie tylko „wtedy”: zawsze miałem wrażenie, że „konie stratowały mnie na ulicy”. A oto *ona* przejeżdża obok. Konie zatrzymały się. Zobaczywszy, że to „ja”, ona powiedziała do matki:

– Biedny chłopiec... Być może, on nie był taki zły, jak się wydawało. Widać, że jest mu *przykro*. *Żal* mi go.

\* \* \*

27. Można pokochać terror i można znienawidzić do głębi duszy – a przy tym z odcieniem „w tygodniu jest siedem piątków”, bez żadnej szczerości. Są rzeczy dialektyczne *w sobie*, jaśniejące (*same*) jednym światłem, ale z boku wydają się one inne, a z drugiej strony – jeszcze inne. My, ludzie jesteśmy strasznie nieszczęśliwi w swoich opiniach wobec takiej dialektyki, gdyż jesteśmy bezsilni. „Bóg zebrał końce rzeczy i związał w węzeł nie do rozwiązania”. Nie można go rozwiązać, a jeśli przeciąć, to wszystko umrze. Trzeba więc mówić: „błękitne”, „białe”, „czerwone”. Gdyż jest w nim – wszystko. Nikt nie osądzi „Listów Morozowa ze Szlisselburga” (w „Wierniku Europy”), ale jego „Burza w burzy” jest okropna i pretensjonalna. Dobra jest Hesja Helfman, ale krwawa Frumkina jest dla mnie nie do przyjęcia, jak i kłujący siebie *ze złości* widelcem Bierdjagin. Wszystko to – suchoty, suchoty w nerwach, Ippolitowie (z „Idioty” Dostojewskiego). Nie ma harmonii duszy, nie ma wielkości. Nie ma „szlachetności” – użyję określenia starca z „Młokosa”, nie ma „świętecznych szat” – użyję określenia historyka Sergiusza Sołowjowa.

\* \* \*

28. Jakże to dziwne stwierdzenie, że cała „wspaniała” literatura rosyjska jest w istocie strasznie niewystarczająca i nie jest głęboka. Ona wspaniale „przedstawia”, ale to, co przedstawia – wcale nie jest wspaniałe i chyba nie jest warte dłuta mistrza.

XVIII w. – to tylko „pomoc rządowi”: satyry, ody – to wszystko; Fonwizin, Sumarokow, Łomonosow – *wszystko*.

XIX wiek w złotej frazie przedstawił życie szlachty:

Tatiany miła rodzina,  
Tatiany miły ideał.

Tak, dobrze... Ale cóż w tym *uniwersalnego*?

Po co to *potrzebne* Rzymianinowi, Niemcowi, Anglikowi? W istocie nikomu nie jest potrzebne, *poza Rosjanami*.

A co potem, zwłaszcza teraz? Całe to szarpanie się Bielinskiego i Hercena? Ogariow i inni? Bakunin? Gleb Uspienski i my? Michajłowski? Wyłączając Tołstoja (który pod tym względem jest szczególnie wielki), wszystko to wywodzi się ze studenckiej „palarni” (pokoju, w którym wolno palić papierosy) i z łoża prostytutki. Wszystko jest jakąś anegdotą, zdarzeniem – czort wie po co i komu. Rozważania dziewicy i studenta o Bogu i rewolucji społecznej – oto *dusza* wszystkiego. Wszystkie te „socjal-dziewice” są miłe, pociągające, poetyczne. Ale dlaczego *właśnie to* jest ważne?! Nie ma w tym nic ważnego. „Obyczaje ulicy Rastierajewej” (Gleb Uspienski; nie czytałem zresztą, tylko tytuł) nikomu nie są potrzebne, poza popijającymi herbatę czytelnikami Uspienskiego i policjanta, który owe „zwyczaje” śledzi „nigdy niezasypiającym okiem”. Czymże są opinie studenta i prostytutki o Bogu? Przedmiot westchnień rektora, że student nie uczy się i uśmieszek właścicielki domu, w którym dziewczica „nie pracuje”. Wszystko to po prostu jest niepotrzebne i nieinteresujące, chyba jako temacik do opowiadania. *Mistrzostwo opowiadania* jest i pozostanie – *jest* literatura. Tak, ale nie *do czytania*. Zdziwienie Szczedriny, że „czytelnik jedynie czyta literaturę, którą pisze pisarz” – jest bezpodstawne *w odniesieniu właśnie do literatury rosyjskiej*, z którą cóż innego można robić, jak tylko „czytać”, gdyż ona *w istocie* tylko *w tym celu* została *napisana*...

W istocie wszystkie „słodkie wymysły”:

Nie dla bied jakichś  
Dano nam cudowne pomysły...

Jak powiedział Karamzin. Wszyscy nasi „realiści”, i Michajłowski są marzycielami *na papierze* – w najlepszym wypadku ludzie *godni czci* („czcigodny pisarz”).

Sześć lat temu „przyjaciel” powiedział mi po powrocie z cerkwi „Wszystkich Strapionych Radość”, że przyszła kobieta, niezbyt stara i niezbyt młoda. Nędznie ubrana. Trzyma za ręce sześcioro dzieci, wszystkie malutkie. Gorąco się modliła i płakała. Chyba nie straciła męża – nie te łzy, nie ten ton. Raczej mąż pije, albo stracił pracę. Nigdy nie widziała takiego bólu i takiej modlitwy.

Otóż takie wydarzenie w żaden sposób „nie wlezie” w Gleba Uspienskiego, on ma zupełnie „inny ton”.

*Rodzina, życie*, nie *socjal-kobiety*, a *socjal-pracownicy* – nie weszli do literatury rosyjskiej. Literatura ta nie opisuje pracy, a jedynie „młodych ludzi”, którzy dyskutują o pracy. Właśnie – kobiety i studenci, a przecież to nie oni pracują, a ich ojcowie. Ale ojcami się pogardza, dla studentów są oni kimś w rodzaju kuropaty dla myśliwego.

Niezwykły wyjątek stanowi pod tym względem Lew Tołstoj, który z szacunkiem odnosi się do rodziny, do pracy, do człowieka, do ojców... Po raz

pierwszy w literaturze rosyjskiej, bez naśladownictwa i kontynuacji. Właśnie dlatego nie skończył „Dekabrystów”, z powodu pustki tematu. Wszyscy dekabryści byli socjal-kobietami, poprzednikami prostytutek i studentów, którzy dyskutują o niebie i ziemi. Chociaż noszą akselbanty i są hrabiami. To nie jest Rosja Pracy i dlatego Tołstoj zarzucił ten temat. W tym jego szlachetność i powaga. To, że nie skończył „Dekabrystów” – jest szlachetne, oryginalne i wspaniałe, jak i to, że skończył „Wojnę i pokój” oraz „Karelinę”.

Oczywiście, nie Pestel-Czacki, a Kutuzow-Famusow trzyma na swoich plecach Rosję, „jaką ona jest”. Pestel nic nie trzyma, poza epoletami i pychą. Rozumiem, że Famusow niewiele jest wart, jak i Kutuzow – to nie złoty bożek. Przecież historia Rosji jeszcze się nie zaczęła. Żyliśmy dzień po dniu, godzina po godzinie.

\* \* \*

29. – No, wszystkich osądziłeś... A sam, od kogo jesteś lepszy?  
– Od nikogo, ale ja mówię, że nie mamy co płakać z powodu okoliczności, a z powodu naszego życia.

A, to zupełnie inny temat, inne ukierunkowanie, inna literatura.

*(zajmując się numizmatyką)*

\* \* \*

30. W Rosji cała własność wyrosła z „wyproszenia” lub „podarków”, albo też kogoś „okradziono”. Własnej pracy bardzo mało. Dlatego własność nie jest mocna i nie jest szanowana.

*(Ługa-Petersburg, w wagonie)*

\* \* \*

31. Wiecznie myśli i ciągle ta sama myśl: jakby tu uniknąć pracy.

*(typowo rosyjskie)*

\* \* \*

32. Cała literatura jest pustosłowiem... Prawie cała...

Wyjątków jest bardzo mało.

\* \* \*

33. W końcu wszedłem do tego przeklętego i obcego domu, o którym sam, podczas pierwszej wizyty, pomyślałem: „Nigdy nie widziałem czegoś podobnego: tu jedynie można się powiesić”. W ten sposób potykamy się nie o skały, a o prosty, gładki i zniszczony brukowiec.

*(N. M. M.)*

\* \* \*

34. Cynizm z powodu cierpienia... Czy kiedykolwiek o tym pomyśleliście?

(1911)

\* \* \*

35. Czy chciałbym chwały pośmiertnej (na którą, jak czuję, zasłużyłem)?

W mojej duszy od wielu już lat odczuwam nieustanny ból, który zagłusza żądzę chwały. Jej wieczna chwała (jeśli dusza jest nieśmiertelna) – jak to odczuwam – *powiększyłaby się, gdyby była chwała pośmiertna*.

Dlatego jej nie chcę.

\*

Chciałbym, żeby mnie zrozumiano, *a nie chwalono*, i to pod warunkiem, żeby pamiętano o mnie *razem z moimi bliskimi*...

Bez pamięci o nich, o ich *dobroci, honorze* – nie chcę, żeby pamiętano *o mnie*.

\*

Skąd takie uczucia? *Z poczucia winy*, a także z głębi świadomości, że nie byłem dobrym człowiekiem. Bóg dał mi talenty, ale to coś innego. Bardziej straszne pytanie: Czy byłem *dobrym człowiekiem* – odpowiedź jest negatywna.

(Ługa-Petersburg, w wagonie)

\* \* \*

36. Dwaj aniołowie siedzą na moich ramionach: anioł śmiechu i anioł łez. Ich wieczne sprzeczenie się jest moim życiem.

(na moście Troickim)

\* \* \*

37. Rozłożyłem tę płachtę... Redaktor wszelkimi sposobami nałapał informacji... z Etiopii, Hiszpanii, czort wie skąd jeszcze. Co jeszcze?

– To dla Waszego zadowolenia (czytelniczy).

– Dziękuję. Moja dusza jest ważniejsza.

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

38. Powiadają, że pewien dżentelmen, który wygłosił wiele wykładów na temat oświaty i skrytykował szkołę, w której sam się uczył, nie poznawał swojego syna – „Co to za chłopiec?” – A kiedy mu mówiono, że to jego syn, patetycznie rzucał się, żeby go uściskać, ale potem po dwóch minutach znowu zapominał.

„W żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć”...

Lub:

„Cóż robić? Nie mogę tego faktu utrzymać w pamięci”.

*(zajmując się numizmatyką)*

\* \* \*

39. „Brandelas” (na procesie Buturlina) – to dobrze. Przede wszystkim, co za dźwięk... jest coś w dźwięku. Coraz bardziej przekonuję się, że wszyscy literaci są „Brandelasami”. W tym dźwięku dobre jest, że nic on nie wyraża, nic nie oznacza. Właśnie z powodu tej swojej cechy szczególnie nadaje się do literatów.

„Po epoce Merowingów nastąpiła epoka Brandelasów” – powie w przyszłości jakiś Iłowajski. Myślę, że to będzie dobre określenie.

*(zajmując się numizmatyką)*

\* \* \*

40. Literatura, jak orzeł, wzleciała na niebiosa. I spadła martwa. Teraz jest zupełnie jasne, że nie jest ona „poszukiwanym niewidzialnym miastem”.

*(na odwrócenie ulotki)*

\* \* \*

41. „Wcale nie jest lżej z godziny na godzinę”... Rebeka NN, która teraz zaczęła u nas bywać, wieczorem, kiedy zacząłem z nią rozmawiać o szczegółach (mnie nieznanymi lub niejasnymi) mykwy, z początku mi odpowiadała, a potem – gdy nastąpiło milczenie – zauważyła:

– *Tę nazwę po raz pierwszy wymawiam głośno.*

– Mykwy?

Zawstydzona się:

– To *nieprzyzwoite słowo*, w towarzystwie Żydów jest niedopuszczalne wymawianie tego słowa głośno.

Zdziwiłem się:

– Ale przecież mykwa jest – *święta*?

– Tak, jest święta... Tak nas nauczano... Ale jej *nazwa jest nieprzyzwoita* i nigdy *nie jest głośno wymawiana* przy innych ludziach.

Przecież to jest „odkrycie twierdzenia Pitagorasa”: znaczy, że u Żydów istnieje to samo pojęcie, iż „nieprzyzwoite” i „święte” może być tym samym!! Może być wspólne!! Nic podobnego, oczywiście, nie jest możliwe u chrześcijan. Stąd wynikają następstwa historyczne:

1) u chrześcijan wszystko jest „nieprzyzwoite” – w miarę tego, jak „nieprzyzwoitość” *wzrasta* – staje się „grzechem”, „brudem”, „ohydą”, a *tym samym* bez komentarzy, wskazówek i dowodów, *bez teorii*, sfera życia płciowego i organów płciowych – ten element, ukrywany przed światem – *upadł do otchłani*, jest „owocem szatana”, „diabelskością”, mając w swej osnowie – „straszny, nieznośny *ohydę*”, „*woń świata*”.

2) u Żydów myśl skierowana jest na to, że „nieprzyzwoite” (dla mowy, oczu i myśli) wcale nie jest oceną wewnętrznych jakości rzeczy, nic nie mówi o ich treści, gdyż jest ciągle „pod ręką”, wszystkim jest znane, rytualne, codzienne, będąc „szczytem nieprzyzwoitości” w nazwie, której *nigdy się głośno nie wymawia* – i równocześnie jest „święte”.

Tego faktu się nie wyjaśnia, nie wskazuje się na niego, on po prostu *jest* i o tym wszyscy wiedzą.

Przez to *nic* nie powiedziano Żydom, ale *dano nic*, której trzymając się i idąc według niej *każdy sam może dojść do wniosku*, że „to” (organy i funkcje), chociaż nikomu się ich nie pokazuje i o tym się nie mówi – są nieprzyzwoite, ale tym nie mniej – *święte*.

Stąd prosty wniosek o „tajemnej świętości”, która jest w świecie i którą „należy ukrywać”, nigdy nie należy nazywać, o misteriach, *misterium*. Zrozumiałe jest pochodzenie samej nazwy i wyjaśnia się samo „ciało” misterium. Przecież wszystkie nasze „sakramenty” są objawieniem dokonywanym w świetle dnia, wobec ludu. Jasne, że starożytne „misteria”, które chciano niekiedy wiązać z naszymi, chcieli tego teolodzy (pewna praca o *misteria arcana*, pamiętam, pana Silczenowa w czasopiśmie „Wiara i Rozum” – w istocie nic wspólnego z nimi, poza *nazwą*, nie mają.

\*

Kontynuuję myśli o mykwie, o tym zawstydzaniu się Żydówki, która aż poczerwieniała (bardzo inteligentna studentka, 26 lat) – z wyznaniem: To *nieprzyzwoite słowo...* jest *niedopuszczalne wymawianie tego słowa głośno*; mykwa jest – *święta...* ale jej *nazwa jest nieprzyzwoita*”.

Trzeba znać „odcienie” mykwy:

Mykwa nie jest głęboka, 1 ½ arszyna. Głębsza jest „trafna”, „nie godzi się”. Dlaczego? „Nie godzi się” *dla czegoś tajemnego, co się tam dokonuje*, o czym nic nie powiedziano i nie napisano nigdzie ani słowa. Jedyne rabini popatrzyli, zmierzyl i jeśli nie jest głębsza niż 1 ½ arszyna – powiedzieli: „Koszerna”, „dobra”. Dlaczego? – tego *ludowi nie wyjaśniono*.

Zanurzenie się w mykwie obserwują tylko członkowie synagogi – staruchy i krzyczą do tych, którzy zanurzają się po raz pierwszy, że należy tak się zanurzyć, żeby *na powierzchni wody nie było widać końców włosów*. W tym celu przy głębokości 1 ½ arszyna należy głęboko przysiąść, aż do bólu, do napięcia mięśni, i wszyscy posłusznie wykonują ten „obrzęd”, nie rozumiejąc po co. A rabini mówią: „Koszerne!” Bardzo się skurczyła – „koszerne”, nie za bardzo – „*trefne*”. W tym celu nie może być głębiej, niż 1 ½ arszyna.

Woda nie jest przynoszona z zewnątrz, *nie jest wlewana do basenu*, a wypływa z gruntu, jest to *woda gruntowa*. Woda gruntowa – to *woda studzienna*. A więc „zejść do mykwy” znaczy „zejść na dno studni”, po bardzo długiej i wąskiej drabinie, na której obok siebie mogą się zmieścić dwie-trzy osoby, nie więcej. Stopnie, jak zaobserwowałem we Fridbergu, są „cyklopowe”,

po  $\frac{3}{4}$  arszyna i przy schodzeniu trzeba „szeroko rozstawiać nogi”... Nie idą, a „maszerują”, „leżą”, z wysiłkiem... Sama drabina jest bardzo długa i wychodzi się z mykwy około 10 minut. Odświeżona i radosna (zawsze jest takie uczucie po zanurzeniu się w wodzie), wychodząc z mykwy kobieta musi podnosić do góry głowę i przed jej oczyma w ciągu dziesięciu minut trwa widowisko: „szeroko rozstawiane nogi”, zaokrąglone brzuchy i gładko wystrzyżone (rytuał) – do „golizny” – wstydlive części ciała. „Wszystko w człowieku jest obrazem i podobieństwem Bożym” – myśli się w tej ekstatycznej chwili. „Koszerne! Koszerne!” – mówią rabini.

Aby wszystko odbywało się powoli, *długo* – według Prawa „w mykwie nie mogą się zanurzyć *równocześnie dwie osoby*”.

Szczęśliwi i tracący oddech, *oni* schodzą i wychodzą, wchodzą i wychodzą.

Wszyscy poszli. Pusta woda, basen. Stary Żyd, jak Mojżesz, jak Abraham, jako ostatni podchodzi do basenu z wodą, przyczepia do jego brzegów woskowe świece i wszystkie zapala! To „biedny rycerz” judaizmu przed swoim „bogactwem”... Tak, dla wszystkich jest to wstydlive, „nie można głośno *wymawiać tej nazwy*”, ale przecież to „*ja zbudowałem mykwę* i wiem po co i dlaczego, mykwą będzie żył cały Izrael, wiecznie, jeśli tego nie porzuci, więc zapalam święty ogień tutaj, gdyż nigdzie jak tu powietrze nie jest tak nasycone zapachem ciał Izraela i wszyscy oni/one oddychali tym powietrzem, zaczerpnęli go i teraz powietrze to jest w żyłach każdego/ej, rodzi obrazy i pragnienia, które, *jedyne i jednoczące*, niepokoją cały Izrael”.

\*

„Zapalone świece woskowe” – to przełożenie *na nasz język, na nasz obrzęd* tego, co prawo i wiara mówią Izraelowi: „Mykwa jest *święta*”. W Talmudzie jest sformułowanie: „Bóg jest *mykwą*, gdyż On *oczyszcza* (nie pamiętam, czy powiedziano ‘dusze’) Izraela”.

\*

Zostawmy jednak starca i przenieśmy się w nasze czasy, w nasz byt, aby wyjaśnić starożytny zwyczaj żydowski, odczuć jego duszę. Wyobraźmy sobie bal. Pełno ruchu, rozmowy, „nowości” i „polityka”. Rozkosz, wspaniałe toalety dam... Amfilada komnat z białymi kolumnami i ścianami. Oto ktoś z gości, z tańczących kawalerów, zmęczonych zabawą, odchodzi do bocznej sali, gdzie widzi na stole miskę z zimną wodą, zapomnianą przez kogoś i niepotrzebną, wyjmując więc nieco pobudzony organ i wkłada do czystej wody... „aż ostygnie”.

Czyni to samo, co Żydzi w mykwie i muzułmanie w swoich obmyciach („namaz”).

Młody człowiek wyszedł. Nagle do sali weszła rozpalona kobieta. Jest rozpalona, bo ściskano jej ręce, a ona wyznaczyła spotkanie – zaraz po balu, tejże nocy. Zobaczyła tę samą miskę, bierze ją, stawia na podłodze – ostrożnie rozgląda się na boki, zamyka drzwi i powtarza to samo, co wcześniej uczynił mężczyzna.

Właśnie to robią Żydówki w mykwie.

Wielu zrobiło to samo, w przekonaniu, że nikt ich nie widział.

Gdyby ktokolwiek zobaczył, umarliby ze wstydu. Oto okrzyk Rebeki NN: „Nazwa jest *nieprzystojna*”.

Gdy byliśmy sami – to ochłoda i czystość. Wszystko racjonalne.

Powróćmy się jednak do judaizmu.

Wyobraźmy sobie, że przez okienko na stryszku, z ciemnego kąta oglądał to wszystko Żyd. Nie zwrócilibyśmy na niego uwagi. Nie po to jednak został on obrzezany, obrzezanie ustawia go w innej sytuacji. W przeciwieństwie do naszej niechęci, zapłonęły mu oczy. Wyszedł. Bal nie jest mu potrzebny i on nie pójdzie na bal. Jego miejsce jest tutaj. Zabiera ze sobą miskę i ostrożnie niesie, żeby nie rozlać wody. Zamyka drzwi – aby nikt nie widział – stawia miskę na stół i nagle zapala mnóstwo lamp (*początek* lamp – w Egipcie) wokoło, przykrywa głowę, aby przed jego oczyma nie znalazło się nic, na co on nie śmie patrzeć i zaczyna mruczeć jakieś słowa w niezrozumiałym języku.

On odmawia modlitwy i zaklęcia.

To jest judaizm.

Te modlitwy są dobre. Żyd modlił się: „Niech oni tańczą. Te głupoty przeminą. Ja się modlę o to, co im będzie potrzebne w starości – o *zdrowie*, o *przedłużeniu ich życia*, o to, żeby samo życie było *świeże* i *mocne*, żeby ich *nie bolało* i żeby ich nigdy *nie bolało* to, co oni tu zanurzyli i umyli. Ach, oni teraz nie wiedzą, bo są zakochani i rozmawiają o pracy i rangach. Przeszedłem przez wszystkie rangi, niczego nie potrzebuję. Wiem, że *radość życia zależy od tego*, żeby w tym miejscu nic *nie osłabło* i *nie chorowało* w człowieku, wszystko było jasne i godne czci, jak dobry rachunek i pełne nadziei, jak nowonarodzone dziecko. Jestem dla nich obcym, ale modlę się do mego tajemniczego Boga, żeby cały *świat, wszystkich*, On zachował i pobłogosławił te organy na wieczną płodność świata i na rozkwit całej ziemi, którą On, Dobry, *stworzył*”.

Amen.

\* \* \*

42. ...wszyscy biegną, wszyscy biegną... co za dziwny tłum. Dokąd? Po co?

– Pytasz, po co światowe *volo*?

– To nie *volo*, a raczej nogi ślizgają się, brzuchy się trzęsą. Nikt do niczego nie jest przywiązany. To – skating-ring, a nie życie.

(*nocą w łóżku*)

\* \* \*

43. Śmiech nie może niczego zabić. Śmiech może jedynie coś dodać.  
A cierpienie zwycięży wszelki śmiech.

(*o nihilizmie*)

\* \* \*

44. Technika, połączywszy się z duszą, dała jej wszechmoc. Ale zarazem ją stłamsiła. Pojawiła się „dusza techniczna” – *contradictio in adiecto*. I natchnienie umarło.

(*druk i w ogóle „wszystko to, co nowe”*)

\* \* \*

45. W moich czasach, za mojego życia, pojawiły się pewne nowe słowa: w 1880 r. ja sam siebie nazywałem „psychopata”, śmiejąc się i ciesząc z nowego słowa. Zdaje się, że od nikogo nie usłyszałem tego słowa. Potem (czasy Schopenhauera) wielu zaczęło tak nazywać siebie lub innych, później to słowo pojawiło się w gazetach. Teraz jest wręcz wyzwiskiem, ale pierwotnie oznaczało „chorobę ducha” w rodzaju Byrona – oznaczało poetów i filozofów. Werter był „psychopata”. – Potem, później, pojawiło się słowo „dekadent” i też byłem jednym z pierwszych. Szperk z dumą mówił o sobie: „Ja, ojczulku, jestem dekadentem”. To było jeszcze wcześniej, niż usłyszeliśmy to o Briusowie, a Bielyj jeszcze się nie urodził. – Teraz pojawiło się słowo „delikatny”, trzeba poszukać w książce „O rozumieniu”, gdyż w ideach „delikatności” i „nastroju”, z ostrą ich *świadomością*, z przyznaniem ich *ważności*, pisałem tę książkę.

Wszystkie te słowa, nowe w społeczeństwie i w literaturze, wyrażały – stopniowo – ogromne pogłębienie człowieka. Wszyscy nieco stali się „Maeterlinckami”, a w tym – istota. Zostali jednak „Maeterlinckami” wcześniej, niż usłyszeli o Maeterlincku.

\* \* \*

46. Zdumiewające, ale do trumny Tołstoja zbiegli się wszyscy Dobczyńscy z całej Rosji, a poza Dobczyńskimi nikogo tam nie było, zbili się w gromadę i nikogo nie przepuścili. „Pogrzeb Tołstoja” stał się więc „wystawą Dobczyńskich”.

Istota Dobczyńskiego – „żeby dowiedzieli się o mnie w Petersburgu”. Właśnie to jedno pragnienie zmusiło wszystkich do przybycia. Powstał jakichś „Związek Związków” i „Centralny Komitet 20-u Towarzystw Literackich”... O Tołstoju nikt nie pamiętał: każdy „związek” biegł, aby wskoczyć na mównicę i coś bełkotać, wszystko jedno, co – „Pokazać palcem na swoją pierś i

powiedzieć: Oto ja, Dobczyński, żyję, jestem współczesny wam i Tołstojowi. Podzielam jego myśli, zachwycam się jego geniuszem, ale proszę zapamiętać, że to ja – Dobczyński, proszę nie mylić mego nazwiska z jakimkolwiek innym”.

Nigdy nie było takiej hańby, nigdy literatura nie była tak nędzna. Nigdy nie była aż tak *pozbawiona współczucia*: można było współczuć Tołstojowi (ostatni dramat), można było o nim *pomyśleć*. Nic takiego nie miało miejsca. Nagle rozległy się okrzyki: „I ja wejdę na estradę!” Zaszumiało na ulicach. Jada, spieszą się: „Czy pan *będzie przemawiał?*” – „I ja będę przemawiał” – „Teraz *wszyscy* będziemy przemawiać”... „Być może, kiedy indziej nas by nie posłuchali, ale teraz na pewno wysłuchają i zapamiętają, że bródka w klin, twarz biaława i zamyślane niebieskie oczy”... „Ja jestem *Dobczyński, Siemion Piotrowicz*”.

Trwało to, zdaje się, dwa tygodnie. Przez te dwa tygodnie nikt nie poczuł się zawstydzony. Słowa „wystarczy” i „ciszej” rozległy się nie wcześniej, niż dwa tygodnie po jego śmierci. „Teraz zabłysnę *rozumem*”... Kolektywnie wszyscy błysnęli trywialnością – i to taką, jakiej nie było od Fonwizina.

Czy trzeba mówić, że wszyscy „mówcy” nie mieli *nic wspólnego* z Tołstojem? Byli mu całkowicie obcy, nawet wrodzy, właściwie uważali Tołstoja za swego wroga.

Całe życie on *walczył* właśnie z takimi ludźmi, o ich oświecenie, aby ich wszystkich *rozbudzić, wskrzesić, przemienić*...

I nagle coś takiego: *Finis coronat opus!*

Straszne.

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

47. Gdyby Dobczyński żył w bardziej „obywatelskiej epoce” – to mógłby być wyłącznie dziennikarzem, a raczej stać na czele czasopisma „literacko-politycznego”. Felietony do tego czasopisma pisałby Nozdriew... To w spokojnych czasach, w burzliwych Dobczyński biegałby z proklamacjami, a Nozdriew udawałby Rodiczewa. Kto wie, czy we dwójkę nie zrobiliby rewolucji. „Nie święci garnki lepią”...

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

48. Szatan skusił papieża władzą, a literaturę skusił chwałą...

Już Herostrates wskazał najwłaściwszą drogę „zachowania swego imienia dla potomności”... A literatura, która żyje wyłącznie trwogą o „zachowanie imienia w potomności” (Dobczyński) – typowa dla naszych dni, póki co „jeszcze kwiatuszki” – ma tylko Herostratesów.

Nikt tak łatwo nie odważy się spalić Rzymu, jak Dobczyński. Katylna zamyśli się. Maniłow będzie współczuł, Sobakiewicz nie odważy się, a Dobczyński pobiegnie co sił w nogach: „Boże! Przecież Rzym na mnie czeka,

po to się urodziłem, żeby spalić Rzym! Popatrz, publiko, i zapamiętaj moje imię”.

Oto istota literatury... jej dusza... „duszeńka”.

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

49. Czytałem o strasznym i pełnym cierpień życiu Gleba Uspienskiego („Russkaja Mysl”, 1911), którego „wykańczał” jakiś dług w wysokości 1 700 rubli, a potem „lichwiarka deptała mi po piętach, nie dawała spokoju ani w Moskwie, ani w Petersburgu”.

On był przyjacielem *Niekrasowa* i *Michajłowskiego*, którzy go szanowali i *kochali* (pisał mi o tym sam Michajłowski w liście).

Dlaczego więc *nie pomogli*? Cóż to za mroczna tajemnica? Prawie taka sama jak milionera Hercena w stosunku do Bielinskiego. Nie jestem obrońcą burżujów, nie interesuje mnie ich los, ale zdrowy rozsądek krzyczy we mnie: „Dlaczego ci fabrykanci *mają oddać robotnikom maszyny i fabryki* – kiedy nigdy nic nikomu *nie dali*: Hercen – Bielinskiemu, Michajłowski i Niekrasow – Glebowi Uspienskiemu”.

To jakiś „sąd ostateczny” nad wszystkimi doktrynami proletariackimi i nad całą ideologią proletariatu.

\* \* \*

50. Głodni jak byli głodnymi, tak dalej są głodni, dlatego rewolucja jest słuszna. Nie ma racji jako ideologia, a jako *nacisk*, jako *wola*, jako *rozpacz*. „Nie jestem *świętym*, być może, jestem gorszy od ciebie, ale jestem wilkiem, głodnym i nieszczęśliwym, głód uczynił mnie odważnym, a ty od tysiąca lat jesteś wołem, i jeśli kiedyś miałeś rogi i kopyta, żeby mnie zabić, to teraz jesteś stary i słaby, więc *ciebie zjem*”.

Rewolucja i „dawny ustrój” – to po prostu „niedołęstwo” i „siła”, ale to nie jest idea, *w żadnym wypadku to nie jest idea!*

Wszystkie teorie socjaldemokratyczne sprowadzają się do tezy: „Chce mi się jeść!” Cóż, teza jest słuszna. Przeciwno niej nawet „sam Pan Bóg nic nie powie”. „Kto dał mi żołądek, ma też obowiązek dać mi pokarm”. Kosmologia.

\*

Tak. A marzyciel odchodzi na bok, gdyż bardziej od pokarmu lubi swoje marzenie. W rewolucji nie ma nic z marzenia.

Być może dlatego, że nie ma w niej nic z marzenia, rewolucja się nie uda. „Zbitych naczyń będzie dużo”, ale „nowy budynek nie zostanie zbudowany”. Budowniczym może być tylko ten, kto jest zdolny do zrealizowania marzenia: budował Michał Anioł, Leonardo da Vinci, a rewolucja wszystkim im pokaże „prozaiczną figę” i zadusi już w dzieciństwie, w wieku 11-13 lat, kiedy widoczne staną się ich talenty. „Wy jesteście dumni, nie chcecie się *łączyć z*

*nami, dzielić...* Macie jakieś *inne dusze*, nie takie, jak my... Kolektyw, który dał życie waszym rodzicom i wam – gdyż bez kolektywu oni i ty zdechlibyście z głodu – teraz odbiera to, co do niego należy. Umierajcie!”

I „nowa budowla”, z cechami osła, rozwali się w trzecim lub czwartym pokoleniu.

\* \* \*

51. Wszelkiemu poruszeniu mojej duszy towarzyszy mowa. Wszystko, co mówię, natychmiast chcę zapisać. Jest to instynkt. Czyż nie z takiego instynktu zrodziła się literatura (pisana)? O druku nie ma nawet co myśleć, a tym samym Gutenberg przyszedł „potem”.

W Rosji literatura tak połączyła się z *drukiem*, że zapominamy, iż literatura istniała przed wynalezieniem druku i w istocie *nie dla* drukowania. Literatura rodziła się „dla siebie” (w milczeniu), a dopiero potem zaczęto ją drukować. Ale to jest po prostu – *technika*.

\* \* \*

52. Zabierzcie z *samej istoty* świata modlitwę – uczynicie tak, żeby mój język, mój rozum oddzielił się od modlitwy, żebym nie mógł się modlić, żeby ludzie *nie mogli* się modlić, a ja z wybałuszonymi oczyma i ze strasznym krzykiem wybiegłbym z domu i uciekał, uciekał, aż bym upadł. Bez modlitwy po prostu nie można żyć... Bez modlitwy – szaleństwo i przerażenie.

Można to zrozumieć wtedy, gdy się płacze... A jeśli ktoś nie płacze, nie płakał – jak mu to wyjaśnić? Nigdy nie zrozumie. A przecież jest wielu ludzi, którzy nigdy nie płaczą.

Jak mąż, który nie kocha żony; jak ojciec, który nie troszczy się o dzieci; żona go zdradziła – „machnął ręką”, syna wyrzucili ze szkoły – kłął na szkołę i znalazł inną. Proszę powiedzieć, co takiemu „pozytywiście” powie religia? On jedynie wzruszy ramionami i uśmiechnie się.

Tak – ale on to nie *wszyscy*.

Pozytywizm ma rację, jest potrzebny, a nawet wieczny, ale dla określonej *części* ludzkości. Pozytywizm jest potrzebny dla „pozytywistów”; istota nie w „pozytywizmie”, a w „pozytywiście”. Jak wszędzie – tak i w tym wypadku – człowiek jest wcześniejszy od teorii.

Tak...

Człowiek religijny jest wcześniejszy od wszelkiej religii i „człowiek pozytywistyczny” też urodził się znacznie wcześniej, niż Auguste Comte.

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

53. W „przyjacielu” została mi dana gwiazda-przewodniczka... Już 20 lat (od 1889 r.) idę za nią. Wszystko, co zrobiłem dobrego w tym czasie – to dzięki

niej, a wszystko, co jest we mnie złe – to jest moje. Byłem jednak uparty. Tylko serce płakało, kiedy oddalałem się od niej...

*(zajmując się numizmatyką)*

\* \* \*

54. Wszyscy jedynie się chwala, każdy ma tylko jeden problem: „Jaką rolę ja będę w tym odgrywał?” Jeśli nie będę miał żadnej „roli” – to „do diabła”.

*(zajmując się numizmatyką; o polityce i prasie)*

\* \* \*

55. Tak, wszystko jest takie samo – i oświecenie, i związek z ideami czasu... Ale trzeba zgromadzić majątek dla wnuków, duży i odpowiedni, dobrze o tym wiedzą córka i zięć. O głównym motywie życia milczymy i powołujemy się na to, co w istocie też jest motywem, dobrym i wspaniałym – ale nie jest to motyw najważniejszy.

*(jedna z najlepszych reputacji w Rosji)*

\* \* \*

56. Ileż piękna można znaleźć w człowieku i to tam, gdzie nawet się go nie oczekuje...

I ileż zła – także tam, gdzie się go nie oczekuje.

*(na ulicy)*

\* \* \*

57. Dbajcie o ducha, dbajcie o ducha, dbajcie o ducha! Patrzcie, przecież on się rozsypuje...

*(na ulicy Zagorodnej, wokół same prostytutki)*

\* \* \*

58. Rzecz w tym, że nasze talenty wiążą się z wadami, a cnoty – z grzechami. Spróbuj wyrwać się z tego „błędneho koła”.

W 99 na 100 wypadków „cnota” po prostu znaczy: „nie chcę”, „mnie się nie chce”, „niezbyt mi się chce”... „Biografia cnoty” lub „epoka dobrych obyczajów” (w historii) to po prostu osoba dość pozbawiona wyrazu, a czas jest właściwie „pozbawiony czasu”. Wszyscy pragnęli bardzo mało. *Merci.*

\* \* \*

59. Mnie jest źle i samemu, i wśród ludzi. Nie jestem ani samotnikiem, ani społecznikiem. Kiedy jednak jestem sam – jestem w pełni sobą, a kiedy jestem wśród ludzi – nie jestem w pełni sobą. Samemu jest mi jednak lepiej.

\*

Samotnemu jest lepiej, gdyż wtedy jest z Bogiem.

\*

Mógłbym zrezygnować z talentów, z literatury, z przyszłości mego *ja*, ze sławy lub uznania – zbyt wiele mógłbym: ze szczęścia, z pomyślności... nie wiem. Ale z Boga nigdy nie zrezygnuję. Bóg jest dla mnie najważniejszy. Z Bogiem nigdy nie jest nudno i zimno.

Ostatecznie – Bóg jest moim życiem.

Ja żyję tylko dla Niego i przez Niego. Poza Bogiem – ja nie istnieję.

Kim Bóg jest dla mnie?... Czy lękam się Boga? Wcale. Czy dlatego, że będzie mnie karał? Nie. Czy dlatego, że da życie wieczne? Nie. Czy dlatego, że mnie karmi? Nie. Czy dlatego, że przez Niego istnieję? Nie.

To kim On jest dla mnie?

Moim wiecznym smutkiem i radością. Szczególną, niemającą do niczego odniesienia.

A może Bóg jest „moim nastrojem”?

Kocham tego, kto zmusza mnie do smutku i radości, kto ze mną rozmawia, czyni mi wyrzuty i pociesza mnie.

To jest Ktoś. Osoba. Bóg dla mnie to zawsze „On” lub „Ty” – zawsze bliski.

Mój Bóg jest szczególny. To jest tylko *mój* Bóg i nikogo więcej. A jeśli jest jeszcze Bogiem kogoś innego – to nic o tym nie wiem i nie interesuję się tym.

„Mój Bóg” jest moją nieskończoną intymnością, moją nieskończoną indywidualnością. Intymność przypomina lejek lub nawet dwa lejki. Od mojego „ja społecznego” ciągnie się lejek zwężający się do punktu. Przez ten punkt przebiega tylko jeden promień – od Boga. Za tym punktem drugi lejek, ale ten się nie zwęża, a rozszerza w nieskończoność. „Tam – Bóg”. A więc Bóg

1) jest i moją intymnością,

2) i moją nieskończonością, w której nawet świat jest tylko cząstką.

\* \* \*

60. Sam ciągle wyzywam Rosjan. Właściwie tylko to jedno robię, wyzywam Rosjan. „Przenośny Szczedrin”. Dlaczego więc nienawidzę każdego, kto także wyzywa Rosjan? Nawet nienawidzę tych, którzy nienawidzą Rosjan i gardzą nimi.

A przecież, co jest bezsporne, strasznie gardzę Rosjanami. Anomalia.

*(zajmując się numizmatyką)*

\* \* \*

61. Na polemice z P. S. Zarobiłem 300 rubli. To 1/3 wartości tetradrachmy Antiocha VII Grippa, z Ateną Palladą w otoczeniu faunów (2 400 franków). Nurribej sprzedawał poza tym tetradrachmę z Afrodytą pomiędzy lwem i

bykiem, która siedzi na tronie i *wącha kwiatek*. Tej tetradrachmy nie mogłem zdobyć (obie – *unikalne*).

\* \* \*

62. Od początku świata były dwie filozofie: filozofia człowieka, któremu z jakiegoś powodu chce się komuś dać w skórę oraz filozofia człowieka, któremu dano w skórę. Cała filozofia rosyjska to – filozofia człowieka, któremu dano w skórę. A filozofia zachodnia od Manfreda do Nietzschego cierpi na sołogubowski niepokój: „Komu by tu jeszcze dać w skórę?”

Nietzschego czczono dlatego, że był Niemcem, a przy tym cierpiącym (choroba). Gdyby jednak *Rosjanin* i to *w swoim imieniu* powiedział: „Tego, co upada, *trzeba popchnąć*” – nazwano by go łotrem i nie chciano by czytać jego traktatów

(po przeczytaniu artykułu *Piercowa* „*Między starym i nowym*”)

\* \* \*

63. Zwycięstwo Platona Karatajewa jest znacznie poważniejsze, niż dotychczasowe jego oceny. Jest to w istocie zwycięstwo Maksyma Maksymowicza nad Pieczorinem, to znaczy zwycięstwo jednego z dwóch ogromnych prądów literackich nad wrogim prądem... Wiele spraw mogłoby się nie wydarzyć... Jednak Tołstoj życie oddał za „Maksyma Maksymowicza” (Mikołaj Rostow, artylerzysta Tuszyn, Platon Karatajew, filozofia Piotra Bezuchowa, która stała się filozofią samego Tołstoja. Zasada „niesprzeciwiania się złu” nie jest ani chrześcijańska, ani buddyjska, to żywioł rosyjski, „bezkresna natura” wschodnioeuropejskiej równiny. Jedyni buntownicy rosyjscy to „nihiliści” i interesujące jest, jak się to wszystko skończy, to znaczy jak się skończy jedyny bunt rosyjski. A to wyjaśnia moc, znaczenie i trwałość nihilizmu. „Trzeba gdzieś się zbuntować”, a 80 milionowy naród, oczywiście, powinien się „pobuntować”. Kości są już zmęczone od ciągłego „znoszenia” wszelkich niewygód życia.

\* \* \*

64. Boże mój! Wieczności moja! Dlaczego moja dusza tak skacze, kiedy myślę o Tobie...

Wszystko trzymasz w swojej ręce, a że mnie w niej trzymasz – ciągle to odczuwam.

(noc na 25 grudnia 1910)

\* \* \*

65. Tracę oddech z powodu natłoku myśli. Jakże przyjemnie jest żyć z takim traceniem oddechu. Oto dlaczego moje życie pomimo cierni i łez jest jednak szczęśliwe.

\* \* \*

66. Nawet głupi człowiek może mnie „wodzić za nos”, choć wiem, że on jest głupi i prowadzi mnie ku zgubie, a w końcu „ku wiecznej zgubie”, a ja mimo wszystko będę za nim szedł. Muszę jednak zauważyć, że ½ takich wypadków, „kiedy wodzą mnie za nos” wiąże się z moją niemożliwością powiedzenia temu człowiekowi – „głupek” oraz „ty mnie oszukujesz”. Ani razu w życiu tego nie powiedziałem. Tylko dlatego, żeby bliźniego nie postawić w przykrych sytuacji, więc sprawiaam wrażenie, niekiedy przez całe lata, że wszystkie jego uwagi są bardzo mądre, że on jest *comme il faut* i dba o mnie. Jeszcze ¼ wypadków odnosi się do mojej głębokiej (od dzieciństwa) obojętności w stosunku do życia (z wyjątkiem niebezpieczeństwa). Tym samym ¼ jest przejawem minusa i bezwolności – bez żadnych wyjaśnień.

.....  
Inna sprawa – marzenie: w tym wypadku nie poddaję się żadnym wpływom, nigdy i nigdzie, od dzieciństwa. W tym sensie byłem człowiekiem, który „nie poddaje się wychowaniu”, a także „wpływowi kulturalnym”.

Prawie proporcjonalny brak *woli życia* (realizacji), natomiast upór *woli marzenia*. I to upór stały, ciągły... Tu „nie drgnę nawet na centymetr” i „nikomu nie ustąpię”.

Natomiast pozornie – wszystkim się poddaję.

W sobie samym (podmiot) jestem *absolutnie niezależny*, „nie zgadzam się”. Jakby to była jakaś „gwara”.

\* \* \*

67. Przypominam dziecko w łonie matki, które wcale nie chce się urodzić. „Mnie tu jest dobrze”...

\* \* \*

68. Bóg powołał Abrahama, a ja sam powołałem Boga... Oto różnica.

\* \* \*

69. Żaden biblista nie rozpatrzył tego *szczegółu i osobliwości opowieści biblijnej*, że to przecież nie Abraham *szukał* Boga, a Bóg *chciał* Abrahama. W Biblii powiedziano przecież jasno, że Abraham *długo unikał zawarcia przymierza*... Uciekał, ale Bóg go pochwycił. Wtedy Abraham odpowiedział: „Teraz będę Tobie wierny, ja i moje potomstwo”.

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

70. O niczym tak nie marzyłem, jak o poniżeniu. „Sława” niekiedy mnie radowała – ale było to zadowolenie prosiaka. Nigdy zresztą nie trwało długo (dzień, dwa), a potem powracała tęsknota, aby zostać poniżonym).

(na odwrocie ulotki)

\* \* \*

71. O swojej śmierci: „Trzeba, żeby ten *brud* został wymieciony ze świata”. Kiedy nadejdzie ta chwila, że „*trzeba*” – wtedy umrę.

(na odwrocie ulotki)

\* \* \*

72. Nie jestem potrzebny, o niczym nie jestem tak przekonany, jak o tym, że *nie jestem potrzebny*.

(na odwrocie ulotki)

\* \* \*

73. Mili, mili ludzie! Iluż Was, takich pięknych, spotkałem na swojej drodze. Pierwsza była Julia, prosta, pełna ofiarności. Ale jak gwiazda wśród innych gwiazd – moja jest „bezimienna”... „Bóg nie dał mi twego nazwiska, a poprzedniego nie chcę nosić dlatego, że...”. Podpisywała się więc pod listami tylko swoim imieniem. Śmiałem się: „Przecież tak podpisują się caryce i wielkie księżniczki”. Ona nie rozumiała, nie sprzeciwiała się i dalej podpisywała się tylko swoim imieniem: „W...”. Od tego imienia utworzyłem jeden ze swoich pseudonimów.

(na odwrocie ulotki)

\* \* \*

74. Literatura jest najohydniejszym rodzajem handlu. Podwójnie ohydny, gdyż przyplątało się do niej trochę *talentu*. A rzeczy, którymi się handluje, są po prostu wartościami duchowymi.

(na odwrocie ulotki)

\* \* \*

75. Ponizenie po kilku dniach zwykle przemienia się w taką radość duchową, z którą niczego nie da się porównać. Można powiedzieć, że niektóre, a przy tym największe *oświecenia* duchowe, są nieosiągalne bez wcześniejszego ponizenia. Tym samym niektóre „absolutne wartości” na wieki pozostały ukryte dla tych, którzy wiecznie triumfowali, zwyciężali, zawsze byli górą.

Jakże wulgarny, a *przez to także nieszczęśliwy* był Napoleon... Po Jenie był bardziej godzien współczucia, niż ubogi *sprawiedliwy*, któremu w bogatym domu powiedziano: „Bóg ci pomoże”.

Czyż nie na tej tajemnicy powszechnego psychologizmu (jeśli on w ogóle istnieje) bazuje fakt, że w końcu „On zechciał pocierpieć?...”.

Czyż nie jesteśmy lepsi po cierpieniu?... Czyż nie na tym bazuje w demokracji „wygrana bez przegranych”?... Ono nie rodzi się przecież „w

złotych pieluszkach” moralności; „z grzechem”, jak i wszystko. Jest to jednak taka sytuacja, że aureola moralności przyciąga wszystkich...

(na odwrocie ulotki)

\* \* \*

76. Prawda jest ważniejsza od słońca, ważniejsza od nieba, ważniejsza od Boga, gdyż jeśli Bóg zaczyna się od nieprawdy – to On nie jest Bogiem, niebo – trzęsawisko, a słońce – naczynie miedziane.

(na odwrocie ulotki)

\* \* \*

77. Bóg na wieki wieków wskazał człowiekowi, *gdzie* można się z nim *spotkać*.

„Nie szukaj mnie w lesie, ani na polu, ani na pustyni”, ani – „na szczycie góry”, ani – „w dolinie nisko”, ani – „w wodach, ani pod ziemią”, a tam... *gdzie* zawarłem przymierze „z ojcem waszym Abrahamem”.

Zdumiewające. Gdzie to jednak zaprowadzi rozmyślającego, poszukującego, domyślającego się?

W tym wypadku jakże jest *zrozumiałe*, dlaczego a-seksualni ludzie są równocześnie a-teistami: oni „nie spotykają się z bogiem”, „nie widzieli”, „nie słyszeli”, „nie wiedzą”.

\* \* \*

78. Dusza jest *cierpieniem*.

Stąd słowa: „Ja jestem ogniem pożerającym” (Bóg o sobie w Biblii).

Stąd: Talent rośnie, kiedy rośnie cierpienie. Talent jest cierpieniem.

(nocą, jadąc dorożką)

\* \* \*

79. – Głosujcie, Wasylu Wasiljewicz, na oktyabristów – krzyczał Borys, paląc papierosa.

– Twoi oktyabryści, Boria, są bałwanami, ale ponieważ twoja żona ma za-dzi-wia-ją-ce plecy, a twoja siostra jest niewinna i niedostępna, to zagłosuję na nich.

I zagłosowałem (do 3 Dumy), skoro nie mogłem znaleźć mieszkania dra Sokołowa (szef socjaldemokratów w Petersburgu) gdzieś na prospekcie Greckim, a przekłętą „kartę”, oczywiście zgubiłem tego samego dnia, gdy ją dostałem.

\* \* \*

80. – Cóż za wydarzenia! Co za wydarzenia! Napisałby pan coś, Wasylu Wasiljewiczu o tych wydarzeniach – powiedział sekretarz „naszej redakcji”, najmilszy M. I. Afanasjew, chodząc po pokoju.

Ma on żonę Francuzkę, w ogóle nie mówi po rosyjsku. Nie rozumiem, jak oni mogą się porozumieć „w patetycznych chwilach”, przecież nie można w całkowitym milczeniu...

– „Co to za wydarzenia, do diabła?” Szukam „tematów dla artykułów”. Czytając gazety zwracam uwagę na to, co napisano małym drukiem, ale po co czytać te „wstępniaki”, na które trzeba tracić cały dzień?

– Jakież to „wydarzenia”, Mikołaju Iwanowiczu?

– Co takiego? – odpowiada od drzwi – o „wolności wyznania, o likwidacji niektórych podatków”, weryfikacja wszystkich praw.

– To rzeczywiście, są „wydarzenia”, jeśli się chce, to można napisać dowolną ilość wstępniaków.

Było to w tym czasie, gdy szaleli Hapon i Witte. Mnie się zdawało, że nic szczególnego się nie dzieje. Ale to pełne zadumy mamrotanie „Cóż za wydarzenia” – jakby mnie kto w głowę uderzył.

\* \* \*

81. Zdumiewające, ale niekiedy ze wszystkich sił chcę zbadać jakieś „wydarzenie”, a nawet piszę o nim artykuły, wypowiadam jakieś znaczące myśli i równocześnie *nie widzę* tego wydarzenia, *nie znam*, nie mam na jego temat jakiegoś określonego poglądu – sam nie wiem. Ucieszyłem się (w duszy), kiedy *własnym uchem* usłyszałem *swoje* słowa:

– Panowie! Powinniśmy się cieszyć nie dlatego, że manifest został ogłoszony, a dlatego, iż *nie mógł nie być ogłoszony*, po prostu *zdobyliśmy* ten manifest!

Kiedy Stołypin (A. A.) wszedł do pokoju, w którym byliśmy i powiedział, że „Imperator podpisał manifest” (17 października)... wszyscy oszaleli z radości i polecieli podać szampana. Właśnie wtedy poczułem, że znajduję się w uroczystym nastroju (wprost odczuwałem ciepło w piersi) i powiedziałem właśnie te słowa, które przecież dotyczyły istoty wydarzenia...

Tymczasem nawet nie przyszło mi do głowy, że chodzi o konstytucję. Kiedy poszedłem do domu, to myślałem jedynie o tym, że ze trzy dni – a może i pięć – można będzie odetchnąć i nie pisać artykułów. Po przyjściu do domu powiedziałem, że jutro i pojutrze nie muszę iść do redakcji. Zgodnie z tym postanowieniem poleciłem przygotować świeżą bieliznę i udałem się do łaźni, aby poleżeć na półce w gorącej parze, „odłożywszy wszystkie troski” (w swoim rodzaju mój „Hymn Cherubinów”)... A wieczorem zajmowałem się jakimiś papierami, monetami, herbatą.

Nagle *pojutrze* dowiaduję się, że *wczoraj* po Newskim Prospekcie maszerowali z czerwonymi flagami!!!... *pierwszy raz* w historii Rosji „pod opieką policji”... Niepowtarzalna chwila, niepowtarzalne odczucia, niepowtarzalne przeżycie.

Przecież to *rozumiem*.

O, tak!!!

A ja „leżałem w parze”. Mam jakieś opóźnienie w przeżywaniu wydarzeń ja będę żył tymi „wydarzeniami” – i to *głęboko, jak rzadko kto* – za trzy lata, kilka miesięcy po tym, jak je widziałem. A kiedy *widziałem* – to nic nie myślałem na ten temat. Myślałem o tym (gorąco), co było *trzy lata temu*. Tak jest zawsze, już od młodości, od dzieciństwa.

\* \* \*

82. Narody, jeśli chcecie, to powiem wam niezwykłą prawdę, o jakiej nie mówił wam żaden z proroków...

– No? No?... Ch...

– Głoszę, że życie prywatne jest ważniejsze od wszystkiego.

– Cha-cha-cha!... Cha-cha-cha!... Cha-cha!...

– Tak, tak! Nikt tego jeszcze nie powiedział, ja – jestem pierwszy... Po prostu siedzieć w domu, dłużyć w nosie i patrzeć na zachód słońca.

– Cha, cha, cha...

– Hej, przecież to jest *popularniejsze* od religii! Wszystkie religie przeminą, a to jedno pozostanie: po prostu siedzieć na krześle i patrzeć w dal.

(23 lipca 1991)

\* \* \*

83. Boże, Boże, dlaczego o mnie zapomniałeś? Czy Ty nie wiesz, że za każdym razem, kiedy Ty o mnie zapominasz, jestem zagubiony.

(z doświadczenia)

\* \* \*

84. ...Odgadłem treść tetragramu, Boże, odgadłem! To nie było *imię*, jak „Paweł”, „Jan”, to było wezwanie i było ono nawet wygłaszane *przez to samo indywiduum* nie zawsze (absolutnie) jednakowo, a nieco zmieniało się w odcieniach, w przydechach... Nie było też tak samo wymawiane przez różnych arcykapłanów. Właśnie z powodu niestałości wymawiania ostatecznie „tajemnica wymawiania” zagubiła się w ciągu wieków. Pobożni Żydzi na pewno dzisiaj niekiedy wymawiają to wezwanie, ale nie wiedzą – kiedy. Odpowiada też mojemu domysłowi ten fakt, że jeśli „ktoś *umie wygłosić tetragram* – rządzi światem”, to znaczy przez Boga. Rzeczywiście, tajemnica tego wezwania zamyka się w tym, że Bóg *nie może nie odezwać się na to wezwanie*, i natychmiast „*tu się zjawia*” z całą swoją mocą. Do świadomości Żydów z przenika tajemnica, że nie tylko *im* potrzebny jest Bóg, ale także *oni* potrzebni są Bogu. Stąd pycha etnograficzna i religijna, i to, że nie zawsze *proszą* Boga, a często *żądadają* coś od Niego...

Wszystko to zawarte jest w wezwaniu-westchnieniu... Składało się ono wyłącznie z samogłosek z przydechami.

\* \* \*

85. Tolstoj przeżył niezwykle głęboko trywialne życie... Nigdy mu to nawet nie przyszło do głowy.

Żadnego cierpienia, żadnej „korony cierniowej”, żadnej heroicznej walki o przekonania, a nawet brak jakichś interesujących przygód. Pełna trywialność.

\*

Tak, przygody „ze swoimi ideami”... No, ale to jest – *entourage* literacki, ta sama trywialność, ale spryskana perfumami.

\* \* \*

86. Wydaje mi się, że Tolstoj był mało lubiany i miał tego świadomość. Wokół niego nie rozległ się, przy śmierci i nawet za życia ani jeden „nagły i udręczony krzyk”, nie było żadnego „szaleńczego wyczynu”, w którym rozpoznaje się autentyczne przywiązanie. „Wszystko było w najwyższym stopniu rozsądne”, a właśnie to jest pieczęcią trywialności.

\* \* \*

87. Nie jestem jeszcze tak podły, żeby myśleć o moralności. Minęło milion lat, zanim moja dusza została wypuszczona przez Boga w świat, aby pohulać, a tu by jej nagle powiedziano: Ty, duszyczko, nie zapominaj się i pohulaj sobie „zgodnie z moralnością”.

O, nie! Ja jej powiem: Hulaj duszyczko, hulaj sławna, hulaj najmilsza, hulaj jak sobie chcesz. A wieczorem pójdziesz do Boga.

Moje życie jest bowiem moim dniem, właśnie *moim dniem*, a nie Sokratesa lub Spinozy.

(w wagonie)

\* \* \*

88. Dobrze jest poruszać się z zapasem wielkiej ciszy w duszy, na przykład podróżować. Wtedy wszystko wydaje się jasne, rozumne, wszystko daje dobre wyniki.

A „siedzieć na miejscu” dobrze jest z zapasem ogromnego ruchu w duszy. Kant całe życie „siedział na miejscu”, ale w jego duszy było tak dużo ruchu, że od tego „siedzenia” poruszyły się całe światy.

\* \* \*

89. „Szczęście w wysiłku” – mówi młodość.

„Szczęście w spokoju” – mówi śmierć.

„Wszystko przewyciężone” – mówi młodość.

„Tak, wszystko się kończy” – mówi śmierć.

(w wagonie)

\* \* \*

90. Nawet nie wiem, jak się pisze słowo „moralność”.

\*

Nie wiem, kto był jej ojcem, nie wiem – kim była matka, czy miała dzieci, gdzie jej adres – nic nie wiem.

(w wagonie)

\* \* \*

91. Mereżkowski zawsze tworzy z cudzego materiału, ale z poczuciem, że jest on jemu pokrewny. W tym jego honor i wspaniałomyślność.

Z tego powodu moje idee wywarły na Michajłowskim wrażenie *śmiesznych* i on powiedział „To jak u Kify Mokijewicza”, a na Mereżkowskim wrażenie *tragicznych* i on powiedział: „To takie samo wrzenie, jak u Nietzschego, to – koniec, lub przynajmniej straszne *niebezpieczeństwo* dla chrześcijaństwa”. Dlaczego? Mereżkowski poznał swoim rozumem to, czego nie zrozumiał Michajłowski z powodu bezsily swego umysłu – umysłu zbyt leniwego, aby poznawać *cudze tematy*, tematy *nie ze swojego obozu*. Równocześnie pojęcia „rodzina” i „gatunek”, na których wszystko buduję, są dla Mereżkowskiego jeszcze bardziej obce, niż dla Michajłowskiego, a *nawet wrogie* Mereżkowskiemu.

A jednak Mereżkowski uchwycił duszą – nie sercem i nie umysłem, a całą duszą – tę moją myśl, uczynił ją pokrewną sobie, porównał ze światem chrześcijańskim, z istotą tego świata – ascezą – i ogarnął całe światy. W ten sposób „odkrył rodzinę” dla siebie, odkrył ją wewnątrz – po wstrząsie, dzięki moim wskazówkom. Jest to w pełnym znaczeniu jego „odkrycie”, nowe dla niego, w pełni i bezwarunkowo jego samodzielne odkrycie (dlaczego Michajłowski tego nie odkrył?). Dałem kompas i powiedziałem, na przykład, że „na Zachodzie są jakieś kraje”. A on odkrył Amerykę. W tym wypadku przyswajaniu idei innych ludzi jest jego wielkoduszność. Bóg go za to wynagrodzi.

(w wagonie)

\* \* \*

92. O, moje smutne „doświadczenia”... Dlaczego chciałem *wszystko poznać*? Teraz już nie umrę spokojnie, jak miałem nadzieję...

(1911)

\* \* \*

93. „Człowiek o wielu sprawach mówi interesująco, ale z apetytem – tylko o sobie” (Turgieniew). Początkowo śmialiśmy się z tego wyrażenia, jako z bardzo udanego... Ale potem (po roku) stało się nam smutno: biedny człowiek, chcą mu nawet odebrać prawo mówienia o sobie. On nie tylko boleje, ma taką

potrzebę, ale... ma o tym *milczeć*. Aforyzm Turgieniewa, który chciał zdemaskować cynizm człowieka, sam wydaje się być cyniczny.

Natomiast ja, przeciwnie, zauważyłem, że *dobrych* od *złych* najlepiej odróżnić po tym, jak wysłuchują opowieści innych ludzi o sobie. Słuchają z ochotą i nie nudzą się – to oznaka, że są to dobrzy i prostolinijni ludzie. Można się z nimi zaprzyjaźnić. Można im zawierzyć. Nie należy jednak mieć nadziei na zaprzyjaźnienie się z człowiekiem, który nudzi się, gdy was słucha: taki człowiek myśli tylko o sobie i jest zajęty tylko sobą. Równie dobrą oznaką jest opowiadanie *o sobie*: człowiek czuje w otaczających go ludziach braci. Opowiadanie innym o sobie jest wyrazem sympatii do innych.

Ze smutkiem przyznaję się, że nie lubię ani słuchać, ani opowiadać. Nawet nie *umiem* tego czynić. Jest to oznaka, na podstawie której uważam, że jestem złym człowiekiem.

\*

Szperk powiedział mi pewnego razu: „Nie w pańskich zamiarach i nie w pańskich ideach – ale po prostu *w panu* jest coś niedobrego, jakiś nieczysty dodatek, coś mętnego w organizacji ciała lub w krwi. Nie wiem, co to jest, ale czuję to”. Szperk bardzo mnie lubił (wydaje mi się, że nawet bardziej od innych ludzi, poza najbliższymi). Był bardzo przenikliwy, znał „korzenie rzeczy”. Jeśli powiedział coś takiego, jest to prawda.

\*

To, co jest w nas złe, jest naszym fatum. Trzeba jednak znać *miarę* tego fatum, jego *ukierunkowanie* i „określić według stopni”, jak się mówi o termometrach, które też oszukują, ale uczeni dają sobie z tym radę, wnoszą poprawki.

Czy chciałbym być tylko dobrym? Byłoby nudno. Nie chciałbym jednak za nic w świecie być złym, szkodliwym. Wolałbym umrzeć. Jednak w życiu zawsze byłem strasznie niezgrabny. Jest we mnie straszne kalectwo zachowania się, aż takie, że nie wiem, jak się „wstaje” i „siada”. Po prostu nie wiem – *jak*. Nie wiem też, *co* jest lepsze (usiąść, wstać, zacząć rozmowę). Nie mam żadnej świadomości horyzontów. Z tego powodu w życiu im bardziej zbliżałem się do ludzi – tym bardziej byłem dla nich niewygodny, ich życie stawało się po prostu nieznośne. Z mego powodu wielu ludzi bardzo cierpiało, bez mojej woli.

To jest – fatum.

\*

O problemie niestosowności człowieka. Stoję w kaplicy przy maleńkim skwerze obok cerkwi Włodzimierskiej, na petersburskiej stronie. Może stoję w samej cerkwi – zapomniałem – to było 14 lat temu. Zauważam, że nic nie słyszę z tego, co czytają i śpiewają – nie słucham. A przecież przyszedłem z *zamiarem* słuchania i modlenia się. Wtedy pomyślałem: „Jestem *cudzoziemcem* – na

każdym miejscu, w każdej chwili, gdzie bym nie był i kiedy bym nie był”. Wszystko jest mi obce, z jakąś dziwną, zapisaną we mnie obcością. Co bym nie robił, kogo bym nie widział – z niczym nie mogę się połączyć. W sensie duchowym jestem człowiekiem, „który się nie łączy”. Jestem człowiekiem – „solo”.

Wszystko to wyraziłem słowem „cudzoziemiec”, które wyszeptalem jako największe osądzenie siebie samego, jako największy smutek nad sobą, w sobie.

To także – fatum.

„Jakimi się rodzimy – takimi i do mogli”. W tym wypadku działają jakieś szczególne prawa poczęcia. Dziedziczenie. Jakiś błysk myśli, tuman myśli lub *bezmyślności* rodziców, gdy mnie poczynali: w dziecku pozostało to na zawsze.

„Nieuniknioność”...

„Cudzoziemiec”... „Gdzie się uszczypniesz, tam cię *zaboli*” – czy to nie z tego powodu tak nieskończenie lubię ludzkie przywiązanie, ludzi związanych ze sobą, kochających się, pieszczących. W tym wypadku mój patos rozbija wszystkie przeszkody: niczego tak nienawidzę, niczemu nie jestem tak wrogi, jak temu, co *dzieli* ludzi, przeszkadza im się *połączyć*, stać się „jednym”, na długo, na jakiś czas – i nawet nie zadaję pytania. Oczywiście – najlepiej na wieczność, a jeśli się nie da, to chociaż na jakiś czas. Jest to dobroć, ale czyż nie jest godne uwagi, że wynika ona z braku dobroci, z osobistego nieszczęścia, skazy. Oto związek rzeczy. I jak tu nie powiedzieć: „Los! Fatum!”.

\* \* \*

94. Z jakim smutkiem czytałem (sierpień 1911) artykuły Izgojewa o uniwersytecie... Autor nigdzie nie napisał: „Strajki to ohyda”, chociaż to odczuwa, ma tego świadomość, ale mówi „ezopowym językiem”... Dlaczego nie powie tego *wprost*? Studenci są jeszcze dziećmi i jeśli on wyraźnie nie powie „ohyda”, to na pewno wyprowadzą wniosek: „On też *popiera strajki*”. Dlaczego więc wprowadzać młodzież w takie oszustwo?

Skąd taka bojaźń?

Jakaż ciemność wokół młodzieży, jak mało można ją winić za to, że „straciła głowę” i pędzi w przepaść, czemu towarzyszą oklaski prasy.

Podła prasa.

I ciągle ten lament – „Kasjo jest winny”. Kasjo to tylko jeden prenumeratorem „Myśli Rosyjskiej”, a „mający związek z uniwersytetem” czytelnicy – to *tysiące* prenumeratorów. Z powodu kilku setek rubli, a nawet dwóch-trzech tysięcy rubli, popełnia się w stosunku do młodzieży przestępstwo.

Spośród autorów „Drogowskazów” tylko dwóch – Gersenson i Bułgakow – mnie nie rozczarowało.

Cóż to za nieszczęsne zajęcie – pisać artykuły o polityce. Jak tu nie popaść w fałsz? A przecież dusza jest nieśmiertelna. Jak religia jest ważniejsza od polityki.

\* \* \*

95. Na tle życia przechodzili różni „wstrząsacze” głów: zieloni, żółci, brązowi, w czarnym kolorze...

B. wszystkich ich opisał: jak każdy z nich szedł, jak jedli swoje obiady, czy mówili sepleniąc czy też nie seplenili.

Równocześnie po kątach „tła” siedziały milczące postacie. Miały zamysłone oczy... Ale B. żadnej z nich nie zauważył.

(O Boborykinie)

\* \* \*

96. Czy wiecie, że religia jest najważniejsza, pierwsza, najpotrzebniejsza? Kto tego nie wie, to nie ma co zaczynać rozmowy i sporów.

Obok kogoś takiego należy przejść *obojętnie*. Przejść w *milczeniu*.

Któż jednak o tym wie? Czy wielu? Oto dlaczego w naszych czasach *nie ma o czym i nie ma z kim rozmawiać*.

\* \* \*

97. Związek płci z Bogiem jest większy, niż związek rozumu z Bogiem, większy nawet niż związek sumienia z Bogiem, a z tego wynika, że wszyscy ludzie a-seksualni są zarazem a-teistami. Tacy panowie, jak Bockl, Spencer, Pisariew lub Bielinski, którzy na temat „płci” powiedzieli nie więcej słów, niż o Republice Argentyny, i nie rozmyślali o płci, byli równocześnie zdumiewającymi ateistami, jakby przed nimi i wokół nich nie było żadnej religii. Są to ludzie dosłownie „nieochrzczeni” w jakimś dziwnym, szczególnym sensie. Istota „przewrotu Maeterlincka” przed 20-30 laty polegała na tym, że wielu ludzi zaczęło „patrzeć *na korzeń*” nie w sensie prutkowskim, a rozanowskim: wszyscy zaczęli się interesować płcią, *swoją własną* płcią. Prawdopodobnie coś dokonało się w nasieniu (i jajeczku): teraz rodzą się *inni ludzie*, niż 60-70 lat temu. Rodzi się „nowa generacja”... Pewna rozumna matuszka (A. A. A-owa) powiedziała: „Obecnie przełom w duchowieństwie przejawia się w tym, że dużo *młodych matuszek* cierpi na bezpłodność” Ona nie dopowiedziała tego, co usłyszałem od niej po roku, a mianowicie, że „to nie żony kapłanów nie poczynają, to *ich mężowie nie mają siły poczyć w nich nowe życie*”. Zdumiewające.

Coś w tym rodzaju dokonało się w całej „generacji Maeterlinckowej”. Dokonało się nie w sposobie myślenia, a w płci – a *dopiero potem w sposobie myślenia*.

\* \* \*

98. Czy chcę, żeby moja nauka rozprzestrzeniła się?

Nie.

Byłoby wiele nieporozumień, a ja tak lubię spokój... i zachód słońca, i łagodny wieczorny dzwon.

\* \* \*

99. Nie znoszę tych wad, których sam nie mam. Natomiast moje *własne wady*, kiedy spotykam je u innych, wcale nie są mi niemiłe. Nigdy bym ich nie osądził.

Oto *granica* wszelkiego osądzania, to znaczy na ile może być ono „kompetentne” lub „niekompetentne”, na ile można „opierać się na nim”. Wszyscy mamy „swoje ogony”, ale są one zwrócone w różne strony.

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

100. Wszystko, co jest szlachetne w moich utworach, nie pochodzi ode mnie. Ja potrafiłem, jak kobieta, przyjąć to i wypełnić. Wszystko to należy do znacznie lepszego ode mnie człowieka.

Mój rozum i serce wyrażały się tylko w tym, że zawsze mogłem innego człowieka uznać za lepszego od siebie. Zawsze było to łatwe, nawet dawało szczęście. Chwała Bogu, nie ma we mnie w ogóle zazdrości, podobnie „konkurencja” zawsze była mi obca, niepotrzebna, daleka.

\* \* \*

101. Ciągłe coś robi, coś zamierza...

(Żyd)

\* \* \*

102. Rodzina jest najbardziej arystokratyczną formą życia... Tak! – pomimo nieszczęść, błędów, „przypadków” (przecież „przypadki” bywały nawet w historii Kościoła), jest to jedyna arystokratyczna forma życia.

Szewc mający rodzinę jest nie tylko szczęśliwszy, ale także „bardziej wielmożny” od ministra, który „wydaje nie mniej niż 500 rubli przy każdym wykładzie” („na herbatę” dla czeladzi – słowa I. I. T. do mnie). Jakże więc można kogoś pozbawiać tej arystokratycznej formy życia? A Kościół nierzadko jej pozbawia („zakazy”, „epitymie”, „stopnie pokrewieństwa” – siódma woda po kisielu). Jest godne uwagi, że „ta księga” zaczyna się od rozwodu: „*Nie tę kobietę, co trzeba, masz za żonę*” – „A tobie co do tego? Ja na tobie nie liczyłem wszy na pustyni”. Oto gdzie zaczęło się rozbieżenie podstawowych słów. Mojżesz nie „rozwiązał” żadnego małżeństwa, Ezdrasz „nakazał opuścić żony Babilońskie, za co jest tylko „Ezdraszem”, a nie świętym, lub prorokiem.

Temu Ezdraszowi wytarłbym nos chustą kostromską. Nie *odważ się* rozwiązywać małżeństw. To nie jest zgodne z wolą Bożą. Nasienie Izraela przyjęły, a „oderwać *mnie* od łona z *moim* nasieniem” – to jest *dzieciobójstwo*.

\* \* \*

103. Już 20 lat żyję w nieustannej poezji. Uważnie obserwuję, chociaż milczę. Nie pamiętam takiego dnia, w którym bym nie zauważył czegoś głęboko poetyckiego, a widząc coś lub słysząc (uchem w czasie zajęć) – nabiega łąza zachwytu lub rozrzewnienia. Właśnie dlatego jestem szczęśliwy. Z tego powodu nawet dobrze piszę (jak się wydaje).

(w wagonie, Ługa-Petersburg)

\* \* \*

104. Czy chcę wpływać na życie? Mieć wpływ?  
Nie specjalnie.

## WASZA MAMA (Dla Dzieci)

105. Żyliśmy spokojnie, dzień po dniu, przez długie lata. Była to najlepsza część mojego życia.

(25 stycznia 1911)

\* \* \*

106. Jest mi smutno (i dziwnie), gdy pomyślę, że kiedyś będą o mnie mówić „jako o zmarłym” i „poza tym był pisarzem”, i będą mnie chwalić.

Być może, będzie to uzasadnione, ale przecież ocena nie obejmie „smutnego materiału”. Wszystko otrzymałem „nie według zasług”, będzie mi wstyd, będę się dręczył, będzie to *przestępstwo* na tamtym świecie.

\*

Jeśli po mojej śmierci ktoś będzie mnie lubił, niech to przemilczy.

(w wagonie, Ługa-Petersburg)

\* \* \*

107. Moja dusza składa się z brudu, łagodności i smutku.

*Albo:*

Jest to złota rybka, lubiąca „bawić się na słońcu”, ale umieszczona w akwarium napełnionym gnojówką.

Ale nie dusi się. Nawet „tym lepiej”... Nieprawdopodobne. Jednak – tak właśnie jest.

\*

Bóg całego mnie *pozłocił*.

Czuję to...

Boże, jak bardzo czuję.

\*

Każde moje zdanie jest pismem świętym (nie w szkolnym, a w potocznym sensie) i każda moja myśl jest święta, i każde moje słowo jest święte.

– Jak pan śmie? – krzyczy czytelnik.

– Właśnie – „śmiejem” – odpowiadam i śmieję się w odpowiedzi.

\*

Ja jestem cały w „Opatrzności”... Boże, jak bardzo to odczuwam.

\*

Kiedy, zdaje się na koncercie Hoffmanna, usłyszałem po raz pierwszy „Franceskę z Rimini”, to zaraz pomyślałem: „To moja dusza”.

Ten fragment muzyki, gdzie tak wyraźnie słycać szum skrzydeł (zdumiewające!!!).

„To moja dusza! To moja dusza!”

Nigdy i w niczym nie zakładałem takiej *masy wewnętrznego ruchu*, z jakiego splecione są moje lata, godziny i dni.

Pędzę, jak wiatr, nie męczę się, jak wiatr.

– Dokąd? Po co?

A w końcu:

– Co ty lubisz?

– Lubię moje nocne marzenia – odpowiem spotkanemu wiatrowi.

(*głęboką nocą*)

\* \* \*

108. Starość w swoim stopniowym rozwoju jest likwidowaniem przywiązania. Śmierć jest ostatecznym zimmem.

W starości najbardziej cięży nieprawidłowe życie; i to nie w tym sensie, że „mało było słodczy” (to w ogóle nie przychodzi do głowy) – ale, że nie zrobiłeś tego, *co należało*.

Przynajmniej w moim wypadku idea obowiązku pojawiła się w starości. Wcześniej zawsze żyłem „na jakiś motyw”, to znaczy zgodnie z apetytem, smakiem, „co się chce” i „co się podoba”. Nawet wyobrazić sobie nie mogę tak „nieprawego” człowieka jak ja sam. Idea „prawa” i „obowiązku” nigdy nie przychodziła mi do głowy. „Jedynie czytałem w słownikach na literę *P* oraz *O*”. Nie wiedziałem jednak, co to jest, nigdy się tym nie interesowałem. „Obowiązek wymyślili okrutni ludzie, żeby uciskać słabych. Jedynie głupiec podporządkuje się temu”. Mniej więcej tak myślałem...

Natomiast zawsze było we mnie *współczucie*. Ale to też jest mój „apetyt”. Była też wdzięczność – także mój *smak*.

\*

Zadziwiająco, jak radziłem sobie z fałszem. Fałsz nigdy mnie nie dręczył. Według dawnego motywu: „A co pana obchodzi, co ja *dokładnie myślałem*”, „*czy jestem zobowiązany* wypowiadać swoje autentyczne myśli”. Moja największa subiektywność (patos subiektywności) sprawiła, że dokładnie całe życie przeżyłem *za zasłoną*, której nigdy nie zdjęto i nie rozdarto. „Tej zasłony nikt nie ma prawa dotknąć”. Tam żyłem, tam byłem zawsze autentyczny... A to, co mówiłem „z drugiej strony zasłony” – niech nikogo nie interesuje, czy jest prawdziwe. „Powiniennem mówić to, co *pożyteczne*”. „Wasza krytyka dotyczy jedynie tego, czy mówię coś *pożytecznego* – a i to warunkowo: jeśli szkodliwe – to *nie akceptujcie*”. Mój aforyzm w wieku 35 lat: „Ja nie piszę na herbowym papierze” (to znaczy, zawsze możecie podrzeć).

Jeśli tym nie mniej przeważnie (chyba zawsze, jak mi się wydaje) pisałem szczerze, to nie z miłości do prawdy, której wcale nie miałem, a nawet „nie mogłem sobie wyobrazić”, a z niedbalstwa. Niedbalstwo – to mój negatywny patos. Skłamać – to znaczy „wymyślać” i „łączyć koniec z końcem”, „budować” – a to trudniejsze, niż „powiedzieć tak, jak jest”. Po prostu pisałem na papierze to, „co jest”, a to tworzy moją prawdomówność. Ona jest naturalna, ale nie ma charakteru moralnego.

„Tak rosę, a jeśli się wam to nie podoba, to nie patrzcie”.

Dlatego często wydawało mi się (może tak i jest), że jestem najbardziej prawdomównym i szczerym pisarzem, chociaż nie ma w tym nawet kropli moralności.

„Takim stworzył mnie Bóg”.

\* \* \*

109. Łączenie mego życia, fatum, a zwłaszcza myśli i, co najważniejsze, tekstu z Boskim „chcę” – było we mnie stałe, od młodości, nawet od dzieciństwa. Stąd, jak się zdaje wynika moje niedbalstwo. Dlatego byłem niedbały, że jakiś głos wewnętrzny, jakieś nieprzewyciężalne przekonanie wewnętrzne mówiło mi, że wszystko, co mówię – chce Bóg, abym mówił. Nie zawsze dokonywało się to z jednakowym napięciem, ale niekiedy to przekonanie, ta wiara była po prostu jak rozpalone żelazo. Cały stawałem się jakiś *gęsty*, dusza stawała się gęsta, myśli stawały się inne, a „język sam mówił”. Nie zawsze w takich wypadkach pod ręką było pióro, a wtedy *mówiłem*, co leżało na duszy... Czułem jednak, że w tym, co mówiłem, był taki napór mocy („gęstość”), że nie mogłyby tego wytrzymać ściany, budynki, obce prawa, obce „przekonania”... W takich chwilach czułem, że mówię jakąś absolutną prawdę, dokładnie pod takim kątem nachylenia, jaki jest w świecie, w Bogu, w „samej prawdzie”. Jednak przeważnie nie zostawało to zapisane (nie było pióra).

\* \* \*

110. Nigdy nie miałem poczucia *przestępczości* (jak Dostojewski), natomiast zawsze miałem poczucie swojej nieskończonej *słabości*...

Słabym zacząłem stawać się od 7-8 roku życia... Było to dziwne utracenie swojej woli nad sobą – nad swoimi czynami, „wyborem pracy”, „działalności”. Na przykład: na studia poszedłem tylko dlatego, że starszy brat był „na tym wydziale”, a przy tym bez żadnego (wtedy) związku intelektualnego i jakiegokolwiek innego z bratem. Zawsze szedłem „w otwarte drzwi” i było mi wszystko jedno, „które drzwi są otwarte”. Nigdy w życiu nie dokonywałem *wyborów*, nigdy nie miałem żadnych *wahań*. Była to straszna bezwolność i dziwny brak udziału. Zawsze myślałem: „Bóg jest *ze mną*”. Jednak w „otwarte drzwi” nie szedłem z nadzieją, że „Bóg mnie *nie opuści*”, a jedynie z zainteresowania „Bogiem, który jest *ze mną*” i wynikającego z tego braku zainteresowania, „w które drzwi wejść”. Wchodziłem w drzwi, gdzie było „nędznie” i gdzie było „szlachetnie”... Ze względu na te dwa motywy myślę, że byłem dobrym człowiekiem: za to Bóg wiele mi daruje.

\* \* \*

111. Ileż to ludzi ma u nas reputację, jeśli nie literacką (chyba nie), to dziennikarską, umoczoną w młodzieńczej krwi. O, gdyby młodzieńcy mogli kiedyś uwierzyć, że ludzie, którzy nigdy ich nie pchali w tę krwawą sprawę (terror), lubią i szanują ich bezcenną i wieczną duszę, ich ciemną i miłą „przyszłość” (cały świat) – bardziej, niż ich „zausznicy”, którym zaufali... Ale oni nigdy w to nie uwierzą! Oni myślą, że są samotni na świecie, porzuceni, że jedyni bliscy, którzy im zostali, to ci, którzy im szepczą: „Idźcie przed nami, my jesteśmy już starzy i słabi, a wy jesteście heroiczni i szlachetni”. Nigdy nie rozpoznało w tym szepcie głosu diabła. Niekrasow, członek klubu angielskiego, partner ministrów, jak nikt inny popchnął młodych ludzi swoim wierszem: „skieruj mnie do tych, którzy *giną*”. Ten wiersz zaiste cały jest we krwi. Trudno sobie wyobrazić kogoś bardziej nieszczęśliwego od naszej młodzieży. Przejawia się w tym cała nasza rzeczywistość, „podobna (ze względu na swój bezsens) do snu”, podtrzymująca w młodzieży tę czarną i gorzką myśl: „wszyscy nas porzucili”. Rzeczywiście, właśnie to słyszeli od generałów, od zasuszonych radców stanu, od kupców, od „całego (prawie) narodu rosyjskiego”. Być może, przypomną sobie stare babcie, stare ciotki... Oto jakieś światło. Boże, jakże straszne jest nasze życie, jakże mroczne!

\* \* \*

112. Czukowski jest jednak dobrym pisarzem. Owo „dobro” otrzymuje od niego literatura (zakopywanie trupów), ale nie zatrzyma się na *nim samym*. Rzecz w tym, że jest on bardzo pożyteczny, ale nie jest zachwycający, a przecież to jest *najważniejsze* w literaturze.

Nie jest jednak głupim człowiekiem, jak starałem się to przedstawić (portret Riepina).

(w wagonie, Petersburg-Kijów)

\* \* \*

113. Człowiek stoi na dwóch kotwicach: rodzice, ich „dom”, jego młodość – to jedna kotwica. „Pierwsza miłość”, 13-14 lat – to przełom, zwiastun, że rzucono „drugą kotwicę”... Wyjście i – korona; przystań „od dziobu” i przystań „od rufy”. „Od rufy” *ostateczna* – mogiła, a co ciekawsze, doprowadza do niej miłość. Przecież miłość to „znowu skóra” i stanę się dla dzieci „przystanią od dziobu”.

Na podstawie *własnego życia* widzę, że genitalia są ważniejsze od mózgu. „Mózg” – to kapitan, to ten, który kieruje. Jednak dla żeglarzy jest oczywiste, że kapitan nie jest ważny, jest to osoba, którą można zmienić, wynająć, ważne są odwieczne cumowania „od dziobu” i „od rufy”. Kompania Wschodnio-Indyjska w każdym bądź razie nie istniała dla zadawania kapitanów, nie dla nich też działają parostatki na Wołdze i piekarnie.

A to znaczy, że „piękno twarzyczki” jest dla panny ważniejsze od „zdolności umysłowych”. Tak to już jest. Tak *one* to odczuwają. Nie tylko *one*. A szkoła? A cała organizacja wychowania? Ucz się „równań kwadratowych” oraz „rzek Ameryki Południowej”. „Nie zapomnij o dopływach Rio de la Plata”. Jakże wspaniale właśnie to panny „opuszczają”.

(w wagonie, Ługa-Petersburg)

\* \* \*

114. Jak wilk napił się krwi rosyjskiej i syty zwał się do mogiły.

(o Szczedrinie, w wagonie)

\* \* \*

115. Ona *urodziła*, a tym samym miała *prawo urodzić*. „Chęć” nigdzie tak bardzo nie zgadza się z „*mam prawo*”, jak w rodzeniu dzieci.

Wasz staruszek powiedział: „*Mogę*, a tym samym *powiniennem*”. Miał na myśli hofratów wyjeżdżających jutro, aby objąć swoje stanowiska, a także młodych ludzi, chcących („a tym samym...”) powstrzymać się od dziewczyn... Zgódźmy się, że tak. A przecież nie inaczej będzie także w opinii młodzieńca: „*Mogę* począć z nią dziecko, a tym samym *powiniennem* je począć”. Cóż by na to odpowiedział mędrzec z Królewca?

(w wagonie, Ługa-Petersburg)

\* \* \*

116. Cóż to takiego patos *égalité*? Stojąc (według własnej opinii) dość wysoko w literaturze nigdy nie zacząłbym się do niej rwać, ani też jej unikać (*égalité*). „Wszystko mi jedno”... Popryszczyn rwałby się do *égalité* z królem

hiszpańskim, a Bobczyński chciałby, oczywiście, być w *égalité* z gubernatorem. Co to znaczy? Czyż trzeba uwierzyć, że duch *égalité* jest tęsknotą każdego poniżonego i rozczulającego się nad sobą, każdego „połowicznego” – do zrównania się z *jedynką*?

Darwin ogłosiwszy *égalité* szympansa i człowieka znacznie bardziej trudził się w „duchu francuskim”, niż w angielskim (tak myślano, tak myślał M. Danilewski).

(w wagonie, Ługa-Petersburg)

\* \* \*

117. Kończę tym, że zaczynam nienawidzić wszystko, co rosyjskie. Jakże to smutne, jakież dziwne.

Zwłaszcza smutne pod koniec życia.

\*

Te zaspane twarze, nieposprzątane pokoje, brudne ulice...

Straszne, straszne...

(w wagonie, Ługa-Petersburg)

\* \* \*

118. Wszędzie fałsz: „Dlaczego ten śpioch do tego jeszcze ciągle kłamie?”

(o Rosjanach, w wagonie, Ługa-Petersburg)

\* \* \*

119. Po cóż jest potrzebny „przyjaciół czytelnik”? Czy ja piszę „dla czytelnika”? Nie, ja piszę dla siebie.

– Dlaczego więc pan publikuje?

– Dają pieniądze...

Subiektywizm zgadza się z okolicznościami zewnętrznymi.

W ten sposób powstaje literatura. Tylko w ten sposób.

(w wagonie, Ługa-Petersburg)

\* \* \*

120. Wędrowiec, wieczny wędrowiec, wszędzie tylko wędrowiec.

(o sobie, w wagonie, Ługa-Petersburg)

\* \* \*

121. Czym była ta strzała, którą ciągle czułem w moim sercu? To dzięki niej powstała cała moja literatura.

To – mój grzech.

Przez grzech poznawałem świat i przez grzech (pokutę) mogłem odnieść się do wszystkiego w świecie.

(w wagonie, Ługa-Petersburg)

\* \* \*

122. Każda miłość jest piękna. Tylko ona jedna jest piękna.

A to dlatego, że na całym świecie jedyna „w sobie samej prawdziwa” jest miłość.

\*

Miłość wyklucza *falsz*: pierwsze „skłamałem” oznacza: „już *nie kocham*”, „kocham *mniej*”.

Gaśnie miłość i gaśnie prawda. Dlatego też „trwać na ziemi w prawdzie” oznacza – ciągle i prawdziwie kochać.

(w wagonie, Ługa-Petersburg)

\* \* \*

123. Sława – to zmija. Oby nigdy nie dotknął mnie jej jad.

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

124. Leżeć w ciepłym piasku po kąpieli – jest to w swoim rodzaju warte filozofii.

*Lazzaroni* ciągle leżący w piasku – dlaczego nie miałyby to być wspaniała szkoła filozoficzna?

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

125. Kościół rosyjski jest wspaniałym zjawiskiem. Luteranizm i katolicyzm pod wieloma względami są bardziej godne uwagi, ale są i takie sprawy, w których prawosławie jest lepsze od nich. Zwróćmy uwagę, że spokojne umysły, jak Busłajew, Tichonrawow, Kluczewski i Sergiusz Sołowjow nie chcieli niczego w prawosławiu poprawiać i byli z niego w pełni zadowoleni. Równocześnie byli ludźmi wierzącymi, religijnymi, prowadzili szlachetne życie w najlepszym sensie tego słowa – spokojne, rosyjskie. Nie rozmyślali specjalnie nad religią, a całe życie pracowali, coś tworzyli. Religia była dla nich fundamentem, który podtrzymywał całą górę ich szlachetnych wysiłków. Nie ma wątpliwości, że gdyby byli „niewierzącymi”, to nie byłiby tak szlachetni i tak pracowici. Sceptycyzm religijny potraktowaliby z największą podejrzliwością. „Problemy” prawosławia zaczynają się poniżej (lub obok?) tego pietra – od umysłów bardziej drobiazgowych, pełnych ruchu i zjadliwych. Tołstoj, Rozanow, Mereżkowski, Hercen – to już nie Busłajew z jego spokojnym wieczorem. To burza, złość i nerwy. Być może, jest w tym coś godnego uwagi. Nie jest jednak spokojne, jasne i harmonijne.

Prawosławie w najwyższym stopniu zgadza się z harmonijnym duchem, ale w równie najwyższym stopniu nie zgadza się z duchem przeciwnym. Jest w

nim, mówiąc alegorycznie, Zeus; w Aleksandrze Newskim (znowu alegorycznie) stało się nawet „Marsem”. W „okresie petersburskim” (słowianofile) wszyscy budowali cerkwie Aleksandrowi Newskiemu, temu „Aresowi” i zarazem „Romulusowi” Rusi, odsunawszy na bok ascetów kijowskich. Przeto Mars i Zeus (ich żywioł) – to prawosławie, ale nie ma w nim Afrodyty, nie ma Jukony, „pani domu”, Saturna i dalekiej mistyki.

(na odwrocie otrzymanego listu)

\* \* \*

126. Jeśli nic nie dasz – w duszy będzie tęsknota. Nawet wtedy, jeśli nie dasz podarunku.

(o dziewczynce na dworcu w Kijowie,  
której chciałem podarować ołówek,  
ale spóźniłem się i ona odeszła z babcią)

A jednak dziewczynka wróciła i podarowałem jej ołówek. Nigdy czegoś takiego nie widziała i z trudem mogłem jej wyjaśnić, co to za „cudo”. Jak dobrze jej i mnie.

\* \* \*

127. Kto z czystą duszą odchodzi do ziemi? O, jakże jest nam potrzebne oczyszczenie.

(zima 1911)

\* \* \*

128. ...być może, jestem „głupi” (chodzą takie słuchy), być może, jestem „kanciarz” (tak mówią), ale tak *szerokich* myśli, *nieogarnionych* nowych horyzontów, jakie mam ja, nikt inny nie ma. I „wszystko samo przyszło do głowy” – nie zapożyczyłem nawet jednej joty. Zdziwiający. Jestem po prostu zdumiewającym człowiekiem.

(na podeszwie buta w czasie kąpieli)

\* \* \*

129. Poplątały się moje myśli, zupełnie się poplątały...

Całe życie poświęcić *na zniszczenie tego*, co tylko *jedno* kocham w świecie: Czy ktoś miał bardziej bolesny los?

\* \* \*

130. Los *chroni* tych, których pozbawia sławy.

(zima 1911)

\* \* \*

131. Wyobrażają sobie, że chciałem „przypodobać się władzy”. Tymczasem dziwna cecha mojej psychologii to silne odczucie pustki wokół

siebie – pustki milczenia i niebytu wokół i wszędzie – co ledwo znam, w co ledwo wierzę, ledwo dopuszczam, co mi przypisują inni ludzie. Wydaje się to niemożliwe i niedorzeczne – ale tak jest.

\* \* \*

132. Dlaczego tak bardzo nie chcę być znany (nie mieć wpływu) i tak (niekiedy) tęsknię (choć nieraz z tego powodu bywa dobrze na duszy), że „nic nie wyszło z mojej działalności literackiej”, nikt za mną nie idzie, nie mam swojej „szkoły”?

Jedynie z jakiegoś dziwnego pragnienia *szczęścia dla ludzi*. Sądzisz zawsze „według siebie” (inaczej nie można). „Według siebie” sądzę też ja, że nie można być szczęśliwym, jak *mając tylko swoje myśli*. Byłbym bardzo zadowolony, gdyby „obeszło się beze mnie” i to nawet w tym wypadku, gdybym jeszcze raz dokładnie napisał to wszystko, co napisałem. Nie byłbym już zupełnie obojętny – czytają, czy też nie czytają.

\*

W tym sensie „pragnienia wpływu” jest uczuciem bardzo szlachetnym: *wszystkich mieć za przyjaciół i cały świat mieć za swego przyjaciela...*

\*

Ale wtedy nie należałoby się podpisywać, a ja się podpisuję. To dziwne. Jednak w sensie pomyślności „Rozanowa” rugali bardziej, niż „Rozanowa” chwalili, a rugali bardziej z szacunkiem, jak sądzę, a nawet bardziej przenikliwie (w niektórych kwestiach), niż chwalili.

\* \* \*

133. On był niezbyt rozumny i niewykształcony, a raczej – nierozwinięty, ale zdumiewająco utalentowany. „Wziął” coś z Wittego, czy też nie wziął – nie wiem. Był to jednak bezwarunkowo człowiek honoru, gdyż ludzie mający 1/10 jego talentu zostawali „radcami stanu” i spokojnie żyli na rencie lub na emeryturze. On zaś umarł, jeśli nawet nie w nędzy, to w biedzie.

Nie tylko z tego powodu jest on *szlachetny*; było w nim coś nieuchwytnego, na mocy czego gdybym nawet chwycił go za rękę z wyciągniętą z mojej kieszeni chusteczką, podałbym mu rękę i powiedział: „Sierioża, to coś przypadkowego, przecież wiedziałem i wiem *teraz*, że jesteś jednym z najszlachetniejszych ludzi w Rosji”. A on rozplakałby się łzami anioła, którymi nigdy nie zapłacze „szlachetny” Kutler, mające sześć tysięcy emerytury.

(o Szarapowie, po jego śmierci)

\* \* \*

134. Nie klóć się z Bogiem i nie zdradzę Boga, kiedy On w odpowiedzi na moje modlitwy nie okazał mi „miłosierdzia”; *kocham Boga, jestem Mu oddany*. Cokolwiek On zrobi – nie będę bluźnił, będę płakał *nad sobą*.

(*smutne lato 1911; ciągle nie może poruszać ręką*)

\* \* \*

135. *Dusza* prawosławia – w darze modlitwy. Jego ciałem są obrzędy, kult. Gdyby jednak ktoś pomyślał, że poza obrzędami nie ma w nim nic (Harnack z Berlina) – to ten pomimo całej swojej inteligencji *nic by w nim nie rozumiał*.

(*lato 1911*)

\* \* \*

136. Kto kocha naród rosyjski – ten nie może nie kochać Cerkwi. Gdyż naród i Cerkiew są jednym. Jedynie u Rosjan są jednością.

(*lato 1911*)

\* \* \*

137. Nie ma we mnie żadnego zainteresowania do realizowania siebie, brak wszelkiej energii, „woli istnienia”. Jestem człowiekiem, który w ogóle się nie realizuje.

\* \* \*

138. Kilka pięknych listów od Gorkiego. To wspaniały człowiek. Jeśli jednak wszyscy inni „lewicowcy” tak samo patrzą, to samo widzą, to, przede wszystkim, jest to przeciwne „naszym horyzontom” – cóż za zawężony horyzont! Czyż jest to prawda, że różnica między radykalizmem i konserwatyzmem jest różnicą między wąskim i szerokim polem widzenia, między „bliskowzrocznością” i „dalekowzrocznością”? Jeśli tak, to zwyciężymy. A tymczasem nie ma po temu żadnej nadziei.

(*lato 1911*)

\* \* \*

139. Fatum Gorkiego – zyskał *chwałę*, zdobył *pozycję*. A tymczasem z natury jest on wojownikiem. Z kim ma walczyć, jeśli wszyscy są „powaleni”, czy z Gringmutem, czy z Katkowem? Przecież nie z księciem Mieszczerskim, o *istnieniu* którego Gorki chyba w ogóle nie wie.

Ręce opadły.

Wojownik umarł bez walki. Napisałem mu o tym, ale on, co aż dziwne, nic nie rozumiał z tej myśli.

\* \* \*

140. Spotkałem jedynie trzech ludzi mądrzejszych, a ściślej, bardziej utalentowanych, oryginalnych i samodzielnych ode mnie: Szperka, Rcy i Fl-go.

Pierwszy zmarł bardzo młodo (26 lat) i nie zdążył się wyrazić; drugi był „Tientietnikowem”, po prostu wygrzewał się na słońcu. „Iwan Iwanowicz grający na skrzypcach” – tak sam się określił (w pewnym artykule). W ich rozumie, ściślej – w ich *duszy*, w ich *metafizycznym (przed urodzeniem) doświadczeniu* – było to, że nie popełniali błędów, ich opinie można było przyjmować bez sprawdzania, bez rozmyślania nad nimi. Ich słowa, myśli, opinie, nawet najmniejsze rzucały światło na całe rejony świata. Wszyscy byli prawie słowianofilami, ale w istocie nie byli słowianofilami, a *samotnikami*, „ja”...

Inni ze znakomitych ludzi, jakich spotkałem: Raczyński, Strachow, Tołstoj, Pobiedonoscew, Sołowjow, Mereżkowski – nie byli lepsi ode mnie...

Wyczułem, że coś silnego i samodzielnego jest w Tigranowie (książka o Wagnerze). Spotkałem się jednak z nim tylko raz, a przy tym byłem zdenerwowany i nie mogłem ani uważnie na niego patrzeć, ani też go słuchać. Opowiem o tym – on był, być może, bardziej utalentowany ode mnie...

Stołpner był bardzo rozumny, w *niektórych opiniach* silniejszy ode mnie, ale ogólnie nie był ode mnie silniejszy.

Tak... Czuję też, że silniejszym ode mnie był Konstantyn Leontiew (moja korespondencja z nim).

Jednak wszystkich wymienionych pokonywałem chytrą (rosyjski „swój rozum”) i, być może, właśnie dlatego nie zginąłem (w literaturze), jak ci nieszczęśnicy („nieudacznicy”). Od dzieciństwa, od mojego pełnego lęku i udręki dzieciństwa nabrałem zwyczaju milczenia (i ciągłego rozmyślania). Ciągłe milczę... wszystkiego słucham... ciągle milczę... I głupców, i mowy tych mędrków... Idee dojrzewają we mnie powoli i w ciszy... Nigdzie się nie spieszę, „poleżałbym sobie”... Z mojego bezruchu – a u innych wszystko się rwie, lub nie dojrzewa – wszystko we mnie dojrzewa. W porównaniu z „Rcy” i Szperkiem moja działalność literacka rozwinęła się niezwykle, ileż książek już wydałem... Jednak w całym moim życiu żadne recenzje w gazetach, żadne dytyramby (w tychże gazetach) nie dały mi tyle powodów do dumy, co przyjaźń (czułem ją) i szacunek (w wypadku Szperka także miłość) tych trzech ludzi.

Jaki jest los literatury: dlaczego oni nie są tak znakomici, a odrzuceni i zapominani?

Szperk, przeczuwając swój los, mówił: „Pan, zdaje się, czytał Grubera? Nie? Bardzo lubię znaleźć coś jego autorstwa. *Pociągają mnie* pisarze nieznani, którzy pozostali niezauważeni. Co to byli za ludzie? Jakże się cieszę, gdy natknę się w ich pracach na niezwykłą i przedwczesną myśl”. Jakie to proste, głębokie i piękne.

Pamiętam jego aforyzm o dzieciach: „Dzieci tym różnią się od nas, że wszystko przyjmują z taką mocą realizmu, jaka nie jest już dostępna dorosłym. Dla nas ‘stół’ jest jednym z ‘mebli’. Dziecko nie zna ‘mebli’, a ‘stół’ jest dla niego ogromny i żywy, jakim nie może być dla nas. Z tego powodu dzieci znacznie bardziej cieszą się światem, niż my”.

Pamiętam jeszcze jego zadziwiająca opinię: „Zasada życiowa, że *dzieci* powinny szanować rodziców, a rodzice powinni kochać dzieci, należy czytać odwrotnie: Rodzice powinni *szanować dzieci* – szanować ich odrębny świat i ich gwałtowną, gotową w każdej chwili doznać obrazy naturę, a dzieci powinny *kochać rodziców* – a będą ich kochać, jeśli tylko odczują ich *szacunek do siebie*”.

Jakże to jest głębokie i nowe!

Tołstoj... Kiedy z nim rozmawiałem, między innymi o rodzinie, małżeństwie, płci – to zobaczyłem, że on w tym wszystkim płacze się, jak uczeń, który nie wie, czy jakiś wyraz pisze się przez „ó”, czy przez „u”, nic w tym wszystkim nie rozumie, poza jednym, że należy być „powściągliwym”. On nawet nie potrafił owej niteczki „powściągliwości” rozwinąć w nic dla przedzalni. Ani analizy, ani zdolności kombinowania, ani nawet *myśli* – same wykrzykniki. Nie da się z tym współdziałać, to coś w rodzaju *imbecile*.

W S-wie tylko to jest interesujące, że „diabełek siedział na jego ramieniu” (na Morzu Bałtyckim). O tym należałoby porozmawiać. Zagadkowa i *głęboka* jest jego tęsknota: to, *o czym on milczał*. A słowa *napisane* – to zwyczajne dziennikarstwo („brandelasy”).

Niósł przed sobą swoją *pychę*, a pycha była *nicością*. Lepiej nieść *smutek* – a on o nim milczał.

Pobiedonoscew był pięknym człowiekiem; nie ujawnił jednak w niczym, że miał „piękny, *samorodny umysł rosyjski*”. Był tak zwyczajny, że nie podeptał swojej profesury.

Zawsze odczuwam wobec niego winę: *nie miałem odwagi* źle o nim napisać po śmierci. Chociaż obiektywnie jest w tym dużo prawdy – nie byłem jednak *szlachetny* w swoich opiniach. Raczyński miał suchy i *precyzyjny* rozum, nic nowego i oryginalnego.

\* \* \*

141. Literatura (*druk*) przycięła w człowieku *miłość własną*. Wszyscy zaczęli się jej *bać*, wszyscy zaczęli czegoś od niej *oczekiwać*. „Ci szlachcice rozdają nagrody montyonowskie”. Stąd wywodzi się wzrost jej *sily*.

Jej siła kończy się tam, gdzie człowiek przymyka na nią oczy. „Szósta władza” (Napoleon o druku) przemienia się nagle w szare, pochylone drzewko, jak tylko odwrócić się do niej tyłem – wtedy *patrzycie na sprawy*, a nie na mapę z napisem „Szósta władza”.

\* \* \*

142. ...a przecież w istocie – Boże! Boże! – w mojej duszy wiecznie jest monaster.

\* \* \*

143. Czy naprawdę jest mi potrzebna sława?

Brrr...

\* \* \*

144. Oto, czego wcale nie wiem: Czy jestem „kimś”, czy też – „nicością”? Jakaś to para mnie nadyma i wtedy wydaje mi się, że jestem „kimś”. Ale „rozwinięty zostanie długi rulon” (Puszkina), a wtedy wychodzi – „nicość”.

(w wagonie, Petersburg-Kijów)

\* \* \*

145. – „Dlaczego pan ciągle myśli o sobie? Pomyślałby pan o „ludziach”.  
– Nie chce mi się.

(w wagonie, Petersburg-Kijów)

\* \* \*

146. Ach, ludzie – wykorzystajcie każdy wieczór, który będzie pogodny. Życie szybko przemija, przeminie, a wtedy powiecie „sprawiłbym sobie nieco radości”, a już nie można: ból jest, smutek jest! Numizmatyka – jest dobra, więc zajmujmy się numizmatyką, książka – jest dobra, więc czytajmy książkę.

Jedynie nic nie piszcie, nie „starajcie się”, stracie życie, a to, co napiszecie, okaże się „głupotą” lub czymś „niepotrzebnym”.

\* \* \*

147. Tak, być może „plan budowli” nie jest dobry, ale budowla chroni nas przed deszczem i przed brudem, więc po co niszczyć budowlę?

(w wagonie, o Kościele)

\* \* \*

148. Moja głowa w chmurach  
A nogi takie słabe.

\*

Pod *wieloma względami* rozumiem pogaństwo, judaizm i chrześcijaństwo lepiej, niż były one rozumiane przez własnych wyznawców w epoce klasycznego rozwoju.

A przecież jestem tylko „człowiekiem dzisiejszego dnia”, ze wszystkimi jego słabościami, z jego wielkim antyhistorycznym „nie chce się”...

W tym tajemnica dialektyki: „mój dzisiejszy dzień”, w którym jestem tak zakorzeniony, jak nikt *przede mną* (tak myślę) – dał mi całą moc i całą przenikliwość. Tak więc „ze słabości wyrosła siła”, a „z takiej siły – odwrotnie wyrosła słabość”.

\* \* \*

149. „Obecne pokolenie” – nie chodzi o to, że nie ma „dużego znaczenia”, ale po prostu nie ma *żadnego* znaczenia. Minie 60 lat, „jeden oddech historii”, a z niego pozostanie nie więcej, niż z mumii czasów Sesostrisa. Cóż wiemy o ludziach lat dwudziestych XIX w.? Tylko tyle, co powiedział Puszkina. Znamy każdy *jego* wiersz, pamiętamy, uczymy się. A jego „współcześni” istnieli dla swojego czasu, ale dla naszego *wcale* nie istnieją. Stąd wniosek: żyj i pracuj *jakby nikogo nie było*, jak byś *wcale* nie miał swoich „współczesnych”. Jeśli twoja praca i twoje myśli są cenne – zwyciężą wszystko, co wokół ciebie nienawidzi ciebie, pogardza tobą, usiłuje cię zdeptać. Silny jest silnym, a słaby jest słabym. To matka „przyjaciela” powiadała (w Jelcu): „Prawda jest jaśniejsza od słońca”.

Żyj dla prawdy: a ludzie niech sobie idą, gdzie chcą.

\* \* \*

150. Cóż ty lubisz, cudaku? – Swoje marzenie.

(w wagonie, o sobie)

\* \* \*

151. Kiedy siedzę u lekarza, to zawsze na brzegu krzesła i szepczę w myślach: „Czy nie chce mnie pan wytargać za ucho – proszę bardzo”, albo „spoliczkować – proszę bardzo, proszę bardzo, jestem cierpliwy, nawet będę zadowolony, ale potem niech się pan postara i wyleczy mnie”. Z jakiegoś powodu wyobrażam sobie, że wszystkie choroby są nieuleczalne i dlatego zawsze lękałem się wzywać lekarza: mam już 39 stopni gorączki, bredzę, ale mówię: „To nic, to tylko przeziębienie, wezmę aspirynę, natrę się gorczycą z octem”, najlepsze są domowe metody, i „przejdzie”. Jak wezwę lekarza, to *choroba* – ciągle ta sama idea – okaże się „nieuleczalna”. A u doktora Rentelna przed trzecią operacją „przyjaciela” ja tylko zgiałem się, aby sprawiać wrażenie, że siedzę, przy samych drzwiach, ale nawet nie dotknąłem krzesła. On powoli mówił:

„Fistula... trzeba wyciąć szyjkę macicy... Zmniejszyć, wyczyścić (wycinając?!!) macicę”.

Boże mój: *rak* zawsze pojawia się „na szyjce macicy”, a więc skoro trzeba ją „wyciąć” – jest to rak.

Jak wtedy dotaszczyłem się do domu, nie pamiętam...

\* \* \*

152. Oto przeminęło już całe życie... Pozostało kilka chmurnych lat, starość, smutek, poczucie niepotrzebności...

Jak wszystko staje się niepotrzebne! To jest główne uczucie w starości. Zwłaszcza – rzeczy, przedmioty: odzież, meble.

Jakiż jest bilans życia?

Strasznie mało sensu. Żyłem, kiedyś nawet *radowałem się*: to najważniejsze. „A co wyszło?” Nic szczególnego. Właściwie nie potrzeba, żeby coś „wyszło”. Być nieznanym – to chyba jest najbardziej upragnione.

\*

Co jest najlepsze w tym, co przeminęło, co dawno przeminęło? Dobry lub przynajmniej przyzwoity czyn. Jeszcze – dobre spotkanie, to znaczy poznanie dobrego, właściwego, miłego człowieka. To na starość daje jasną smugę światła, a z jaką radością patrzy się na te smugi, niestety, jakże rzadkie.

A pełne szumu zadowolenie (u mnie niewiele)? Tak zwane „rozkosze”? One zostają przyjęte jedynie w chwili ich otrzymania, ale nie mają żadnego znaczenia dla „potem”.

Dopiero w starości poznajesz, że „trzeba było dobrze żyć”. W młodości nawet nie przychodzi to do głowy. W wieku dojrzałym – też nie przychodzi. A w starości wspomnienie dobrego czynu, delikatności – to jedyny „światlisty gość” w „konnacie” (w duszy).

(głęboką nocą)

\* \* \*

153. Cóż w Rosji jest najdroższego, jeśli nie stare cerkwie? A może kancelarie? Albo redakcje? Nie, stara-stara cerkiew i diak – „nie bardzo”, wszystko z grzechem, słabe. *A ciepło tylko tutaj. Dlaczego tutaj ciepło, kiedy wszędzie jest zimno?* To *tutaj* pogrzebano mamę, braci: pogrzebią także mnie; to *tutaj* będą się żeniły dzieci: wszystko – *tutaj*... Wszystko, *co najważniejsze*... Ludzie pooddychali *ciepłem*.

\* \* \*

154. W „przyjacielu” Bóg dał mi spotkać człowieka, w którego nigdy nie zwątpiłem, co do którego nigdy się nie rozczarowałem. Zabawne, ale nie było ani jednego takiego dnia, żebyśmy na siebie nie nakrzyczeli. Za to nie było takiego wieczora, żebyśmy się nie pogodzili. Zwykle ja albo ona po ½ godziny przychodziliśmy z przeprosinami za złe zachowanie (krzyki).

Nigdy, nigdy nie było gniewu lub braku szacunku.

Nigdy!!! Nawet jednego dnia. Ani razu w ciągu 20 lat nasz dzień nie zakończył się „podziałem”.

(głęboką nocą)

\* \* \*

155. Łagodne, ciemne noce...  
Przerażenie przestępstwem...  
Tęsknota samotności...  
Łzy rozpacz, lęku i pot trudu...  
Oto ty, religio...

Pomoc dla zgarbionego...  
Pomoc dla zmęczonego...  
Wiara chorego...  
Oto twoje korzenie, religio...  
Wieczne, cudowne korzenie...

(przy korekcie felietonu)

\* \* \*

156. „Wszystko dzięki łożysku” – powiedział Szernwał. Mając 17 ½ roku, kiedy *w tych sprawach* ona i teraz, gdy ma 47 lat, jest jak dziecko. „Dlaczego ręka zwisa?” – i żadnej innej troski, poza ręką. Lekarz ze śmiechem: „Najwięcej niepokoi ją ręka. To przecież nic, u niej przecież *lewa* ręka jest nieruchoma”...

I pali z zadumą papierosa.

\* \* \*

157. Dusza boli, dusza boli, dusza boli...  
Cóż można zrobić z bólem duszy – nie wiem.  
Jednak godzę się żyć tylko z *tym bólem*... Jest on najdroższy mnie i we mnie.

(głęboką nocą)

\* \* \*

158. Już trzy lata przed 1911 r. mój niezastąpiony i wierny przyjaciel, któremu za wszystko jestem zobowiązany, mówił:

– Przeczuwam, że niedługo pożyję... Wiesz, przeżyjmy tych kilka lat dobrze...

Cały zamierałem. Ledwo słyszalnym głosem mówiłem: „Tak, tak!”

W rzeczywistości jednak nie było tego „Tak”.

## WASZA MAMA

(Dla dzieci)

159. – Ścięłam warkocz, bo nie jest mi potrzebny.  
Wspaniały kasztanowy warkocz. Teraz włosy sterczą jak mysi ogon.  
– Dlaczego? Nawet nie zapytałaś! Jest mi przykro. Odrzuciłaś coś, co było miłe dla innych.

– Wszystko straciłam. Po co mi warkocz? Gdzie moja szyja? Gdzie moje ręce? Nic nie zostało. Więc ścięłam warkocz.

(W dniu przyjęcia komunii, późnym wieczorem).

Wydaje mi się to, jak i wszystko teraz, jakimś przedśmiertnym gestem.

(25 lutego 1911)

\* \* \*

160. Mam 56 lat i 35 000 rubli. Ale „przyjaciel” choruje... I wszystko stało się niepotrzebne.

\* \* \*

161. Tylko ja byłem jej „przyjacielem”: tylko ja płacę, łzy płyną i nie mogę ich powstrzymać...

Dzieci... Jakże mało są im potrzebni rodzice, kiedy one dojrzewają: przyjaciele, swoje życie, przyszłość – to wszystko tak ich niepokoi...

Kiedy umarła moja mama, to zrozumiałem tylko tyle, że mogę jawnie zapalić papierosa. Teraz też zapaliłem. Wtedy miałem 13 lat.

\* \* \*

162. Minęło już 20 lat, kiedy jak „szybki potoczek” biegałem koło trumny...

Na dodatek byłem rozdrażniony: dlaczego wokół mnie nie jest wesoło, dlaczego nie kwitną kwiaty. Zbyt późno wszystko poznałem...

\* \* \*

163. ...tak, stałem się „znakomitością”... O, jakże chciałbym pogryźć zębami i podrapać paznokciami tę „znakomitość”, wsadzić w nią swój zgniły ząb, ostatni ząb.

Za późno!

O, jakże chciałbym jeszcze raz żyć, z jedynym celem – *nic nie pisać*.

Te linijki zabrały mi wszystko, odciągnęły mnie od „przyjaciela”, dla którego powinienem żyć, chciałem żyć, chcę żyć.

A „talent” ciągle zmuszał mnie do pisania.

(*głęboką nocą*)

\* \* \*

164. Idzie, idzie moja wędrowniczka po schodach (ciągle najpierw stawia prawą nogę, nie widzi mnie zza zakrętu schodów, ale ja ją widzę: twarz pojaśniała i z ożywieniem mówi do podtrzymującej ją służącej: „Oto... (nie pamiętam) dzisiaj dałam sto rubli lekarzowi. Zupełnie pozbawiłam Wasyla Wasiljewicza pieniędzy” – „Zupełnie” – śmieję się z góry, zbiegam do niej. „Jakie sto rubli? To *ja* dam i *nie* dzisiaj, a dopiero w tym tygodniu”.

Ona ma tylko jedną troskę, sięgającą tydzień naprzód, że na jej chorobę wydajemy zbyt dużo pieniędzy. Ona zaśmiała się i wesoło weszliśmy na górę. Ach, moja wędrowniczka: za jej dobre chodzenie dałbym tysiące... a za jej zdrowie oddałbym wszystko.

\* \* \*

165. „Teraz to już nic nie potrzebuję. Trzeba, żebyś ty był zdrow i dobrze urządził dzieci”.

(3 listopada 1911, przed konsylium)

\* \* \*

166. Mówiłem o małżeństwie, małżeństwie, małżeństwie... a do mnie szła śmierć, śmierć, śmierć...

\* \* \*

167. Straszna samotność w całym życiu. Od dzieciństwa. Samotne dusze są duszami ukrytymi. A ukrycie – z zepsucia. Straszny ciężar samotności. Czyż nie z tego powodu ciągły ból?

Nie tylko z tego powodu.

\* \* \*

168. 27 listopada zmarła w Jelcu w wieku 85 lat „nasza babcia” – *Aleksandra Andrjanowna Rudniewa*, z domu Żdanowa. Równo przez 70 lat pracowała dla innych – już w wieku 15 lat wyszła za męża, aby polepszyć życie swego małego braciszka, którym się opiekowała. Byli sierotami. Od tego czasu, zawsze wesoła, ciągle „biegała do cerkwi”, uczyła okoliczne dzieci „czytania, mówiła im o Bogu, carze i ojczyźnie” i jak niegasnąca świeca katakumb świeciła, ogrzewała, pracowała, płakała – wiele płakała – i jedynie nabożeństwo cerkiewne ocierało jej łzy i dawało radość. Niech ta książka będzie jej poświęcona, a *wraz z nią* – mojej biednej mamie, *Nadziei Wasiljewnie Rozanowej*.

\*

Ona była zupełnie inna. Zniszczona przez bezsilę, huragan stłamszonych uczuć... Nie wiedziała jednak, że gdy cicho wstawiała z łóżka, na którym z nią spałem (miałem wtedy 6-7-8 lat), to zasypiając słyszałem, jak ona modli się za nas wszystkich, najpierw w milczeniu, potem szeptem, coraz głośniejsze i głośniejsze... póki słowa nie wyrwały się jej z ust z jakimś świstem.

A w ciągu dnia surowa, zawsze surowa. Nie pamiętam, żeby w naszym domu ktoś się uśmiechał.

\* \* \*

169. Męcząco, ale dość cicho pracuje wentylator w korytarzu; zapłakałem (prawie): „Żeby go słyszeć, chcę jeszcze żyć, a najważniejsze, że *przyjaciel* powinien żyć”. A potem myśl: „Czy to możliwe, że ona (*przyjaciel*) na tamtym świecie nie będzie słyszała wentylatora?” Żądza nieśmiertelności tak chwyciła mnie za włosy, że prawie przysiadłem na podłodze.

(głęboką nocą)

\* \* \*

170. O dobroci naszego duchowieństwa: ileż to piachu nasypałem im za kołnierz... A równocześnie każdy, kto *mnie znał*, a nawet i *nie znał* – *wielu*, odnosiło się do mnie – „odrzucając moje idee” – nie tylko dobrze, ale z miłością (Ustinski, Filewski, cenzor Lebediew, Pobiedonoscew, M. Sołowjow, o. Drozdow, Akimow, Celikow, prof. Głubokowski, N. Szczerbowa, A. Albowa). Wyjątkiem był tylko S. Racziński, *jedyny*, który „znienawidził brata swego” (po artykułach o małżeństwie w „Russkom Trudie” i w „S.-Petersburskich Wiedomostiach”). Oto, co: Hermogen, który latem żądał, żeby mnie odłączyć od Kościoła, w listopadzie-grudniu *dwa razy* prosił o spotkanie ze mną. Biskup Sergiusz (Fiński), który znał (na podstawie mojego listu, przesłanego mu przez Fiodorowa) „mój zdumiewający sposób myślenia” – tym niemniej, kiedy „przyjaciel” leżał w szpitalu ewangelickim (luterańskim) po trzeciej operacji, przyjechał ją odwiedzić, a przyjechał na prośbę metropolity Antoniego, który w ogóle jej nigdy nie widział, a mnie samego widział 2-3 razy, ale nie rozmawiał ze mną. Wszędzie – delikatność, wszędzie – subtelność i to po mojej *strasznej wrogości* do nich i *oskarżeniach nie do zniesienia*. A świeccy: cóż za wyzwiska („Przodkowy”, „dwulicowiec”, „nie należy siadać z nim przy jednym stole i wspólnie pracować”...), którymi mnie obsypali, ledwo palcem ruszyłem przeciwko „sierści” ich partii. Z tego wynika, że Kościół jest *lepszy* od świeckiego życia *en masse*, serdeczniejszy, bardziej duchowy, przebaczący. Jeśli był nawet ogień (inkwizycja), to w każdym bądź razie nie jest to szafot pozytywistów: zimny i z *zimnym żelazem*...

W końcu rzuciłem się (koniec 1911 r.) do Kościoła: to jedyne w świecie *pełne ciepła, ostatnie pełne ciepła* miejsce na ziemi...

Oto moja biografia i mój los.

(9 grudnia 1911)

*P. S. Człowiek religijny* jest doskonalszy od mędrca, od poety, od zwycięzcy i oratora. „Kto się modli” – zwycięży wszystkich, a święci będą zwycięzcami świata.

Idę do cerkwi! Idę! Idę!

(w tym samym dniu i o tej samej godzinie)

*P. P. S.* Nigdy moja noga nie stanie na jednym miejscu z pozytywistami, nigdy! Nigdy! – Nigdy nie chcę oddychać z nimi powietrzem tego samego pokoju!

*P. P. P. S.* Lepsze zabobony, lepsza głupota, lepsza czerń, ale z *modlitwą*. Religia, lub – nic. To walka i krzyż, pastorał i palica, pika i mogiła.

A ja wierzę, że „święci” zwyciężą.

*P. P. P. P. S.* Najlepsi ludzie, jakich spotkałem – nie, jakich *znalazłem* w życiu: „przyjaciel”, wielka „babcia” (A. A. Rudniewa), „dziadziusz”, M. Szczerbowa, A. Albowa, o. Ustinski – wszyscy byli *religijnymi* ludźmi; najwięksi umysłem

Florenski, Rcy – też religijni. Czy to przypadkiem o czymś nie świadczy? Mój wybór jest już *zdecydowany*.

Modlitwa – lub nic.

Lub:

Modlitwa – i zabawa.

Modlitwa – i uczyty.

Modlitwa – i tańce.

Ale w sercu wszystkiego – modlitwa.

„Człowiek modlący się” – i wszystko można.

Nie ma takiego człowieka – nic nie można.

To jest moje „credo” – i z nim pójdę do mogiły.

Zacznę wielki taniec modlitwy. Z długimi trąbami, z muzyką, ze wszystkimi: *wszystko będzie dozwolone, gdyż wszystko będzie omodlone. Wszystko zrobimy*, gdyż po tym wszystkim *pokłonimy się Bogu*. Ale nie zrobimy nic zbędnego, powstrzymamy się, nic „karamazowskiego”, gdyż również „w tańcu” będziemy pamiętać o Bogu i nie będziemy chcieli go zasmucić.

„Z nami Bóg” – to jest wieczne.

\* \* \*

171. Handel, wszędzie handel, w literaturze, w polityce – handel *slawą*, handel *pieniędzmi*, a duchownym zarzuca się, że „handlują świeczkami woskowymi” i „oliwą do lampek”. U duchownych zysk wynosi 1/10 i nie są oni wykształceni, a u świeckich 9/10, chociaż są to ludzie „oświeceni”.

(13 grudnia 1911)

\* \* \*

172. Dlaczego tak się złościsz na radykałów?

Sam nie wiem.

Czy lubię konserwatystów?

Nie.

Co jest ze mną? Nie wiem. Jestem zakłopotany.

(14 grudnia 1911)

\* \* \*

173. 26 sierpnia 1910 r. od razu się zestarzałem.

20 lat żyłem „w południe”, a tu od razu 9 godzina wieczorem.

Teraz nic nie potrzeba, niczego nie chcę. W głowie jedynie mogiła.

(14 grudnia 1911)

\* \* \*

174. Przyszłość w ogóle mnie nie interesuje.

Dlatego, że „przyjaciela” nic już nie interesuje.

Interes potrzebny jest „dwojgu”, jeden – nie ma żadnych interesów.

Dla jednego – tylko mogiła.

(14 grudnia 1911)

\* \* \*

175. Faktycznie, jestem zbyt leniwy, żeby czytać. Na przykład z artykułu Filozofowa o mnie (w almanachu) przeczytałem tylko pierwszą stronę. Dopiero w tym roku, przeglądając książki (kurz, klasyfikacja) – natknąłem się na ten artykuł, otworzyłem i przeczytałem nie wstając z podłogi (dużo racji w tym artykule). Dlaczego jednak tak mało czytam?

1 000 przyczyn, ale najważniejsza jedna: przeszkadza myśleć. „Kręci mi się” w głowie, nie mam sił, żeby wyjść z tego stanu.

Z żądzą (szaleńczo) czytałem w gimnazjum, ale już w uniwersytecie czytałem tylko początek książki (Mommsen, Bluntschli).

Urodziłem się wędrowcem, wędrowcem-prorokiem. Jak bywało w Judei, „cała ulica prorokuje”. Ja jestem jednym z takich, to znaczy ludzi *ulicy* i „proroków” (bez misji *zmieniania*, na przykład losu narodu). Moje „proroctwo” nie jest *dla Rosjan*, dla historii Rosji, jest to moje *domowe* proroctwo i odnosi się *tylko do mnie* (bez znaczenia i wpływu), jest częścią mojej biografii.

W żaden sposób nie mogę się zatrzymać, nie mogę nie mówić (pisać), wszystko, co mi w tym przeszkadza (sprawy życiowe) odrzucam lub wypuszczam z rąk (książki).

Te rozmowy (szepty) są moją „literaturą”. Stąd tak dużo błędów: pójść po książkę, otworzyć ją i coś sprawdzić – to dla mnie trudniej, niż napisać cały artykuł. „Pisać” – to rozkosz, ale „sprawdzać” – to „katorga”. Pisząc „leczę na skrzydłach”, w drugim wypadku powinienem pracować, a ja jestem wiecznym Obłomowem.

Pocieszałem się w tej sytuacji, na którą *wszyscy się zgodzili*, że przecież „*świat jest moim wyobrażeniem*”. Zgodnie z tą tezą nie mam obowiązku „sprawdzania” i pisania wiernej historii lub geografii – piszę, jak sobie „wyobrażam”. Gdyby nie było Schopenhauera, być może byłoby mi wstyd, a skoro jest Schopenhauer, to „chwała Bogu”.

Z Schopenhauera (w przekładzie Strachowa) też przeczytałem tylko połowę pierwszej strony (zapłaciwszy za książkę 3 ruble), ale już w pierwszym wierszu wyraźnie napisano: „Świat jest moim wyobrażeniem”.

– To wspaniale – pomyślałem po Obłomowsku – „Wyobraźmy sobie”, że dalsza lektura jest bardzo trudna i w ogóle nie jest mi potrzebna.

(14 grudnia 1911)

\* \* \*

176. Mogiła... czy wiecie, że jej sens zwycięży całą cywilizację...

Oto równina... pole... nic nie ma... nikogo nie ma... A tu wzgórek ziemi, pod którym pochowano człowieka. I te dwa słowa: „zakopany człowiek”,

„umarł człowiek” swoim wstrząsającym sensem, swoim wielkim sensem, jękiem... zwyciężają całą planetę – są ważniejsze od „Iłowajskiego z Attyłą”.

Wszyscy chodzili... A tu „umarł człowiek” i nawet nie wiemy – *kto*: jakież to przerażające, rozpaczliwe... cała cywilizacja wali się w gruzy, nie chcemy już „Attyli i Iłowajskiego”, jest tylko ten mały grób i chce się na nim wyć jak pies...

Oto, gdzie kończy się *pycha*.

Przeklęta cecha.

Nie przypadkiem zawsze tak bardzo nienawidziłem *pychę*.

(14 grudnia 1911)

\* \* \*

177. Wiożą trumnę, tłum depce kwiaty, które spadły z karawanu: śpieszy się, trzęsie. Ja, jadąc dorożką też się trząsałem i myślałem: Tak samo powiożą Wasyla Wasiljewicza; żywo wyobraziłem sobie tę głupkowaną twarz, bladą (teraz ciągle czerwona), zmęczone wargi i bródkę, taką żalowaną, że publika będzie omijać kałuże i kląć, gdy się zamoczy, a ktoś inny strasznie będzie chciał zapalić papierosa, a tu nie można, i ja z grobu będę mu współczuł, że „nie można zapalić”, gdyby nie ten oficjalny moment, gdy jestem „obowiązany leżeć”, to bym mu po cichu podsunął papierosa.

Z własnego doświadczenia wiem, że właśnie na pogrzebie strasznie chce się palić...

Wiożą, wiożą, długo wiożą... „No, żegnaj, Wasylu Wasiljewiczu, źle jest, bracie, w ziemi, źle też, bracie, żyłeś. Lepiej by się leżało w ziemi, gdybyś lepiej żył. A ty żyłeś w *nieprawdzie*...

Boże mój: jak tu umrzeć w *nieprawdzie*?

A ja żyję w *nieprawdzie*.

(14 grudnia 1911)

\* \* \*

178. Tak: być może, całe życie tylko po to żyjemy, żeby *zashuzhyc na mogile*. Ale o tym dowiadujemy się dopiero wtedy, gdy zbliżamy się do mogiły: wcześniej nawet nie przychodziło to do głowy.

(14 grudnia 1911)

\* \* \*

179. Tylko 60 razy, i to w najlepszym wypadku, mógłbym w Wielki Czwartek stać „ze świeczką” na nabożeństwie: jakże mogłem więc opuścić chociaż *jeden* czwartek?!!

Boże! Wielkanocy też 60!!! Tylko 60 razy Boże Narodzenie!!! Jakże można opuścić chociaż jedno z nich?!!

Oto uzasadnienie, dlaczego trzeba „chodzić do cerkwi” i to z rodzicami, z żoną, z dziećmi.

Mam już 54 lata, a zaledwie ze 12 razy stałem „ze świeczką”.  
Już za późno: mam już 56 lat!

(14 grudnia 1911)

\* \* \*

180. Jakże głupi był mój „bunt przeciwko chrześcijaństwu”, powinienem dobrze żyć, miałem po temu (20 lat) wspaniałe warunki. A ja wszystko popsułem swoimi „utworami”. Nędzny „autor”, nikomu w istocie niepotrzebny – i ze względu na swoje czyny także niepotrzebny.

(14 grudnia 1911)

\* \* \*

181. Kościół jest jedynym poetyckim, jedynym głębokim zjawiskiem na ziemi. Boże, jakim szaleństwem było, że przez 11 lat robiłem wszystko, żeby go zniszczyć.

Jak dobrze, że mi się nie udało!

Czy byłaby *ziemia* bez Kościoła? Nagle straciłaby sens i stała się lodowata.

Cyrk Czynizelli, Mały Teatr, Teatr Artystyczny, „Mowa”, mityng i jego mówca, „można pochodzić za aktorką”, jeden umarł, drugi się urodził, a my „pijemy herbatę”. Można pomyśleć, że „dosyć tego”. Wprost tak nie myślałem, a jednak...

\* \* \*

182. Niech Bóg przedłuży mi życie o 3-4-5 lat (i „jej”), a zapalę świeczkę na mój obrzęd sakramentu chorych i już jej nie wypuszczę z rąk aż do mogiły. Moje poprzednie życie było szaleństwem: nie przypadkiem „przyjaciół” tak bardzo sprzeciwiał się zbliżeniu do dekadentów. Ludzie bez znaczenia, niepotrzebni Rosji. „Chwała literatów niech będzie nad nami”. Być może, niektórzy są utalentowani, ale to wszystko jedno. Wszystko jedno z punktu widzenia Kostromy, Jelca, z punktu widzenia tego, co konkretne, życiowe. Powinienem być z Pieriedowskim, Titowem, Maksymowem, oto ludzie, oto Rosjanie. A „wierszyki” przeminą, nawet wcześniej, niż papier ulegnie zniszczeniu.

(14 grudnia 1911)

\* \* \*

183. Nieście, nieście, bracia, co robić – umarł. Powiedziano: „Nie życie, a los”. Nie trzęście za bardzo. A zresztą, nie miejcie skrupułów, jeśli trzęsiecie. Całe życie trzęsło. Zapaliłbym, ale nie wypada: oficjalne wydarzenie. Zmarły powinien w trumnie leżeć „na baczność”. Całe życie stałem „na baczność” (czort wie, przed kim). Zakopujcie, proszę, szybciej, i idźcie do diabła z waszą „oficjalnością”. W ziemi na pewno zgniotę koszulę śmiertelną i wysunę kolano.

Powiedzą: „Idź na Sąd Ostateczny”. A ja powiem: „Nie pójdę!” – „Boisz się?” – „Niczego się nie boję, po prostu nie chcę iść. Chcę zapalić. Pozwólcie od piekielnego węgla przypalić papierosa” – „Pan ma papierosy Stamboli?” – „Stamboli” – „Tutaj przede wszystkim używa się Asmołowa. Narodowe”.

(15 grudnia 1911)

\* \* \*

184. – A dziewczynek nie chcesz?

– Nie.

– Dlaczego?

– Wysławili mnie. Ja i „tam”, na ziemi, nie zachwycałem się „tymi sprawami”, jedynie dla „doświadczeń”. Obserwowałem i badałem. Ale żeby dla swojej „rozkoszy” – tego prawie nie było.

– Jaki stąd wniosek?

– To nie jest rozmowa na ten departament. Proszę zmienić temat,

(16 grudnia 1911)

\* \* \*

185. 1 ½ roku ledwo żyję. Ciężko, smutno. Strasznie. Przez kilka miesięcy nawet nie wyjmowałem monet (antycznych, aby pooglądać). Jedynie zarabiam 50-80 rubli „na tydzień”, ale w ogóle nie interesuje mnie to, co napisałem.

(16 grudnia 1911)

\* \* \*

186. No – kupił sobie daczę na Krymie (G. S. P.). Kiedy nieszczęsny Rcy, zmuszony przez potrzebę i choroby dzieci, poszedł do redakcji czasopisma „Rosja”, to pełen chwały i pieniędzy, złośliwie napisał do mnie: „Rcy – w ‘Rosji’”, czym uzasadnił powiedzenie Turgieniewa: „W końcu każdy trafi na swoją półkę”. Gdzież ma być *taki gad, jak Rcy*, jeśli nie w organie państwowym „Rosja”? A teraz ma daczę na południu. Na brzegach Krymu też trafił na „swoją półkę”.

(16 grudnia 1911)

\* \* \*

187. *Druk* – to karabin maszynowy, z którego strzela podoficer-idiota. Iluż Don Kichotów zastrzeli, póki się do niego nie dobiorą. Być może, *nigdy* się nie dobiorą.

*Finis* i mogiła.

(16 grudnia 1911)

\* \* \*

188. „Społeczeństwo”, wszędzie o nim krzyczą, „w literaturze pojawiły się elementy społeczne”, „obudziło się zainteresowanie sprawami społecznymi”.

Być może, nic nie rozumiem; kiedy jednak spotykam człowieka z „zainteresowaniami społecznymi”, to jest mi nie smutno, nie kłóczę się z nim: po prostu umieram obok niego. „Cały zmokłem” i rozpuściłem się: ani rozumu, ani woli, ani słowa, ani duszy.

Umarłem.

Budzę się, otwieram oczy, kiedy domyślam się lub podejrzewam, że „społeczeństwo” rozwinęło się z człowieka (sąsiad, bliźni).

W gimnazjum, kiedy „chciałem komuś dać w mordę” lub oszukać – to też bez „społeczeństwa”, a po prostu dlatego, że samemu smutno i niedobrze żyć.

Również „porządek społeczny” chciałbym bez „społeczeństwa”, a po prostu: „wtedy przejdziemy na inną ulicę” i „znajdę dziewczynkę” (zawsze chciałem dziewczynki – w gimnazjum).

Dlaczego tak cierpię, kiedy słyszę o „społeczeństwie”? Jakby mówili o przelocie gęsi. „Poleciały na północ”, „poleciały na południe”.

– Ach, lećcie, kochane, gdzie sobie chcecie, co mnie do tego.

Lub: „ludzie zdążają do celów”, ale ja wiem, że owo „idą” jest uwarunkowane przez *drogę*, a nie przez tych, którzy „idą”. Dlatego gęsi są tak smutne.

\*

Poza tym – nie znoszę żadnego hałasu. A gdzie gęsi – tam zawsze hałas.

(18 grudnia 1911)

\* \* \*

189. Jak Bóg mnie kocha, że dał mi „ją”.

(19 grudnia 1911)

\* \* \*

190. Życie kończy się, kończy. Nie zatrzymasz. Nie chcę zatrzymać.

Jakże wszystko się zmieniło w *sensie* zgodności z tą nową sytuacją.

Teraz nie pragnę już radości, rozkoszy. O, jakże nie pragnę. Oto czas, kiedy cnota jest słodsza od rozkoszy. Nigdy o tym nie pomyślałem, nigdy tego nie zakładałem.

(21 grudnia 1911)

\* \* \*

191. Skończyłem artykuł o Bożym Narodzeniu. „Przyjaciel” zasnął... Godzina piąta w nocy. A w duszy – Wielki Piątek...

(23 grudnia 1911)

\* \* \*

192. Jeśli ktoś będzie mnie chwalił „nad otwartą mogiłą”, to wyjdę z trumny i spoliczkuję go.

(28 grudnia 1911)

\* \* \*

193. Żaden człowiek nie jest godny pochwały. Każdy człowiek jest godny wyłącznie współczucia.

(29 grudnia 1911)

## OPADŁE LIŚCIE

(Koszyk pierwszy)

194. Myślałem, że wszystko jest nieśmiertelne. I śpiewałem pieśni.  
Teraz wiem, że wszystko się kończy. I pieśń umilkła.

(już od trzech lat)

\* \* \*

195. Silna miłość jednego człowieka czyni niepotrzebną miłość wielu innych ludzi.

\*

Nawet interesujące...

Co będzie, kiedy „ja umrę”?

Zwolni się mieszkanie na Kołomińskiej i właściciel wynajmie je nowemu lokatorowi.

Co jeszcze?

Bibliografowie będą analizować moje książki.

A ja *sam*?

Sam? – ano *nic*.

Zakład pogrzebowy dostanie za pogrzeb 60 rubli i w „marcu” te pieniądze wejdą w „bilans”. Tam połączą się z zapłatami za inne pogrzeby, bez nazwiska i bez westchnienia.

Przerażające!

\* \* \*

196. *Istota* modlitwy polega na całkowitym uznaniu swojej *bezsily*, swojej ograniczoności. Modlitwa – tam, gdzie „ja nie mogę”; gdzie „ja mogę” – tam nie ma modlitwy.

\* \* \*

197. Społeczeństwo, otoczenie, bawi duszę, ale nic jej nie dodaje,

\*

Coś „dodaje” jedynie rzadka i silna sympatia, „dusza w duszy” i „jeden rozum”. Takich sympatii znajdziesz jedną-dwie przez całe życie.

Szukaj jej. A tłumy unikaj lub ostrożnie obchodź go z daleka.

(przy porannej herbacie)

Biegną, wszyscy biegną. Dokąd? Po co?

– Pytasz, po co światowe *volo*?

– To nie *volo*, a raczej nogi ślizgają się, brzuchy się trzęsą. To – skating-ring, a nie życie.

(w Wołkowie)

Tak. Śmierć – to także *religia*. Inna religia.

\*

Nigdy nie przychodziło mi to do głowy.

.....  
Oto biegun arktyczny. Pierzyna śniegu. Nic nie ma. Taka jest śmierć.  
.....

Śmierć – to *koniec*. Linie równoległe spotkały się. Natknęły się jedna na drugą i nic nie ma dalej. Nie ma nawet „praw geometrii”.

\*

Tak, „śmierć” zwycięża nawet matematykę. „Dwa razy dwa równa się zero”.

(patrzac w sadyie na niebo)

Mam 56 lat, co pomnożone przez całoroczną pracę daje zero.

Nie, więcej: pomnożone przez miłość, przez nadzieję – daje zero.

\*

Komu jest potrzebne to „zero”? Czyżby Bogu? A jeśli nie, to komu? Po co?

Czy więc śmierć jest *silniejsza* od samego Boga? Wtedy okazałoby się, że *sama* śmierć jest Bogiem. *Czy zajmuje miejsce Boga?*

Straszne pytania.

\*

Boję się śmierci, nie chcę śmierci, śmierć mnie przeraża.

\* \* \*

198. Czy śmierć „babci” (Al. An. Rud.) zmieniła coś w moim życiu? Nie. Było mi *smutno*. Było mi żal. Ale *ja* i „we mnie” – nic się nie zmieniło. Tylko jeszcze więcej smutku: Dlaczego nic się nie zmieniło, skoro ona umarła? Czy to znaczy, że *nie była mi potrzebna*? Straszne podejrzenie. Znaczy, że rzeczy, *osoby* mają znaczenie póki istnieją, ale nie ma relacji *w nich, tak rzecz wziętych od podeszwy do szczytu głowy*, metafizycznej podeszwy i metafizycznego szczytu? *Samotność rzeczy* jest jeszcze straszniejsza.

\*

Ja i mama też umrzemy, a dzieci *pomartwią się* i będą dalej żyć. W świecie nic się nie zmieni: straszna zmiana *dotyczy tylko nas*. „Koniec”, „skończone”. To określenie „skończone” nie dotyczy szczegółów, a *wszystkiego, wszystkiego* – straszne.

\*

*Koniec ze mną. To po co ja żyłem?!!!*

\* \* \*

199. Gdyby nie miłość „przyjaciela” i cała historia tej miłości – jakże zubożałoby moje życie i moja *osobowość*. Wszystko byłoby pustą ideologią inteligenta. Chyba wszystko szybko by się skończyło.

...o czym pisać?

Wszystko dawno już napisano (*Lerm.*)

Miłość „przyjaciela” odkryła mi nieskończone tematy, wszystkim osobiście się interesowałem.

\* \* \*

200. Jako *najszczęśliwsze* minuty życia przypominam sobie te, kiedy widziałem (i słyszałem) szczęśliwych ludzi. Stacha i Aleks. Piotr. P-wa, opowieść „przyjaciela” o pierwszej miłości i jej zamążpójściu (kulminacyjny punkt mego życia). Z tego wynika, że urodziłem się do *kontemplowania*, a nie do *działania*.

\*

Przyszedłem na świat, żeby *widzieć*, a nie żeby coś *czynić*.

\* \* \*

201. Co powiem Bogu (na tamtym świecie) o tym, że On posłał mnie, abym *widział*?

Czy powiem, że świat stworzony przez Niego jest piękny?

Nie.

Co więc powiem?

\*

Bóg zobaczy, że płaczę i milczę, niekiedy się uśmiecham. Ale nic ode mnie nie usłyszy.

\* \* \*

202. Przelatywałem obok tematów, ale nie biegałem po tematy.

Lot – oto moje życie. Tematy – „jak we śnie”.

Jeden, drugi... dużo... wszystkie zapomniałem. Zapomnę w mogile.

Na tamtym świecie będę bez tematów.

Bóg mnie zapyta:

– Co zrobiłeś?

– Nic.

\* \* \*

203. Trzeba dobrze „wiązać pończochę swego życia” i nie myśleć o reszcie. Reszta to – „Los”: wszystko jedno, i tak nic *na niego* nie poradzimy, a to, co *swoje* („pończocha”), zniszczymy (przez odwrócenie uwagi).

\* \* \*

204. Egoizm – nie jest zły; to – kryształ (twardość, zdecydowanie) wokół „ja”. Zwłaszcza, jeśli by wszystkie „ja” były w kryształach, to nie byłoby chaosu, a tym samym „państwo” (Lewiatan) byłoby prawie niepotrzebne. W anarchizmie jest 1/1000 prawdy: nie potrzeba tego, co „wspólne”, κοιν’ον, a wtedy wyrośnie to, co indywidualne (podstawowe piękno człowieka w historii). Należy zastanowić się, co to takiego „przedhistoryczne istnienie narodów”. Według Drapera i jemu podobnych – to „troglodyci”, gdyż nie mieli „powszechnie obowiązującego nauczania” i nie byli wychowywani przez niańki, a według Biblii – to był „raj”. Biblia jest ważniejsza od Drapera.

(przy korekcie)

\* \* \*

205. Obudziłem się...

Dobiegają jakieś dźwięki... Idę zatroskany przez ciemne jeszcze pokoje.

Od wschodu – już jaśniej.

Na kanapie, podkuliwszy nogi pod długą nocną koszulę – siedzi Wasia i zwróciwszy głowę ku porankowi (okno na Wschód), z książką w ręce uczy się na pamięć przez sen:

Jasne śpiące gromady  
Pustych ulic i światła  
Admiralicji iglica  
Ad-mi-ra-li-cji...  
Ad-mi-ra-li-cji...  
Ad-mi-ra-li-cji...

Słowo „nie wychodzi”... taka „Ameryka” i do tego jeszcze „iglica” na ulicy... Przerywa i od nowa:

...światła  
Ad-mi-ra-li-cji iglica,  
Ad-mi-ra-li-cji gwiazda,  
Płonie wschodnia gwiazda.

– Co ty robisz, Wasia?

Spojrzał na mnie rozumnymi, zawsze poważnymi oczyma. Pamięć słaba, stara się, ale trudno – dlatego jest poważny:

– Powtarzam lekcję.

– Tak trzeba mówić: *Admiralicji iglica*. To taka igła. Ma kilka sążni długości.

– Igła? Co to takiego??

– E... dach. To znaczy, na dachu. Wszystko jedno. Należy wymawiać: *iglica*. Ucz się, ucz, maleńki.

Wróciłem. W domu – spokój. Słyszę dobiegający głos:

Ad-mi-ra-li-cji gwiazda,  
Ad-mi-ra-li-cji iglica.

.....  
\* \* \*

206. Nie literatura, a to, co *wokół niej*, jest przerażające: literackość duszy, literackość życia. To, że każde *przeżycie* zamienia się w drgające, żywe słowo: ale na tym wszystko się kończy – samo *przeżycie* umarło, nie ma go. Temperatura (człowieka, ciała) ostygła od słów. Słowo nie pobudza, o, nie! – ono ochładza i pozostawia. Mówię o oryginalnym i pięknym słowie, a nie o słowie „takim sobie”. Z tego powodu po „złoty epokach” w literaturze zawsze następuje głęboki rozkład całego życia, apatia, znudzenie, nieudolność. Naród staje się senny, życie staje się snem. Tak było w Rzymie po Horacym i w Hiszpanii po Cervantesie. To nie przykłady są przekonujące, a istotny związek rzeczy.

Dlatego *de facto* literatura nie jest potrzebna: w tym wypadku Leontiew miał rację. „Dlaczego, wyliczając sławnych ludzi danego wieku wszyscy

wymienia, na przykład Goethego i Schillera, a nie Wellingtona i Schwarzenberga? Właśnie, „dlaczego”? Dlaczego „wiek Mikołaja” był „wiekiem Puszkina, Lermontowa i Gogoła”, a nie wiekiem Jermołowa, Woroncowa i jeszcze jakichś? Nawet nie wiemy. Jesteśmy tak oczarowani książkami, nie – tak zawałeni książkami, że nawet nie pamiętamy o dowódcach. Z pogardą i dalekowzrocznie poeci nazywali dowódców „Skałozubami” i „Betryszczewami”. A to jest przecież jednostronność i kłamstwo. Wcale nie jest potrzebna „wielka literatura”, a wielkie, piękne i pożyteczne życie. A literatura może sobie być „byle jaka” – „aby wszcząć bójkę”.

Czyż nie jest więc opatrnościowe, że tutaj „wszystko się wali”? Nie Gribojedow – a Leonid Andrejew, nie Gogol – a Bunin i Arcybaszew. Być może. Być może, żyjemy w okresie wielkiego końca literatury.

\* \* \*

207. Liście drżą, ale nie ma żadnego szumu. Wszystko spryskane przez deszcz padający w słoneczny dzień. Mama powiedziała:

– Popatrz.

Spojrzałem i pomyślałem o tym samym. Ona zaś myślała i powiedziała:

– Co może być bardziej czyste od przyrody...

Ona nie mówiła, ale to była jej myśl, którą uzupełniłem:

– Ludzie i ich życie nie są tak czyste, jak przyroda...

Mama powiedziała:

– Jak niewinna przyroda. Dlatego jest ona tak szlachetna...

*(osiem lat temu w sadzie)*

\*

Kiedy przeczytałem to mamie, to ona powiedziała:

– To było cztery lata temu.

To było jeszcze przed jej chorobą, ale zapomniała, osiem lat temu. A mama dodała:

– Jesteś teraz nieszczęśliwy, więc wspominasz te czasy, gdy byliśmy szczęśliwi.

\*

Kulejąc niesie płócienne kaptcie, gdyż zdjąłem buty i przez pomyłkę postawiłem je uroczyście przed sobą na poręczy balkonu („gdziekolwiek”).

Ciągle kuleje.

Ciągle pomaga.

– Wczoraj było bardzo źle bez ciebie. Miałam atak. Nawet łód kładłam na głowę (skrajnie rzadki środek).

\* \* \*

208. Idę. Idę. Idę. Idę...

A gdzie skończy się moja droga – nie wiem.

\*

Nie interesuję się tym. Coś żywiołowego i nieludzkiego. Raczej „niesie mnie”, niż „ja idę”. Powłóczę nogami. Coś porywa mnie z każdego miejsca, na którym stałem.

(sąd rejonowy, o „Odosobnionym”)

\* \* \*

209. Po wynalezieniu druku miłość stała się niemożliwa.

\*

Jaka może być miłość „z książką”?

(wychodząc na imieniny)

\* \* \*

210. Powiedzieć, że Szperka *teraz zupełnie nie ma na świecie* – nie można. Być może, w platońskim sensie „nieśmiertelnej duszy” – jest to błędne, ale dla wielu moich przyjaciół w żadnym wypadku nie jest błędne.

Nie dlatego, że „dusza Szperka – nieśmiertelna”, to jego ruda bródka nie mogła umrzeć, a jego przyjaciel Byzow (był taki) czeka na niego u drzwi, podczas gdy sam Szperk jedzie dorożką do mnie na Pawłowską. Tak właśnie było. Czy zaś jego dusza jest „nieśmiertelna” – nie wiem i tym się nie interesuję.

*Wszystko* jest nieśmiertelne. Wieczne i żywe. Aż do dziury w bucie, która nie powiększa się i „nie ulega załatanii” od tego czasu, gdy się pojawiła. Jest to lepsze od „nieśmiertelności duszy”, gdyż jest to pojęcie abstrakcyjne i suche.

Chcę „na tamten świat” przyjść z chusteczką do nosa. Właśnie tak.

(16 maja 1912)

\* \* \*

211. Nie rozumiem, dlaczego niezbyt szczególnie lubię Tołstoja, Sołowjowa i Raczińskiego. Nie lubię ich myśli, nie lubię ich życia, nie lubię *samej duszy*. Próbuję zrozumieć i wydaje się, że główny powód *chłodu* i braku uczuć tkwi (aż dziw to powiedzieć) – „w podziale społecznym”.

Sołowjow jeśli nie był arystokratą, to jednak żył „w chwale” (w „zbędnej chwale”). Doskonale wiem, że w tym wypadku nie chodzi o zazdrość („jest mi wszystko jedno”). Jednak rozmawiając z Raczińskim o tych *samych sprawach* i mając *jednakowe* z nim poglądy (na szkoły kościelne) – to jednak wszystko, co on mówił, traktowałem jako *obce*; to samo – z Sołowjowem; to samo – z Tołstojem. Mogłem *zachwycić się* nimi (i zachwyciałem się), cenić ich działalność (i ceniłem), ale nigdy nie mogłem ich polubić, nie tylko bardzo polubić, ale nawet troszeczkę. Pies, rozjechany przez tramwaj, wywoływał większe poruszenie duszy, niż ich „filozofia i publicystyka”. „Rozjechany pies”

coś jednak wyjaśnia. A oni trzej nie poddawali się żadnym naciskom, przeciwnie, sami bardzo, i to bardzo naciskali (polemika, wrogowie...). Tołstoj stawiał Gogolowi to „3”, to „1”: przyjemna miłość własna. Wszyscy trzej zachwycali się sami sobą: właśnie z tego powodu nie chciało się ich lubić, ani też ich znać. „No, miejcie, panowie, powodzenie, ja pozostanę na boku”. Od dzieciństwa moją wrodzoną cechą było współczucie: jednak na ten główny patos mojej duszy we wszystkich trzech nie znajdowałem żadnej odpowiedzi, żadnego „przedmiotu” dla siebie. Jak lubiłem, tak i lubię Strachowa, lubiłem i lubię Leontiewa, nie mówiąc już o „szczegółach życia”, które strasznie lubię. Prawie znalazłem rozwiązanie: lubić można to, lub tego, nad kim boleje serce. A oni trzej nie dawali żadnego powodu, żeby „bolało serce”, z tego powodu ich nie lubiłem...

\*

„Podział społeczny”: wyczuwałem to w kontaktach z Raczyńskim. Zawsze było mi obojętne, co on mówił; odczuwałem też, że Raczyńskiemu było obojętne, co ja mówiłem, co *mam na duszy* i on w jakiś „oddalony sposób” lubił moje publikacje (chyba je lubił). W tym wypadku straszna jest różnica społeczna: inny świat, „inna skóra”. Nic nie można zrozumieć, jeśli przypisze się ten fakt zazdrości (byłoby zbyt proste): chodzi o *niezrozumienie* w sensie niemożliwości przyswojenia. „Cały świat jest inny: jego i – mój”. Z Rcy (szlachcic) rozumieliśmy się z ½ słowa, z aluzji, ale on był biedny, jak i ja, „niepotrzebny światu”, jak i ja (tak to odczuwałem). Właśnie fakt bycia „niepotrzebnym” światu niezwykle łączy ludzi i w dziwny sposób wszystko od razu staje się zrozumiałe. Ludzie stają się braćmi nie tylko w sposób deklaracyjny.

\* \* \*

212. Czyż historia nie jest zadziwiającą *inną* osobą, która połyka ludzi jako *swój pokarm*, wcale nie myśląc o ich szczęściu? Nie interesując się nimi? Czyż nie jest to relacja „ja” i „Ja”?

Jakże wszystko jest dziwnie i bezlitośnie urządzone.

(w lesie)

\* \* \*

213. Czy w świecie istnieje współczucie? Piękno – tak, sens – tak. A współczucie?

\*

Czy gwiazdy współczują? Matka współczuje i dlatego jest ważniejsza od gwiazd.

(w lesie)

\* \* \*

214. Współczucie zawsze w czymś małym. Właśnie dlatego lubię wszystko to, co jest małe.

(w lesie)

\* \* \*

215. Pisarstwo jest Losem. Pisarstwo jest fatum. Pisarstwo jest nieszczęściem.

(13 maja 1912)

...być może, tylko z tego powodu pisarzy nie należy sądzić *Sądem Ostatecznym*... Natomiast *surowo* należy ich osądzić.

(4 maja 1912)

\* \* \*

### *1 rubel 50 kopiejek*

216. – Ja tobie, dziecię, przełożę poduszkę. Od gorącego pieca rozboli cię głowa.

– Dobrze, tato. Ale postaw tu krzesło.

Postawiłem.

Uśmiecha się i spod poduszki coś wyciąga, a potem rzuca na krzesło srebrnego rubla.

– Będę na niego patrzeć.

Domyśliłem się: mama dała „rubla”, żeby „cierpliwiej się leżało”.

Chora. Ma 11 lub 12 lat.

Waria pracuje w ogrodzie. Większą od siebie miotłą zmiata ze ścieżek i przed balkonem liście, papiery i wszelki brud – aby potem wrzucić do dołu.

– Dobrze, Wario!

Podniosła głowę. Jaka piękna! Włosy jak len. Ogromne szare oczy, pełne wiecznego niedowierzania, ale i odwagi. Wspaniałe rumieńce na policzkach (od pracy),

13 lat.

Pracuje na swojego rubla i pięćdziesiąt kopiejek. Chora mama mówi z łóżka:

– A jednak to przechadzka na powietrzu.

Wszyscy jesteśmy zadowoleni, i to za 1 rubla 50 kopiejek.

\*

Tania (starsza, chodzą do jednej szkoły) nazywa Warię „białym konikiem” lub „białym koniem”. Rzeczywiście, ona jest podobna do żrebaka. Duża, wesoła, energiczna – z powodu białych włosów i jasnej cery nazwali ją „białym konikiem”.

\*

Było to tak dawno temu, kiedy wszystkie były jeszcze małe i nie chodziły do szkoły – w oknie sklepu na Znamienskiej (w Wielkim Tygodniu) zobaczyłem zwierzątko z *papier-mâché*. Kupiłem słonia, żyrafę i zebkę. Przyniosłem do domu, wyjąłem spod palta i powiedziałem:

– Wybierzcie sobie po jednym, ale takiego zwierza, żeby był podobny do tej, która go weźmie.

A one patrzyły minutkę, a potem chwyciły:

Tłuściutka i dobra Wiera, z miłym uśmiechem – **Słonia**.

Zebkę z łukowatą szyją i jasną sierścią, sterczącą do góry (jak i jej niestrzyżone włosy – **Waria**.

A smukła, z żółtymi plamami, z długą szyją żyrafa przypadła – **Tani**.

Dzieci były podobne właśnie do tych zwierząt i dlatego je kupiłem, uderzyło mnie właśnie to podobieństwo.

\*

To też było dawno: kupiłem pieska, pudelka. Nic nie mówiąc położyłem go pod poduszkę Wiery, w czasie popołudniowej herbaty. Kiedy ona poszła spać, stanąłem koło schodów, oddzielony od jej pokoju jedynie ścianką z desek. Słyszę:

– Hau! Hau!

– Hau! Hau! Hau!

– Co to takiego? Co to takiego?

Poszedłem do siebie. Nic nie powiedziałem, ani dzisiaj, ani jutro. Na pytanie, czy to ja położyłem pieska, odpowiadałem byle co. Nie dowiedziała się skąd wziął się pies.

\* \* \*

217. Tołstoj był genialny, ale nie był rozumny. Jednak genialnemu człowiekowi rozum w niczym nie przeszkadza.

\* \* \*

218. Dopuśćmy, że on jest „mieszczuchem”, ale przecież bez „trzeciego stanu” nie da się żyć.

Trzeba chodzić w czystych butach, ktoś musi uszyć płaszcz. Prorok Eliasz miał przecież pelerynę, którą uszył jakiś krawiec.

Sama pogarda do rozumu (mistyki), to znaczy do mieszczaństwa, ma w sobie *coś* mieszczańskiego. „Jestem takim panem”, lub „prorokiem”, że „nie podaję ręki temu w kurtce” – ten, kto tak powiedział, *eo ipso* przemienia się w pseudo-pana i fałszywego proroka.

Autentyczna *władza nad rozumem* powinna być głęboka, powinna być subiektywną tajemnicą. Niech tam Spencer chwali się przed Pascalem. Pascal

powinien nawet od czasu do czasu nazywać Spencera „Wasza Ekscelencja” – i w żadnym wypadku nie dawać do zrozumienia, że doskonale zdaje sobie sprawę, *kim jest* ten Spencer.

\* \* \*

219. Być może, ja wcale nie jestem wrogi człowiekowi, a tylko literaturze? Wrogość do człowieka jest straszna. A do literatury – to nic specjalnego.

\* \* \*

220. Lewin słusznie zarzuca mi „egoizm”. Oczywiście, jestem egoistą. Nawet z tego właśnie powodu pisałem (i piszę) „Odosobnione”: pisałem (i piszę) marząc o tym, jak rozerwać łańcuch samotności. ...Jest to łańcuch, który nałożony jest na mnie od urodzenia.

Z tego powodu krzyczę: oto *egoizm*, niech go *poznają*, jeśli już nie można go zobaczyć, dotknąć, ani też przyjść z pomocą.

Jakby ktoś, kto utonął w głębokiej studni, krzychał stamtąd do ludzi będących „tam”, „na ziemi”.

\* \* \*

.....  
.....

221. Porozrzucane podkłady. Kostka. Piasek. Kamienie. Wyboje.

– Co to takiego? Remont ulicy?

– Nie, to „Utwory Rozanowa”. A po żelaznych szynach z przekonaniem jedzie tramwaj.

(na Newskim Prospekcie, remont)

\* \* \*

222. W Rosji jest wiele piękna: 17 października, konstytucja, śpiący Iwan Pawłowicz. A jednak najlepiej jest w pierwszy poniedziałek Wielkiego Postu kupować kiszonki u Zajcewa (róg Sadowej i Newskiego). Rydze, grzyby, coś w rodzaju jabłek, borówki – wyłożone na talerzykach (dla popróbowania). Ogromne cebule hiszpańskie. Różne rodzaje kapusty. Łańcuchy białych grzybów na framudze drzwi.

A nad drzwiami duża ikona Zbawiciela, płonie przed nią lampka. Oto prawosławie.

\*

Sklepik nieduży. Całe wyposażenie drewniane. Po rosyjsku. Właściciel – poważny i zatroskany – pełen szacunku dla pracy i postu.

\*

Wieczorem przyszli sekundanci i wezwali na pojedynek. Ledwo się wymówiłem.

\*

W pierwszy poniedziałek Wielkiego Postu sklepy rybne i warzywnicze – pierwsze w handlu, pierwsze co do sensu, a nawet historii. Sklep z grzybami w ten poniedziałek jest równy najlepszym stronicom Kluczewskiego

(pierwszy dzień Wielkiego Postu)

\* \* \*

223. Jubileusz (25-lecie) Koreckiego. Zaprosili. Nie poszedłem. Jubileusz się odbył. Opisałi w „Nowom Wriemieni”.

Kto zna poetę Koreckiego? Nikt. Wydawcy i redaktorzy? Kto z nim współpracuje?

Oczywiście, panowie literaci idą „pozdrawiać” wszędzie tam, gdzie na stole postawiono łososia.

Biedni pisarze. Boję się, że kiedyś rząd domyśli się, żeby zamiast „wolności” postawić całe rzędy stołów z „łososiem z Morza Białego”. Otrzyma natychmiast „większość głosów”, odbędzie się „równe, tajne i powszechne głosowanie”. Pojedzą sobie. Podziękują. Nie wiem, czy po takim przyjęciu będzie wypadało o cokolwiek prosić. Tak, Hłowajski nie przewidział, że wielka stawka wolności w Rosji zależy od wielu przyczyn i od jeszcze jednej, maleńkiej: połowów łososia w Morzu Białym.

\*

„Drogo, to oburzające”... W tym wypadku odwrotnie – „tanio i nikt się nie oburza”.

(marzec 1912)

\* \* \*

224. Z każdej strony książki Weiningera rozlega się krzyk: „*Kocham mężczyzn!*” – „No, cóż? A więc jesteś *sodomitką*”. I można zamknąć książkę.

Cała książka spleciona z *volo* i *scio*: *jego scio* – genialne, w każdym bądź razie tam, gdzie *analizuje naturę*. Kobięcym okiem zauważył tysiące dotychczas niezauważalnych szczegółów; nawet zauważył, że „karmienie dziecka pobudza kobietę” (stąd więc wywodzi się wieczne „przekarmianie” dzieci przez karmicielki i matki, co powoduje choroby żołądka niemowląt, z którymi „nie można sobie dać rady”).

– „Fe, co za baba!” – „Jakbyś *sam karmił* niemowlę lub też chciał je nakarmić”.

„Kobieta jest nieskończenie wdzięczna mężczyźnie za stosunek i kiedy wlewa się w nią męskie nasienie, jest to kulminacyjny punkt jej istnienia”. Właśnie to zdanie Weininger powtarza w swojej książce, chce nauczyć nas tego

zdania *na pamięć*. Można pogrozić palcem: – „Nie wydawaj tajemnicy, babo! Starannie ukrywaj swoje marzenia!!”. On tak pisze o *wszystkich kobietach*, jakby były one jego konkurentkami – z rozdrażnieniem. Kobiety są wielkoduszne. Każda ma swego męża i wcale nie pretenduje do polowań na ulicznych samców, pozostawia Weiningerowi dużo spodni do wyboru.

Zazdrość (mężczyzn) o kobiety zmusiła go do zniechęcenia „konkurentek”. Równocześnie pełno w nim tęsknot moralnych: w tej tęsknocie ujawnił głęboką moralność kobiet – którą neguje z zazdrości. Przeszedł na chrześcijaństwo, jak zresztą kobiety pierwsze przyjęły chrześcijaństwo (św. Olga, św. Klotylda, św. Berta). Natomiast nienawidzi Żydów i to znowu dlatego, że oni/one są jego „konkurentami” (kobieca natura Żydów – moja *idée fixe*).

\* \* \*

225. Nasz Iwan Pawłowicz to kapłan z urodzenia, ale nie przyjmuje święceń. Dużo zajęć. Póki co, jest nauczycielem w seminarium.

Zawsze trochę drzemie. Jeśli pozwolić mu się wypaść – staje się wesoły. A jeśli rozbudzić, staje się rozdrażniony. Ale nie bardzo i na krótko.

Jego żona – po 8 latach małżeństwa – zaszła w ciążę. Iwan Pawłowicz strasznie się zawstydził i wysłał listy do wszystkich znajomych, żeby go nie odwiedzali. „Żona jest nieco chora, a kiedy wyzdrowieje, dam znać”.

Ona umarła, a on napisał w liście: „Daj jej, Boże, królestwo niebieskie. Tam jej lepiej”.

Tak kończą się nasze „święte historie”. Są bardzo krótkie.

(przypomniałem sobie przy herbacie)

\* \* \*

226. Martwy kraj, martwy kraj, martwy kraj. Wszystko znieruchomiało, żadna myśl nie przychodzi do głowy.

(24 marca 1912, po kupnie 3 miejsc na cmentarzu Wołkowskim)

\* \* \*

227. Nina R-wa ma przyjaciółkę: zajmuje się historią i kosmografią. Przystojna. Ładna. Odpowiedni wzrost. Zapytałem ją:

– Co w mężczyźnie jest najpiękniejsze?

Podniosła głowę w natchnieniu:

– *Siła!*

(wizyta w Moskwie)

\* \* \*

228. Nigdy, nigdy kapłan nie ucieszy się z „owocu łona”.  
Nigdy.

\*

Nigdy *ex cathedra*, co najwyżej prywatnie.

A tymczasem numizmatyk B. miał monetę, na której zobaczyłem brązową Faustina jun., z rewersem (wyobrażenie na odwrotnej stronie monety), na którym kobieta trzyma na rękach dwoje niemowląt, a u jej nóg trzyma ją za suknię jeszcze dwoje małych dzieci. Wokół napis:

FECVNDITAS AVGVSTAE,

To znaczy:

PŁODNOŚĆ CESARZOWEJ.

Byłem tak porażony pięknem tego zdania, że natychmiast kupiłem monetę. Moneta, narzędzie wymiany, będąca w rękach wszystkich: handlarek, prostytutek, rzeźników, frantów, nad Tybrem i na Kapitolu – i nagle cesarzowa Faustyna (żona Marka Aureliusza), taka przystojna, taka królewska (portret na awersie monety), dosłownie wydaje brzemiennie łono w ręce „dobrego ludu rzymskiego” i mówi:

„Cieszcie się, znowu urodziłam, teraz mam czworo dzieci”.

Wszystko to powiedziałem głośno i starzec B., chytry i mądry, natychmiast zawołał swoją żonę: weszła wspaniała dama, 20 lat młodsza od męża, a ja pokazuję jej monetę, zapomniawszy przy tym, jak się zdaje, że jest „dumą”. A ona (Greczynka) natychmiast zrozumiała i zaczęła słuchać, a kiedy delikatnie powiedziałem, że „u pani na pewno nie ma czwórki dzieci” – żywo odpowiedziała:

– A właśnie, że mam równo tyle: marynarz, student, córka...

Zaraz też wyszła i przyprowadziła córkę, tak samo piękną, jak i ona. Córce nic nie powiedziałem (panna) i ona wkrótce wyszła.

Przychodzę po dwóch latach oddać B. dług (70 rubli) za monety. Postarzał się, żona też trochę się postarzała. Mówię do niej:

– Proszę namówić męża, który już jest stary, żeby wspomniał mnie w testamencie i podarował mi tetradrachmę Maronei z Dionizosem trzymającym dwie laski i grono winogron (25 rubli) oraz tetradrachmę Trypolisu (w Fenicji, Maronea jest we Frygii) z głową Dioskurów (około 100 rubli), a B. krzyczy:

– Ach, co też pan... Ja pana przeżyję!

– Skądże, przecież pan jest już zupełnie siwy. Ma pan ogromny majątek, po co komu te dwie monety, warte 125 rubli? Dzieciom nie są potrzebne, to nie ich specjalność. A co z córką?

– Wyszła za męża!!

– Wyszła za męża?! To wspaniale! I...

– Jest już syn – powiedziała szczęśliwa babcia.

Ona była bardzo dobra. Wspaniała. Zupełnie, jak Faustyna. Ani odrobinki starości, „poddania się losowi”; B., chociaż siwy, pełen życia i żwawy jak czterdziestolatek. Jestem przekonany, że jest najbardziej „potrzebną” osobą w swoim ministerstwie.

Takiego „rozjeżdżania się karetami Dionizosa” (mit – jest na monetach), wolnego, bez tłuszczu, ale wesołego i kochającego – nie ma, nie było, nie będzie obok szat z szarfami, zbyt oficjalnych i uroczystych, aby zniżyć się do pieluszek, łóżka i sypialni.

\*

Stąd takie niezrozumienie i wybuch gniewu, kiedy na zebraniach religijno-filozoficznych zaproponowałem, żeby nowożeńcy po ślubie pozostawali na pewien czas tam, gdzie odbył się ślub. Czytałem bowiem u Andrzeja Pieczerskiego, że po pięknej ceremonii postrzyżyn monastycznych dziewczyna spędza w molennie (cerkiew u staroobrzędowców) trzy doby, gdzie jej przynoszą jedzenie i picie. „Co należy się mnichom, to samo małżonkom, równa cześć i równy obrzęd” – taka była moja myśl. Powtórzyłem potem tę myśl – o spędzeniu przez nowożeńców w świętym miejscu trzech, siedmiu dni – na zebraniu i w czasopiśmie „Nowoje Wriemia”. Odosobnienie w miejscu modlitwy, przy migotających obrazach, nielicznych zapalonych świecach, bez ludzi, bez osób postronnych, bez ciekawskich oczu i uszu... jakie może to rodzić myśli i wrażenia! Religijne przeżycia zaczynałyby życie małżeńskie, właśnie *tu*, w *domu modlitwy*. Mimowolnie pojawiałyby się pierwsze „znaki”, jak u wates w starożytności. Któż bardziej tego potrzebuje, niż ci, którzy z trwogą wstępują w nowe życie, w najważniejszy, najwartościowszy, najśłodszy, ale zarazem najniebezpieczniejszy związek. Antoni Chrapowicki przedstawił to zupełnie inaczej, niż ja w chwili jasnowidzenia. Wyobraziłem sobie noc, połowa cerkwi z otwartą kopułą, *pod gwiazdami*, rosną niewielkie drzewa i kwiaty, posadzone przy drózkach, usunięto część podłogi i nasypano czarnej ziemi. Właśnie tu, pośród kwiatów i drzew, pod gwiazdami, *pośród przyrody*, a zarazem w *świątyni* młodożeńcy spędzają tydzień, dwa, trzy, cztery... To jakby letnia część świątyni, w odróżnieniu od zimowej, „cieplej” (w Rosji na północy). Oczywiście, wszystko to można by realizować na południu, ale przecież pod władzą Rosji jest też południe. Co jeszcze? Nowożeńcy pozostają w świątyni tak długo, aż wyraźnie pojawią się oznaki brzemienności. Jest też basen. Przecież w świątyni starotestamentowej był basen dla obmyć kapłanów i arcykapłana – „kamienne morze” stojące na plecach dwunastu wyrzeźbionych byków. Dlaczego tego szczegółu kultu starotestamentowego nie wprowadzić do naszych cerkwi, w których jest starotestamentowa „zasłona”, czyta się „paremije”, czyli fragmenty Starego Testamentu. Przecież związek Kościoła ze Starym Testamentem nie został do końca zerwany. Również w Nowym Testamencie... Czyż nie czytamy na naszej liturgii: „Powiadam wam, że królestwo Boże podobne jest do *komnaty weselnej*...”. „Do komnaty weselnej”!! – oczywiście, nie chodzi w tym wypadku o tańczących gości, co nie różni się od wszelkich innych wieczorynek i nie ma żadnego odniesienia do małżeństwa, a chodzi o komnatę dla nowozaślubionych, w sensie ich *sypialni*. Czyż to, z czym Zbawiciel porównał samą istotę swojej nauki (królestwo Boże) – czyż samą

istotę nauki należy uznać za brudną, niską i niegodną tego, żeby część cerkwi dostosować – upiększyć kwiatami i basenem – do tego obrazu w ustach Pana?! Umieścić w cerkwi *komnatę weselną* – taka była moja myśl. Słuszna jest uwaga Rcy, wielokrotnie powtórzona (a przecież jest on religijny i oddany prawosławiu, nawet swój pseudonim wziął od diakońskiego „rcem”), że ciasto *jeszcze nie dojrzało* (przypowieść ewangeliczna) i *kwias* (drożdże) *nie opanował jeszcze całej mąki wsypanej do naczynia*. Ta mąka, wsypana do naczynia, to całe nasze życie, *cały nasz byt*. Tego „bytu” jeszcze nie opanowały w pełni „drożdże”, „kwias” ewangeliczny, to znaczy słowo Boże, wszystkie przypowieści, obrazy, porównania!!! Pozwólcie: w cerkwi na cmentarzu smoleńskim, gdzie chowałem starszą Nadię, widziałem szyld: *Kantor*, a przecież tej nazwy nigdzie nie ma w Ewangelii! Pozwólcie, władcyko Antoni, że zapytam, dlaczego „Kantor” jest lepszy i bardziej święty od „komnaty weselnej”, o której nie raz Zbawiciel mówił z miłością i szacunkiem? Jeśli „kantor” nie profanuje świątyni, to dlaczego miałyby ją sprofanować komnaty weselne? – oczywiście, nie jedna, a wiele, gdyż w okresie 2-3 miesięcy, do pojawienia się brzemienności tej młodej, powiedzmy Marii, ślub zawarłoby wiele jeszcze Liz i Katarzyn. Jest to dla nas „niestosowne”, bo jeszcze tego nie widzieliśmy i nie przywykliśmy do tego. Między „nie przywykliśmy” i „herezja” – jest jednak różnica. Przy tym żadnych „aktów” (jak zakłada władcyka Antoni!!!) nikt *nie będzie oglądał*, gdyż po upadku wszystko to powinno odbywać się *w tajemnicy, w ukryciu* („skórzane przepaski”). Właśnie dla przypomnienia o tym wstrząsającym prawie poszczególne komnaty (w niszach ścian? – obok ścian? – z tyłu chóru) *powinny mieć zasłony ze skór zwierzęcych*, mając jedynie otwartą przestrzeń nad sobą, dla połączenia się z powietrzem świątyni. Jakże można było nie zrozumieć mojej myśli: przecież w tym wypadku wszystko jest religią, a więc powinno być subtelne i nie mącić spojrzenia oraz umysłu. Wszystko właśnie tak, jak w małżeństwie: gdy rodzina czysta i szlachetna, na przykład dom kapłana, nikt nikomu nie mąci spojrzeń i umysłów przez to, że w tych domach też się ludzie rozmnażają, a przy zamążpójściu córki („wzięli zięcia”) będzie się też ona rozmnażała. Dlaczego nie do takiej rodziny, a do samotnego pokoju rektora-archimandryty musi być porównana nasza świątynia, w której żonatych ludzi jest oczywiście więcej, niż kawalerów lub wdowców!!!???

Niezrozumiałe – w wypadku Chrapowiciego.

Natomiast moja myśl – całkowicie zrozumiała.

\* \* \*

229. Na ziemi nie ma doskonałości...

Nie ma nawet doskonałego Kościoła...

(straszny list Albowa)

\* \* \*

230. Miód i róże...

A w róży – niemowlę...  
„Bóg posłał” – mówi świat.  
„Nie – mówią starcy-mnisi – to od Złego”.  
Ale świat już im nie wierzy.

(w klinice Hel. Pawł.)

\* \* \*

231. W łzach chcę przekazać w sposób prosty, ponizając miłą sprawę: chociaż w sensie naporu – porównanie jest dokładne:

Usta pełne śliny – nie wolno wypluć. Można popaść pod osądzenie starców.

Człowiek je dni, tygodnie, miesiące: nie można „pójść, gdzie trzeba” – wszystko należy trzymać w sobie...

Pileś, pijesz – nie wolno „pójść, gdzie trzeba”...

Oto – dziewictwo.

– Ja się duszę! Mnie rozsadza!

– Nie wolno!

Oto monastycyzm.

Cóż on takiego robi? Jak mógł otrzymać sankcję od ziemi, od kraju, od prawa jako wyjątkowe zjawisko, jako pewna norma i zasada, jako „wzorzec chrześcijańskiego życia”, jeśli jego istotą jest: nigdzie „nie chodź”, kiedy żołądek, kiszki, całe wnętrze jest napięte, a mózg zatruty mocznikiem, który wdziera się do krwi, kiedy żołądek jest zatruty ptomainami, kiedy zaczyna się obumieranie tkanek całego organizmu.

– Nie mogę!!!!

– Nie wolno!

– Umieram!!!!

– Umieraj!

Czyżby, czyżby to była prawda? Czyżby to była prawda *religijna*? Czyżby to była Boża prawda na ziemi?

Dziewczyny, dziewczyny, zostałyście posłane na świat brzuchami, a nie głową. Jesteście strażniczkami Drzewa Życia, a nie kamiennych wykopanych drzew, znajdujących w kopalniach węgla.

Chrońcie Drzewo Życia – jesteście jego Aniołami „z obracającym się mieczem”. Nie opuszczajcie tego miecza.

(w klinice Hel. Pawł.)

\* \* \*

232. Siedmiu starców, którzy nie podnoszą już głów, nie podnoszą rąk, w ogóle niczego „nie podnoszą” i ledwo poruszają szczęką, kiedy żują – patrzcie: oni już nie „požadają kobiet” i są bezzenni.

Jakież zadowolenie dla ojczyzny i radość dla Niebios!

Wszyscy dziwią się starcom:

– Zaiste, oni nie pożądataj, ani w sposób jawny, ani też w ukryciu.

Wszyscy ich wysławiają. Wywyższają ich. Odznaczyli ich. „Żywi bogowie na ziemi”.

Starcy żują kaszkę i uśmiechają się:

– My rzeczywiście nie pożądamy. Jesteśmy wiecznym przykładem dla 17-letnich dziewic i 23-letnich młodzieńców, którzy mogą brać z nas przykład, jak powstrzymać się od pożądatałości i nie wpaść w nierząd.

Jest tak wesoło, że planeta zatańczyła.

(w klinice Hel. Pawł.)

\* \* \*

233. Jakże mógłbym umrzeć nie *tak* i nie *tam*, gdzie nasza mama.

I znowu stałem się prawosławnym.

(w klinice Hel. Pawł.)

\* \* \*

234. W człowieku wszystko jest *określone* i *wykończzone*, z wyjątkiem organów płciowych, które w porównaniu z innymi organami wydają się być jakimś wielokropkiem lub niejasnością... która spotyka i z którą wiąże się niejasność lub wielokropek innego organizmu. A wtedy – oba organy są *oczywiste*. Czyż to nie z tej *niewykończoności* ich wstrętny widok (na co wszyscy się skarżą): i – zachwyty w chwili, kiedy to, co niedopowiedziane – kończy się (akt w odczuciu)?

\*

Jakby Bóg chciał stworzyć *akt*, ale nie spełnił swojej woli, a dał jedynie *początek* w mężczyźnie i *początek* w kobiecie. A oni sami dokończają tę wolę. Stąd jej słodycz i niezwykłość.

W „s” (*utriusque sexus homines*) wszystko jest *dopełnione*: oto dlaczego z „s” wiąże się tyle talentu.

\* \* \*

235. Jedni są młodzi i potrzebują radości, inni są starzy i potrzebują spokoju, dziewczynom potrzebne jest zamęście, a żonatym – „druga młodość”... Wszyscy są w ruchu, wieczny szum.

\*

Życie trwa z powodu „niestałej równowagi”. Gdyby równowaga wszędzie była stała, nie byłoby życia.

Niestała równowaga wywołuje jednak trwożę, „jest mi źle”, niebezpieczeństwo.

Świat jest w wiecznej trwodze i nią żyje.

\*

Cóż to za bzdura to „Państwo słońca” i „Utopia”: ich istotą jest *wieczne szczęście*. To znaczy ostateczna „stała równowaga”. To nie jest przyszłość, to jest śmierć.

(odprowadzając Wierę na dworzec)

\* \* \*

236. Socjalizm przeminie jak dysharmonia. Wszelka dysharmonia przeminie. A socjalizm to – burza, deszcz, huragan...

Wszędzie słońeczko i wszystko osuszy. Wszelka dysharmonia przeminie. Będą mówić tak, jak o wyschłej rosie: „Czy to możliwe, że on (socjalizm) w ogóle *był*”? „I uderzał w okna gradem: braterstwo, równość, wolność”?

– O, tak! A ilu ten grad zabił!!

– Zdziwiająca. Dziwne zjawisko. Aż nie chce się wierzyć. Gdzie można poczytać o jego historii?

\* \* \*

237. Dlaczego ciągle *napadam* na Dobczyńskich? Czyż oni nie chcieliby być takimi, jak Shakespeare? Przecież właśnie *dlatego* się złościę, że „nie są jak Shakespeare” – nie na ich *temat*, a na sposób, fason, styl. Skąd jednak „wziąć Shakespeare’ów” i *czy z tego powodu* inni mają nie żyć?...

Jakże wiele jest we mnie śmiertelnych elementów.

I znowu – pustynia.

Każdy powinien żyć, Dobczyński też. Czyż to nie ja mówiłem, że jest też „idea *włosa*” (według Platona), idea – „nicości”, a nawet idea *negacji* i *wady*. Bóg mierzy nie tylko wiorstami, ale także milimetrami i „milimetr” jest tak samo potrzebny, jak i „wiorsta”. I wszyscy – żyją. „Potrzęsają brzuszyskami”... A, niech tam. Moją sprawą jest *zachwycać się*, a nie nienawidzić.

Zachwycałem się w Moskwie, patrząc na parostatek. „Hulaka po ogródkach” (*café de chante*), położywszy obie ręce na plecach innego hulaki, mówi:

– Ja sam – i *nikogo*!

Potem jakieś szept i znowu krzyk:

– Wyobraź sobie: ja sam i *nikogo*!

Opowiadał o tym, że „wczoraj przyszedł gdzieś tam i – nie spotkał *nikogo* ze „swoich”.

Był tak miły w swojej radości, że „oto teraz jedzie z przyjacielem”, że zapamiętałem to na dziesiątki lat. To, że wtedy go *polubiłem*, że mi *się podobał* – to moja dobroć. A „literatura” jest od Złego.

(pisząc artykuł o pożarach)

\* \* \*

238. Człowiek *rozproszony* jest *skoncentrowany*. Ale nie na tym, czego oczekuje lub pragnie, a na czymś innym, swoim.

\* \* \*

239. Zawsze miej skoncentrowane dążenia i nie oglądaj się na boki. Nie znaczy to – bądź ślepy. Oczyma patrz wszędzie, ale duszą nigdy nie patrz na wiele, a na *jedno*.

\* \* \*

240. ...a jednak tęsknisz za tym, żeby być znanym, uznanym, zdecydowanym. Jest ten robak, jak pot na nogach, woskowina w uszach. Wszystko zalewa. Wszystko wonieje. A ucho dobre. I noga dobra. Należy tego potwora wyraźnie wydzielić i powiedzieć: Pluń na niego.

Zdumiewające, ale w Nadzi Rom., Oldze Iw. (żona Rcy) i w „przyjacielu” nigdy nie było dążenia do tego, żeby być znanym, chociaż troszeczkę. „Wszystko jedno”. Ze względu na tę ich cechę (choć mieli wiele innych wspaniałych cech) patrzyłem na nich z jakimś lękiem zachwytu.

\* \* \*

241. Kochać szczęśliwą i wielką ojczyznę – to nie jest coś wielkiego. Powinniśmy ją kochać wtedy, kiedy jest słaba, mała, poniżona, a w końcu głupia, a na dodatek kaleka. Właśnie, właśnie wtedy, gdy nasza „matka” jest pijana, kłamie i cała splamiona jest grzechem – wtedy nie powinniśmy od niej odejść... A to jeszcze nie jest ostatnia sprawa: kiedy w końcu ona umrze, wygłodzona przez Żydów, kiedy będzie wyglądać jak „szkielet”, wtedy ten będzie „Rosjaninem”, kto będzie przy niej płakał, nikomu nie potrzebnej i przez wszystkich oplutej. Niech tak będzie...

(porządkując bibliotekę)

\*

Jakże zacmokali wargami „idealista” Boruch i „taka miła” Rebeka Ju-na, „przyjaciel naszego domu”, kiedy przeczytali „Ciemne oblicze”. Wtedy sobie powiedziałem: „W tył zwrot! Lękaj się!” (mój stosunek do Żydów).

Oni myśleli, że ich nie widzę: chociaż „wiecznie śpię”. Ja jednak spojrzałem. Boruch, zeskakując z sanek, ożywiony, wesoły, szczęśliwy zawołał, jakby przekazywał mi jakąś tajemniczą myśl:

– No, a jednak – on jest *klamcą*.

Wystraszyłem się. A Rebeka powiedziała w pokoju Sz-y: „N-n-no... tak... Przeczytałam „Ciemne oblicze”. Z jakimś szczęściem na wargach. Dosłownie, jakby zjadła coś słodkiego.

Trzeba zobaczyć takie *fizjologiczne* rzeczy, aby zrozumieć to, czemu nie chcemy wierzyć w ksiązkach, w historii, w opowiadaniach. Rzeczywiście, jest jakaś *nienawiść* między *Nim* i żydostwem. Kiedy się o tym myśli – staje się

strasznie. Wtedy noumenalnie, a nie fenomenologicznie rozumiesz słowa „Ukrzyżuj *Go*”.

Czy Żydzi o tym myślą? Tłum? Nigdy się nie wypowiadają na ten temat.  
(porządkując bibliotekę)

\* \* \*

242. Tak... cała nasza historia jest nieco jak zapadły kąt, całe nasze życie też jest nieco jak zapadły kąt. I administracja, i *citoyens*.

(w wagonie)

\* \* \*

243. Ileż męczącej pracy w doborze materiału (i „przypisów”) do „Problemu rodzinnego”. To są moje literackie „kopalnie”, przez które przeszedłem, żeby pomóc rodzinie. Jak „Zmierzch oświaty” – żeby pomóc dzieciom. Ileż miłości w każdej stronie. Ale już to może być przyczyną, żeby powiedzieć: „On nic nie czuje”, „niczego nie potrzebuje”.

(w wagonie, rozmyślając o swoich krytykach)

\* \* \*

244. Jakie to przerażające, że człowiek (wieczny filolog) znalazł słowo na określenie tego zjawiska – „śmierć”. Czy *to* w ogóle można jakoś nazwać? Czy *to* ma jakąś nazwę? Nazwa jest przecież określeniem, mówi, że „coś wiemy”. A my przecież o tym *nic nie wiemy*. Mówiąc w rozmowie „śmierć” jak byśmy tańczyli w blamażu uważając to za kolację lub pytali „Ile jest godzin w misce zupy”? Cynizm. Bezsens.

\* \* \*

245. Jaki mam stosunek do młodego pokolenia?

Żaden. Nie sądzę.

Myślę rzadko. Ale zawsze jest mi żal młodego pokolenia. Sieroty.

\* \* \*

246. Miłość jest *cierpieniem*. Kto nie cierpi (nad innym), ten nie kocha (innego).

\* \* \*

247. Literatura (druk) zaraziła człowieka *miłością własną*. Wszyscy zaczęli *bać się* literatury: wszyscy zaczęli czegoś od niej *oczekiwać*... „Ci oszuści jednak rozdają nagrody!” Stąd bierze się *siła* literatury.

Jej siła kończy się tam, gdzie człowiek przymyka na nią oczy. „Szósta władza” (Napoleon o druku) przemienia się nagle w szarą zniszczałą wioskę, gdy tylko odwrócicie się do niej plecami i *patrzycie na rzecz*, a nie na transparent z napisem: „Szósta władza”.

\* \* \*

248. Rewolucja ma dwa wymiary – długość i szerokość, ale nie ma trzeciego – głębi. Z tego powodu nigdy nie będzie miała *dojrzałego, smacznego owocu*, nigdy się „nie spełni”...

Rewolucja będzie wszystko przemieniać w *rozdrażnienie*: nigdy jednak nie nadejdzie ten ostateczny moment, kiedy człowiek mówi: „Dosyć! Jestem szczęśliwy! *Dzisiaj* jest tak dobrze, że *jutro* jest już niepotrzebne”... Rewolucja zawsze będzie męką i będzie pokładać nadzieję wyłącznie w „jutrze”... Każde „jutro” oszuka ją i przemieni się w „pojutrze”. *Perpetuum mobile, circulus vitiosus* i nie z powodu nieskończoności – o, nie! – właśnie z powodu krótkości. „Pies na łańcuchu” uplecionym z własnych zgniłych uczuć. „Nora”, „długość łańcucha”, „powrót do nory”, trwożny, krótki sen.

\*

W rewolucji nie ma radości. I nie będzie.

Radość – to zbyt królewskie uczucie i nigdy nie wpada w objęcia lokaja, jakim jest rewolucja.

\*

Dwa wymiary: rewolucja nie jest większa od człowieka, jest mniejsza. Jest mechaniczna, materialistyczna. Nie jest to przypadek, nie jest to prosty związek z „teoriami naszego czasu”; to – los i wieczność. W istocie, podziemna rewolucja w duszach obywateli zaczęła się już wcześniej i wszystkich popchnęła do niesienia na swoich plecach Comte’a-Spencera i im podobnych.

\* \* \*

249. Rewolucja składa się z dwóch warstw: niższa i autentyczna, jej *arheus agens* – gorycz, nienawiść, potrzeba, zawiść, rozpacz. To jest demokracja. Wierzchnia warstwa – złota: to sybaryci, zabezpieczeni i *nic nierobiący*, spacerujący, ale *niepracujący*. Zostali czymś urażeni na spacerach, albo po prostu byli zbyt dobrzy, miękcy, ustępliwi, cukierkowaci. A przy tym w swoim kręgu oni są „równi”, a niektórzy nawet poniżeni. Przechodząc w demokrację natychmiast stają się *primi inter pares*. Demokracja doskonale umie „całować w ramię”, zabiegać, schlebiać, chociaż dla „szczerości i umiłowania prawdy” obchodzi się po chamsku, kłóci się, napada, *kpi* z arystokraty i jego (teraz wczorajszego) arystokratyzmu. Demokracja też doskonale wie, „gdzie raki zimują”. To, że „Korolenko jest pierwszy wśród literatów swego czasu” (po Tołstoj), że Hercen jest arystokratą i milionerem, że hrabia Tołstoj jest właśnie „hrabią”, a księżę Kropotkin był „księciem”, a w końcu, że Sibiriakow ma kopalnię złota – o tym ona doskonale pamięta pomimo całego „socjalizmu”, uczciwie się prowadzi w obecności „tego wszystkiego” i bierze „pod uwagę”.

Bierze pod uwagę nie tylko jako wygodę, ale także jako *honor*. W socjalizmie lokaj wcale nie został zlikwidowany, a starannie ukryty. Do Hercena wszyscy leźli i do Sybiriakowa też leźli, do Szaliapina leżą nawet po kilka rubli, które on daje różnym kółkom w postaci „zbiórki na pierwszym spektaklu” (na swoich tournée: słyszałem o tym od socjaldemokraty, który o wszystkim wie w swojej partii i bardzo się dziwił). Kropotkin nie podpisuje się po prostu „Kropotkin”, „socjalista Kropotkin”, „obywatel Kropotkin”, a „księżę Kropotkin”. Nie zapomina się nawet o tym, że Ławrow był *profesorem*. Nic, jednym słowem, nie omija się z honoru, ze sławy: lubią słodycz, jak i wszyscy „śmiertelnicy”. Równocześnie pogardzają „epoletami” i „rangami” dawnego reżymu...

Mamy więc dwie warstwy: ruchoma – to czarna gromada na dołach, „my *chcemy*” i – „my nie sprzeciwiamy się”, plastyczna i pasywna. Wierzchnia warstwa – to pobożne Katyliny: „My wspaniałomyślnie spalimy dom, w którym sami żyjemy i w którym żyli nasi przodkowie”. Czarna gromada, oczywiście, zamieszka w domach tych przodków: ale skoro jest to *czarna* gromada, nie tylko z powodu biedy, ale także z istoty buntu i nienawiści (dwa wymiary, *bez trzeciego*), to w „nowych domach” nie poczuje ona żadnej radości. Zupełnie, jak Nikita i Akulina „w nowych rzeczach” (z „Władzy ciemności”):

– Och, zgaście światło! Nie chcę herbaty, zabierajcie wódkę!

Rezultatem rewolucji, *jeśli ona się uda*, będzie wielkie *volo*:

– Zasnąć!

Samobójstwa – era samobójstw...

W tym wypadku Kropotkin z astronomią i fizyką oraz z „przyjaźnią” (także miłość własna) niewiele może pomóc.

\* \* \*

250. Istnieje charyzmat słuchania głosów i charyzmat widzenia twarzy. Przy ich pomocy przenikamy w duszę człowieka.

Nie każdy umie słuchać człowieka. Ktoś słucha słów, rozumie ich sens i logicznie na nie odpowiada. Nie może jednak uchwycić „półtonów”, *odcieni dźwięków* w „pół-tonach” – a przecież właśnie w „półtonach” wypowiada się dusza.

Głosu należy też słuchać podczas czytania. Dlatego nie każdy, kto „czyta Puszkina”, ma cokolwiek wspólnego z Puszkinem, a jedynie ten, kto wsłuchuje się w głos *mówiącego* Puszkina, odgaduje intonację, jaką miał żywy Puszkin. Kto „nie słucha żywego Puszkina” w przerzucanych kartkach, ten właściwie go nie czyta, czyta kogoś innego, który „miał taki sam talent i wykształcenie, jak Puszkin”, i pisał o tych samych tematach” – ale nie czyta *samego* Puszkina.

Stąd tak obce i głuche są „akademickie” wydania Puszkina, zawalone górą „przypisów”, a u Wiengierowa jeszcze z topornymi obrazkami i wszelkim uczonym jarmarkiem. Jakby na Puszkina wysypali śmieci z kosza; on cały w kurzu, brudzie, śmieciach. Zniknęła – w samej postaci i formie wydania – główna cecha jego duszy: zdumiewająca *prostota i krótkość opisu*. Oczywiście,

najlepsze wydania, a nawet jedyne, które można wziąć do ręki bez uczucia obrzydzenia – stare wydania, na grubym papierze, każdy wiersz zaczyna się od nowej strony (wydanie Żukowskiego). Albo – poszczególne wiersze, wydrukowane za życia poety. Albo – jego wiersze i fragmenty dramatyczne w „Siewiernych Cwietach”. Mam „Borysa Godunowa” z 1831 r. i 2 książeczki „Siewiernych Cwietow” z Puszkinem, a także wydanie Żukowskiego. Za 30 lat te wydania będą cenne jak złoto, a mistrzowie będą powtarzać (oczywiście, bez ingerencji cenzury) papier, krój czcionki, rozkład utworów, ortografię, format i oprawę.

W takim wydaniu możemy osiągnąć słuchanie Puszkina. Nie sięganie przez druk *do głosu* sprawiło, że obojętnie kto „wydaje” i „studiuje” Puszkina oraz pisze do niego komentarze. Nie można się nie zdziwić, do jakiego stopnia obecnie „wydawcy klasyków” nie mają nic wspólnego z wydawanymi poetami lub prozaikami. „Powinni wydawać Boncz-Brujewicza, a wydają Puszkina”. Uniwersalnie czytany „towarzysz”, w demokratycznej koszuli, uchwycił Puszkina „jakim on jest” w szynelu, z bobrowym kołnierzem oraz z francuskim kapeluszem i poniósł, podniósłszy wysoko ponad głowę (z szacunku) – jak niedźwiedź Tatianę w znanym śnie.

Ile ma wspólnego niedźwiedź z Tatianą, tyle samo wspólnego mają obecni komentatorzy z Puszkinem.

Do tajemniczego i trudnego dzieła „wydawniczego” mają zastosowanie słowa Archimedesza:

Noli tangere meos circulos.

\* \* \*

251. Dusza oziębła...

Strasznie, kiedy nastąpi oziębnięcie duszy.

\* \* \*

252. Czy jest możliwe, że pozytywista zapłacze?

Wyobrażenie sobie czegoś podobnego jest równie dziwne, jak i to, że „krowa jechała wierzchem na kirasjerze”.

A to kończy moje rozmowy z pozytywistą. Rozstaję się z nim **wiecznym rozstaniem**.

\*

Pozytywizm w tajemnicy swojej duszy lub, ściślej, w swojej bezduszości:

Niech pozbawione czucia ciało  
Dokładnie i równo się rozłoży.

Pozytywizm to filozoficzne mauzoleum nad umierającą ludzkością.  
Nie chcę! Nie chcę! Pogardzam, nienawidzę, boję się!!!

\* \* \*

253. Ludzie wędzną jak kwiaty.

\*

Jesień – nic nie ma. Jakże straszne jest to: „nic nie ma”. Jakże straszna jest jesień.

*(jadąc dorożką)*

\* \* \*

254. Bóg prasuje człowieka ciężkim żelazkiem.

.....  
.....  
.....

I wyrównuje duchowe zmarszczki.

.....  
.....

Oto dlaczego powiadają: Bój się Boga i nie grzesz.

*(jadąc w nocy dorożką)*

\* \* \*

255. Wielki jest garb ludzkości, wielki jest garb ludzkości, wielki jest garb ludzkości...

Idzie, kuśtyka, z gołą głową, z tym ogromnym garbem na plecach (cierpienia, cierpliwość) wielki starzec; jego skóra poczerniała, nogi ma poranione...

\*

Dlaczego młodzież tańczy na jego garbie? „My jesteśmy ostatnimi”, „my” jesteśmy wszystkim, wszystko – „nam”.

No, to tańczcie, panowie.

*(zajmując się numizmatyką)*

\* \* \*

256. Na „tamnym świecie” będziemy niemowami.  
Zachwyty napęlni nasze dusze.  
Zachwyty zawsze jest niemy.

\* \* \*

257. Ciągłe czekam, kiedy Grzegorz Spirydonowicz P-w napisze swoją autobiografię. Przecież jest on godnym uwagi człowiekiem.

\*

Oczywiście, Korolenko jest jeszcze bardziej godnym uwagi człowiekiem: opublikował tom opisu swojego życia pod wspaniałą woalką: „Historia mego współczesnego”. Dlaczego coś podobnego nie mógłby napisać G. S. P-w? Nie jeden Kutuzow miał swego Michajłowskiego-Danilewskiego: mógłby mieć także Barklaya de Tolly. Dlaczego „nasi rówieśnicy” nie znaleźli sobie dowódcy i biografa – można powiedzieć: wsadzić sobie za pazuchę „Michajłowskiego-Danilewskiego” i podyktować mu te wszystkie słowa.

– Ja nie potrzebuję Tytusa Liwiusza – mówią współcześni Aleksandrowie Macedońscy – piszę dość dobrze i sam opiszę moją wyprawę do Indii.

\* \* \*

258. Grupa klechów zjada jesiotra. Wchodzi filozof:

– No, cóż, panowie... to jest ojcowie duchowni... wszędzie w świecie zimno... Zmarłem... i przyszedłem ogrzać się u was... Bóg z wami: przebaczam wam waszą okamieniałość, całą waszą głupotę, nie zwracam uwagi na jesiotra... Wszystko to ludzkie słabości, być może, czasowe. Jesteście faryzeuszami, ale... siedzicie *jednak* „na katedrze Mojżeszowej”, nie ma na całym świecie takiej katedry, jak wasza. Był ktoś, kto zwrócił uwagę na wasz faryzeizm, zrzucił was i wraz z wami samą „katedrę”... Ja na odwrót: ze względu na znaczenie „katedry”, której niczym nie da się zastąpić, nie zwracam na was uwagi i składam moją głowę u podnóżka „katedry”...

\* \* \*

259. Jeśli Filosofow przejdzie po mokrym trotuarze, to potem kaszle przez tydzień. Nie rozumiem, jak on może być przyjacielem robotników?

A więc Antychryst nazwie się „przyjacielem Chrystusa”, Żyd przyjacielem chrześcijanina, papież przyjacielem Antychrysta, a Proudhon przyjacielem Rothschilda. Co z tego wyjdzie? Świat się rozpadnie, straci granice, związki, gdyż straci siłę odpychania. Jest ona konieczna: same związki istnieją dzięki sile odpychania. Świat zresztą nic nie straci, gdyż oni wszyscy, od Filosofowa do papieża, jedynie nadadzą sobie nazwy, a wszystko pozostanie tak, jak jest: papież – wróg Antychrysta, a Antychryst – jego wróg; Filosofow – wróg plebsu, a plebs – wróg Filosofowa. A mówić możecie, co się wam podoba.

Oto zaiste mowy, w których „nuda i tłamszenie ducha” (Eklezjastes).

\*

Nasze przekonania – to wcale nie nasz język, a nasze buty.

Znoszone buty, łąpcie, smarowane, „od Wejsa”. Tak siebie klasyfikujecie.

\* \* \*

260. Rosyjski „marzyciel” istnieje po to, żeby rozmawiać. To w jakich celach on nie istnieje? Czyż w tym wypadku nie chodzi przypadkiem o pracę?

(jadąc do sklepu)

\* \* \*

261. Prawie nie spotyka się Żyda, który nie miałby jakiegoś talentu. Ale nie szukajcie wśród nich geniusza. Przecież Spinoza, którym oni tak się chwala, był naśladowcą Kartezjusza. A geniusz nie może być naśladowcą.

Jedno i drugie – talent i nie więcej niż talent – wynika z ich związku z Bogiem. „Ze względu na ten związek” nikt nie jest pozbawiony pewnego talentu jako oddalonego lub ściślego odbłasku Boga. Jednak z drugiej strony, wszystko należy do Boga. Żydzi są silni dzięki swemu Bogu i pozbawieni przez Niego sił. Oni dosłownie miotają się: wielki jest Bóg, ale Żyd, nawet prorok, nawet Mojżesz nie wyjawiają osobistego i wolnego „ja”, co często jest cechą innych narodów. Przy Kancie, Kartezjuszu i Leibnizu wszyscy myśliciele żydowscy – to po prostu „zegarmistrzowie-czyściciele”. Przy blasku Shakespeare’a kim są pisarze żydowscy od Heinego do Ajzmana? W ich wolności nigdy nie pojawi się wspaniałość Bakunina. „Szerokość” i „dal”, i – Żyd: to nie do pogodzenia. Oni wszyscy „chodzą na palcach” przed Bogiem. Z jednej strony ich to chroni, ale z drugiej – ogranicza.

\* \* \*

262. O Rylejewie, który – „bez względu na pogodę – codziennie rano szedł pieszo i modlił się przy grobie cesarza Aleksandra II”, którego był adiutantem. Był przeciętnym człowiekiem – nawet miał Francuzkę z baletu, z którą przeżył całe życie. Cóż zmuszało go do chodzenia na grób? Kto go zmuszał? Przecież my nawet na groby swoich rodziców, swoich dzieci (nasza Nadzia jest pochowana na cmentarzu smoleńskim), nie chodzimy przez *całe życie* codziennie, nie chodzimy nawet w każdą niedzielę, a nawet – niestety! – co miesiąc! Kiedy usłyszałem tę opowieść (Masłowa?) w naszej redakcji, byłem porażony i już wiele lat nie mogę jej zapomnieć, ciągle ją sobie przypominam. „Zmarły padyszach jest mniej warty od żywego psa”, przeczytałem w arabskich bajkach, a przecież w sensie powodzenia, wygód zmarły „Wyzwoliciel” nie był już jemu (Rylejewowi) przydatny. Cóż więc za uczucie żywił Rylejew do cesarza? Oczywiście, było to *przywiązanie, pamięć, wdzięczność*. Przypuśćmy, że ½ to szlachetność Rylejewa († około 1903 r. i z powodu jego śmierci rozmawialiśmy w redakcji); a ½ zależy wyraźnie od *cesarza*. Jaki stąd wniosek? Władcy nie są jedynie „formą wielkości”, istotą „w mundurze i w todze”, ale jest w nich coś *głęboko ludzkiego i wzniosłego*, o czym *nie wiemy z tego powodu, że jesteśmy daleko od władców* – i poza „mundurem” nic nam nie jest pokazywane. Wszystkie opowieści, na przykład o Napoleonie III – są

antypatyczne (to znaczy sam Napoleon jest w nich antypatyczny). Ale on nie był „władcą z urodzenia” – i instynkt „gorliwca” przyczepił się do otrzymanej władzy, zdarł z niej całą wielkość, czar i prawdę. „Chciał się urządzić” – z cesarzową i dziećmi. „Władca z urodzenia” nie ma takiej potrzeby: zawsze „przywiązany”, nie kwestionowany, ma to szczęście, które było właściwe „temu pierwszemu szczęśliwcowi”, który miał na imię Adam. Obok niego zawsze rosną rajskie jabłuszka, których nawet sam nie musi zrywać. Jest to psychika całkowicie różna od naszej. Wszyscy są w nim zakochani, wszystko ma, a co zechce – to ma. Cóż można mu życzyć? Zgodnie z naturalną psychologią – szczęścia ludziom, szczęścia wszystkim. Kiedy my „świętujemy”, kiedy udała się nam „miłość” – to z wszystkimi wokół dzielimy się szczęściem, nie licząc – komu, nie licząc – ile. Dlatego psychologia człowieka „urodzonego” to naturalna dobroć, ale dobroć ta nagle przepada, kiedy on zaprzecza. Dlatego nie zaprzeczanie władcy jest istotą królestwa, *regni et regis*. Zdumiewające, ale wszyscy okrutni władcy Rosji byli „w stanie sporu”: Iwan Groźny z bojarami i pretendentami, Anna Ioannowna z Radą Najwyższą i poza tym z powodu niejasności swoich praw, Katarzyna II (wypadek z Nowikowem i inne) także z powodu okoliczności „wstąpienia na tron”. Wszystko to natychmiast mąci istotę i zniekształca całą postać. Właśnie dlatego „kochanie władcy” (prosto i jasno) jest istotą sprawy w monarchii i „pierwszym obowiązkiem obywatela”. Nie z fałszu i padania na kolana, ale z tego powodu, że w innym wypadku zniszczone zostanie wszystko: „obiad nie ugotowany”, „wiśnie zwarzył mróz”, „pola pobite gradem”. Jest to zasada ogólnoświatowa i ogólnoludzka, na co wskazuje fakt, że ludzie „w opozycji” i dążący do zniszczenia władzy, to znaczy sami pretendujący do niej, rwący się do władzy – godzą się ze wszystkim, ale odnoszą się z podejrzliwością do wszelkiego sprzeciwu wobec siebie, sporu ze sobą, a kpin nie mogą znieść. To oni odrzucili Strachowa (krytyka), a Niezłobina-Djakonowa przeklęli z taką złością, która w „losie literackim” równa się „zesłaniu na katorgę”. „Nie wolno znieważać wielkości opozycji, ani też jej *prawdy*”, na tym ½ wieku bazuje w Rosji los literatury, a wokół niej rozwija się karierowiczostwo i hazard. „Wszyscy biorą rangi i ordery po prostu z *wiernopoddańczych uczuć*”, także opozycja, a jej *falsz* jest po prostu chamski. Pełni „uczucie wiernopoddańczych”, z żądzą i zapalem, byli Pisariew, Zajcew i Błogoswietow; ten ostatni w *życiu* był niesłuchanym sługusem, miał Murzyna przy drzwiach swego gabinetu, tonął w rozkoszach, jego bliscy (jak opowiadają) tonęli w „amorach” i pieniądzach, kiedy w jego czasopiśmie publikowano „dziarskie” artykuły w duchu: „wszystko rozkradniemy”, „Puszkina to g...”. Czyż nie jest to sługus, a skoro raz „zasalutował” i stoi „na froncie” przed opozycją – to wszystko trzeba mu „wybaczyć”, zapomnieć, a on sam powinien dostać „nagrodę”, rentę i rangę. Co to jest? Czyż nie jest to „nadworny urzędnik”, gotowy dla wykorzystania przez przyszłą i oczekiwaną władzę, dla *les rois* w łachmanach? Odkryjmy *istotę* sprawy: „nie budźcie nas ze *snu*”, „pozwólcie nam uważać się za *prawych*, wiecznie *prawych*, *prawych* we

wszystkich wypadkach – a zalejemy was szczęściem”... „Przyznajcie, że jesteście półbogami – a będziemy lepsi nawet od samego Boga!!” To jest element chłystowski, element „żywych chrystusów” i „żywych bogurodzic”, jak Katarzyna Breszkowska lub Zofia Pietrowska... „Joannici”, wszyscy „joannici” przy „batuszce Janie Kronsztadzkiem”, którym w tym wypadku był Żelabow. Kiedy raz napisałem w prasie, że Żelabow był głupi, to nawet dobry Struwe rzucił się na mnie z niesłychaną nienawiścią, chociaż Wiergieżskiej mówił o rewolucjonistach takie rzeczy, na które ja bym sobie nigdy nie pozwolił. „Myśl sobie, co chcesz, ale na placu okaż gorliwość” („Hura!!”): i Struwe nakrzyczał na mnie, zażądał wyrzucenia mnie z prasy, po prostu za słowa, że Żelabow był głupi. „Jego Wysokość zawsze jest mądry” – w odniesieniu do Ludwika XIV, lub wymarzonego, oczekiwanego i przedwcześnie wysławianego Cromwella. Patrzysz na to i widzisz: przecież to *ogólnoświatowa* psychologia, *ogólnoświatowa* potrzeba, *ogólnoświatowe* centrum, że człowiek *tylko w szczęściu i samozapomnieniu* – jest autentycznie *dobry*, „czyni miłosierdzie i sprawiedliwość”. No, dobrze: to dlaczego czekać na jutro, czyż nie lepiej pokłonić się dniu wczorajszemu? Dlaczego rąbać toporem i strugać kukłę – pozornie „kukłę”, a dla wierzącego serca ikonę – dlaczego nie postawić „na honorowym miejscu” tę, którą mamy w swoim domu, od urodzenia?

Zwłaszcza my, ludzie niższych warstw, którzy nie uczestniczymy we władzy i *nie chcemy uczestniczyć*, którzy lubimy wiersze i gwiazdy, mikroskop i numizmatykę – powinniśmy „wszystko zostawić tak, jak jest” i nie stawać w opozycji” do *le roi á present* w interesach *le roi future*, „Żelabowa Nr 1”.

„Nam wszystko jedno”... Uspokójmy się i róbmy swoje. Oto dlaczego od „14 grudnia 1825 r. do dzisiaj” cała historia Rosji jest odchyleniem i po prostu dokonuje się nie wiadomo po co. „Zaszczyliśmy nie do tego zaułka” i żadnego „domu nie znaleźliśmy”. „Trzeba zawrócić”, „nie trafiliśmy na przyjęcie”.

\* \* \*

263. Nie wyobrażajcie sobie, że jesteście „bardziej moralni” ode mnie. Nie jesteście ani moralni, ani niemoralni. Jesteście po prostu zrobionymi rzeczami. Magazyn zrobionych rzeczy. Wezmę pałkę i porozbijam te rzeczy.

Porcelanowa filiżanka jest moralna czy niemoralna? Można powiedzieć, że jest ona czysta, że jest dobrze wykonana, namalowano na niej ładne „kwiatki”, to wszystko. A mnie bardziej podoba się Azor w budzie. Chociaż jest on brudny, w śmieciach – ja jednak będę się nim bawił. A z wami nie mam co robić.

(po otrzymaniu listu od G-na, że Sto-r przestał u mnie bywać z powodu mojej „niemoralności” – w ideach? w artykułach?)

\* \* \*

264. ...Pokazywał daczę. Przechodzę przez sypialnię i widzę podwójne łóżko. Mówię:

– Czy... żyjecie?

– Do końca życia! – zdecydowanie odpowiedział duchowny.

Jego córka już od czterech lat jest zamężna, a wyszła za mąż po skończeniu studiów.

\*

On bardzo lubił ryby (morskie). Pewnego razu rozpętała się burza, a on wypłynął gdzieś na 10 wiorst. Żona biega nad brzegiem i krzyczy:

– Płyńcie ratować księdza! Ratujcie księdza!

Finowie nie ruszają się. Boją się (rybacy).

– Dam dziesięć rubli!!!

Rybacy weszli do ogromnej łodzi i popłynęli w morze. Pod wieczór przywieźli księdza. Żona dała rubla i nie chciała z nimi rozmawiać. Wyzywali się.

A ona sama bardzo lubiła grzyby. Idąc zbierać grzyby zawiązywała na głowie chustkę jak chłopka. Już o 10 rano wracała z pełnym koszem grzybów.

Zapytasz:

– *Gdzie* znaleźliście grzyby?

– Tam – nieokreślenie machnie ręką.

Nigdy nie powie, gdzie znalazła grzyby.

\*

Pewnego dnia padał deszcz. Biegłem do domu. Był wieczór. Patrząc, pod parasolem ktoś stoi. Stoi i patrzy na morze. Pierzyna deszczu. „Na co on patrzy? Czeka na kogoś?”

Przy herbacie opowiedziałem o tym księdzu. Zaśmiał się:

– To mój ojciec. Przyjechał do nas z Wiatki. Nigdy nie widział morza. Strasznie kocha wodę. Jak zobaczy morze, nie może się oderwać. Też jest księdzem. Ma 74 lata.

\*

On i „pęcherzyki puszczał”. Jak ten. Chyba pamiętał z Iłowiajskiego, i mówi:

– Poprosiłem, żeby pożyczyci mi Wiklifa. Będę kontynuował dysertację rozpoczętą w Akademii Teologicznej, ale wtedy tej dysertacji nie skończyłem. Teraz mam dużo czasu, to dokończę. Przysłali dziewięć tomów. Zimą zacznę pisać.

Był „profesorem teologii” w wyższej (technicznej) uczelni w Petersburgu. Na jego wykłady nie przychodził ani jeden człowiek, a on był miłosierny do studentów i też nie przychodził na wykłady. Pensja, honor i mieszkanie. Tak się to wszystkim spodobało, że zaproszono go na także na kursy (żeńskie). Na kursach też miał wykłady, to znaczy otrzymywał pensję.

Jego dacza jest warta dziesięć tysięcy, z działką. Wspaniały sad. Dwa domy, w jednym mieszka „sam”, drugi wynajmuje. Chodziłem do niego do łaźni parowej. Łaźnie niezbyt wygodna. Krótkie półki (do leżenia), niedostosowane.

Po co jemu ten „Wiklif” – śmiałem się w duszy. Przypomniałem sobie Juliusza Cezara: „Zamiast być *drugim* w Rzymie, wolę być *pierwszym* na wsi”. Ksiądz wśród uczonych profesorów (wyższa szkoła) też chce być uczonym teologiem, szczególnie zainteresowanym reformacją w Anglii.

\* \* \*

265. Nie mam najmniejszej ochoty kłócić się ze Spencerem. Pragnę jedynie wczepić się w jego bokobrody i wyrwać z nich ½ włosów.

Zdumiewające, że widząc na scenie „starych urzędników z czasów Mikołaja” (u Ostrowskiego i innych), Rosjanie nie zauważyli, że Spencer jest podobny do nich wszystkich. A jego „Syntetyczna filozofia” przypomina departament akuratnie podzielony na „oddziały” i „kierowników”. A on sam był tylko dyrektorem departamentu, z pretensjami do rewolucji.

W VII klasie gimnazjum czytałem jego dzieło „O wychowaniu umysłowym i moralnym”, i jeszcze jakimś, i ja (gimnazjalista!!) byłem porażony głupotą autora – nie głupotą *poszczególnych myśli*, a – *tonu*, można powiedzieć – samej *duszy* autora. Autor od pierwszej strony jakby wygłaszał wykład jakiejś głupiej, wyobrażonej sobie przez niego mamuśce, chociaż jestem przekonany, że wszystkie angielskie *lady* są znacznie mądrzejsze od niego. Tę mamuśkę on obdarzył wszystkimi głupimi cechami, jakie tylko sobie wyobraził, to znaczy, jakie ma on sam, ale jakich nie mają Angielki. Owey wymyślonej mamuśce czyta pouczenia, podniósłszy do góry wskazujący palec. Mnie (gimnazjalistę!) przez cały czas dręczył problem: „Jak on *śmiał!* Jak on *śmiał!*” W tym czasie jeszcze nic nie wiedząc, kątem oka i na koniec zdrowym rozsądkiem (gimnazjalisty!) widziałem, czułem, wiedziałem, że zmęczone i wyczerpane matki jednak troszczą się o swoje dzieci, podczas gdy ten bałwan o nic się nie troszczył – matki znają przecież, widzą swoje dziecko, podczas gdy Spencer (oczywiście, kawaler!) znał dzieci jedynie z „British Illustration” i swoje „Wychowanie umysłowe” pisał „z głowy”, a przy tym wcale nie była to głowa genialna. Na przykład: „Nie należy dzieci powstrzymywać, gdyż jeśli nie będą powstrzymywane, dojdą do *następstw* swoich niesłusznych myśli i swoich szkodliwych pragnień, a wtedy, czując *błąd* tych myśli i *ból* wywołany ich szkodliwością – zawrócą, co będzie *doskonałym wychowaniem*”. I nawet daje przykład wyobrażonej sobie głupiej mamuśce: „Jeśli, na przykład, dziecko chce zbliżyć się do ognia, to niech sobie opali palec”... Nic bardziej skomplikowanego, niż ten przykład, nie przychodziło do jego końskiej głowy. A tu 8-letni chłopiec zaczyna zajmować się onanizmem, przypadkowo doświadczywszy przez dotyk jego przyjemności. Co powinna zrobić „mamuśka”? Czy powinna czekać, kiedy syn w wieku 20 lat „rozczaruje się”? Spencer nic nie słyszał o zgubnych nawykach dzieci!! Oczywiście, dzieci w

„British Illustration” nie zajmują się onanizmem, ale matki o tym wiedzą, dręczą się tym i nie wiedzą, jak sobie z tym poradzić. Moje ulubione zajęciem od 6 do 8 lat było następujące: podchodziłem do dopalającego się pieca, gdy ½ dREW jest jeszcze rozpalona do czerwoności, wyciągałem zza pasa koszulę i urządziłem „żagiel”. Wierzchni skraj koszuli brałem w zęby, a palcami rąk silnie dociskałem niższe brzegi żagla do pieca, zakrywając szczelnie otwór w piecu. Gorące powietrze natychmiast napływało do koszuli i wydymało ją. Jeszcze teraz widzę: rozpalony żagiel opada na piersi i brzuch – gorąco uderza w moje ciało. Piękno tego zjawiska mnie pociągało. Nie przyszło mi do głowy, że może *buchnąć płomień* i właściwie stoję na granicy śmierci. Byłem przekonany, że wszystko zapala się od ognia, a nie od żaru, że koszulę można zapalić nie inaczej, jak „podpaliwszy ją zapaloną zapalką”: „Jest tylko jeden sposób zapalenia czegośkolwiek”. Lubiłem to robić, kiedy byłem sam w pokoju, prawie kontemplując to, co robię. Z niecierpliwości również przy mamie robiłem „żagiel”. Mama, zawsze zmęczona i niezauważająca nas, nic mi nie powiedziała o niebezpieczeństwie. Według Spencera „nie należało nic wyjaśniać”, dopóki się nie spale. Mama jednak nic nie napisała, a Spencer napisał 10 tomów. Cóż innego można zrobić z takim głupcem, jak nie wytargać go za bokobrody?!!

(po porannej lekturze gazet)

\*

To po prostu pospolitość!

Tak wyraził się Tolstoj, w przekazanej przez kogoś „rozmowie”, na temat „Ożenku” Gogola.

\*

Już cały rok noszę w sobie te słowa i myślę: Jakie to genialne! Nie tylko słuszne, ale także precyzyjne, pozostaje jedynie postawić „kropkę” i nic już nie dodawać.

*Cały* Gogol, *cały* – poza „Tarasem” i historiami ukraińskimi – jest pospolitość pod względem treści. Gogol jest *geniuszem* formy, „*jak*” układa utwór i jak opowiada.

Chciał ukazać „pospolitość pospolitego człowieka”. Załóżmy. Chociaż to bardzo dziwny temat. Można zająć się czymś bardziej interesującym. Czy naprawdę w świecie nie ma nic bardziej interesującego? A jego zajęła i to na wiele lat, na całe życie, jedynie pospolitość.

Zadziwiające powołanie.

Wstrząsnęła mną pewna opowieść Riepina, którą mi przekazał, jeśli nie z drugich rąk, to z trzecich rąk. Załóżmy, że z *drugich* (to znaczy usłyszał go od człowieka, który znał Gogola, być może bywał jego gościem), a wtedy dosłownie przekazał to:

– „Spośród nas, młodzieży, która nic jeszcze nie zrobiła i w niczym się nie przejawiała, Gogol był w Rzymie nie tylko najstarszym, ale także najbardziej

szanowanym ze względu na sławę, która otaczała jego nazwisko. Z tego powodu nasza mała kolonia, mała grupka, zbierała się u niego raz w tygodniu (założmy, że w niedzielę). Jednak te zebrania, szacunek żywiony przez nas do Gogola, były dość ciężkie. Gogol przyjmował nas nadzwyczaj majestatycznie i pobłażliwie, podawał herbatę i jakieś zakąski. Jednak nic „nie wchodziło” do gardła na skutek jego lodowatego, powściągliwego, tłamszącego stosunku do nas. Odbywała się nieprzyjemna ceremonia picia herbaty przez drobnych urzędników u wysoko postawionego dygnitarza, a przy tym jego stosunek do nas, chełpliwy i milczący, był taki, że w następną niedzielę czuliśmy się zobowiązani znowu przyjść, znowu pić tę słabą i zimną herbatę, znowu oddać cześć tej sławie rozumu i słowa – i odejść”.

Nie pamiętam dosłownie słów Riepina, ale sens zapamiętałem. Kiedy Riepin mówił (idąc, na daczy – wiał wiatr) i coraz ściślej przyciskał do ciała swój lekki burnus, ja zastygałem ze strachu, gdyż poczułem, że przede mną wyrasta z ziemi największa tajemnica Gogola. On był formalnym, powściągliwym, tryumfalny jak „arcykapłan” martwoty, odprawiający „nabożeństwo” z dikirionami i trikirionami: kłaniał się, wygłaszał takie i takie „słowa” swojej wielkiej, ale *w treści pustej i bezsensownej* sztuki. Nie zdecyduję się, żeby nie wypowiedzieć ostatniego słowa: *idiota*. On był także samo niewzruszony i stały, „nieodchylający się w żadną stronę”, jak człowiek pozbawiony wewnątrz siebie wszelkiego rozumu i wszelkiego sensu. „*Piszę*” i „*sic*”. Wspaniale. Ale jaka myśl? Idiota wytrzeszcza oczy i nic nie rozumie. „Słowa” natomiast są wspaniałe. „Słowa” takie, jak u nikogo drugiego. On doskonale wie, że „jak u nikogo”, zachwycony bezsensownym zachwytem i pełen bezsensownej pychy.

– Tfu, diabeł! – Zgiń!...

Manekin mruga oczyma... Zimnymi, szklanymi oczyma. Nie rozumie, że za słowem *coś* powinno być – za słowem powinno *coś się kryć*: *pożar* lub *powódź*, *przerażenie* lub *radość*. On tego nie rozumie – daje ostatni szlif słowu i roznosi ostatnie szklanki ohydnej zimnej herbaty swoim „czcicielom”, którzy w jego głupiej, pospolitej głowie wydają się być jego podwładnymi w kwestii słowa, zobowiązanymi do zaśpiewania kantaty ku czci dyrektora departamentu... to znaczy twórcy „martwych dusz”.

– Tfu, diabeł! Tfu, jakież ty diabeł!! Przeklęty czarownik z czarnym piętnem w duszy, cały martwy i lodowaty, cały szklany i przezroczyisty... w którym *nic* nie ma!

Nic!!!

Nihilizm!

– Zgiń, nieczysty!

Starczą twarzą śmieje się z grobu:

– Przecież mnie nie ma i nie było! Ja się tylko pokazałem...

– Wilkołak przeklęty! Zgiń! Zgiń! Zgiń! Z nami moc krzyża! Czym się przed tobą obronimy?

„Wiarą” – podpowiada serce. W kim zakiełkowało ziarno „wiary” – wiary w ludzką duszę, wiary w swoją ziemię, wiary w jej przyszłość – dla takiego człowieka Gogola *zaprawdę nie było*.

Nigdy bardziej dziwny człowiek... podobieństwo człowieka... nie pojawił się na naszej ziemi.

\* \* \*

266. Pogaństwo jest porankiem, chrześcijaństwo – wieczorem.  
Każdej poszczególnej rzeczy i całego świata.

\*

Czyż nigdy nie nadejdzie poranek, czy to naprawdę jest ostatni wieczór?...

\* \* \*

267. Rydel – żelazny. Tylko nim można zebrać chwasty.  
Oto podstawa kar i więzień.

Gdy nie kocha się człowieka, nie współczuje się człowiekowi, nie broni się go – można odrzucić ten żelazny rydel.

We wszystkich religiach istnieje wyobrażenie i oczekiwanie raju i piekła, to znaczy wewnętrzny głos całej ludzkości, głos religijny. „Chuligaństwa”, „zarzynania” i „okradania” – nie broni także Niebo.

Bronią wyłącznie „nowi chrześcijanie” i socjaldemokraci, póki sami są karani i nie mają co jeść. Proszę poczekać: zasiądą przy stole, a wtedy nakażą odprowadzić do więzienia każdego, kto im przeszkodzi w położeniu nóg na stole.

\* \* \*

268. Z 4 milionami majątku siedział z rozciętym gardłem w wygodnym fotelu.

Było tak: wszedłem, zapytałem Wasyla, „czy można” i po otrzymaniu zgody wszedłem do gabinetu. Nie. Podeszedłem do biurka. Nie. Przejrzałem 2-3 książki, zerknąłem na papiery, odwróciłem się do tyłu i zacząłem powoli wychodzić...

Na mnie patrzyły oczy: z boku płonącego kominka za parawanem stał fotel, a w nim siedział on, taki niezauważalny...

Gdyby wypowiedział jedno słowo, jakąś myśl, pragnienie – jutro usłyszałaby o tym cała Rosja. Wszyscy zwróciliby uwagę na to słowo, wzięliby je pod uwagę.

Ale on od trzech lat nie wypowiadał już żadnych słów. 78 lat.

Pocałowałem jego głowę, tę siwą, miłą (dla mnie) głowę... W oku, w ruchu głowy – ta sama dobroć i łaskawość, *talent* (zadziwiająca!), które

widziałem w nim 12 lat. Miał (na pewno) swoje wady: nie było w nim jednak żadnego braku talentu, nawet w poruszeniu głową. Przecież on był młody, zawsze młody; teraz, umierając, był tak samo młody i naturalny, jak zawsze.

Wziął arkusz papieru i napisał kulfonami:

– *Przecież ja tylko zabawiam się, lecząc się. Dobrze wiem, że wkrótce umrę.*

Wszyscy umrzemy. Ale dopóki nam „nie przetną gardła” – wygłaszamy słowa, piszemy, „staramy się”.

On był zupełnie spokojny. Nie miał żadnych bólów. Gdyby je miał – wtedy by krzyczał. O, wtedy byłby to zupełnie inny widok. A on umiera bez bólu, wygląda bardzo spokojnie.

Znowu wziął arkusz i napisał:

– *Tolstoj na moim miejscu ciągle by pisał, a ja nie mogę.*

Zapytał o ostatnie utwory Tolstoja. Powiedziałem, że są słabe. On napisał:

– *Nawet Chadzi-Murat. Cóż to jest warte w porównaniu z „Córka kapitana”? G...*

To jego ulubione słowo. Lubił mocne rosyjskie słowa, ale w chwilach łaskawości wypowiadał je z obronnym uśmiechem dziecka. „Skarbnica narodowa”.

On był przecież nacjonalistą, ale nie w obecnym sensie „partyjnym”. Nie zapominał o swoim Woroneżu, skąd wyjechał jako nauczyciel szkoły powiatowej, pełen talentów, wesołości i nadziei: pojechał „w Rosję”, kochając jej sławę, chcąc jej pomagać. Póki co, jego artykuły pisane pod pseudonimem „Nieznajomy” nie są interesujące: czyż mamy mało liberalnych prześmiewców? To, co w nim jest wzruszające i piękne, ujawniło się wtedy, gdy jak średniowieczny rycerz zawinął w węzełek swoją „popularność” i zaniósł do kapliczki przydrożnej, pomodlił się przed ikoną i – wyszedł z zupełnie nowymi uczuciami. „Nie powinienem żyć dla swego imienia, a dla Rosji”. Właśnie tak żył. Dokładnie pamiętam poszczególne słowa, wypowiedziane na swój temat przy mnie, z których jasno wynikał *właśnie taki sens*.

(o A. S. Suworinie – w maju 1912 r.)

\* \* \*

269. Rosjanie, jak wiadomo, potrafią się we wszystko wcielać. Pewnego razu wcielili się w Dumasa-fils. Pojechał w uczuciem autentycznego Francuza badać Rosję i dziwne obyczaje rosyjskie. Kiedy na granicy zapytano go o nazwisko, skromnie odpowiedział:

– Boborykin.

\* \* \*

270. Najważniejsze w Boborykinie jest to, że on w niczym nie napotyka przeszkód...

Nie mogę sobie wyobrazić Boborykina w „trudnościach”.

Wszystkim ludziom jest trudno, tylko Boborykinowi jest ciągle łatwo; myślę, że bardzo trudno przygotowywane rzeczy on przygotowuje łatwo.

\* \* \*

271. Niosę literaturę jak swoją trumnę, niosę literaturę jak swój ból, niosę literaturę jak swoją odrazę.

\* \* \*

272. Żadnej tragedii w duszy... Matka i syn utonęli. Można by zwariować i zapomnieć, gdzie stoi kałamarz. A on jedynie napisał „tragiczny list” do Proudhona.

*(o Hercenie)*

\*

Proudhon był dla niego „znanym cudzoziemcem”, jak dla całej nieszczęsnej Rosji, która bez „cudzoziemców” po prostu dusi się.

„Zbyt jest zasnute wszystko, co rosyjskie. Dajcie jakąś dziurkę w niebie”. – W samej rzeczy, „tęsknota za cudzoziemcem” czyż nie jest owocem niezwyklego wpływu ogromu własnej ziemi i nawet cywilizacji, „wszystkiego” – na małą duszę każdego człowieka.

– Tnę, szybko dać Niemca!

Bardzo naturalne. „Cudzoziemiec” jest naszym protestem, jest naszym westchnieniem, jest „swoją twarzą” w każdym, którą chce się zachować w niezmiernie Rosji.

– Na Boga! Bockla!! Szybko!!!

To tak, jak „dajcie powąchać amoniaku” podczas omdlenia.

*(w konnym tramwaju)*

\* \* \*

273. Cała jego natura jest pełzająca. On pełza, jak korzenie drzewa w ziemi.

*(o Fl-m)*

\*

Powietrze – to żywioł najbardziej mu obcy. Myślę, że on nie mógłby biec. Potknie się i upadnie. Wszystko – do ziemi i w ziemię.

*(na liście otrzymanym od Ust-go)*

\* \* \*

274. Nie przypadkiem już w gimnazjum nie mogłem rozwiązać zadania „z kupcami” lub „z kranami” (reguła trzech) – dalej nie mogę ich rozwiązać.

Co to za „warunki” i trzeba je gdzieś „wstawić”... „No, do diabła z nimi!!!” – i ze wstrętem zamykałem książkę.

„Jutro odpiszę od kolegi” lub „kolega podpowie”. Zawsze podpowiadali.

Dobrzy gimnazjaliści. Nigdy ich nie zapomnę. Jeślibym miał coś zostawić z „Imperium Rosyjskiego” – to tylko gimnazjalistów. Na nich nawet „Sąd Ostateczny” połamie sobie zęby. Pałą – i tyle, ale na koszt „pokojówek”. Najbardziej sprawiedliwe rzeczy na świecie.

(z „pokojówkami” – różne o nich chodzą słuchy)

\* \* \*

275. Ja jedynie śmieję się lub płaczę, Czy rozmyślam w sensie właściwym?  
– Nigdy!

\* \* \*

276. Wytargać pisarzy za włosy to bardzo właściwa rzecz.

\*

Oni są jak dzieci, ale są bardziej cwani i mają już ze 40 lat.

\*

Klechy w Średniowieczu dobrze im się dali we znaki. I słusznie.

Centrum – to życie, jego matecznik... A pisarze to złote rybki lub – płóć, bawiąca się przy brzegu. Nie należy „przenosić” matecznika w zależności od ruchu ogonów złotych rybek.

(rano, po lekturze gazet)

\* \* \*

277. Czego chciał, tym się zakrztusił. Kiedy nasza prosta Ruś pokochała go prostą i piękną miłością za „Wojnę i pokój” – on powiedział: „Mało. Chcę być Buddą i Schopenhauerem”. Jednak zamiast „Buddy i Schopenhauera” otrzymano jedynie 42 zdjęcia, na których jest on sfotografowany w  $\frac{3}{4}$ ,  $\frac{1}{2}$ , *en face*, z profilu i, jak się zdaje „od nóg” – siedząc, stojąc, leżąc, w koszuli, w kaftanie i jeszcze w czymś, za pługiem i jadąc wierzchem, w czapce, kapeluszu i „po prostu tak”... No, diabeł potrafi śmiać się z tych, którzy jemu (sława) sprzedają swoją duszę.

„Jaką fotografię wybrać?? – mówią dwie kursantki i student. Kupują trzy i płacą za nie 15 kopiejek.

Sic transit gloria mundi.

\* \* \*

278. *Sława* – to nie tylko wielkość: sława to początek *upadku* wielkości... Popatrzcie na Kościoły, na królestwa i królów.

(na wizytówce)

\* \* \*

279. Wśród eserów są niegłupi *jeunes premiers*; wtedy oni bardzo dobrze się urządzają.

(2 takie wypadki)

\* \* \*

280. Jeśli mąż płacze nad zmarłą żoną, to zapytajcie w tajemnicy lokaja: „Czy przypadkiem nie znał Zamysłowskiego?” Gdy lokaj powie: „Tak, u nas *bywał* także *Zamysłowski*” – idźcie na posterunek policji i poinformujcie, że ten pan urządził w swoim domu parodię pogrzebu, a *de facto* zbierają się u niego przestępcy, z którymi opracował plan napadu na mieszkanie burmistrza. Natomiast rzekomo zmarła „żyje” z całą tą szajką.

Czy nie do tego *tonu* i *ducha* sprowadza się „szlachetny kierunek” w naszej prasie? Mówiąc inaczej: jedynie takie informacje są u nas „godne szacunku, wzniosłe i idealne”.

Tak... *noli tangere nostros circulos*.

(po przeczytaniu opinii Harrisa o „*Odosobnionym*”)

\* \* \*

281. Jest to człowiek dość odcytany: okazuje się, że poprawnie wymawia tak trudne wyrażenie, jak „przewartościowanie wszystkich wartości”. Z tego powodu redaktorzy wszystkich czasopism i gazet chcą z nim współpracować.

\* \* \*

282. Śmiech niczego nie może zabić. Śmiech może jedynie przytłoczyć. Ale cierpliwość zwycięży wszelki śmiech.

(lata sześćdziesiąte i później)

\* \* \*

283. To jest jakiś *wywołujący wrażenie* Boborykin poezji.

Tak, zna wszystkie języki, opanował wszystkie rytmy, można powiedzieć, że „w tej materii” nie odczuwa żadnych przeszkód dla pióra, myśli i wyobraźni: na podstawie tych cech wydaje się być *nieskończony*.

A *dusza*? On jej nie ma: to wieszak, na którym powieszono szaty hinduskie, meksykańskie, egipskie, rosyjskie, hiszpańskie. Najlepiej, gdyby powiesił też cygańskie, ale tych właśnie nie ma. Cała ta tryumfalna parada mundurów odbywa się przed czytelnikiem, który myśli: „Co za bogactwo!” A w istocie pod tym wszystkim – po prostu żelazny gwóźdź, dzieło kowala Iwanowa, prosty, gruby, elementarny.

A jego *sumienie*? Nawet nie próbuj stawiać tego problemu.

(w sądzie okręgowym, czekając na sekretarza, o poecie B-te)

\* \* \*

284. Technika połączyła się z duszą i dała jej nieograniczone możliwości. Ale równocześnie stłamsiła duszę. Powstała „dusza techniczna”, ma jedynie mechanizm twórczości, ale nie ma natchnienia twórczości.

*(o druku i Gutenbergu, w sądzie)*

\* \* \*

285. Smutek – to mój wieczny gość. Jak ja lubię tego gościa!

Przychodzi w ubraniu niezbyt bogatym i niezbyt biednym. Chudziutki. Myślę, że jest podobny do mojej mamy. Nic nie mówi, albo bardzo mało. Jedyne obecność. Nie jest ani rozdrażniony, ani zmartwiony. Co ja opisuję: czy są po temu odpowiednie słowa? Smutek jest nieskończony.

Smutek – to nieskończoność!

\*

On przychodzi wieczorem, o zmroku, bezszelestnie, niezauważalnie. On już „jest tutaj”, kiedy myślisz, że go nie ma. Teraz, nie sprzeciwiając się, nie kwestionując, przyczepia do wszystkiego, o czym tylko pomyślicie, swój osad: ten „osad” – jest nieskończony.

Smutek – to wymówka, skarga i niewystarczalność. Myślę, że on podszedł do człowieka w tej wieczornej godzinie, kiedy Adam „skosztował” i został wypędzony z raju. Od tamtego czasu jest on zawsze blisko nas. Zawsze „gdzieś tutaj”, ale pokazuje się wieczorem.

*(sąd okręgowy, czekając na sekretarza)*

\* \* \*

286. Problem „Żyda” jest nieskończony: można o nim mówić i napisać więcej, niż o okresie dzielnicowym w historii Rosji.

Jest tu i „tak”, i „nie”.

*(sąd okręgowy, na wizytówce)*

\* \* \*

287. Istota naszych czasów – wszystko przemieniają w szablon, schemat i frazes. Przemówili wielcy mężowie. Był Schopenhauer: i „pesymizm” stał się frazesem. Był Nietzsche: i jego „Antychryst” przemówił tysiącem końskich gardzieli. Chwała Bogu, że w tych czasach przestano czytać Ewangelie: z Ewangeliemi zdarzyłoby się to samo.

Z tych hołbli nie da się wyskoczyć.

– Chce pan odnieść sukces?

– Tak.

– Już, zaraz. Przygotujemy panu szablon.

– A ja chcę serca. Myślałem o duszy.

– Proszę wybaczyć. Mamy tylko szablon.

– To nie trzeba... Nie, lepiej już pójdę. Zabiorę ze sobą swoją biedę.

(na wizytówce Makarewskiego)

\* \* \*

288. Skąd w ludziach tak dużo żeliwa? Ten metal w nich przeważa.

– Dlaczego człowiek nie jest stworzony ze złota?

„Złoto jest dla aniołów”.

A jednak złote nici przenikają żeliwo. Z jaką męką! Ale za to, jaki potem zachwyty!

(po rozmowie z duchownym)

\* \* \*

289. Każdy autentycznie odnosi się jedynie do samego siebie. Nawet racjonalista jest nieco fałszywy w stosunku do socjalizmu, a to dlatego, że socjalizm jest dla niego – przedmiotem. Jedynie w tym wypadku, gdy przedmiot i podmiot jest jednością, znika fałsz.

\*

Pod tym względem jakąś daleką, chociaż i zamgloną gwiazdą jest egoizm – „ja” dla „ja”... moje „ja” dla „mnie”. To smutne, to suche, to dziwne. Ale to jest – prawda.

\* \* \*

290. Siła Żydów tkwi w niezwykle starej krwi...

Nie jest to krew zgrzybiała: ona dobrze „wystała się” i ciągle była polerowana (walka, wysiłek, spryt). Oto dlaczego nigdy nie usłyszymy od Żyda: „Jaki ja jestem zmęczony” oraz „Odpocząłbym”.

\* \* \*

291. Broń swojej miłości paznokciami, broń swojej miłości zębami. Broń jej wbrew rozumowi, broń jej wbrew władzy.

Bądź silny w miłości – a Bóg ciebie pobłogosławi.

Bowiem miłość jest korzeniem życia... A Bóg jest życiem.

(jadąc do Wołkowa)

\* \* \*

292. Życie rosyjskie jest brudne i słabe, ale za to – jakie *miłe*!

\*

Boisz się stracić coś ostatniego, inaczej „naplułbyś na wszystko”. Boisz się stracić coś jedyne, co się nie powtórzy.

\*

Powtórzy się jako coś lepszego, ale nie *takie samo*. A chcesz właśnie „takiego samego”...

(*jadąc do Wołkowa*)

\* \* \*

293. „Współczesność” dusi jedynie pustego człowieka. Dlatego skargi na współczesność są – puste.

\* \* \*

294. Nie, mój grzech nie jest przeciwko Kościołowi, mój grzech nie jest też przeciwko Bogu – nie cieszcie się, klechy!

\*

Mój grzech – przeciwko człowiekowi.

\*

Nie tęsknię za „moralnością”. Wszystko to są bzdury. *Nie mam* już 12 lat. A to mnie wcale *nie boli*.

\* \* \*

295. – Teraz! Teraz! – i ze szczęśliwą, dziecięcą twarzą zaczęła zakładać palto, wkładając chorą rękę w rękaw, jak w mieszek...

Gdy weszła Eug. Iw., ona była już w swoim szarym kostiumie angielskim.

Pojechaliśmy do Lid. Er. – Patrzyłem na schody: pierwszy wjazd daleko. Chromając ona szła, jak na wspaniały bal. „Tak daleko!” – obietnica wyzdrowienia...

Niestety...

\*

Wróciła cała jak zmierzch... (zmęczona).

(21 kwietnia 1912 r.)

\* \* \*

296. A jednak właśnie *miłość* mnie nie oszukiwała. Rozczarowałem się do wiary, do cywilizacji, do literatury. Rozczarowałem do ludzi. Ale tych dwoje ludzi, którzy mnie kochali – do nich nigdy się nie rozczarowałem. Wcale nie dlatego, że *było mi dobrze* z powodu ich miłości, wcale nie: jednak pragnienie zobaczenia w człowieku czegoś *idealnego, prawdziwego* – jest wieczne. W tych dwóch przywiązanych do mnie ludziach („przyjacielu” i Julii) zobaczyłem prawdę, w której nie było „księżycy w ostatniej kwadrze” – a na ich świetlistych obliczach nigdy nie zauważyłem ani jednej „zmarszczki” moralnej.

*Gdybym sam był taki* – moje życie byłoby wspaniałe i byłbym *doskonale szczęśliwy*, bez konstytucji, bez literatury i bez pięknej twarzy.

\*

Widzieć to, co najlepsze, co najpiękniejsze i wiedzieć, że jest to do ciebie przywiązane – to los bogów. Tylko dwa razy w życiu – ostatni raz 20 lat temu – miałem „podobieństwo życia Bożego”.

\*

Myśląc niekiedy o Fl., znacząc znakiem krzyża jego plecy z A. – i z bólem myślę o sobie: „Oto *on* potrafił zachować...”.

\* \* \*

297. Wszystkie szkoły żeńskie w najlepszym wypadku kształcą na mniszki, a w najgorszym na prostytutki.

Pojęcia „żona” i „matka” nikomu nie przychodzą do głowy.

\* \* \*

298. Być może, nasz naród jest zły, ale to nasz, nasz naród, a to decyduje o wszystkim.

\*

Gdzie można uciec od „swego”? Poza „swoim” – *obce*. To słowo decyduje o wszystkim. Popróbujcie żyć „w obcym kraju”, popróbujcie żyć „z obcymi ludźmi”. „Lepiej jeść kromkę chleba w swoim domu, niż pierogi – z obcych rąk”.

\* \* \*

299. Więcej miłości, więcej miłości, dajcie miłość! Duszę się w zimnie. O, jak wszędzie jest zimno!

\* \* \*

300. Moja księga przychodów i rozchodów jest warta „Listów Turgieniewa do Viardot”... To coś zupełnie *innego*, ale to taka sama oś świata i w istocie taka sama poezja.

Ileż wysiłków! Ostrożności! Lęku, żeby nie przekroczyć „limitu”! Ileż zadowolenia, kiedy „na pierwszego” udało się związać koniec z końcem.

\* \* \*

301. Za każdym razem, kiedy do „kanonów” przyłącza się w kapłanie osobista gorliwość – powstaje coś strasznego (obłudnik, Torquemada); jedynie wtedy, gdy „opuści ręce” – jest dobrze. Dlaczego? Z jakiego *powodu*?

\* \* \*

302. Po prostu zupełnie nie znoszę śmierci.

Czyż nie jest to dziwne, przeżyć całe życie tak, jakby ona nie istniała? A przecież to coś zwykłego i stałego. Tymczasem odnoszę się do niej tak, jakby nikt i nic nie powinno umrzeć. Jakby nie było śmierci.

Coś, co jest normalne, co jest „zawsze”, a ja tego nie widzę.

Oczywiście, *widziałem* ją, ale to znaczy, że *nie patrzyłem* na umierających. A czyż to nie oznacza, że ja ich *nie kochałem*?

Jakiż ze mnie „głupi człowiek”, głupi i straszny. W tym momencie nienawidzę siebie, jestem wrogiem samego siebie.

\* \* \*

303. Nigdy nie byłem *bezpośrednio* złączony z Kościołem (w dzieciństwie, w młodości, w wieku dojrzałym)... Zawsze byłem w Kościele *obserwatorem*, *stałem* – **chciałem się** pomodlić, ale już nie modliłem się, oceniałem, w dojrzałym wieku bardzo zachwyciałem się Kościołem... Ale to zupełnie nie to samo, co na przykład w „przyjacielu”, w jej matce: „przyszedłem” i „modłę się”, „to – *moje*”, „tutaj – *my* wszyscy”, „to – *nasze*”. Dzięki temu także w Kościele byłem „cudzoziemcem” – „zachwyconym Anarchistą”, jak w polityce, niestety, jak – we wszystkim.

Ta straszna *pustynia* mnie męczy: nigdzie nie jestem „swój”; na ziemi nie ma miejsca, gdzie poczułbym: „moje”, „mnie *dane*”, „wrodzone”.

Całe moje życie jest poszukiwaniem: „gdzie jest to *moje*?” Tylko w „przyjacielu” mignęło to, co „moje”. To coś „w losie”, „w gwiazdach”, to znaczy spotkanie i przywiązanie. To, co jest żywe i idealne, żyjące, a nie żeby „na skutek tego, co żywe (co się spodobało) – idealizować”. Taki związek jest opatrnościowy. Coś Bóg mi w tym wypadku „wskazał”, do czegoś „doprowadził”.

(*pisząc artykuł o zjeździe strażaków*)

\* \* \*

304. Niepotrzebnie znieważałem Kuskową...

Wszystko jest takie piękne...

\*

Ona stara się o to, co jest jej powierzone. A czyż i ja nie staram się o to, co jest mi powierzone?

(*likwidując komary*)

\* \* \*

305. Połączenie chytrości z dzikością (naiwnością) – to moja zadziwiająca cecha. A także z nieudolnością w szczegółach, w tym, co bliskie – połączenie

dalekowzrocności, wyrachowania i doświadczenia w tym, co dalekie, co „ostateczne”.

„Drżące drzewo” napisałam jako pierwszy rozdział książki „Ciemne oblicze”. Zostało ono wydrukowane wiele lat przed „Ciemnym obliczem”, a *wtedy* nikt nie domyślał się sensu i tendencji tego artykułu.

A we wstępie do „Ludzi księżycowej poświaty” jest już całe „Odosobnione”.

(w kło...)

\* \* \*

306. Nie jestem wrogiem moralności, po prostu „nie przychodzi mi to do głowy”. Albo „odkleja się”, kiedy (na czyjeś żądanie) stawiam problem. „Zasady postępowania” nie mają chemicznego pokrewieństwa z moją duszą, a w takim wypadku nic nie da się zrobić. Następnie, ludzie z „zasadami postępowania” zawsze byli mi wstrętni: jako sztuczni, jako nierozumni, w których w ogóle nie ma nic ciekawego. „On dał ci jakiś szpargał, przeczytaj i będziesz o nim wiedział wszystko”. Czyż nie na tym polega mój zachwyt nad „przyjacielem”, że gdy zobaczy się wspaniale „moralnego” człowieka, któremu jego „moralność” nawet nie przychodzi do głowy, gdyż jest on takim „od Boga”, „od rodziców” i wieczności, który nie ma dwojących się myśli, który nie ma ukrytych myśli, który nigdy do nikogo nie miał czuł zła – to porzucasz sztukę, „wytworność”, z rąk wypada „Krytyka czystego rozumu”, cicho odchodzisz na bok, aby on ciebie nie widział – śledzisz i śledzisz go, jako coś najwspanialsze, co w ogóle można zobaczyć na ziemi.

Piękny człowiek – właśnie w tym sensie: „dobry”, „łaskawy” – jest najlepszy na ziemi. Zaiste świat został stworzony po to, aby zobaczyć tego człowieka.

Po cóż zresztą rozważać? Oto przykład. Zmierzchało. Wszyscy w domu są zmęczeni, jak psy. Ja zajmuję się porządkowaniem biblioteki, a Nadia (chuda, błąda pokojówka, z mężem i dzieckiem) myje okna. „Kuśtyka” moja W. – idzie do okna – chwyta prawą ręką (zdrową) szyję Nadi, przyciąga jej głowę i całuje jak swoje dziecko. Nadia przestraszyła się: „Co pani robi?” W. zapłakała i mówi: „Bóg nam ciebie posłał. Zdrowie masz słabe, w rodzinie nieszczęście (mąż chory, leży na wsi, nie ma pracy, dziecko ma przepuklinę), a ty pracujesz i nas nie opuszczasz”. Odeszła. Nie czeka na odpowiedź i na wrażenie.

Jest taki rodzaj pracy i służby, w których nie ma pana i sługi, wszyscy wykonują swoją pracę, *zaprowadzają harmonię*, bo ona jest *potrzebna*. Skrzynka, gwoździe i narzędzia: narzędzia przepadłyby bez skrzynki, a skrzynki nie można by zbić bez gwoździ i narzędzi, ale „gwoździe” nie są najważniejsze, gdyż wszystko – „dla narzędzi”, a z drugiej strony „skrzynka wszystko zawiera” i „jest ważna”. Rozumiał to Puszkina, kiedy nie stawiał się ani troszeczkę wyżej od „kapitana Mironowa” (twierdza Bielogorska); kapitanowi było dobrze przy Puszkynie, a Puszkiniowi było dobrze z kapitanem.

Jakże to wszystko jest zrozumiałe teraz, kiedy wszystko rozrywa złość.

\* \* \*

307. W *plci* – *siła*, *pleć* jest *siłą*. Żydzi są *zjednoczeni* z tą siłą, a chrześcijanie są od niej *oddzieleni*. Oto dlaczego Żydzi pokonują chrześcijan.

Walka dotyczy *istoty*, a nie pozorów – i to w takiej głębi, że można dostać zawrotu głowy.

\*

Dalsza rezygnacja chrześcijaństwa z *plci* będzie miała jako swój skutek wzrost tryumfów Żydów. Oto dlaczego „we właściwym czasie” zacząłem głosić *pleć*. Chrześcijaństwo powinno chociaż częściowo stać się falliczne (dzieci, rozwód, to znaczy uporządkowanie rodziny i „pogrubienie jej warstwy”, zwiększenie ilości rodzin).

\*

Niestety, wykształceni Żydzi tego nie rozumieją, a wykształconym chrześcijanom „nic do tego”.

\* \* \*

308. – Po co mam iść na „świeże powietrze”, skoro „świeże powietrze” samo idzie do mnie? Po to jest wiatr, żeby człowiek się nie niepokoił.

(*na: „Pójdź na spacer, na świeże powietrze”*)

\* \* \*

309. Kiedy życie przestaje być miłe, to po co żyć?

– Popełnisz wielki grzech, jeśli sam spowodujesz śmierć.

– Diabły! Czy zajrzeliście w mój smutek, aby mnie pouczać, kiedy jest już za późno? Co ja mam z wami wspólnego? Co wy macie ze mną wspólnego? Czy umrę, czy nie umrę – to moja sprawa. Wam nic do tej sprawy.

Trzeba było mówić do żywego człowieka. Wtedy wszyscy milczeli. Nad martwym wasze mowy nie są potrzebne.

(*przygotowując skręty*)

\* \* \*

310. Śmierć jest tym, że po niej nic nie jest już interesujące.

\*

Ale śmierć nastąpi dla wszystkiego.

\*

Czy mam powiedzieć, że – nicość nie jest interesująca?

---

Być może, bibliografia Turgieniewa jest teraz dla niego samego interesująca? Brrr...

\* \* \*

311. Czyż „religia Tołstoja” nie jest „tam i siam” tulskiego arystokraty, który dobrze żył, którego bardzo sławiono – i *który nad niczym autentycznie nie bolał?*

Autentycznie, gorąco i osobiście. W chłodzie Tołstoja – jego śmiertelny udział.

(czytając *Piercowa w almanachu ku czci Tołstoja*)

\* \* \*

312. Jak patrzę na swój „prawie rewolucyjny” entuzjizm lat 190..., nie, 1897-1906?

– Był słuszny.

To, co jest *wstrętne* w człowieku, zaczyna się od samozadowolenia.

A wtedy samozadowoleni byli urzędnicy.

Potem tacy stali się rewolucjoniści. Wtedy ich znienawidziłem.

\* \* \*

313. Przeczytałem swój dawny artykuł o Leontiewie (w almanachu ku jego czci). Nie spodobał mi się. Jest w nim *tajemnica* trywialności, polegająca na tym, że mówiąc o *innym*, a przy tym *kochanym* człowieku, powinienem mówić tylko o nim, a nie także „o sobie”. A ja mówiłem. To takie dziecinne, mówi o mojej niechęci do zmarłego, podczas gdy go lubiłem i lubię. Jestem – jak wdowa, która „mimo wszystko popatrzyła w lustro”.

Boże, zachowaj we mnie cnotę literacką: nie patrzeć w lustro.

Znaczący pisarze tylko tym różnią się od marnych: patrząc w lustro – *nie* patrzą w lustro.

Sołowjow nie miał siły, aby usunąć lustro. Leontiew nie widział lustra.

\* \* \*

314. Ja nic nie wiem wobec całego świata: stąd stały niepokój.

\*

Abraham nic nie wiedział wobec Boga, a ja wobec przyrody. Oto cała różnica.

Ale ja wiem wszystko, co jemu zostało objawione.

\* \* \*

315. Pisarz powinien koniecznie stłamsić w sobie pisarza („pisarstwo”, „literaturę”). Dopiero, gdy to osiągnie, stanie się pisarzem: nie „czynił”, a „uczynił”.

\* \* \*

316. Co najbardziej porażało mnie w życiu? W całym życiu.

Brak szlachetności.

I – szlachetność.

A także to, że szlachetność zawsze jest poniżana.

Świństwo prawie zawsze tryumfuje. Świństwo, które obraża.

\* \* \*

317. ...zresztą, kiedy mnie krytykują (Lewin i inni) – to słusznie (krytykanctwo natomiast jest głupotą). Tylko niech nie zarzucają mi cynizmu: byłoby mi trudno się do niego przyznać, tej wady we mnie nie ma. Jakież cynizm może być w łagodnej istocie? Prawie zawsze smutnej. Nie, to niemożliwe.

We mnie nie ma jasności, autentycznie *aktywnej* dobroci i otwartości. Moja dusza jest jak *plątanina*, nie umiem *wyciągnąć nogi*...

Stąd moja głęboka bezsila. (Wszystko to, to znaczy plątanina, ma swój wyraz w moim stylu).

\* \* \*

318. Francuzi nie są zdolni ani do republiki, ani do monarchii. Nie mają normalnych uczuć monarchicznych, ani też normalnych uczuć republikańskich. Nie są zdolni do miłości, przywiązania, zaufania, ubóstwiania. Jaka wtedy może być monarchia? A republika... jacyż to republikanie – ci kieszeniowy, ci portmonetkarze, obok których – każdego – stoi liczydło i stróż, który się nazywa *citoyen*? Jest to przecież pilnowanie własnych kieszeni.

Dlaczego więc ona (Francja) istnieje? Wcale nie dzięki „ustrojowi republikańskiemu”. Dzielnica z dzielnicą, miasto z miastem, departament z departamentem. Dlaczego to wszystko ma się nie trzymać, jeśli nikt ich nie niszczy, nie rozbija, nie bije? Suchy las może stać bardzo długo.

Co za ohyda... nie, co za zgroza, te ich małe opowiadanka... W ubiegłym roku czytałem felieton w czasopiśmie „Utro Rossii”. Felieton tkwił w mojej wyobraźni jak koszmar. Oto temat: trzy siostry – prostytutki. Matka i ojciec – szwajcar domu. Trzecia, najmłodsza siostra, zakochała się w studencie, przeniosła się do niego na strych i przez to (w tym ironia autora) zbezczeszczyła ojca, matkę, siostry. Ona – „zginęła”.

Dopiero po przeczytaniu opowieści do końca i jeszcze powtórny jej przeczuciu – domyślisz się, w czym rzecz, to znaczy, że dziewczyny są prostytutkami. Wieczorem zjawiały się one we wspaniałej *café* i siadały tak, żeby być widoczne w odpowiednim oświetleniu. Wspaniale ubrane, można je uznać za „damy” – póki nie doczytasz do końca. Potem możesz się jedynie

wszystkiego domyślać: najwięcej z losu trzeciej siostry i ironicznego tonu autora. Ojciec i matka, wieczorem i rano, w swoim przytulnym mieszkanku popijają wonną kawę, a następnie wypijają po kieliszku dobrego wina. Córki odnoszą się do nich z szacunkiem, kochają ich – i „zarabiają” na kawę i wino.

Dzieci szanują rodziców, a rodzice kochają swoje dzieci. Starzec i staruszka. I trzy piękności. Muszę przyznać, że znam (przyszło mi *słyszeć* o tych dziewczynach, które widziałem) dwa podobne przypadki w Petersburgu. Właśnie – matka, wskazawszy na siedzącą w kolasce kokotę, powiedziała do swojej szesnastoletniej córki: „O, mogłabyś się i ty tak urządzać, duszko, jak *ta* (kokota), powinnaś sobie znaleźć kogoś odpowiedniego”.

No, to mamy – fakt. Chamstwo rodziny, trywialność tonu. Płeć córki została wykreślona przez megierę, która sama nie ma płci, a to „coś w rodzaju płci” uważa za „możliwość zarobkowania”. Zresztą, racjonalizuję i rozważam. To, co widziałem, było po prostu brudną myjką, brudnym i nieposprzętym pokojem. W końcu, w dzieciństwie (nic nie rozumiejąc – jeszcze przed wstąpieniem do gimnazjum) własnymi oczyma widziałem gorszą historię. Oficer żegnał się z młodą kobietą, gdy woźnica zastukał w okno: „Jest tu Anna Iwanowna? Wzywają do hotelu”.

Tak, widziałem, słyszałem. Jednak tego podłego, *już* autorskiego, *już* *citoyen* – „pili kawę i lubili wino, gdyż córki dobrze zarabiałły”, tego *lokajaliterata*, sprowadzającego całe zdarzenie w istocie do spraw bytowych, a być może także do ukrytej psychologii i poczuciu na języku smacznego wina – nie spotykałem... Nawet to, co było „złe” tutaj – w istocie było lepsze. Rzecz wcale nie w otrzymywanej „monecie”, nie w „kawie”, a w czymś innym: w przesadnym zdeprawowaniu starych już rodziców lub alfonsa-kochanka. Tutaj jest kwadrat czadu, a „moneta” – to tylko dodatek. Ten kwadrat czadu jest jednak fenomenem przyrody, nad którym możemy się zamyślić, który możemy badać, ale u tego Francuza nie ma o czym rozmyślać, ani też badać. Francuz przeanalizował księgę buchalteryjną i łaskotanie podniebiennych nerwów. W tym wypadku upadłym jest – literat. O, on upadł znacznie bardziej, niż szwajcar i jego żona, niż siostry-kokotki. Kokotki są rozwinięte, jak na kokotki przystało, odcytane jak kokotki, religijne jak kokotki, to wszystko. Maleńkie zwierzątko, mające maleńką paszę. Ale literat, ale literatura, ponizająca się do tego tryumfalnie-jadowitego:

*Oto – lew, a oto – człowiek*

– po Wolterze, Rousseau, po Pascalu, Montaigne’u, po Guizocie, Thierrym, Aragonie...

\* \* \*

319. W „ustroju społecznym” jeden wiezie, a dziewięciu próżnuje...

Można pomyśleć: Czyż „problem społeczny” nie jest kwestią dziewięciu darmożjadów na dziesięciu obywateli, a wcale nie dotyczy zabrania wszystkiego

*nielicznym* i podzielenia między wszystkich? Po podziale na plecach jednego pracującego będzie siedzieć 14 darmozjadów i w końcu go udusi. Natomiast ich w żaden sposób nie da się „zlikwidować” lub zmusić do pracy, gdyż mają „większość głosów”, a poza tym mają ogromne pięści.

\* \* \*

320. Miłość jest podobna do pragnienia. Ona jest pragnieniem duszy ciała (to znaczy duszy, której przejawem jest ciało). Miłość zawsze odnosi się do tego, czego „mi szczególnie brakuje”, czego pragnę.

\*

Miłość jest udręką, ona dręczy i zabija, kiedy nie jest zaspokojona.

\*

Dlatego też miłość sycąc się zawsze *odradza*. Miłość jest *odrodzeniem*.

\*

Miłość jest wzajemnym pożeraniem, pochłanianiem. Miłość zawsze jest wymianą – duszy-ciała. Dlatego też, kiedy nie ma już *nic* do wymiany, miłość gaśnie. *Zawsze* gaśnie z jednej przyczyny: braku materiału do wymiany, ustaniu wymiany, wzajemnej sytości, podobieństwa-tożsamości kiedyś *zakochanych* i *różnych*.

Zęby (różnica) ścierają się, wygładzają, nie zaczepiają jeden o drugi. „Walec” zatrzymuje się, „praca” ustaje: dlatego, że zniknęła *maszyna* jako *harmonia* „przeciwieństw”.

*Taka* miłość, która umarła w naturalny sposób, *nigdy się nie odrodzi...*

Stąd też jeszcze przed jej (całkowitym) skończeniem się, wybuchają zdrady jako ostatnia nadzieja miłości: *nic* tak nie *oddala* (tworzy *różnicę*) *zakochanych*, jak zdrada któregoś z nich. Ostatni, jeszcze *nie starty ząbek*, rośnie, a o niego zaczepia się przeciwstawny mu ząb. Ruch znowu jest możliwy, ale ku komuś innemu. Dzięki temu zdrada jest samowyleczeniem miłości, „reperacją” miłości, „zapłatą” za coś znoszonego i starego. Często „nadpęknięta” miłość rozpala się z powodu zdrady możliwym jeszcze płomieniem i tworzy znośne szczęście do końca życia. Tymczasem bez tej „zdrady” *zakochani* lub rodzina rozeszliby się, stali sobie obojętni, *ostatecznie umarli*.

\* \* \*

321. ...Rosjanie przypominają jakichś Arabów wędrujących po swojej ziemi...

I to „przy świetle gwiazd śpiewających pieśni” (literatura). Ale cała *rzecz* nie jest w rękach Rosjan.

\* \* \*

322. Poczmiistrz, otwierający i czytający prywatne listy („Rewizor”), był człowiekiem z dobrym smakiem literackim.

Pewnego razu, 25 lat temu, przypadkowo poszedłem na strych. Stara walizka. Podniosłem wieko i zobaczyłem, że jest po brzegi wypełniona starymi listami (w kopertach). Po zejściu na dół zapytałem:

– Co to za listy?

– Moje (stare listy do mnie) – odpowiedziała kobieta-lekarz, słynna działaczka lat sześćdziesiątych.

Cała walizka!

Gdy nieraz czytałem listy służącej, byłem zdumiony pięknem języka ludu, duszy ludu, jego światopoglądu i bytu. Myślałem wtedy: „Tak – to jest literatura, najpiękniejsza literatura”.

Natomiast listy pisarzy są nudne, bez światła. Pisarze, jak skąpcy, „kwiatki” wybierają do druku, a wszystkie ich listy są wyliniałe, mętne, bez polotu. Nie należy ich publikować. Tymczasem korespondencja osób prywatnych jest wspaniała.

Każdy wiek (w prywatnych listach) mówi swoim językiem. Każda warstwa. Każdy człowiek.

Zamiast „bzdury w powieściach”, wyrzucić z czasopism tę najnowszą beletrystykę i zamiast niej...

Drukować to, co *istotne*: naukę, filozofię.

A niekiedy, najlepiej w poszczególnych książkach, wydrukować walizkę starych listów. Cwietkow i Gerszenzon wiele by stąd wyłudziło. „Zaczytywaliby się nimi w *zamyśleniu*” czytelnicy, nieliczni poważni ludzie...

\* \* \*

323. Przyjemnie jest stać „ponad moralnością” i na prośby kredytorów – machnąć po napoleońsku i hardo odpowiedzieć: „Nie płacę”. Jednak jest strasznie, kiedy mnie nie płacą, a mam swoich dłużników wśród „bliźnich”. Czekam. Nie wiem, jak rozwiązać ten problem: mam dłużnika w sklepie. Czy nie zwrócić się z tym do policjanta – czasem tak myślę.

(*filozofia Nietzschego*)

\* \* \*

324. Tak, jestem podstępny, jak Cesare Borgia: sam diabeł wie, co mówię o swoich przyjaciółach. Lubię tę czarną zdradę, w której błyszczą oczy demonów. Jednak jest mi strasznie nieprzyjemnie, że właścicielka mojego mieszkania rozpuszcza plotkę, że żyję z pokojówką – i stróże „tak za pan-brat” patrzą na mnie, jak gdybym nie był już „panem”.

\*

Jestem panem. Chcę, aby mnie uważano za pana.

\*

Do „niewoli według Nietzschego” można dojść jedynie „jako pan”. A jak ja mogę być panem, jeśli nie zwracają mi długów, na schodach mówią o mnie podłości, na ulicy ktoś zajechał mi nawet w mordę, a gdy chciałem zawołać policjanta, to zawołał pijackim głosem:

– Podły człowieku, nie znasz nowej moralności, według której dać bliźniemu w ucho nie tylko nie jest złem, ale nawet jest cnotą.

Rozumiem, że to tak właśnie jest, ale jeśli ja daję w ucho. Ale kiedy mi dają?...

(też filozofia)

\* \* \*

325. Rcy jest po prostu bez rąk i bez nóg. Tylko głowa i brzuch.

\*

Patrzy, myśli i je.

Od czasu do czasu musi „pracować”. Biedny. Gdy pracował w kontroli, to pokazał mi pod marynarką wspaniałe cienkie papieroski.

– Z Hiszpanii. Od przyjaciela. Kontrabanda.

Potem nigdzie takich już nie widziałem.

Na obiedzie z Szarapowem i z jeszcze jakimś parowozikiem usłyszałem od niego wspaniałe wyrażenie: „Gama smakowa” (o kolejności potraw).

\*

Jednak siedząc i nie ruszając się wszystko wspaniałe obmyśla, nie myli się w rachunkach i planach. On jest naturalnym i wspaniałym *dyrektorem-wychowawcą* – z 3-4 podręcznymi „subiektami” – liceum, wydziału prawa, czego kto chce. A zmuszony jest „sprawdzać sprawozdawczość” w departamencie kolei żelaznych. Dlatego z konieczności zajmuje się cienkimi papieroskami.

Słyszałem od niego wspaniałe wyrażenia. Cały nastroszony i jakoś tak uderzając palcem w powietrze, pewnego razu powiedział z przenikliwością:

„*Takt jest rozumem serca*”. Jakież to delikatne i subtelne.

I jeszcze:

„Tak, on nie może wykładać. W ogóle nic nie może. U nas jego i takich jak on przeganiają. W Oksfordzie natomiast zatrzymują. Grzebie w książkach. Szuka, znajduje, wacha. Jest – *uznanym uczonym*, uczonym według natchnienia, a nie według dyplomu. Dla młodych ludzi w szkole podstawowej i na ulicy dobrze jest ciągle widzieć obok siebie postać tego zgarbionego nad książkami człowieka, gdyż sama jej obecność więcej ich uczy, niż lekcje młodego i wspaniałego erudyty”.

Przecież to jest – kanon dla uniwersytetów, ale jego istnienia nie domyślił się żaden z rosyjskich ministrów oświaty.

\* \* \*

326. Są słowa *niepasujące do czasu*. Do ich autorów należą Nowikow i Radiszczew. Oni mówili prawdę, niezwykłą prawdę o człowieku. Gdyby jednak ta „prawda” rozeszła się w setkach tysięcy ulotek, broszur, książek i czasopism po całej ziemi rosyjskiej – dopełzłaby do Penzy, do Tambowa, Tuły, ogarnęłaby Moskwę i Petersburg, to mieszkańcy tych miast nie mieliby ducha, aby pokonać Napoleona.

Najprawdopodobniej wezwaliby „zdolnych cudzoziemców” do zdobycia Rosji, jak miał na to ochotę Smierdiakow i jak ideowo nawoływał do tego „Sowriemiennik”, a Karamzin nie napisałby swojej „Historii”. Oto dlaczego Radiszczew i Nowikow, chociaż mówili „prawdę”, to jednak – niepotrzebną, *w tamtym czasie – niepotrzebną*. Odsunięto więc ich i nie dano im satysfakcji. Nie dotyczy to ich myśli, a jej *rozpowszechnienia*. Bolesnie byłoby Gutenbergowi wynaleźć swoją maszynkę. Od tamtego czasu zaczęło się „ograniczenie wolności myśli”, które w istocie polega na „nie chcemy słuchać”.

\* \* \*

327. Nacjonalność dla każdego narodu jest jego *fatum*, jego *losem*, a ten los może być czarny. Los w jego *mocy*.

\*

„Nie da się uciec od losu” – z „pęt narodu” także nie uciekniesz.

\* \* \*

328. – Posiedźcie, Fiodorze Edwardowiczu.

– Nie mogę. Czeka na mnie Byzow.

– Kto to jest, ten „Byzow”?

– Kolega. Z uniwersytetu.

– No i co?

– Szedłem do pana, ale wstąpiłem do niego i powiedziałem: „Chodźmy razem, jest mi smutno”. On teraz czeka na mnie przy bramie.

Od tego czasu nie mogę sobie „Szperka” wyobrazić bez „Byzowa”. Szperk zawsze „z Byzowem”. Kim jest „Byzow” i jak on wygląda – nie wiem, nigdy go nie widziałem. Nie jestem przekonany, czy mógłbym się tak przywiązać do Szperka, gdyby on nie był „z Byzowem” i wiecznie ciągał go ze sobą.

Szperk nauczył się jeszcze chodzić do filozofa... zapomniałem nazwisko. Ten filozof wydał (pod pseudonimem) książkę „Kryształ ludzkiego ducha”, która ze względu na swoją wielkość, a więc chyba także i głębię, powinna

doprowadzić do zawrotu głowy. Radłow i Wwiediński, oczywiście, nie czytali tej książki. Zapomniałem nazwisko. Pseudonim: Ledniew... Mieszkał za Ochłą, miał tam swój domek z ogródkiem, a sam był maklerem na giełdzie, maklerem-filozofem. Miał zameżną już córkę, był to już człowiek w dojrzałym wieku.

Moja żona („przyjaciół”) i ten makler spowodowali przejście Szperka na prawosławie. Szperk w zadziwiający sposób przywiązał się do tego filozofa – po prostu i szlachetnie, i – jak pies. Uważał maklera za najmądrzejszego człowieka w Rosji – „gdzie do niego Wwiedińskiemu i Radłowowi!” Był to rzeczywiście wspaniały człowiek, bardzo czytany i ciągle rozmyślający. Ciągle zarzucał Szperkowi, że ten wydaje „broszury” – to znaczy „rozmienia się na drobne”.

Na miłość Szperka do tego filozofa można było patrzeć wyłącznie ze zdziwieniem i wzruszeniem.

Przypomniałem sobie nazwisko filozofa – *Swieczyn*.

\* \* \*

329. – Jakież pan jest okrutny!

– Co się stało, nianiu?...

– Pan zasnął.

„Boże! Boże! Zasnąłem!!!”

A Szperk ciągle tym samym melodyjnym tonem, wnikałym w duszę, czytał „Dusza moja” (swój poemat napisany białym wierszem).

– Proszę czytać, Fiodorze Edwardowiczu, a ja poleżę – powiedziałem. W jego *lekturze* wszystko było zrozumiałe, jak i w *rozmowach* z nim. Jednak, gdy *sam czytam jego utwory, już wydrukowane* – nic nie rozumiem.

Wstałem. On się uśmiechnął. Nigdy się na mnie nie złościł, wiedział, że nigdy nie zechcę go znieważać. I poszliśmy pić herbatę.

(w Petersburgu, na ulicy Pawłowskiej)

\* \* \*

330. Popatrzcie na roślinę. „Komórka do komórki”, „protoplazma” i wszystko tego typu. Zrozumiałe, racjonalne i fizjologiczne.

„W pełni naukowe”.

Jednak w roślinie, „jak ona rośnie”, jest jeszcze artyzm. W grzybie jeden, w brzozie inny, ale i w grzybie, i w brzozie – artyzm.

Czyż „jelen na rykowisku” nie jest dziełem sztuki? Czyż nie jest on wcześniej obrazem, niż można go uznać za obraz? Skąd to?!

Boże, skąd?

Boże – od Ciebie.

\* \* \*

331. Pogaństwo sprasowane „do niemożliwości”, do utraty wszystkich form, rzeźb – to judaizm. Potem prasowanie dalej kontynuowano: teraz pozostał jedynie zapach, materii nie ma, została przemieniona w „O”: to –

chrześcijaństwo. W ten sposób wszystkie religie można rozpatrywać jako „jeden rozwój”, bez sprzeczności, jako stopniowe prasowanie materii do płaszczyzny „metalu” i do „tylko zapach pozostał”.

Można tak?

\* \* \*

332. Po święceniach, założywszy „szaty niezniszczalności” – ogląda się na boki i zaczyna myśleć o dochodach.

*(los biskupa rosyjskiego, ale nie wszystkich)*

\* \* \*

333. Był to człowiek bardzo ofiarny i nie żył ze swoją żoną. Z żoną żyli inni. Najpierw sekretarz, potem syn przyjaciela (S.), a potem każdy, kto się trafił. On płakał.

\*

Pewnego razu jedziemy gdzieś dorożką. On mówi:

– Żeby dobrze żyć, trzeba mieć pieniądze.

– Jak?

– Pan potrzebuje?

– Tak.

– Wspaniale. Bierzemy weksel, ja i Rcy podpisujemy, pan jedzie do banku i oblicza...

– Jak to?

– Tak, oblicza. Panu nie wydadzą pełnej sumy, a trochę potrąca. Weksel zostanie w banku. Oczywiście, pan sam go wykupi, gdy będą pieniądze. *Teraz* wcale nie trzeba mieć pieniędzy, a jedynie być przekonanym, że potem się je dostanie i na to „potem się je dostanie” pan – żyje.

Wspaniale „*teraz*”!

– To jakaś bajka.

– Tak! A potem można „przepisać” weksel, na jeszcze dalszą „przyszłość”. Ja żyję już tak od wielu lat i nie mam żadnych potrzeb.

*(morze życia)*

\* \* \*

334. O moje „nie chce mi się” rozbija się wszelka napaść.

Jestem prawie zupełnie pozbawiony pragnień. „Chce mi się” bardzo rzadko. Ale moje „nie chce mi się” jest prawdziwym pragnieniem.

Z tego powodu ja tak mało jestem zaangażowany w sprawy „świata”.

Jakbym dosłownie toczył się gdzie na bok i dotoczył się do kanału”. Wyglądam z niego – ale jedynie z zainteresowaniem, ale nie z „chęć”.

*(nocą w łóżku)*

\* \* \*

335. To, w co nigdy bym nie uwierzył i w co uwierzyć nie można – *istnieje w rzeczywistości*: że wszystkie nasze błędy, grzechy, złe myśli, złe relacje, a przy tym od samego dzieciństwa, w młodości i później, mają swoje *odpowiedniki* w wieku dojrzałym, a zwłaszcza w starości. W ten sposób życie (nasza biografia) jest *organizmem*, a wcale nie są to „poszczególne czyny”.

Życie (biografia) jest organiczne: któż mógłby w to uwierzyć? Zawsze uważamy, że jest ono „łańcuchem poszczególnych czynów”, który „mogę zmienić, kiedy tylko zechcę” (to znaczy, że takie jest życie).

Jak odczuwałem swoich bliskich? Wcale. Ojca nie widziałem i dlatego zupełnie go „nie czuję” i nigdy o nim nie myślę („wspominać” go nie mogę, z tego powodu, że go nie pamiętam). Jednak i mamę zacząłem rozumieć dopiero wtedy, „kiedy już wszystko się skończyło”, i to w jakiś bolesny sposób, a w ciągu jej życia wcale jej nie rozumiałem i nie lubiłem; jako dzieci do tego stopnia byliśmy bezsensowni i nic nie rozumieliśmy, że pewnego razu chcieliśmy (rozważaliśmy to, siedząc „na brewionach” – u sąsiada rąbano drewno) złożyć na nią skargę na policji. Dopiero, kiedy wszystko się skończyło i sam stałem się dojrzały, a przede wszystkim – kiedy sam odczułem pierwsze bóle (biografia), „przywołałem jej cień z grobu” i strasznie się z nią związałem. Czarnowłosa, drobna, „ze szlacheckiego rodu Szyszkinów” (bardzo była z tego dumna) – ciągle rozdrażniona, zawsze smutna, jakaś zmęczona, strasznie zmęczona (dopiero później się tego domyśliłem), w istocie bardzo dużo pracowała, a w ostatnich dwóch latach życia chorowała. Prawda, ona z nami o niczym nie rozmawiała i nie bawiła się: po prostu nie miała na to czasu – to po pierwsze; a po drugie – ona fizycznie odczuwała naszą obcość i prawie wrogość; w naturalny sposób „przestała z nami rozmawiać”, „z takimi głupcami”. Dopiero później (z listów) dowiedziałem się, że ona ciągle o nas myślała i troszczyła się, a jedynie „nie rozmawiała z głupcami”, którzy „nic nie rozumieli”. Myśmy, oczywiście, „nic nie rozumieli” ze swoją „policją”. Ciągle pamiętam: jej nocne modlitwy (po ciemku) i gruby „akatystnik” z brązowo-żółtymi plamami (po rozlanej oliwie), jak jej czytałem (mając 7, 8, a nawet 5 lat) „Szkolę pobożności”, z czego pamiętam historię „O Guryju, Samonie (?) i Abidzie”. Te historie bardzo mi się podobały, krótkie i zrozumiałe. Mama też je lubiła.

Na nasz „niespokojny dom” dobrze wpłynęłaby zapalona lampka oliwna. Ale jej nie było (nie było pieniędzy ani na oliwę, ani na samą lampkę).

Cały dom był jakiś – o!-o!-o! – ciemny i zły. A my wszyscy byliśmy nieszczęśliwi. Ale to, że „byliśmy nieszczęśliwi” – zrozumiałem później. Wtedy miałem jedynie „złość się na wszystkich”.

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

336. Do czasu poznania domu „babci” (skąd wziąłem sobie drugą żonę) w ogóle nie widziałem w życiu harmonii, szlachetności, dobroci. Świat nie był dla mnie Kosmosem (κοσμεω – upiększam), a Bałaganem, a w minutach rozpaczy po prostu Dziurą. Nie mogłem zrozumieć, po co żyją wszyscy ludzie i po co ja żyję, czym jest i po co życie? – takie przeklęte, głupie i zupełnie nikomu niepotrzebne. Myśleć, myśleć i myśleć (filozofować, „O rozumieniu”) – tego zawsze pragnąłem, to „szło”: ale to, co się dzieje w dziedzinie rzeczywistości lub ogólnie „życia” – to chaos, męką i przekleństwo.

Nagle spotkałem ten domek o 4 oknach, niedaleko cerkwi Wwiedzienskiej (w Jelcu), gdzie wszystko było *szlachetne*.

Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem *szlachetnych* ludzi i *szlachetne* życie.

Życie było bardzo biedne i ludzie bardzo biedni. Ale nie było żadnej tęsknoty, brudu, nawet skarg nie było. Było coś „błogosławionego” w samym domu, w jego drewnianych ścianach, w okienku w sieni, wychodzącym „Na Sosnę” (część miasta). W głupiej i tłustej Marii (służącej), którą tolerowano, chociaż ona była głupia – i nikt jej nie obrażał.

W ogóle nikt nikogo nie obrażał w tym błogosławionym domu. W nim nie było żadnej złości, bez której nie mogę sobie wyobrazić ani jednego domu rosyjskiego. Nie było też żadnej zazdrości, że „ktoś inny żyje lepiej”, „szczęśliwiej od nas” – co znowu występuje w każdym domu rosyjskim.

Byłem zdziwiony. Moja „nowa filozofia”, już nie „rozumienia”, a „życia” – zaczęła się od wielkiego zdziwienia...

„Jak mogą istnieć sądy ogólne *a priori*”: od tego pytania zaczęła się filozofia Kanta. Moja nowa „filozofia” życia zaczęła się nie od pytania, a raczej od patrzenia i zdziwienia: Jak może istnieć życie szlachetne i w zależności *tylko od tego* – szczęśliwe; jak ludziom może wszystkiego brakować, „sandacza na obiad”, „opału po 11 każdego miesiąca” i równocześnie ludzie mogą żyć szlachetnie i szczęśliwie, żyć z ciężkimi, smutnymi, nieskończenie smutnymi wspomnieniami i być szczęśliwymi z tego tylko powodu, że przeciwko nikomu nie grzeszą (nie zazdroszczą) i wobec nikogo nie mają winy.

Ani wnuczka (7 lat) „Saniusza”, ani młoda kobieta (27 lat) – jej matka, ani matka tej kobiety – babcia (55 lat).

I wszystkie je pokochałem. Zmęczyłem się już pisaniem. Ale od tego zaczęło się moje nowe życie.

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

337. Być może, nawet nie ma *idei* nieśmiertelności duszy, ale jest *poczucie nieśmiertelności duszy* i wypływa ono z *miłości*. Dlatego odrzucałem lub „nie interesowałem się” nieśmiertelnością duszy, gdyż mało kochałem swoją mamę; współczułem jej – ale to coś innego, niż miłość, lub nie zupełnie to samo... gdybym ją gorąco kochał, gdyby mi było boleśnie i strasznie, że „jej nie ma”, to

wtedy jest i „nieśmiertelność duszy”, „życie wieczne”, „życie pozagrobowe”. Ale, być może, jest to „hipoteza miłości”? Jaka tam „hipoteza”, kiedy ja „jem chleb” i umrę bez „jem”. To po prostu „jedzenie”, jak „obrót ziemi wokół słońca” i wszystko inne w kosmosie. Tak z wielkiej *tęsknoty kosmicznej* (gdyż jest to *tęsknota kosmologiczna*) przy rozłące i śmierci – wynika, że „spotkamy się za grobem”. To tak, jak „woda płynie”, „ogień pali” i „chleb syci”: tak „dusza *nie umiera*” w śmierci ciała, a jedynie następuje jej rozdarcie z ciałem, jej oddzielenie się od ciała. Dlaczego tak *powinno być* – nie można udowodnić, po prostu widzimy wszystko i wiemy wszystko, co – *jest*. Do liczby tych wiecznych „jest”, na których „stoi świat”, należy także wieczność „ja”, mojego „ból”, mojej „radości”. Idea ta, lub ściślej, wiążące nas wszystkich żywych uczucie, tak szlachetne, wzniosłe, łagodne, że czymże przy nim jest „Rada Państwa” lub „strajk lenskich”, lub końskie „proponuję wszystkim wstać” (na wiadomość o śmierci)... A tymczasem tę ideę i to uczucie odrzuca nasz świat. Nie chce jej, nie zna jej, śmieje się z niej. Czy to nie znaczy, że „nasz świat” (i jego pojęcia) jest czymś do tego stopnia przemijającym i chwiejnym, do tego stopnia nikomu niepotrzebnym – niepotrzebnym *następującemu po nas pokoleniu* – że aż strasznie o tym pomyśleć. Turniury.

– Kobiety nosiły turniury.

– A? Co takiego?

– Turniury, mówię.

– No i co? Teraz ich nie widzimy.

– W tym rzecz, że „nie widzimy”. Tak więc „nie zobaczymy” jutro całego „naszego czasu”, z parlamentami, Darwinem i strajkami. Być może przez taki szczegół, że naszemu pokoleniu nie była potrzebna „nieśmiertelność duszy”.

Tkliwa idea nieśmiertelności przeżyje żelazne idei. Popękają szyny. Połamią się maszyny. Ale to, że człowiek „płacze” przy groźbie „wiecznego rozstania” – to nigdy nie ulegnie złamaniu, zniszczeniu.

Wierzcie, ludzie, w tkliwe idee. Porzućcie żelazo; ono jest pajęczyną. Prawdziwym żelazem są łzy, jęki i tęsknota. A tym prawdziwym, co nigdy nie ulegnie zniszczeniu, jest tylko – *szlachetność*.

\*

Tym życie.

(21 kwietnia)

\* \* \*

338. Jest coś *dziwnego* w moim stylu. A z „*czymś dziwnym*” – nic nie jest wieczne. Czy to znaczy, że jestem przemijający?

To, co *dziwne*, zawiera się w jakimś samozadowoleniu. Niekiedy nawet w zachwycie nad samym sobą. Jak bym miał brzuch z oliwy i sam go namaścił. Co prawda, dzięki temu po prostu *lecę* – a to jest jakość. Ale w locie nie ma łagodnego wędrowania, co jest lepsze.

Mój ideał – łagodny, szlachetny, czysty. Jakże jestem od niego daleki!

Kiedy masz taką świadomość, to myślisz: jakże *trudna jest literatura!* Zaiste, tylko ten jest pisarzem, kto ma czystą duszę i przeżył szlachetne życie. Zupełnie nie można „zrobić z siebie” pisarza. Należy się nim urodzić, a wtedy będzie się miało „udaną biografię”.

Puszkina był – czysty. Jakże „zestarzał się” mój artykuł (przez 17 lat) w „Russkom Wiestniku” (z ingerencjami cenzury), którym wszyscy się zachwycali. Jest on spieszny, kaleki, napuszony. Wcale bym go nie opublikował, gdybym go dokładnie przeczytał, ale „dałem do druku” – i poszedł! W „Córce kapitana” nie zestarzało się ani jedno zdanie, a ma już 80 lat!

W czym tajemnica? W niezwykłej pełni ducha Puszkina. A mój duch wcale nie ma pełni.

Jestem cały żaloszny i w drgawkach. Jestem cały roztrzępany:

Ostania chmura przemijającej burzy...

Sam sobie jestem winien, że jestem roztrzępany i „odtaczam *górkę*”.

Kiedy ma się tego świadomość (to znaczy swojej nicości), wtedy czujesz się nieszczęśliwy.

Dobrze jest zaglądać do dawnych utworów (ja – nigdy). Nagle poznaje się swoje możliwości. „Teraz – wszystko jest upojne” i jest to, być może, fatum. Przemina lata, obejrzyś się i powiesz: „Fałsz! Fałsz!”

Smutno i straszno.

(przy korekcie książki o monarchii)

Kiedy poczujesz swoją beziłę w literaturze, nagle zaczynasz szanować literaturę: „Jakie to *trudne!*” *Nie mogę!*” Gdzie „ja *nie mogę*” – tam zdziwienie i potem zachwyty (że ktoś inny mógł).

To mój rzadki gość, bardzo rzadki.

\* \* \*

339. Istnieją przecież maleńcy pisarze, ale absolutnie *czyści*.

Jacy oni są szczęśliwi!

\* \* \*

340. Człowiek osiąga autentyczną powagę dopiero wtedy, gdy umiera.

.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....

Czyżby całe życie było lekkomyślne?

Całe.

\* \* \*

341. Rosjanom nie udają się pomniki (Gogola), a to dlatego, że jedynym normalnym pomnikiem jest – *kaplica*, a w niej płonąca lampka oliwna „za duszę sługi Bożego Mikołaja” (Gogola).

Sympatyczna Nadzieja Roman (Szczerbina) na krótko przed swoją śmiercią mówiła do męża: „Postaw mi tylko drewniany krzyż”. To znaczy, nawet nie kamienny. W międzyczasie uszyła swojej mamie zimowy płaszcz z białą jedwabną podszewką. Mama była chora umysłowo (nieco) z powodu rodzinnych nieszczęść i miała swoje przyzwyczajenia: teatr, piękne stroje, chociaż żyła w biedzie. Pieniądze na płaszcz zbierała córka dając lekcje rysunków.

Tych kilka słów, które powiedziała przed śmiercią, jest ważniejszych i wartościowszych od wszystkich „dzieł” na temat religii.

Jakaż ona była sympatyczne! Znała moje „ukierunkowanie” (negatywne) i nigdy mnie nie osądziła.

(Sama lubiła sztukę antyczną i wozila męża „po obcych krajach”).

Czy wiecie, państwo, że z domu nazywała się Miller (jej ojciec był naczelnikiem w banku). Jej siostra została mniszka.

\*

A my, Rosjanie, porzucamy wiarę i monastery.

\* \* \*

342. Tak, ta dziwna zasłona, zamykająca jedno pomieszczenie od innych – nie ściana, nie krata – a zasłona *kolorowa* i *haftowana*, a w końcu – z *zakładkami*, jakby ze *zmarszczkami* – gdzie nie wolno było wchodzić, gdzie wchodzący jeden raz w roku nie wnosił światła, nie mógł mieć przy sobie świecy lub latarni, co byłoby czymś naturalnym, żeby się tam nie potknąć i wykonać wszystko, co trzeba – ta zasłona w najwyższym stopniu po prostu przypomina kolorową suknię, której „brzegu”, oczywiście, „nikt nie podnosi”.

Czy odpowiada temu układ pozostałych pomieszczeń i przedmioty tam postawione?

(*Arka Mojżesza*)

\* \* \*

343. Trzeba, żeby nad kimś bolało serce. Jakie to dziwne, ale bez tego życie jest puste.

(*w klo...*)

\* \* \*

344. Od dzieciństwa nie lubiłem czytać Ewangelii. Nie pociągała mnie. Czytałem – ucząc się – ale nic szczególnego w niej nie znajdowałem. Cuda

(wszystkie „zwycięstwa” nad naturą) mnie nie porażały, a nawet nie zajmowałem się nimi. Słowa, mowy – uważałem je za zwykłe, poza jakąś zagadką samej postaci, wiedzy na temat przyszłości (zniszczenie świątyni i Jerozolimy), elementu wieszczego. Przeciwnie, nie mogłem się nasycić Starym Testamentem: wszystko w nim wydawało mi się *prawdą*, czymś niezwykle *ciepłym*, jakby w słowach i liniijkach *płynęła krew*, a przy tym moja własna! Opowieść o wdowie z Sarepty wydawała mi się „bardziej chrześcijańska, niż całe chrześcijaństwo”.

Była w tym jakaś wrodzona niedyspozycja i nie jest niemożliwym, żeby ona wiązała się z moim wczesnym zainteresowaniem się rodzeniem. Istnieje jakiś brak odpowiedniości między chrześcijaństwem i „otwartym łonem” (Dostojewski).

*(jednakż nigdy nie mogłem bez łez  
słuchać na Liturgii śpiewu  
„Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie”.  
Wydawało mi się to wezwaniem,  
ale odnoszącym się do czegoś innego.  
Do Przyszłości, a zarazem do czegoś Porzuconego)*

\* \* \*

345. Co to było u mnie w młodości (po 26 roku życia), przecucie, czy też pragnienie: że opiekuję się chorą. Półmrok, a ja chodzę między jej łóżkiem i biurkiem. Zawsze wieczorem.

Tak też się stało.

\* \* \*

346. Porównywałem portrety J. S. Milla i Pogodina. Cóż za wspaniała twarz tego drugiego i jakaż uboga mimika u pierwszego!

A jednak literatura rosyjska jest niesprawiedliwie pełna kolorów. Co za charakter, co za cudaki! Co za miłe głupstwa! Czy przypadkiem kiedyś znowu nie pokocham literatury? Na razie nienawidzę.

*(oglądając fotografie)*

\* \* \*

347. „Najwspanialsza knajpa” mimo wszystko jest knajpą. Nie będę się kłócił – nie jestem złośliwy; nie będę się kłócił – jest w niej coś pociągającego, „przebaczającego”. Jednak rzecz w tym, że jest to po prostu knajpa. Dlatego rosyjskie powiedzenie, że u nas „wszystko takie szczerze”, wcale nie świadczy o usypiskach złota naszego ducha i życia. No, spróbujmy odmienić: *praesens* – knajpa, *perfectum* – knajpa, *futurum* – knajpa: ciągle wychodzi ta sama knajpa, w której się udusisz.

*(rozmyślając o C-wie, który powiedział, że nasze  
duchowieństwo jakim jest, takim i siebie pokazuje –  
co mnie poraziło i zaciekało)*

\* \* \*

348. Czego właściwie wrogiem jestem w literaturze?

Tego, czego wrogiem jestem w człowieku: samozadowolenia.

Zadowolony z siebie Hercen jest mi tak samo wstrętny, jak pułkownik Skałozub. Szczęśliwy z powodu sukcesów – w literaturze, małżeństwie, pracy – Gribojedow, z mojego punktu widzenia też jest pułkownikiem Skałozubem. Skałozub nie jest wstrętny z tego powodu, że był żołnierzem (był nim też Rylejew), a z tego, że „jest szczęśliwy”. Przez to jest podobny do Gribojedowa i Hercena.

(*idąc do lekarza*)

\* \* \*

349. Wydaje się, że *istota* literatury jest fałszywa i to nie dlatego, iż „teraz ci literaci” są głupi, ale *cała ta dziedzina* jest głupia, a przy tym w swojej istocie, w „ziarnie, z którego wyrosła”.

– *Napiszę coś i wszyscy przeczytają...*

Dlaczego „ja” i dlaczego „oni mają czytać”? Tu chodzi o to, że „*ja jestem mądrzejszy od innych*”, „*inni są gorsi ode mnie*” – a to jest grzechem.

\* \* \*

350. Zupełnie nie zauważono, co jest nowego w „Odosobnionym”. Porównywano ze „Spowiedzią” Rousseau, podczas gdy ja się wcale nie spowiadam.

Nowy – *ton*, znowu – manuskryptów „sprzed Gutenberga”, dla siebie. Przecież w Średniowieczu nie pisano dla publiki, gdyż „nie publikowano”. Literatura średniowieczna pod wieloma względami była piękna, wzruszająca, wzruszająca i głęboko owocna w swojej niewidzialności. Nowa literatura w pewnym stopniu zginęła z powodu swojej niepotrzebnej widoczności; po wynalezieniu druku nikt nie potrafił i nie miał sił przewyciężyć Gutenberga.

Moje prawie tajemnicze rzeczywiste odosobnienie pokonało go. Strachow mówił mi: „Proszę sobie zawsze wyobrażać *czytelnika* i pisać tak, żeby wszystko dla niego było zupełnie *jasne*”. Jednak, gdy starałem się wyobrazić sobie czytelnika, to nigdy nie mogłem. Nie mogłem sobie wyobrazić ani jednej twarzy czytelnika, nie zarysowywał mi się ani jeden rozum, oceniający moje utwory. Zawsze pisałem *sam* i w istocie dla siebie. Nawet kiedy pisałem szyderczo, to dosłownie rzucałem się w przepaść, a „tam rozlegał się śmiech”, gdzieś daleko pod ziemią, ale wokół nikogo nie było. Artykuły „postępowe” lubiłem pisać w korytarzu redakcji naszej gazety: goście, rozmowy z nimi członków redakcji, kroki chodzących, szum – i ja „Z powodu ostatniego przemówienia G. w Dumie”. Niekiedy pisałem w sali, w której pracowali redaktorzy. Pewnego razu powiedziałem: „Ciszej, panowie, piszę artykuł w

stylu czarnej sotni” (warcaby, rozmowy, śmiechy). Śmiech stał się jeszcze głośniejszy. I było tak samo głucho, jak *poprzednio*.

Zdumiewa wrażenie wywoływane przez tekst *już napisany*: „To nie moje!”. Dlatego nigdy nie mogło mnie obrazić napisane słowo, niekiedy mówiłem ze śmiechem: „Ten głupiec R-w zawsze kłamie”. Jednak raz Afońka i Szperk przyszli do mnie i poprosili o przeczytanie napisanego już tekstu. Zdenerwowałem się, przestraszyłem, że będą naciskać. Byłem zadowolony, gdy wniesiono samowar i zaproszono na herbatę (dobra W.). Kiedyś w redakcji „Mir Iskusstwa” – Mereżkowski, Filosofow, Diagilew, Protek., Nowel... Mereżkowski powiedział: „Przeczytamy *Notatkę o Puszkynie W. W-wa*” (w korektorskiej wersji gazety). Znowu się przestraszyłem i poprosiłem, żeby nie czytać. Kiedy na zebraniach religijno-filozoficznych czytano moje wykłady (z rękopisu i *mając słuchaczy przed oczyma*), – byłem tak stłamszony, rozbity, że nic nie słyszałem (ze wstydu).

W przeciwieństwie do tego niepokoju wobec rękopisu (jego *czytania*), w stosunku do słowa wydrukowanego byłem zupełnie obojętny, co by ktoś nie powiedział, dobrze, głupio, śmiesznie, źle; bez względu na to, jak mnie wyzywano – „dokładnie jakby to *nie mnie, a kogoś innego wyzywali*”.

W ten sposób „rękopiśmienność” duszy – wrodzona i stała – wcale nie jest samowolą i jakimś wynalazkiem, to ona nadała *ton* mojemu „O”, jak myślę zupełnie nowy w ciągu całych wieków istnienia druku. Można opowiadać o sobie bardzo haniebne rzeczy – a jednak to, co opowiedziane, będzie „drukiem”; można na swój temat wymyślać rzeczy „przerazające” – a będzie to „literatura”. Nie należało publikować. A ja, który zresztą mało opublikowałem, zrobiłem jeszcze krok do wnętrza, zszedłem stopień poniżej zwykłego „druku” (chałat, spodnie) – i ocknąłem się jako „nagi w łaźni”, co dla mnie nie było wcale trudne. Tylko dla mnie i tylko dla mnie jednego. Nikt nie zrobi już nic więcej, chyba że pojawi się ktoś *taki sam*. Myślę, że się nie pojawi, gdyż ludzie są indywidualni (niepowtarzalni nie tylko w rysach twarzy, ale także w „charakterze pisma”).

W tym wypadku nie chodzi o jakość, siłę i talent, a o *sui generis generatio*.

Ostatecznie jest to tajemnica (granicząca z szaleństwem), że ja rozmawiam sam ze sobą: na tyle stale, z uwagą i *żądzą*, że poza tym w ogóle nic nie słyszę. „Wicher wokół” *dmucha* na mnie i wokół mnie, nic nie widać, nikt mnie nie widzi, „świat mnie nie zna”. W samej rzeczy, dymiący węgiel (często w dzieciństwie wyjmowałem z pieca) – jest do mnie podobny: wcale go nie widać, nie widać szczypiec, którymi trzymam węgiel.

Pan Bóg trzyma mnie szczypcami. „Pan Bóg nieźle przeze mnie nadymił w świecie”.

Być może.

(w nocy)

\* \* \*

351. Nie wychodźcie, dziewczyny, za mąż ani za pisarzy, ani za uczonych. Pisarstwo i uczość to – egoizm.

Nie będziecie w takim mieć „przyjaciela”, chociażby tak sam siebie nazywał.

Wychodźcie za mąż za przeciętnych mężczyzn, za urzędników, kupców, a najlepiej za rzemieślników. Nie ma nic świętszego od rzemiosła.

Taki będzie waszym przyjacielem.

\* \* \*

352. Każdy w życiu przeżywa swój „Wielki Tydzień”. To – prawda.

*(z listu Wołzkiego)*

\* \* \*

353. Czy rodzenie dzieci nie jest także opowiadaniem światu o sobie?...

\*

Milczący ludzie i narody pozbawione literatury nie mają dla świata innych słów, poza swoimi dziećmi.

\*

Gdy młoda matka bierze na ręce swoje nowonarodzone dziecko, to może powiedzieć: „Oto moje prorocze słowo”.

\* \* \*

354. Na mnie nawet błoto jest piękne, gdyż to jestem – ja.

*(na plik złośliwych recenzji o „Odos.”)*

\* \* \*

355. Mama zawsze brała mnie ze sobą, gdy jeździła „po rentę”... Miało to miejsce dwa razy w roku i tylko wtedy mama jeździła dorożką. Trudno wyobrazić sobie mój zachwyty. Wchodziłem do dorożki wcześniej niż mama, a ledwo ona usiadła wskakiwałem na siedzenie i wołałem:

– Jedź! Jedź!

– Ruszaj! – mówiła mama.

Dopiero wtedy woźnica ruszał.

\*

To były szczęśliwe dni, kiedy wykupywano wszystko od kredytorów, a jeszcze kupowaliśmy („na przyszłość”) głowę cukru. Renta wynosiła 150 rubli (300 rubli na rok). Jakaż to nieostrożność lub raczej niedbalstwo: gdybyśmy otrzymywali miesięcznie 25 rubli, to mając swój domek i krowę, moglibyśmy

żyć. Tymczasem dochodziło do tego, że żywiliśmy się tylko pieczoną cebulą (ze swojego ogrodu) i chlebem. Zwykle 150 rubli „gdzieś przepadało” i 3-4 miesiące byliśmy bez pieniędzy.

Pamiętam jak dzisiaj: w domu była tylko kopiejka i „wszyscy” mówią: „Idź, Wasia, kup ½ funta chleba”. Było mi wstyd iść z kopiejką, ale milczałem i nie szedłem – w końcu poszedłem. Wszedłem do piekarni i powiedziałem obojętnemu chłopcu-sprzedawcy (17 lat): „Poproszę chleba za kopiejkę”. On nie powiedział (mógłby się roześmiać), a ja byłem taki zadowolony.

Druga mama (Al. Adr. Rudniewa) miała rentę po diakonie i otrzymywała, jeśli dobrze pamiętam, 60 rubli rocznie, podzielonych na 4 kwartały, ale nie pamiętam – chociaż było to dla mnie niezauważalne – z jaką ulgą zawsze szła po te pieniądze. Ich budżet zawierał się w granicach 3-5-8 rubli i była to olbrzymia pomoc!

Wydaje mi się, że dawne renty, chociaż małe, miały więcej sensu, niż obecne, bardzo „powiększone”, które przewyższają przeciętne w przybliżeniu 5 razy. Człowiek powinien zawsze pracować, zawsze być „pożytecznym dla innych” aż do grobu: renta w żadnym wypadku nie powinna dawać pełnego zabezpieczenia, powodować, że człowiek „nic nie robi”. To nie są procenty z banku, z których można „bezpiecznie żyć”, ale – pomoc.

Ale za to te małe renty, po 120 rubli na rok, powinny być dawane wszystkim. 120 rubli, albo 300 rubli na rok, to 3 000 – na dziesięciu, 30 000 – na stu, 300 000 – na tysiąc, 3 000 000 – na dziesięć tysięcy i 30 000 000 – na sto tysięcy ludzi. W Rosji „za pożyczki” płaci się rocznie coś około 300 milionów i gdyby 1/10 tych wpłat przeznaczyć na renty, to w Rosji mogłoby otrzymać pomoc około ½ miliona ludzi i *żyć wspaniałym życiem!*

Na pamiątkę cudnego opowiadania Biblii, założyłbym „Fundusz Wdowy z Sarepty”. A tych, którzy mieliby otrzymywać renty wskazywaliby w ½ kapłani i w ½ lekarze.

\* \* \*

356. Perypetie moich stosunków z M. – to cała „historia”, a przy tym zupełnie niezrozumiała nawet dla mnie. Z jakiegoś powodu (zupełnie niezrozumiałe, z *jakiego*) on mnie ciągle lubił, a kiedy ja robiłem mu wszelkie możliwe świństwa, strasznie *znieważające* (były po temu przyczyny) – które każdego by zbuntowały, zadreńczyły, zezłościły, których *ja sam nikomu sam bym nie darował*, on ciągle w zadziwiający sposób mnie lubił. Kiedyś przyszedłem na zebranie religijno-filozoficzne i usiadłem (plecami do publiczności) przy stole (z obowiązku członka Towarzystwa). Wszyscy się już zebrali. „Wczoraj” był opublikowany mój artykuł przeciwko niemu, który wszyscy, oczywiście, przeczytali. Nagle wchodzi M. ze swoją „Ziną”. Nisko nachylam się nad papierami: niezręczna sytuacja. Pomyślałem sobie: udawajmy, że się nie zauważamy. Nagle on siada z mojej lewej strony i spokojnie, ale głośno wita się ze mną, wyciąga rękę. Zaraz też, bez żadnych kłótni, bez afiszowania się, *mówi*

*o mnie niezwykle pozytywnie.* Nie wierzyłem własnym uszom. To samo zdarzyło się z Błokiem, gdy opublikowałem negatywny artykuł o nim – z daleka mi się uklonił, a potem podszedł i wyciągnął rękę. Jest to coś zupełnie dla mnie niezrozumiałe. M. zawsze lubił Warię, szanował i *wewnętrznie, duchowo* był jej bliski (czułem to). A ja urządziłem im przeróżne „święstwa” (w chwilach rozdrażnienia, któremu zawsze się poddaję). Chociaż później M. i F. poszli do redakcji „Russkiego Słowa” i powiedzieli: „My *albo* on (Barbarzyńca) współpracujemy z gazetą”, nic mi to nie zaszkodziło, gdyż wtedy stałem już dobrze finansowo (35 000) – należy to rozumieć jako „konsekwentność stylu” (tym samym i „społeczeństwo”), z czym nie łączyła się dusza. Rzadko w życiu spotyka się miłość i *autentyczne przywiązanie*. Jego imię, duch i los (M.) – niech będą błogosławione. Daj także, Boże, zdrowie (tego najbardziej on potrzebuje) jego „Z”.

11 lipca 1912.

(Mereżkowski i Filozofow)

\* \* \*

357. Co się dzieje? Czy naprawdę „będą mnie czytać”? (powodzenie „Odosobnionego”).

Tylko ci, którzy „*ze mną*” będą czytani, niech pozostaną w pamięci i mają jakieś „powodzenie” (być może, niepotrzebne) – Strachow, Leontiew, Goworucha (niewydajny), być może, Fl. i Rcy.

„Mnie samego” – nie potrzeba, być może, nie należy.

11 czerwca 1912 r.

\* \* \*

358. Czy jednak *dla siebie* chciałbym mieć jakieś wpływy?

*Psychologiczny.* Wkręcenia się myśli w duszę człowieka – i sypkości, spulchnienia ich własnej duszy (to znaczy: czytelnika). Nie chciałbym jednak wpływać na „myśli”, na „przekonania” – nawet o tym nie myślę. W tym wypadku jest mi „wszystko jedno”. Sam zmieniałem „przekonania”, jak rękawiczki, znacznie bardziej interesowałem się kaloszami (czy są mocne), niż przekonaniami (swoimi i obcych).

11 czerwca 1912 r.

\* \* \*

359. Czy to będzie dobre, że będę miał wpływ? Myślę – tak. Czy to jest iluzja, że „ludzie, którzy mnie rozumieją”, wydają się być najlepszymi i najbardziej interesującymi. Dobrze wiem, że to nie z miłości własnej. Dawałem tym ludziom swoją miłość widząc, że doskonale rozumieją człowieka, świat, krowy, gwiazdy, wszystko (opowieści Cw-a o męczących się ptakach i chorych psach, o kapłanie w Syberii i o trądzie – umarł wraz z żoną, która go pielęgnowała). Taki człowiek jest „moim bratem”, jest „lepszy, niż ja”.

Tymczasem Struwe tyle mi mówił o „partiach” i że „bez partyjności nie ma polityki”, a ja byłem jak kamień i on był dla mnie jak kamień. W ten sposób mój wpływ polegałby na „poszerzaniu” duszy człowieka, żeby dusza „wszystkim oddychała”, „wszystko w sobie gromadziła”. Dusza byłaby łagodniejsza, gdyby miała większe ucho, większe nozdrza. Chcę, żeby ludzie „wączali wszystkie kwiatki”...

Więcej – w istocie, nie chcę:

To ona skruszy królestwa,  
Wszystkim grozi światom –

(o śmierci). Jeśli tak, to co pozostaje człowiekowi, co pozostaje biednemu człowiekowi, jak tylko wączać w polu kwiaty.

\*

Powąchał. Umarł. I – mogiła.

11 czerwca 1912 r.

\* \* \*

360. Oczywiście, ceniłem rozum (bez niego jest smutno), ale w żadnym wypadku *nie zachwycalem się nim*.

Z rozumem jest – interesująco, to jest jasne. Ale żeby się z jakichś powodów zaraz zachwycać (to zupełnie inna kategoria).

Czym Bóg nas pociąga? Przecież – nie umysłem, nie „mądrością”. Więc – czym?

Zawsze zachwycalem się *duszą*. Patrzyłem i zapominałem o Bożym świecie (jak przy słuchaniu muzyki)... Dusza – jest czarująca (to zupełnie inna kategoria). Czyż więc Bóg nie pociąga świat ową „czarownością”? Być może. On pociąga duszą, a nie mądrością. Bóg jest – *duszą świata*, a nie – *rozumem świata* (ogromna różnica).

11 czerwca 1912.

\* \* \*

361. Iluż w lenistwie miotających się inteligentów „bełkocze głupstwa”: a w aptekach (po 2 na każdej ulicy) zasiedli jasnovidzący Żydzi i ani jednego Rosjanina nie dopuszczają, żeby był chociaż subiektem. Dzisiaj nakrzyczałem w jednej aptece: „Wszystko, Żydzi, wzięliście w swoje ręce”. Młoda Żydówka, siedząca przy kasie, odpowiedziała: „Niech więc Rosjanie wchodzą z nami we współpracę”.

– Przecież ten handel daje 100 % zysku! – powiedziałem, powtarzając słowa jednego Rosjanina „sadownika” (spotkałem go w łaźni).

– Nie, tylko 50 % zysku.

Pięćdziesiąt procent zysku!!

\* \* \*

362. Rosyjski leniwiec wącha powietrze, czy nie pachnie gdzieś „opozycją”. Gdy znajdzie taką, natychmiast do niej przystaje, a wtedy uspokaja się, znajduje usprawiedliwienie swego istnienia w świecie, znajduje sens, znajduje dla siebie „Królestwo Niebieskie”. Jakże w Rosji ma nie być opozycji, jeśli ona wszystkich uspokaja oraz rozwiązuje tysiące i miliony problemów osobistych.

Złe byłoby istnienie, a z „opozycją” – jest życiowe *comme il faut*.

\* \* \*

363. Przyszedł cuchnący „raznoczyniec”. Przyszedł ze swoją nienawiścią, przyszedł ze swoją zazdrością, przyszedł ze swoim brudem. Brud, nienawiść i zazdrość mają swoją siłę, co otoczyło go aureolą „mrocznego demona negacji”, ale pod demonem ukrywał się po prostu lokaj. Nie był on czarny, ale brudny. I zniszczył kulturę szlachecką od Dierżawina do Puszkina. Kulturę i literaturę...

(„raznoczyńcy” w literaturze i zachwyty nad nimi *raznoczyńca* – Michajłowski)

\* \* \*

364. Jakże mogłem mówić („Odosobnione”) o swojej wielkości, o swoim znaczeniu – gdy obok mnie był chory?

Jak starczyło odwagi, jak śmiałem? Cóż za lekkomyślność.

\* \* \*

365. Czy podobały mi się kobiety jako *ciała*?

No, poza mistyką... *in concreto*? Oto „ta” i „tamta”, koło ramion?

O, właśnie tak – „koło ramion”, i tylko! Zawsze chciałem je uszczypląć (nigdy nie szczypałem). Od dzieciństwa. Zawsze zachwycałem się – policzki, szyja. Najbardziej piersi.

Gdy się jednak odwróciłem, nie pamiętałem nawet przez minutę.

Zawsze pamiętałem ducha i w nim cierpienie (całe *lata* pamiętałem o tym, co widziałem przez *chwilę*).

\*

To, co drapieżne („drapieżna kobieta”), nie zajmowało mnie nawet przez chwilę. W samym ciele lubiłem jego dobroć. A raczej jego – solidność.

\*

Wzruszały i pociągały, raczej oczarowywały – piersi i brzemiennie łono. Ciągle chciałem widzieć cały świat brzemiennym.

\*

Wydaje mi się, że kobiety czuły to „koło ramion”. Był „wieczór sołogubowski”, z tancerkami („12 przewidzeń”? ). Tłumy ludzi. Siedziałem w 16 rzędzie i skorzystałem z okazji, że ktoś nie zajął miejsca w 3 rzędzie, więc przed ostatnim aktem przesiadłem się. Obok siedziała dama w wieku 45 lat. Ponieważ wszystko wcale nie składało się z „przewidzeń”, a z obnażonych „aż potąd” aktorek, to w antrakcie powiedziałem po części do sąsiadki, a po części „w powietrze”:

– Tak, śmieją się z tego i żartują sobie. A przecież jakże *to wszystko jest ważne dla zdrowia!* Żeby wszystko żyło – nie było negowane – i żeby wszystko, co tego dotyczy, dokonało się we właściwym czasie, naturalnie i dobrze.

Sąsiadka zrozumiała uwagę i poważnie powiedziała:

– O, tak!

– Jak rozkwitają młode matki! Jakże wyrabia się ich charakter, dusza! Zamążpójście jest jak *drugie narodziny*, jak poprawienie *pierwszych narodzin!* *Czego* nie dopełnili rodzice, *to* dopełni mąż. To on *doskonali* dziewczynę, po prostu dlatego, że jest mężem.

– O, tak! Tak! Tak! – powiedziała ona i w jej głosie zabrzmiało coś bardzo osobistego.

Chwilę pomilczała, a potem dodała:

– Mam zamężną córkę...

– Czy ona ma dziecko?

– Tak. Od kilku miesięcy. Ale jeszcze przed urodzeniem dziecka, gdy tylko została żoną, cała rozkwitła. Była chudziutka i blada, na wszystko narzekała, ciągle niedomagająca. Małżeństwo wszystko to usunęło, jak ręką odjął. Ona odmłodziła, rozkwitła.

– Pani wspomniała o dziecku. Czy sama karmi?

– O, tak! Tak! Tak! Sama karmi.

Kim byłem dla tej kobiety? „Sąsiadem z prawej strony w 3 rzędzie krzesel, gdzie z reguły siedzą sztywniacy. Jednak zainteresowanie „łonom” od razu likwiduje wszystkie przegrody, sprawia, że ludzie stają się przyjaciółmi. Ta niezwykła rola społeczna łona jest zdumiewająca, wzruszająca, szlachetna i wzniosła. Z „łona” wywodzi się nie mniej idei, niż z głowy (dość pustej), a przy tym idei najbardziej wzniosłych i gorących. Idei najważniejszych, *tworzących życie*. To samo było u Tolstojów. Zofia Andriejewna nie była zadowolona, że przyjechaliśmy (nie pytając jej o to; ona była bardzo władcza). Zaczęliśmy rozmawiać (o jej liście otwartym do L. Andriejewa) i już po ½ godziny znajomości ona opowiadała o swoich porodach, ilości ciąży, o karmieniu piersią. Była w tym opowiadaniu wspaniała i zachwycałem się nią. Opowiadała bezpośrednio i śmiało.

Ona jest bardzo szlachetna i heroiczna.

Mój stosunek do kobiet (i dziewcząt) jest *taki*: zawsze rozmawiam o ich Losie, zawsze gorąco, zawsze prowadzę je niewidzialnie za rękę (nić rozmowy)

do tematu ciąży i karmienia dzieci, w czym postrzegam najwyższy *idealizm ich istnienia*.

Spotkawszy (także w teatrze) poetę S. z żoną – obydwójce niezauważalnie wypięknieli – mówię:

– Przedtem obydwójce chodziliście „do góry nogami” (byli dekadentami), a teraz poszliście „drogą Rozanowa”...

– Jaką drogą?

– Najzwyklejszą. Niedługo obydwójce przekształcicie się w Piotra Piotrowicza Pietucha. On poprzednio był cały ciemny, a wy – chudzi i załamani. Teraz on ma wesołą twarz, pełną światła, a u pani oto jak rozrósł się biust.

Obydwójce siedzieli nieco ocieźzali. „Zupełnie przeciętni”.

Obydwójce zaśmiali się i było im wesoło.

– Kiedy rozeszła się pogłoska o waszym ślubie, wielu ludzi było przerażonych. Mówili, że pan jest tak okrutny i lubieżny w swoich wierszach, że u pana wszędzie czort trzęsie się w stępie.

Nie zapomnę jej łagodnej odpowiedzi, pełnej natchnienia:

– Nie ma na całym świecie, nie ma *lepszego* człowieka od mojego męża!! On jest taki dobry, łaskawy, pełen zrozumienia! – ona cała aż zajaśniała. Miała już o tym *wiedzę* i doświadczenie.

Zaiste, był to cud i cud ten sprawił pojawienie się „zwykłej drogi”. Kobieta, chociaż trochę rozumna, wyrównuje „krzywizny męża”, niezauważalnie prowadzi go w małżeństwie do ideału. Prowadzi go przez swoje natchnione wypowiedzi i łaskę dawaną w nocy. „No! No!” – wszystko „idzie pomaleńku!”, ku lepszemu, ku normie.

Płec jest górą pełną światła: jest to góra wysoka, bardzo wysoka, skąd jaśnieje światło, jego promienie, i rozprzestrzenia się na całą ziemię, wszystkiemu nadaje nowy, szlachetny sens.

Uwierzcie tej „górze”. Ona po prostu stoi na czterech drewnianych nogach (żelazo i wszelkie materiały są w tym wypadku niedopuszczalne, jak i „wiązące” gwoździe).

Widziałem. Świadczę. Będę tego bronił.

\* \* \*

366. Puszkini i Lermontow *zakończyli* całą wspaniałą epokę w historii Rosji, od Piotra Wielkiego do nich.

Pod względem mistrzostwa słowa Tołstoj nie wiele ustępuje Puszkiniowi, Lermontowowi i Gogolowi; on nie ma utworów takiego „tłoczenia”, jak „Pieśń o kupcu Kałasznikowie” – takiej *różnorodności* echa, jak Puszkini, takiej diabelskiej mocy, jak „Martwe dusze”... Puszkini nawet we fragmentach, w szczegółach, a w końcu w wykreślonych zdaniach – nic płaskiego lub głupiego... A u głupiego Tołstoja mnóstwo – *plaskich* miejsc...

Oto w czym on ich wszystkich przewyższa: w szlachetności i powadze całego życia, nie w tym, „co on zrobił”, a w tym, „co on chciał”.

Puszkina i Lermontowa „nie szczególnego nie chcieli”. Choć jest to dziwne w wypadku takich geniuszy, ale – „nie chcieli”. Właśnie – wszystko kończyli. Właśnie – zachód i wieczór całej cywilizacji. Wieczorem w ogóle nic się nie chce, „chce się” – rano.

Rosyjskie morze jest gładkie, jak szkło. Wszystko – „odbicia” i „echa”. Echo „wspomnień”... We wszystkim wspaniały „styl Rastrellego”: w pałacach, w wydarzeniach, świętach, goryczy... Ermitaż, Dierżawin i Żukowski, Biblioteka Publiczna i Karamzin... W „stylu Rastrellego” nawet opozycja to – dekabryści.

Cicha, spokojna, głęboka noc.

Powietrze przejrzyste, niebo błyszczące...

Nagle diabeł zamieszał kijem i z dna wypłynęły mętne prądy, błotne pęcherze... To przyszedł Gogol. Za Gogolem inni. Tęsknota. Zdziwienie. Złość, dużo złości. „Zbędni ludzie”. Ludzie pełni tęsknoty. Ludzie głupi.

Wszyscy osobno. „Ciągnijcie naszą monarchię w różne strony” – „Hej, Wańka, czego stoisz? Ciągnij! Drugiej takiej chwili nie będzie”.

Gorzalka. Trepak. Przysiad. Tak, to już nie jest „dworski menuet”, to są „obyczaje ulicy Rastierjajewej”...

Tołstoj podniósł głowę w tej mgle” „Do ideału!”

Jako pisarz jest on gorszy od Puszkina, Lermontowa, Gogoła. Ale jako człowiek, jako szlachetny człowiek, jest od nich lepszy... On nawet nie jest zbyt mądrym człowiekiem, ale w Rosji nikt tak jak on nie był ukierunkowany ku szlachetnym i wielkim ideałom.

W tym jego przewaga nad całą literaturą.

A przy tym jako *natura* on nie był tak szlachetny jak Puszkina. Natura – to jedno, a zamiary, „o czym marzy się nocą” – to drugie. A „o czym marzy się nocą” – u Tołstoja szlachetniejsze, niż u wszystkich innych.

\* \* \*

367. Jej cała radość – w radości innych.

(na słowa: „Szura, jak się zdaje, jest zadowolona”,  
gdy szedłem spać. Nasza Mama)

\* \* \*

368. Szacunek dla starszych powinien być bogobojny, a nie nierozumny.

(staroobrzędowcom i kanonistom)

\* \* \*

369. – Co właściwie jest „kanoniczne”?

– Jeśli kto szanuje i kocha Kościół, to dla niego kanoniczne jest to, że teraz skłania się do pobożności Kościoła, do jego prawdy, do jego piękna, jego organizacji. Do pokoju, zdrowia i sprawiedliwego życia wiernych. Natomiast

dla złych, niegodnych i pozbawionych sumienia, którzy nie kochają Kościoła i nie strzegą go, „kanoniczne” jest to, co „powiedzieli tacy, jak my, będący w równej z nami randze”. Dla nich:

– Nie Kościół, ale – *my*.

Złym bezbożnikom należy nałożyć *uzdę*.

(*Hermogenom i Chrapowickim – 26 czerwca 1912 r.*)

\* \* \*

370. Będzie więcej nauki, więcej filologii, nawet będzie więcej porządku, ale złotego wieku nie będzie.

Nie będzie też natchnienia.

Gdyż potężne drzewa wyrastają ze starych gruntów.

(*o reformacji rosyjskiej*)

\* \* \*

371. Głosik miała cichutki-cichutki, słabiutki-słabiutki: jak przyciśnięty ptaszek. Zaśpiewawszy tylko kilka dźwięków, 1-2 zwrotki pieśni, zawsze się roześmieje, jakby dziwiła się czemuś niemożliwemu.

(*kiedy mama w hamaku zaśpiewała pieśń,  
a ja pisząc artykuł przy oknie – usłyszałem*)

\* \* \*

372. W moim myśleniu zawsze było jakieś osłupienie.

\*

Nigdy się nie domyślałem, nie szukałem, nie podglądałem, nie wyobrażałem sobie. Te zwykłe zdolności są całkowicie nieobecne w mojej istocie.

\*

Nagle coś mnie jednak porażało. Myśl lub przedmiot. Lub: „A gdyby *tak* (*skąd-to*) porzucić świat?”. „Porażony”, wybałuszałem oczy: patrzyłem na ten przedmiot, na tę myśl, lub „*stąd-to*” – niekiedy całe lata, przeważnie całe lata.

W stosunku do przedmiotów, myśli i „*stąd-to*” występowało u mnie zaczarowanie. Mogę powiedzieć i to bez żadnego błędu, że przeżyłem życie w jakimś zaczarowaniu.

Było to życie i bardzo szczęśliwe, i bardzo smutne.

\*

\*

\*

W istocie w ogóle nie zmieniłem się od czasów Kostromy (lat 13). Ta sama obojętność zarówno w stosunku do „dobrze”, jak i w stosunku do

„głupio”. Te same czyny z motywu „ciekawe” i „chcę”. Ten sam chłód, lub raczej obojętność w stosunku do otaczającego świata. Ten sam, prawie stały smutek, skądś wypływająca troska, która tylko szuka „zaczepu” lub „powodu”, żeby przemienić się w straszny ból wewnętrzny, do łez... Ta sama łagodność, poszukująca „zaczepu”.

Mój podstawowy stosunek do świata, to łagodność i smutek.

Jest mi smutno, że wszystko jest niedoskonałe: ale wcale nie w tym sensie, że rzeczy nie wypełniają jakiegoś przykazania, czego od nich oczekujemy (nawet do głowy mi to nie przychodziło), ale samym rzeczom jest jakoś niedobrze, one nie są zadowolone, jest im smutno. To, że rzeczom jest „smutno”, to moje ciągłe cierpienie w całym życiu. Przez to „cierpienie” przechodzi łagodność. Rzeczy wydają mi się obrażone, sieroce, ktoś mało je kocha, ktoś mało je ceni. Wszystkie rzeczy w najwyższym stopniu zasługują na „łagodność”, żadna myśl w świecie nie wydaje mi się głupia. Wszystkiego bym dotykał, wszystko gładził „z włos” (nigdy „pod włos”). Dlatego też przez pewne „wychowanie” (przywykanie) mogłem dochodzić do zakochania się w okropnych lub wstrętnych rzeczach, jeśli tylko patrzyłem na nie pod „sympatycznym kątem”, z jakąś „sympatyczną tendencją”. Niekiedy wydaje mi się, że wiecznie z ludźmi „kradłem Bogu”... nie to złote jabłuszka, nie to szczęście, oto zmniejszenie smutku, oto zmniejszenie woli, oto straszna śmiertelność i „koniec ludzi”, wszystko „kończy się” i nic nie jest „wieczne”. Wykradam Bogu jakąś inną prawdę rzeczy niż ta, która rzuca się w oczy, co nie jest jednak (w żadnym wypadku!) buntem przeciwko Bogu... Chwieją się mgły (duszy i świata), a mnie to „kradzenie z ludźmi” wydaje się być czymś pozostającym pod tajemniczą opieką Boga, gdyż Bóg chce, żeby „świat został rozkradzony”, tylko prawo jest surowe (Fatum, Ανάγκη). Walka z Fatum ciągle trwała w mojej duszy: właśnie nad tym płakałem i bolałem – to znaczy nad Fatum i Ανάγκη.

\* \* \*

373. Różnica między mamą i jej matką („babcia” A. A. R.) była jak między kolumną jońską i dorycką. Zauważałem, że mama jest bardziej ludzka, miękka, cieplejsza. Bardziej różnorodna i przenikliwa. A babcia – bardziej twarda, spokojna, społeczna. Dla babci istniała „ulica”, „okolica”, „nasza parafia”, ona wszystkim się interesowała i w myślach wszystkim „ściągała lejce”. Dla mamy „ulica” w ogóle nie istniała, był jedynie „swój dom”: dzieci, mąż. Prawie nie było „przyjaciół” i „znajomych”. Ale ten „swój dom” wybuchnął jaskrawo i gorąco. Babcia mogła przeżyć całe życie bez osobistej miłości, jedynie troszcząc się o innych: mama zupełnie tego nie mogła i już mając 14 lat „zaufała temu człowiekowi” i tego zaufania nic i nikt nie mogło złamać (u 14-letniej dziewczynki!), wyrwać. Tego babcia nie mogłaby i nie chciała. Dla niej „ulica” i autorytet ulicy był znaczny (dla mamy zupełnie bez znaczenia).

Tak i wyszło: z „kolumny doryckiej”, prostej, wiecznej – rozwinęła się pełna niepokoju i niespokojna „kolumna jońska”. Obie dobrze poznałem (w 1890 r., ale przygotowywałem się do tego w latach 1886-1890).

\* \* \*

374. W koszuli, stulając poły szarego (ciemnoszarego) chałatu, Tania szybkimi kroczkami podchodzi do biurka. Nie zdążyłem podnieść głowy znad papierów, jak jej rączki owinęły się wokół mojej szyi, pocałowała mnie w głowę i powiedziała:

– Dobranoc, tatusiu... Jak ja lubię słuchać zza ściany, jak ty grzebiesz w papierach, zupełnie jak myszka...

Śmieje się, w oczach zawsze błyszczą łzy wzruszenia. Łza zawsze może spłynąć z jej oka, jak u naszej mamy.

Jej dusza, twarz i figura podobne są do mamy, tylko zminiaturyzowane.

Podnoszę głowę i całuję śmiejący się policzek. Ona zawsze się śmieje. A mówiąc dokładniej ciągle jest między uśmiechem i łzą.

Cała czysta, jak Anioł niebieski, nie ma u niej żadnej mętnej wody. Jak i nie ma w niej łobuzerstwa. Łobuzerstwa nie ma w niej dlatego, że wiemy z mamą, iż wiele po cichutku płakała, bardzo ograniczała swoje potrzeby, wiele nad sobą pracowała i siebie wychowywała. Nikomu o tym nie mówiła.

Trzy (4?5?) lata temu spacerowałem z Konoplancewem wysokim brzegiem morza. Tuż u nóg ciemniał szczyt sosnowego lasu, który oddzielał obryw „równiny kraju” od brzegu morskiego. Było to koło Tursewa, za Teriokami. Mówię do niego, że dziwię się, iż Bielinski dopiero na krótko przed śmiercią ocenił jako najlepszy wiersz Puszkina – „Kiedy dla śmiertelników ucichną dnia gwary”. Konoplancew zainteresował się tym i ja od razu chciałem mu wyrecytować chociaż drugą lub trzecią zwrotkę, ale nie mogłem sobie przypomnieć. Milcząca cały czas Tania cicho powiedziała do mnie:

– Ja, tato, pamiętam.

– Ty?? – odwróciłem się ze zdziwieniem.

– Tak. Ja też lubię ten wiersz.

I cicho, trochę zawstydzona, zaczęła recytować w odpowiedzi na moje słowa: „Mów! Mów!!”:

Kiedy dla śmiertelników ucichną dnia gwary,  
I noc, współprzejrzystą szatę  
Rozciągając nad głuchej stolicy obszary,  
Spuszcza sen, trudów zapłatę:  
Wtenczas mnie samotnemu rozmyślań godziny  
W ciszy leniwo się wleką... –

czułem, że słowa, jak „obszary” i „rozmyślań godziny” – są mętne dla biednej dziewczynki: jeśli w jakiejś niezrozumiałej trwodze zapamiętała dość trudne i długie zwrotki, to – pociągnięta tajemną męką, ukrytą w wierszu, jakiegoś współczucia, dzieląc z kimś duszę w tych zwrotkach. Wzruszyłem się, słuchając

tego wiersza. Konoplancew milczał. Tania dalej recytowała. Jakby już nie współczuła przyjacielowi, a użalała się nad samą sobą:

Wtenczas mnie ukąszenia serdecznej gadziny  
Bezczynnemu srożej pieką.  
Mary wrą...

Ona przerwała, skłoniła nisko głowę i zaczęła mówić ciszej:

w myśli, którą tęsknota przytłacza,  
I trosk oblegają roje;  
Wtenczas i Przypomnienie w milczeniu roztacza  
Przede mną swe długie zwoje.

Nieśmiało, po dziecinnemu:

Ze wstrętem i z przestachem czytam własne dzieje,  
Sam na siebie pomsty wzywam  
I serdecznie żałuję, i gorzkie łyżę leję,  
Lecz smutnych rysów nie zmywam.

Znowu przerwała.

Widzę w straceńczych uczt uciechach i w próżniactwie,  
W szale swobody, w zgiełku świata,  
W niewoli, w doli złej, na stepach i w tułactwie –  
Swe dawno utracone lata.  
Znów słyszę druhów mych zdradzieckie pozdrowienie,  
Caprydy, Bakcha igrzysk głosy –

powiedziała „Caprydy”... Czuję, że nie rozumiała wielu słów...

I w serce moje znów wsączają zimne lśnienie  
Zniewagi nieodpartej ciosy.  
I bez pociechy już...

Teraz prawie szeptała. Ledwo słyszałem słowa:

– i w oczach mych przytomnie  
Wstają dwie mary upragnione,  
Młodzieńcze cienie dwa, przez los przysłane do mnie  
Anioły dwa – w me dni minione.

Metalicznie i chłodno, jak coś obcego:

I obaj strzegą mnie... i wznoszą nad mą głowę  
Swych mściwych mieczów błyskawice.

I znowu ze współczuciem:

I obaj cicho mi tłumaczą martwą mową  
Szczęścia i grobu tajemnice.

W całym moim życiu rodzinnym (20 lat) nie przeżywałem takiego wzruszenia, jak wtedy, gdy słuchałem Tani, „która pęta się gdzieś koło nóg”, recytującej wiersz, tak bardzo mnie (wiele lat) zdumiewający. Tak, ale to – mnie zdumiewający. A ją??!! Z jej „Katakumbami” Eugenii Tur, i – nie dalej? Dlaczego „nie dalej”? Okazało się, że ona pobiegła znacznie „dalej”, niż się wydawało nam z mamą. Nie powiedziała ani słowa. Dopiero na przypadkowe pytanie w odpowiedzi wyrecytowała ten wiersz jak „wykutą lekcję” (nigdy tego wiersza nie przerabiano w szkole), nagle zdradziła tajemnicę jakże bardzo przekraczającą wszystkie te lekcje, klasy, nauczycieli.

– Dobrze, Taniu. Jak zapamiętałaś ten wiersz?

– Bardzo lubię ten wiersz.

– Z „Caprydą” – zamiast „Cyprydą”!?

\*

Przeczytałem mamie ten tekst (korekta).

– Nie podoba mi się, że ty wszystko to zapisujesz. O tym powinniśmy wiedzieć tylko *ty i ja*. Ale żeby wiedział o tym rynek – to nie dobrze. Lepiej byś opisał, jak ją wytargałeś za ucho.

Ale to było inne wydarzenie, na Imatrze. Kiedyś opowiem o nim w innym miejscu.

\* \* \*

375. Niemilknący szum w duszy.

(*moja psychologia*)

Za dnia, kiedy obudzę się w nocy, – i, co jest dziwne, niekiedy dalej twa sen (trzy razy „rozwiązały” się we śnie wątpliwości, zajmujące ten dzień i poprzednie dni).

\* \* \*

376. Nie ustrzeże mąż – nie ustrzeże ojciec.

(*los dziewczyn*)

\* \* \*

377. „*Ekspres*” – przeczytałem nad adresem, niosąc list Nadzi do kuchni (skąd zabierze go listonosz). Gdzie to ten „Puszek” (przez wisko) pisze swoje listy jako „ekspresowe”? Wcześniej krzyczała: „Tato! Mój list – *polecony*” (to znaczy: wysłać jako *polecony*). W końcu zdenerwowałem się z powodu wydatków i pytam: „Dlaczego *polecony*?” – „*Szybciej dojdzie!*” – „Przeciwnie, *polecony* idzie *wolniej*, ale za to *na pewno dojdzie*”.

Od tego czasu nie pisze „*Polecony*”, ale za to pisze: „*Ekspres*”. Gdzie ona tak się spieszy – mając 11, 12, 13 lat?

Najważniejsze listy są niezwykle. Broń Boże, żeby dotknąć pocztówki. Oczy błyszczą, wargi drżą, pryska ślina, Puszek krzyczy do ojca lub matki:

– To niemoralne *czytać cudze listy!*

– Moja droga, przecież *pocztówki* po to się pisze, żeby wszyscy je czytali.

– Wcale nie!!! To jest list!!!! Przecież on nie jest napisany do ciebie!!!!

Cała drży.

– Moja droga, przecież tam są napisane same głupoty. Co to takiego „Twoja Zoja” lub „Dowiedziałam się o ważnej tajemnicy. Ale powiem ci ją jesienią, kiedy będziemy w szkole”. Co prawda, napisano jeszcze: „Babcia chorowała na zapalenie płuc”, ale to na samym końcu, z boku, na samym skraju i z kleksem, a więc „tajemnica” jest ważniejsza.

Pewnego dnia „przyjaciół” i ja nie otrzymaliśmy żadnego listu, a Nadia dwie pocztówki: porwała je i wyskoczyła do sadu, przebiegła ogromną aleję i dopiero wtedy spojrzała na adres i od kogo. Zachwyta, a co najważniejsze, ważność tej chwili porwała ją jak wichur i poniosła jak świeży listek w czasie burzy...

Jedna ma dwie główne przyjaciółki – to „Zoja” i jeszcze jakaś „Husarzyk”, a druga – wieczna „Natasza Polewaja”.

(12 czerwca 1912 r.)

\* \* \*

378. Życie przemija jak wiosenny kwiat. Jakże straszne jest to słowo: „przemija”. Straszna jest kategoria *czasu*: straszny jest związek z czasem.

Człowiek jest *istotą związaną z czasem*. Któż może znieść tę myśl...

\*

O, jak ja pragnę tego, co *wieczne*. „Niewolnik czasu”, tysiąclecia lub minuty – *wszystko jedno*. O, jakże ja nie chcę być „niewolnikiem czasu”.

(11 czerwca 1912 r.)

\* \* \*

379. Jedynie ból odkrywa w nas to, co jest *wielkie* i *święte*.

\*

Przed nadejściem bólu – wszystko jest piękne, dobre, nawet duże. Ale nigdy nie jest właśnie *wielkie*, właśnie *święte*.

(1 lipca 1912 r.)

\* \* \*

380. Rodzimy się dla miłości.

Jeśli nie kochamy, to błakamy się po świecie.

A jeśli nie spełnimy miłości, będziemy ukarani na tamtym świecie.

(1 lipca 1912 r.)

\* \* \*

381. Nie ustrzegłem mamy przed straszną chorobą. A mogłem. Więcej troski o nią, niż o numizmatykę, pieniądze, literaturę.

Oto mój jedyny i cały ból. Nie „Chrystus”, w żadnym wypadku, „Chrystus” obejdzie się beze mnie. Ma – wiele. A mama – ma tylko mnie.

Zostałem postawiony na jej straży. I nie ustrzegłem. Oto mój ból.

\* \* \*

382. Życie wymaga dobrego oka i twardej ręki. Życie, to – nie łzy, nie westchnienia, a walka, strasna walka. Łzy – „w domu”, „wewnątrz”. Na „zewnątrz” – żelazo. Tylko ten jest silny, kto jest otoczony żelazem.

We mnie było mało żelaza: dlatego mamie było tak trudno. To ona ciągnęła wóz i traciła oddech. Broniła go i walczyła za mnie.

Woźnica upadł. A ja go tylko oplakuję.

*(2 lipca 1912 r.)*

\* \* \*

383. Klechy – miedziane wojsko Chrystusa.

\*

Jego łzy i cierpienia – ani kropli w nich. Od dzieciństwa nie widziałem ani jednego zapłakanego klechy. Nawet „nie ma kiedy”: wszystko jest „obowiązkiem” i „służbą”.

\*

Jako „rycerze” oni bronią Chrystusa, ale gubią przy tym Jego tajemnicę, a ona jest najważniejsza.

*(być może, tylko nasze klechy?)*

*A przy tym – nie wszyscy)*

\* \* \*

384. W nikim nie widziałem takiej obojętności w stosunku do śmierci, jak w klechach. „Ta metafizyka nie jest nam potrzebna”.

*(ale to – nie wszystko)*

\*

Jednak pomimo wszystkich ich wad, jakże strasznie jest bez klechów! To dzięki nim istnieje wieczna możliwość łez: pozytywizm nie zawiera samej *możliwości łez, obietnicy*.

Brak łez u klechy nie jest brakiem, a u pozytywisty – po prostu ich nie ma i nie jest to żaden „niedostatek” w pozytywizmie. W tym kolosalna różnica.

*(mimo wszystko klechy są dla mnie najmiłsi na świecie)*

\* \* \*

385. Razi Ciemne, razi Czarne.

Co to jest?

Nikt nie wie.

\* \* \*

386. Zawsze byłem w świecie obserwatorem, a nie uczestnikiem.

\*

Stąd taka udręka.

\* \* \*

387. Są ludzie, którzy jak mostek istnieją tylko po to, żeby po nim inni przebiegali. Biegną, biegną: nikt się nie obejrzy, nie spojrzy pod nogi. A mostek służy temu pokoleniu i drugiemu, i trzeciemu.

\*

Taka była nasza „babcia”, Aleksandra Adrianowna – w Jelcu.

\* \* \*

388. Tajemniczy patos Żyda – być eleganckim. Oni ciągle się myją i skrapiają perfumami. Żyd nie wybierze do tańca nieładnej kobiety, a najpiękniejszą, i będzie z nią tańczył do upadłego. Oni zresztą wszyscy są „do upadłego”. Zatrzymajmy się jednak przy elegancji: Żydzi wysilają się, żeby zmyć z siebie jakąś nieczystość świata, jakiś przedpotopowy pot. I ciągle nie mogą. Ciągle są przerażeni, że sąsiad po cichu odwraca się od tego potu.

*(wspomnienie wieczoru w Briansku)*

\* \* \*

389. Talent pisarza zjada jego życie.

Zjada szczęście, wszystko zjada.

Talent to – fatum. Jakieś upijające fatum.

*(1 sierpnia 1912 r.)*

\* \* \*

390. Niekiedy i to „z uzasadnieniem” – trzęsą mi się nogi; a niekiedy „wbrew wszelkim prawom” – w duszy śpiewają ptaszki.

\* \* \*

391. Z dziećmi to, co gorzkie, jest słodkie. Bez dzieci szczęście nie jest potrzebne.

Nakazuję wszystkim moim dzieciom – syn i 4 córki – żeby mieli dzieci.  
Los dziewczyny bez dzieci – straszny, mroczny, gorzki.

Dziewczyna bez dzieci – grzesznica. To jest „kanon Rozanowa” dla całej Rosji.

(poza „księżycowymi ludźmi”  
z ich „Nie chcę!”, z natury)

\* \* \*

392. My nie kochamy według marzeń, ale marzymy według miłości.  
Nawet w myśli – pierwsze jest serce.

(przy pracy)

\* \* \*

393. Skomplikować natchnienie przez chytrą – oto Bizancjum.  
Takie ono było od skomplikowanego życia dworskiego do kanonów i inicjałów w rękopisach.

(na spacerze w lesie)

\* \* \*

394. ...skąd taka bezgraniczna złość?

Nie wierzył. I w przyrodzie całej  
Niczemu nie chciał błogosławić.

(o Gogolu)

...demon bojaźliwie chwytający krzyż.

(Gogol przed śmiercią)

\* \* \*

395. Mówią, że zbyt wysoką cenę dają swoim książkom („Odosobnione”),  
a przecież moje utwory nie są zamieszane na wodzie i nawet nie na ludzkiej  
krwi, a na *ludzkim nasieniu*.

\* \* \*

396. Czyż świat nie jest pełen zgrozy, o której zupełnie nic nie wiemy?  
Czyż nie dlatego nie ma pełnej wiedzy, ponieważ rozum by jej nie zniósł,  
a zwłaszcza nie zniosłoby serce człowieka?

Jesteśmy jak biedne ptaszki... od krzaczka do krzaczka i z dnia na dzień.

\* \* \*

397. Wszyscy wyobrażają sobie, że dusza jest rzeczą. A dlaczego nie ma  
być muzyką?

I poszukują jej „cech” („cechy przedmiotu”). A dlaczego ona nie ma być  
tylko *systemem*?

(przy porannej kawie)

\* \* \*

398. Ja wcale nie walczyłem (Mereżkowski), a chwyciłem Zwycięstwo.  
Wtedy zobaczyłem śmierć. I rozwarłem ręce.

(jadąc dorożką)

\* \* \*

399. – Dzieci, czytanie Sherlocka Holmesa jest szkodliwe!  
Zabieram książki i w ukryciu czytam sam.

Każda książka ma 48 stron. Teraz „Siewierska – Petersburg”, przelatuję jak we śnie. A przecież ja grzeszę jako „idący spać”, skoro nieraz siedzę do 4 godziny rano. Straszne historie.

\* \* \*

400. Ból świata zwyciężył radość świata – oto chrześcijaństwo.

\*

Marzymy o powrocie do radości. Oto trwogi pogaństwa.

\* \* \*

401. Żydzi *podlegają*, a nie należą. Z tego powodu oni „podlegają” historii.

\*

Żydzi – to *sukkuby* swego bóstwa (termin średniowieczny).

(na zakupach na ulicy Gorochowej)

\* \* \*

402. Wszystko przeminie, my też przeminimy, przeminą nasze sprawy.

A miłość?

Nie.

Chciałbym tak myśleć.

\*

Dlaczego tak się upieram, żeby też „przeminąć”?

\*

Dalej będzie ziemia, po której będą chodzić ludzie. Boże: cała ziemia – to wielka mogiła.

\* \* \*

403. Bez wiary w siebie nie można być silnym. Ale wiara w siebie rozwija w człowieku nieskromność. Czyż nie stąd niekiedy znajduję w sobie nieskromność, która jest mi obca?

(za miastem)

\* \* \*

404. Pieśni są *stąd*, skąd są kwiaty.

\* \* \*

405. Umiej poszukiwać samotności, Umiej poszukiwać samotności, Umiej poszukiwać samotności.

Samotność – najlepszy stróż duszy. Chcę powiedzieć – jej Anioł Stróż.

Z samotności – wszystko. Z samotności – siła, z samotności – czystość.

Samotność – „duch integralny”, a to znaczy, że ja jestem „integralny”.

(przy porannej kawie, 31 lipca 1912 r.)

\* \* \*

406. Przeczytałem w „Russkom Wiestniku” po prostu dławiący się radością artykuł o tym, że koło Helsinek stawiacz min wpłynął na kamienie... Co tam stawiacz min: czyż całe społeczeństwo i prasa nie cieszyły się, kiedy nas bito pod Cuszimą, Sza-ho, Mukdenem? Słowa Ksiunina sprzed trzech lat: „Poseł Japonii z powodu wrogich artykułów (trwały rozmowy, czy co) w lewicowej prasie rosyjskiej, głośno powiedział: „Ich obecny ton dziwi mnie: trzy lata temu (w czasie wojny) radykalna prasa rosyjska pisała o mojej ojczyźnie bardzo przyjaźnie”. – *Rozumiecie?* – śmiejąc się dorzucił Ksiunin. – Radykałowie pisali o Japonii dobrze, póki potrzebująca ich Japonia (to znaczy: gdy chodziło o rozbitcie *jedności ducha* w walczącym z nią kraju) płaciła im”. W słowach posła japońskiego był ton gospodarza tej sprawy. Tak, rosyjska prasa i społeczeństwo, gdyby „w poprzek” nie stał im rząd, rozdarliby Rosję na kawałki i rozdaliby te kawałki sąsiadom nawet nie za pieniądze, a po prostu za „kieliszek” pochwał. Właśnie z tego powodu należy natychmiast stanąć po stronie „niezdarne go rządu”, który *jednak* sam wszystko to chroni i strzeże. Tylko rząd nie jest jeszcze w Rosji podły i przepity.

\* \* \*

407. Zła rozwodnica, zła rozwodnica, zła rozwodnica. Wiedźma. Wiedźma. Wiedźma. I ty masz odwagę błogosławić małżeństwa?

(o Kościele anglikańskim z powodu historii małżeńskich w *Sherlocku Holmesie*)

\* \* \*

408. Bądź wierny człowiekowi, a Bóg nie zarzuci tobie niewierności.

Bądź wierny w przyjaźni i wierny w miłości: pozostałych przykazań nie musisz przestrzegać.

(13 lipca)

\* \* \*

409. Tam – buciki, lalki, tam – Madonna (gipsowa, z Kazania), poszarpane strony resztek Andersena, jeden pusty grzbiet ze „zbioru zadań” Jewtuszewskiego i najwięcej – rysunków Wasi: z jaką radością odnosisz to wszystko do pokoju dziecięcego.

(sprzątając mieszkanie przed wyjazdem na daczę)

\* \* \*

410. Mama zawsze sobie wyobrażała, że nie mam rąk i nóg, a przede wszystkim nie mam głowy. Zbiera moja strony, rękopisy (nigdy o niczym nie zapomni), książki. Przejechaliśmy:

– Waria, chustka!

– Chustka?

– Tak. Szybciej. Ty wzięłaś brudną, a gdzie czysta?

Milczenie.

– No?

– Poczekaj. Chustka. Położyłam je na dno kufra. *Dlatego, że są bardzo potrzebne.*

Zawsze to samo, że „bardzo potrzebne”, że – na dno kufra.

– Zaraz! Zaraz! Poczekaj chwilę (zakłopotana, z poczuciem winy i przerażenia).

Wyjmuje, biedna, wszystkie rzeczy z kufra. Ta historia powtarza się każdej jesieni i wiosny.

„Chustkę” wzięłam jako przykład. Z „chustkami” nigdy nie było takich historii, ale na przykład, z piórem i ołówkiem, albo z kurtką, kiedy jest chłodno. Pewnego razu, współczując jej, w gorące dni wrześniowe („babie lato”) chodziłem w wатовanym płaszczu, pocilem się, męczyłem, traciłem siły z tego powodu, że „wszystkie letnie rzeczy powinny być już schowane”, oczywiście, „na dnie kufra”.

(wracając z daczy do miasta)

\* \* \*

411. Będziemy się całować, póki płyną dni. Zbyt szybko one płyną – i dlatego będziemy się całować.

I nie będziemy czynić wyrzutów: nawet wtedy, gdy wyrzut jest słuszny – nie będziemy czynić wyrzutów.

(28 lipca, † Nauka, anons w prasie, mama zapłakała)

\* \* \*

412. ...tak, ale przecież rzecz w tym, że *narzeczony* lub towarzysz – *przyjaciel* – bardziej zajmuje się dziećmi, niż ich rodzice...

Dlaczego osądzamy dzieci, że są „bardziej otwarte” przed *przyjacielem*, niż rodzicami, i w istocie bardziej z nim związane...

\*

*Rozwijanie się* – to *odchodzenie*. Właśnie – od rodziców. Dzieci to gałązki przy stole: czyż gałązka z każdym dniem nie oddala się od pnia swoimi „zielonymi listkami”, swoim „końcem”, a pnia dotyka jedynie swoją beztroską podstawą. W tym, co „zielone” i w „końcówce”, w listeczkach gałęzi – jej myśl, serce, dusza. Tak samo wśród ludzi, w rodzinie. Los. Fatum. Płacz, albo nie płacz, nic nie zmienisz.

\* \* \*

413. Niechże duchowieństwo wyjaśni, dlaczego dziewczynce rosną piersi?  
– Aby karmiła swoje dziecko.  
– No, a ... „*niziej*”, po co to?  
Nie można powiedzieć nic innego, jak tylko:  
– Żeby urodzić dziecko.  
I cała asceza przepadła.

Któż odważa się głosić ascetyzm? Monaster Suzdalski, zresztą nikomu niepotrzebny, a jeśli i komu się spodoba, to jedynie Chrapowickiemu, Hermogenowi i Raczynskiemu.

\* \* \*

414. Od czasu pojawienia się „Odosobnionych” panuje opinia, że jestem – Pieriedonow lub – Smierdiakow. *Merci*.

(z powodu recenzji)

\* \* \*

415. Zostaniemy z mamą tylko we dwoje i nikogo więcej nam nie potrzeba. Ona zawsze nadawała znaczenie temu, *jak* pisałem (według swojego wyczucia), ale nigdy nie widziałem jej zdenerwowanej tym, co o mnie napisano. Nie z obojętności: a... przeczytała i zaczęła parzyć herbatę. Ale kiedy napisałem coś dobrego (według jej oceny), to ona – cieszyła się cały dzień, a niekiedy nawet następnego dnia rano.

(16 lipca 1912 r.)

\* \* \*

416. Całe moje życie, a zwłaszcza cała moja osobowość, jest chamska. Ja palę papierosa, a ona odmawia akatyst do Cierpiącej Matki Bożej, oto nasze stałe stosunki.

(leżąc w łóżku)

\* \* \*

417. Dostojewski, jak pijana nerwowa baba, wczepił się w „hołotę” na Rusi i stał się jej prorokiem.

Prorokiem „jutra” i piewcą tego, co „dawno przeminęło”.

\*

„Dzisiaj” – tego w ogóle nie było u Dostojewskiego.

\* \* \*

418. Papieros po kąpieli, maliny z mlekiem, małosolny ogórek w końcu czerwca, ale żeby z boku przyczepiło się trochę kopru (nie należy zdejmować) – oto moje „17 października”. W tym sensie jestem „zwolennikiem października”.

(w łaźni)

\* \* \*

419. ...to wcale nie ja ciągle byłem z Bogiem, a *ona*: a ja widząc ją stale z Bogiem, też wczepiłem się w Boga.

Zresztą od czasów uniwersytetu (pierwszy rok) ciągle Go kocham. Od tamtych czasów nie porzucam Boga, nie zapominam o Nim.

(*ja i mama; 21 lipca*)

\* \* \*

420. Nie rozumiem, dlaczego tak mnie nienawidzą w literaturze. Sam sobie wydaję się „bardzo miłym człowiekiem”.

\*

Kocham herbatę, kocham położyć łątkę na papierosa (w miejscu rozdarcia). Kocham swoją żonę, swój sad (przy daczcy). Nigdy się nie denerwuję (z wyjątkiem chorób w domu) i nigdy się nie spieszę.

Takiego „spokojnego obywatela” daj Boże każdemu państwu. Grzechy? A któż jest bez grzechów?

Nie rozumiem. Ten cały gniew, uniesienie, grudy brudu, niekiedy brukowiec. Po prostu cały „wir wodny” wokół rybki śpiącej koło zatopionego drewna.

A rybka – jasna. I woda, i powietrze. Czego im potrzeba?

(*na stos recenzji*)

\* \* \*

421. Niezwykła moc Kościoła zależy (między innymi) od tego, że ludzie przybiegają do niego w *najlepszych chwilach* swego życia i duszy: cierpiący, pełni bólu, straszni, patetyczni. „Ktoś umarł”, „sam umieram”. Wtedy człowiek jest *zupełnie inny*, niż w całym życiu. I oto ten „zupełnie inny” i „lepszy” człowiek niesie do Kościoła swój krzyk, swoje jęki, łzy, modlitwy. Jakże więc

takie miejsce, „gdzie wszystko przyniesiono”, nie mogło stać się najlepszym i najmocniejszym. Kościół zagarnął „ostrza wszystkich serc”: i nie ma innego miejsca z taką mocą, jak Kościół.

(*pijąc poranną herbatę 23 lipca*)

\* \* \*

422. ...a jednak jest coś Ciemnego, co pokonuje także samego Boga.

Inaczej trzeba by uznać „nie dobrego Boga”. Tego jednak nie może znieść dusza człowieka. Każda dusza ludzka umrze od takiej myśli. Nie człowiek umrze, a jego dusza umrze, udusi się, zginie.

\*

A więc: jesteśmy biednymi ludźmi.

(*głęboką nocą*)

\* \* \*

423. Cywilizacja europejska zginie z powodu współczucia.

\*

Jak Grecja – z powodu sofistów i Rzym – z powodu „pasożytów” (klienci przy stole optymatów).

\*

Mechanizm zguby cywilizacji europejskiej będzie zawierał się w paraliżu wobec wszelkiego zła, wszelkiego łajdactwa, wszelkiej zbrodni: i przy końcu czasów złodzieje rozedrą świat.

Proszę zwrócić uwagę, że łajdactwo już teraz napiera, wyśmiewa się, odnosi lekceważąco i poniża wszystko to, co jest dobre, proste, spokojne, po prostu cnotliwe. Ktoś zarżnął 80-letnią babcię i jej 8-letnią wnuczkę. Wszyscy milczą. „To nic interesującego”. Nagle snycerz „mieszczaninowi w kurtce” („Zbrodnia i kara”) dał po mordzie. Wszyscy aż podskoczyli: „On znieważył osobę ludzką”, on „popęłnił akt niekulturalny”.

Tak więc cywilizacja zginie nie tyle od współczucia, co od fałszywego współczucia... W jakimś *załamaniu się* wszystkiego... Cywilizacje giną z powodu spaczenia podstawowych cnót, istotnych, „zapisanych w człowieku”, na których „wyrosło całe ciasto”... W Grecji był to rozum, σοφία, w Rzymie – *volō*, „panowanie”, a u chrześcijan – miłość. „Humanizm” (społeczeństwa i literatury) jest lodowatą miłością...

Popatrzcie: sople lodowe błyszczą w zimowym słońcu i wydają się być diamentem.

Z powodu takich „diamentów” wszystko zginie...

\* \* \*

424. Codziennie boli mnie głowa: – „Dlaczego nie wezwałem Karpińskiego?” „Dlaczego nie wezwałem Karpińskiego?” „Dlaczego nie wezwałem Karpińskiego?”

(całe lato 1912 r.)

\* \* \*

425. ...według mnie trzeba pisać tylko „Odosobnione”. Po co pisać „w gębę” czytelnikowi?

\* \* \*

426. Panowie, nie ma w was duszy i dlatego nie udaje się wam „literatura”.  
(przy śniadaniu, o prasie)

\* \* \*

427. ...słuszne było moje dawne pytanie, postawione Sołowjowowi („O wolności i wierze”): „Po co *wam* wolność?” Wolność potrzebna jest *treści* (żeby treść mogła się *rozwijać*), ale jaka i po co wolność czemuś, co nie ma treści? A przecież *społeczeństwo* rosyjskie jest pozbawione treści.

Rosjanin nie jest pozbawiony treści – ale społeczeństwo rosyjskie jest pozbawione treści.

\* \* \*

428. Z daleka:

– Mama! Mama!

– Głupia. Podejź do chorej matki, a nie wołaj jej do siebie.

\*

Chłopi wnoszą na wozy 30 skrzyń.

– No, dobrze... Mamo, gdzie schowałaś mój piórnik? Jest mi on potrzebny.

15 lat. Wzrost – mamy. Gimnazjalistka „nowej szkoły z najlepszymi metodami”.

\*

Wróciła z wycieczki. Zwiedziła Kijów. Wszystkie chustki zgubiła, a nowa kurtka – do niczego.

(przeprowadzając się do nowego mieszkania)

\*

429. Głęboka konsternacja: jak „mnie” wydawać? Jeśli „dzieła wszystkie”, to wyjdzie „Rossiada” Cheraskowa, a kto będzie ją czytać? (chyba ze 30 tomów?). Autor „w 30 tomach” = 0. A jeśli „dzieła wybrane”, to w 3 tomach:

niezręczność w tym, że pewne *ostre strzały* (wnioski) *mojego całego światopoglądu* zostały zawarte po prostu w *przypisach* do cudzych artykułów, do Dernowa, Fozi, Sikorskiego...

Jak więc wydawać? Pełna konsternacja.

Co za dziwny pisarz: *non ad typ., non ad edit.*

W każdym bądź razie moim wrogiem będzie ten, kto wyda mnie „w 30 tomach”, gdyż to znaczy, że mnie pogrzebał.

(podczas obiadu na daczce)

\* \* \*

430. Tolstoj wcale nie był religijną osobą, religijną duszą, jak i Gogol. W obu lęk przed religią – lęk przed tym, co ciemne, nieznane, *obce*.

(27 maja 1912 r.)

\* \* \*

431. Mój „sens” został mi uświadomiony przez „przyjaciela”. Wszystko stało się ludzkie. Zaczęłam mówić, nabrałam sił. Wszystko nappełniło się tym, co „ziemskie” i zarazem tym, co „niebieskie”.

\* \* \*

432. Właściwie to *dobrze znamy* – jedynie *siebie*. Na temat wszystkiego innego – domyślamy się, pytamy. Jeśli jednak jedyną „objawiającą się rzeczywistością” jestem „ja”, to opowiadaj o „ja” (jeśli umiesz i możesz). „Odosobnione” napisałam bardzo łatwo.

\* \* \*

433. Samo istnienie – to po prostu rzeczywistość.

(porządkując książki i myśląc, dlaczego wydałam „Odosobnione”)

\* \* \*

434. Niosą gazety. Listy. Zajrzałam:

– Od Wari (z Carskiego Sioła, szkoła) jest list. Pisze...

– Nie, daj okulary... Nadia! (do służącej), daj okulary! Ja sama...

A Waria pisze tylko to:

„Droga Mamusiu! Całuję Ciebie mocno, mocno, jak Twoje zdrowie? Kłaniam się wszystkim. Jestem zdrowa, przyjadę w sobotę. Bardzo chcę do domu, bez Tani jest mi nudno. Do zobaczenia,

Twoja Waria Rozanowa”.

\* \* \*

435. Ja nie chcę prawdy, ja chcę spokoju.

(po wizycie u lekarza)

\* \* \*

436. Wyraźnie zbliżam się do mogiły. Tylko jedna myśl – o śmierci.

Jakże mogłem jeszcze rok temu pisać o „znaczeniu literackim”? Jakże to wszystkie obce. Jakże głupie.

(po wizycie u lekarza: „proces w substancji korowej rozwija się”)

\* \* \*

437. Błędna diagnoza Bechtieriewa w 1898 r. wszystko zniszczyła („nieuważny”, czy też „chciał uspokoić”?). Jakże jednak można założyć „brak uwagi” po moim długim liście, w odpowiedzi na który otrzymaliśmy „audiencję u znakomitości”.

Jakże mogliśmy, ja i mama, nie uwierzyć i nie uspokoić się? Akademik, pierwszy autorytet w Rosji w sprawach chorób nerwowych i *mózgowych*.

Bechtieriew powiedział (o diagnozie Anfimowa, profesora w Charkowie, którą przekazałem w liście): „Zapewniam pana, że tego w ogóle nie ma!” (powiedział to zdecydowanie, zdecydowanie! – i z radością). „Profesor Anfimow nie zastosował do niej najnowszej metody badania odruchów kolana, polegającej na tym, że należy łokcie cofnąć daleko do tyłu i dopiero wtedy uderzyć młoteczką w kolano” (odruchy nerwowe, określające *dokonujący się proces niszczenia tkanki nerwowej*).

Nic z tego nie rozumiejąc, my z ogromnego, śmiertelnego przerażenia, przy którym u obojga „nogi się uginały” (t., cer. sp., według Anfimowa), przeszliśmy do niepowstrzymanej radości.

„Ze śmierci wyskoczysz, oczywiście, jak szaleniec”. Tej choroby, jaką sugerował Anfimow, ona nie miała, jak wyjaśnił Karpinski, Anfimow pomylił się w diagnozie. Choroba była *uleczalna* (ale, oczywiście, jeśli nie nastąpi opóźnienie w rozpoczęciu procesu leczenia).

Zachwyt z tego powodu, że Bechtieriew – wielki autorytet – odrzucił pierwszą diagnozę, był nieopisany. (Anfimow powiedział w 1989 r., że „po powrocie do Petersburga – z Kaukazu – pokażcie moją diagnozę tamtejszym znakomitościom, przede wszystkim Bechtieriewowi”).

Potem uprzedzaliśmy innych lekarzy: „Bechtieriew powiedział, że to nic takiego”, że „to *wrodzona anomalia*, te nierównomierne źrenice w oczach”.

A Nauk przez 5 lat szpikował bromem i kamforą, aby „uspokoić nerwy” człowiekowi, w którym dokonywał się powolny proces niszczenia tkanki systemu nerwowego. „Proszę zwrócić uwagę na ból głowy – mówiłem. – Zawsze w nocy ma ból (nacisk) w ciemieniu”. A on milczał. To, że on słyszał i milczał, nie pytał (nie „wczepiał się” w to, co mówiłem), uspokajało mnie, pozwalało odnieść wszystko (do „*stałej przyczyny*”) do anemii (całego ciała, a tym samym i *głowy*), co dawno już stwierdzili wszyscy lekarze (od pierwszego dziecka, kiedy nie mogła karmić – nie było mleka).

Również teraz owo „nie było mleka” – wszystko wyjaśniało.

Wszystko zmienił Karpinski: „Proszę pozwolić! Bechtieriew powiedział, czy też ktoś inny, a właśnie *te* objawy (źrenice i ścięgna) oznaczają zniszczenie centrów mózgowych, z których wychodzą nerwy kierujące skurczami. Znaczy, że ich *nie ma!* A choroba *jest*, a więc trzeba poszukać, skąd się to wzięło”.

Jak według linijki poprowadził wszystkie badania. Diagnoza Bechtieriewa padła.

„Nie byłoby wczesnej sklerozy arterii, gdyby leczenie rozpoczęto we właściwym czasie, nie byłoby też zwyrodnienia zastawek serca, a w zależności od nich – udaru” (Karpinski).

Wszystko można było uratować. Teraz jest za późno.

„Coś da się jeszcze poprawić” – powiedział Karpinski. Gdy tylko zaczęto odpowiednie leczenie, we wszystkich częściach pojawiło się polepszenie: ucisk w piersi (aorta) zniknął, bóle głowy ustały, miesiączka wróciła do normy, czego nie mogli osiągnąć wszyscy ginekolodzy (też mistrzowie – nie popatrzyli na źrenice).

To było coś, z czego zaczęliśmy się cieszyć. Serce zniszczone, żyły zniszczone.

Natomiast źrenice ze względu na jasność i stałość symptomu są w medycynie tym samym, co w geografii stwierdzenie „Londyn jest w Anglii”, a o „Londynie w Anglii” nie wiedzieli Mierzejewski (w Arensburgu), Nauk, Rozenblum (w Łudze) i wielu innych.

Kiedy opowiadałem o chorobie A. A. Stołypinowi, to on zapytał:

– Kto jest waszym lekarzem?

– Nauk.

– Proszę się *go* trzymać.

Rzeczywiście, on miał ogromną praktykę w Petersburgu. Te zdecydowane słowa Stołypina tak dobrze na mnie podziałały!

Moja rada dla czytelnika: *sprawdzajcie lekarzy według księzek*. Dlatego, że oni często „nie wiedzą, gdzie jest Londyn”. Ten straszny błąd Anfimowa, Bechtieriewa i Nauka na 15 lat zniszczył nasze życie, zabrał dzieciom matkę i „kolumnę domu” zabrał nam wszystkim.

\* \* \*

.....  
438. – No cóż, przyjdzie do was starość i będziecie samotni.

Nieinteresujący i samotni.

Będziecie jęczeć i nikt nie usłyszy.

Będziecie stukać pięścią w obce drzwi i nikt wam nie otworzy.

(*nasz los: pokolenia*)

\* \* \*

439. Oni są sławni. Ale ciągle leżą.

(*o Rosjanach*)

\* \* \*

440. Państwo łamie kości temu, kto się przed nim nie zgina lub też go nie kocha, jak narzeczona narzeczonego.

Państwo to – *sila*. To jest najważniejsze.

Dlatego też jedyną wadą państwa jest jego słabość. „Słabe państwo” to *contradictio in adiecto*. Dlatego „słabe państwo” nie jest już państwem, jego po prostu nie ma.

(*stojąc oparty o dom na Nadieżdinskiej*)

\* \* \*

441. Do 17 roku życia przerabiała wyprawy krzyżowe, potem analizowali w klasie „Childe Harolda” Byrona.

Mając 17 lat zaczęła pracować w 11 urzędzie pocztowym, gdzie przyjmuje listy polecone. Stawia stemple i wydaje pokwitowania.

(*z historii rewolucji rosyjskiej*)

\* \* \*

442. W entuzjazmie:

– Gdyby rzucić bombę w rosyjski klimat, to on się zmieni i będzie taki, jak na wybrzeżu Krymu!

Naczelnik miasta:

– Panowie, klimat się nie zmieni tak długo, dopóki władze tego nie nakazą.

(*nasza rewolucja*)

\* \* \*

443. Człowiek żyje jak śmieć i umiera jak śmieć.

\* \* \*

444. Literaturę czuję jak spodnie. Tak samo bliska i tak samo „swoja”. Cenię je, strzegę, „zawsze w nich” (ciągle piszę). Ale dlaczego mam się z nimi ceregielić????!!

\*

Te wszystkie moje „wybryki” i wszystkie szczegóły: że nie mogę sobie wyobrazić literatury „poza sobą”, na przykład poza „swoim pokojem”.

(*rano, po wstaniu*)

Moja „wiedza” o niej jest fizyczna, przez dotyk, jest znacznie bardziej powierzchowna, niż głębia mojego „nie wiem”. Właśnie z powodu tych wahań, w których szala niebytu przeważa – wszystko się dokonuje.

Oczywiście, ja wiem (widzę), że są czasopisma, gazety i „wszystko jest zorganizowane”. Prenumerata i poczta. Jednak żyję, jak „we śnie” i prawie „nie wierzę”. Stąd o nic nie proszę i „swego imienia tu nie powiem”. Zresztą „tutaj” – wszystko mi jedno.

Co innego (w literaturze) – właśnie spodnie. Wieczne, ciepłe. Bez ceregieli.

\* \* \*

445. Wokół mnie lata bardzo dużo puchu i pierza. Z tego powodu „cała moja literatura” jest piękna.

Ja się boję, wśród walk  
Ty na zawsze stracisz  
Świeżość łagodnych ruchów  
Czerwień wstydu.

Moim ideałem jest Pieriedolski i Busłajew. Busłajew ze swoją spokojną rozumnością i niezwykłym człowieczeństwem.

*(na papierze, na którym to napisałem,  
Wieroczka – VII klasa u Stojuninej,  
cała w patosie i romantyzmie, napisała:)*

„Nieprawda, nieprawda, bo Ty byłeś pierwszym, który potrafił tak jasno i w pełni wyrazić to, co chciałeś. Twoja literatura to Ty, Ty cały z Twoją duszą buntowniczą, cierpiącą i zmęczoną. Nikt nie potrafił tego wyrazić w tak silnej formie i tak dokładnie przedstawić każdy swój ruch”.

\*

Interesujące, co dzieciaki myślą o swoim „tacie”. Kiedy „Odosobnione” leżało na stole w korekcie (już „po cenzurze”), nagle zobaczyłem pełno uwag, napisanych ołówkiem – często sprzeciwów. Nie wiedziałem, kto to napisał. Z Wierą nie rozmawiałem już od miesiąca (byłem zły): byłem zdumiony, gdy się dowiedziałem, że to *ona*. Napisała z ogromną miłością. Zresztą ona jest nieposłuszna, gwałtowana, ale zdolna do miłości. W domu nikt nie może się z nią równać i „wszyscy się wycofali” (od jej 14 roku życia). Ona jest sławna i daj jej, Boże, właściwą „drogę”!

\* \* \*

446. Tajemnica pisarstwa tkwi w koniuszkach palców, a tajemnica oratora w końcówce jego języka.

\*

Te dwa talenty, oratorstwa i pisarstwa, nigdy nie idą w parze. W obu wypadkach rozum gra bardzo mało roli; to – biblioteka podręczna, kantor, biuro i tak dalej. Jednak nie patos i nie talent, który jest wyłącznie *cielesny*.

*(21 listopada, święto Wprowadzenia,  
moje ulubione święto – ze względu  
na miłą cerkiew pod tym wezwaniem w Jelcu)*

\* \* \*

447. Jedynie kończąc życie widać, że całe życie było pouczeniem, a ty sam byłeś nieuwważnym uczniem.

\*

Tak więc stoję, jak ze swoją nienauczoną lekcją. Nauczyciel wyszedł. „Zbierz książki i wychodź”. Byłbym zadowolony, gdyby ktoś mnie „ukarał”, „nie dał mi obiadu”. Nikt jednak nie ukarze. Ty – w ogóle nikomu nie jesteś potrzebny. Jutro będzie „lekcja”. Ale dla innego. Inni będą się uczyć. Tobą nikt więcej nie będzie się zajmował.

\* \* \*

448. ...a jednak „drobiazgowego kramiku” z duszy nie wyrzucisz: te wszystkie irytacje, gniew, miłość własna, warta grosza, minuta czasu, a jest, siedzi i nie potrafi nie dopuścić do duszy.

*(na samotnym spacerze)*

\* \* \*

449. Kanonik Sz. miał pogrzeb matki. On był stary, a ona to już była starożytna. Stuletnia.

Na cmentarz szedł też starosta cerkiewny, zarazem naczelnik miasta.

Szli i po cichu rozmawiali. Była to rozmowa o jakichś ważnych sprawach. Rozmawiali do samego cmentarza.

Otworzono bramę. Wnieśli. Ponieśli. On powiedział słowo nad trumną.

Spuścili do ziemi i pojechali do domu.

*(wspomnienie)*

\* \* \*

450. Mama dusiła się.

– Pobiegnij, Wasia, do ojca Aleksandra. Chcę się wyspowiadać i przyjąć komunię.

Pobiegłem. Było to w Kostromie.

Przychodzę. Mówię. On z niezadowoleniem:

– Przecież dwa tygodnie temu ją spowiadałem i dałem komunię.

Stoję. Przebieram nogami w drzwiach.

– Bardzo prosi. Powiedziała, że niedługo umrze.

– Przecież dwa tygodnie temu! – powtórzył głośniejszym głosem i z niezadowoleniem  
– Czego jeszcze jej potrzeba?

Założyłem czapkę i pobiegłem. Powiedziałem. Mama nic nie odpowiedziała i wkrótce umarła.

(w 1869 lub 1870 roku)

\* \* \*

451. „Będę leżeć w grobie i dalej będę pracować”.

Bardzo zdecydowanie.

Ledwo stojąc na nogach przygotowała mi – ani za słabą, ani za mocną – herbatę.

(przy śniadaniu)

W tych słowach „i w grobie będę pracować” – jej cała osobowość.

(8 listopada)

\* \* \*

452. „Dusza jeszcze żywa. Ciało umarło”.

(po 2 godzinach, kiedy wlokła się do pokoju Tani,  
a ja powiedziałem: „Gdzie idziesz? Połóż się lepiej”.

8 listopada)

\* \* \*

453. Konsylium, 4 lekarze: Karpinski, Kukowienow, Szernwal, Grinberg. I – sąd nad „Odosobnionym”. Trzeba walczyć z głębią myśli cenzorów. Trzeba napisać prośbę do cesarza, żeby odrzucił te wszystkie bzdury. „My mamy swoje *Habeas corpus*” – każdy ma prawo osobiście prosić o obronę samego cesarza (godne uwagi słowa Rcy).

(10 listopada, sobota)

\* \* \*

454. Niekiedy odczuwam w sobie coś zadziwiającego. To moje zamyślenie. Wtedy nic nie wchodzi w krąg moich zainteresowań.

Jestem kamienny.

A kamień – to straszycie.

Trzeba kochać i płonąć.

Stąd moje nieszczęścia w życiu (moja dawna praca), błąd całej drogi (jedynie „wychodząc z siebie” byłem uważny w stosunku do „przyjaciela” i jej chorób) i „grzechy”.

W zamyśleniu nie mogłem nic zrobić.

A z drugiej strony mogłem zrobić wszystko („grzech”).

Potem byłem smutny: ale było już za późno. Moje zamyślenie mnie zjadało i wszystko wokół mnie.

(7 grudnia 1912 r.)

\* \* \*

455. Chamstwo i przemoc dają 2 % „powodzenia”, a łaskawość i usługa 20 % „powodzenia”.

Żydzi wcześniej od wszystkich innych, już przed narodzeniem Chrystusa, właśnie to zrozumieli. Od tamtych czasów zawsze „mają powodzenie”, a ich przeciwnicy zawsze „mają niepowodzenia”.

Oto cała historia, prosta i złożona.

\* \* \*

456. Nigdy nie widziałem przeklinającego Żyda, albo też Żyda kogoś okładającego, nawet chamskiego. Ale ich igły głęboko kolą. W handlu, w bogactwie, w honorze – kiedy oni wszystko zaczynają odbierać innym.

\* \* \*

457. Urzędnicy właśnie dlatego nic nie wymyślają, nic nie podejmują, nic nowego nie zaczynają, a nawet wszystkiego „zabraniają”, gdyż są „obliczeni na maluczkich”.

\*

„Nie pokładajcie w człowieku nadziei w tym, co wielkie. Pokładajcie nadzieję w tym, co najmniejsze”. – System pokładający nadzieję „w tym, co najmniejsze” to właśnie system urzędniczy.

(na zaproszeniu na „Wieczór Połonskiego”)

\* \* \*

458. Już wcześniej postanowiono, że człowiek nie jest geniuszem. Poza tym jest naturalnym łajdakiem. W rezultacie tych dwóch „przekonań” pojawił się urzędnik i decyzja, żeby wszędzie byli urzędnicy.

\* \* \*

459. Jeśli państwo „rozwała się”, jeśli Kościół „nie jest święty”, jeśli człowiek „nie może wierzyć”, to w każdym z tych wypadków pojawi się urzędnik.

(na zaproszeniu na „Wieczór Połonskiego”)

\* \* \*

460. Wszystko, co jest „szablonowe”, istnieje jedynie formalnie. Tragedia nie w tym, że Rosja cała w „fasadach”, a w tym, że te fasady są puste.

Rosja to szereg pustek.

„Pusty” jest rząd – nie ma myśli i przekonań. Nie cieszcie się jednak – puste są też uniwersytety.

Puste jest społeczeństwo. Pustynne, powietrzne.

Jak stary dąb: korzenie, gałęzie, a wewnątrz pełno pustych miejsc.

W te puste miejsca wdzierają się obce plemiona, nawet cudzoziemcy.  
Rzecz nie w sile ich nacisku, a w tym, że nie ma sprzeciwu.

\* \* \*

461. Egoizm partii, które wyrosły nad potrzebami i cierpieniem Rosji – oto Duma i polityka w gazetach.

\* \* \*

462. Oczywiście, ja umrę *jednak z Kościołem*, oczywiście, Kościół jest mi *niezmiernie bardziej potrzebny, niż literatura* (wcale nie jest mi potrzebna), i *duchowieństwo wszelakie jest mi miłe*. Jednak umierając wśród nich, będę umierał z jakąś *udręką o nich*.

Iwan Pawłowicz pogłaszcze się po policzku i powie: „No, to nic...”. Fl. popatrzy długim spojrzeniem i nic nie powie. Drozdow powie: „Ja pana wypowiadam”. Nie jest to jednak odczyt Kuskowej „po pogrzebie”, nie jest to referat Filozofowa na mój temat i nie jest to „wieniec od redakcji”.

(rano 9 grudnia)

\* \* \*

463. To, co jest, wydaje mi się nieprawdopodobne, a to, czego „nie ma”, wydaje mi się rzeczywistością.

\*

Stąd wolność, udręka i poczucie niepotrzebności.

(rano, po wstaniu)

\* \* \*

464. Kiedy człowiek śpi, to on, oczywiście, „nie grzeszy”. Co jednak z tego wynika?

Ta „droga istnienia” jest męcząca dla Rosjan.

(jadąc dorożką)

\* \* \*

465. Dla grzechu i przestępcy przygotowano takie tortury, jakich ludzie nie są w stanie wymyślić.

(jadąc dorożką 14 maja – o tęsknocie młodzieży)

\* \* \*

466. Żyd zawsze zaczyna od usług i usłużności, a kończy władzą i panowaniem.

\*

Dlatego w pierwszej fazie jest nie do usunięcia i nie do rozszyfrowania. Co można zrobić, kiedy po prostu „proponują usługę”? A w drugiej fazie nikt nie może się z nimi równać. „Woda wszystko zatopiła”.

\*

I niesie zgubę krajom, narodom.

(przygotowując skręty)

\* \* \*

467. Umarł Suworin: wokół – jego sprawy, jego duch, wszystko „jego”. Tak samo szumi drukarnia, szumi gazeta, wydaje się, że „trzeba już iść z korektą na górę” (do gabinetu, do „niego samego”).

A jego nie ma. „Nie ma” – a wydaje się, że „jest”. Między „nie ma” i „jest” występuje wahanie – jakieś straszne. Jest w tym coś strasznego.

Właściwie zwiększa groźbę śmierci i niechęć do niej. „Człowiek jak gdyby jest z nami”: to jest znacznie straszniejsze, niż „jego już nie ma”. W sformułowaniu „jego już nie ma” – smutek, tęsknota, łzy, a w drugim wypadku – praca trwa nadal, co odbiera śmierci jej smutek, jej tęsknotę, jej sens, „wszystko”, co się z nią wiąże.

„Człowiek jakby nie umarł”: jest to tak straszne i potworne dla człowieka, który przecież *rzeczywiście umarł* i dla niego tylko to jedno jest ważne, że *jego już nie ma*, że on *przeszedł do jakiejś nowej rzeczywistości*, w której „na pewno nie ma gazet”.

I został przez *nas*, ciągle zajętych, porzucony, jest „zupełnie sam” w tej strasznej nowej rzeczywistości.

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

468. „Spór wyjawi prawdę”, na przykład spór Jurkiewicza z Czernyszewskim.

Spór Puryszkiewicza i Milljukowa doprowadza nawet do opluwania się: to już jest prawda niebieska.

(o aksjomacie lat sześćdziesiątych)

\* \* \*

469. To już drugi raz w moim życiu: okręt płonie, a armaty strzelają.

Pierwszy raz było to w roku 1896-7-8: kontrola, cwany, pełen nienawiści i nadęty T. I. F., redakcje „swoich wydań” (konserwatywnych), które nie płacą za artykuły i podpisują jedynie „bieżący rachunek”, dzieci i żona, cały „porządek jurydyczny” wokół nich, a w duszy – jakaś ciemna mgła, przez którą przebijają się błyski gniewu: i ja, „ustawiwszy armaty”, zacząłem strzelać „po swoim obozie” – po tych wszystkich skąpych (nie tylko w sprawach finansowych)

duszach, po tych wszystkich leniwych duszach, po tych wszystkich niezdarnych duszach.

Wcale nie strzelam po „kalekich”, „ubogich i oszczędzających pieniążki”, a po wysuszonych, zimnych i obojętnych.

.....

Poza „przyjacielem” i jej wieczną modlitwą (to najważniejsze), zwrot w prawo” był spowodowany przez N. R. Szcz., Fl. i Iw. „Oni sami wszystko oddali”. I pogodziłem się moralnie z hołotą. Jednak rozejście się *moralne*, po którym później nastąpiło rozejście się metafizyczne, było główne.

(przy pracy)

\* \* \*

470. Być może, całe życie przeżyłem „bez Rosji” („wędrowiec ideowy”), ale chcę umrzeć z Rosją i być pochowanym z Rosjanami.

Poza Rosjanami, w sposób naturalny i wyłączny Rosjanami, nikt w ogóle nie jest mi potrzebny, nie jest miły i nie jest interesujący.

*(po przeczytaniu w „Kołokole” o strasznym pogrzebie Szuwałowskiego – na żydowskim cmentarzu i według obrządku żydowskiego, a on przez całe życie uważał się za prawosławnego) (2 listopada 1912, w klo...)*

\* \* \*

471. Człowiek linieje, linieje. Również cały świat ciągle linieje. Z każdym kęsem chleba wchodzi w nas nowy kawałek ciała: nie tylko jemy, ale także zjadamy samych siebie, sami siebie przekształcamy w „wyrzucanych precz”... Jakże więc ciągle możemy być „tacy sami”?

\*

Planety krążą, ciągle odchylając się od prostej, ciągle odchodząc od wczorajszej drogi. Jak planeta – tak i człowiek.

\*

Pochylamy się, zginamy... póki umrzemy!  
A wtedy będziemy „niezłomni” i „bez zmian”...

(13 grudnia 1912 r.)

\* \* \*

472. Tak, jeśli nasienie jest – brudem, to, oczywiście, „on ją utył”.  
Czy jednak?

Nasieniem jabłka jest jabłko, nasieniem pszenicy jest pszenica: a nasieniem człowieka, *widocznie*, jest człowiek?

Jak on dał jej człowieka? Oczywiście – to dziecko od niego. Dlaczego więc mówią, że jest to „brud” i „on ją utyłł”?

Nie rozumiem.

(13 grudnia 1912 r.)

\* \* \*

473. Cywilizacja nie jest na ulicach, cywilizacja jest w sercu.  
Tam jej korzeń.

\* \* \*

474. „Usługi” żydowskie są jak gwoździe w moich rękach, łaskawość żydowska opala mnie jak płomień.

Korzystając z tych usług zginie mój naród, gdyż przejeźdźony tą łaskawością, zadusi się i zginie mój naród.

(na liście G-a o Żydach, 28 grudnia)

Naród nasz jest bowiem nieociosany i chamski. Okrutny.

Wszyscy biegną do Żydów. Za sto lat „Żydzi będą mieli wszystko”.

\* \* \*

475. W wieku 57 lat osiągnąłem wolność drukowania książek. Wolność druku polega na tym, że książki zwracają koszt swego wydania. Do „Wrażeń z Italii” ciągle były straty i wydanie czegokolwiek oznaczało bankructwo. Oczywiście, nie miałem „wolność pióra” i „wolność ducha”, nie miałem żadnej wolności.

A teraz w wolny sposób pokazuję figę. Moje książki – nie wiem dzięki komu – są bardzo szybko kupowane zaraz po wydrukowaniu w ilościach po kilkaset egzemplarzy i przez 2 lata (okres obliczeń drukarskich, ale umowny) są w całości wykupione.

Teraz nie potrzebuję już „czytelnika” i „opinii”. Drukuję, co chcę – moja dusza jest wolna.

(paląc papierosa)

\* \* \*

476. Boże mój, Wieczności moja: dlaczego dałeś mi tyle smutku?

\* \* \*

477. Dlaczego numizmatyka pobudza tyle myśli?

Swoim brakiem myślenia. I „myśli” lecą jak ptaki, kiedy oko ogląda i w ogóle zajmujesz się monetami. Dusza jest wtedy wolna, uwalnia się. „Mechanizm zajęć” (w numizmatyce) usunął ból duszy (zawsze), dusza oddycha, nie cierpi. Wyleciawszy spod bólu, *który tłamsi samą myśl*, dusza rozwija skrzydła i leci-leci.

Właśnie dlatego lubię numizmatykę. Poświęcam jej poetyczne godziny nocne.

*(zajmując się numizmatyką)*

\* \* \*

478. Nasz piskorz ciągle wije się wokół kogoś, coś wacha, a nawet gdzieś podsłuchuje (zadziwiająca informacja Wł. Mich. Doroszkiewicza). „Dusza rozchełstana”, ton „pod chłopą” lub „pod majstra” – żartuje, bajdurzy, jest chamski, „rozpychajcie się, panowie”. Jednak pod tym wszystkim gdzieś się wciska i z kimś nawiązuje „przyjaźń”. Metoda „nawiązywania przyjaźni” jest jedna: wstawić komplement w ironię i żart. Pozornie demokratą wszystkich wyzywa i wszyscy zapraszają demokratę na śniadanie. Najadł się i był w dobrym towarzystwie. Ach, z powodu „dobrego towarzystwa” prawie wariuję. W domu chlew i swoi też siedzą w chlewie, ale zapobiegliwy publicysta chodzi po dobrych parkietach, siedzi na obitych jedwabiem meblach i zajada śniadanie w towarzystwie bankiera i bankierowej, albo inżyniera i inżynierowej. Jakież oni mają „kapelusze”, a żona chodzi w rosyjskiej chusteczce.

*(zaśmiejony demokratą)*

\* \* \*

479. Bez przyjemności cielesnej nie ma przyjaźni duchowej. Ciało jest zasadą ducha. Korzeniem ducha. A duch jest zapachem ciała.

\* \* \*

480. Rcy ma w żołądku arie z „Figara”, a w głowie – wielkopostne „Alleluja”. Te dwie melodie oplatają jego życie.

\*

Jedyny człowiek, jakiego spotkałem, który pomieścił w sobie (bez martwego eklektyzmu) całkowicie różne kontrasty życia, dźwięków, rysunków, kresek, cieni, ideałów, „wspomnień”, marzeń. Według „rozmachu amplitudy” wahała jest on najbardziej pojemnym człowiekiem, jakiego spotkałem w życiu.

A nie tylko nie wychodzi z domu, ale nawet do ogródka przy domu.

*(na odwrocie ulotki)*

\* \* \*

481. Pogaństwo jest dzieciństwem ludzkości, a dzieciństwo w życiu każdego z nas jest jego naturalnym pogaństwem.

Wszyscy więc poznajemy „starożytnych bogów” i znamy ich instynktownie.

\* \* \*

482. Moralna (ale nie w znaczeniu książkowo-teoretycznym, a w życiowym i praktycznym) jest taka rzecz, o której nie mówi się tak samo, jak o powietrzu lub krążeniu krwi, „czy są one potrzebne”? Można je negocjować, ale dopóty, dopóki rzecz nie dotknęła *nas* i *życia*. Na przykład, wszyscy pisarze byli *niedobrzy* dla Leontiewa i nie chcieli o nim pisać, ani go wspominać: *jak* on to odczuwał?! On to przeklinał, nienawidził, intrygował („głupie *motywy osobiste*”), odsuwał od siebie, nawoływał do dobroci, aby „były *o nim recenzje*”. Jest to – fakt, mówi o nim cała biografia Leontiewa, płaczą i krzyczą o tej „*niechęci ludzi*” jego wszystkie listy. Jak osądzać ludzi w jeszcze strasniejszych cierpieniach *głodu, nędzy, ucisku*, gdy oni też wzywają do *dobroci* i przeklinają brak dobra. Można się z tym spierać teoretycznie i Leontiew spierał się, ale to wskazuje, że i on był teoretykiem oraz Don Kichotem „egoistycznego Ja”, a wcale nie był życiowym człowiekiem, z sumą realnych relacji. On też dopuszczał „zło”: wyobraźmy sobie jednak, że z jego sług, których ona tak kochał i był szczęśliwy z powodu ich wierności, po pierwsze oboje oszukiwaliby go w sprawach pieniężnych, a po drugie (słudzy byli mężem i żoną, a ich małżeństwo urządził L-w), mąż oszukiwałby żonę i „wspaniałomyślnie, jak Alcybiades” miałby na boku kochanki? Oczywiście, Leontiew zbuntowałby się, przeklinał i byłby nieszczęśliwy. Z tych powodów „cały Leontiew” to w istocie – „tylko same rozmowy”, no, możemy się zgodzić – Wielkie Rozmowy. I – tylko. Ale „dobra rozmowa” nie jest warta paschalnego kulicza. Leontiew **żył i praktycznie pragnął** wszystkiego tego, czego pragnął „przeciętny Europejczyk” i „burżuj w marynarce”.

(na wizytówce Rodanowicza)

\* \* \*

483. Ze względu na klimat i historię w Rosji jest tylko jeden „motyw obywatelski”:

– Służ!

\*

Nie ma tu żadnych kwiatków.

\*

Głód. Zimno. Mróz. Gdzie tu urządzać republikę? Rodzą się kartofle i marchewka. Nie, jestem zwolennikiem autokracji. Z ciepłego pałacu można rządzić „kresami”. A na mrozie nie dasz sobie rady nawet ze swoją izbą.

Republiki organizują jedynie ludzie „w swoim cieple” (dekabryści, Hercen, Ogarjow).

(przygotowując skręty)

\* \* \*

484. Pytałem G. o „Put” i Morozową...

To kobieta z zadziwiającym rozumem i smakiem. Okazuje się, że nie tylko „rzuca pieniądze”, ale sama bierze we wszystkim udział. To ważniejsze, niż szpitale, ochronki, szkoły.

Brudna literatura, jej radykalny charakter, jej negacje i przekleństwa – to w Rosji jest tak straszne, że bez przewyciężenia takiej literatury nie ma co marzyć o szkołach, a nawet o leczeniu chorych i karmieniu głodnych.

Dusza ginie: czymże przy tym jest ciało?

I ona wzięła się za duszę.

\*

Oczywiście, nosiliby ją na rękach, gdyby ze swego miliona nakarmiła różnych radykałów.

Ona tego nie zrobiła.

Teraz ją przeklinają. W przyszłości będą błogosławić.

Wydawane obecnie przez „Put” książki znacznie przewyższają swoją treścią i wartością „Dzieła Sołowjowa” (z „Kółka” Sołowjowa wyszli działacze). Wszystkie te książki nie byłyby wydane, gdyby nie było wydawcy. W ten sposób bogactwo, „nędzna rzecz przed Bogiem”, w rozumnych rękach stworzyło jakby „drugiego filozofa i pisarza w Rosji, Sołowjowa”.

Zadziwiające.

\*

Nie sposób nie wspomnieć paralelnej działalności łagodnego, skromnego i rozumnego ojca Antonowa („Religijni filozofowie na Rusi”).

\*

Tam też pojawiają się Cwietkow i Andriejew,

\*

Ze wszystkich stron podnoszą się pozytywne zorze.

Daj nam, Boże – chleb,

Moje bogactwo!

\* \* \*

485. Bez wątpienia, okcydentaliści lepiej *szyją buty* od słowianofilów. Zajmują się tokarstwem. Ciesielką.

„Butów” nie da się przewyciężyć żadnym Puszkinem. Buty nosił sam Aleksander Siergiejewicz, a przy tym lubił dobre buty. Okcydentalista uszyje mu buty. Weźmie *za to nieduży procent*, majątek w zastaw, wyzwoli „z potrzeb” tego hulakę, który lubił karty i inne rzeczy.

Jako duch – okcydentalizm jest nicością. Nie ma treści.

Ale nie wolno zapominać o praktyce, o praktycznym załatwianiu spraw, o tym całym „żydostwie” i „amerykanizmie”, które prawie w całości trzeba pozostawić okcydentalistom, gdyż *tylko jedni znają się na tym w Rosji*. I konstytucja, i buty. Przecież nie słowianofile będą zakładać pierwszą kasę zapomogową w Rosji i pierwszy „rosyjski bank”. A bank *też jest potrzebny*.

(13 grudnia)

\* \* \*

486. We mnie jest strasznie dużo gnidy, grzebiącej przy korzeniu włosów. Niewidzialne i wstrętne.

Po części stąd moja głębia (widzę korzenie rzeczy, jestem humanistą, nie osądzam, współczuję).

Ale jak ciężko z tym żyć. *Taki już jestem*.

\* \* \*

487. Czyż sens Chrystusa nie zawiera się w Getsemani i krzyżu? To znaczy, że On dał wzór ludzkiego cierpienia, jakby powiedział lub ukazał, lub przemilczał:

– Dzieci moje, nie mogę was wybawić (Jednak *nie mogę!* O, jakie to straszne!): patrzcie jednak na Mnie, wspominajcie Mnie, a będziecie się pocieszać, będzie wam lżej, gdyż i *Ja cierpiałem*.

Jeśli tak: On przyszedł pocieszyć w cierpieniu, którego nie można ominąć, nie można zwyciężyć, przede wszystkim w tym strasznym cierpieniu śmierci, w jej zbliżaniu się...

Wtedy wszystko można wyjaśnić. Wtedy Hosanna...

Czy jest jednak tak? Nie wiem.

\*

W każdym bądź razie zrozumiałe jest wtedy przemilczenie małżeństwa, ciała, „obrzezanie nie jest potrzebne”.

Kiedy ciężko chory leży w pokoju, to czy powiemy: „Obnaż udo i podnieś kraj swojej szaty”?

Nawet do głowy to nie przyjdzie. Smak na to nie pozwala.

Wszystko, co „starotestamentowe”, przeminęło i „nastał Nowy Testament”.

Czy tak? Nie wiem. Po raz pierwszy zaświtało w głowie.

(7 listopada 1912)

\*

Jeśli On jest – Pocieszycielem, to jak bardzo chcę pociechy. Wtedy On jest moim Bogiem.

Czyżby?

Jakaś radość. Ale jeszcze nie mam odwagi. Czyż nie mam bać się tego, czego boję się z takim śmiertelnym przerażeniem? Czyż mam myśleć – „Spotkamy się! Zmartwychwstaniemy! Oto On – nasz Bóg! Wszystko zostanie wyjaśnione”.

Moja ponura dusza po raz pierwszy bierze pod uwagę ten punkt widzenia. O, jakże ponura była moja dusza, jeszcze w Kostromie, przecież ja ani w zmartwychwstanie, ani w duszę, a zwłaszcza w Niego – nie bardzo wierzyłem.

– Przeróżające i dziwne.

To znaczy było przerażające, a to, co dziwne, dopiero nastąpi.

Czy można powiedzieć: „Umrzemy i nicość”.

Czy Ty nakazujesz nie bać się śmierci?

Panie, czy to Ty przychodzisz w nocy, kiedy dusza tak strasznie cierpi?

\* \* \*

488. To wcale nie uniwersytety wychowały *autentycznego* Rosjanina, a dobre i niepiśmienne nianie.

\* \* \*

489. Kościół jest nie tylko *korzeniem* kultury rosyjskiej – jest to oczywiste nawet dla chrestomatii Gałachowa – ale także jest *szczytem* kultury. Domyślił się tego Chomiakow (i Kiriejewscy), teraz mówi o tym Fl. i Cw.

Rcy – też.

Tymczasem, kim są w chrestomatii Chomiakow, Kiriejewscy, księżę Odojewski? Nawet nie są wymienieni. Ich nazwiska znaczą mniej, niż Teofana Prokopowicza i Melecjusza Smotrickiego, gdzież im do księcia Antiocha Kantemira i Łomonosowa.

„A to dlatego, że nie pisali wierszy i satyr”.

Zaiste, „Chrestomatię Gałachowa” układał jakiś firecyk, pokazany w „Brygadierze” Fonwizina. A całe rosyjskie ministerstwo oświaty „od jakiegoś Wralmana”.

Jakże zrozumiały staje się tajemniczy instynkt, który zmusza naszych władców do stronienia od oświaty gimnazjalnej i uniwersyteckiej, unikania jej, nie wchodzenia, lub też bardzo rzadko, do gimnazjów i uniwersytetów.

Ta cała oświata to nihilizm, negacja i kpiny z Rosji.

\*

Jak to dobrze, że przespałem uniwersytet. Na wykładach dłużyłem w nosie, a na egzaminach odpowiadałem „według notatek”. Czort z nim.

Czczę święte nazwiska Busłajewa i Tichonrawowa. To nie byli profesorowie według szablonu, mieli „swoje *ja*”.

Szanuję Gierje i Storożenko, Korsza. Więcej nie ma kogo wspominać. W pamięci zostały tylko mundury. Zabawny był Winogradow, który chodził w

czarnym fraku i cylindrze, jakby szedł na bal, na którym główną postacią był on sam. „Dlatego, że został zaproszony do Oksfordu”.

Moskiewska dama, zaangażowana przez cudzoziemca.

\* \* \*

490. Zamówiłem (przez Ermitaż) statuetkę Apisa z Egiptu. Autentyczna. Brąz. Oto ten „złoty cielec”, któremu Żydzi kłaniali się pod Synajem i którego Jeroboam postawił w Betel. Jedna idea. Jedno uczucie. *Izraelitki* z radością przynosiły „złote ozdoby” z palców i uszów, aby zrobiono im ten posąg.

Apis – to zdrowie. Siła. Ogień (męski).

\*

A zdrowie „przyjaciela” przegapiłem.

\*

Dlaczego moje życie jest tak głupie? Dlaczego całe moje życie jest „bez rozumu” i „bez prawa”?

\* \* \*

491. Cała zmartwiała (bezsiała, serce), z ołowianymi zmętniałymi oczyma (straszne!!):

– Od kogo ten list?

– Od Wiery Iwanownej (z niedowierzaniem). Pisze o jakiejś zgodzie...

– To ja do niej napisałam. Lekcje muzyki dla Tani. Odpowiedziała, że „dobrze”, więc podziękuj.

Urządziła „muzykę” (lekcje) dla Tani!

Tania rano biegnie do szkoły. Nie wypila kawy. Śpieszy się. Spóźniła się. Mówię do niej:

– Tania, oto muzyka dla ciebie. Chwała Bogu.

Tania się spieszy i nie ogląda się.

\*

Kto się będzie wami zajmował, dzieci, jak nie matka? Same nic nie umieją.

(7 listopada)

\* \* \*

492. Chwieje się. Wysuwa mi się z rąk.

– Piec w pokoju Tani grzeje?

– Nie.

– Skąd dym?

– Ciągłe jest dym. Dom został tak zbudowany, że gdy się nie pali w piecu, to i tak w mieszkaniu jest dym.

Prawie się przewraca. Wlecze się do pokoju. Okno otwarte i wpadł wiatr.

– Idźmy stąd! Idźmy, wiatr!!

Nie odpowiada, ciągnie mnie do piecu. Drzwiczki zamknięte.

– Widzisz, nie pali się.

Dociągnęła mnie do pieca. Pociągnęła za drzwiczki. Dotknęła pieca. Ciepły. Rano palono.

Odwróciła się i padła na kanapę.

Czekamy na Karpinskiego: dzień niezwyklej słabości, zupełna niemoc. Nie może stać na nogach. Oczy gasnące.

\* \* \*

493. Tania wróciła ze szkoły.

– Widziałaś Wierę?

Wiera jest chora i została w domu.

– Jak to „widziałaś”? Jak mogę ją widzieć, kiedy wiesz, że ona jest w domu.

Do mnie:

– Ona nie widziała Wiery i przyszła bez Nadzi.

– To co? Nadzia później kończy lekcje i przyjdzie też później.

– Dlaczego przyszła bez Nadzi? Nie poszła do niej. A tak przyszłyby obie razem, starsza i maleńka.

Nadzia biegnie umyć ręce przed obiadem.

– O, jest Nadzia. Ona jest w domu. Znaczy, że przyszły razem. (do Nadzi:) Przyszłyście razem?

Razem.

Uspokoila się. Ma gorączkę. Nie ma sił. Dusza płonie, a ciało wysycha.

(7 listopada)

\*

Z Wilbarga (portret Suworina):

– Poślę dopełniający kosztorys.

Z Kazania (czytam list):

– U Mikołaja...

– Co to za „Mikołaj”?

– Jej syn, to znaczy mojej matki, ale z drugim mężem. Mikołaj ma adoptowaną córkę. Nie ma pieniędzy na opłatę za szkołę, może pomożecie?

A ja „Mikołaja” nigdy nie widziałem. Jego matki też nie widziałem. Jego adoptowanej córki, nie mówiąc już o jej matce, też nigdy nie widziałem i nie znam, nie rozumiem też, dlaczego te osoby powiązano ze mną...

\*

Student – długi list: pisze, że ciężko „obciąża ojca”, „a lekcje – Pan wie, co dają lekcję” (nie wiem). „Przeczytałem w Odosobnionych, że ma Pan 35 000; proszę więc o danie mi 2 ½ tysiąca na skończenie studiów”.

Dlaczego jego „ojcu jest ciężko”, a „obcemu człowiekowi nie jest ciężko”? Dlaczego nie przeczytał w mojej książce, że „11 osób żyje dzięki mojej pracy”. Ale studenta nic i nikt nie interesuje, poza nim samym.

Nazwisko na szczęście nie jest rosyjskie, 2 ½ tysiąca nie na opłaty za naukę, ale „aby nie obciążać ojca” jedzeniem, pokojem i tak dalej. Na pewno, z przyjemnościami.

„Młodzież z honorem” na pewno zajdzie daleko.

(7 listopada)

\* \* \*

494. My przechodzimy nie przez zoologiczną fazę istnienia, ale przez kamienną fazę istnienia.

\* \* \*

## ANKIETA

.....  
495. – Kto jest najszlachetniejszym pisarzem we współczesnej literaturze rosyjskiej?

„Skądś” pojawił się Ol-d-Or i powiedział:

– Ja.

\* \* \*

496. Rosyjskie gaduły wszędzie się wałęsają. „Rosyjski gaduła” jest siłą polityczną, której nikt jeszcze nie bierze pod uwagę. Tymczasem jest to główna siła w historii Rosji.

Z tą siłą nikt i nic nie da sobie rady. Ona zaczyna rewolucje i wymyśla reakcję. Ona zwołuje robotników i posyła do pierwszej Dumy kadetów. Nagle Rosja okaże się ani cerkiewną, ani carską, ani chłopską – i nie lubiącą wypić, nie będzie też dziarską: a w białych rękawiczkach i z numerem „Wiestnika Europy” pod pachą. Ten niesłychany i prawie ogólnoswiatowy cud dokonał po prostu rosyjski gaduła.

Ruś jest milcząca i nieśmiała, prawie nie umie mówić: na jej przestrzeniach rozhasał się rosyjski gaduła.

\* \* \*

497. W liberalizmie są pewne wygody, bez których trudno żyć. Szkół będzie dużo i *będę miał gdzie posłać syna*. Mego syna nie wyrzucą z liberalnej szkoły, a nauczą łatwo i dobrze. Gdy zachoruję, wezwę *oświeconego lekarza*, który chorobę serca nie pomyli ze skrętem kiszek, jak Zwiagincew u Pietropawłowskiego (†). W ten sposób „postęp” i „liberalizm” jest angielską

walizką, w którą „wszystko włożono” i „wszystko jest w porządku”, a którą z szacunkiem może zabrać w podróż także ktoś, kto nie jest liberałem.

Liberał ładniej wyda „Wojnę i pokój”.

Jednak liberał nigdy *nie napisze „Wojny i pokoju”*: to granica jego możliwości. Liberał jest „do usług”, ale nie jest duszą. Dusza nie w liberałach, w nich – entuzjazm, wiara. Dusza to – szaleństwo, ogień.

Dusza to – rycerz: niech sobie nawet „chodzi w butach” uszytych przez liberała. Na liberalizm trzeba spoglądać i trzymać za rękę, jak chusteczkę do nosa. Chusteczka jest, oczywiście, potrzebna: ale z jej powodu nikt nie będzie „modlił się do Boga”. To nie jest „rzecz umiłowana” – leży sobie w kieszeni i jej właściciel nie patrzy na nią. Tak i na liberalizm nie trzeba nigdy patrzeć (koncentrować się na nim), ale błędem byłoby nie dopuszczanie liberalizmu.

Ja, na przykład, zlikwidowałbym wszystkie gazety, ale dał autonomię wyższym szkołom, a samym studentom – samodzielność siczy zaporoskiej. Niech nawet urządzają republiki. Cesarstwo Rosyjskie powinno zresztą dopuścić istnienie wewnątrz siebie 2-3 republik, na przykład Republika Wyczegodska (wzdłuż rzeki Wyczegdy), Republika Rionska (wzdłuż rzeki Rioni, na Kaukazie). A także Nowogród i Psków, „wielkie miasta” – z wiecami. Co to za piękno, gdy „wszędzie gubernatorzy”? No to do dziury ich! Przywróciłbym książąt: Twerskich, Niżegorodskich, z maleńką purpurą i maleńkimi koronami. „Ruś wielka – wszystko w niej jest”. Oczywiście, nad wszystkim car. I pustynie. I stepy. Ocean Lodowaty i (dojdziemy) Ocean Indyjski (Zatoka Perska). Wspaniała rada książęca – z 1/2 -wiece i namiestnicy; a na dołach – hołota Maksyma Gorkiego. Wszystko pięknie i dobrze, jak w „Podwodnym Królestwie” Sadko.

Jednak ta wolność – „bardzo proszę, bez gazet”, gdyż zostanie sprowadzona do sprawek redaktorów i pisarczyków. Chociaż wszystko może być liberalnie: „każdy redaktor niech na własnych plecach rozwozi *Wiestnik Europy* swoim prenumeratorem”. A jeśli *pocztą państwową*, to „zapłacicie jak za prywatny list, po 7 kopiejek za łut”. Powiedziałbym demokratycznie: „Dlaczego żołnierz za list od matki ma płacić 7 kopiejek, a prenumeratorem *Wiestnika Europy*, bogaty człowiek, otrzymuje niepotrzebne mu zawiadomienie o adresie studenta w cenie 1/200 kopiejki za łut”? W ten sposób likwidacja prasy odbyłaby się liberalnie i filantropijnie. „W imię równości i braterstwa” – to z jednej strony, a „Sam Pan Bóg pobłogosławił” – to z drugiej strony.

\* \* \*

498. Gdybym zaproponował w Tambowie lub Penzie „wybrać ulubionego człowieka do parlamentu”, ale postawił warunek – wybierać tylko w *żargonie* (żydowsko-niemiecki żargon na Litwie), to Penza wybrałaby Żyda. Dlaczego? To bardzo proste. Rosjanie nie mogliby, a zresztą nie zechcieliby „zgodnie z prawem głosować w *żargonie*”. Ten wymóg prawa mogłoby spełnić jedynie 10-15 Żydów-szewców w Penzie. To oni wybraliby „trybuna ludowego do Dumy”.

Mechanizm wyborów do Dumy dla Rosjanina jest tym samym, co *żargon*: jeśli „nie urodziłeś się jako Winawer” – nie podejdziesz do niego. Oto dlaczego wszędzie wybierają „Winawera” i „Winawer jest reprezentantem Rosji”.

„Jest jej autentycznym reprezentantem”.

A Rosja w ogóle nie zna „Winawera”.

Tym samym Rosja nie zna swojego „reprezentanta”.

Co robić? Metodą wyborczą są „biuletyny” i „urny” oraz „agitacja przedwyborcza”. A przecież jest jeszcze jedna metoda:

Los – „kogo wskaże Bóg”.

I – bójka: kto jest silniejszy.

Tak przecież wybierali „na moście Wołchowym”. Póki Iwan III nie powiedział:

– Będą się bić.

I posłał dzwon wiecowy gdzieś do Tweru, ogólnie „do miejsc nie bardzo oddalonych”.

Nie będę się spierał: to smutne. Ale przecież cała Ruś jest smutna. „Wszystko, co ruskie, jest smutne”, a w tym wypadku można tylko opuścić ręce – też po rusku.

(*wybory do IV Dumy;  
z tych, którzy mieli prawo głosować,  
zjawilo się nie więcej, niż 30 %*)

\* \* \*

499. Chamscy są ludzie, przerażająco chamscy – i już tylko z *tego jednego powodu* – ból życia, tyle bólu...

(*na zaproszeniu do Towarzystwa Słowiańskiego*)

\* \* \*

500. Dusza boleje nad sobą, boleje nad światem, boleje nad przeszłością, przyszłość... „nawet nie ma co na nią popatrzeć”.

(*tamże*)

\* \* \*

501. Mereżkowski wymyślił znakomity aforyzm: „To, co przeminęło, jest banalne”... Nigdy nie można było zakładać, że on ubierze się w ten aforyzm. Los jednak go złamał. Kimże jest pisarz bez czytelników? Czymże są dziesiątki lat szydzenia z takich ludzi, jak Michajłowski, Skabiczewski, jak Hornfeld (Kranfeld?), Iwanow-Razumnikow, w ogóle wszelkich literackich łapci, butów i pantofli. I Mereżkowski dobrowolnie „przeminął”, żeby „stać się banalnym”...

I „poszedł”... Popatrzcie, on już sepleni i insynuuje, że Aleksander I miał „drugą rodzinę”... Cóż to za koszmar dla dekadenta, zwolennika Nietzschego i piewcy „białej diaboliady”. Tak, „my możemy mieć kochanki”, aktorki, ale – według Mereżkowskiego – lud powinien brać „z wysokiej władzy” przykład

cnót rodzinnych. Mereżkowski – jak sędzę – sam nie rozumie, czy wyraża on w swoich insynuacjach złość paryskich emigrantów, czy też skarży się, że Aleksander I dopuszczał się w swoim życiu odstępstw od „Regulaminu Konsystorza Duchownych”.

To jest właśnie owa „banalność”, która jest jego „banalnością”. Teraz jest on znanym pisarzem liberalnym Rusi szchedrinowskiej, „demaskującej” nawet braki cnót w imperatorach.

\*

Mereżkowski przy wszystkich swoich sympatycznych cechach nigdy nie był mądrym człowiekiem: nie był praktyczny – „ziemia pod stopami”, nie był rozumny.

\*

Jednak mimo wszystko z daleka ściskam jego dłoń. Rzadko w życiu spotkałem tak niezrozumiałą (dla mnie) przyjaźń (z jego strony), która – jak się wydaje – miała wręcz charakter miłości. Niech Bóg daruje mu grzechy, niech również mnie daruje moje grzechy (przeciwko niemu). Mam takie grzechy. On jest jednym z niewielu ludzi, co do których nie mogę sam sobie wyjaśnić, dlaczego nie mogłem ich lubić. W nim jest wiele smutku, ale zdumiewa, że *jego smutek* jest – *chłodny*. A przecież smutek jest ciepły *ze swej natury*, ale u Mereżkowskiego smutek zmienił *swoją naturę*.

Myślę, że z literatów piszących w Rosji (nie można powiedzieć: „z pisarzy rosyjskich”) nieliczni mieli w sobie tyle smutku.

\* \* \*

502. Chrześcijaństwo wyraziło w sobie i objawiło światu wewnętrzny sens dziewictwa, jak judaizm i Stary Testament objawił sens rodzenia.

Tam – cała rodzina, poczęta z nasienia, zdąża do nasienia, błogosławi nasienie.

Tutaj niechęć do nasienia, samo chrześcijaństwo jest go pozbawione. „Nie ma już więcej płci *męskiej i żeńskiej*”, jest – „człowiek”. Nie ma też „Greka i Żyda”, nie ma plemion i narodów.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie przyszedł Winawer:

– Ja przecież mówiłem, że Mojżesz i Chrystus w istocie trudzili się dla adwokata, który „poklepał po plecach” te wszystkie starożytności, odsunął je na bok i zaczął mówić o „ogólnoludzkich wartościach kultury”.

\* \* \*

503. 7 000 000 żołądków i 7 000 000 trzeźwych głów oraz rąk pokona 70 000 000 żołądków, na które pracuje jedynie 7 000 000 rąk i głów, a 63 000 000 gotuje pożywienie i jeszcze prosi o „wsparcie”.

Przecież w Rosji zdecydowanie na 5 próżniaków przypada tylko 1 pracujący.

Oto problem żydowsko-rosyjski pod jednym z tysiąca możliwych kątów widzenia.

\* \* \*

504. „– *Módlcie się!*” – mówił Leontiew całą swoją religią, swoim chrześcijaństwem, swoimi ślubami zakonnymi oraz związkami ze starcami z Atosu i z Optino.

Doskonale. Rozumiemy. Wszystko jasne.

Czy jednak słyszał on kiedykolwiek o tym, żeby spojrzawszy na prawosławne ikony, na Zbawcę-*Miłosiernego* i Bogurodnicę-*Orędowniczkę*, wierzący zaczął prosić ich o jakieś „alcybiadostwo”, o udanie się intryżki miłosnej, o *oszukanie* wroga, o pomyślne *zdradzenie* swojej żony i pozostałe §§-fy leontiewowsko-nietzscheańskiej filozofii?

Nie.

Zawsze modlą się o *dobro*, o „Anioła pokoju, wiernego stróża dusz i ciał naszych”, o łagodny koniec życia, o miłość do swoich wrogów, o „czasy *spokojne* i *pomyślne* warunki atmosferyczne”. Niestety, zawsze modlą się „przeciętną modlitwą burżuazyjną” – modlitwą „Europejczyka w *marynarce*”.

Kimże więc *jest* Leontiew?

W wieku 35 lat wydaje się starcem i geniuszem, który wstrząsa Europą. W wieku 57 lat wydaje się być chłopcem, który objął rękoma tego „wieloryba”, na którym trzyma się ziemia.

Ten „wieloryb” – to po prostu dobre powietrze i „wszyscy są zdrowi”. Żeby jeszcze było trochę pieniążków w kieszeni.

Wieloryb wcale nie jest chudy, nie jest też „łotrem”. Leontiew zechciał, żeby mu odrosły kły i „żeby oczy błyszcząły”. Ale wieloryb mu odpowiedział: „Nie jem mięsa”, a oczy mam takie – „jakię dał Bóg”.

I jeszcze: kiedy on modlił się do Bogurodzicy w czasie cholery, to nagle Ona nie odpowiedziała uleczeniem, jak odpowiedziała, a śmiechem rusałki i posłała go na niego dżumą. „Po alcybiadowsku”. Bardzo interesujące, co powiedziałby Leontiew na możliwość takiej odpowiedzi.

Mój przyjaciel (do Leontiewa): „burżuj” – prawda niebieska, „burżuj” przemieniony przez Niebo. Ale koniecznie burżuj XIX w., dość parszywy, ale to *nie jest jego istota*. To „burżuje” Chaldei, Nazaretu, „komun francuskich”, opisanych przez A. Thierry’ego. Oni lubili muzykę i, oczywiście, mogliby walczyć na turniejach zachowując sklepik i dalej handlując.

\* \* \*

505. Kim jest Leontiew?

W porządku.

Był wspaniałym Rosjaninem, z czystą i szczerą duszą, jego język nie znał kłamstwa: z tego powodu był prawie *unicum* w piśmiennictwie rosyjskim, dość jednak fałszywym, sztucznym i uchylającym się. W jego osobie *dobry rosyjski Bóg* dał *dobrej* literaturze rosyjskiej *dobrego* pisarza. I – tylko.

A jego *myśli*?

Można je wykreślać jedną po drugiej. Jego *opera omnia* to szereg tomów „przekreślonych” czarnym ołówkiem. To wspaniała lektura. Ale nie ma co się nad nią *zamyślać*.

\*

Nie ma w niej *rady* i *mądrości*.

\*

Dyskutują (ojciec Aggiejew), czy był on chrześcijaninem, czy też poganinem. Z dwóch „wzajemnie wykreślających się połówek” autentyczną i główną pozostaje, oczywiście, jego „natura”, to, co „wrodzone”. Istnieją pogłoski (jakoby sam Leontiew je rozgłaszał), że został urodzony przez szlachetną i heroiczną matkę, która wyszła za mąż za niezwykle głupiego i płaskiego szlachcica (Leontiew *tak* mówił o swoim ojcu), ale dzięki jej pełnemu żądzy romansowi... *na boku*. Syn zawsze podobny jest *do matki*. Właśnie ten gorący romans, w którym panowała żądza i zawrót głowy, marzenia i nadzieje, rozwinął jego pogańską naturę w takiej szczerości i autentyzmie, w takim pięknie i mocy, jak u nikogo z Europejczyków. A jego „kościelność” przylepiła się do tego pogaństwa, jak i przylepił się niekochany – „kanoniczny” mąż jego matki. W *zadaniu przemocy* chrześcijaństwu przez Leontiewa jest coś wstrętnego i nie do zniesienia...

Stary mąż,  
Groźny mąż,  
Nienawidzę ciebie.

Z tej strony, pogańskiej i autentycznej, Leontiew jest interesujący jako wyjątkowo rzadki w historii fakt urodzenia człowieka, z którym chrześcijaństwo nic nie mogło zrobić i wewnątrz on nie tylko „nie brał pod uwagę Apostoła Pawła”, ale nie słuchał też samego Chrystusa.

I nie bał się.

Pod względem religijnym Leontiew był absolutnie spokojnym człowiekiem, przyzywającym bitwy, bunty, pacyfikacje i nieszczęścia na narody.

Gogol lękał się jednak swego demonizmu. Gogol ciągle był *między pogaństwem i chrześcijaństwem*, ale nie trafił do żadnego z tych obozów. Leontiew urodził się wręcz poza wszelkim *przecuciem chrześcijaństwa*. Jego bogowie są dobrze znani: „Łam plecy wrogom, zdobywaj Indie”; „A ty, Kambizesie – przebij Apisa”.

\*

Różnorodność form i siła każdego z dokonujących się procesów (podstawa jego teorii historii i polityki) jest, oczywiście, wyrazem *natury, jaką ona jest*. Ale są dwa światy i na tym polega „przyjście Chrystusa”: świat *naturalny* i świat *łaski*. „Zwycięstwo Ewangelii”, ogłoszone przynajmniej *słownie* i *teoretycznie* – polega na tym, że ludzie niezmiernie cierpiący „w porządku natury” umówili się, że we wszystkich wypadkach sprzeczności będą *oddawać pierwszeństwo światu łaski*. „Chrześcijaństwo” na tym polega, że poszukuje „pokoju” w warunkach wojny i „przebacza”, kiedy można było, a nawet należałoby ukarać. Leontiew z żarem zażądał powrotu do „porządku natury”, zaprzagnął Konstantyna-poganina i przeciwstawił go ochrzczoneму Konstantynowi. Ale co wtedy zrobić z „bitwą z Licyniuszem” i „**tym zwyciężysz**” na Niebie, i na *labarum* (państwowa chorągiew Konstantyna z monogramem Chrystusa).

Ale... *natura jest nie do zwyciężenia, a Kościół wiecznie próbuje ją zwyciężyć*: oto warunek walki tego, co nowe w chrześcijaństwie, bogactwa form. „Heroizm” nie zginął i „wielkość” nie zaniknęła w chrześcijaństwie, ale tak się zmieniły i otrzymały na tyle nowy kształt, że rzeczywiście stały się „nie do poznania”. „Kambizes idący na Egipt” i „Aleksander zdobywający Persję” są rzeczywiście odrzucani przez chrześcijaństwo i gdyby się w nim pojawili, lub też, gdy się pojawiają – jest to „dodatek” do chrześcijańskiej historii, bez żadnego związku z jej jądrem i jej istotą. Pozwólcie jednak: czyż życie Ambrożego z Optiny nie jest piękniejsze, niż biografia starego weterana wojen Cezara, a życie papieży Leona I, Grzegorza Wielkiego, Grzegorza VII i Innocentego III – bez porównania pełniejsze ruchu, przemian, walk i wysiłków, niż dość łatwe i niezbyt interesujące zwycięstwa Aleksandra Wielkiego nad Dariuszem i Porosem. Historia wcale *nie stała się nieciekawa*, a jedynie zmieniła *ton* i *tematy*. Ton, rzeczywiście, jest inny. „Królestwo łaski” nie dopuszcza do „powtórzenia się” Cyrusa Wielkiego, Aleksandra Wielkiego, Cezara; Napoleon był wyraźnym wyjątkiem i słusznie został instynktownie nazwany „Antychrystem” (ale powtórnie wzywa *go* Leontiew, z komicznym rezultatem i komicznym wrażeniem, jakie wywołuje samo wezwanie). „Królestwo łaski” wzywa natomiast do wielkiego wysiłku w dziedzinie walki z „demonami *własnego* ducha” i z „opętaniem”, które pozostało i *na zawsze pozostanie* w ustroju społecznym, poza murami „królestwa łaski”.

\*

Jaka jednak *causa efficiens* podziałała na pojawienie się Leontiewa? Ta, że „przeciętny Europejczyk” i „burżuj” właśnie w XIX w., w całej fazie porewolucyjnej kultury europejskiej, przekształcili się w coś obrzydliwego. To nie „burżuj” jest gadem, a konkretny burżuj z XIX w., zadowolony z siebie i „postępu”, nienawidzący wszystkich wielkości historycznych i z tego powodu

dążący do *stanu równości* wszystkich ludzi – w jednym brudzie i jednym beznadziejnym błocie. „Nic głębszego i nic wyższego” – powiedział obrzydliwy i paskudny sługus, uderzając w gruzliczą pierś pięścią wielkości greckiego orzecha – „Ani – *świętych*, ani – *bohaterów*, ani też – *demonów* i *bogów*”. Nie dąży też do żadnej idylli: żonę namówił, żeby poddała się kastracji i nie obciążała się dziećmi, a za to zajmowała się z nim w łóżku onanizmem. „Wiecznie pasywna” kobieta uległa namowom tego szachraja, *son mari*. Razem handlują, mają „bieżący rachunek” w banku europejskim, jadą zabawić się do Monako, wypocząć na Riwierze, kupują obrazy „pod Rafaela”. Dołączył do nich „przyjaciół rodziny”, gdyż onanizm w trójkę daje większe perspektywy, niż w dwójkę.

Przeciwko takim panom zbuntowały się Niemcy, jak silny bawół przeciwko wilczętom zwyrodniałym do poziomu psa, a teoretycznie „Bóg posłał Leontiewa”.

„– A! A! A!!... Wymieść tych wszystkich łajdaków z oblicza ziemi – z ich braterstwem, równością i wolnością oraz innymi frazesami. Do takiego „wymiecienia” powołana jest Rosja, a ściślej cały *Wschód*, choćby z Persami, Mongołami, z Chińczykami, z kimkolwiek”. Oto formuła Leontiewa i patos całego jego życia. Opowieść Sołowjowa o „zdobyciu Europy przez Mongołów” przed nadejściem Antychrysta jest paralelna i, niestety, naśladuje polityczne apele Leontiewa. W obu wypadkach widzimy wielką tęsknotę za *ideałem*. Za ideałem *istnienia*, za idealnym *człowiekiem*.

\*

Leontiewa nie pociągało w bizantynizmie, kościelności, w chrześcijaństwie to, co *pozytywne* i *dobre*, *święte* i *pełne łaski*, co przemieniło „Szawła” w „Pawła”, za co męczennicy oddawali swoje życie... „Perły ewangelicznej” wcale nie zauważył, a raczej – spojrzął i z obojętnością odwrócił się od niej, dosłownie jak „Cyrus *nieprzeczuwający niczego*”. Chrześcijańska **miłość** nic dla niego nie znaczyła. Dlaczego więc ½ jego dzieł „sławi Kościół, Atos i prawosławną politykę rosyjską”? Jego w ogóle nie pociągało chrześcijaństwo (nawet troszeczkę!), ale on zobaczył w nim niewyczerpany arsenał strzał „przeciwko podłemu burżujowi XIX w.”, zobaczył magazyn biczów, którymi można wspaniale chłostać zadowoloną z siebie mieszczańską naukę, bezsensowny pozytywizm i w ogóle wszystkie „fetysze” znienawidzonego przez niego i jego nienawidzącego wieku. W rzeczywistości on był „Byronem większym od samego Byrona”: a jednak, jakież z niego „Byron”, skoro nie wyrósł z niego żaden chrześcijanin?!!

\*

W jego greckich powieściach („Z życia chrześcijan w Turcji”), w których opisuje dość sielankowe życie, jego stosunek do Kościoła i chrześcijaństwa jest znacznie mniej gwałtowny, niż w teorii („Wschód, Rosja i Słowiaństwo”). W

tych powieściach tuż obok Turków i haremów występują zbójcy i powstańcy, „na których takie wspaniałe koszule”, a autor zapomina o „starym mężu” swoich teorii, chwali islam, wypowiada pozytywne opinie o życiu dawnych pogan, a nawet dwa razy pojawiło się stwierdzenie, że „chrześcijaństwo nieco się już zestarzało”, a zwłaszcza jego męcząca „monogamia”. Burżuj, Francuz, Europejczyk – są daleko. Leontiew wypoczywa. Zapala nargile, staje się w najwyższym stopniu dobroduszny, jego język nie jest już drażniący, myśli są spokojne. Błękitne koszule i czerwone fezy stały się balsamem na jego nerwy i rozpychając się łokciami między paszą, starym biskupem i zbójcą Sotirisem, który w przebraniu przyszedł na święto do wioski, Leontiew szepcze im wszystkim z równym spokojem duszy na temat tańczących dziewczyn, Bułgarem i Greczynek:

– Pasza! Dlaczego chowasz przed nami swoje córki i żony? To wasze jedyne prawo, które mi się nie podoba. Ja jestem szerokim człowiekiem z Rosji, mnie się podoba, jak wszystko jest na stole. Gdyby Turczynki dołączyły do Greczynek i Bułgarek, to nam byłoby tak dobrze, jak szczęśliwym Grekom w VI w. przed Chrystusem, gdzieś na wyspie Chios, kiedy patrzyli na tańce dziewic i młodzieńców pod Wiecznym Niebem Hellady...

\* \* \*

506. Mówisz o „marksistach”, „walce ekonomicznej”, „sytuacji robotników”, ale siadając do kart wolisz zająć miejsce *vis-à-vis* generała. A gdy „brakuje” pieniędzy, to „do środy” pożyczasz od generała. A w środę zapominasz o tym z powodu roztargnienia.

(widziane i słyszane)

\* \* \*

507. Rozkraczywszy nogi i patrząc nachalnie na nauczycielkę, Wasia (3 klasa gimnazjum) powtarza:

– No... No... No... „Błogosławieni ubodzy duchem”. No... No... No... (zapomniał, a oczy ma bezczelne).

Po co jemu, w tajemnicy dogryzającemu nauczycielce, ci „błogosławieni ubodzy duchem”...

\*

I pomyślałem sobie:

– Te słowa trzeba trzymać w tajemnicy, w tajemnicy... zamurować w ścianie, w piwnicy, nikomu nie pokazywać do 40 roku życia, kiedy zaczną się cierpienia, poniżenia, klęski życiowe: wtedy przyprowadzić „łaknącego i pragnącego” do piwnicy i tam pokazać mu, na złotej tablicy, daleko:

**Błogosławieni ubodzy duchem!...**

Boże mój, przecież to zostało powiedziane do „ubogich duchem”, a poza tym – nikomu, i dla nikogo też nie jest zrozumiałe, dla wszystkich jest to „śmiech i głupota”, a moc tych słów ujawnia się w 40 roku życia, kiedy właściwie „życie jest już przeżyte”. Po co Waśce, stojącemu na rozkraczonych nogach, to „rzucanie pereł przed wieprze”?

\* \* \*

508. Wspaniały szarlatan.

Szarlatani zresztą zawsze bywają wspaniali... Dowiedziałem się o tym dopiero na starość.

Ciesz się też w społeczeństwie niekwestionowanym autorytetem.

\*

Nie, lepiej już zaufać 20 dnia miesiąca „obcemu człowiekowi”. Zaślini się, ale coś jednak zrobi. Nawymyśla, będzie chamski, chwyci za kołnierz, ale nie oberwie go.

Iluż to literatów bezlitośnie i bezwstydnie okradł wydawca „Dekabrystów” i „Życia Jezusa” z takim portretem Renana, który jest wart prawie 1 000 rubli.

\*

Wspaniały szarlatan, z takim niemieckim sposobem chodzenia, przez ciebie zniszczyłem zdrowie mamy, gdyż określiłeś się (w „wykazie”) jako specjalista od chorób nerwowych, 5 lat jeździłeś do cierpiącej „na jakąś chorobę nerwową” i nie rozumiałeś, co oznaczają *nierównomiernie rozszerzone źrenice*. *Widywałeś je przez 5 lat i nie rozumiałeś – dlaczego?*

\*

Iluż zresztą lekarzy widziało te źrenice. Mierzejewski (w Arensburgu), Rozenblum (w Łudze), Nauk, księżna Giedroyc, Rajwid, ale nikt nie powiedział: „*Widzicie te źrenice, to – głębokie cierpienie, trzeba leczyć*”.

I mama byłaby uratowana.

Karpinski pierwszy powiedział i uparł się, odrzucił błędną diagnozę Bechtieriewa („Zapewniam pana, że to nic poważnego”) i zaczął leczyć chorobę zaniedbaną od 14 lat. Daj mu, Boże, wszystko, co najlepsze. Karpinski – to dobre, wspaniałe nazwisko w mojej biografii, dobroczyńca naszej rodziny. Jak Bechtieriew stał się jej – zgubą.

\* \* \*

509. Zdziwiająca opowieść Barbary Andriejewnej: księżna NN miała 2 córki i syna, gimnazjalistę lub kadeta, nie pamiętam. Na pewno nie był w szkole wyższej. U niego bywali przyjaciele i jednemu z tych kadetów spodobała się

starsza córka, wspaniała, wysoka. Jednak pomimo wzrostu miała spokojny charakter, podczas gdy jej młodsza siostra, chuda i niewysoka, cała płonęła. – Opowiadająca nie rozumiała – natomiast moje obserwacje wskazują, że „gorączka” płci albo przechodzi we wzrost, traci swoje siły „na produkowanie własnego ciała” i uspokaja się, albo odwrotnie, nie następuje gwałtowny wzrost i wtedy wszystko koncentruje się w „strzale płci”, która jest bardzo zastrzona i wrywa się z cięciwy. Matka zauważyła uczucia młodzieńca, prawie chłopca, pod koniec zimy odwołała go na bok i zapytała: „Czy panu podoba się moja starsza córka?” Młodzieniec zaczerwienił się i stracił kontenans... „– Tak...”. „Widzę to, ale jeśli nawet się podoba, to bez wzajemności. Oto, co panu proponuję: proszę się ożenić z jej młodszą siostrą. Ona bardziej do pana pasuje, jeśli chodzi o lata”. Młodzieniec wyraził zgodę. „Nie godzę się na żaden ślub cywilny. Śluby są zresztą zabronione kadetom. Jestem jednak księżną, mam swoje znajomości i wszystko urzędzę”. Rzeczywiście, jako gimnazjalista nie mógł się on ożenić. Księżna pojechała i wyblagała. Być może, powiedziała, że córka znalazła się „w trudnej sytuacji” i otrzymała zgodę *na ślub młodzieńca z prawem kontynuowania nauki*. Matka natychmiast wyprawiła wesele, po którym młody człowiek udał się do szkoły, ale przyjeżdżał do teściowej i żony w niedziele i (z jakiegoś powodu) także w czwartki. Mieszkanie księżnej było małe – ojciec roztrwoniał majątek – i ona oddała młodym jeden pokój, a sama ze starszą córką mieszkała w drugim. Natomiast jej własny syn mógł się zjawiać w domu kiedy chciał, ale nocować musiał w szkole. „Nie ma pokoju, został oddany młodym”. Tak zresztą i było. – „A starsza córka?” – zapytałem. – „Po dwóch latach też wyszła za mąż”. Proszę posłuchać dalej. Ta mała i chuda dziewczyna niezwykle rozkwitła w małżeństwie, utyla, wyładniała. Po roku urodziła syna, po dwóch – dwójkę dzieci. Pierwszy – piękny chłopak, urodził się ogromny. Księżna wyniosła go z sypialni do gości i kołysząc na rękach zawołała: „Oto on! Popatrzcie! Wszystko dzięki *mojemu* rozumowi. Ojciec jego nie jest wyczerpany, jest świeży. Moja córka czysta – nie ma jeszcze spaczonej wyobraźni. I dali mi takiego wnuka!”

Do tej mądrości państwowej starej księżnej nie dorosły ani ministerstwa, ani starzy metropolici, zasiadający w synodzie i „organizujący” małżeństwa.

Przecież ankieta wykazała, że w przybliżeniu od VI klasy gimnazjum wszyscy uczniowie wchodzi w okres onanizmu na przemian z prostytutką. Jedno – lub drugie. Nie jedno – *to* drugie. Czyż *obie* te możliwości nie są jednakowo przerażające? Gdyby urzędnicy państwowi mieli 1/10 część tej mądrości, którą miała księżna, to nie tylko zgodzono by się na małżeństwa gimnazjalistów i gimnazjalistek, ale małżeństwo byłoby *obowiązkowe* od 16 lat (dla chłopców) i 14 ½ (żeby nie spaczyć *wyobraźni*) dla dziewczyn, a realizowanie tego prawa powinno być *pozostawione* wspólnym wysiłkom rodziców i władz szkolnych, ale z zastrzeżeniem, że bez zawarcia małżeństwa nie można otrzymać „świadczenia ukończenia szkoły”. „Marzenie” i „romans” mogą być w małżeństwie, pojawić się później. Przecież obowiązek zawarcia małżeństwa

przed święceniami ma duchowieństwo. I co? Nic, nie jęczą. A poza tym jedynie „płodne duchowieństwo” podtrzymuje honor rosyjskich małżeństw. „Romans” jest ważny i wcale go nie neguję, ale pragnę, żeby nie był on eterycznym, a chlebowym. Zdumiewająca historia „gwałtów” i „zgorszeń” prawie dosłownie świadczy o tym samym: dziewczyna czuje niezwykle przywiązanie na całe życie do swego pierwszego partnera i przywiązania tego nie wygaszają wszystkie następne związki, „przechodzenie z rąk do rąk” i cały straszny los. To „pierwszy” pozostaje mężem, a następni – bez żadnego wrażenia. To prawo jest tak powszechne, że właśnie na nim powinna bazować *norma* małżeństwa: miłość na pewno obudzi się do „pierwszego” i pozostanie na całe życie, jeśli słowo „tak” zostało wypowiedziane bez niechęci, szczerze, chociażby nawet bez śladu „romansu”.

W Jelcu M. A. Ż-kow (kilka pięknych córek):

– Córkę trzeba wydać za mąż póki jeszcze *nie zaczęła wybierać*.

I wychodziły. I żyły. – Założmy, tu też jest możliwa tragedia, będą tragedie – na ½ %. Jak i na ½ % są też obecnie, pomimo wieloletnich „wyborów” i pełnej miłości. W rzeczywistości „romans” jest jak powietrze, które zajmuje puste miejsce, jeśli *w odpowiednim czasie* nie doszło do małżeństwa. Przyjemne powietrze. Jest ono zupełnie niepotrzebne przy normalnym małżeństwie. Małżeństwo – to przykazanie Boże, z modlitwami. A bez „Ptaszka Bożego” można się obejść.

Tak, dziewczyny – pomyślcie o tym. Pomyślcie, kiedy zostaniecie matkami.

Dziękuję Barbarze Andriejewnej za opowieść. Jest ona bardzo pouczająca. Zwłaszcza dla ministrów i biskupów. Sama Barbara Andriejewna jest zamężna, bardzo cnotliwa, z domu – G.

\* \* \*

510. Czy moje życie jest głupie?

W każdym bądź razie nie jest zbyt mądre.

\* \* \*

511. Czy chcę grać w życiu jakąś rolę?

Nie – nawet najmniejszej (pragnienie).

\*

Człowiek bez roli?

– Najsympatyczniejsze istnienie.

\* \* \*

512. Mam jakiś fetyszizm szczegółów. Szczegóły są moimi „bogami”.

\*

Cała „wspaniałość” była mi zawsze obca.  
Nie lubiłem jej i nie szanowałem.

\* \* \*

513. Cały jestem w korzeniach, między korzeniami. „Szczyt drzewa” – to dla mnie coś całkowicie niezrozumiałego (niezrozumiała jest taka sytuacja).

\*

Wieje wiatr. Można upaść. Chociaż „wiele widać, ja na nic nie popatrzę. Mikołaj Siemienycz (Musin, nauczyciel języka rosyjskiego w Kostromie – wyjątkowo szlachetny człowiek) mówi:  
– Ech, jesteś głupi. Nie zauważyłeś, czy jest siano na bazarze, a przecież przechodziłeś (do jego domu) przez bazar.  
Rzeczywiście, nie zauważyłem, przechodząc przez Sienną (Plac świętego Pawła).

Mikołaj Siemienycz golił podbródek i górną wargę, a włosy, częściowo siwe, długości 1 ½ werszka, otaczały jedynie szyję i dół twarzy. Nie wyglądało to zbyt ładnie, ale za to on był taki dobry.

Miał córkę Katię, 7-letnią, i mama posyłała mnie do nich „w gości”. Mikołaj Siemienycz pokazywał mi jakiś album z herbami, koronami i rycerzami. Napisany w języku niemieckim. Ja trzymałem się stołu i płakałem.

Nie mogłem znieść ich wypastowanych podłóg i porządku w całym domu. Pięknie. A u nas było zimno, bałagan. Chciałem wrócić do domu.

Ponieważ mój płacz nie kończył się, więc odsyłano mnie do domu.

W domu był brud, kłótnie, kadzidło, kwas chlebowy, milcząca mama i ciągle niebezpieczeństwo, że można zostać zbitym.

\* \* \*

514. Literatura to, oczywiście, paskudztwo (taką samą opinię ma też Fl.) – ale i w tym wypadku „nie pogardzaj żadną sytuacją w świecie”, a wtedy możesz dostrzec coś pięknego.

Przychodzę do „Biura Wycinków Prasowych”, wpłacam 10 rubli. Bardzo sympatyczny młody kierownik mówi do mnie:

– Moja praca jest niezwykle żmudna. Pan mówi, żebym składał wycinki i przysyłał od razu większe paczki, bo wtedy będzie taniej. Ileż ja mam przykrości, słyszę przez telefon: „Rano na mój temat był artykuł – dlaczego *nie wysłaliście?*” Odpowiadam: „Otrzyma pan *jutro* rano”. – „Nie. Dzisiaj. Pan powinien wysyłać wycinki *dwa razy dziennie*”.

Jeszcze kilka takich historii. Wychodząc mówię do niego:

„Jadowita sprawa to Biuro Wycinków. Ono właściwie nieskończenie kaleczy literaturę, odbiera autorom talent i godność. Ktoś przeczyta głupoty na swój temat, zdenerwuje się, cały dzień nie będzie mógł pisać. Tu nie chodzi

tylko o sławę, ale także o chleb. Zamierzam o tym napisać, aby nie zamawiano wycinków”.

Wystraszył się:

– Na Boga – proszę nie pisać. W naszym biurze 40 studentów „wycina wycinki”, a samo biuro powstało z inicjatywy Jej Cesarskiej Wysokości...

Obiecałem więc, że nie napiszę.

– Ci pisarze, to strasznie narwany naród. Od rana – dzwonki. Wchodzi pisarz, cały rozstrojony, i mówi, że on „tego nie mówił”, co zarzuca mu recenzent, a mówił „to” i pomyłka mogła nastąpić jedynie w wyniku celowego działania. I daje – *czytać*: „Sami osądźcie! Popatrzcie!” Pracownik biura uśmiechnął się... „My przecież tego *nie czytamy*, skąd! 100 gazet!! Student jedynie przebiega oczyma wiersze – do *dużej litery* i *nazwiska*, gdy zobaczy nazwisko – wycina cały artykuł nożyczkami...”.

Momentalnie wyobraziłem sobie tych „zdenerwowanych pisarzy”, że oni nie są tym samym, co „przeciętny dziennikarz”, który na nic nie zwraca uwagi i rozmawia tylko z ministrami, zresztą „mając ich w nosie” lub „chwytając za fałdy”, jak pies niedźwiedzia...

Literatura jako rzemiosło, jako szewstwo, ma swoje zalety i godność, nie straciła jeszcze elementów ludzkich. Przypominam sobie korytarz jakiejś redakcji, ze 20 lat temu, kiedy zaczynałem „pisać”. Redaktor długo nie przyjmował, wszyscy mieliśmy ze sobą rękopisy i spacerowaliśmy po korytarzu, a przy stole siedział jakiś literat, miał gęste kudły. Siedział spokojnie i godnie. Chodziłem po jednej przekątnej korytarza, a po drugiej chodził „ktoś” długowłosey, w skromnych okularach...

Był niski, cały udręczony, blady. Oczywiście, coś już „wypił”. Czasy były radykalne (bardzo dawno temu). Oczywiście, spokój szlachetnego literata bardzo go denerwował.

Cały czas chciał mu „coś powiedzieć”.

Chodził nerwowo, w końcu wyjął papierosa – i...

Aleksander Macedoński nie szedł z taką stanowczością na hinduskiego króla Porosa, jak ten człowiek, trzęsąc się (wstyd, strach i przerażenie), podszedł i z udręką – zarazem obrażając, ignorując i lękając się odmowy – powiedział:

– Proszę pozwolić mi zapalić.

Siedzący właśnie palił papierosa, poczęstował proszącego. Zgadza się zresztą, że ten „król Poros” był wstrętnym indywiduum, ale ten nasz biedny rosyjski kogut...

Jestem przekonany, że literat nigdy nie kłamał w swojej rzeczywistości „godnej literaturze”, uważał, iż „służy ojczyźnie” i *faktycznie* jej służył. Demaskował, oskarżał, domagał się sprawiedliwości. Cóż, proszę państwa, jeśli szanujemy policjanta, który na skrzyżowaniu „kieruje ruchem pojazdów”, to jak możemy przejść obojętnie wobec „takiego cierpiętnika za ziemię rosyjską”, który całe życie pisze, dostaje za to grosze, bije się z żoną, bije dzieci... Mężczy

się, męczy się i płonie, rzeczywiście płonie. Niedomaga, i „nie ma pieniędzy”, a teraz smutno patrzy „na portret Bielinskiego”.

Tak, proszę państwa. Porzućmy „wszystkie rozumy” i wyciągnijmy rękę dla naszego przyjaciela, dobrego stróża prowincji, odważnego demaskatora wrogów (banalnych)... *Autentyczny literat* został przed nami ukryty za chlestadowską peleryną felietonisty ze stolicy lub zapatrzonego w siebie przodownika, zarazem prywatnego docenta miejscowego uniwersytetu. Świat się na nich nie kończy. W człowieku i w literaturze jest dobro i siła, jest wieczne cierpienie. Taki literat jest nauczycielem narodu, jak nauczyciel szkoły wiejskiej lub miejskiej.

Pokłońmy się jemu... Nie wszystko jest cyniczne na Rusi. Nie wszystko jest też cyniczne w literaturze.

\* \* \*

515. Tołstoj poszukiwał „męczeństwa” i chciał trafić do Szlisselburga oraz siedzieć razem z Morozowem.

– Jakież z Waszej Ekscelencji jest Morozow ? – zapytał rząd i polecił – na odwrót! – chronić Tołstoja.

A tymczasem męczeństwo samo pchało mu się do teczki: stracić „popularność”, zrezygnować z szybkiej sprzedaży książek i „recenzji w prasie”. Cóż robić? Dobczyński niekiedy „wejdzie” nawet w Sokratesa, a klecha kładzie do kieszeni 50 kopiejek po wysłuchaniu udręczonej kobiety, która z płaczem opowiedziała mu swoje długie życie. Tołstoj też włożył 50 kopiejek (popularność) do kieszeni.

\* \* \*

516. Stara i chuda szkapa ciągnie wóz, a drużyna młodzieży siedzi na wozie i śpiewa pieśni.

\*

Pieśni na przemian sprośne i smętne. Że „wesoło jest na Rusi” i że „Ruś przepadnie”. I że wszyscy Rosjan znieważają.

Kiedy szkapa zwalnia, to na nią krzyczą:

– No, jedź, starucho!

Starucha znowu napręża szyję, napinają się jej wszystkie mięśnie.

(moja ojczyzna)

\* \* \*

517. Obecnie wszystkie rosyjskie sprawy, wszystkie problemy skomplikowały się przez „Żydów”. Nie ma takiego problemu *życia rosyjskiego*, za którym nie stałby inny problem: „jak poradzić sobie z Żydami”, „co z nimi zrobić”, „jak ich nie obrazić”.

Niczego podobnego nie było za Mikołaja Pawłowicza. Być może, Ruś nie rozwija się, ale Żyd w każdym bądź razie rozwija się.

\* \* \*

518. Tanie książki – to brak kultury. Książki powinny być drogie. Książki to nie wódka.

Książka powinna odwracać się od każdego, kto marszczy się na widok jej ceny. „Proszę przechodzić – powinna powiedzieć książka i kiwnąwszy na sprzedawcę gazet na rogu ulicy, dodać – bierz go sobie”.

Książka w ogóle powinna być harda, samodzielna i niezależna. W tym celu przede wszystkim powinna być droga.

(czytając poranne gazety)

\* \* \*

519. Rzucają grudy śniegu na mojego przyjaciela, zasypują do pleców, do głowy...

On zamarza i ginie.

A ja stoję obok i nic nie mogę zrobić.

(„Trzeba pokazać 3-mu specjalście, nie rozumiemy tych objawów. To nie jest nasza specjalność, a **jakaś inna**”. Była odważna. Póki nie powiedziała, jak bardzo zmarzła. Przy obiedzie milczała. A potem położyła się na kanapie i zapłakała. „Ciągłe choroby, choroby”. **Z tej strony** wszystko było dobrze po leczeniu i nagle – znowu gorzej”)  
(16 października 1912 r.)

\* \* \*

520. Czy Pan Bóg boleje nad nami? Czy Bóg boleje nad człowiekiem? Czy Bóg w ogóle *boleje*: cechy istoty Boga (według scholastyki).

(jadąc po pieniądze)

\* \* \*

521. Coraz bardziej głuche głosy ziemi...

Nie trzeba.

Jedynie słaby trzęsący się głos zawsze będzie mieszać się z moimi łzami.

A kiedy i on umilknie dla mnie, chcę być ślepy i głuchy w samym sobie, *an und für sich*.

(późno w nocy na daczce – i zawsze)

P. S. Do 1 strony „Opadłych liści”: z powodu myśli o literaturze w ciągu trzech ostatnich lat – chodzi o zmianę *tonu* i po części także *tematyki*.

P. P. S. Miejsce i okoliczności „przyjścia myśli” są zawsze ukazane (absolutnie dokładnie) w celu odrzucenia fundamentalnej idei sensualizmu: „*nihil est in intellectu, quod non fuerat in*

sensu”. Przez całe życie obserwowałem, że to, co dokonuje się *in intellectu*, pozostaje w pełnej niezgodności z tym, co *fuera in sensu*. Życie duszy i bieg odczuć, oczywiście, spotykają się, odpychają, sprzeciwiają się sobie, łączą się, biegną paralelnie, ale tylko w pewnym stopniu. W istocie życie duszy ma inny nurt, swój własny, a co najważniejsze – ma inne źródło, inny impuls.

Skąd?

Od Boga i od urodzenia.

Brak zgodności życia wewnętrznego i zewnętrznego, oczywiście, zna każdy: jednak w moim wypadku od wczesnych lat życia (13-tu, 14-tu) ten brak zgodności był tak zdumiewający (ciężki, często głęboko szkodliwy i niszczący), że ciągle dziwiłem się temu zjawisku (*stopnie* tego zjawiska). Pisząc o wszystkim, co „porażało i zadziwiało mnie”, co mi się „podało” lub też „nie podobało”, wszystko zapisywałem. Nawet, gdy było to wbrew „naturze rzeczy” (czas i okoliczności zapisu), nic nie zmieniałem nawet na jotę.

Jest to *rozumne*. Zapiski te mają swoje okoliczności i czas, a także motyw moralny, o czym kiedyś napiszę.

## OPADŁE LIŚCIE

(Koszyk drugi)

*Im starsze drzewo, tym więcej spada z niego liści. Proszę po mojej „†” przedrukowywać wszystko analogicznie i książki, które są kontynuacją „Odosobnionych” oraz „Opadłych liści” drukować bez żadnych zmian w tej postaci, w jakiej zostały wydane te dwie książki. Chciałbym, żeby każdy nowy tekst był drukowany na nowej stronie, ale w celach przyspieszenia druku i obniżenia jego kosztów odstępuję od tej formy, ale ze skrajną udręką ducha.*

„Opadłe liście” z wydania 1913 r. stanowią 1/2 lub 1/3 tego, co zostało zapisane w 1912 r., a przy tym były one drukowane w takim stanie ducha, że prawie nie doprowadziłem ich do porządku chronologicznego. Na przykład wszystko oznaczone „**Klinika Heleny Pawłownej**” – odnosi się do **października, listopada i grudnia**, a tym samym powinno być umieszczone pod koniec wydania za ten rok. Właściwie wszystko powinno zostać „potasowane” („tasujemy karty”) według wydania z 1913 r. – liść za liściem – w każdym bądź razie przynajmniej najważniejsze wydarzenia.

W drugim koszyku liście są umieszczone w ścisłym porządku chronologicznym, na ile pozwalały na to notatki i pomięć.

522. Sam grunt „naszych czasów” jest zniszczony, zatruty. Każdy zły korzeń jest przez ten grunt chwytny, karmiony i wydaje obfite plony. Natomiast dobry korzeń umiera.

*(patrzac na portret Strachowa: Dlaczego z „dzieł Strachowa”  
nic nie wyszło, a z „dzieł Michajłowskiego” wyszli szkolni  
nauczyciele, ziemstwo w Twerze i wielu uczciwych ludzi,  
często jedynie bajdurzących – lekarzy)*

\* \* \*

523. Straszna pustka życia. O, jakże ona jest przerażająca...

\* \* \*

524. Teraz w nowych piecach wystarczy przekręcić uchwyt w jedną stronę – komin otwarty, przekręcić w drugą stronę – komin zamknięty.

To nie jest bogobojne. Dlatego, że nie w tym rozumu i troski.

Przedtem brało się maleńki szyber – nie należało go przekręcać ani w prawo, ani w lewo – wchodził od razu i przyjemnie. Potem duży szyber – pokrył mniejszy jak czapka.

To jest prawidłowe.

Raz widziałem nową kosiarkę: już nie chłop, a robotnik siedział w czymś, co nie było wozem, ani czymś innym, ale to coś ciągnęła para koni; kolasa kołysała się i robotnik w niej też się kołysał. A z prawej i lewej strony kolasy, jak kleszcze, podnosiły się do góry ni to kosy, ni to grabie. Wykonywały pracę, nie kwestionując tego, za dwanaście dziewczyn. Tylko tyle, że teraz dziewczyny

siedziały z chłopakami pod lasem i flirtowały. Bez względu na to, ile pracy wykona robotnik z kleszczami, one wszystkie flirtują.

Wyjdą za mąż – i „przeflirtują” wszystko, co męża.

Mąż widząc, że żona flirtuje – zorganizuje sobie na boku „najmilejszą”.

I rozwali się gospodarstwo.

I rozwali się wieś.

A kiedy rozwałą się wsie – pociemnieje i miasto.

Dlatego, że zabrakło głowy, rozumu i Boga.

\* \* \*

525. Przynoszą listy i jakieś czasopisma teozoficzne (wcale ich nie zaprenumerowałem). Jakiś „Tarok”... Po co mi to?

Jest i reklama: „Zajrzyj i przeczytaj”.

Dlaczego powinienem zaglądać do wszystkich czasopism?

\* \* \*

526. Tylko taka wiedza jest cenna, która ostrą igłą została wryta na duszy.  
Zwiędła wiedza – bezwartościowa.

(na pokwitowaniu pocztowym)

\* \* \*

527. Z wybałuszonymi oczyma i oblizuje się – oto ja.

Nieładnie?

Cóż zrobić.

\* \* \*

528. ...niekiedy wydaje mi się, że we mnie dokonuje się rozkład literatury, samej jej istoty. Być może, jest to moje światowe *emploi*. W tym moja (szczególna) moralność i niemoralność. Moje wady i zalety. Inaczej, nie da się tego zrozumieć. Wprowadziłem do literatury najdrobniejsze, ulotne, niewidzialne poruszenia duszy, pajęczynki bytu. Nie można sobie jednak w żaden sposób wyobrazić, że to było możliwe wyłącznie dlatego, że „ja zechciałem”. Istota jest znacznie głębsza, lepsza i zarazem straszniejsza (dla mnie): bezgranicznie straszna i smutna. Oczywiście, nie miałem żadnego przykładu i powtórzenie nie jest możliwe w świecie, gdyż w tej samej chwili, gdy płyną łzy i dusza rozrywa się – poczułem bezbłędnym uchem słuchacza, że łzy te płyną „literacko”, „muzykalnie”, po prostu „tylko je zapisać”. Przecież tylko dlatego je zapisywałem („Odosobnione” – dziewczynka na dworcu, wentylator). Jest to tak zadziwiające, że Neron by zazdrościł, a „wybaczyć” można tylko dlatego, że to fatum. Czy można wybaczyć?... Zostawmy grzechy. Jest we mnie jakieś „zakończenie” literatury, literackości, jej istoty – jako potrzeby odbicia i wyrażenia. Cóż więcej miałbym wyrażać? Pajęczyny, westchnienia, ostatnie, które zostały uchwycone. O, fantazjować, tworzyć

można jeszcze, ale przecież są literatury, które nie wynikają z *wymyślenia*, a potrzeby *pokazania serca*. Z tego punktu widzenia kończę i kończyłem. Miałem przez chwilę takie dziwne uczucie, że jestem *ostatnim* pisarzem, na którym literatura w ogóle się skończy, poza chłamek, który także szybko się skończy. Ludzie po prostu zaczną żyć, uważając za śmieszne i niepotrzebne zajmowanie się literaturą. Z tego powodu, być może, miałem świadomość jakiegoś „ostatniego nieszczęścia”, zlewającego się w moim odczuciu z „ja”. To „ja” jest straszne, obrzydliwe, ogromne, tragiczne ostatnią tragedią: W nim bowiem dialektycznie „rozpadło się i zniknęło” kolosalne tysiącletnie „ja” literatury.

– Fe! Gad! Zniknij i przypadnij!

To moje szczególne odczucie. A jak ciężko z nim żyć.

(czekając w kolejce na spowiedź)

(pierwsze gimnazjum)

\*

Jakże dobre bywają (niekiedy) klechy! Iwan Pawłycz wziął pod pachę moją głowę i dotknąwszy palcami czoła, powiedział: „Cóż my możemy wiedzieć z naszym *czerepkim*?” (mózgiem, rozumem, czerepem). Powiedziałem mu różne dwuznaczności i „wątpliwości” z czasów zebrania religijno-filozoficznych. Jak słodko było pocałować jego rękę! Spowiadał krótko. Ludzie czekają. Nabożeństwo i dochody. W ten sposób „byt” miesza się z niebiańskim słowem – i nie zapominaj o bycie, słuchając słowa, a patrząc na byt wspomnij to, co słyszałeś i słowa. Jednak Słobodski jest zupełnie bezinteresowny. Dzięki mu za to. Miły. Miły i rozumny (bardzo).

\* \* \*

529. Są ludzie, którzy rodzą się „ładnie” i którzy rodzą się „nieładnie”.

Ja urodziłem się „nieładnie” i z tego powodu mam taką dziwną, „kłującą” biografię, ale dość interesującą.

\*

Człowiek, który „nieładnie” się urodził, zawsze czuje się „nie na swoim miejscu”: właśnie ja zawsze tak się czułem.

Przeciwiństwo – babcia (A. A. Rudniewa), jej szlachetne życie. Oto kto urodził się... „ładnie”. W biedzie, w strasznej sytuacji – z niej nieprzerwanie jaśnieje światłość. I pożytek. Ze mnie, jak myślę, nie ma żadnego „pożytku”. Ze mnie – „smutek”.

\* \* \*

530. Mógłbym cały świat napęłnić kłębami purpurowego dymu... Ale nie chcę.

< Ludzie księżycowej poświaty (gdyby nalegać);

22 marca 1912 r.>

I wszystko by spłonęło... Ale nie chcę.

Niech moja mogiła będzie spokojna i „na uboczu”.

(„Ludzie księżycowej poświaty”, tego samego dnia)

\* \* \*

531. Praca i cierpienie – oto całe moje życie. I pociecha, że widziałem troskę „przyjaciela” o mnie.

Nie: widziałem „przyjaciela” w samym sobie. To, co „sportretowane”, przewyższało to, co „wypracowane”. Ona jeszcze bardziej ode mnie cierpiała i jeszcze więcej pracowała.

Kiedy jej ręka już tylko bezsilnie zwisała – w gniewie na jej nieruchomość (wiosna 1912 r.) ona zatrzymała się na środku pokoju – i kilka razy machnęła obydwoma rękami: prawa wykonywała pełny obrót, a lewa podnosiła się jedynie na kilka centymetrów, i ze łzami w oczach zaczęła wykrzykiwać, jakby besztając chorą rękę:

– Pracuj! Pracuj! Pracuj! Pracuj!

Całą twarz miał w łzach. Zamarłem. W zachwycie i współczuciu.

(lewa ręka ma życie jedynie w barku i łokciu)

\* \* \*

532. „Dotknij jego skóry” – kusił Szatan Boga, prosząc o Hioba...

Tę „skórę” ma każdy, wszyscy, ale nie jest ona jednakowa. Spróbujcie pisarzom, wielkodusznym i gotowym „umrzeć za człowieka” (ludzkość), zanegować ich *twórczość* i powiedzieć: „*Źle piszecie*, panowie, sama *nuda*” – a oni zedrą z was skórę. Filantropi, jak się wydaje, bardzo nie lubią „*pytań* o pieniądze”. Jeśli chodzi o „osoby duchowne”, to oni, oczywiście, „wszyscy w łasce”, ale zaatakujcie ich od strony „rubla” i nagród – na święto – „*palicą*”, krzyżem lub kamiławką, a „osoba” tak zacznie wyzywać, jakby Rosjanie nigdy nie zostali ochrzczeni za rządów Włodzimierza...

(po otrzymaniu listu od Albowa)

\*

No, a ty, Wasylu Wasiljewiczu, gdzie masz „skórę”?

Teraz nie przychodzi mi to do głowy, ale, oczywiście, – *mam*.

\*

Zdumiewające, ale „przyjacieli” i Ustynski – nie mają „skóry”. „Przyjaciel” – na pewno, a Ustynski – jak się wydaje, też nie ma. Nigdy nie widziałem „przyjaciela” obrażonego i *zagniewanego* (w tym rzecz, o tym mówił Szatan). To, co w nim zachwyca – to całkowita i spokojna duma, milcząca, która ani razu się nie sprężyła i rozwinąwszy jak sprężyna, odpowiedziałaby ciosem (w *tych* rzecz). Kiedy ją atakują – wycofuje się, jeśli gwałtownie spojrzeć

na nią – odejdzie na bok, wycofa się. Nigdy nie pokłóciła się, „komu zejść z trotuaru”, komu stanąć „na dywan” – zawsze pierwsza każdemu ustąpi, bez wezwania, przed możliwym sporem. Oto wdzięk: kiedy ona wycofywała się – zawsze była królową, a ten, kto „wszedł na dywan” – był i *wydawał się* w tej chwili „takim sobie”. Kto tego nauczył?

To jest wrodzone.

Wdzięk manier i zachowania się – zawsze. Wrodzone. Tego nie można się nauczyć. „W moim sposobie chodzenia – moja dusza”. Niestety, ja sam, jak się zdaje, mam okropny sposób chodzenia.

\* \* \*

533. Cenzor tylko wtedy zaczyna „rozumieć”, kiedy Krajewski i Niekrasow podejmują go obiadem. Wtedy kończą się jego wątpliwości i on domyśla się, że „Szchedrina trzeba przepuścić”.

\*

Jeden czterdziestolatek powiedział mi (57 lat): „Rozumiemy wszystko, co i pan”. – Tak, ma „dyplom od Skabiczewskiego” (ukończył uniwersytet). Cóż mogę mu powiedzieć? – „Tak, ja też studiowałem w uniwersytecie i dalej nie miałem już gdzie iść”. Smutne byłoby wykształcenie, gdyby dalej od nas nie mogli „pójść” nawet cenzorzy.

Są oni chamscy, głupi i gruboskórni. Nic nie da się z tym zrobić.

Z cenzorów tylko jeden miał duszę literacką – Michał P. Sołowjow. Ale na niego zaczęli krzyczeć Szchedrinowie: „On nas nie przepuszcza! On jest konserwatywny!” Dla całej literatury „na cenzora” nadaje się tylko Bałałajkin, człowiek zręczny, uprzejmy i liberalny. Dopiero przy nim literatura rozkwitnie.

*(zakaz druku „Odosobnionego”,  
na polecenie cenzury piotrogrodzkiej)*

\* \* \*

534. Dlaczego opublikowałem „Odosobnione”?

Należało.

Miałem też uboczne cele (główny i jasny – zjednoczenie się z „przyjacielem”). A poza tym, ponadto, coś ślepego, nie do przewyciężenia.

*NALEŻAŁO*

\*

Dosłownie coś mnie „pociągnęło”, kiedy prawie automatycznie zacząłem numerować kartki i wysyłać do drukarni.

\* \* \*

535. Tak, „egoizm”: ale ileż to kosztowało!

\*

Stąd „Odosobnione” jako próba wyjścia z za strasznej „zastony”, spoza której nie to, że nie chciałem wyjść, a nie *mogłem* wyjść...

To nie była ściana fizyczna, a duchowa – o, jakże straszniejsza od fizycznej.

\*

Stąd przywiązanie lub, dokładniej, jakaś moja tajemnicza *zależność* od „przyjaciela”... W której jednej znajdowałem coś mi *potrzebnego*... Podczas gdy sens „ściany” zawiera się w słowach „*ja* nie jestem potrzebny” – „*mnie* nie potrzeba”... Otóż owo „nie potrzeba” jest tak straszne, płaczące, rozdzierające, jest w nim taka pustka metafizyczna, w której nie można żyć, w której, jak w węglanie, „wszystko ginie”.

Tymczasem we mnie jest „oddech”. „Przyjaciel” dał mi możliwość oddychania. A „Odosobnione” jest próbą lepszego oddychania, wyrwania się do ludzi, których szczerze i głęboko kocham.

Kocham, ale nie czuję. Kocham – ale powietrze. Chcę powiedzieć słowo, ale pustka nie odbija dźwięku.

Przecież nigdy nie potrafiłem sobie wyobrazić czytelnika (rada Strachowa). Wiedziałem – czytają. I jak gdyby nie czytali. Te określenia „nie czytają”, „ani jeden człowiek nie czyta” – są bardziej żywe, niż to, że wielu czyta.

Spieszę się z publikacją. Liczę pieniądze. To zaś oznacza, znaczy, że „czytają”: ale tak się wydaje przez chwilę, a potem coś się „przestrasza” przed oczyma, przed myślą, i – „nie czytają” i „w ogóle nic nie ma”.

Jak gdyby moje oko (duch) było na poziomie blatu stołu. A stół – to cienki liść. Drgnęło: *pod stołem* odkryłem coś zupełnie innego, niż *na stole*. Spojrzenie przesunęło się o milimetr. „Na stole” – nasze życie, „czytam”, „zabiegam”; „pod stołem” – w ogóle nic nie ma lub jest coś zupełnie innego.

\* \* \*

536. Kochać – to znaczy „nie mogę bez ciebie żyć”, „ciężko mi bez ciebie”, „wszędzie jest smutno, gdzie ciebie nie ma”.

Jest to opis zewnętrzny, ale bardzo dokładny.

Miłość wcale nie jest ogniem (często tak właśnie jest określana), miłość – to powietrze. Bez niej – nie ma oddechu, przy niej „łatwo się oddycha”.

To wszystko.

\* \* \*

537. Smutne i poplątane są nasze sprawy społeczne i historyczne... Zawsze mam przed sobą gipsową maskę zmarłego krytyka i filozofa M. M. Strachowa –

zdjęta z niego w trumnie. Kiedy uważnie patrzę na twarz człowieka, który przeszedł przez nasze życie jak cień, a nie rzeczywistość, i to z tego tylko powodu, że nie szumiał, nie krzyczał, nie agitował, nie oskarżał, a siedział spokojnie i pisał książki – dręczy się moja dusza...

Los Konstantyna Leontiewa i Goworuchy-Otroka...

Tak, iluż jest takich! Zaiste, nasz postęp może być wyrażony słowami: „*Morituri te salutant*” – przez filozofów, poetów, samotnych myślicieli. „Nasz postęp” dokonuje się z „niezmiennym żądaniem” – jak mówi się w rozporządzeniach policyjnych – usunięcia „sprzed oczu ludzi” wszystkich osób zamyślonych, dociekliwych, analizujących siebie samych i okoliczności.

Z niezmienną miłością do swojej starej ojczyzny...

Boże! Gdyby w Rosji stutysięczna, a nawet milionowa grupa ludzi „czytających”, która z taką samą uwagą, żarem i żądzą przeczytała i *przemyślała* stronicę po stronicy Tołstoja i Dostojewskiego – zamyśliła się nad każdą ich opinią i każdym sztychem literackim – jak śledziła *każdą stronicę* Gorkiego i L. Andriejewa, to społeczeństwo niesłychanie by się rozwinęło. Nawet bez wszelkiej *szkolnej wiedzy*, bez znajomości *geografii i historii* – po prostu „przemyśleć” tylko Tołstoja i Dostojewskiego, to znaczy stać się Sokratesem, Epiktetem lub Markiem Aureliuszem – ci ludzie też niezbyt „znali geografję” i „nie kończyli gimnazjum”.

Cała Grecja i Rzym karmiły się wyłącznie literaturą: szkół, w naszym sensie, nie było! A jak się rozwinęli! Literatura jest *naturalną szkołą* narodu, może być *jedyną i wystarczającą* szkołą... Oczywiście, pod warunkiem, że cały naród czyta „Wojnę i pokój”, a „Malwę” i „Ich troje” Gorkiego czytają jedynie specjaliści-miłośnicy.

Tak by też było, gdyby krytyka tak samo „traciła oddech z zachwyty” przy pojawieniu się każdego nowego rozdziału „Anny Kareniny” oraz „Wojny i pokoju”, jak dosłownie „traciła oddech” przy pojawieniu się każdej czterdziestostronicowej „rzeczy” Leonida Andriejewa i Maksyma Gorkiego.

Właśnie tego typu niemoralność krytyki cofnęła o sto lat duchowy rozwój Rosji – jakby nagle w gimnazjach zlikwidowano starsze klasy i pozostawiono jedynie młodsze, samo progimnazjum.

Skąd to? Dlaczego?

Jakże: Andriejew i Gorki byli „postępowymi pisarzami”, a Dostojewski i Tołstoj – samotnymi geniuszami rosyjskimi. „A geniusz – to tak mało”...

Dostojewski, widząc te „złożone okoliczności”, z żółcią napisał:

„Oto w XIX w., przy powszechnym wrzasku cieszącego się tłumu, nierządnik z szewskim nożem w ręku podejdzie po drabinie do cudnej twarzy Madonny Sykstyńskiej i przetnie tę twarz w imię powszechnej równości i braterstwa”... „Nie trzeba geniuszy: to – arystokracja”. Sam Dostojewski był biedny i demokrat: w tych słowach, odnoszących się do przyszłego tryumfu „równości i braterstwa” on sformułował wiek, lub dwa wieki wcześniej „modlitwę na śmierć” przyszłego tryumfu tego ustroju.

\* \* \*

538. Czego sobie zupełnie nie potrafię wyobrazić – że on zaśpiewa pieśń lub napisze chociaż dwie zwrotki wiersza.

W nim zupełnie nie ma zdolności muzycznych, śpiewaczych. Jego dusza jest zupełnie pozbawiona muzyki.

Równocześnie jest pełen szumu, gam. Ale bez nut, bez tempa i melodii.

Bazar. Cały bazar w jednym człowieku. Oto – Hercen. Właśnie dlatego tak dużo napisał: a jednak czytelnik nie wpadnie w zadumę nawet nad jedną napisaną przez niego stroniczką, nie zapłacze też dziewczyna. Nie zapłacze, nie będzie marzyć, nawet nie westchnie. Jakież to ubogie! Hercen jest i bogaty, i biedny.

\* \* \*

539. „Ja do pewnego czasu nie niepokoiłem Szanownego Pana z tego powodu, że chciałem tę sprawę załatwić pieniżkami”.

O, jakże podoba mi się ten folklor!

Myślę, że w języku złodziei i policjantów jest coś z artyzmu.

Dal powinien koniecznie tutaj zajrzeć.

*(na procesie Buturlina drobny urzędnik,  
śledzący – naśladując w tym Sherlocka Holmesa –  
Obriena-de Lassi i Panczenkę)*

\* \* \*

540. Cała „cywilizacja XIX w.” jest powolnym i stałym, a zarazem tryumfalnym przenikaniem wszędzie knajpy.

Knajpa przeniknęła do polityki – to „europejskie (nie angielski) parlamenty”.

Knajpa przeniknęła do literatury. Przecież do XIX w. prawie nie było gazet (coś tam było), była tylko literatura. Pod koniec XIX w. gazety zajęły panujące miejsce, a literatura – prawie zaniknęła.

Knajpa przeniknęła do „sympatycznej gospodarki”, do „swego kącika”. To – bank, ministerstwo finansów i socjalizm.

Knajpa przeniknęła do pracy: to fabryka i technika.

Kiedyś widziałem pracę „kosiarki”. I pomyślałem: Tu nie ma Boga.

\*

Boga zresztą nie ma w „knajpie”. Istota XIX w. zawiera się w porzuceniu człowieka przez Boga.

\* \* \*

541. Izmajłow (krytyk) nie wierzy, że „nie czytałem Szczedriny”. Tymczasem w kręgu ludzi naszej świadomości uznano by za obelgę dla rozumu właśnie *czytanie* Szczedriny.

W ciągu sześciu lat znajomości ze Strachowem ani razu nie usłyszałem od niego tego nazwiska. I to nie z wrogości. Po prostu – „nie przychodziło do głowy”.

To samo w wypadku Rcy, Florenskiego, Raczińskiego: nigdy nie słyszałem.

Chociaż, oczywiście, wszyscy znali jego *istotę*. Ale:

– My jednak studiowaliśmy w uniwersytecie.

\* \* \*

542. Ze wszystkiego, co „duchowe”, najbardziej podobają mu się solidne meble dębowe, obite skórą.

A także obrzęd pogrzebu.

Przychodzi do mnie na początku lata i mówi:

– Zaproszono mnie na szkuner, na Ocean Lodowaty. Dwa miesiące żeglugi. Wspaniałe widoki, powietrze. Jako gość, bezpłatnie.

– To, co za problem? Proszę jechać!!

– Tak też pomyślałem i wyraziłem zgodę.

– Wspaniale!

– Tak... Ale potem zrezygnowałem.

– Zrezygnował pan?!

– Oczywiście. Przecież mogę zachorować na morzu i umrzeć.

– Wszyscy umrzemy.

– Chwileczkę. Pan umrze na lądzie i zostanie pogrzebany według pełnego obrzędu prawosławnego pogrzebu. Wszystko zostanie odśpiewane i przeczytane. Na statkach jest zupełnie inaczej. Tam po prostu na desce spuszcza się do wody zaszytego w worek człowieka i odmawiają tylko jedną modlitwę. I to tylko na okręcie wojennym modlitwę odmawia kapłan, a na statku handlowym nie ma kapłana i modlitwę odmawia kapitan. Cóż to za skandal! Ja tak nie chcę!

– Proszę pozwolić. Przecież pan *wtedy będzie już umarłym* – powiedziałem z lękiem.

– Tra-ta-ta... Ja tak nie chcę!!! Zrezygnowałem. To jest skandal!

Jego czarne kudły, jak zwykle trzęsły się. Wokół cienkich nóg łomotały spodnie, jak żagle. Kamasze miały francuskie obcasy.

Wydało mi się, że przez żywego człowieka, to znaczy „a jednak” prawie żywego, pokazała zęby maska Woltera.

(*nasz Madmuazelkin*)

\* \* \*

543. Anglicy robią dobre walizki, a Rosjanie mają dobre przysłowia ludowe.

(wybierając się do Kijowa) († Stołypina)

\* \* \*

544. Jedynie taka lektura jest zadawalająca, kiedy książka jest *przeżywana*. Nie warto czytać „dla zadowolenia”. Nawet „dla pożytku”. Więcej pożytku można mieć „na nogach” – po prostu żyjąc, pracując.

*Przeżywałem* Leontiewa (K.) i po części Talmud. *Zacząłem* „przeżywać” Maeterlincka: czytałem 8 stron przez tydzień i prawie zawsze po przeczytaniu 8 linijek wpadałem w godzinną zadumę (czytałem w tramwaju konnym). Rzuciłem *właśnie* z powodu przeżyć – wspaniałych, ale zbyt męczących.

Potem „czytałem” coś innego – nie pamiętam. Nic nowego i nic zdumiewającego.

\*

Puszkina... ja go *jadłem*. Już znasz stronicę, scenę: czytasz jeszcze raz, tak – to jest *pokarm*. Wszedł we mnie, krąży we krwi, odświeża mózg, oczyszcza duszę z grzechów. Jego

Kiedy dla śmiertelników ucichną dnia gwary,

jest równorzędne z Psalmem 50 („Zmiłuj się nade mną, Boże”). Tak samo wspaniałe, wielkie, ogłuszające i religijne. Ta sama prawda.

\* \* \*

545. Słaby charakter – oto główne źródło nieprawdziwości. Pierwsza (nieprzezwyciężona) nieprawda – z lęku, aby nie znieważyć innego.

Dlatego Bóg nie ceregieli się z człowiekiem. A my ciągle ceregieliliśmy się jeden z drugim i wszyscy łżemy.

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

546. Dlaczego ciągle napadam na Wiengierowa i Kariejewa? To jest wręcz drobiazgowość...

Nie mówiąc już o tym, że nie ma w tym żadnej „cnoty”.

\*

Jego prace są godne szacunku. A to, że całe życie pracuje nad Puszkinem, to jest nawet wzruszające. W kontaktach osobistych (raz) wywiera przyjemne wrażenie. Ale jak spojrzę na jego brzuch – to już piszę (w myślach) ognisty artykuł.

\* \* \*

547. Strasznie dużo gniewu było w mojej działalności literackiej. Wszystko niepotrzebnie. Dlaczego nie lubię Wienigierowa? To jest aż dziwne: dlatego, że jest gruby i czarny (jak brzuchaty karaluch).

\* \* \*

548. Aleksander Macedoński z 30-tysięczną armią postanowił pokonać Królestwo Persów. Cóż to jest dla nas, Rosjan: Pestel i Wołkonski postanowili z dwoma tysiącami gwardzistów pokonać Rosję...

I piszą, piszą historię tej bufonady. Pamiętniki i wszelkie pawie pióra. I Niekrasow z „rosyjskimi kobietami”.

(jadąc dorożką)

\* \* \*

549. Należy zniszczyć politykę... Należy stworzyć a-polityczność. „Bóg nie chce już więcej polityki, która zalała ziemię krwią”... fałszem i okrucieństwem.

Jak to zrobić? Nie, jak *można* to zrobić?

Pomieszać wszystkie idee polityczne... „Czerwone” zrobić „żółtym”, „białe” – „zielonym” – „rozbić wszystkie jaja i zrobić jajecnicę”...

Wygasić polityczny płomień, żeby nagle „nikt nic nie rozumiał”, wszystko widział „splątane” i „pomieszane”...

A! Podobało się państwu, kiedy pisałem o „a-dogmatyzmie chrześcijaństwa”, to znaczy o odrzuceniu *twardych*, ostrych kości, *linii* w chrześcijaństwie... wtedy klaskaliście.

Ale dlaczego?

Chciałem przez to łagodne, na wszystkich otwarte chrześcijaństwo, ukazać możliwość „uratowania prawdy”. Klaskano nie za to, widziałem: uważano, że niszczę *dogmatyczny Kościół*... „Świeże mleko potem samo wyparuje, a póki co, trzeba połamać kości, które nam przeszkadzają i z którymi nie potrafimy sobie dać rady”.

Ogarnęło mnie przerażenie na widok powszechnych tendencji naszych czasów *do niszczenia*... „Wszystko należy – zniwelować... Tylko – *pustynia*”... Komu? Po co?

A dla „nas”, dla „polityków”... W kraju wolnym od wszystkiego – od Kościoła, od religii, od poezji, od filozofii – mogliby szaleć Kuzminy-Karawajewy i Aleksinscy...

Wtedy będą inne przemowy...

A ja mam dosyć, właśnie ja (kaprys historii) mam dosyć do ostatka tych wszystkich „przemówień”. „Ziemia już obróciła się wokół swojej osi” i „powszechna nuda”, od wskazania na którą zacząłem swoją książkę o rewolucji, zagraża teraz z innej strony – właśnie ze strony „przemówień”...

Niech one zmatowieją...

Niech zostanie *podcięty ich nerw*...

Sawa w opowiadaniu Maksyma Gorkiego wysadza cudowną ikonę, źródło „entuzjazmu ludu” – „zabobonnego, fałszywego”... No, dobrze. „Dlatego, że chrześcijaństwo nie jest potrzebne”. Cała Rosja biła brawo.

„Politycy” postawili swoją stopę na gardle kobiet, dzieci, wdów (wypadki, które omawiałem w prasie). „Kto nie wyrzeknie się ojca i matki dla mego imienia” – krzyczy polityka... „I – dzieci, i – domów waszych”...

Dobrze, dobrze” – słuchałem tego.

A teraz pozwólcie, że ja poleję kwasem solnym samą oś, na której „kręcą się” tu i tam „drzwi polityki”. Wleję kroplę kwasu w sam ich „środeczek”, w samą ich „duszę”... Co takiego? W – przekonania polityczne (to samo, co „dogmat” w chrześcijaństwie). No jak? „Kłóć się”... „partie”.

– Panowie, można mieć *wszystkie przekonania*, należeć do *wszystkich partii*... a przy tym zupełnie szczerze! Z czystym sercem!! Do hysterii!!! Równocześnie można nie należeć *ani do jednej* (partii) i też „do hysterii”.

To ja zacząłem, ale ruch będzie się rozwijał: my – filozofowie, religioznawcy – ludzie w każdym bądź razie żyjący na „wyższym piętrze”, niż to, na którym tłoczą się politycy, swoją myślą, swoją poezją, swoim „innym ogniem”, swoim żarem zniszczymy całe to polityczne, krwawe i pełne gnoju piętro...

Przecież wszystkie partie „*udowadniają jedna drugiej*”... A co ja (i „my”) mam *udowadniać*, kiedy jesteśmy „całkowicie zgodni”?...

Jesteśmy zgodni z *tonem* i „prawicy” i „lewicy”... z ich „patosem”, ale jesteśmy zgodni *patetycznie*.

Jest oczywiste, że kiedy wszystkie partie połączą się „w jednej duszy” – wtedy nie będą mogły być partiami *sprzecznymi sobie* i pozostającymi w *sporze*... Partie znikną. A kiedy zniknie ich suma – zniknie także polityka jako *spór* i *wrogość*.

Oczywiście, pozostanie „zarząd”, pozostanie „bieg spraw” – ale jedynie w *warstwie empirycznej*: „oto – *fakt*”, dlatego, że jest on – potrzebny”... Bez żadnego przejścia w teorię i powszechną żądzę.

„Nie, proszę pozwolić – ja *pryncypialnie* tego nie chcę”... „Pryncypialnie” zostanie to wyrwane spod nóg tych koni („polityki”). – „Ty jedź swoim wozem, a *pryncypia* to nie jest sprawa waszego piętra”. „O pryncypiach” będziemy rozmawiać z wieszczami, arcykapłanami, u stóp tej cudownej ikony, którą wysadził wasz głupi Sawa.

„Pryncypia”... o nich będzie decydować „piosnka Gretchien”, „pryncypia” będą rozwiązywać „hulaki” („Mozart i Salieri”).

Będą rozwiązywać „mędracy” (jak w „Państwie” Platona).

Jeśli „polityka” i „politycy” tak strasznie zbuntowali się przeciwko religii, poezji, filozofii, to przecież dawno już temu trzeba było się domyśleć, co znaczy *dusza* religii, poezji i filozofii w równym stopniu wroga polityce i z nią

walcząca... Co tu ukrywać? Politycy od dawna już „okazują opiekę” religii, pozwalają poetom śpiewać „godne wiersze”, „głaszczą po głowie” filozofów, prawie mówiąc przy tym: „Jesteś istotą, chociaż i zwariowaną, to jednak spokojną”. Wspaniały stosunek... „Politycy” mają grube twarze, lśniące... (prawie wszyscy członkowie Dumy Państwowej są ogromnego wzrostu: godne uwagi!! Końska natura jaśnieje z istoty sprawy, „powołania”...). Czyż nie pora powiedzieć im, że duch ludzki zdecydowanie nie mieści się w ich skórze, że duch ludzki nie pragnie takich wielkich uszu, że kopyta – to za mało, potrzebne są jeszcze pazury i skrzydła. „Mało, mało!”. „Ciasno, ciasno!” Oto hasło, oto przyszłość.

Jednak „przekonać” wszystkich polityków w żaden sposób się nie da – taka ich natura.

Należy z nimi wszystkimi – *zgodzić się!*

Wtedy ich prężne nogi (końskie) ugną się; padną na kolana, jak rumak z niemożliwością biegania gdziekolwiek, z brakiem celu w bieganiu. „Tyś mnie zwyciężył, przebiegłeś wszystkie przestrzenie nie wychodząc z wrót”. Wtedy on upadnie.

\* \* \*

550. „Przemiana, przemiana”... „Zmienność, zmienność” – skarżą się

Ruiny baszty przypominające...

– nie zauważając, że „zmienność” wchodzi w sam plan świata... Rzeczywiście, „po elipsoidach” – ciągle „przesuwającym się w jedną stronę” od linii prostej, ciągle „odchylającym się i odchylającym” od poprzedniego ukierunkowania – poruszają się wszystkie ciała niebieskie. Na tym bazuje *równowaga* kosmosu. Same „krzywe linie” prowadzą do wiecznej stałości. Czy nie zaobserwowaliście, państwo, że w porządku historii *początki* wszystkich spraw są dobre... Pięknie „zaczynali” papieże, kiedy spieszyli do obozu Hunów, do Attyli, aby pokłonić się barbarzyńcy i zatrzymać potok wojsk przed starymi, bezsilnymi, ale pełnymi dawnego sensu miastami Italii. Pięknie zaczynała się Reformacja... Rewolucja w swoich pierwszych krokach – co za rozkwit, rozwój... A czyż nie jest piękny początek każdej miłości?... I miłości, i modlitwy, a nawet wojny. Te legiony, zdążające do granic ojczyzny, aby ją bronić – jakże one są wzruszające...

Proszę sobie jednak wyobrazić wojny „bez końca”, zakochanie trwające 90 lat, papieństwo bez Reformacji, a Reformację bez jej odrzucenia przez sobór trydencki...

Oto rzeczy „odchylają się na bok” („elipsa” zamiast „linii prostej”), „zakrzywiają się”, „drgają”... Rzeczy – *starzeją się!* Jakże to straszne! Jaka straszna jest starość! Jakże też zarazem jest radosna, gdyż ze „starości” wszystko się odmładza, ze „starości” rodzi się „młodość” (*stałość* linii eliptycznych)... Młoda Reformacja – z postarzałego katolicyzmu, młode

chrześcijaństwo – z postarzałego pogaństwa, młode... nowe życie, *vita nuova* – z bezzębnej polityki... Tak myślę, tak mi się wydaje. W tym wypadku (napaść na mnie Struwego, zarzuty innych) ujawnia się mój „cynizm”, „bezwstyd”. Proszę jednak spojrzeć na przeszłość i zamyślić się nad korzeniem życia. Od wielkich zmian zaczynają się wielkie *odrodzenia*.

In *nova* fert animus

Ten autentycznie sady nowy sad, kto sprzedaje, zdradza stary, zniszczony, więdnący sad... Popatrzcie, popatrzcie na zadziwiające sprawy historii: chrześcijanie-rycerze „*bezwstydnie* zdradzają twierdze Rzymu”, obojętnie rzucają na ziemię włócznię i hełm; Luter „nic nie odczuwa na dźwięk *imienia* papieża i *gwałtownie* odmawia podporządkowania się papieżowi”... Śpiewak przecież zawsze „zdradza politykę”. Ludzie poprzednich epok są zagubieni, przeklinają, zarzucają „amoralizm”, co w istocie znaczy „zdradę *naszej tradycji*”, „przerwanie naszego *diedzicznego* szlachectwa”. Poganin przeklina chrześcijanina, katolik – luteranina, a najgłębiej i najbardziej zdecydowanie – polityk przeklina poetę, filozofa, człowieka religijnego. Chwytają bezwstydnym „za poły”. Bezsilnie. To Bóg „złamał” jedną „linię prostą” historii i rzucił jej końce w przestrzeń, nakazał zupełnie inaczej poruszać się ciało niebieskiemu, ziemi, księżycowi, historii. „Jesteśmy przecież w rękach Bożych i robimy to, co On nam nakazał” i swoją prawdą, i swoją nieprawdą, i swoimi zaletami, i nawet swoimi wadami, bez których nie mogłaby się zgiąć „linia elipsoidalna”, a ona musi się zgiąć... Wielka jest w tym wszystkim realność, i „niech imię Pańskie będzie błogosławione na wieki”.

(rozmyślając o polemice ze Struwem)

\* \* \*

551. Mam 8 lat. Mama weszła do pokoju.

– Gdzie jest cukier?

W cukiernicy było pięć kostek. Jednej brakowało.

Milczałem. A to ja zjadłem cukier.

Ona gwałtownie schwyła Sieriożę za jasne włosy i bardzo boleśnie go wytargała. Sierioża zapłakał. Miał wtedy 6 lat. Ja milczałem.

Dlaczego milczałem? Przez wiele lat (całe życie) zarzucałem sobie, że było to podłe i dopiero teraz dochodzę do wniosku, że nie było w tym podłości. Straszna podłość, rodzaj oszczerstwa rzuconego na innego człowieka, występuje w materii faktu, jeśli patrzeć na to wydarzenie z ubocza. A przecież ja milczałem ze strachu przed jej gniewem, przed jej gwałtownością, a *nie z tego powodu, że będzie bolało*, kiedy będzie targać za włosy. Ból to drobiazg. Ona ciągle się złościła (sama była nieszczęśliwa): tak, jak wiatr zgina gałąź – gniew dorosłego zgiął duszyczkę 8-letniego chłopca.

A teraz mój dobry postępek z Sieriożą. Uciekaliśmy przed burzą, a burza jakby pędziła za nami. Zdarzają się takie gwałtowane, szybkie burze. Najpierw

pociemniało. Chmura. Dom daleko, a myśmy myśleli, że zdążymy. Polana z pagórkami. Nagle uderzył grom i przerażeni rzuciliśmy się do ucieczki.

Uciekaliśmy, nie zwalniając tempa.

Ciągle biegliśmy, biegliśmy. Strasznie się bałem. „Piorun uderzy w plecy”. Sierioża był z tyłu, o cztery kroki. Nagle zaczął zwalniać.

Obejrzałem się. I nie powiedziałem: „No”. Zatrzymałem się. I prawie idąc, ale „nie wydając jeden drugiego błyskawicy”, poszliśmy razem.

\* \* \*

552. Mówię zdecydowanie:

– No, Waria, biorę się za pisanie.

– Niech Bóg pobłogosławi! Niech Bóg pobłogosławi!

I robiąc duży znak krzyża kładła trzy palce na czoło, pierś i ramiona.

I wychodziło dobrze. Wychodziło wesoło (dobrze na duszy).

*(przez wszystkie lata)*

\*

Wiele lat później poznałem jej zwyczaj: wstawiała ½ godziny wcześniej ode mnie, podchodziła do biurka i czytała wszystko, co napisałem w nocy. Jeśli było dobre (żywe, prawdziwe, energiczne – „biegiem myśli” i „dowodami” nie interesowała się), to nic nie mówiła. A jeśli było nudno, czuło się zmęczenie, brak życia – to w ciągu dnia, tak między zajęciami, zauważała, że „jej się nie podoba”, co napisałem, niekiedy „język się płacze”. Wtedy nie kontynuowałem. Myślałem jednak, że ona czytała w ciągu dnia, nie znałem jej *zwyczaju* – dowiedziałem się o nim podczas ostatniej choroby, trzy lata temu.

\* \* \*

553. W smutku człowiek jest – naturalnym chrześcijaninem. W szczęściu jest – naturalnym poganinem.

Te dwie kategorie, jak się wydaje, są odwieczne i pierwotne. One nie zostały „nam” dane, one są – „z nas”. One – to my sami w różnych stanach.

Lewa ręka wyzdrowieje i „prosi antycznych bogów”. Prawa zachoruje – i szuka Chrystusa.

Czy można zapłakać przed antycznymi bogami? „Pozytywni bogowie”, z żartami i pomysłami. Ale nagle „zabolą plecy”: tu już nic nie mają do rzeczy „pomysły”, a: „Pomóż! Zmniejsz ból!” Do Jowisza w żaden sposób nie można powiedzieć: „Zmniejsz ból!” A kiedy na ludzkość spłynęła wielka tęsknota – „Zmniejsz ją!” – wtedy przyszedł Chrystus.

W „Zmniejsz ból! – Wybaw! – Uratuj!” – w cierpieniu ludzkości jest coś bardzo ważnego, czarnego, głębokiego, być może straszego i złowieszczonego, ale bez wątplenia *głębszego*, niż we wszystkich radościach. Bez względu na wielkość tajemnicy narodzin i całą jej słodycz, zachwyty, gdybym zobaczył człowieka chorego, a obok „szczęśliwą matkę”, karmiącą niemowlę, rzuciłbym

się do chorego. Nie, inaczej: chory starzec, i jeszcze bardziej chora staruszka, a obok rodząca dziewczyna. I nagle trzeba dokonać wyboru: dziewczyna – *nie urodzi*, a starzec – *wyzdrowieje*, albo: ona urodzi, ale staruszka *umrze*, a ze wszystkich ludzkich uczuć zawołam: lepiej poczekać z rodzeniem, byleby *ona wyzdrowiała*.

Oto zwycięstwo chrześcijaństwa. Oto zwycięstwo nad pozytywizmem. Cały świat antyczny, pomimo całego zachwyty, był jednak pozytywistyczny. Choroba pokonała pozytywizm: „Chcę *cudu*, Boże, spraw *cud!*” Ten wyłom – to Chrystus.

On płakał.

Mogą Go odkryć tylko łzy. Kto nigdy nie płacze – nigdy nie zobaczy Chrystusa. A kto zapłacze – ten na pewno Go zobaczy.

Chrystus – to łzy ludzkości, rozlewające się we wstrząsające opowiadanie, w zdumiewające wydarzenie.

\*

A któż rozwiązał tajemnicę łez? Są tacy, którzy nie płaczą *w obliczu wszystkich nieszczęść*. Inni płaczą nawet wobec małych kłopotów. Dusza kobiety cała tonie we łzach. Dusza kobiety jest inna, niż mężczyzny („gbury”). Cóż to takiego, świat łez? Kobięcy – po części, i cierpienia – też po części. Tak, to wieczna kategoria. I chrześcijaństwo też – wieczne.

Chrześcijaństwo jest łagodniejsze, subtelniejsze, głębsze od pogaństwa. Wszyscy płodni „Abrahamowie” nie są warci płaczącej kobiety. Oto granica następujących kolejno porodów Racheli i Lei. Istnieje wspaniałość duchowa, która zalewa wszystko, przyszłość, „narodziny”, pozytywny stan świata. Jest to „piękno duszy”. Wobec którego zatrzymujemy się i mówimy: „Nic więcej nie trzeba, nie trzeba nic lepszego, mamy to, co najlepsze, nic lepszego nie może już być”. Jest to koniec i kropka, samo rodzenie kończy się.

Znałem takie ekstazy zachwyty: jak mogłem je zapomnieć...

Byłem bardzo szczęśliwy (20 lat): i mimowolnie wpadłem w pogaństwo. Dla człowieka szczęśliwego właściwe jest bycie poganinem, jak słońcu – świecić, roślinie – być zieloną, jak dziecku być głupim, miłym i ograniczonym.

Ale ono wyrośnie. Ja też wyrosłem.

Czy mogę powrócić do pogaństwa? Gdybym zupełnie wyzdrowiał i to *na zawsze*: mógłbym. Czy nie w tym źródło wszystkiego, że chorujemy i umieramy, tylko w tym celu, żeby wszystkim objawił się Chrystus?

Żeby człowiek nie pozostał bez Chrystusa.

Straszne poplątanie pojęć. Jakże świat jest poplątany! Jakaś studnia, w której nie widać dna.

(głęboką nocą)

\* \* \*

554. Kpiny Turgieniewa z religii – jakże one są nędzne.

\* \* \*

555. Dlaczego poddaję się uczuciu chciwości, że mało o mnie piszą? To zaiste chamskie uczucie. Czy wiele piszą o Piercowie lub Filosofowie? Jakże poniżająca jest ta świadomość swojego chamstwa. Tak... nie można się pozbyć „lokajstwa”, jakie jest w nas. Lokaj i geniusz. Zawsze, a być może i wszędzie ten sam los człowieka (poza „przyjacielem”, który „lokajem” nigdy nie był, nawet przez chwilę, obojętny w stosunku do zachwyków i wyzwick. Tak samo jak babcia, jej mama).

\* \* \*

556. Tylko taka miłość jest w człowieku autentyczna, nie skierowana przeciwko istocie miłości i jej celowi, w której ukochanej nie oddziela się od siebie nawet w myślach, nie oddziela jakby w samej krwi i nerwach.

\* \* \*

557. Jedna z najbardziej zadziwiających myśli Rcy. Poszedłem do niego z Tanią. On wyszedł do korytarza w kapciach i „babskiej kacabajce”. Nowe mieszkanie. Rozglądam się i witam. A on mówi:

– Jaki pan jest młody! Pan odmłodził i twarz ma pan młodszą, niż dawniej, niż znam ją od wielu lat.

Mam 57 lat.

– Teraz jest pan w „centrum”, a to oznaka, że będzie pan długo żył. – Coś zrobił z palcami, w rodzaju strzelenia nimi, ale to nie to (byłoby niezbyt uprzejmie).

– Dlaczego „centrum” twarzy, „centrum” życia? – zapytałem coś przeczuwając, ale jeszcze nic nie rozumiejąc.

On jest miłośnikiem Rembrandta, w swoim czasie zachwycał się Mazini, którego słuchał i znał wszystkie elementy jego biografii.

– Jakże!... Ileż jest „autoportretów” Rembrandta... ileż widziałem reprodukcji. Mazini. Myślałem, gdy je oglądałem: „Nie, nie... to – jeszcze nie Mazini”, lub „To – już Mazini”... „Nie ten, którego słuchaliśmy, zamierając w Teatrze Wielkim (Moskwa), i za którym biegała cała Europa”... „I w końcu, znalazłem jedną (on powiedział, z którego roku), mówiłem” Oto!! – „Autentyczny Mazini to tylko *jeden* obraz – chociaż jest ich mnóstwo, jak i *autentyczny* Rembrandt – to tylko jeden portret. To samo z Bismarckiem. Oczywiście, tylko w *jednym* momencie, w *jednej* epoce swego życia Bismarck *miał swoją autentyczną twarz*. Jest to twarz wyrażająca władzę, potęgę, tryumf, a nie tam, gdy jest on starym, bezsilnym kotem, który na wszystko się złości i nic nie może.

Słuchałem i dziwiłem się.

On mówił, a ja domyślałem się jego myśli, że biografia człowieka i jego twarz – jego *fizys* i zarazem *duch* – mają „centrum”, do którego wszystko

prowadzi, zmniejszając się i umierając, a gdy to „centrum” pojawi się w młodych latach, to człowiek długo nie pożyje, a jeśli przeżyje 40 lat, to może żyć i dłużej, nawet do 50 lat, a nawet bardzo długo. „Życie” pod *górkę* i z *górkę*”. I, co jest oczywiste, jest w niej punkt kulminacyjny. Wcale nie jest to coś „wspólnego”, ale znajduje dla siebie wyraz w serii zmieniającej się twarzy tego samego człowieka, z których tylko o *jednej* można powiedzieć, że *tu i w tych latach* on... „osiągnął *siebie samego*”.

Jakie to zadziwiające! Nigdzie o tym nie słyszałem i nie czytałem. Oczywiście, to jest magia, magiczne uchwycenie istoty rzeczy.

Tam Kościej złotem swym się krztusi;  
Tam ruski duch – tam zapach Rusi!  
...kot uczony  
Swe bajki prawil nam jak wprzód.

Siwy, piękny, i – niestety! – z dawno minionym „centrum”, Rcy wydał mi się takim mądrym „kotem”.

Oto, za co go lubię.

(to było w 1911 lub 1910 r.)

\* \* \*

558. Czytając Gogola przestaje się wierzyć w rzeczywistość.

Świat sztuki, który rozlewa się z jego utworów, zalewa *wszystko*. Traci się świadomość, wzrok i wierzy się tylko *jemu*.

(przy wieczornej herbacie)

\* \* \*

559. Szchedrin przy Gogolu – to jak koniuszy przy Aleksandrze Macedońskim.

Tak, Gogol jest Aleksandrem Macedońskim. Tak samo wielkie ma zdobycze. I „nowe, odkryte kraje”. Nawet „Indie” są obecne.

(przy wieczornej herbacie)

\* \* \*

560. Ani jeden polityk i ani jeden działacz polityczny w świecie nie dokonał w „polityce” tak wiele, jak Gogol.

(przy wieczornej herbacie)

\* \* \*

561. Katkow powiedział do dorożkarza:

– Tprrru...

A linia czasopism i gazet odpowiedziała mu końskim rzeniem.

Oto cały rosyjski konserwatyzm i liberalizm.

Czyżby Stasiulewicz, który czytał Guizota, nie rozumiał, że nie można być wykształconym człowiekiem, jeśli się nie wie, skąd pochodzi słowo „geografia”, to znaczy, iż jest γη i γροφω. Ale on od 20 lat nabrał wody w usta i nie powiedział: „Panowie, jednak mimo wszystko *ge-o-graf-ię* trzeba znać”.

Jednak „obserwatorzy” w jego czasopiśmie tylko wzruszyli ramionami i napisali: „To nie jest nauka, a produkcja balonów” oraz „tutaj nie ma nauczyciela, a – czeladnicy”, a tymczasem *problem dotyczył czegoś zupełnie innego*.

(w wagonie)

\* \* \*

562. Kto nie zaznał bólu, ten nie zna religii.

\* \* \*

563. Demokracja ma pod sobą tylko *prawo*... chociaż, co prawda, jest ono ogromne... wypływające z *głodu*... O, to takie zadziwiające prawo: wynika z niego zabójstwo, grabież, jęk do nieba i ku wszystkim krańcom ziemi. Ono może i ma prawo wstrząsnąć nawet religiami. „Głodnego” w ogóle nie można sądzić; głodnego nie można osądzić, kiedy on zabrał nam portmonetkę.

Oto „piekielny” fundament rewolucji.

\*

Ani rewolucja, ani demokracja, poza tym jednym, nie mają żadnych praw. „Tak, ty mnie zarznięłeś i jako głodnego nie osądzam ciebie”. „Ale ty chcesz jeszcze czegoś, chcesz mojej duszy i rozważasz wyższy punkt widzenia, a w takim wypadku pluję krwią w twoje bezwstydne oczy, gdyż jesteś mniej głodny od przestępcy”.

\*

Gdy tylko demokracja zaczyna moralizować i filozofować, przemienia się w oszustwo.

Właśnie tu jest położona dla niej *historyczna granica*.

\*

Wyższa granica demokracji, w istocie, w „*Księdze Hioba*”. Dalej ona nie może pójść, nie poszła i nie pójdzie.

Ale jest też „*Księga Tobiasza, syna Tobiasza*”. Jest Ewangelia. Jest też, poza czarnymi chmurami, niebo. Niebo jest większe od każdej chmury, która jest „na nim” (część) i „przepływa” (czas).

Chata i bogaty dom. W chacie tłoczą się: wszystko to, co pięknego powiedziano o wdowie z Sarepty Sydońskiej („upieczemy ostatni raz chleb i umrzemy”) – należy do tej chaty.

W bogatym domu też jest cicho. Gospodarz zamknął się i przegląda książki rachunkowe, robi comiesięczny obrachunek. Jego córka, czysta i niewinna, marzy o narzeczonym. Młodsze dzieci zasnęły w sypialni. A troskliwa myśl babci ogarnia ich wszystkich, myśli o jutrzejszym dniu.

To pełen kielich. To – Hiob „przed nieszczęściem”.

Dobrze jest w chacie, dobrze jest też w bogatym domu. W chacie pobożność, ale w bogatym domu też nie żyją bez modlitwy.

Dlaczego bogaci ludzie są gorsi od tych biednych?

Inna sprawa – „dźwięk kieliszków”...

Ale przecież w biednej chacie można usłyszeć dźwięk noża toczącego na człowieka.

Ale aż do pojawienia się wady – bogactwo i bieda są równie godne czci.

A po pojawieniu się wady przeklęte jest bogactwo i przeklęta jest także bieda.

\*

Właściwie zamiast socjaldemokracji leży prawda stara, prosta, z powodu powszedniości uważana za trywialną, ale „nie da się jej obejść”.

Żyj w bogactwie tak prosto i cnotliwie, troszcząc się i pracując, jakbyś był biednym.

\* \* \*

564. ....

Bywało:

– Waria! Znowu dziurawe rękawiczki? Przecież kupiłem tobie nowe!

Milczy.

– Waria! Gdzie rękawiczki?

– Oddałam Szurze.

Miała 12 lat. Ona była – „dama” i „kobietą”.

Zawsze chodziła jako „dama w podartych rękawiczkach”.

A teraz (2 lata) ciągle leży, ręce zaciśnięte w pięści.

\* \* \*

565. Zapomnieć o ziemi wielkim zapomnieniem – jakie to dobre!

(*idąc do Sądu Okręgowego –  
w sprawie „Odosobnionego”; zaćmienie słońca*)

\* \* \*

566. Zdumiewające opinie słyszałem od Florenskiego (w 1911 r., zimą, w grudniu): „Szukają Chrystusa *poza Kościołem*”, „Chcą znaleźć Chrystusa *poza*

*Kościółem*”, ale nie znamy Chrystusa *poza Kościołem, poza Kościołem* – „nie ma Chrystusa”. „To przecież Kościół – *dał* ludzkości Chrystusa”.

On powiedział to krócej, ale za to wyraziściej. Sens był właściwie taki, że Kościół urodził nam Chrystusa, a (wtedy) jakże można odważyć się, kochając Chrystusa, na odejście od Kościoła?

Sens był taki, ale u Florenskiego – lepiej wyrażony.

Te słowa poraziły mnie swoją nowością. Teraz bardzo jest popularna retoryka o Chrystusie bez Kościoła – to tu napiera całe liberalne chrześcijaństwo.

Rzeczywiście. Po szczegółach poznaje się wielką rzecz. „Lepszą książkę lepiej oprawiamy”; ileż Kościół musiał odczuć w Ewangelii, aby oprawić ją w ½ pudowe, wykowane ze srebra i ze złota oprawy. Niby to drobiazg – ale wiele mówiący. Wszyscy „sekciarze” czytają Ewangelię tylko raz w niedzielę, gdy się zbiorą: to w momencie ich prozelityzmu, pełnego entuzjazmu początku. A „Kościół” już od 1 800 lat nie „odprawi nabożeństwa”, w ciągu dnia lub nocy, każdego dnia – bez czytania Ewangelii.

Ewangelia jest napisana ogromnymi literami. Jej oprawa jest usiana drogocennymi kamieniami.

Rzeczywiście: to Kościół poniósł Chrystusa od krańca do krańca świata, poniósł „jak Boga”, bez wahania, nawet do likwidacji wątpiących, spierających się, wahających.

W ten sposób entuzjazm Kościoła w stosunku do Chrystusa był tak wielki, że „nie starczy proroków” wszystkich sekciarzy razem wziętych, a tym bardziej „liberalnych chrześcijan”, też razem wziętych. Kościół może powiedzieć: „Ewangelia byłaby jak *Enneady* Wergiliusza dla czytelników – księga czytana, ale nieoddziaływująca – być może nawet zagubiłaby się i zniknęła ze świata. Przecież Turgieniew nie czytał przez całe życie Ewangelii. *On* nie czytał, mogłoby nie czytać nawet całe *pokolenie*, aż w końcu przysłoby pokolenie, które zupełnie *zapomniałoby* o Ewangelii, a już następne po prostu *zagubiłoby* samą księgę. To ja uratowałem Ewangelię dla ludzkości, jakże więc teraz możecie wyrwać Ewangelię z moich rąk i mówić o Chrystusie *poza Kościołem*? Ja dałem ludzkości Ewangelię, a przecież jest ona potrzebna chorym, biednym, cierpiącym, zagubionym, tak *dzisiaj*, jak i *jutro* – o tym nie będziecie decydować”.

Zdumiewające. Tak po prostu i taka nowość. Oczywiście, już przez zachowanie Ewangelii dla ludzkości Kościół przewyższa nie tylko „nasze czasy”, ale także złoty wiek Odrodzenia, który uratował dla ludzkości Wergiliusza i Homera.

\* \* \*

567. Są ludzie tak nieśmiali, że nie mają odwagi zejść z krzesła, na którym usiedli.

Taki był Michajłowski.

(rozmyślając nad zadziwiającym tytułem jego artykułu – polemika ze Słonimskim – „Straszny sen (!!!), ale Bóg jest miłosierny”)

Michajłowski był nieśmiałym człowiekiem. Nikomu nie przychodziło to do głowy. Takie jest moje wrażenie (miał wykład o Szczedrinie – pośpiesznie, ciągle oglądając się, jakby ktoś miał go schwytać).

\* \* \*

568. Rząd powinien wykorzystać szlachetne uczucia prasy i za każdym razem, gdy musi coś wykonać w spokoju i koncentracji (czy jednak rząd cokolwiek czyni „w koncentracji”?) – podnosić sprawę „złodzieja tajnego radcy N.”, lub też poinformować, że jest on „kochankiem aktorki”. Prasa będzie przez ½ roku pastwić się nad tym człowiekiem, gwizdać i jęczeć. Jabłonowski „napisze gwałtowny artykuł”, Bajan „posypie głowę popiołem”, „Russkoje Słowo” będzie zajmować swoich 100 000 prenumeratorów nowymi kolumnami *à la* „Gurko-Lidwał”, „Gurko-Lidwał”...

Kiedy rząd wykona swoje zadanie, wtedy „tajny radca, który wiele (fikcyjnie) wycierpiał”, dostanie „jeszcze dwa ordery” („za rany, jakie otrzymał w obronie państwa”), a rząd poda do wiadomości publicznej, że „pomylił się w swojej zbytnej podejrzliwości”.

Bez tego typu odwrócenia uwagi rząd nie jest w stanie nic dokonać. Czy można pracować w takim hałasie?

\* \* \*

569. Poeta Apollon Majkow pokornie jeździł tramwajem konnym.

Zapytałem o to Strachowa.

– O, tak! Oczywiście, tramwajem konnym. Był przecież biedny.

Był „tajnym radcą” (jak się wydaje) i zajmował wysokie stanowisko w cenzurze.

\*

Ci biedni studenci wyobrażają sobie (a raczej poszczuł ich Niekrasow), że tajni radcy i w ogóle „niech ich diabeł porwie, wszyscy ci generałowie” ciągle chodzą na „uczty Baltazarowe” (czytałem o tym w jakimś lewicowym wierszu: „Oni jedzą na ucztach Baltazarowych, a lud puchnie z głodu”).

\* \* \*

570. W gazetach wcale nie są interesujące „wstępniaki” i felietony. Są jak *personae certae* i indyjskie koguty – zupełnie nieinteresujący. Lubię w gazecie

znaleźć artykuł o tym, jak „zbiera się oddział strażaków”, to znaczy siedzą w nocy i coś robią. Zgarbieni, jak Archimedes nad cyrklem, grają „w warcaby”. Jedni z nich rozmawiają szeptem, jak spiskowcy, o koniach (rumaki, skaczą). Tu można usłyszeć ostatnią plotkę, sensację zbijającą z nóg. Nagle rozmowy, hałas: besztają Szwarca. Papierosy i „mocne słowo”.

\* \* \*

571. Ge o Eugeniuszu Iwanowie: „To *jedyny* profesor uniwersytetu, ileż nowych myśli, jakież nieoczekiwane i zdumiewające uwagi, obserwacje i rozmyślania”.

Diełanow odpowiedział, kiedy go zapytano, dlaczego Włodzimierz Sołowjow nie jest profesorem:

– Ma swoje *myśli*.

Starzec, sam pełen myśli i dowcipu, nie uważał, że są one potrzebne na katedrze uniwersyteckiej. Jeszcze bardziej zadziwiający jest fakt, że kolegium profesorskie, które „samo się uzupełnia”, czyni wszystkie możliwe wysiłki, żeby do ich środowiska nie trafił człowiek z *myślą*, z twórczością, z wyobraźnią, ze sprytem.

Iwanow i Szperk nie mogli nawet ukończyć rosyjskiego uniwersytetu.

Profesor powinien być trajkotką. To jego styl. Doczekają się, kiedy społeczeństwo zacznie mówić:

– Kto jest mądry – ten nie zostanie profesorem. Byłby czarną wroną wśród pawów rozkładających swe ogony.

\* \* \*

572. Było coś głuchego, ślepego, nawet bez nazwy...

Wszyscy czuli – nie ma *sprawy*. Nie ma gdzie użyć siły, dobra, porywu.

Teraz wszystko czeka na pracę i zastosowanie siły.

Oto „my” do 1905-6 r. i po nim. Coś wyrwało się z zastygłego błota, szarości, chorób i popłynęło wartkim potokiem.

(po rozmowie z Ge)

\* \* \*

573. Wszyscy w swoich utworach wyrażamy subiektywne przekonania. Ale – uogólniając i rozkazując. Cóż robić, gdy Darwin „subiektywnie odczuł”, że pochodzi od szympansa, to o tym napisał.

We Frankfurcie nad Menem po raz pierwszy zobaczyłem w ogrodzie zoologicznym szympansa. Rzeczywiście, zadziwiające stworzenie. Szympanś pomagał swojemu opiekunowi w „przygotowaniu stołu” (śniadanie), zmiatał okruszki, wycierał ceratę. Zupełnie jak człowiek!

Stałem w milczeniu i dziwiłem się.

Dla Darwina jest to wręcz honor, pochodzić od tak rozumnej małpy. Mógłby pochodzić od drobniejszej, od bardziej pozytywnej rasy.

(wczesnym rankiem)

\* \* \*

574. Nie należy zapominać, że Fonwizin bywał „na dworze” – *widywał osobiście* Cesarzową i „oświecicieli” wokół niej – być może, nawet *rozmawiał z nią osobiście*. To nadzwyczajna pozycja. On był tym, kim obecnie jest Ars. Ark. Kutuzow lub hrabia A. K. Tołstoj. Jego talent (geniusz?) jest niewątpliwy: ale czy jego *sytuacja* nie popchnęła go do patrzenia z *wysoka* na otaczającą jego majątek drobną szlachtę, obywateli, a nawet na życie gubernialne, na byt i na zwyczaje? Dlatego wyrazistość jego „Niedorostka” i „Brygadiera” jest raczej fałszywa w tonie, w oświetleniu, w rozumieniu.

„Niedorostki” głębokiej prowincji rosyjskiej nieśli plecaki w kampanii włoskiej Suworowa, z nimi pacyfikowali Polskę, a „brygadier” dowodził tymi wojskami. Jakie one były?

Czy wierzyć Suworowowi, czy też Fonwizinowi?

\* \* \*

575. Postęp techniczny jest konieczny, ale dla duszy nie jest on w ogóle konieczny.

Należy „doskonalić broń”, pasowane buty, piece, aby nie dymiły.

Ale z tego powodu dusza nie rozwija się. Dusza raczej nawet maleje.

Oto ta „gliniana misa”, bez której niedobrze się żyje i ze względu na którą tak często pomniejszamy, a nawet rozbijamy duszę.

\*

Walka między „postępowcami” i ludźmi „domowego światopoglądu” bardzo często jest walką o duszę lub o „obiad z kaparami”, w którym „kapary”, oczywiście, zwyciężają.

(myjąc ręce)

\* \* \*

576. Nie każdą myśl można zapisać, a jedynie taką, która jest muzykalna. I nikt nie powtórzy „Odosobnionego”.

\* \* \*

577. W każdym organie zmysłów, poza „ja *wiem*” (widzę, słyszę, wącham, dotykam), jest jeszcze – „ja *chcę*”. Narządy są nie tylko organami zmysłów, ale także – chcenia, żądzy apetytu. W każdym organie jest żądza świata, pragnienie świata; przez organy człowiek nie tylko wiąże się ze światem, ale przez organy on *wchodzi* w świat, staje się *pokrewny* światu. Przy pomocy organów on „zjada

świat”, jak i przez organy – „świat zjada człowieka”. Zjada – bowiem władczo wchodzi w niego...

Człowiek wchodzi w świat.

Ale także świat wchodzi w człowieka.

Te „drzwi” to – wzrok, smak, węch, dotyk, słuch.

(na odwrocie ulotki)

\* \* \*

578. S. H. bardzo łatwo może znaleźć przestępców, gdyż kiedy oni rozmawiają, wtedy on podsłuchuje – i to właśnie te rozmowy, które są mu potrzebne. Tak to i ja bym schwytał przestępcę.

(*Sherlock Holmes – pewne wydarzenie*)

A kiedy ogląda denata, to zawsze znajduje w palcach „zaciśnięty włos przestępcy”.

\* \* \*

579. Żydzi są zbyt starzy, zbyt kulturalni, żeby nie rozumieć, iż łaskawością osiągnie się więcej, niż siłą. A to, że są geniuszami w handlu, to dlatego, że Boga wezwali do rachunków (zawsze trzeba rozliczyć się co do grosza).

Zawsze oddają wszystko we właściwym czasie i „co do grosza” – i wszyscy dawali im nowe kredyty. Dla wszystkich są też bardzo mili – więc wszyscy pobiegli do nich po pomoc.

I przez wiek uprzejmości, łaskawości i „z Bogiem w rachunkach” – wszystkich zdobyli.

A kto oszukiwał – siedzi w więzieniu. A kto był w stosunku do wszystkich chamski, okrutny i odpychający – siedzi w szacie samotności.

(*nocą w łóżku, czytając list Żyda R-czko*)

\*

Przepis w prawie Mojżeszowym, który byłoby pożytecznie wprowadzić do „Kanonów Świętych Apostołów” i do „Księgi Sternika”: „Nie zatrzymuj do następnego dnia zapłaty, którą powinienes dać temu, który pracował dzisiaj wieczorem”.

\* \* \*

580. Pożegnałem się z Rcy. W korytarzu stała jego rodzina. Ciasno. A on mówi:

– Wszystko zgodnie z obrzędem.

– Co takiego? – pytam.

– Kiedy Murawiov („Podróż do Świętych Miejsc”) umierał, to przyjmował sakrament chorych. Leżał z zamkniętymi oczyma. Kiedy

powiedziano ostatecznie „Amen”, otworzył oczy i powiedział do kapłana oraz jego asysty:

„– Dziękuję. Wszystko zgodnie z obrzędem”. To znaczy, że przeczytano i odśpiewano bez żadnych opuszczeń i bez najmniejszego odejścia od formy.

Zamknął oczy i umarł.

Rcy zawarł w tym ironię, że tak głęboko wierzący człowiek miał aż tak słaby i w pewnym sensie lekkomyślny stosunek do śmierci, że w jej obliczu, przed Tą Wielką Chwilą, o niczym innym nie pomyślał i nic innego nie wspominał, jak tylko „wspaniałość liturgii Kościoła”. Ta śmierć była podobna do śmierci Woltera.

\* \* \*

581. Sens *Funduszu Literackiego* jest zrozumiały: „frakcja Czernyszewskiego”, „szczególny fundusz Dobrolubowa”. Wszystko to jest zrozumiałe dla każdego, poza „sferami”. A przecież od „sfer” oni także otrzymują tysiące. Cóż to takiego?

„– Ja szykuję nóż pod twoje czwarte żebro. Ale przedtem daj jednak rubelka na herbatę”. To Fiedźka Katorżnik z „Biesów”. Żeby tak na to odpowiedział Pieszehonow. Dlaczego Korolenko nie napisze o tym oskarżycielskiego artykułu? Nie, panowie, przestańcie mówić o swoich związkach z *idealizmem*.

(w wagonie)

\* \* \*

582. Kto nie lubi człowieka w jego radości – ten w ogóle go nie lubi.

\*

Jak sobie z tą myślą poradzi asceza?

Kto nie lubi radości człowieka – ten po prostu nie lubi człowieka.

\* \* \*

583. Wszyscy krytycy uznają *rozum* (raczej już „geniusz”, to znaczy coś „zupełnie nowego”, ale „mądrość” – jasną, kombinującą, rozważającą – to już *nie bardzo*), zupełnie nie wspominając, lub też odrzucając *serce*. Ale wtedy, jak przeszedł „Problem rodziny w Rosji” oraz „Zmierzch oświaty” – dwie wielkie zemsty za los kobiet i za los gimnazjalistów.

Jeszcze bardziej o szlachetności literatury świadczy ten fakt, że na temat „Problemu rodziny” nie ukazała się ani jedna recenzja, poza recenzją Wasyla Łazariewicza Razinkowa, o którą zresztą sam go poprosiłem. Wszyscy pisali o „Trejchmillerze”, a na *Problem rodziny w Rosji* nie zwrócił uwagi ani jeden literat.

\* \* \*

584. Czy widzieliście, państwo, wodza Komanczów w pustyni? Ja też nie widziałem, ale czytałem o nim u Coopera: na dzikim mustangu, nagi i brązowy, pędzi on – w nozdrza ma wbite pióra, na głowie ogon pawia, tatuaż sypie się z niego, jak tynk...

Ale nie bójcie się, współobywatele, nie lękajcie się zbytnio, gimnazjaliści: to wcale nie pędzi Napięty Łuk, a jedynie bardzo do niego podobny profesor prawa kanonicznego, na przykład Zaoziński: „kanony” wszystkich możliwych greckich soborów sypią się z niego, jak stary tynk, jest on pełen wojowniczości, a gdy odwraca głowę, to można zobaczyć sterczące z jego nosa „dodatkowe postanowienia (*novellae*) imperatora Aleksego Komnena”... Oto on, cały pełen zakazów, gróźb, nacisków i burzy... w ogóle nie zauważa Włodzimierza Karłowicza, a także Rozanowa, który podpowiada, żeby pod nogi mustanga rzucić decyzję Apostoła:

„A jeśli *przez wypełnienie prawa* (a tym samym wszelkich *kanonów*) ludzie usprawiedliwiają się przed Bogiem – to wtedy Chrystus *nie miał po co umierać*”.

A On umarł – i *nas usprawiedliwił*.

(*problem diakonis. 24 marca 1912 r.*)

\* \* \*

585. ...nie wierzcie, dziewczyny, wywoływanym wokół was rozmowom, gestom, maskom, szumom, mitom...

Wierzcie, że to, co *jest* – to *jest*, co *będzie* – to *będzie*, a co *było* – to *było*.

Wierzcie historii.

Wierzcie, że historii nie da się zakryć dwoma dłońmi, złożonywszy je „w trumienkę”, „w krzyżyk”, lub „w błaganie”.

Bądźcie nieubłagane.

\* \* \*

586. Tak, oczywiście, ja to rozumiem, że

Wyklęty powstań, ludu ziemi...

Ale dlaczego pańska żona ma karakułowe futro nie za 500-600 rubli, jak wszyscy, ale za 750 rubli i na dodatek „sama dobierała skórki”?

(*z życia*)

\* \* \*

587. Z prasą należy postępować tak: „Noście na swoich plecach”. Wtedy „żaden kierunek nie będzie obrażony” i zobaczą perspektywę kultury, a nie polityki.

Ta myśl zajmuje mnie od 1893 r., kiedy Berg usunął duży przypis (cała strona) mówiący właśnie o tym, ale ja nigdy nie zmieniłem moich poglądów. To – zbawienie duszy. Kiedyś rozlegnie się jako krzyk historii.

Prasa wstrząsa duszami. Jak dusza ma żyć, skoro ciągle coś z ubocza ją kruszy?

\*

Gdyby „zapora zamknęła rzeczkę” – wtedy nagle podniosłyby się wody. Powstałaby gładka tafla spokojnej wody.

Rozbłysłyby w niej gwiazdy i niebo.

Cała energia, jaką – też rozdrabniającą – autorzy wnoszą marność w gazety, w nikomu niepotrzebne „wstępniaki”, w zwiędłe felietony, w żarciki, grymasy, „nie zapominając o kronice” – czyj pies został rozjechany (już Alcybiades, który odrąbał ogon swojemu ulubionemu psu, był pierwszym „gazeciarem”, który zrobił „bum” w Atenach)...

Wszyscy ludzie, tacy teraz nieszczęśliwi, odzyskaliby spokój, szczęście i godność.

Ilość książek *od razu* wzrosłaby dziesięciokrotnie...

Rozwinęłyby się wszystkie dziedziny wiedzy...

Ludzie zaczęliby lepiej pisać. Pojawiłby się styl.

Ilość wypraw naukowych, ogólnie energii duchowej, wzrosłaby dziesięciokrotnie. Pojawiłyby się słowniki. Encyklopedie. I wspaniała bibliografia, „babcia literatury”.

Niech to się stanie! Niech się stanie!

\*

A dla czytelnika – nagroda: Rano niech się weźmie za pracę świeży, nierozdrażniony i nie smutny.

Jak dotychczas znudzony brał się za robotę, wydając rano świeżą duszę na zakurzenie, na zabrudzenie, na zmęczenie („czytanie gazet przy kawie”), zmęczywszy oczy i uwagę.

\*

Tak: obecnie wszyscy bierzemy się za robotę bez żadnej uwagi. Czy nie przypomina to alkoholizmu?

.....  
.....  
.....  
.....  
.....

„Drukowana” wódka. Przeklęta wódka. Przyszło sto gadów i „napaskudziło” w moim mózgu.

\* \* \*

588. „Taka książka w ogóle nie powinna *być*” (Zinaida Gippius o „Odosobnionym”). Z jednej strony – tak, czułem to, gdy oddawałem do druku. „Jakbym się wysilał i nie mógł przełknąć” (odczucie przy oddawaniu do druku). Ale z drugiej strony, równie prawdziwe, ta książka *musiała być* i nawet mignęła mi taka myśl, że właściwie wszystkie książki powinny być takie, to znaczy „bez przycziesania” i bez „zakładania kalesonów”. W istocie, „w kalesonach” (alegorycznie) wszyscy ludzie nie są interesujący.

\* \* \*

589. Kiedy minie trzysta lat, wtedy jakiś „profesor Preobrażenski” z Akademii Teologicznej w Samarkandzie napisze pracę „O niektórych myślach Rozanowa na temat Starego Testamentu”.

Skąd takie skostnienie?

\*

Wszystkie prace teologiczne przypominają mi „De civitate veterum Tarentinorum”, którą jako student kupiłem u bukinisty.

\* \* \*

590. Jak się wydaje (w historię? Planetę?) wlany jest określony % trywialności, który nie podlega zmniejszeniu. Przemienie trywialność demokratyczna i nastanie arystokratyczna. O, jakże ona jest przerażająca, jeszcze bardziej przerażająca!! Przemienie trywialność pozytywistyczna i nastanie chrześcijańska. O, jakże ona jest potworna!!! Ci kalecy, ci ubodzy z oczyma hien... O!O!O!O!... Zapłaczą „po chrześcijańsku”. Oj!Oj!Oj!Oj!

(*idąc*)

\* \* \*

591. Gdzieś daleko, daleko pojawia się określenie: – Tak, on nie mógł być, oczywiście, Diegajewem, ale „drogi jego były niezbadane” – i Sudiejkinem też nie bardzo mógł być”...

W każdym bądź razie nikt w literaturze nie jest takim „naturalnym Sudiejkinem”, ze straszną ambicją, żądzą zdobycia władzy, wspaniałym talentem i „doskonałym miejscem pracy”.

(*M. Michajłowski*)

\* \* \*

592. „Powstań, Śpiący”... Ja bym dał inny tytuł: „Obudź się, Niegodziwy”.  
(*tytuł czasopisma Jony Barichinczewa w 1905 r.*)

\* \* \*

593. – Byron był wolny – czyż więc ja nie będę wolnym?! – krzyczy Arcybaszew.

– Przecież moje teksty są drukowane takimi samymi ołowianymi czcionkami.

Taka, cała rzecz w ołowianych czcionkach. Nie wywalczono wolności duszy, rozumu, ale ołowiu.

Przecież może przyjść Ktoś, kto powie:

– Ołowiane kule. Nawet z Gutenbergowską literą N(apoleon)... – sam widziałem to ogromne N na francuskich armatach, stojących wokół arsenału w Moskwie.

(czerwiec)

\* \* \*

594. Dopóki nie poddasz się szkole i pokornie jej pozwolisz, aby przekształciła cię w nikomu i nigdzie niepotrzebnego człowieka, dopóty nigdzie cię nie puszczą, nigdzie nie przyjmą, nie dadzą żadnego etatu i nie dopuszczą do żadnej pracy.

(historia szkolnictwa)

\* \* \*

595. Twarz nie jest piękna, jeśli równocześnie nie ma w niej „czegoś brzydkiego”. Taki jest los ziemi, w przeciwieństwie do losu nieba – „wszyscy mamy coś nieprzyjemnego”. Tam – wiosna, tam – pryszczyk, tu – *podpuchły gruczoły łojowe*. Doskonałość – na niebiosach i w marmurze. Na niebiosach jest ona nieskazitelna, gdyż jest *prawdziwa*, a w marmurze już budzi wątpliwości i przynajmniej mnie się nie podoba. Poruszając się „tutaj” zauważę, że chociaż tytuły odtwarzane przeze mnie „z przeżyć” są gorsze (nieładne) od tych, jakie dawał (w swoich utworach) P. P. Piercow niektórym swoim artykułom, ale one są *bardziej naturalne w stosunku do tego nastroju ducha*, w jakim były pisane. Te zawile *tytuły* – poplątane – wyraziły ów „splątany”, smutny stan umysłu i duszy, z jakim powtórnie wystąpiłem w literaturze w 1899 r., – po porażce mojej książki „O rozumieniu” (1886 r.). Tytuły zawsze są organiczną częścią artykułu. To – temat, który sobie zapisuje autor, zaczynając pisać artykuł. Jeśli czytelnikowi wydaje się, że tytuł jest nieudany lub niedokładny, to jest to typowe, gdyż autor traci temat w trakcie pisania artykułu. Wszystko to są niedoskonałości, ale nie powinny one zniknąć.

(obmyślając publikację swoich artykułów,  
że może się wydać niewłaściwym, iż w drugim wydaniu  
przywróciłem swoje mniej „wspaniałe” tytuły,  
ale one są potrzebne i charakterystyczne)

\* \* \*

596. W Rosji jest *Polizien-Revolution*. Jakże więc trafili do niej studenci?  
A teraz, biedni, biegają i biegają. Jak karaluszki w gorącym garnku.

\* \* \*

597. Ten klecha na propagowaniu chrześcijańskich robotników zarabiał po kilka dziesiątków tysięcy rubli rocznie. Jego mieszkanie to całe piętro (dla bezdzietnej rodziny i bez członków rodziny) – co kosztowało 2-3 tysiące rocznie. Całe mieszkanie było zastawione roślinami tropikalnymi, a ściany zawieszono drogimi dywanami. Wszędzie, na stołach, na ścianach „jego portrety” – *en face*, w  $\frac{3}{4}$ , z profilu... z obliczem „natchnionym” i oczyma wpatrzonymi „w dal” i „w górę”... Zupełnie, „jak On” („Nauczyciel” mój i nasz)... A zresztą on sam chodził w nędznej sutannie, surowymi, dużymi krokami, i nie flirtował. Wydał mi się prawie „Jean Chrisostome”, jak go opisał Aleksy Tołstoj:

W ziemskich rozkoszach nie ma udziału  
Jego wzrok w przyszłość spogląda...

Czy jednak można być taką cielęciną, żeby „Opowieść o kapitanie Kopiejkinie” uznać za „Historię Napoleona Bonaparte”?

(z życia)

\* \* \*

598. Cóż by to było za Państwo „z historycznym powołaniem”, gdyby nie mogło sobie dać rady z jakąś rewolucijką? Jak wtedy mogłoby „walczyć z Teutonami”, gdyby nie dało sobie rady z gwarem ulicy, szumem społeczeństwa i nerwami „wyższych kursów żeńskich”?

Więc państwo przekształciło rewolucję w *Polizien-Revolution*, „w swoje zjawisko”, włożyło do kieszeni i wyrzuciło za płot, jak syfilityczne dziecko.

To wszystko. Cała historia rewolucji od Hercena do „zbrojnego powstania moskiewskiego”, w którym było więcej policjantów, niż rewolucjonistów, policjanci przebierali się w bluzy robotnicze, a ze swej strony rewolucjoniści przebierali się w mundury policyjne (wysadzenie daczy Stołypina, zabójstwo Sypiagina).

„Przebrana rewolucja”: i skończyła się. *Jedynie kończąc rewolucję, szczerze się z nią pożegnawszy* – można pomyśleć o postępie, o zdrowiu, o pracy „w przyszłości”.

Ta „glista” wszystko zniszczyła, wszystko pożarła w kiszki Rosji. Trzeba więc było ją zabić. Po prostu zabić.

„Wierzę w Imperatora Autokratora”: bez niego nie da się zrobić ani jednego kroku „naprzód”.

(w czasie innych zajęć)

\* \* \*

599. Kiedy Nadieżda Romanowna umierała, to bez przerwy prosiła męża, żeby nie stawiał jej innego pomnika, jak tylko drewniany krzyż. *Tylko krzyż i tylko – z drewna*. Oto – chrześcijanka.

Nie tylko – „prawie nic” (drewno), ale jeszcze i – *czasowe* (zgnije).

A potem – nic. Straszne milczenie. Niebyt. W tym wyraża się chrześcijaństwo – „ja *nigdy nie żyłam dla ziemi*”.

W tym wyraża się chrześcijańskie serce. „Ja nie tylko nie chcę pracować dla ziemi, ale także nie chcę, aby *ziemia o mnie pamiętała*”. Straszne... Ale zarazem wspaniałe i wielkie...

Nadieżda Romanowna była piękna. Niezwykle piękna. Było w niej coś transcendentnego.

\* \* \*

600. ....

– Być może, wejdziemy do tramwaju, zdaje się, że on zaraz ruszy...

– Cha! Cha! Cha! Cha! Cha! Cha! Cha! Cha!

– Tramwaj zawiezie nas do ulicy Znamienskiej...

– Cha! Cha! Cha! Cha! Cha! Cha! Cha! Cha! Cha! Cha! Cha! Cha! Cha!

Cha! Cha! Cha! Cha!

(doświadczenia)

\* \* \*

601. Żydów dlatego biją, że oni są – *baby*; jak chłopcy rosyjscy biją swoje *baby*. Żydzi – to nie *oni*, a – *one*. Ich łapserdaki są babskimi *kapotami*, a na takiego sama pięść się podnosi. Powiedziano – „będziesz *bity*”, „będziesz *wysztydzany*”. To nie ekonomia, a – mistyka; i Żydzi prawie ukrywają, że się na to *złoszczą*.

(po skończeniu korekty „*Odosobnionych*”)

\* \* \*

602. „Nierząd” to słowo, które nie ma odpowiadającego sobie przedmiotu. Oznacza ono grupę zjawisk, których ludzkość nie mogła zrozumieć. W głupim czasie przyśnił się jej głupi sen, że wszystkie te zjawiska są w swej istocie podobne do grzybów, wodorostów i korzeni w przyrodzie – są „głupie”, gdyż są „ukrywane” (myśl młodzieńca Sołowjowa w „*Usprawiedliwieniu dobra*”); odniosło więc je wszystkie do jednego określenia, bez żadnego zastanawiania się i zrozumienia.

(*Ejkunden-Berlin*, w wagonie)

\* \* \*

603. Trzy razy w życiu obserwowałem (z daleka, a nie z bliska) lub słyszałem opowieść o matkach, które stręczą swoje zamężne córki. Dosłownie

one rzucają na nie stado k..., jak s... Nigdy nie „przywiążą do jednego”, nie starają się urządzić „przytulności” choćby na bazie zdrady.

Jakby to było jakieś „pole” i „myszkowanie”. Zdziwiałe.

Jeszcze bardziej zdumiewający jest fakt, że takie właśnie żony głęboko kochają ich mężowie, wszystko o nich wiedząc. *Płaczą* i kochają. Kochają do *ubóstwienia*. A żony, jak i teściowe, żywią prawie wstręt do nieszczęsnego męża. To jeszcze większa metafizyka. Taką była, między innymi, słynna Faustyna *senior*, żona Antoninusa Piusa. Ona zadawała się nawet z ludźmi z nizin społecznych. A mąż po jej śmierci oddał jej boską cześć (*divinatio*) i ku czci jej imienia, honoru i pobożności zbudował – świątynię.

Na monetach jej twarz jest władcza i pełna pychy. Na skroniach nosi koronę z maleńkich pereł (kłębek). Jak się zdaje, była interesująca, przynajmniej „postawna”. Twarz Antoninusa Piusa – łagodna, „zamyślona”, wyraźnie kobieca.

On jest protoplastą cnót i filozofii.

Znałem dwóch słowianofilów, którzy też doświadczyli tego losu. Komiczne, ale jeden z nich prowadził starszego syna (oczywiście, nie swojego) przed pomnik Minina i Pożarskiego, gdzie wyjaśniał mu „historię Rosji”.

(na przedstawieniu postępowego utworu na ten temat)

\* \* \*

604. Wszystko to ciągnie się, jak guma, ale nie wywołuje żadnego zainteresowania. Jedynie obserwujesz ogólne prawa (prostyutki).

.....  
.....  
.....

– My jesteśmy jezdnią. Jakich napisów poszukujesz na niej?

(o prostytucji; jadę do Kijowa, † Stołypina)

\* \* \*

605. Nie bacząc na ważność prostytucji, to jednak w jakimś sensie, dla mnie niejasnym, one rzeczywiście są „zagubionymi stworzeniami”, jakby „wygasłymi duszami”. I rzeczywiście są – „niebytem”, „nie istnieją”, a tylko się zdaje, że one – „są”.

(w wagonie, jadę do Kijowa)

\* \* \*

606. Głębokie myśli na temat dziewictwa usłyszałem od A. S. Suworina i A. W. Kartaszowa.

Pierwszy z nich powiedział:

– Zauważyłem, że gdy dziewczyna traci dziewictwo (bez małżeństwa), to zarazem traci wszystko. Ona staje się *zła*.

Oczywiście, on w żadnym wypadku nie miał na uwadze potocznych opinii moralnych i przekazał obserwację „co bywa”, „co się dzieje”, „co *dalej* wynika”.

Kartaszow powiedział, kiedy – w ich obecności – ja mówiłem o dwóch paniach typu wiecznych dziewic (*virgo aeterna*):

– Przecież one nigdy nie wyjdą za mąż. Nie można zrozumieć, dlaczego *takie kobiety* nie oddadzą swego dziewictwa, komu popadnie – obojętnie, kto je weźmie?

Miałem, co do tego, wątpliwości filozoficzne.

On odpowiedział:

– One (jakby się zaciął, wymyślając formułę) – *karmią się swoim dziewictwem*. Ono jest nienaruszone i, jak się zdaje, nie zostanie naruszone. Nie można jednak powiedzieć, że *jest im ono niepotrzebne*: ono jest im nie tylko potrzebne, ale i konieczne. One *nim żyją*, właśnie – *jego* integralnością. To jest bogactwo, które nie można stracić, które je *zabezpiecza*. Co zabezpiecza? Ich duszę, ich talent (one były utalentowane), ich spokój i świeżość.

– *Jest* dziewictwo – i one pracują, wystawiają swoje prace (artystki), przyjaźnią się, zawierają znajomości, czytają, rozmyślają.

– *Nie będzie* dziewictwa – wszystko się rozpadnie. Tak więc, chociaż ich powołaniem jest dziewictwo i żaden mężczyzna z niego nie będzie korzystał, to jednak nie oznacza, że *ich dziewiczność jest niczym – jest rzeczą nieistotną dla świata*. Dla „świata” ono nie istnieje, podczas gdy ich *talenty* istnieją dla świata, ale jako cielesna nienaruszalność i integralność – ono istnieje tylko *dla nich samych*.

Zdumiewająco głęboka myśl. Kilka miesięcy wcześniej zapytałem jedną z tych dziewczyn, co ona zrobiłaby z mężczyzną, gdyby on „z głodu” zabrał to, co jest u niej zbędne (jak mi się wydawało):

– Wysłałabym na Syberię – odpowiedziała zdecydowanie i po męsku.

– Nie okazałaby pani miłosierdzia?

– Nie okazałabym.

– Ale przecież jest to pani niepotrzebne (*aeterna virgo*).

Ona milczała.

Opinia Kartaszowa, można tak powiedzieć, nappełniła jej milczenie treścią. Ona nie zdążyła sformułować swojej opinii, ale postąpiłaby zgodnie z odczuciem, które jest nie do przewyciężenia i jest słuszne.

Oto źródło, jak się wydaje, *niepojętych* i okrutnych kar dla gwałcicieli.

„*Poza małżeństwem* – akt płciowy jest zgubą. Dla społeczeństwa jest to sprawa obojętna, ale ona *gubi podmiot, osobę*”.

Wtedy, oczywiście, – kara! Jak za zabójstwo lub coś bliskiego zabójstwu!!! Poza szczególnymi przypadkami, o których trzeba by długo mówić: ale właśnie w naszej cywilizacji, trzeba brać pod uwagę owe „poza”...

\* \* \*

Poza wypadkiem *aeterna virginis*, który jest niezwykle rzadki i sam siebie broni, w imię czego moglibyśmy żądać od dziewczyny, od wszystkich dziewczyn – zachowania ich dziewictwa?

„My” – to znaczy państwo, religia, moralność, stara rodzina (rodzice, bracia, „Walentyń” [Faust]).

Dziewczyna zawsze może odpowiedzieć, a nawet gdy będzie milczeć – będzie pełna słów:

– Proszę *umotywować* moje dziewictwo, a ja je zachowam.

Ale nie ma jedyne go motywu – *małżeństwa*.

Nie ma małżeństwa – rozpada się także idea *dziewictwa*.

Dziewictwo zachowuje się dla męża: każda dziewczyna jest zobowiązana je chronić – jeśli *każda dziewczyna ma zabezpieczone zamążpójście*. Przez co? Przez kogo? *Status quo* społeczeństwa, prawo, religia, rodzice. „To nie moja sprawa, ja się do tego nie mieszam, ja nie jestem prawniczką – może odpowiedzieć dziewczyna – *Daj mi męża*. To *ja wiem*, i – *tylko to*.”

Dziewictwo jest rzeczą, kiedy jest (będzie) mąż.

A kiedy mąż „będzie lub nie”, „wyjdę za mąż lub nie”, „liczba parzystaliczba nieparzysta” i „ile płatków ma bez”, to i dziewictwo też „wyjdzie” lub „nie”, przy „parzystej” – wyjdzie, a jeśli „nieparzysta” – to i nie „wyjdzie”: a dziewczyna po prostu wyjdzie za furtkę i rzuci je na wiatr, gdyż cała cywilizacja rzuciła „na wiatr” jej *zamążpójście*.

Tu smyczek i struna: struna śpiewa tę arię, którą prowadzi smyczek. Smyczek – to zamążpójście, aktywna strona, „gospodarz całej sprawy”. A jeśli „gospodarz” jest pijany lub głupi, to niech nie schodzi z górki, gdyż wszystkie dziewczyny uciekną mu „spod pazuchy”.

*W naszych czasach* dziewictwo jest potencjalnie wolne, ale dzisiaj-jutro stanie się realnie wolne. Dziewczyny wyrwą się i uciekną. Uciekną niepowstrzymane, krzycząc tak samo, jak córki Lota: „Nie ma mężczyzny, który by przyszedł do nas *na sposób wszystkim właściwy*. Chodź więc, upoimy ojca naszego winem i położymy się z nim, a tak będziemy miały potomstwo z ojca naszego, – *ja*, a potem – *ty*”.

To powiedziała starsza i mądrzejsza do młodszej, której pozostało jedynie posłuchać i wypełnić. Z tych dziewic zrodziły się dwa narody – Moabici i Ammonici. Dlaczego tak się stało? Bóg nie chciał, z jednej strony, aby się to *powtarzało*, a zdecydowane dziewczyny powtórzyłyby swój czyn, gdyby pozostały „puste”, bez poczęcia. Z drugiej jednak strony, zachował ich potomstwo na wieki wieków, rozmnażając je w *cały naród* – co w końcu nie zdarza się z każdą brzemienną dziewczyną. – Bóg czasów biblijnych nie znał innej nagrody dla miłego sobie człowieka, jak *rozmnożenie jego potomstwa*, a tym samym wyraźnie wskazał, że takie zdecydowane, jak w wypadku córek Lota, rozmnożenie się, pełne przekonania, odważne i śmiałe, nie pełzające, a

jakby jadące „wierzchem na koniu, w łąkach i szyszaku” – jest Jemu przyjemne. Rzeczywiście, jedynie *ono* zabezpiecza rozkwit ziemi i spełnienie woli Bożej.

(skończyłem korektę „*Odosobnionych*”)

\* \* \*

607. ....„dawajcie książkom wysokie ceny”. Jest to rozmyślne: książka – to nie taniocza, nie nierząd, nie lura, która kusi „zaniedbanego człowieka”. Nie panna z cyrku, która kusi swoją tanioczą.

Książkę trzeba szanować, a pierwszą tego oznaką jest gotowość zapłacenia za nią wysokiej ceny.

\* \* \*

Następnie, trzeba powiedzieć: moje książki – to lekarstwo, a lekarstwo jest droższe od wódki. Przygotowanie też jest bardziej złożone, a i użyte substancje (dusza, mózg) są cenniejsze.

(na spacerze w lesie)

\* \* \*

608. Uczonych należy wytargać za uszy. Mądrzy spośród nich pochwalą za to, a pozostali, jeśli nawet się rozsierdzą, to nie należy na to zwracać uwagi.

(na spacerze w lesie)

\* \* \*

609. A jednak zadziwiający jest brak przenikliwości naszych krytyków... Jestem dobry, a przynajmniej całkowicie dobrotliwy. Nawet osoby, które przyczyniły mi niezliczoną ilość cierpień i poniżeń – Afonka i Tercjusz – nie budzą we mnie specjalnej złości, a wyłącznie śmieszność i „nie pragnę nawet popatrzeć”. Nigdy nie pragnąłem ich cierpień. Struwe – no, tak, chciałbym go uderzyć, ale dobrodusznie, w plecy. Boże, gdybym miał go „uderzyć”, to bym się rozplakał i powiedział: „Uderz mnie dwa razy silniej”. W ten sposób *zemsta* nigdy nie przychodziła mi do głowy. Przychodziła jedynie w stosunku do urzędów, państwa, Kościoła. Ale to nie są – osoby, to nie jest dusza.

W ten sposób moją *istotą* jest dobroć – najzwyczajniejsza, bez „dwuznaczności”. Cierpienie żadnego człowieka nigdy nie było dla mnie *radością* – a przecież w tym cała rzecz, w tym istota „demonizmu”. Jestem go zupełnie pozbawiony – aż do *nie wyobrażania go sobie u kogokolwiek*. Wydaje mi się, że wszystko to zostało wymyślone, przede wszystkim przez szlachciców, jak Byron – i przez *młodość*. „Były bajki o duszkach, a potem wymyślili coś bardziej interesującego – demona”.

Smutny i tak dalej

.....

Tymczasem wszystkie artykuły na mój temat zaczynają się od określeń: „*demonizm* Rozanowa”. Szukają go, szukają. Czytam i po prostu nic nie rozumiem. „To – nie ja”. Wrażenie do tego stopnia *obce*, że wydaje mi się dziwnym, iż stoi przy nim moje nazwisko. Piszą o „krowie”, że ona „skacze”, a nawet w tajemnicy „tańczy”, a przede wszystkim – ma „kły” i „po nocach jej oczy świecą zielonym blaskiem”. To bardzo dziwne i niedorzeczne, ale takie wrażenie wynoszę z lektury wszystkiego, co napisali o mnie Mereżkowski, Wołoski, Zakrzewski, Kuglarski (tylko u Czukowskiego jest 8 wierszy osobistych i prawdziwych – o ciśnieniu krwi, o temperaturze, o wielości serc). Z Nietzschem... żadnego podobieństwa! Z Leontiewem – żadnego podobieństwa. Ja tylko go lubię. Ale podobieństwo i „lubieć” – to różne pojęcia.

Jestem bardzo przeciętnym człowiekiem; proszę pozwolić, że podam swój pełny tytuł: „Radca kolegialny Wasyl Wasiljewicz Rozanow, piszący utwory”.

A teraz, o tych „utworach”... Tak, wiele spraw przyszło mi do głowy, które wcześniej *nikomu* nie przychodziły, w tym także Nietzschemu i Leontiewowi. Ze względu na złożoność i ilość myśli (punktów widzenia, deseń tkanki myślowej) uważam się za *pierwszego*. Niekiedy mi się wydaje, że zrozumiałem *całą historię* tak, jakbym „trzymał ją w ręku”, jakbym *sam tworzył* historię – z takim samym uczuciem pokrewieństwa i całkowitego zrozumienia. W tym wypadku decydowała moja „sytuacja” („przyjaciół” i historia z nim), a więc przychodziły odpowiednie *myśli*, a to – nie *ja sam*. Ja jestem dobry i mały (*parvus*): a jeśli „myśli” są rzeczywiście wielkie, to czyż chłopiec nie „odkryje słońca” i „gwiazd”, całych „niebios” i to, że „jabłko spada” (odkrycie Newtona), a nawet to, co trudniejsze i głębsze – pierwszą modlitwę. To ja jestem takim „chłopcem, któremu nikt nie utarł nosa” – „wszystko odkryłem”. To jest moja sytuacja, ale nie – *ja*. Z tego powodu uważam, że jestem „w Bogu”... Mam głębokie przekonanie: Bóg *dlatego* skierował mnie (dosłownie wzięwszy za rękę), *abym* spotkał się z przyjacielem, *abym* nieskończenie naiwnym i dobrym wzrokiem *zobaczył* „morze zła i zguby”, a przecież – *ukryte* „przed mądrymi ziemi”, o czym nigdy nie mieli nawet najmniejszego pojęcia.

.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....

Wtedy żyłem porzucony, opuszczony – *bez mojej* winy. Przyszedł człowiek i zrobił świństwo.

Nagle spotykam, przy śmierci trzeciego (przyjaciela), łzy... Zdziwiłem się... „Czym są łzy?” „Ja nigdy nie płaczę”. „Nie rozumiem, nie czuję”.

Cały okamieniałem w mojej złości i opuszczeniu, i marnych „kartach”.

Płacz – przy grobie kogoś *trzeciego* – był dla mnie jak jabłko dla Newtona. „Tak więc, można współczuć, płakać”... Zdziwiony, porażony („moment Newtona”), zacząłem wnikać, przysłuchiwać się, patrzeć.

.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....

Pewnego razu stałem w cerkwi z Tanią, która miała wtedy trzy lata.

Nabożeństwa nie było, ale cerkwi nigdy nie zamykano. Było to w Petersburgu, na stronie Petersburskiej. Szczególnie – cicho, szczególnie – sam. Lubilem chodzić do cerkwi z Tanią, która była chudziutka i pełna gracji, baliśmy się, że zachoruje na zapalenie opon mózgowych, jak pierwsze dziecko i właściwie nie wierzyliśmy, że „wyżyje”. Jest cicho-cicho... Pięknie... Nagle w tę ciszę i spokój kapnęła jakaś kropka, jakby jakiś głos wyszeptał:

„...wy tutaj – jesteście *obcy*. *Po co* tutaj przyszlście? Do *kogo*? Nikt was *nie oczekiwał*. Nie myślcie sobie, że „tak należy”, że przychodzicie „we dwójkę” jako „ojciec i córka”. Jesteście – „smutasy”, ciągnie od was „smutkiem”.

.....  
.....  
.....  
.....

Gdy usłyszałem ten głos, być może mój własny, ale *po raz pierwszy wypowiadający tę myśl*, bez wstępu i przygotowania, jako „nieoczekiwane”, „nagle”, „skądś” – to wyszedłem z cerkwi, nagle obłany jasnością i dumą oraz *jako zwycięzca*. Zwycięzca tego, czego nikt nie zwycięża – nawet tego, *kogo nikt nie zwyciężał*.

- Pójdźmy, Taniu, stąd...
- Pora do domu?
- Tak... pora do domu.

\* \* \*

610. „Czyżby tak miało się skończyć jego pełne działań życie, całkowicie poświęcone dobru ludzkości?”

„Nie mógł uwierzyć, że Opatrzność zgotowała mu tak straszny koniec”.

„Wspomniał Harry’ego Teksona, wspominał wiele wypadków, kiedy ratował się przed straszną śmiercią tego wiele obiecującego, drogiego mu młodzieńca...”.

(„*Hrabina-Przestępczyni*”)

Tak rozmyślał przed śmiercią Sherlock Holmes, wisząc w wędzarni pod sufitem, wśród szynek (*tu podniósł go na bloczku bandyta, uprzednio ogłuszywszy ciosem pałki*), i czekając na bliską już chwilę, kiedy wpuszczony zostanie dym i on spłonie na równi z tymi szynkami.

Wydaje mi się, że Sherlock Holmes – to samo, co „Straszne przygody Amadisa z Galii”, którymi zaczytywał się, według świadectwa Cervantesa, bohater z Manczy – i którymi, bez wątpienia, w tajemnicy zachwycał się sam Cervantes. Rzecz w tym, że nieznaną autor broszur o Holmesie (48 stron każda, cena 7 kopiejek) – prawdopodobnie jest usuniętym ze szkoły za brak postępów w nauce i szaleństwa gimnazjalistą z V-VI klasy – znalazł taką możliwość wykorzystania swoich sił, wyraził skruchę z powodu swoich gimnazjalnych wad i zaczął pisać swoje książeczki, ciągle z tym samym patosem umiłowania cnoty i niechęci do przestępstwa. Jego książeczki zawsze są moralne, nie są cyniczne i zdecydowanie pozytywne wśród mnóstwa jakoby „literacko-politycznych” gazet i beletrystyki.

\*

W tych książkach są interesujące i miłe szczegóły. W jednej z nich jest mowa o „najlepszym złodzieju we Włoszech”. Autor, oczywiście, przyniósł rękopis do wydawcy: ale wydawca uznał, że „król złodziei” nie jest zbyt interesującym tytułem dla sprzedaży, przekreślił ten tytuł i napisał swój tytuł (wydawcy): „*Królowa złodziei*”. Czytam-czytam i czekam, kiedy pojawi się *królowa złodziei*. Okazuje się, że w całej książeczce takowej nie ma: opowieść dotyczy wyłącznie dżentelmena-złodzieja.

\*

Są też fragmenty wzruszające, które ukazują ducha tych książeczek:

„Na chwilę Sherlock Holmes zapomniał o wszystkim na świecie, ze względu na niezwykle niebezpieczną sytuację, w jakiej znalazł się jego ukochany uczeń. Podniósł Harry’ego i zaniósł na taras, ale okno, które prowadziło do pokojów, było już zamknięte.

.....  
.....

– Kim jest ten zraniony młody człowiek?

– To szlachetny i dobry młody człowiek, który pana nie przypomina, milordzie”.

(„*Tylko jedna kropla atramentu*”)

I jeszcze:

„– Czy pan rzeczywiście jest szczęśliwy i zadowolony ze swego powołania?

– Tak szczęśliwy, tak zadowolony, jak tylko może być człowiek. Odkryć prawdę, chronić prawo i prawa – to wielka sprawa, wielkie powołanie.

– Piję za pańskie zdrowie... Pan jest pocieszycielem nieszczęśliwych, obrońcą uciśnionych, postrachem przestępców”.

(„*Jedna kropla atramentu*”, zakończenie)

Czytając i wpatrując się myślowo w stosunki Sherlocka i Harry'ego z punktu widzenia „ludzi poświaty księżycowej” nie sposób nie zauważyć, że zostały one tak przedstawione przez autora, iż nawet tego nie zauważając oni obaj są w sobie zakochani: Harry w Holmesie – jak w starszego swojego męża, zachwycając się jego umysłem, energią, doświadczeniem, dojrzałością. On zawsze biegnie obok Holmesa, jak obok potężnego byka biegnie młoda jałówka, z absolutnym zaufaniem, z absolutnym zakochaniem. Holmes natomiast patrzy na niego jak na ukochanego syna – z pewnym odcieniem – „syn-młodzieniec” jest bardzo podobny do dziewczyny. Nie można sobie wyobrazić ich obu jako żonatych: Harry jest w istocie – poświaty księżycowej, i Holmes – w pełni taki sam:

W ziemskich uciechach nie ma udziału,  
Jego wzrok spogląda w przyszłość.

Zadowolenie, smaczne posiłki, rozkoszne szaty – są im obce. Niezauważalnie – oni stają się „mnichami z dobrym zachowaniem” i mają tylko jeden patos: wykorzeń przestępców z oblicza ziemi. To – Tezeusz, „oczyszczający ze zbójców drogę między Argos i Atenami” i wyzwalający ludzkość ze strachu przed zbójcami i przestępcami. Jest godne uwagi, że przestępstwa, z którymi walczą Sherlock i Harry – są szczególnie wstrętne. To nie są przestępstwa popełnione z konieczności lub sytuacji, ale przestępstwa autentycznej nikczemności duszy, dokonywane przez wicehrabiów, lordów, uczonych medyków, bogaczy lub zdemoralizowane kobiety. Wszędzie wyczuwa się chęć popełnienia przestępstwa, z którym walczy chęć cnoty w młodzieńcu i mężczyźnie, rycerzu i giermku. Kiedy „z nudów” zacząłem czytać te broszurki – byłem ogromnie wzruszony. Po raz pierwszy w moim umyśle zarysowało się ludzkie

## CRIMEN

Ono – *jest, jest, jest!!!...*

Jest jako szczególna i samodzielna zasada świata, jako pierwsza litera szczególnego alfabetu, którym nie są napisane „nasze książki”, natomiast książki świata przestępczego nie są napisane „w naszym języku”.

Pamiętam, że chodziłem i ciągle myślałem: *Crimen! Crimen! Crimen!*

„Nigdy nie przychodziło mi to do głowy”...

Po raz pierwszy zrozumiałem, że *sąd* jest czymś koniecznym i ważnym. Wcześniej myślałem, że ludzie sami „ubierają się” w łańcuchy i robią jakieś głupstwa, które nie przypominają czynów innych ludzi, a to wszystko interesująco jest obserwować jedynie w sensie ludzkich profesji.

Nie.

Widzę, że – trzeba.

Czyn.

\* \* \*

611. Tylko z człowiekiem tak się dzieje, że zakwita, ale nie pozwala się, aby wydał owoc.

*(dziewczyna jest „ukształtowana” w wieku 13-14 lat, ale „małżeństwo” jest odłożone do 20 lat, lub dłużej)*

\* \* \*

612. ...przecież misteria eleuzyjskie są dokonywane również obecnie. Kiedy jednak ludzie je sprawują, to teraz już nie wiedzą, że są to – misteria.

\* \* \*

613. ...to przecież oczywiste, że socjaldemokracja nikomu nie jest potrzebna, poza departamentem policji państwowej.

Bez niej ten departament nie miałby nic do roboty, jak nie ma wędki i połowu bez „przynęty”. Socjaldemokracja jako doktryna jest – „przynętą” na haczyku. A departament policji łowi „żywe stworzenia” na tę właśnie przynętę.

\*

Z tego punktu widzenia – a w jego słuszność nie można wątpić – „Oteczestwiennyje Zapiski”, „Russkoje Bogactwo”, „Dielo”, Michajłowski, Szczedrin byli w „sieci” rządu i służyli jego najbardziej jadowitemu departamentowi. Wszystko dokonało się przez „ominięcie” i Szczedrin-Michajłowski współpracowali z III departamentem.

Ale wyszło „wszystko zbyt dobrze”. Tak nieostrożnie rozsypali przynętę, że przerwała sieć i grozi zjedzeniem samego rybaka. „Cała Rosja jest – socjaldemokratyczna”.

\*

To zrozumiałe, po co istnieje „Russkoje Bogactwo”. Przecież jakiś udręczony wychowanek seminarium nauczycielskiego, jak i wiejski nauczyciel „z mądrą głową”, nie napiszą „listu duszy-Triapiczkina” do naszego sławnego Pieszchonowa lub do samego wielkiego Korolenki. Po co szukać współpracowników po guberniach, śledzić gubernie – łatwiej jest „głośno przeczytać” listy, które przychodzą do 3-4-10 „lewicujących współpracowników znanej gazety”. „Cały ką” znalazł się „tutaj”.

Zrozumiałe. Matematyka. A jednak „przesolili”, nie zauważyli, że cała Rosja zgłupiała, zwulgaryzowała się, kiedy przez ½ wieku III oddział „okazywał potężną opiekę” tym wszystkim durniom, którzy służyli oddziałowi z dziecięcym przekonaniem, że służą solidarnej z nimi ogólnoludzkiej socjaldemokracji.

Departament sprawił, że rewolucja stała się bezsilna. Ale równocześnie sam departament stał się bezsilny, gdy zrewolucjonizował całą Rosję.

Kasza i rosyjski „bałagan”. Gdzie „cienko” – tam „się rwie”.

\*

Oto wyjaśnienie, dlaczego czasopisma słowianofilskie były kolejno likwidowane, jak i czasopisma Dostojewskiego. Ale jakaś „niewidzialna dłoń” ochraniała całą szereg czasopism antyrządowych. Dlaczego Błogoswiewow ze swoim „Dielom” *nie był* prześladowany, a Aksakow ze swoim „Parusom” i „Dniem” – *był* prześladowany?

Wydaje się, że zrozumiałem: Kuprin, który opisywał swoją działalność publiczną – „przeszedł”, a Rozanow, który zapłakał ze strachu przed mogiłą („Odosobnionie”), – został oskarżony o pornografię.

\*

– Już czas – powiedziała mama.

Poszliśmy do parku miejskiego. Miałem na sobie czarny surdut i letni płaszcz. Ona w białym płaszczu, na który coś narzuciła. Początek czerwca. Egzaminy skończone, żadnych trosk na duszy. Przyszłość wydaje się świetlana.

Słońce paliło niemiłosiernie. Spacerowaliśmy główną aleją i już zrobiliśmy dwie rundy, kiedy w „bokówce” Iwana Pawłowicza otworzyło się okno, w którym pokazał się on sam, zakrywając swoją „tubalną postacią” całe okno. Śmiał się i kiwał na nas.

Po minucie był z nami. Ogromny, wesoły.

– I będą korony, Iwanie Pawłowiczu?

– Oczywiście!

Zrobiliśmy jeszcze jedną rundę. – „No, to chodźmy”. Weszliśmy za nim na podwórze. On podszedł do stróżówki. – „Taki i taki (imię i imię ojca), proszę o klucz od cerkwi”.

Staruszek podał ogromny klucz, jak „od twierdzy” (widziałem w soborach: „Klucz od takiej to twierdzy, wzięty przez wojska rosyjskie”).

– Idziemy, pokażę wam.

Ciężkie drzwi otworzyły się z trzaskiem. Ja stałem... A on zamknął drzwi. „Mocno”. Twarz w uśmiechu, żadnego śladu lęku. Zwróciliśmy się obaj w stronę schodków:

Moja Waria klęczy... Jak tu wejść na schodki – stopni 6 – a na ścianie ikona. Gdy ją zobaczyła, „żegnając się znakiem krzyża” Waria rzuciła się na kolana i coś gorąco, płomiennie szeptała.

A ja „nic”. Też się przeżegnałem.

Weszliśmy.

.....  
.....

\* \* \*

614. Miłość własna i złość – na tym bazuje cała rewolucja. Jeśli trafiają się wyjątki, cóż to za rzadkość (Melszyn, Annienski).

(na pokwitowaniu pocztowym)

\* \* \*

615. Siła Żydów tkwi w ich lepkości. Ich palce – dosłownie z klejem. „I nie oderwiesz”.

(zasypiając)

Wszystko się do nich przykleja i oni do wszystkiego się przyklejają. „Naród z klejem”.

(następnego dnia rano)

\* \* \*

616. ...okruchy to jednak wytrząsam. Nie zawsze, ale gdy z ½ papierosa nie jest jeszcze spalona. Nawet i mniej. „Trzeba utylizować” (powtórnie użyć resztki tytoniu).

Zarabiam 12 000 rocznie i, oczywiście, nie muszę tego robić. Po cóż więc się tym zajmuję?

Dawna niechlujność rąk (dzieciństwo)... a nawet, proszę wybaczyć, słodkie wspomnienie lat dzieciennych.

Dlaczego tak lubię swoje dzieciństwo? Swoje pełne udręki i hańby dzieciństwo?

(po przebraniu tytoniu, na liście od Olgi Iwanownej)

\* \* \*

617. Sympatyczny szalapat – przecież wśród Rosjan to prawie typ dominujący.

\* \* \*

618. Czuję, że *metafizycznie* nie jestem związany z dziećmi, a tylko z „przyjacielem”.

Może i z Tanią...

Tym samym, związek przez zrodzenie jeszcze nie zawiera w sobie metafizyki.

Z dziećmi nie ma jakiejś „wiążącej tajemnicy”. Jestem im potrzebny – ale to jest empiria. Często się nimi rozkoszuję – to też empiria. Nie ma zagadki i nie ma bólu, jakie są między mną i przyjacielem. Właśnie one tworzą związek metafizyczny.

Jeśli ona umrze – umrze też moja dusza. Wszystko będzie jedynie się wlokło. Będę pisał (dla pieniędzy, „codzienne utrzymanie”), ale wszystko jedno: *mnie* już nie będzie.

Zniknie „bukiet” wina i pozostanie sama woda. Oto „moja Waria”.

619. Mamusia nigdy nie potrafiła odróżnić *kłębów* pary od dymu i po wejściu do łaźni, gdy leżałem siebie na półce, krzyczała ze strachem: „Co za czad!...”. Nie potrafiła też otworzyć żadnego zamka, jeśli nie otwierał się on na skutek prostego obrócenia klucza w prawo. Kiedy jej powiedziałem, że pewne słowo należy pisać przez „x”, a nie przez „ks”, to ona wszędzie pisała „x”. Kiedy więc powiedziałem, że lepiej już wszędzie pisać „ks”, to ona nie zechciała zmieniać swego nawyku i wszędzie pisała „x”.

Zresztą nie mogła wniknąć w żadne *chytryści* i w żadne *głupoty* (szczegóły): słuchała o nich jednym uchem i nawet nie usiłowała zająć nimi *umysłu*.

Ale to ona znalazła dla dzieci *najlepsze szkoły* w Petersburgu. Poszła do Sztemberga (dla Wasi). Spodobał się jej dyrektor. Gdy jednak wyszła na boisko, w czasie przerwy, to zaczęła obserwować uczniów i po przyjściu do domu powiedziała, że „wszystko dobrze, i dyrektor, i porządek”, ale „*zespół kolegów będzie wulgarny*”. Poszła do szkoły Tieniszewej – i zdecydowanie powiedziała: „Tutaj”. Dla dziewczyn wybrała gimnazjum Stojuninej, a dla nerwowej, padającej na bok Tani, jak i dla gwałtownej Basi wybrała szkołę Lewickiej. I rzeczywiście, *cechom* dzieci odpowiadały *cechy* szkół, ona ich nie odgadła, a zdecydowanie sprawdziła.

Zdecydowanie w opiniach i czynach – to jej stała cecha. Żadnej kaszy i mamlenia, braku zdecydowania i wahań. Nigdy „natychmiast”, „z hazardu”, „nagle”. Zastanawiała się zawsze 2-3 dni, podczas których bardzo usilnie rozmyślała.

A zamka nie umiała otworzyć: bo to rzeczywiście jest *głupota*. Przecież zamki powinny się po prostu *zamykać*, i – *tyle*, to znaczy zawsze „w prawo”, a co jest ponadto, to „od złego”. A ona nie rozumiała tego, co „od złego”.

Kiedyś coś mi zagrażało i podczas rozmowy powiedziałem jej, że kupię sobie rewolwer. Nagle wieczorem ona wchodzi z płonącym obliczem do mojego mieszkania w domu Rogaczowej. Ledwo mnie pocałowała i mówi:

– Rozmawiałam z Tichonem (brat, prawnik)... On powiedział, że to *pachnie Sibirią*.

– Syberią...

– Sibirią... – poprawiła mnie – obojętna, jeśli chodzi o prawidłową wymowę, gdyż zawsze mówiła tak, jak kiedyś usłyszała. Była zajęta myślą o zsyłce, a nie gramatyką.

Mocno ją uściskałem i obsypałem pocałunkami. Do dzisiaj trwoga o los ukochanego człowieka jest dla mnie niepodzielna z określeniem „*pachnie Sibirią*”.

Cała płonęła i zabraniała (kupić rewolwer). Zresztą nie umiałem strzelać.

Skończyła 3 klasy gimnazjum. W szkole wszystko brudziła (mazała ławkę atramentem), gdy zauważyła, że Iwan Iwanowicz (Leonow) prowadząc lekcję

opierał się palcami o ławkę (był ogromnego wzrostu i gruby). Ciągłe brudził sobie palce. Poskarżył się dyrekcji. I postawili jej z zachowania „4”. Mama (Al. Adr. Rudniewa) wyobraziła sobie, że „4 z zachowania w wypadku *dziewczyny*” musi być aluzją do „VII przykazania”, obraziła się i powiedziała:

– Tak nie może być. Zabieram cię z gimnazjum. Oni *nie mają prawa demoralizować dziewczyn*.

\* \* \*

620. Jeśli coś jest dobre – to i u obcego jest dobre. A jeśli coś jest złe – to i u swego dziecka jest złe.

Wstała o 11 godzinie. Odpoczynek, 3 razy budziliśmy.

.....  
(początek wakacji dla dzieci) (jestem zły)

\* \* \*

621. Dyrektor (Sadokow) zapytał Kostię Kudriawcewa na powtórny egzaminie:

– Proszę powiedzieć, co pan wie o *cum*?

Kostia miał grubą twarz (szczególny model twarzy), włosy ostrzyżone na jeża, spojrzenie odważne i gwałtowne.

A duszę miał łagodną.

Uśmiechnął się i odpowiedział:

– Nic nie wiem,

– Proszę siadać. Wystarczy.

I postawił mu jedynekę.

Zrozpaczony Kostia mówił do mnie (czekałem na niego pod drzwiami):

– Cóż to za podlec! Gdyby powiedział do mnie *quum* – to ja bym odpowiedział. Na temat *quum* są trzy strony u Kremera (gramatyka). A on, czort jeden, wymówił – *cum!* (można i tak wymawiać, ale rzadko kto posługuje się tą wymową). Pomyślałem: „*cum!* – przyimek *z*”. Co o tym można powiedzieć, poza tym, że „*z* narzędnikiem”?... A to „rozumie się samo przez się”, więc uznałem za hańbę odpowiadać na takie pytanie w piątej klasie.

I wyrzucili. W tym czasie umarł jego ojciec. Więc Kostia poszedł pracować, żeby utrzymać matkę i rodzeństwo, najpierw – do policji, i pisał do mnie listy pełne rozpacz („Wasia, czy myśleliśmy, że przyjdzie mi pracować w przekłętą policję”), a potem – na pocztę, gdzie „zajmuję się sortowaniem” (sortowaniem listów według miast).

\*

W tym czasie akuraty i dobry chłopiec „Sierioża Muromiec” uczył się (gdzieś) wspaniale, dyrektor głaskał go po głowie, skończył szkołę z medalem, w uniwersytecie – także – medal, a w końcu został profesorem, pozostającym „w pewnej opozycji”... I, potwierdzając Niekrasowa

...Do dobrego miasteczka  
Dopełniesz jak zaskroniec,

– został posłem I Dumy Państwowej. Wygłosił wspaniałe *mot*: „Duma Państwowa *nie może się mylić*”. Dlaczego mój Kostia zawałił egzamin państwowy??!

Tak, nie widział nic o *kum*: ale był on zręczny, silny, rozumny, taktyczny „we wszystkich sprawach świata”. A jak wspaniale pływał łódką! A jak – w ukryciu – pił piwo grając w bilard! I bez przerwy czytał.

Gdzie jest mój miły towarzysz?!

\*

Zachowałem jego listy. Oto one:

I

Nuda, bracie, bez ciebie w klasie straszna (przynajmniej dla mnie)! Czy zamierzasz przeleżeć cały tydzień? Zresztą to i dobrze – odpoczniesz, gdyż inaczej zamęczą cię klasyczne powtórki.

W klasie u nas wszystko po staremu, to jest wszystko źle i wszyscy źli. Gwiazda pierwszej wielkości, Jeszynski, dzisiaj zjawił się w naszym zatumanionym światku, ale z mniejszym blaskiem, niż poprzednio. Ostafiew też przyszedł i ciągle robił mi wyrzuty, że nie zaszedłem do ciebie w czasie choroby. Chłopiec-humanista!... Gwiazda 4-tej wielkości.

Teraz przechodzę do „patentowanych”. Aleksiejewski szaleje po koncertach, po Pokrowce<sup>21</sup>, i, jak się wydaje, odnosi sukcesy w sercu m-ss Ketti<sup>22</sup>. Zapłoń gniewem Otella, Waśka!

Poliwanow... zresztą, to już nie jest gwiazda, a cała planeta, po części głupot i łobuzerstwa. Opowiem o dwóch zdarzeniach. Wczoraj dowiedziałem się od niego samego, że złapał trypra lub bobra z powodu nieumiarkowanych rozkoszy ze służącą. Następnie, dzisiaj w klasie, w czasie lekcji geometrii palił papierosy i puszczał kłęby dymu spod ławki! Przekazuję to tobie dokładnie. Grechow<sup>23</sup> nic nie zauważył.

O innych uczniach nie warto mówić.

Silin głupieje z każdym dniem (w *moich* oczach) coraz bardziej i bardziej. Wałęsa się, gra na skrzypcach, ale tak, że uciekaj gdzie możesz, coś tam czyta... Suworow dostał pracę w kantorze „Kaukaz i Merkury”.

---

<sup>21</sup> Główna ulica w Niżnym Nowogrodzie, na którą pod wieczór „wysypywali się wszyscy” i poszukiwali „spotkań” – lub też skromniej – wymiany poglądów. Demokratyczna część gimnazjalistów uważała spacer po Pokrowce za godne pogardy. Aleksiejewski – najlepszy matematyk w klasie, ale ze względu na jego spacer „po Pokrowce”, Kudriawcew pisze o nim ze zdziwieniem i zdenerwowaniem. Był to nasz drogi kolega.

<sup>22</sup> Pogardzając rosyjskim imieniem „Katia”, nazywaliśmy po angielsku „miss Ketti” służącą Katarzynę, która pracowała u mego zmarłego brata. Z wyglądu przypominała subtelną Niemkę, to znaczy była blada i chuda, miała dobre maniere, co było przyczyną, że podobała się wszystkim moim kolegom. Mówiłem jej, że najpierw ją będę czytał, a potem się pobierzemy. Uczyłem ją czytania i pisania. Na jej temat por. śmieszne *porozumienie*, opisane pod koniec korespondencji.

<sup>23</sup> Grechow – wspaniała nauczyciel matematyki w Niżnym. Jego żona, Daria Kiryłowna, była lubiana przez wszystkich gimnazjalistów i bardzo ich broniła. Piotr Poliwanow – już w gimnazjum bredził o rewolucji – i później trafił do twierdzy Pietropawłowskiej, a po zwolnieniu popełnił samobójstwo (powiesił się). Powołanie się na Poliwanowa jest, oczywiście, fałszywe: cała nasza klasa była bardzo demokratyczna, a tym samym poważna, bez „zachwycania się dziewczycami”, poza żartami i rozmowami. Poliwanow bez wątplenia chwalił się i kłamał.

Czytam, rozmyślam, dużo śpię, lekcjami mało się zajmuję. Czy można ciebie odwiedzić? Zresztą dzisiaj i jutro nie mogę przyjść. Napisz coś do mnie, ja do ciebie napisałem dość dużo, a jeszcze, Bertrand<sup>24</sup> poprosił, żebym powtórzył.

Kudriawcew  
Tak i jest.

1874 r., marca 10.

Na odwrocie kartki adres:

Wasyłowi Wasiljewiczowi  
Rozanowowi  
doktorowi medycyny i filozofii, członkowi korespondentowi  
wszystkich Akademii Nauk na świecie, wspaniałemu przyrodnikowi,  
mineralogowi, entomologowi i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej.  
Od K. K.

## II

Miły Rozanow!

Sto razy proszę o wybaczenie, że wczoraj nie przyszedłem. Otrzymałem twój list i zamierzałem być u ciebie o 7 godzinie, ale... zjawia się Prierieplotczykow, zaprasza do siebie. Najpierw odmówiłem, ale nie wytrzymałem pokusy – pograć w bilard. (Niedawno zacząłem się uczyć w bilard i polubiłem bilard bardziej od piwa). No, poszliśmy, graliśmy, piliśmy... potem zaszedłem do P-owa, posiedziałem do pierwszej w nocy. Do ciebie przyjdę – jeśli można dzisiaj o 7 godzinie. Coś ty, bracie, taki słabeusz: ciągle chorujesz? Po tej chorobie, mam nadzieję, ostatniej – ciebie nie będą wypuszczać z domu... Siedzieć w domu w maju i czerwcu!!... Do zobaczenia.

Kudriawcew.

1874 r. 10 maja.

Odpowiedź, proszę, na te bazgroły. Tak miło dostać od ciebie liścik... Czy masz jeszcze „Russkuju Starinu”?

K. K.

## III

*Wioska Mitinka*  
28 sierpnia 1874 r.

Mój miły i dobry przyjacielu Wasiu!

Gdybyś mógł zobaczyć, jak ja czytałem twój list, jak się cieszyłem, prawie skakałem i prawie płakałem, że tak mało (*sic!*, W. R.) napisałeś! Z całej duszy, z całego serca dziękuję tobie, William<sup>25</sup>, za twoją notatkę... Wydała ona mi się droższa i lepsza od najdłuższego listu Silina. Ale do rzeczy, do rzeczy... Tak, miły Rozanowie, w tym roku ja doznałem tyle bólu i nieszczęść, że aż trudno o tym opowiadać. Prawdopodobnie już wiesz od Silina lub Prierieplotczykowa, że zmarł mój ojciec. Co ja odczuwałem, co się we mnie dokonywało – trudno opowiedzieć... Zrozum tylko to jedno: ojciec zmarł po tym, jak u nas wszystko się

<sup>24</sup> Nauczyciel języka francuskiego. Na jego lekcji Kudriawcew pisał do mnie list. Ze słów „Tak i jest” – na końcu listu – wynika, że Bertrand „przyłapał” Kostię na lekcji, gdy ten pisał list.

<sup>25</sup> To znaczy „Wasył”. W gimnazjum żywiliśmy pogardę (Bóg wie, dlaczego) do wszystkiego, co rosyjskie, a raczej – do wszystkiego, co „swoje”, „bliskie”, „tutejsze” – i zmienialiśmy swoje imiona na obce. Po przeczytaniu Bockla i Drapera, wybrałem dla siebie angielskie imię „William”. W Symbirsku miałem kolegę, który nazywał siebie i podpisywał się – „Kropotini Italio” (Kropotow).

spaliło: wszystkie sprawy w stanie bałaganu, nie wiem, za co się brać, możesz więc wyobrazić sobie moją sytuację. Patrząc na przybitą bólem matkę, słuchać wokół siebie od wszystkich i od każdego: „On zmarł, zostawił żonę i 8 małych dzieci!” – wszystko to, Rozanow, strasznie na mnie działało. Tysiące myśli, jedna smutniejsza od drugiej, przychodziło mi do głowy... Potrzebowałem silnego wsparcia, ale go nie było. Upadałem na duchu... Szybko jednak nastąpiła poprawa, zacząłem myśleć o matce, o braciach... A o sobie? Co robić... Nawiedzają mnie, Wasia, chwile wstydu na moje bezładne, niezmordowane życie w Niżnym! Przecież mógłbym teraz być w 7 klasie! Przebijałbym sobie drogę piersią, a nie głową... Jaki ja jestem człowiek bez charakteru, Wasia! Nie osądzaj mnie jednak, z powodu... z powodu *nauki* (*sic!*, W. R.), miły Wasiu! Co robić? A teraz... ach!... teraz uniwersytet jest *daleko* ode mnie, miły Wasiu. A od ciebie blisko... (Ty nie uwierzysz, Rozanow, płacząc, kiedy piszę te linijki, *dosłownie płacząc*...). Jakże gorzko, smutno!

Teraz, w tej chwili, mam tylko jeden cel: znaleźć porządną pracę i zabezpieczyć życie matki, a dalej... co da Los, bezlitosne fatum. Jakaż to nuda, jakaż tęsknota – żyć tutaj! Mamy swój domek w powiatowym miasteczku guberni sibirskiej – Ałatyrze, ale póki co, matka mieszka tutaj, u swego rodzonego brata. Wokół pełno trosk, zmęczyłem się, zajmując się nimi. Siedzisz, siedzisz, a tęsknota wdziera się do duszy... Bracia śmieją się, bawią, krzyknę na nich, uderzę... A tęsknota... Czekasz, czekasz na listy, zwłaszcza na listy z Moskwy. Ach, Rozanow, mam protekcję i jak się wydaje, bardzo silną... Ja, twój biedny przyjaciel! Rzecz w tym, że pewien hrabia, Łanski, może dać mi dobrą pracę, był to znajomy mojego ojca, a w mojej sprawie interweniuje sąsiadka, szlachcianka Fiodorowa, która jest moją matką chrzestną. Ona teraz jest w Moskwie... Być może, i ja tam trafię. Daję ci jednak słowo, Rozanow, że będę się uczył, chociaż trochę, bez względu na okoliczności. Oto, w czym rzecz: powinienem zdać egzaminy 6 lub 7 klasy, żeby nie służyć 6 lat w parszywym wojsku! *Postaram się* je zdać. Jakże chciałbym być choćby wolnym słuchaczem w uniwersytecie! Jakie to okropne, Rozanow, być niedouczone, zatrzymać się w pół drogi. Widywałem takich panów. Jakże chcę ciebie zobaczyć, Rozanow, porozmawiać z tobą! *Peut-être* zobaczą się z tobą wkrótce, pod drodze do Moskwy, a, być może, długo, długo jeszcze ciebie nie będę widział... zapomnisz o mnie... Ach, Rozanow, to będzie dla mnie ciężkie! Zresztą, nie – co za głupoty! – ty piszesz: „jestem taki, jak dawniej...”, a ja komentuję: to znaczy, że on lubi mnie tak samo i jest moim przyjacielem... Nieprawdaż? Powiedz, miły Wasia!

Mało tutaj czytam, a zresztą przeryłem wszystkie szafy z czasopismami z początku XIX w.: „Wiestnik Europy” M. Kaczenowskiego, nawet Karamzina, „Syn Ojczyzny”, „Biblioteka dla Cztienija”, „Sowriemiennye Zapiski” i tym podobne. Wszystko strasznie stare! Staram się dostać książki, skąd tylko można. Dużo spaceruję, chodzę ze strzelbą. Bardzo polubiłem te samotne spacerowanie. Idziesz sobie dróżką, palisz porządne cygaro (pałę jawnie), a sam myślisz... Pogoda tutaj przez cały wrzesień wspaniała. Słońce świeci... Wokół cisza. Z rzadka skądś dobiega pieśń... Kracze wrona. Długie białe pajęczyny fruwać w powietrzu... Zajdziesz daleko w pole, położysz się w stogu... Boże! Co wtedy można wymyślić! Możesz sobie przypomnieć nawet Amerykę, moje dawne marzenie i chęć nauczenia się języka angielskiego... A teraz dolary bardzo by się przydały. Nieprawdaż? Z jaką niecierpliwością czeka się w takiej głuszy na nowości, listy, gazety... Straszne! Wujek prenumeruje „Russkije Nowosti” i pożeram każdą ich linijkę... Co się dzieje u was, w Niżnym? Areszty, rewizje... Poliwanow gorączkuje się, kipi... Mocno ściskam mu rękę i wszystkim moim dobrym przyjaciołom, Karpowowi, Ostafiewowi i... Jeszynskiemu (jeśli i on zechce mi podać rękę).

No, mój miły, mam teraz do ciebie prośbę. A mianowicie: pisz do mnie takie same foliały, jak ja do ciebie, a nie krótkie notatki. Pisz do mnie o wszystkim, dosłownie o wszystkim – o czym myślisz, co robisz, jak żyjesz, uczysz się. Pisz o swoich przyjaciołach tak samo jadowicie, jak o A-skim. (Widać, że nieźle załazł ci za skórę). Przy spotkaniu gorąco

podziękuję ci za takie listy. No, bądź zdrow i żegnaj! Jedna szczerza rada: zbytnio nie przemęczaj się i nie niszcz swego zdrowia. Proszę!

Twój przyjaciel K. Kudriawcew.

P. S. Pisałem do Pierieplotczykowa z prośbą, żeby pokazał tobie list – czy go otrzymał? Pisałem do niego już dawno temu.

Poruszenie umysłów dotknęło także nasze miasteczko, dwóch młodych ludzi w okolicy aresztowano. Co to takiego?

Czy oddałeś Mik. Was. książkę „Życie Waszyngtona”? Mój Nr 72.

Mój adres: Wołchowska stacja powiatu kurmyskiego w guberni sycbirskiej, przez Koczatkowa do wsi Mitinki, wprost do mnie.

#### IV

10 stycznia 1875 roku

Wieś Murzicy

Mój umiłowany, drogi, dobry Wasiu!

Wybacz mi, proszę, tysiąc razy wybacz moje długie milczenie! Ty na pewno myślisz, że zapomniałem o tobie, zapomniałem o naszej przyjaźni. Nie, Wasiu, ja najbardziej na świecie chciałbym w tej chwili spotkać się z tobą, porozmawiać, otworzyć duszę zmęczoną smutkami, rozczarowaniami i beznadziejną tęsknotą. Kilka razy zabierałem się, żeby napisać do ciebie, pisałem nawet ogromne listy na brudno – ale ani jeden z nich nie został wysłany. Teraz, mając wolną chwilę, opiszę tobie wszystkie zmiany, jakie zaszły w życiu twego nieszczęsnego przyjaciela K-wa.

Obecnie mieszkam w miejscowości bardzo brzydkiej i złej, ale i to z ledwością sobie wywalczyłem. Moim naczelnikiem i rozkazodawcą jest policjant, komisarz stanowy Masłow. Warunki – siedem rubli na miesiąc pensji, stół i jego oświetlenie, a poza tym małe pomieszczenie za parawanem dla uspokojenia mego udręczonego ciała. Czyż nie prawdą, że jest to wspaniałe, godne uwagi miejsce? Czy pomyślałeś, Wasiu, że ja kiedykolwiek będę służył w policji, przez wszystkich wyśmiewanej i pogardzanej?

Zacząłem tę pracę po prostu dlatego, że należy coś robić, jakoś wykorzystać swoje młode siły i zdolności, które, zresztą, dawno już temu zostały zagubione... Muszę przywyknąć do pracy w kancelarii, przyswoić sobie zwyczaje urzędników, nauczyć się wszystkich subtelności pisania, gdyż nigdzie jeszcze nie pracowałem i nic o tym nie wiem. Już od 1 ½ miesiąca jestem kancelistą u komisarza, powoli przywykam i poznaję, w czym *istota* tej pracy. Pracy nie mam dużo, ale jest ona skrajnie nudna i szczegółowa, a przy tym nie mam wyznaczonych określonych godzin pracy; pracuj rano, pracuj wieczorem, w południe przygotuj listy do wysłania... Przyszła poczta, trzeba ją zapisać, potem sortować, często muszę jeździć z komisarzem do powiatu: pełno kłopotów, niepokoju i niewygód. Jednym słowem – długo nie będę tutaj pracował, czekam na lepszą pracę, a wtedy – żegnaj, policjo! Dobrze chociaż, że jestem niedaleko od krewnych (tylko 9 wiorst), inaczej umarłbym z nudów. Warunki okropne: gołe ściany, brudna podłoga, a na szybach fantastyczne lasy tropikalne, malowane przez rosyjski mróz. Sam pan Masłow – ma 32 lata, średniego wzrostu, brunet z dość przeciętną mordą, ozdobioną czerwonym nosem (choć pije mało), ogólnie dość ładny, niepozorna fizjonomia. Nie jest specjalnie kłótny, ale lubi krzyknąć, ma duże mniemanie o sobie i daje to odczuć. Jego żona i córka 7-mio letnia – osoby zasługujące jedynie na pogardę. Pierwsza dlatego, że zdecydowanie nic nie robi (poza plotkowaniem), a druga jest miniaturowym portretem matki. Widzisz, Wasiu, z jakimi ludźmi muszę zaczynać moje nowe życie, aby utrzymać rodzinę... Cóż dobrego może się we mnie rozwinąć w takich warunkach? Co mi da taka służba? W liście i tak wszystkiego nie da się opowiedzieć, a wiele chciałbym tobie opowiedzieć. Co stało się z moimi dawnymi marzeniami? Gdzie podziały się

moja beztroska, pełne radości spojrzenie na *czarny dzień*? Nie poznasz mnie, Wasiu, jeśli kiedykolwiek się spotkamy. Stałem się zamyślony i poważny, jak nigdy. Z gimnazjum rozstałem się ostatecznie: otrzymałem papiery i świadectwo, ze sprawowania postawili mi 4, z łaciny 2, ale napisali, że nie ma przeszkód, abym przeszedł do 1-ej klasy klasycznej. Do diabła z ich klasą klasyczną!...

Nic tu nie mam dobrego do czytania i pod tym względem (i we wszystkich pozostałych) zazdroszczę tobie. Ty możesz czytać wszystkie nowości, śledzić literaturę (w przerwach między czytaniem histologii), a ja nie widuję nawet porządnych gazet.

Napisz do mnie, drogi Wasiu, o swoim życiu. Kim byłeś, kim jesteś, co robisz? Już tak dawno nie otrzymałem żadnych wiadomości z Niżnego, że interesujące są dla mnie wszelkie szczegóły.

Powiedz, jak idzie ci nauka? Czym postronnym się zajmujesz? Nie zapomnij, jeśli będziesz pisać do mnie, i o tych panach, którzy patrzą na mnie ze „współczuciem połączonym z pogardą”... Niech ich diabli wezmą! Przecież ja ciebie lubię, jesteś moim przyjacielem – a więcej nic nam nie trzeba. Jest mi tylko bardzo, bardzo żal, że los rzucił nas w różne strony po ogromnej ruskiej ziemi... Piszesz, że „przyjaźń daje siłę”. Zgadza się z tobą! Cóż bym zrobił, gdybyś ciągle bym przy mnie! Nauczałbyś mnie, uspokoił, rozweselił... Rozsądź sam, Wasiu: wokół mnie nie ma ani jednego kolegi-rówieśnika (nie mówiąc już o przyjaciółach), ani jednego człowieka, z którym mógłbym podzielić się swoimi myślami! Jakże smutno, monotonnie mijają dni, miesiące... Mimo woli przypomniałem sobie Lermontowa:

A lata mijają, najlepsze lata...

Aż ciężko o tym myśleć. Wasia, na pewno długo jeszcze nie zobaczą ciebie, nie mogą nawet w przybliżeniu powiedzieć – kiedy. Ale mam nadzieję, że będziemy kontynuować naszą korespondencję jeszcze przez długi czas, przynajmniej tak długo, jak nie znajdziemy nowych, lepszych przyjaciół. (Nie zapomnij wtedy o przysłowiu: „Stary przyjaciel lepszy od dwóch nowych”).

Jeśli interesuje cię los mojej rodziny, to w dwóch słowach: matka z braćmi ciągle jeszcze mieszkają u wujka W. M. Potiechina we wsi Mitinka, jeden z braci jest w 1 klasie szkoły powiatowej, dwóch następnych za rok też trzeba będzie umieścić w szkole, starszą siostrę wzięła do siebie jedna znajoma, aby nauczyć ją rękodzieła i wszystkich babskich spraw. Śmierć ojca wszystkich wyгнаła z ciepłego gniazda rodzinnego! Smutno, smutno jak się o tym pomyśli... Biedna mama ciągle choruje i nie może zapomnieć o śmierci ojca. Żal mi jej, z całej duszy... Co jej dało życie? Urodziła się w czasach surowego prawa pańszczyźnianego, młodość spędziła na szyciu i haftowaniu, potem zamążpójście i kupa dzieci... Ciągle chory mąż... kłopoty... w końcu – śmierć ukochanego człowieka i w perspektywie – same kłopoty... Niewiele, bardzo niewiele było radosnych dni w jej życiu... „Może na starość pocieszą mnie dzieci”, tak chyba myśli. A i to, Wasiu, wątpliwa nadzieja... Mam kuzynkę Lubę, córkę wujka W. M., która lubi moją mamę jak rodzoną siostrę, a mama nie może się jej nachwalić... I ja, grzeszny człowiek, też lubię siostrzyczkę i często, gdy mieszkałem w Mitinkie, nasz wesoły śmiech można było wszędzie usłyszeć, ten śmiech – bez powodu, niepowstrzymany, który i ty znasz...

Święta spędziłem smutno... Ach, przepraszam, pozdrawiam cię z Nowym Rokiem, w którym życzę tobie wielkich sukcesów i wszystkiego, wszystkiego, co sam sobie życzysz! A ty, mój miły, uczony, subtelny przyjacielu, jak spędziłeś święta? Czy spełniasz moją prośbę i częściej wychodzisz z domu, aby się rozerwać? Bez tego zupełnie podupadniesz na siłach...

No, Wasia, pora kończyć. Dużo jeszcze chciałbym ci powiedzieć, ale wszystkiego nie da się napisać. Lepiej poczekajmy na radosne spotkanie, wtedy sobie pogadamy.

Pisz do mnie na następujący adres, nic nie dodając i nie zmieniając: miasto Kurmysz w guberni sibirskiej. Dla Szanownego Pana Komisarza II rangi, z przekazaniem dla Kont. Iwanow. Kud-wa.

Kłaniam się wszystkim, kto tylko pamięta wesołego, pełnego żartów przyjaciela, który ich porzucił – Kud-wa. Jeśli spotkasz Pierieplotczykowa, to przekaż mu, że złoścę się na jego milczenie i powiedz, że 4 ruble, które od niego pożyczyłem, wkrótce mu zwrócę na ten adres, który on sam podał.

Żegnaj, mój przyjacielu Wasiu, do następnego listu. Pociesz mnie, pustelnika, długim listem, w którym szczegółowo opisz swoje życie i pamiętaj, że jak dawniej lubi ciebie  
twój Przyjaciel K. Kudriawcew.

P. S. Uściśnij dłoń Ostafiewa, Karpowa, Poliwanowa, Marinina i Knuszewickiego.

## V

*Mitinka, 15 kwietnia 1875 r.*

Ty, prawdopodobnie, już nie czekasz na mój list, drogi Wasiu. Ale ja naprawdę nie jestem winny – twój list z 17 marca otrzymałem 9 kwietnia. Dziwisz się? Zdarzyło się tak: list był adresowany na komisarza, a ja już od trzech miesięcy u niego nie pracuję. Rzecz nie w tym, kiedy otrzymałem list, a w tym, że w ogóle go otrzymałem. List łatwo mógł zaginąć. Złóścisz się, Wasia, że *nie odpowiadam* na twoje listy, nawet obrażasz mnie podejrzeniem, że nie uważam ich za coś warte, prosisz o odpowiedź na list z 19 października 74 r., radzisz listy dzielić na dwie części, dobrze analizować twoje listy i tak dalej. Cóż mam robić? Posłucham twojej mądrej rady i twoich zasad teoretyczno-literackich. To był wstęp, teraz następuje część pierwsza.

Najpierw postaram się przedstawić analizę twego poprzedniego listu. Między tymi dwoma listami jest ogromna różnica: pierwszy jest pełen wisielczego humoru i anegdot, dopiero pod koniec pojawia się coś w rodzaju monologu lirycznego, przypominającego bredzenie chorego w gorączce. Tym nie mniej, list jest poetycki i artystyczny, przynajmniej ja tak uważam. (Poza tobą tak mógłby napisać Czernyszewski, por. sny Wiery Pawł.). Drugi list jest bardziej spokojny i rzeczowy, ale zakończenie też jest smutne. W tym okresie czasu (od 19 października do 17 marca) musiałeś, jak się zdaje, wiele doświadczyć.

Stan twego ducha, sądząc z ostatniego listu, jest mroczny... Ale do rzeczy. W poprzednim liście ty, po pierwsze, pytasz, „czy jestem zadowolony ze śmierci ojca i ze swojej wolności”? Nie rozumiem twego pytania. Ze swej strony mogę postawić tobie takie samo pytanie: Twój ojciec umarł już dawno temu, czy jesteś z tego zadowolony? O żadnej radości, ani o najmniejszej nawet wolności, nie może być w tym wypadku mowy. Przeciwnie, jestem sto razy *bardziej uzależniony* od rodziny, od wyraźnej świadomości, że muszę ją utrzymywać i pomagać jej. Długo jeszcze będę miał ten obowiązek, bo nie chodzi tutaj tylko o matkę, ale także o moich małych braci. Nie, Wasia, nie jestem teraz wolnym człowiekiem, musisz się z tym zgodzić. Następnie pytasz o swoje zdolności. Zanim odpowiem na twoje pytanie, muszę pomyśleć. Moja odpowiedź, całkowicie *neutralna*, jest taka: jesteś zdolny do działalności społecznej, nie ma co do tego wątpliwości, masz dobre zadatki do pracy naukowej, które w pełni rozwiną się w uniwersytecie, łatwo możesz się stać wspaniałym pisarzem w dziedzinie krytyki i publicystyki, być może także i beletrystyki. Ty piszesz: „*chcę działać społecznie, ze wszystkich sił*” – bardzo zdecydowane słowa, cała krew w żyłach aż gra, gdy słyszy się takie słowa, ale dodatek *żelaza* do twego *charakteru* trzeba poddać analizie chemicznej. Wyjaśnij jeszcze, Wasia, co ty rozumiesz pod słowami „*działalność społeczna*”? Ja rozumiem je tak i siak. Oto moja odpowiedź, nie jest ona pełna, jest krótka... a bardziej pełną jeszcze kiedyś napiszę.

„Czy dogonię ciebie w drodze do tajemniczego ognia?”. Oto co *szczerze* powiem tobie, miły Wasia: ja nie mam takich wzniosłych idei i dążeń, tak rozwiniętych celów i planów, jak ty. Los mitycznego tytana, wygnanego do Kolchidy, specjalnie mnie nie interesuje.

„Wszyscy ludzie tkwią w głębokim mroku”... Czyżby *wszyscy i wszędzie*? Być może, tylko w Niżnym? Posłuchaj, drogi Wasia: nie jestem zdolny do *wskazywania ludziom prawdy*, nie uważam się za genialnego i wielkiego człowieka, wszystko to oddaję tobie. Powiedz mi, miły, czym w ogóle jest *prawda*? Jeszcze raz powtarzam, że ty cierpisz na choroby i „tysiące myśli, tysiące problemów” (zwłaszcza tych abstrakcyjnych i metafizycznych, doprowadzą cię, niestety, do szaleństwa i zamiast pokazać ludziom prawdę sam będziesz pokazywany jako wariat. Nie złość się na mnie, Wasia, na moje ostre słowa. Ty rzeczywiście jesteś „marzycielem”, ale uważam, że lepiej jest szukać spokoju w myślach bardziej racjonalnych. Ty i dawniej śmiałeś się z mojego pożądania dolarów. Masz rację. Moje marzenia, a zwłaszcza ostatnio, są czysto materialne i bazują na gruncie praktyki, a nie na idei zamków budowanych na lodzie. Wasia, milion razy powtarzam: nie są to tylko marzenia materialne... Zrozum to!

Nie wiem, jak nazwać twój list z 17 marca: powiem tylko, że list ten zdumiał mnie i zawiera, co powiem w nawiasie, początki rozpadu naszej niedługiej przyjaźni. Piszesz w nim wiele głupot, wątpisz we mnie, w naszą przyjaźń, zakładasz, że w przyszłości w ogóle „zamilknę”... Zacznę od początku twego listu. Radzisz mi, żebym się „nie demoralizował i nie pił”... Ty, prawdopodobnie, pamiętasz dawnego Kudriawcewa, wesołego chłopaka. Już wcześniej pisałem do ciebie, że *się zmieniłem*. Śmierć ojca silnie na mnie podziałała i zgadzam się z twierdzeniem, że „nieszczęścia dobrze wpływają na ludzi”. Od mojego wyjazdu z Niżnego nie wypilem *ani jednego* kieliszka wina, daję na to *słowo honoru*. Czy uspokoileś się teraz, czy też mi nie wierzysz? Jak sobie chcesz, jest mi wszystko jedno, ale pisać dwadzieścia razy o tym samym – mam już dość. Ty prosisz „na Boga”, żeby nie uważać cię za naiwnego chłopca. Twoja wola, Ala ja jeszcze długo będę cię uważał za takiego *garçon naïf*. Tobie jeszcze tylko tak *się wydaje*, że bieda i „niewłaściwe środowisko” nie stanowią żadnych przeszkód... Przypomnij sobie choćby naszych poetów – Gribojedowa, Nikitina, Kolcowa... Łomonosowów u nas, jak i wszędzie, jest mało. Ja nie mam złudzeń co do swojej sytuacji i wiem, że mogę pójść dalej, niż tylko urzędnik... i *pójdę*. A jeśli chodzi o moje „zamilknięcie”, to, wybaczone, ale plunę na ten fragment twój listu i nigdy bym nie uwierzył, że *ty* możesz coś takiego napisać, *ty*, mój *przyjaciel*! Ty w ogólnie mnie nie znasz, jeśli „lękasz się, bardzo się lękasz”, że po 1 ½ roku moje życie będzie przypominać „roślinę”! Ach, Wasia, Wasia! Do głębi duszy obraziłeś mnie tym podejrzeniem...

Silnego charakteru, jeśli pamiętasz o nim, masz znacznie mniej ode mnie, ja lepiej mogłem cię zobaczyć „z boku”. Ja jestem wybuchowy, gorączkuję się, ale panuję nad sobą, tego mi nigdy nie brakowało. Ty ze swoimi rozmyślaniami filozoficznymi zaszedłeś zbyt daleko... Stajesz się prawie pedantem, stajesz się moim mentorem-opiekunem... Aby się nie denerwować, nie będę już o tym wspominał. Cóż mogę powiedzieć o twoim planie mojego pójścia na uniwersytet? Naiwność, zachwyty, głębokie rady, a ostatecznie – pusty balonik. Tracenie całych lat na zdobywanie podręczników jest dziwne: matka nie odmówi mi 12 rubli, zwłaszcza na podręczniki, ale gdybym nie zrobił matury, to byłaby głupota. Przeczytaj programy: można iść na studia jako wolny słuchacz i zdać potem egzaminy. Wszystko dalsze – w tym samym duchu. Ten plan mi się nie podoba, jeśli chcesz – napisz inny. Zadziwiła mnie twoja aluzja do Mikoł. Was. Czyżby on rzeczywiście „wypominał” ci chleb? Nie mogę uwierzyć, Wasiu, na tyle znam twego brata, że wydaje mi się niezdolny do czegoś takiego. Okaż miłosierdzie, spełnij obietnicę, opisz tajemnicę swego dzieciństwa.

-----

Teraz opiszę ci trochę moje życie. W lutym pracowałem w mieście Alatyrze w guberni sybirskiej u tamtejszego kupca Popowa, jako pomocnik kancelisty. Wyznaczono mi pensję w wysokości 180 rubli rocznie. Ucieszyłem się w tym fatalnym miasteczku, gdyż, po pierwsze, warunki i praca znacznie lepsze, niż u komisarza stanowego, a po drugie matka

chce na wiosnę się tu przenieść do swojego domu. We dwójkę byłoby nam bardzo dobrze. Ale stało się inaczej... Znowu siedzę tutaj i czekam na dobrą pogodę. Szukam, pytam, poznaję miejsca i ludzi, ale pracy jeszcze nie znalazłem. Zresztą, nie tracę złotego czasu: w Moskwie zamówiłem podręcznik jęz. franc. i gorliwie się nim zajmuję, siedzę nad nim całymi dniami, cały wolny czas. „Ty zawsze zbyt szybko oswajałeś się z każdą sytuacją” – piszesz do mnie, ale bez tej godnej pochwały cechy – odpowiadam, nie da się przeżyć nawet tygodnia w tych miejscowościach, w których pracowałem. Nie, Wasia, nie, zrozum, proszę, że wszystkie najlepsze instynkty, wszystkie najlepsze uczucia i myśli należy ukrywać pod obojętną maską w towarzystwie mało rozwiniętym i mało wykształconym! Z tego powodu szybko ze wszystkim się zżywam, a lepiej powiedzieć, przywykam, chociaż w duszy pogardzam ich trybem życia, wyśmiewam ich uczucia i zabobony. W mojej rodzinie nazwali mnie bezbożnikiem i nihilistą (jak trafiło tu takie słowo?), gdyż nie wstydzę się i głośno mówię to, co czuję. Ale jaka tutaj nuda, mój miły, zwłaszcza w tym parszywym wielkim poście! Chociaż w domu siedzę mało – ciągle jeżdżę załatwiać sprawy matki. *Książek nie ma!* Straszne słowa, nieprawdaż? Niekiedy świata nie widzę z powodu tęsknoty i nudy, męczących drzazg i drobiazgów rodzinnych. Wtedy całymi dniami siedzę nad podręcznikiem Ollendorfa... Wszystkiego w liście nie da się napisać, a nie ma co zajmować się drobnymi wydarzeniami. Ciągle mam nadzieję być w Niżnym, po drodze do Moskwy... Nawet gazet nie widziałem już dwa miesiące, wujek przestał prenumerować i mówi, że 8 rubli za „Russkij Wiestnik” to za drogo, a tańszej gazety jeszcze nie znalazł...

Dlaczego nic nie piszesz o swojej nauce, o swoich zajęciach, o swoich lekturach? Czyż nie jesteś w stanie zdobyć pieniądze na znaczek w inny sposób, jak tylko prosząc o nie? Karpow już w 4 klasie, mieszkając na stacji w tajemnicy udzielał korepetycji, nawet właścicielka mieszkania o tym nie wiedziała. A ty jesteś w 6 klasie i... gdzie twój silny charakter, twój genialny umysł? A kopiejka jest przecież potrzebna... choćby po to, żeby jak najszybciej odpowiedzieć przyjacielowi. Czy Ostafiew chodzi już w mundurze kadeta? A Marinin ciągle połyka dzieła Pisariewa i K°? Pisz na mój stary adres, jak możesz najszybciej, żeby twój list mnie zastał. Żyję jak na biwaku – dzisiaj tutaj, za tydzień w innym miejscu.

Żegnaj, mój miły Wasia! Uwierz, że twój przyjaciel „nie zamilknie”, uwierz, że lubi ciebie jak dawniej. A propos – pozdrawiam ze świętami i całuję: „Czyżby CHRYSYTUS ZMARTWYCHWSTAŁ?”

Twój przyjaciel K. Kudriawcew

P. S. Knuszewickiemu kłaniam się powtórnie i jeszcze niżej. Co z Silinem, czy chodzisz do niego?

## VI

Panu Wasylemu Wasiljewiczowi  
Rozanowowi

*Ałatyr, 23 września 1875 r.*

Drogi, miły i dobry Wasia!

Przebac mi, przebacz dwadzieścia milionów razy, że dotychczas nie pisałem.

Czy przebaczysz? A?

Daję słowo, że przy pierwszej okazji napiszę list „ogromnej długości”. I w tym liście poinformuję cię o wszystkim, wszystkim, o wszystkich moich trwogach i porażkach... A teraz wybac, bracie, inaczej nie można. Pisz, jeśli chcesz pocieszyć biednego towarzysza i przyjaciela.

Żyję okropnie i parszywie.

Całuję ciebie i ściskam dłoń.

Twój przyjaciel

Miły Wasia, pisz do mnie na adres:  
Miasto Ałatyr, Simbiraska gubernia  
Zaulek Strzelecki, dom K. K. Promzinkina

---

## VII

*Ałatyr, 16 maja 76 r.*

Miły i drogi przyjacielu Wasio!

Ty, zdaje się, zupełnie machnąłeś ręką na swojego wiernego przyjaciela, Kostię Kudriawcewa i myślisz, że on albo zginął, albo przepadł bez wieści, albo też zapomniał o Rozanowie... Przebacz mi, przyjacielu, i uwierz, że gdzie by mnie nie rzucił parszywy los i jak długo bym nie pisał do ciebie – zawsze będę pamiętać o tej szczerzej przyjaźni, o tych wesołych dniach i wieczorach, kiedy to dyskutowaliśmy o wszystkim i prawie święcie wierzyli w naszą przyszłość, budowaliśmy wszelkie możliwe plany... Gdzie to się podziało? Ach, Wasia, ja bym ciebie całował tak, jak nawet oblubieniec nie całuje swojej ukochanej oblubienicy, gdybym mógł spotkać się z tobą!

Co ty robisz? Opowiedzmy o sobie. Ja, co prawda, nie wiem, od czego zacząć. Powiem o najważniejszym: jestem gotowy do zdania egzaminu... jak myślisz, gdzie? – na nauczyciela, mój gołąbku! Moja specjalizacja to – historia i geografia. Oto jak skończyły się moje marzenia o uniwersytecie! Ale zrozum – druhu – że to najlepsze wyjście. Jestem głupi, że wcześniej o tym nie pomyślałem... Czy lepiej być jakim urzędniczyną, chociaż niekiedy zarobki są tam większe? Niech diabli porwą taką pracę! Znam ją. Teraz więc, jeśli zdam egzamin, to nie może być lepiej: w tym mieście od przyszłego roku będzie wolny etat właśnie dla nauczyciela historii i geografii – chcę dostać tę pracę, aby nie rozstawać się z rodziną i matką. Egzamin będę miał we wrześniu, w Kazaniu. Egzamin jest dość trudny, gdyż z głównych przedmiotów, to znaczy historii i geografii, wymagana jest znajomość pełnego kursu gimnazjum, a ja połowę tego, co wiedziałem – zapomniałem, a pozostałego, na przykład historii nowożytnej wcale się nie uczyłem. Jeśli zdam egzamin na nauczyciela powiatowego, to – jak to czart sobie żartuje – w przyszłości mogę zdawać egzamin na nauczyciela gimnazjum... Oto, miły przyjacielu, czym się teraz zajmuję i o czym myślę. Historia i geografia zawsze były moimi ulubionymi przedmiotami. Co jeszcze powiedzieć? Całą zimę jeździłem w sprawach matki i rzadko byłem w domu, nawet do egzaminu zacząłem się przygotowywać dopiero od końca kwietnia. Brat pracuje jako kancelista w jednym z majątków księcia Engałyczewa. Pozostali bracia i siostry żyją ze mną i z mamą, troje z nich uczy się w 1-ej klasie szkoły powiatowej. Jak dawniej, dużo czytam, wypożyczam książki ze szkolnej biblioteki. Innych rozrywek nie ma, chociaż dostałem strzelbę, ale jeszcze ani razu z nią nigdzie nie poszedłem.

Wybacz, że mało piszę, chociaż teraz niekiedy – tylko ja przypominam się tobie, inaczej byś zapomniał

swojego przyjaciela K. Kudriawcewa.

Adres: Ałatyr, Symbirska gubernia, ul. Strzelecka, dom własny.

Kłaniaj się wszystkim, kto jeszcze mnie pamięta.

## VIII

*Ałatyr,  
17 sierpnia 76 r.*

Mój miły, miły  
Wasia!

Właśnie teraz, w tej chwili dostałem twój list i zdjęcie! Natychmiast odpowiadam... Ach, żebyś ty mnie widział w tej chwili, kiedy z koperty wypadło twoje zdjęcie!... Wręcz wyszedłem z siebie z radości, skakałem, biegałem po pokoju, a nawet (znasz przecież moją głupią naturę) zapłakałem. Moja biedna mama, która siedziała w tym pokoju, dosłownie oniemiała – co się ze mną stało? Chyba poważnie lękała się o stan mego mózgu... Dziękuję tobie, Wasia, nieskończenie dziękuję za przysłanie swego zdjęcia: ja sam, gdy tylko zrobię sobie zdjęcia – natychmiast wyślę tobie swoje... Piszesz, że „rad byłbyś zobaczyć mnie chociaż na zdjęciu” – teraz rozumiem twoje pragnienie z własnego doświadczenia i postaram się jak najszybciej je spełnić.

Nie wiem, od kogo słyszałeś podobne opinie o nauczycielach powiatowych: od początku do końca są one nieprawdziwe... Rzecz w tym: problem reformy szkół powiatowych był postawiony już dawno i zgodnie z tym projektem powstaną 4-ro klasowe szkoły miejskie. Rzeczywiście, w celu przygotowania nowych nauczycieli powstały Instytuty Nauczycielskie (na przykład w Kazaniu) dla wykształcenia nowych nauczycieli, ale żeby nauczyciele powiatowi pozostali bez pracy – to bzdura. Ta reforma, jak i wszystkie reformy, nie może być szybko dokonana, będzie wprowadzana stopniowo. Obecni nauczyciele będą po kolei delegowani na 1 rok do Instytutów. Nie można od razu zamknąć szkół powiatowych i nauczyciele po nauce w Instytucie pozostaną na swoich miejscach. Wszystko to dowiedziałem się od tutejszego nauczyciela matematyki Stefanowicza, który już 9 lat tutaj naucza, a teraz czeka na oddelegowanie. W ubiegłym roku zdał egzamin na nauczyciela języka rosyjskiego jeden z tutejszych młodych ludzi i teraz dalej pracuje. W naszej szkole jest wakans na nauczyciela historii i geografii, który chcę zdobyć. Jeśli zdam egzamin, to zamiast rozpocząć pracę w szkole, mogę wstąpić do Instytutu Nauczycielskiego. Jednak chyba jest lepiej najpierw zacząć pracę, a potem, po przepracowaniu pewnego czasu, dostać delegację do Instytutu, gdyż w tym wypadku zachowam swoją pensję i poza tym dostanę jeszcze 150 rubli na studia. Egzamin zamierzam zdawać, jak już tobie pisałem, we wrześniu, ale teraz tak silnie bolą mnie oczy (według lekarza zapalenie spojówek), że nie mogę czytać, a nawet mi to zabroniono, a i ten list piszę z dużym trudem. Choroba oczu, jeśli szybko nie przejdzie, może opóźnić mój egzamin na nieokreślony czas, co jest dla mnie po prostu potworne...

Ciągle odrywam się od pisania, gdyż męczę oczy (ściślej – jedno oko, gdyż drugie mam zawiązane). Popsułem sobie oczy w ostatnim czasie nieustannym czytaniem, całe lato i wiosnę, dzień po dniu siedziałem nad książkami, rzadko wychodziłem z domu i prawie nic, poza podręcznikami i gazetami nie czytałem poza (czy dobrze siedzisz?) opisami walk Słowian z Turkami.

A teraz, Wasia, porozmawiajmy jak trzeba – szczerze, po bratersku, jak mówią przyjaciele i ja kiedyś my rozmawialiśmy (gdzie one są, złote lata?). Zakończenie twego listu znowu przypomina twoje listy z ubiegłego roku. Co się z tobą dzieje, Wasia? W połowie listu ironicznie wspominasz o nastrojach mego ducha w ubiegłym roku, a teraz – znowu to samo... Czyżby *quasi*-wdowa wyjechała z Niżnego? A może twoja sympatyczna *amante*<sup>26</sup> zdradziła cię i ludzie znowu wydają się tobie „płaczącymi się” robakami, a twoje własne *ja* prawie że pęka jak balonik? Nie pomyśl sobie, miły Wasia, że ja śmieję się z ciebie, ale daję *słowo honoru*, że bardzo żal mi ciebie i gorzko z powodu stanu twego ducha... Jak wyjść z takiego stanu? Spróbuj rozerwać się i uświadom sobie, że przecież wtedy nie nachodziły cię takie mroczne myśli, chwile tęsknoty i rozczarowania, jak teraz? Tak? Posłuchaj, Wasia, czy nie da się połączyć rozrywek z życiem rozumnym i pełnym pracy, twojej wesołości z poważnymi

---

<sup>26</sup> Chodzi o romans z Julią (patrz „Odosobnione”), nauczycielką muzyki. Był to wspaniały romans, przed nikim nieukrywany. Ja byłem w VII klasie gimnazjum. Czytaliśmy razem Monteskiusza, Benthamu i trochę szaleliśmy. Ona była wspaniałą, czystą dziewczyną (19 lat), a ja miałem 18 lat.

zajęciami? Mówię o wspaniałej wesołości, gdyż znajomość z rozumną i wykształconą dziewczyną, wieczorne rozmowy, spotkania *tête à tête*, a na dodatek podobieństwo charakterów, jakież to wspaniałe! Twój pokorny sługa, „stary towarzysz”, jak piszesz, ani razu w życiu nie zaznał takiej rozkoszy... Tutaj, w Ałatyrze, nie znam ani jednej dziewczyny, nie mówiąc już o wykształconej dziewczynie, a po prostu trochę sympatycznej... A moje poprzednie znajomości w Niżnym? Przecież wiesz o nich: aż przykro wspominać.

O twoich rozrywkach dowiedziałem się z listu Silina, który informował z właściwą sobie głupotą i idiotyczną pedanterią, że nigdzie nie chodzisz, a jeśli gdzieś można cię spotkać, to tylko w znanych domach, które zamieszkują pogardzane dziewczyny lub „dzieci złego ducha”... (tak właśnie napisał, ostatnie słowa w cudzysłowie; skąd je znał?). Nie pamiętam, gdzie jest jego list, a jestem zbyt leniwy, żeby go teraz szukać, ale wiernie przekazuję jego słowa<sup>27</sup>. Wątpię jednak w jego informacje, zwłaszcza w ostatnią, i posłałem do ciebie list z zapytaniem. Teraz o Silinie: jak się wydaje, on zupełnie zwariował, pisze jakieś listy do redakcji (gdzie i jaka głupia gazeta je drukuje?), dramaty (a to radość!) i nawet wiersze... Jeden z ostatnich mi przysłał, napisany od ręki, w chwili jakiegoś... i prosił o napisanie swojej opinii... Po prostu straszne! Przyślę ci te wiersze.

Cieszę się, że wyszedłeś ze swojej zwykłej koleiny życiowej (jak ją pamiętam...). Zresztą, dlaczego tak mało piszesz o swoich wspaniałych znajomych? (nawet *N* napisał!). Mam nadzieję, że nie jest to tajemnica, tym bardziej dla mnie, gdyż wierzę, że lubisz mnie po bratersku i jesteś moim przyjacielem *na zawsze*... W następnym liście, który biorąc za mnie przykład napisz zaraz po otrzymaniu mego listu, a jak sam obiecałeś, będzie to *długi* list, opisz mi wszystko szczegółowo, także o naszych wspólnych kolegach (wszystko to jest dla mnie takie interesujące). A mnie, miły i dobry Wasia, wybac: piszę ten list zupełnie chory i zamyślam się często, nie troszczę się o porządek i kolejność. Piszę dlatego, że prosiłeś o szybką odpowiedź, a także na znak wdzięczności za przysłane zdjęcie.

*Jeśli zdam egzamin i zostanę tutaj nauczycielem, to nie na Boże Narodzenie, a dopiero w przyszłym 77 r., a wtedy na pewno będę u ciebie w Niżnym, właśnie po to, żeby zobaczyć się z tobą i oderwać się (jak i ty) od męczących i jednostajnych prac w tutejszym okropnym życiu!... Gdybyś ty widział głupie twarze moich znajomych, gdybyś słyszał ich rozmowy, gdybyś poznał ich trywialne – do zohydzenia – życie..., a gdybyś jeszcze musiał ciągle z nimi żyć, tak jak ja, prawie bez przerwy ich widywać i żyć z nimi – zatęskniłbyś i zadręczył jeszcze bardziej, gdyż twoja natura jest bardziej wrażliwa i świeższa od mojej!...*

Wasia, jeśli chcesz mnie zobaczyć, jak piszesz, to zrób to: w czasie wakacji machnij się do mnie!

Sam rozważ: piszesz, że miałeś pieniądze (nawet dużo), a przelot samolotem z Niżnego do Wasilsurska kosztuje grosze, a z tego miasta, najdalszego punktu u źródeł rzeki Sury, do Ałatyra płynie statek, na którym pomyślnie dopłynąłbyś prawie do mojego mieszkania, zapłaciwszy za tę przyjemność 3 ruble 50 kopiejek. Wspaniale, prawda?! Cała podróż będzie cię kosztować najwyżej 10 rubli, ale za to spędziłbyś u mnie wspaniały tydzień... Jestem głupi, że wcześniej na to nie wpadłem, może udałoby się ciebie skusić. Co na to powiesz?

*Rano, 18-go.*

Dużo naskrobałem, mój miły Wasia, a mimo to jeszcze wiele chciałbym o sobie opowiedzieć, o swoich myślach... Myślę jednak, że bez względu na to, ile się napisze, jeszcze coś by się znalazło do opowiedzenia, bez względu na to, jak bardzo starasz się o jasne i szczegółowe przedstawienie różnych spraw, to jednak w osobistej rozmowie przez 5 minut opowiesz i zrozumiesz przyjaciela milion raz lepiej, niż w najdłuższym liście. Czyż nie tak?

---

<sup>27</sup> W domach z takimi paniami jako gimnazjalista nie byłem ani razu, jako student byłem 2 razy z kolegami-studentami („w kompanii”), ale zostaliśmy w salonie i obserwowaliśmy tańce.

Chciałbym jeszcze jakoś ciebie pocieszyć, rozerwać... ale ty pamiętasz wspaniałe powiedzenie: „Lekarzu! Ulecz samego siebie!” Ja prawie całe obecne lato znajdowałem się w okropnym stanie ducha, o którym zapomniałem tylko wtedy, gdy przygotowywałem się do egzaminów, mając nadzieję choć na jotę zmienić swoje życie... Jedno mogę powiedzieć tobie, Wasia, że „z nudów się nie umiera”, jak głosi mądre przysłowie. Z nudów lub spleena, jak wiadomo, strzelają sobie w głowę jedynie synowie mglistego Albionu, czemu, jak powiadają podróżnicy, sprzyja przyroda ich kraju...

W chwilach szczególnie dla ciebie trudnych i nieznośnych, mój miły przyjacielu, bierz arkusz papieru i pisz do mnie: na duszy będzie lżej, kiedy swoje troski przedstawiś w liście do przyjaciela. Wtedy połowa bólu i udręki jak gdyby zwali się z pleców, jeśli wiesz, że gdzieś jest człowiek, który tobie współczuje i ciebie rozumie... Prawda? Jeśli i to nie pomoże, czyżbyś nie mógł wymyślić żadnej rozrywki? Idź na spacer, a jak nie chcesz, to do przyjaciół, a gdy nudno – idź chociażby do teatru, a gdy i to nie pomaga, to pobiegnij do pani N... Jednak mało co pomaga na zapomnienie. Czyżbyś, Wasia, tak był nasycony życiem i tak pełen tęsknoty?

Jeszcze raz proszę i proszę, żebyś zaraz odpisał na mój list, a następnym razem (może przejdzie już choroba oczu) napiszę o sobie bardziej szczegółowo.

Gorąco i szczerze dziękuję za zdjęcie! Całuję ciebie i mocno ściskam rękę.

Cały twój K. Kudriawcew.

## IX

*4 listopada 76 r.*

*Ałatyr*

Oto, kiedy zabieram się do dania odpowiedzi na twój ostatni list, Wasia, otrzymany przeze mnie ponad miesiąc temu! Nie złość się na mnie, Wasia, na Chrystusa, że długo nie odpisywałem... I teraz piszę z ogromnym trudem, tylko jednym okiem patrzę i ledwo rozróżniam linijki i litery... Oko (znowu lewe) rozboleło mnie tak bardzo, że ja – słowo honoru – wątpię w pomyślny koniec choroby, a i sam lekarz mówi, że „jest źle”. Teraz zresztą jest nieco lepiej, zaczerwienienie i zapalenie zmniejszyły się, ale na samej źrenicy pojawiły się jakieś białe plamy... Za bardzo rozpisałem się o moim oku, ale ty znasz, Wasia, przysłowie – „Jeśli kogoś coś boli, to o tym opowiada”. I musiało to oko rozboleć właśnie wtedy, gdy byłem gotów pisać podanie o egzamin!... W ostatnim liście, Wasia, pisałem, że pojedę do Kazania, aby zdawać egzamin, a teraz okazało się, że można zdawać i tutaj. W sierpniu utworzono u nas 4-ro klasowe klasyczne progimnazjum, w którym zamierzam zdawać egzamin. Gdyby nie choroba oka, to już dawno byłbym po egzaminie, a teraz muszę siedzieć, siedzieć... Co to za nuda, miły Wasia, siedzieć! Nic nie mogę robić, nawet wyjść z domu... A jeszcze przesładuje mnie okropna myśl, że nic nie uda się w moim życiu. W głowie mam ciągle ten egzamin... Na Boga, czort wie, gdzie się podziać w takiej chwili... A co u ciebie, Wasia? Pisz, pisz do mnie, proszę, jak najszybciej i dużo! Wybacz, że teraz nie mogę dużo pisać i odpowiedzieć na twoje ostatnie, sympatyczne i pełne przyjaźni listy... Uwierz mi, Wasia, ale nie wolno mi dużo pisać i czytać: jeszcze ostatnie oko mogłoby spaść z pantałyku...

Całuję ciebie i mocno ściskam twoją dłoń.

Twój przyjaciel Kudriawcew.

## X

*Ałatyr, 26 lutego 1877 r.*

Mój miły i drogi Wasia!

Choć mnie zabij – nie wiem, od czego zacząć ten list... Chciałbym przede wszystkim rzucić się tobie na szyję i mocno, mocno ciebie ucałować! Chcę się także usprawiedliwić przed tobą, prosić o przebaczenie za moje „grzechy”, prawie za półroczne milczenie... A w końcu nie odpowiedziałem na twój ostatni list przez cały miesiąc! Czort wie, co to takiego! Masz pełne prawo złościć się na mnie, krzyczeć, tupać nogami, wyzywać mnie, a ja, jak pogardzane i leniwe bydle będę milczał i spuszczać głowę, spuszczać też swoje brązowe oczy i będę wysłuchiwał twoje słuszne i gorzkie zarzuty... Przebac mi, mój przyjacielu! A żebyś nie złościł się, daję słowo honoru, że przed Paschą napiszę *jeszcze dwa listy*, nawet wtedy, jeśli uznasz za właściwe (wcale tak, zresztą, nie myślę) w ogóle na te listy nie odpowiadać...

Czy muszę mówić, jak bardzo ucieszyłeś mnie swoim listem, drogi Wasia, choć – nie złość się, proszę – ponad połowa tego listu poświęcona jest opisaniu (zresztą bardzo pożytecznemu dla zaznajomienia się z warunkami domowymi tego nowego męża-gospodarza i pisarza-dyletanta) twojej wizyty u Silina. Dziękuję za szczere pozdrowienia z okazji otrzymania przeze mnie dyplomu nauczyciela, cieszę się, że jesteś ze mnie dumny. Dyplom dostałem, ale pracy nigdzie nie dostałem. Widzisz, w czym rzecz: zdaje się, że pisałem do ciebie, że tutaj jest, a raczej było wolne miejsce pracy w szkole powiatowej, nauczyciela historii i geografii. Chciałem dostać tę pracę, ale albo moje podanie było spóźnione, albo z jakiejś innej przyczyny, ale pracę otrzymał ktoś inny, a ja znowu siedzę i czekam na dobrą pogodę... A pracę otrzymał ktoś, kto może pracować tylko rok, jeśli nie zda egzaminu, a ja mam przecież zdany egzamin... Czyż nie jest to podłe? Teraz, jeśli dostanę pracę, to gdzieś w Cariewokoszajsku na przykład. Jest jednak nadzieja, że ten nowy nauczyciel nie zda egzaminu – wtedy zajmę jego miejsce, albo on zgodzi się na zamianę nauczanych przedmiotów... Mam już tego dosyć, Wasia, ciągle bez pracy i bez swoich pieniędzy, choćby i małych. Jest mi wszystko jedno, gdzie dostanę skierowanie, do Astrachania, czy Sarapuł, w okręgu kazańskim, a i moja biedna matka jest smutna, że będziemy musieli się rozstać, nie zważa na moje słowa pociechy.

Pytasz, Wasia, co ja robię? O, mój drogi druhu i przyjacielu, lepiej byś nie pytał! Przerazisz się tym wszystkim, co robił twój szczyry Kudriawcew, poczynając od Bożego Narodzenia i kończąc... czort wie, kiedy skończę. Wiesz przecież, że prawie 5 miesięcy przesiedziałem w domu przygotowując się do egzaminu i mając chore oczy, ale jak pomyślnie przeszedłem przez te różne doświadczenia – zaczęło się! Zerwałem się z łańcucha! Znajomych dużo, pracy nie ma, chcę się zabawić, nuda, a tu karnawał – to głupie, jeśli tak uważasz, ale załamałem się... Popijawy (z różnymi paniami i ponczami), tańce, bale maskowe, a w końcu – karty aż do świtu (wiele wygrałem i wiele przegrałem) i żywe kamelie przy 30° mrozie... oto obraz mojego życia w ciągu ostatnich 2-3 miesięcy. Teraz burza zaczęła cichnąć, ale ciągle jeszcze chodzę „w gościnę” i nierzadko wracam „tak późno, że – na Boga! – bardzo wcześnie!”... Poza tymi wszystkimi orgiami, których mam już dosyć, czytam Kostomarowa i Schlossera, Mordowcewa i Thierry’ego, Sołowjowa i innych. Niedawno przeczytałem całego Hettnera, którego znalazłem w bibliotece progimnazjum. (Pamiętasz, razem czytaliśmy!) Czytam grube czasopisma z ostatnich lat i pozeram gazety, ale nigdzie nie mogę znaleźć „Nowi”... W całym Ałatyrze prenumerują tylko 2 egzemplarze „Wiestnika Europy”. Gorąco pragnę wojny z Turcją, ale lękam się... nie pomyśl tylko, że „Lękam się wojska”! Nie! Lękam się, czy znajdą się u nas nowi Rumiancewowie i Suworowowie, którzy dadzą w kość Turkom oraz czy nie znajdzie się jakiś – czym czort nie może poigrać? – swój Bazin... Zresztą, anarchia w Turcji osiągnęła *nec plus ultra* i jeśli Czerniajew ze swoimi ochotnikami i serbskim wojskiem walczył z Turkami i pognał ich – to mam nadzieję, że na widok naszych wojsk oni natychmiast pokażą pięty i pogubią buty...

W twoim liście, miły Wasia, jest dziwny fragment: piszesz o moim liście do Silina i mówisz, to znaczy charakteryzujesz go w dwóch słowach, że „napisany bardzo przyjacielsko, nie gorzej niż do mnie i nie mniej...”. Posłuchaj, Wasia, czyż byś nie był przekonany o mojej

przyjaźni, czyż byś myślał, że bardziej przyjaźnię się z Silinem?! Do Silina piszę zwykle mało i rzadko, natomiast on gromi mnie w swoich ogromnych listach, autentycznych żaglach lub foliałach, których ostatnia strona jest zajęta przez prośby o to, żebym pisał dużo, dużo... Samych wykrzykników w jego listach nie da zliczyć. Rzeczywiście, ostatnio byłem głęboko zdziwiony jego ślubem i pytałem go właśnie o to, a potem wyraziłem swoją opinię na temat jego zajęć literackich. I tyle. Proszę, uspokój się, Wasia, zawsze uważałem ciebie nie tylko za lepszego od Silina, ale za lepszego od 20, 30 podobnych jemu i od tego czasu, jak ciebie poznałem, zawsze byłem twoim prawdziwym przyjacielem.

*Konst. Kudriawcew.*

Napisz do mnie, bądź tak dobry, proszę, jak możesz najszybciej; jak tylko otrzymam list, natychmiast na niego odpowiem. Dlaczego nic nie piszesz o Aleksiejewskim, Jeszyskim – kiedyś naszych wspólnych przyjaciółach? Co porabiają panie Kamienska i Poddubienska? Napisz.

Żegnaj, bądź zdrow.  
Całuję ciebie. – K. K.

## XI

*Alatyr, 5-go kwietnia 1877 r.*

Miły przyjacielu Wasia!

Cóż to za „upór” z twojej strony? Czyż byś nie otrzymał mego listu przed Wielkim Tygodniem, w którym obiecałem częściej pisać do ciebie? Czy jesteś chory lub zbyt zajęty, że nie masz czasu, żeby do mnie napisać? Odpowiedz, proszę, tak dawno nic od ciebie nie otrzymałem. Nie będę się nawet złościł, jeśli wkrótce otrzymam od ciebie list... oczywiście, długi.

O sobie nic powiedzieć nie mogę: wszystko jest tak, jak było. Pracy jeszcze nie znalazłem, dlatego nie mam nic do roboty... Chcę zająć się matematyką i – niech to diabli! – klasykami... Będę przygotowywał się do egzaminu dojrzałości: jeśli czort nie żartuje, to, być może, uda się!

Czytam, jak dawniej, dużo i jak zwykle prawie bez wybierania: wszystko, co popadnie. Jednak przede wszystkim czytam książki historyczne i... beletrystykę, jak zwykle.

W czasie świąt (muszę dodać, że pozdrowiłem przeszłość) nic nie czytałem, „a to znaczy, zabawy”...

Z czasopism czytam tylko „Otieczestwiennyje Zapiski”, „Driewnaja i Nowaja Rossija”, „Russkaja Starina”, a poza tym, poza gazetami, w żaden sposób nie mogę dostać „Nowi”.

Szkoda, że nie zostałem tutaj nauczycielem, wtedy przyjechałbym do ciebie latem. A teraz, diabelstwo takie – siedzisz bez grosza... i co tu marzyć o podróży do Niżnego. Zresztą, gdybym dostał pracę gdzieś nad Wołgą, to bym przyjechał, dałbym znak, czy nie będę przeszkadzał...

Wybacz, że mało piszę: spieszę się, jestem też zmęczony – muszę odpowiedzieć na dużo listów i pomyślałem, że muszę przypomnieć tobie o swoim istnieniu. Nie będę już ciebie prosił, żebyś do mnie napisał: zakładam, że „poczujesz” taką potrzebę...

Czy jesteś zdrow? Czy nie odwiedza ciebie, jak dawniej, od czasu do czasu, wspianała febra? Żegnaj. Mocno całuję i ściskam dłoń.

Twój przyjaciel  
K. Kudriawcew.

## XII

Mój miły przyjacielu,

Wasia!

Co się z tobą dzieje, że nie odpowiadasz na moje listy? Prawdopodobnie ty ich nie otrzymujesz, albo nie ma ciebie w Niżnym. A może jesteś chory i nie możesz pisać?

Wysłałem do ciebie dwa lub trzy listy, a ty ciągle milczysz i milczysz... Jaka jest tego przyczyna? Nie męcz mnie, na Boga, odpowiedz chociaż w dwóch-trzech słowach, tylko odpowiedz. Nic o tobie nie wiem – Allah wie, od jakiego czasu – całą wieczność, jednym słowem... A ty ani jednym słowem nie opowiesz o sobie staremu druhowi i przyjacielowi?!? A może zapomniałeś o mnie?... Będzie mi bardzo, bardzo smutno!

Pytałem o ciebie nawet Silina (i nikogo więcej), ale ten słup też nic nie wiedział, albo nie chciał wiedzieć... I tak, jeśli jeszcze niezupełnie wyparowała twoja przyjaźń do mnie i została chociaż jej kropla – to chyba odpowiesz! Więc *tak?* Proszę, jak tylko otrzymasz ten list, proszę!

Jeśli odpowiesz, to napiszę wtedy długi i szczegółowy list, a teraz wybac, że piszę krótko.

Ciągle jestem nadetatowym nauczycielem i bibliotekarzem tutejszej szkoły powiatowej. Wolnego etatu nie ma. Mam zresztą nadzieję, że zostanę tutaj: chcę zająć się nauczaniem języka rosyjskiego. Będę znowu musiał zdawać egzamin... Szczegóły potem.

Dużo czytam, z ciekawością śledzę wydarzenia wojenne, uczę się języka francuskiego, kąpię się i spaceruję nad brzegiem Sury... Oto, co teraz robię. Czytanie i spacerowanie też mogą się znudzić, częściej jest „nudno i smutno”, niż wesoło. Niekiedy jest po prostu okropnie... Wszyscy nauczyciele i nieliczni znajomi powyjeżdżali, na wakacje, na wieś, a bez nich Ałatyr wydaje się być jeszcze bardziej smutny i nudny... zwłaszcza w takie afrykańskie upały, jakie mamy teraz.

Mocno ściskam dłoń i całuję ciebie, miły Wasia! Czyż znowu nie odpowiesz na mój list? Żegnaj!

Twój przyjaciel  
K. Kudriawcew.

*Ałatyr,*  
*6 lipca 1877 r.*

P. S. Jak poszły ci egzaminy? Boję się, że jesteś z bratem na daczcy i mój list będzie długo leżał w gimnazjum... a ja będę „bezsukutecznie” czekał na odpowiedź.

Jest jeszcze jeden list, nieco niemoralny. Zachowałem go z powodu jego „śmieszności”:

Ja, Wasyl Rozanow, powinienem otrzymać od Włodzimierza Aleksiejewskiego amonit<sup>28</sup> 1 stycznia 1874 r. Aby go otrzymać, oddaję mu prawa do mojej służącej, miss Ketti. Jeśli i on nie odniesie sukcesu, to w takim wypadku amonit przechodzi do mojej kolekcji.

Powyższe podpisali

W. Rozanow  
Włodzimierz Aleksiejewski  
Świadek K. Kudriawcew.

1873 r., 13 grudnia.

---

<sup>28</sup> Amonit – *ammonites* – wspaniały, złocisty, nieduży: przedmiot mojej „pokusy”... W gimnazjum zebrałem piękną kolekcję „kopalin” i ten amonit był wspaniały nie tylko ze względu na swoje znaczenie, ale także i piękno – był ozdobą całej kolekcji. Piękną kolekcję minerałów i rud zebrałem także w Kokszarowie (lekcje z krytalografii), prof. Jeremiejew (kurs lekcji), Łajzle i More.

Być może, Kostia, ty żyjesz: wtedy odezwij się: Piotrograd, ul. Kołomska 33, m. 21.

\* \* \*

622. Rosyjskie samochwalstwo, ukryte pod cnotą i rosyjskie lenistwo, które zapragnęło „wywrócić świat”... – oto rewolucja.

(w czasie zajęć)

\* \* \*

623. Niechęć, niechęć do ludzi... do samego *wyglądu człowieka*... Boże! Od jakiej nieskończonej miłości do człowieka ja zaczynałem (gimnazjum, uniwersytet).

Dlaczego? Czyżby to była *prawda*?

\* \* \*

624. Sterczy pień. A była taka wspaniała latania. 13 rubli.

Tak i my...

\*

Cała historia – gołe pole ze sterczącymi pniami.

(*kupiłem za 13 z małą kadzią i blaszanym liściem na Siennej; goście oceniali na 30 rubli; dwa lata przeżyła, cieszyła oczy, ale 3-go zaczęła schnąć i we wrześniu, u dozorczy na „kupie śmieci” – ogromna kadź, a w niej dziwny pień*)

\* \* \*

625. Czy ja naprawdę w pełni szczerze („Odosobnione”) nie pragnę sławy? Niekiedy wątpię w to. Ale kiedy myślę o *cierpieniu* ludzi – to całkowicie szczerze.

„Sława” i „znakomitość” – jakaż to galaretką dla życia; kiedy już wszystkim się nasyciłeś – „daj i to”. Gdy jednak drzazga wbiła się w palec, to krzyczysz: „Nie chcę żadnej sławy”. W każdym bądź razie to jedno jest sprawiedliwe, że do sławy mogą dążyć tylko puści ludzie. Stąd wniosek: *Skoro pragnę sławy – jestem nikiem*. Oczywiście, ludzkość może inaczej. To znaczy: „Pluję na wszystko”.

\* \* \*

626. „Anuncjata była wysoka i biała jak marmur” (Gogol) – takie słowa mógł napisać człowiek, który ani razu nie spojrzął na kobietę z „jakimkolwiek zainteresowaniem”.

Interesująca jest zagadka płciowa Gogola. W żadnym wypadku nie zawiera się ona w onan..., jak to wszyscy zakładają (rozmowy). A w czym? On, to nie ulega wątpliwości, „nie znał kobiety”, to znaczy nie miał „fizjologicznego apetytu” na kobietę. Cóż więc było? Zdumiewający talent widoczny jest wszędzie tam, gdzie on opisuje zmarłych. „Piękność (wiedźma) w trumnie” – widzisz ją jak żywą. „Martwi, powstający z grobów”, których widział Burulbasz z Katarzyną, płynąc łódką koło cmentarza – zdumiewający. To samo z *topielicą* Hanną. Zmarły żyje u niego zdwojonym życiem, zmarły – nigdy nie jest „martwy”, podczas gdy żywi ludzie są zdumiewająco martwi. To – kukły, schematy, alegorie wad. Przeciwnie, zmarli – i Hanna, i wiedźma – są piękne i *niezwykle interesujące*. To „już nie Sobakiewicz”. Myślę, że tajemnica Gogola znajduje się gdzieś tutaj, w „pięknym świecie zmarłych”, a według Ewangelii: „Gdzie jest wasz skarb, tam jest i *serce wasze*”. Gogol, co jest zdumiewające, nie opisał ani jednego zmarłego mężczyzny, jakby mężczyźni w ogóle nie umierali. A przecież oni też umierają, ale Gogol nie interesował się nimi. Za to opisał cały pensjonat zmarłych kobiet – wcale nie staruszek (ani jedna), wszystkie są młode i piękne. Burulbasz mógłby powiedzieć: „Patrz, turecka duszo, czego mu się zachciało”. I przeżegnałby się.

Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Gogol „przeżegnał się”. Podróżował do Palestyny – tak, był bigotem – tak. Ale nie mógł się przeżegnać. Po prostu byłoby to śmieszne. „Gogol się przeżegnał” – po prostu niedźwiedz tańczy menueta.

Nigdzie też nie opisywał zwierząt, poza bykami, które stratowały Polaków (pod Dubno). Nie wiem, czy w jego utworach pojawia się imię choćby jednego psa. Jest godne uwagi, że ideał moralny – Ulenka – przypomina zmarłą. Błada, przezroczysta, prawie nie mówi, tylko płacze. „Jakby ją wyciągnęli z wody”, a ona (dla zadowolenia Gogola) ożyła, ale samo życie przejawiało się we wdzięku kapiących łez, przypominających krople wody, kapiące z topielicy, wyciągniętej z wody i postawionej na nogi.

Bezdenne głębia i zagadka.

(w sardzie, bolał mnie brzuch)

\* \* \*

627. Boże wieczny, stój przy mnie.  
Nigdy nie odchodź ode mnie.

(często) (żeby nie grzeszyć)

\* \* \*

628. Jaki wpływ chciałbym osiągnąć przez pisarstwo?  
Żeby dusze stały się łagodne.

.....  
.....

.....  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....

– A „przekonania”?  
Pluję na nie.

\* \* \*

629. Czy jestem szlachetnym pisarzem?

Oczywiście, nie napisałbym ani jednego artykułu (dla pieniędzy – tak) – to znaczy nie napisałbym „z duszy” – gdybym nie był o tym przekonany.

A fałsz? Nierząd („zachęcać”)? Częsta złość (raczej ukrywana)?

Jak to pogodzić? Uzgodnić? Połączyć?

Nie wiem. Tylko to przekonanie, że w *moim wypadku* jest to – szlachetne.

Dlaczego tak? Jakie argumenty? – „Sąd niczego nie przyjmuje do wiadomości bez dowodów”.

Tak – a *czymże jest* nieszlachetność?

„Być sfalszowanym”.

Ale ja nie byłem sfalszowany.

„Schlebiać”.

Nikommu nie schlebiałem.

„Pisać wbrew swoim przekonaniom”.

Nigdy.

Jeśli i pisałem z „chce się” (pozorny „nierząd”), to przecież co mam robić, jeśli mi „się chce”?

Nie będziecie ciągnąć krowy na szubienicę za to, że jej „się zachciało”.

Jeśli „kłamałem” (choć nie pamiętam), to po prostu w tym czasie nie chciałem mówić prawdy, a „jak nie chcę – to nie chcę”.

To – głupie.

Nie bardzo, a nawet wcale nie jest głupie. „Nie chcę mówić prawdy”. Co z was za głupcy, że nie umiecie odróżnić prawdy od kłamstwa, dlaczego powinienem dla was pracować?

Zresztą, określonego kłamstwa wcale nie pamiętam.

Prawda, pisałem jednodniowe „czarne” artykuły z eserami. I byłem przekonany. Czyż nie ma w rewolucji 1/100 prawdy? I 1/100 prawdy w czarnej sotni?

Ale po co w wydawnictwie „lewicowym” i w „prawicowym”?

Z przekonania, że rząd nie śmie nawet pomyśleć i nie śmie czynić nic z „prawicowymi” i „lewicowymi” artykułami. Moje hasło: „Gdybym był Kimś, to rozkazywałbym we wszystkich sprawach, nie wyłączając ‘Dziennika Ustaw’”.

– Tych proklamacji proszę nie przynosić do mojego domu.

Rządziłbym czasopismem „Russkoje Znamia” i jakimś typu „Polarnaja Zwiedza”.

– Tych proklamacji nie potrzebuję.

Jak można rządzić przy pomocy „stu gazet”, jeśli nie głosowało 100 000 000 ludzi (chłopi, ogólnie ci, którzy „nic nie mają”)? Nie głosowały też baby i czyści sercem gimnazjaliści.

Głosowali, jeśli można tak powiedzieć, „ludzie pióra”.

Ja bym im urządził takie „kichanie”, że nic by nie rozgryźli.

Rząd powinien być *absolutnie wolny*. Zwłaszcza – od *nacisku prasy*. Oczywiście, równocześnie rząd powinien być nadzwyczaj *surowy w stosunku do samego siebie*.

Ale – z *przekonania i ze swoich zasad*.

A to:

– Bajan mówi.

– Grzegorz Spiridonowicz pragnie.

– Amfiteatrow parska pod Wezuwiuszem.

Proszę powiedzieć, co to za „ważne sprawy”? Jakże nie parskać, nie pragnąć i nie mówić, kiedy jest atrament, a ludzi nauczono pisania?

Pomyślałem jednak o sobie.

– Wszystko to głupoty.

To skromność. Właśnie to, że pisałem „we wszystkich możliwych gazetach” (zawsze szczerze, to znaczy z 1/1000 prawdy w każdej myśli) – było w najwyższym stopniu piękne jako proste oznaczenie mego najgłębszego przekonania, że wszystko jest „bzdurą” i „nikomu nie jest potrzebne”: a rządowi zakazuję (w swojej duszy) tego słuchać.

I jeszcze jedna chytryść lub dalekowzroczność – chyba najlepiej wszystko wyjaśniająca – którą ja *sam* uważam w sobie za udawanie. Przekażę ją w żarcie, gdyż niekiedy lubię z siebie żartować. Ten żart, *rzeczywiście*, przychodził mi do głowy:

– Jakie jest podobieństwo między „Henri IV” i „Rozanowem”?

– Absolutne.

Henri IV w jednym dniu był na mszy luterańskiej i katolickiej, na obu się zęgnął i pochylał głowę. A jednak Schlosser, Czernyszewski, nie mówiąc o Dobczyńskim-Bocklu, wszyscy „chemicy i przyrodnicy”, wszystkie wielkie umysły historii nowożytnej – zgodnie i bez żadnych sprzeczności chwalili Henri IV za to, że złożył w ofierze dawne interesy *religijne* na rzecz nowych interesów *państwa*, a tym samym, według Drapera, „przeszedł z wieku Uczucia do wieku Rozumu”. No, dobrze. Wszyscy chwalili.

Pokłońcie się więc wszyscy „Rozanowowi” za to, że on, jeśli można tak powiedzieć, „pomalował” jaja różnych ptaków – gęsie, kaczki, wróble-kadeckie, z czarnej sotni, rewolucyjne – i wrzucił je „na *jedną* patelnię”, aby nie można było odróżnić „prawicy” od „lewicy”, „czarnego” od „białego” – *na tym tle, który ze swojej istoty jest fałszywy*... I zrobił to z okrzykiem:

– Ze mną Bóg!

Nikomiu by się to nie udało. Albo udałoby się fałszywie i kulawo. Moje „powodzenie” polega na tym, że ja *de facto* nie potrafię odróżnić „czarnego” od „białego”, ale nie z głupoty lub naiwności, ale dlatego, że tam, „gdzie aniołowie śpiewają, to nie widać, „gdzie Himalaje, a gdzie grzbiet Uralu”, gdzie „Kaspijskie”, a gdzie „Czarne” morze...

Dal. Nieskończona dal. Przecież powiedziałem, że „cały oddałem się marzeniom”. Niech nawet marzenie, czyli widmo, jest „nicością”. Wszystko mi jedno. *Widzę* partie polityczne i *nie widzę* ich. Wiem, że są one i *fałszywe*, i prawdziwe. „Proklamacje”.

„Wiek Rozumu” (cnota mieszczańska) znowu przekształca się w heroiczny i święty „Wiek Porywu”; jak i tam na zakręcie dziejów drobny bies podsunął z ironicznym uśmiechem „Henri IV”, który cynicznie, ze względu na swoją koronę, na „swoją złotą główkę” – kpił sobie z wyznań, w których cierpieli surowy Luter i wielki Grzegorz I (papież) – tak samo Bóg posłał na drugim zakręcie dziejów człowieka, którego serce tak dla wszystkich wypaliło się, rozum tak się wycieńczył („O rozumieniu”) w analizie, że dla niego „wszystkie prawdy polityczne splotły się w tkaninę, o której on dobrze wie, że w opatrnościowy sposób powinna ona zostać spalona.

\* \* \*

630. W Rosji w ogóle nie ma *marzenia o swojej ojczyźnie*.

I na tym pustym polu wyrosło kosmopolityczne marzycielstwo.

Grecy mieli takie marzenia. Były one u Rzymian. Są u Żydów.

Francuz ma – „*chère France*”, Anglik – „*Starą Anglię*”, Niemiec – „*naszego starego Fritza*”.

Jedynie człowiek, który skończył rosyjskie gimnazjum i uniwersytet ma – „*przeklętą Rosję*”.

Jakże więc można się dziwić, że każdy Rosjanin w wieku 16 lat wstępuje do partii „*obalenia ustroju państwowego*”.

Szczedrin śmiał się z tego. „*Szesnastoletnia dziewczyna zamyśliła obalenie ustroju państwowego. Cha! Cha! Cha! Hi! Hi! Hi!*”

A przecież Pierowska mając prawie 16 lat dowodziła 1-m marca. Przecież satyryk doskonale o tym wiedział: „*Poczytawszy w Rosji o ojczyźnie, dziesięcioletnie dziecko wejdzie na ścianę*”.

W Rosji słowo „*ojczyzna*” poznaje się równocześnie ze słowem „*przeklęta*”.

Popatrzcie na tytuły czasopism: „*Tarantela*”, „*Osa*”. Całe wydawnictwo – „*Skorpion*”. Jeszcze jakiś owad z Azji Środkowej (było takie czasopismo). „*Dzika Róża*”.

I wszyscy „żądla” Rosję. „Jak by tu i gdzie zapuścić jej jad”?  
Czy można się dziwić, że Rosja oszalała?

\*

Oto prosta „Historia nihilizmu rosyjskiego”.

\*

Żądli ją Niemiec. Żądli ją Żyd. Żądli Ormianin, Litwin. Otwierając gębę,  
z ironicznym uśmiechem lezie chochoł.

A w pośrodku wszystkich, rozpasawszy się, „sam Rosjanin” nadepnął  
butem na oblicze babci-Ojczyzny.

(grając z dziećmi w warcaby)

\* \* \*

631. Uczyłem się w gimnazjum w Kostromie i w *1-ej klasie* musiałem  
wiedzieć, że „Chociaż jestem maleńkim *człowiekiem*, to mam 32 zęby i 24  
żebra”. Potem – kręgi kręgosłupa.

Gdybym w tym gimnazjum uczył się do *VI klasy*, to bym się dowiedział,  
że „był Susanin”, o którym śpiewaliśmy jakieś wiersze (w domu i na ulicy)  
jeszcze przed pójściem do gimnazjum:

...nie widać nic!  
...zawołali wrogowie.

A serce zamierało z zachwytu nad Susaninem, który umierał pośród  
Polaków.

Ale nie uczyłem się do *VI klasy* w Kostromie. Zresztą wielu  
gimnazjalistów „nie dochodzi” nawet do *IV klasy*, ale wszyscy wiedzą, że  
człowiek ma „32 kręgi”, ale nie wiedzą, że Susanin uratował carską rodzinę.

Potem było gimnazjum w Symbirsku (*II i III klasa*) – a ja nic nie  
wiedziałem o Symbirsku, o Wołdze (jedynie powiedziano – „3 600 wiorst”, a i  
to w *IV klasie*). Nie wiedziałem gdzie i jak płynie wspaniała miejscowa rzeczka,  
ulubienica mieszkańców – Swijaga.

Potem gimnazjum w Niżnym. Tam stawiano mi dwóje z łaciny, a ja  
zachwyciałem się Bocklem! Nawet byłoby czymś dziwnym porównywanie  
„Minina i Pożarskiego” z Bocklem: Bockl był podobny w „pysze i sławie” do  
Babilonu, a ci dwaj, nasi książęta – nudni mieszczanie „z naszego zakątka”.

Ja do szaleństwa nienawidziłem „Minina i Pożarskiego” – zwłaszcza za  
to, że nie napisali żadnej wielkiej książki w rodzaju „Historia cywilizacji w  
Anglii”.

Potem uniwersytet. „U nich była Reformacja, a w Rosji nieszczęsny pop  
Awwakum”. Tam – Rzymianie, a u Rosjan – Cziczikowowie.

Jak tu nie wziąć bombę, jak nie wstąpić do partii „obalenia istniejącego  
ustroju”?

Wszystko jest bardzo proste:

Ucząc się w Symbirsku – nie dowiedziałem się nic o Swijadze, o miejscowych poetach – Kasakowych, Karamzinie, Jayzkowie, nie dowiedziałem się też nic o Wołdze – a w Symbirsku jest już to piękna i wielka rzeka.

Ucząc się w Kostromie – nie wiedziałem, że nazwa tego miasta pochodzi od imienia pogańskiej bogini; nic – o monasterze Ipatiewskim; o cudownej ikonie (miejscowej) Fiodorowskiej Matki Bożej – też nic.

Ucząc się w Niżnym – nic o „Nowogrodzie ziemi Nizinnej”, „o Makarym, od którego jarmarki”, o Unży (rzeka) i je starowiercach.

Ale od 10 roku życia powtarzałem jak Wiarę i Religię:

„Chociaż jestem maleńkim człowiekiem, to mam 24 żebra i 32 zęby”, lub na odwrót, niech to diabli wezmą, niech to diabli wezmą.

Jeszcze nas uczono, że ta kość, która *jest* goleniowa, *nazywa się* kością goleniową (!).

\*

Proszę sobie wyobrazić, że głodnemu niemowlęciu zamiast matczynej piersi daje się – „celem szybszego zapoznania się z geografją” – mleko kokosowe, a dziesięcioletniej dziewczynce zakłada się francuskie robiony, także celem szybszego poznania przemysłu francuskiego i sztuki. „Moje dzieci nie mają jeszcze jedenastu lat, a już znają historię i geografję.

W wielu 15 lat te dzieci będą – martwymi starcami.

\* \* \*

632. ...póki co, to jeszcze „kwiatuszki”, ale po 75 latach literatura rosyjska przyniesie owoce.

\*

Już teraz Fariesow, „beletrysta-narodnik”, zaproponował, aby jak najszybciej, celem pocieszenia w bólu, „wziąć do dobrej chrześcijańskiej rodziny” tę niemiecką bonę, która w nocy czytając ze świeczką powieść wywołała pożar, a kiedy płonęła 9-letnia Tamarka Auer, to ona wynosiła swoje ubrania i pozostawiła bez żadnej pomocy płonąca Tamarę. Fariesow, biograf Leskowa, napisał (w „Gazecie Petersburskiej”):

„Ona, nieszczęsna, jest zupełnie roztrzęsiona. Należy jak najszybciej okazać jej pomoc”.

Osobiście proponuję Fariesowi, żeby dał tej guwernantce 25 rubli. Jestem przekonany, że nie da.

Ciocia Tamarki opowiadała o guwernantce, że znalazła już pracę i otrzymała odszkodowanie za swoją bieliznę, która jakoby spaliła się, ale w rzeczywistości była w pralni i została jej oddana.

Tak, ale owa guwernantka jest: 1) Niemką, 2) pracownicą, 3) inteligentką. A kim była Tamarka? Ona tylko krzyczała, gdy zobaczyła palący się pokój: „Biedny tata! Wszystko się spali i kiedy on wróci (zza granicy), nic nie znajdzie”.

On nie znalazł córki. Wieczny jej odpoczynek. Jeszcze jedno: ona często całowała bonę w rękę, od czego ją oduczano. Była bardzo miła dla otoczenia.

Tamara spaliła się w maju. Jej matka zmarła w grudniu tego samego roku, czyli po 5-6 miesiącach. Młody wdowiec wkrótce ożenił się powtórnie.

\* \* \*

633. Cała rewolucja rosyjska przemieniła się w rodzaj *spisku*, ale kiedy to spisek był potężny przeciwko państwu, a nie przeciwko osobie? Rewolucja rosyjska dręczy więc osoby, a państwo dalej istnieje i nic nie czuje.

„Na naszej ulicy Zwienigorodzkiej po 1 marca wszystko stoi tak samo, jak przed 1 marca”. Ani jeden sklepikarz nawet nie kichnął.

(wieczorem w sadzie)

\* \* \*

634. Kiedy rwało się żelazo i ludzie pod Cuszimą, cała literatura śmiała się i profesorzy też się śmiali:

– Stopień kapitana otrzyma każdy, kto określi wysokość masztu (Timirjazew przeciwko Danilewskiemu).

Można by na to odpowiedzieć profesorom:

– Na stole leży pańska rozprawa. Proszę określić, z ilu niemieckich szpargałów jest ona spreparowana?

\* \* \*

635. Najlepsze w mojej działalności literackiej jest to, że dzięki niej mogłem wyżywić dziesięcioro ludzi. To jest jasne i pewne.

A myśli?...

Cóż to takiego myśli...

Myśli bywają różne.

(w wagonie)

\* \* \*

636. Ludzie, którzy nigdzie się nie spieszą – to ludzie Boży.

Ludzie, którzy nie mają żadnego celu – to też ludzie Boży.

(w wagonie)

\* \* \*

637. Gorki słusznie przepowiadał (w bardzo miłym, sympatycznym liście): „Pańskie *Odosobnione* – rozerwą”

Zwłaszcza starają się o to jakieś Żydki z Kijowa – Kołtanowski lub Połtanowski. Sześć razy ich beształem.

Jestem jednak dość wytrwały. Cw. Pisze – „pan jest zatruty”. Wcale tego nie odczuwam, nawet w najmniejszym stopniu. Siądę sobie nad numizmatami, „choć byś pękł”. *Ja sam zebrałem kolekcję lepszą, niż w uniwersytetach kijowskim i moskiewskim. A te kolekcje gromadzono przez sto lat.*

\* \* \*

638. Dla kochającego męża w żonie słodki jest każdy kawałek. Dla kochającej żony w mężu słodki jest każdy kawałek.

*(jadąc dorożką, pogrzeb Stołypina)  
(jasny, słoneczny poranek)*

\* \* \*

639. Wieczne dzieciństwo małżeństwa – oto, co chcę głosić. Małżonkowie powinni być dziećmi, powinni być szczeniętami. Powinni prawie że ssać papkę. Wszyscy powinni ich karmić, troszczyć się o nich, strzec. A oni powinni być tylko szczęśliwi i rodzić wspaniałemu społeczeństwu wspaniałe dzieci. W przyszłym wieku pierwszy rok młoda para nie będzie spędzać w domu, a w złotych kosztach.

*(jadąc dorożką, pogrzeb Stołypina)  
(jasny, słoneczny poranek)*

\* \* \*

640. Powodzenie w cnotcie i cnota w powodzeniu...

\*

On zawsze był prostolinijny i w najwyższym stopniu naturalny. Nigdy nie zauważyłem w nim najmniejszej cechy pozy, „zajmowania się sobą” – cechy prawie powszechnej u dziennikarzy. Nigdy nie widziałem go „rozwalonego na fotelu” (samozadowolenie), co dla pisarza jest prawie królestwem niebieskim.

Pisarz zawsze łakomi się koło swojej miłości własnej.

*(osoba i los staruszka Suworina)*

\* \* \*

641. ...uważam, że lepiej być policjantem i stać na skrzyżowaniu dwóch ulic – bardziej „obywatelskim”, bardziej pożytecznym, bardziej szlachetnym i odpowiadającym godności człowieka – niż siedzieć z wami „przy inteligenckim śniadaniu” i w cwany sposób omawiać zagadnienie „jak to w Rosji wszystko jest głupie” i jak „my sami jesteśmy dobrzy”, sprawiedliwi, honorowi i „gotowi cierpieć za prawdę”...

Boże mój! Jak mogłem przez kilka lat kręcić się wśród tych ludzi? Nie udusiłem się i nie wyrwałem.

No, chwała Bogu, coś przez te lata zobaczyłem (u W-skiej). Głównie, jacy to oni są „szczęśliwi” i jak im „żał biednej Rosji”. I kawior. I portwajn za dwa ruble.

*(czytając Izgojewa o Suworinie w „Russkoj Mysli”:  
„Syn niewykształconej popadii i mikołajewskiego  
sółdata, bitego szpadami”)  
(Jestem przekonany, że ten Izgojew, który nigdy  
nie patrzy prosto w oczy, zna drogę do III oddziału)*

\* \* \*

642. Żydzi „mają powodzenie” w literaturze. Przez sto lat zostali jej „szefami”. Pisać nie umieją, ale jeśli ma się talent „być szefem”, to nie trzeba umieć pisać. Za nich napiszą Rosjanie – ale, co oni chcą i co im potrzeba.

\* \* \*

643. Cała literatura jest (teraz) „przechwycona” przez Żydów. Nie wystarcza im portmonetka: oni przyszli „po duszę rosyjską”...

\* \* \*

644. Pająk jest jeden, a dziesięć much tkwi w jego pajęczynie.  
A przecież miały skrzydła, fruwały. On tylko pełza.  
I wzrok mają lepszy, horyzont. Ale to one są martwe, a pająk żyje.  
Oto Rosjanie i Żydzi. 100 milionów Rosjan i 7 milionów Żydów.  
*(zasypiając)*

\* \* \*

645. Pogrom – to konwulsja w odpowiedzi na mękę.  
Pająk wysysa muchę. Mucha burczy. Skrzydła konwulsyjnie szamocą się i uderzają pajaka, w jednym miejscu przerwały pajęczynę. Ale nóżka muchy już jest uchwycona w pętelkę.  
Pająk o tym wie. Krzyki oburzenia na pogromy – retoryczna figura cierpienia tego, kto jest panem sytuacji.

\*

Pogrom – grzech, okrucieństwo. Pogrom zawsze jest zabójstwem i jest okropny. Jak zabójstwo w obronie własnej jest jednak zabójstwem. Nie można go robić i można uniknąć – przez bezpośrednią fizyczną obronę Żydów. Ale uczyniwszy to – należy odciąć pajęczynę, rzucić na ziemię i podeptać. Należy uwolnić się od pajaka i wymieść z pokoju wszystkie pajęczyny.

\* \* \*

646. 5-go sierpnia dowiedziałem się o chorobie Szury.

\* \* \*

647. Dlaczego nie mogę znieść śmierci? Przenieść do wieczności ziemskich radości?

Carowie umierali. Umarł Aleksander III. Dlaczego nie mogę tego znieść?

Nie wiem. Ale nie mogę znieść. „Ja umrę” – to wcale nie to samo, co „on umrze”. Z „ja umrę” łączy się (jakościowo) tylko „mama” umrze, co jest nawet zadziwiające, gdyż ja jestem grzeszny.

Tak, oto, w czym rzecz: dla całego świata ja także – „on umrze”, i też – „to nic”.

Każdy człowiek tylko dla siebie jest „ja”. Dla wszystkich innych – „on”. Oto wielkie solo. Jak w takiej sytuacji nie zawyć z rozpacz?

*(w wagonie, 9 VIII 1912 r.)*

\* \* \*

648. Kościół wygłasza o zmarłym tak zadziwiające słowa, jakich my nie umiemy wygłosić o zmarłym ojcu, synu, żonie, przyjacielu. To znaczy, że Kościół każdego zmarłego człowieka traktuje tak blisko, jak tylko matka może traktować swoje zmarłe dziecko. Jakże więc za to wszystko nie bronić Kościoła, że...

*(przeszkodzili)*

\* \* \*

649. Ciągle chciałem (1899-1909) uszyć aksamitne ubranie. I ciągle odkładałem. Teraz jest za późno. Miałem już aksamitne ozdoby.

Jakże dobrze było w jasnoszarym ubraniu ze srebrzystą ozdobą (wertikalny pas z boku – i jeszcze gdzieś trochę).

*(u Taratina, czekam na zakupy dla dzieci, mama wybiera)*

\* \* \*

650. Wszyscy pisarze są niewolnikami. Są niewolnikami swoich czytelników.

\*

Bez względu na to, kto jest pisarzem, ma naturę niewolnika.

\*

To wszystko urządził ten Mefistofeles-Gutenberg. Czarna pamięć.

*(ósma rano, w drodze do miasta)*

\* \* \*

651. Siostra Wiera (umierała na gruźlicę w wieku 19 lat) zawsze wyjmowała mięksiz z bułki i mi oddawała. Nie wiedziałem, dlaczego ona nie je

(nie miała apetytu). A ja te masy miękiszu (z bułki za 5 kopiejek) zjadałem momentalnie i była to rozkosz. Ona posyłała mnie po bułki, a kiedy przynosiłem, mówiła: „Poczekaj, Wasia”. I zaczynała, po rozłamaniu bułki, wyjmować miękisz z boku i ze środka.

Miała ciemne włosy (ale nie kasztanowe) i nosiła je upięte w „kok”, wysoko nad czołem, za kokiem grzebień, wąski i półokrągły. Była blada, chuda i bardzo ładna (w rodzinie *tylko ja* nie byłem ładny). Kiedy w końcu postanowiono wezwać Łagowskiego, ona leżała w prawym pokoju (na 2-gim piętrze), obitym zielonym materiałem. Gdy lekarz wszedł, ona wstała z łóżka, na którym ciągle leżała. Lekarz powiedział potem przy mnie do matki:

– Ona zdobyła się na odwagę i chciała pokazać, że „wszystko w porządku”. Proszę zmienić pokój, zielone obicia są dla nie szkodliwe. Jej stan jest zły.

Nic nie pamiętam, jak ona umierała, nie pamiętam też pogrzebu.

\*

Kiedys ona powiedziała do mnie: „Wasia, przynieś nożyczki”. Miałem wtedy 8 lat. Przyniosłem. Ona wycięła z gazety wąski i krótki pasek, który troskliwie schowała do swojej książki, a resztę wyrzuciła. Było wydrukowane: *Samojło*. „Nikommu o tym nie mów, Wasia”. Kiwnąłem głową.

Gdy poszedłem do gimnazjum, zobaczyłem na lekcji historii naturalnej nauczyciela, którego nazywano „Samojło”. Był średniego wzrostu, gładko wygolony, miał z lekka falujące ciemnorude włosy i zawsze chodził w czarnym surducie (pozostali – w granatowych frakach), był niezwykle uroczy, a raczej jakiś wspaniały. Nigdy nie schodził z katedry i nie chodził „demokratycznie” po klasie. W nim nie było nic demokratycznego. Wśród innych nauczycieli, bardzo uczonych, on był bogiem uczoności i ważności. Być może, w ciągu roku uśmiechnął się ze dwa razy, przy szczególnie złej odpowiedzi ucznia, to znaczy jego wargi trochę się zwięzały w „mieszek”, a raczej marszczyły się, ale z rodzajem wyrozumiałości w stosunku do zabawnego ucznia, co pozwalało się domyślać, że on się uśmiecha. Gdy mówił, to znaczy wypowiadał nieliczne słowa, to zawsze trzymał (rysując na papierze) pióro jak można najdalej od stalówki i widziałem jego wąskie, długie, szlachetne palce, a na ich końcu długie i ostre paznokcie, bez najmniejszego brudu pod nimi, a paznokcie były przycięte „pod długość palców” (jakby przycięte z obu stron).

Uczyliśmy się z podręczników Radonieńskiego lub Uszynskiego:

„Chociaż jestem małym człowiekiem, to mam 32 kręgi i 12 żeber”... I inne, wątpliwe wiadomości. W 3 klasie (brat Fiodor) on (Samojło) uczył botaniki. Istniał gruby podręcznik Grigoriewicza „Botanika”, ale to już były rzeczy niedostępne, na które nie mogłem spoglądać.

\* \* \*

652. W wiecznej trwodze o jakieś nieszczęście.

Ale teraz wszystko się wyjaśniło, kiedy ona już 15 lat jest chora i nikt jej nie leczył.

\* \* \*

653. ...główna troska, skąd dostać pieniądze, przez Żukowskiego wyblagać na Dworze; i gdzie by tu zostać – profesorem...

Jako profesor był bardzo dobry. Podwiązywał szczękę i mówił, że bolą go zęby, nie wiedząc *co* wykładać i *o czym* wykładać. Po co on tak bardzo chciał zostać profesorem?

Tak: jeszcze – *komu* by ty przeczytać swój wywód. Już jako uczeń szkoły podstawowej, pisząc listy do matki, dawał jej reprimendy.

W całej działalności i w obliczu ani jednej szlachetnej cechy.

Wszystkie zaś jego działania są bez porywu („szlachetny poryw”), jakieś powolne i ciągnące się. Jakby gad pełzał. „Będziesz się czołgał na swoim brzuchu”.

\* \* \*

654. – Ból zadławił! – (*zapłakała*): – Tak!!

(*mama o Szurze, 9 sierpnia 1912 r.,  
w dorożce – przerwała mi w pół słowa*)

\* \* \*

655. Pamięć literacka jest bardzo słaba. Na nielicznych „pogrzebach literackich”, na których byłem (nigdy ich nie lubiłem), zdumiewało mnie, że idący za trumną nie mają nic wspólnego ze zmarłym. Rozmowy. „Swoje sprawy”. A „ważne osoby” miały zatroskany wyraz twarzy i zastanawiały się nad swoim przemówieniem.

Czyżby ci „mówcy” mieli też iść za moją trumną? Brrr...

Inaczej z prostymi ludźmi: współczucie, łzy, wszystko.

\*

Wydaje mi się, że Kościół i oddani mu ludzie bardzo się mylą, gdy wybierają dla obrony Kościoła metody i narzędzia wrogiej strony – prasy. Kościół jest – milczący. Kościół nie ma nic wspólnego z drukiem lub „starym drukiem”. Po co Kościołowi słowo? Jego słowo – w liturgii, w modlitwach. Te wielkie skarbnice, skarbnice słowa Kościoła, są już stworzone (przed wynalezieniem druku) i można z nich *zawsze korzystać*. „Kazania” właściwie nie są potrzebne. Najwyżej dwa-trzy słowa, nigdy dłużej niż pięć minut. Kościół powinien być milczący i *aktywny*.

Czyż pocałowanie chorego, umierającego, nie jest czynem? Jest to i *czyn*, i *słowo*. Pocałunek zastępuje słowo, pocałunek jest bogatszy od słowa – jest jak

muzyka, jest bardziej nieskończony i nieokreślony, niż słowo. Pogłaskałbym po włosach. Objąłbym kajającego się i znużonego. Oto „słowo” Kościoła. Po co mówić?

Niech mówią literaci.

A wszystkie kościelne czasopisma i gazety – proch i marność...

\* \* \*

656. – Mrok bez światła...

*(choć raz w tygodniu – przez całe lata –  
przed zaśnięciem, lub leżąc, gdy  
podejdę i zapytam: „Jak się czujesz?”)*

\* \* \*

657. Szura:

– Kiedy ona się leczyła? Nigdy się nie leczyła.

Rzeczywiście – czy „leczeniem” mogły być jałowe wizyty Nauka z bromem, kamforą, digitalis i chininą?

On ją „uspokajał”, kiedy topniała materia mózgu i szlifowała się tkanka serca.

\* \* \*

658. Siedzę u Rcy. Jego żona (bardzo miła, ale ma już mało zębów) mówi:

– Nie znoszę Żydów, wszystkich bym ich zlikwidowała...

Śmiech. Ona jest wspaniałą gospodynią, dba o rodzinę, szczerą kobietą, ze względu na płodność i rodzinność – w niej samej jest coś biblijnego.

– Kiedy urodziłam ostatnią dziewczynkę, to wbiegła nasza sąsiadka, Żydówka – w Gątczynie – i pyta:

– Kto?

– Dziewczynka.

Ona (Żydówka) usiadła. Wstała i mówi:

– Gdyby to był chłopiec, co cała Gątczyna zakrzyczałaby (ciesząc się i współwesołując).

– To! To! – powiedział Rcy – Wyzywajcie Żydów, przeklinajcie, ale przyznajcie, że oni też mają godność.

R. (utalentowany Żyd w Moskwie) w swoim 3-im liście do mnie (nie znam go osobiście) dopisał: „Moja siostra niedługo będzie rodzić”.

Tak. Ich nie wolno ani potępiać, ani negować. Tylko oni sami (*obecne* wyrodky, inteligencja) nie wiedzą, „za co?”. Ale wróćmy do „Gątczyny”.

Dlaczego Gątczyna tak bardzo cieszyłaby się z „chłopca”? Przecież dziewczynka – to ten sam *duch*. Tak, ale *organ* – nie ten. Co właściwie powiedziała Żydówka, nawet tego nie podejrzewając?

– Gdybyś ty, moja rosyjska sąsiadko, wydała na świat nowy *męski organ*, cała Gątczyna krzyczałaby z zachwytu.

Przecież to zgadza się z ceremonią „niesienia fallusów” przez greckich kapłanów, a jeszcze wcześniej – przez egipskich. „Nieść w procesji” lub „krzyczeć w mieście” – to samo. Któż będzie śmiał negować, że w judaizmie ukryte jest to, co historycy niemo i martwo nazywają „kultem fallicznym”, że cały lud ubóstwia, odczuwa pociąg „do tych... maleńkich rzeczy”...

Religia wyraziła εθνος.

\* \* \*

659. Przy organizowaniu małżeństw (w kraju) zawsze należy mieć na uwadze, że jest to problem (potrzeba) stad, problem cielców – „wielości”, „tłumu”... i w żaden sposób nie wolno orientować się na „naszą warstwę szlachecką”, ani na żadne miejskie przywileje i wyjątki... Oni sami się urządzają i postanowią. Należy „otwierać bramę stada, stada, stadom”: oczywiście, ta brama nie powinna być wąska, inaczej połamie się.

(zajmując się numizmatyką)

\* \* \*

Przeważnie kanony (Kościoła greckiego o małżeństwie) miały na uwadze albo rodzinę imperatora albo patrycjuszy. A przez to nie zauważyli stada. Patriarchowie konstantynopolitańscy, co jest naturalne, chcieli „przytrzeć nosa” (przez swoje prawo „nie zezwalam”) cesarzom i byli z *tego powodu* dumni oraz wolni w wymaganiach: „ledwo godzili się na trzecie małżeństwo”. Ale spierając się z pałacem zapomnieli o „Waśce Busłajewiczu”, który krzyczy – „Chcę dziesiątą żonę” i co ma robić (zdarzyło się coś takiego raz na 1 000 000 ludzi), jeśli *bez jego winy* zmarło dziewięć żon, a zdrowie aż tryska, krew z mlekiem. Więc kpiarsko krzyczy: „Przecież nie będę spać z poduszką!” oraz „Nie ożenię się z pierzyną!”.

Rację mieli patriarchowie (duma Kościoła wobec władców Bizancjum), ale i Waśka Busłajewicz też ma rację, gdyż to on jest *ludem* (stado, cielce).

\*

Czy dziewięć żon może umrzeć jednemu mężczyźnie *bez jego winy*? Po pierwsze, „kobiecie Samarytance” umarło, lub też odeszło od niej, *siedmiu mężów*, a to już nie tak daleko do dziewięciu. Po drugie, opowieść Baksta, zadziwiająca i zmuszająca do zadumy: „Czy jeden człowiek może doświadczyć w ciągu doby dwóch katastrof kolejowych?” – Odpowiedziałem: – „Oczywiście, nie!!! Nieprawdopodobne!!!” – „Proszę sobie wyobrazić – mówił Bakst – pewien mój znajomy jechał z Hawru do Lyonu i przeżył katastrofę w pociągu *Hawr – Paryż*. Uratował się i z radością kontynuował podróż, ale zginął w katastrofie pociągu *Paryż – Lyon*. Katastrofa dwóch pociągów na dwóch liniach w ciągu jednej doby jest, oczywiście, *możliwa* i nie wydaje się czymś *nieprawdopodobnym*, to się zdarza, ale bardzo rzadko. Tymczasem w tym całkowicie możliwym wypadku miało miejsce *nieprawdopodobne nieszczęście*:

*jeden i ten sam pasażer doświadczył dwóch katastrof kolejowych w jednym i tym samym dniu. To samo dotyczyło tych wszystkich pasażerów, którzy „ocaleli” w jednym pociągu, jechali dalej i przesiadli się do drugiego pociągu, który też uległ katastrofie”.*

*Cud. A – jednak miał miejsce. „Niemożliwe”, a – „zdarza się”. Gdyż stada to – miliony ludzi. To samo w ludzkiej i małżeńskiej, to znaczy w dyktowaniu praw odnoszących się do małżeństwa, hierarchia kościelna powinna „założyć” wszelkie nieprawdopodobne wypadki. Aby według słowa Bożego – „gałązki nadłamanej nie dołamać” i „lno tłące się nie zagasić”.*

*Tak właśnie patrzy niebieskie oko.*

*Ale nie tak patrzy czarne oko.*

\* \* \*

660. Kiedy Kościół organizował życie płciowe (instytucja małżeństwa), to wyraźnie widać, że organizowała coś, co „nie jest jego”.

Organizował życie tych, którzy *nie są* jego.

I ci, którzy „*nie są* jego” – pouciekali (XIX w. – a także wcześniej; „obyczaj”).

\* \* \*

661. Nie wolno konia umieszczać w oborze, krowy w przegrodzie, psa w ptaszarni, a kury w budzie psa.

To wszystko.

*(zajmując się numizmatyką: tak w Rosji wygląda małżeństwo, brak rozwodów)*

\* \* \*

662. Wszystko to, co ucieka, wymyka się, pociąga nas w sposób nie do przewyżnienia.

Tak w miłości, jak i w literaturze. Czyżby *tak samo* – w prawdzie? Boże, czyżby tak samo i w religii, gdzie „Boga nikt nigdy nie widział”?!!

*(przy kolacji i Sherlocku Holmesie, 20 VIII)*

\* \* \*

663. Czyż nie jest iluzją, że za swoich czytelników uważam jedynie tych, którzy kupują moje książki, to znaczy 2 500 osób? W prasie nie da się oddzielić czytelnika od człowieka *tobie oddanego*. Wiem jednak z listów, że także ci, którzy nie przeczytali ani jednej mojej książki – są mi *oddani*. W takim wypadku iluzja „braku czytelników” natychmiast by zniknęła.

Nie wiem. Waham się. Z powodu braku chętnych na moje książki doszedłem do wniosku, że „jestem mało znany w Rosji” i nie wywieram żadnego wpływu.

*(głęboką nocą, czytając Sherlocka Holmesa)*

\* \* \*

664. Człowiek jest szczerzy w swoich wadach i nieszczerzy w cnotach.

\* \* \*

665. Popatrzcie, zbrodnie leją się jak wolna pieśń, a życie cnotliwe ciągnie się jak panichida.

Dlaczego? Skąd taki koszmar?

Popatrzcie więc, jak wspaniałe jest „Piekło” Dantego i jak kwaśny jest jego „Czyściec”. To samo dzieje się z „Rajem utraconym” Milтона i z jego „Rajem odzyskanym”. Dlaczego? Dlaczego?!!

Istnieje tylko jeden, jedyny, wyjątek, jak się wydaje: ody olimpijskie Pindara, którym nie odpowiadały żadne baśnie, kpiny i satyry.

A to znaczy, że Grecy w IV-V w. przed Chrystusem – byli szczęśliwi i czysti.

*(w gabinecie)*

\* \* \*

666. Wada jest malownicza, a cnota tak szara.

Co to za koszmary?!

*(20 sierpnia 1912 r.)*

\* \* \*

667. Hercen wpuścił do Rosji całą rzekę frazesów, wyobrażając sobie, że jest to „polityka” i „historia”...

To on jest twórcą politycznego pustosłowia w Rosji. Pustosłowie to składa się z dwóch elementów: 1) „ja się staram”, i 2) kiedy już to wykazałem, mogę mówić wszelkie bzdury i będą one „polityką”.

Ponieważ w Rosji wszyscy gimnazjaliści cierpią z powodu lenistwa i surowości nauczycieli, to od Hercena zaczęło się, że każdy gimnazjalista jest „politykiem” i gimnazjaliści zajmują się polityką.

Nie zawsze jest „tak”, ale w 9/10 – tak.

\* \* \*

668. ...a jednak pomimo wszelkiej szczerości jest też i chytryść. Jeśli nie ma jej w tym, co zostało powiedziane, to jest ona w tym, czego nie powiedziano. A to znaczy, że w naszym „nagle” i we wszystkich okrzykach my okrywamy się sierścią. Jesteśmy „zimni”, „nieładni”.

Jacyz jesteśmy wrażliwi! Jacyz nieszcześni!

*(o „Odosobnionym”, porządkując książki, jesień 1912 r.)*

\* \* \*

669. „Człowiek-sztampa”, który jest oceniany nie według zasług, ale – według „sztampy”. I nakładają na niego różne „sztampy” – jedną po drugiej, coraz głębiej. Już „cała pierś w orderach”. Mnóstwo takich osób składa się na „ojczyznę-sztampę”.

Nie ma siły, żeby takich kochać.  
Zaczęto kłaść „sztampy” na miłość.  
Położono „sztampę” na Kościół.  
Oto nasza historia.

(wyszedłem zapalić papierosa na schodach)

\* \* \*

670.

Jesieni późnej kwiaty spóźnione...

ten wiersz jest dla mnie tylko mitem. Ani jesieni, ani jesiennych drzew – nigdy nie widziałem (tylko w dzieciństwie).

Gdy tylko pojawią się grzyby – zbieraj swoje książki i jedź do miasta. „Początek nauki”. Grzyby pojawiają się w sierpniu, niekiedy w końcu sierpnia: w tym roku tylko 2 razy chodziłem z Wasią na grzyby i prawie nic nie znaleźliśmy, tak  $\frac{1}{2}$  lub  $\frac{1}{4}$  patelni różnych grzybów – i koźlaki, i surojadki, i kurki. Borowik – tylko jeden. A miejscowość – „grzybowa”.

Dzieci – wszystkie – mają wspaniałą pamięć w lesie. Sześć lat temu, za Teriokami, poszliśmy bardzo daleko, w gąszcz leśny, przeskoczywszy jakieś opłotki i przebrnąwszy przez jakieś błota. Nagle – zaczyna się zmierzch! Przeraziłem się: mama czeka z kolacją, mama będzie zdenerwowana. „Dzieci, szybciej do domu, zmierzcha się!!!” Wszyscy ruszyliśmy do domu.

Zupełnie nie mam pamięci, ogólnie wiem – *gdzie* iść, ale zupełnie nie pamiętam drogi – *gdzie* ona prowadzi. A przecież można trawić na bagna i nie wydostać się stamtąd do rana. Nagle dzieci krzyczą: „Tata – tutaj, tata – tutaj!!!” I Wasia, taki drobniutki, ma zaledwie 7 lat, maszeruje z przekonaniem, jak król lub stary leśnik. „Oto brzoza, przechodziliśmy obok niej, oto wzgórek, wtedy był z lewej strony”. Szybko zapadał zmierzch i prawie biegliliśmy. Nie minęła godzina, jak usłyszeliśmy okrzyk „Aj!” służącej, którą wysłano nam na spotkanie.

Mama, cała osłabła z przerażenia i mówi:

– Co wy ze mną robicie?...

– No, mam! – Nasze dzieci są jak leśnicy, wszędzie można ich puszczać i nie zabłądzą.

I Tania, i Wiera, i Waria – wszystkie jak bohaterki. Dosłownie „urośli”, ponieważ „tatę doprowadziły do domu”. I grzyby. Całe koszyki. Zaraz czyścimy je w kuchni (chwila zadowolenia, „tryumf prawdy” i „nagroda za wysiłek”).

\*

Ileż jest wart pod względem wychowawczym jeden taki wieczór! Czy można go zastąpić wiedzą na temat:

Wiele jest nazw na is  
Masculini generis:  
Panis, piscis, crinis, finis.

A niech to czort porwie!!!

No, niech to będzie okrutną koniecznością, ale w listopadzie, w październiku, a nie wtedy, gdy

Las atlasowy swoje oddaje żniwo

Tak, ten wiersz także jest dla mnie mitem. Wcale takiego lasu nie widzieliśmy. Moje biedne dzieci, takie utalentowane, ale uczące się z trudem – nigdy takiego lasu nie widzą.

\*

Nie widzą, niestety, tej cieplarnianej wspaniałości lasów. A gdy 7-11 letnie dziecko ją zobaczy, to co poczuje? – Kto to badał? Kto się domyślił?

Być może, cieplarniany las w dzieciństwie na starość uratuje go przed nudą, tęsknotą, rozpaczą? Uratuje w młodości od ateizmu? Powstrzyma młodzieńca przed samobójstwem.

Nic z tego nie bierze się pod uwagę. Biedna jest nasza szkoła. Taka zadowolona z siebie, taka szczęśliwa w swoim ubóstwie. „Mu już przerabiamy algebrę” (ze smarkaczami, które jeszcze nie potrafią wytrzeć sobie nosa).

\* \* \*

671. Niezwykle głęboka i budząca trwogę uwaga Tiernawcewa, 3 lata temu. Mówiłem coś o uniwersytetach, o profesorach, być może o rządzie i ministrach, a on mi przerwał:

– Bzdury! Dzielnicowy – oto, kto jest ważny!

Machnął ręką, jakby pokazując na około, ponad dachami domów (rozmowa miała miejsce wieczorem, nocą):

– Wszędzie pod tymi dachami mieszkają ludzie. *Jacy* ludzie? *Jak* oni żyją? Nikt tego nie wie, ani minister, ani pański profesor. Nauka nie wie, administracja nie wie. I nikt się tym nie interesuje. A tymczasem, *jacy* ludzie żyją i *jak* oni żyją – to splot wszystkiego, splot *ważności*, splot *zainteresowania*. To wszystko zna *tylko dzielnicowy* – zna anonimowo, zna w milczeniu, „na wszelki wypadek”, gdyż do jego obowiązków nie należy składanie meldunków o tym wszystkim. On zna *złodzieja* – on zna  *prostytutkę* – on zna szulera, czyli człowieka mającego wątpliwe źródła dochodów, zna zdradzającą żonę, znany przyjazdy i wyjazdy kobiet z półświatka. Wszystko, o czym opowiadają powieści, co Gorki opisał w „Na dnie”, co przedstawia Arcybaszew i inni – całe to przerażające i romantyczne życie, pełne tajemnic i przestępstw, straszne i

święte, zna „z obowiązku służbowego” dzielnicowy, a poza nim, też „z obowiązku służbowego”, nikt tego życia nie zna.

On chyba tego nie dopowiedział, ale w myślach ja dopowiedziałem za niego:

– Oto, gdzie należy pracować: gdzie jest autentycznie *interesująco*, gdzie jest autentyczna *wszechwiedza*!

Tylko mignęło w myślach: „Rzeczywiście – *tak!* A nikomu nie przyszło do głowy!”

On to powiedział jeszcze bardziej wyraziście. Prawie, że w tym sensie: wszystkie zawody są widmowe i literackie, realny jest tylko jeden zawód – policjant.

Sam Tiernawcew jest szlachetnym marzycielem, *à la* Hamlet. I nagle – taka myśl!

(28 sierpnia 12 r.)

\* \* \*

672. Jedynie ta, która miłuje wolność, poszła do Żydów.

A oni jej powiedzieli: „Cyc”.

I ta, która miłuje wolność, odeszła z podwiniętym ogonem.

\* \* \*

673. Cała rosyjska opozycja jest opozycją pokoju lokajów, to znaczy jakiegoś tylnego podwórka – co do tonacji: z głęboką świadomością, że to jest – tylne podwórko, z głębokim bólem – że sami są „z tyłu”; z głęboką świadomością i *uznaniem*, że krytykowana osoba lub krytykowane osoby są panem lub panami. Przeszkadza w połączeniu się z opozycją, a to oznacza konieczność przejęcia tonacji lokajów. Za najbardziej niezależnego człowieka w literaturze uważałem Strachowa, który nigdy nie wspominał o rządzie, a żył, myślał i w końcu pracował w państwowej instytucji (drobny i przypadkowy urząd członka komitetu ministerstwa oświaty z pensją 1 000 rubli), ale miał jakiś talent lub dar, takt lub natchnienie, żeby w ogóle nie interesować się „rządem”. To nie to samo, co lokaj-Michajłowski, „zaczarowany” Plewe, lub też „człowiek dworu”, Korolenko, który nie może przeżyć jednego dnia, jeżeli nie uda mu się ugryźć komisarza lub jakiegoś naczelnika, albo też pokazać z kieszeni figę „swojemu połtawskiemu gubernatorowi”. „Spróbuję jeszcze wyżej” – myśli, i trzęsą mu się łydki. „Na chórze był jakiś naczelnik policji, a Annienski powiedział: *Niech nas słuchają i tam*” – i wskazał na chór” – pisze Lubow Guriewicz, a to znaczy, że wskazał **na samego naczelnika policji!!!** Cóż za szaleńcza odwaga. Strachow zapadłby się pod ziemię z powodu braku szacunku do siebie, gdyby w jakimś przemówieniu o znaczeniu kulturowym dopuścił – nawet w myślach – choć przez chwilę zajmowanie się naczelnikiem policji. Uważałby za poniżające pomyśleć nawet o ministrze spraw wewnętrznych, gdyż miał na uwadze jedynie wieki i historię. Oto wspomniała

wolność *nie*-radykałów pociąga, to znaczy pociąga do słowianofilów, do Rosjan, którzy w ogóle nie zajmują się „rządem”, *ani* – „tak”, *ani* – „nie”, „*i* – tak” „*i* – nie”. Kiedy rząd postępuje dobrze – „tak”, a kiedy źle, nieudolnie – „nie”. Rząd jest po prostu organem narodu i społeczeństwa: członek społeczeństwa, pisarz, patrzy na rząd jak na swego sługę, to znaczy sługę takich, *jak on*, obywateli. W ten sposób uznanie „panowania władzy” jest cechą radykałów, a nie „naszego brata”. Oto, czego nie zauważono, o czym nie pomyślano. Wolność polityczną i godność obywatelską mają konserwatyści, a „opozycja” ma jedynie lokajskie rozdrażnienie i udrękę z powodu „swojej strasznej sytuacji”.

\* \* \*

#### 674. **Poddać małżeństwo prawu miłości...**

wydaje się, że w tym stwierdzeniu zawarta jest istota chrześcijaństwa: wszystko poddać prawu zgody, spokoju, ciszy. Ale właśnie w chrześcijaństwie – a nie w islamie i nie w judaizmie – dwa tysiące lat rządzi inna zasada:

#### **Poddać miłość prawu małżeństwa.**

I wszyscy w tym duszą się.

\*

Wydaje się, że w małżeństwie – ale nie w Ewangelii i w Biblii (to oczywiste) – nadal panuje rzymskie małżeństwo państwowe. Wszyscy Ojcowie Kościoła byli obywatelami Imperium Grecko-Rzymskiego, lub – czysto Rzymskiego, i pojęcie „podstawowej komórki społecznej” wzięli z otaczającego ich świata.

\*

Oto dlaczego moje porywy ku nowemu małżeństwu, chociaż wydają się być „anty-kanoniczne”, są jednak autentycznie ewangeliczne i jedynie antyrzymskie i antypogańskie, gdyż właśnie elementy rzymskie i pogańskie zostały nieostrożnie wprowadzone do „kanonów”.

\*

Bóg stworzył miłość. Adam i Ewa *kochali się* – i właśnie z tego powodu Biblia nazwała ich *isz* i *iszsza* („zespoleni”), *mąż* i *żona*. Miłość jest starsza od „prawa małżeńskiego”. Jest więc zrozumiałe, że to, co jest starsze i podstawowe, nie potrafi podporządkować się temu, co jest nowe i dodane.

To nie „rzeczownik” zgadza się co do rodzaju, liczby i przypadku z „przymiotnikiem”, ale „przymiotnik” zgadza się z „rzeczownikiem”.

\*

Trzymajcie się tego, klechy: inaczej, nie będą was słuchać.

Będziecie za to zabijać, a i tak wam się nie podporządkują: według słów Pisma – „miłość *silniejsza jest nawet od śmierci*”.

\* \* \*

675. Bardzo dobrze jest zorganizowane nauczanie w kraju: od 8 do 22 lat – gorliwe uczenie się. „Wkuwanie”, że nawet głowy nie można podnieść... Od 22 do 35 lat – wzorowa praca, pierwsze rangi i pierwsze ordery. W wieku 35 lat – radca stanu. Żonaty (z posagiem) i pierwsze dzieci: no, znaczy się – „kuchnia i sypialnia”. Po osiągnięciu rangi radcy stanu – stół karciany, kredka i póki co – trzeba przegrywać z „władzami”, a potem dla niego będą przegrywać podwładni. Wtedy on już będzie rzeczywistym radcą stanu.

Potem umrze. W czarnej ramce „żona i dzieci” powiadomią, że „po ciężkiej chorobie” Iwan Iwanowicz wreszcie „zmarł”.

\* \* \*

676. To bardzo zdrowa reakcja na „głupotę”, że gimnazjaliści się nie uczą. – Nie uczcie się, panowie. Do diabła z tym! Szalejcie, bawcie się. Zbierajcie kwiaty, zakochujcie się. Ale kochajcie też swoich rodziców i szanujcie duchownych (chodźcie do cerkwi). Na egzaminach „ściągajcie” – ku zadowoleniu nienasyconego ministerstwa.

A kiedy będziecie mieli 20 lat i będziecie już, oczywiście, żonaci, zacznijcie po trochu czytać, czytajcie coraz więcej i więcej, aż do samej śmierci.

Wtedy śmierć przyjdzie późno, a wasza starość będzie mądra.

\* \* \*

677. ...a to was już w dzieciństwie robią starcami, a na starość proponują się ożenić. „Jesteś już bowiem tak mądry, że teraz możesz wychowywać dzieci”, których teraz nie możesz już rodzić.

Powiedzcie więc dorosłym:

– Nie, tatusiu. Nad książkami i papierami, przy biurku i zajmując się różnymi sprawami – będę siedział na starość. Wtedy rozum będzie kierował tymi sprawami. A teraz ja – głupiutki – pobiegnę na pole, nazrywam kwiatów i zaniosę je dziewczynie.

\* \* \*

678. Z tych słów Chrystusa, że „mąż i żona nie mogą się rozejść, jak tylko z powodu cudzołóstwa”, duchowieństwo zyskało więcej dochodów, niż ze wszystkich złóż złota w Kalifornii, Australii i na Altaju.

Chociaż stąd trysnęła krew i mózg ludzkości, to Kościół nie może ich inaczej tłumaczyć lub komplikować, gdyż wtedy zamkną się złoża złota. W obronę i zachowanie tych słów w sensie dosłownym włożono więcej wysiłków, niż w obronę całej Ewangelii.

Czegoż człowiek nie da za odbudowanie swego szczęścia rodzinnego? Na ten właśnie przycisk nacisnęło duchowieństwo.

(poświęcam pamięci S. A. Raczińskiego)

\* \* \*

679. Tracąc dziewictwo dziewczyna traci swoje *określenie*.

Ona nie zgrzeszyła (prawo przyrody), ona nikogo nie skrzywdziła. Całemu światu może powiedzieć: „Co wam do tego”? Tak.

\*

Kiedy jednak będą z nią rozmawiać jak z „panną”, jak z „dziewczyną”, a nie jak z „panią”, z „damą”, to przecież ona nie powie:

– Nie jestem już *dziewicą*.

Coś więc ukryje. I to na każdym kroku. Każdego dnia będzie zmuszona kłamać. Będzie w takiej samej sytuacji, jak mając w kieszeni podczas podróży „paszport obcego człowieka”, z „fałszywymi danymi”.

Autentyczna w dziewictwie, szczerą w dziewictwie, bezpośrednia w dziewictwie – teraz (po utracie dziewictwa) będzie zmuszona każdego dnia skłamać, powiedzieć „nieprawdę” i wyrzucać sobie „brak męstwa”.

To taka udreka.

A jeszcze straszniejsze jest to, że „zginana przez burze” ona w końcu zacznie rosnać krzywo, „bokiem”, nieprawidłowo.

Ona cała przygaśnie. Zamknie się w sobie. Wcale nie z powodu „grzechu”, którego nie ma w stosunku płciowym, ale ze względu na okoliczności – utrata „dziewictwa” jest w samej rzeczy „upadkiem”. Empirycznie od tego czasu dziewczyna zwykle „upada” i „upada”. „Upada” w obowiązkach, „Upada” w pracy. „Upada” w domu.

\*

No, *anatemy* (społeczeństwo, starsi): uprzedźcie to straszne nieszczęście waszych dzieci zamążpójściem we właściwym czasie, możliwie jak najwcześniejszym. I nigdy nie odważcie się krzyknąć – „Ty upadłaś!” (rodzice do córek), kiedy minęły już 3-4 lata, a ona ciągle dręczyła się, czekała.

(to jest, gdy „dojrzeje”) (zresztą w prawie powinien być określony okres „spłaty weksli”, okres – póki dziewczyna ma „obowiązek czekać”. Póki – wszystko społeczeństwu i nic – dziewczynie. Prawo powinno, na przykład, powiedzieć: „Po skończeniu 30 lat zachowanie dziewictwa nie jest obowiązkowe i macierzyństwo panny nie ma w sobie nic złego, a jej dziecko jest – legalne”)

\* \* \*

680. Tak, ja też myślę, że rosyjski postęp, zrodzony przez wyrzuconych ze służby policjantów i szulerów karcianych, zajdzie daleko:

Siejcie rozumnie, dobrze, na wieki,  
Siejcie. Dziękujemy, powie wam serdecznie  
Rosyjski naród.

Zresztą narodowi rosyjskiemu od tego ciągłego „dziękuję” łamie się szyja. Ze wszystkich stron generałowie, ale gdzie wojskowy domaga się jednego pokłonu, tam generał literacki zmusza do kłaniania się przez cały wiek.

Szczedrinowi i Niekrasowowi kłaniają się już 50 lat.

\* \* \*

681. A jednak bytowa Ruś jest mi bardzo droga, miła, intymnie bliska i współczująca.

Wszyscy by się kochali. Wszyscy by się żenili. Wszyscy by rodzili dzieci.

Nieco by ich uczyli, nie męcząc, a potem też żenili. „Wnuki powinny być gotowe, gdy rodzice są jeszcze w rozkwicie” – oto mój kanon.

Tylko „†” jest straszna.

(po powrocie z wesela Swietozara Stiepanowicza)

\* \* \*

682. Kim była Sulamitka?

To każda Izraelitka w wieczór z piątku na sobotę.

\*

„Pieśń nad pieśniami” należy porównać z tym fragmentem Księgi Proroka Ezechiela (14 lub 15 rozdział), w którym Bóg mówi przez proroka, jak spotkał dziewicę Izraela: „piersi twoje (dopiero co) nabrały kształtu” ... „włosy twoje stały się obfitsze” ... „Włożyłem też pierścień w twój nos, kolczyki w twoje uszy”... „Ale ty... oddawałaś się każdemu, kto obok ciebie przechodził... Egipcjanom... Asyryjczykom”...

(czytając rano gazety)

\* \* \*

683. Jakiż piękny jest ten fragment! Każdy młodzieniec i każda dziewczyna powinni znać go na pamięć – jako *korzeń* swego życia, jako podstawę swoich *praw*:

*Księga Proroka Ezechiela, rozdział XVI:*

Pan skierował do mnie te słowa: „Synu człowieczy, zapoznaj Jerozolimę z jej obrzydliwościami.

I powiedz: Tak mówi Pan do Jerozolimy: Z pochodzenia swego i urodzenia swego jesteś z ziemi Kanaan. Ojciec twój był Amorytą, a matka twoja – Chetytką.

A twoje urodzenie: w dniu twego przyjścia na świat nie ucięto ci pępownicy, nie obmyto cię w wodzie, aby cię oczyścić; nie natarto cię solą i w pieluszki cię nie owinięto.

Żadne oko nie okazało współczucia, aby spełnić względem ciebie jedną z tych przysług przez litość dla ciebie. W dniu twego urodzenia wyrzucono cię na puste pole – przez niechęć do ciebie.

Oto Ja przechodziłem obok ciebie i ujrzałem cię, jak szamotałaś się we krwi. Rzekłem do ciebie, gdy byłaś we krwi: Żyj, rośnij!

Uczyliłem cię jak kwiat polny. Rosłaś, wzrastałaś i doszłaś do wieku dojrzałego. Piersi twoje nabrały kształtu i włosy twoje stały się obfitsze. Ale byłaś naga i odkryta.

Oto przechodziłem obok ciebie i ujrzałem cię. *Był to twój czas, czas miłości. Rozciągnąłem połą płaszcz mego nad tobą i zakryłem twoją nagość. Związałem się z tobą przysięgą i wszedłem z tobą w przymierze – wyrocznia Pana – stałaś się moją.*

Obmyłem cię wodą, otarłem z ciebie krew i namaściłem olejkami.

Następnie przyodziałem cię wyszywaną szatą, obułem cię w trzewiki z miękkiej skórki, opasałem bisiosem i okryłem cię jedwabiem.

Ozdobiłem cię klejnotami, włożyłem bransolety na twoje ręce i naszyjnik na twoją szyję.

Włożyłem też pierścień w twój nos, kolczyki w twoje uszy i wspaniałą diadem na twoją głowę.

.....  
Rozeszła się twoja sława między narodami.

.....  
Wziąwszy ozdobne przedmioty z mojego złota i z mojego serca, które ci dałem, uczyniłaś sobie z nich podobizny ludzkie i przed nimi grzeszyłaś nierządem.

Wzięłaś swe szaty wyszywane i okryłaś je nimi, a także moją oliwę i moje kadzidło składałaś w ofierze przed nimi!

Nawet mój pokarm, który ci dałem: najczystsza mąkę, oliwę i miód, którymi cię żywiłem, ofiarowałaś przed nimi jako miłą woń. Tak było – wyrocznia Pana.

.....  
\* \* \*

684. Otrzymałem dwa charakterystyczne listy.

Wielce Szanowny  
Wasylu Wasiljewiczu!

Postanowiłem zwrócić się do Pana z prośbą, która może się panu wydać dziwną, a nawet nachalną. Jestem studentem 3-go roku instytutu psychoneurologicznego. Nie mam pieniędzy. Żyję dzięki pomocy ojca.

Te pieniądze strasznie mi ciążą – po prostu „pałają ręce”.

Z zadowoleniem zrezygnowałbym z tej pomocy. Nie mam jednak żadnych szans otrzymania skądkolwiek pieniędzy. Zarabianie dzięki korepetycjom – sam pan wie, co takiego!...

Postanowiłem przy pierwszej okazji zrezygnować z pieniędzy ojca. Przyszło mi do głowy, żeby poprosić pana o 2 000 rubli. Być może, moje wyobrażenia są zbyt naiwne – ale kiedy dowiedziałem się, że ma pan 35 000 rubli (Odosobnionie), to doszedłem do wniosku, że może pan mi dać 2 000 rubli.

Mając takie pieniądze mógłbym się uczyć jeszcze 4 lata (wcześniej nie uda mi się skończyć instytutu), a potem mógłbym zwracać panu te pieniądze.

Będę bardzo dotknięty, jeśli uzna mnie pan za aferzystę.

To, na co się zdecydowałem – zostało przeze mnie głęboko przemyślane. Oczywiście, nie mogę panu przedstawić gwarancji swojego honoru – pan może mi uwierzyć, albo z obrzydzeniem wyrzucić mój list do kosza...

W każdym bądź razie moja prośba jest poważna i proszę mi zaufać, że nie ma w niej nic szarlatańskiego.

Bardzo chciałbym otrzymać od pana odpowiedź.

G. Sz.

Adres: SPB., ul. Jekatierinskaja N°N°

Dla studenta G. I. Sz.

27 sierpnia 1912 r.

P. S. Chciałbym, żeby treść tego listu pozostała między nami.

G. Sz.

Zadziwiająco: autor, którego potrzeby powinienem zauważyć – sam nie zauważył w tymże „Odosobnionym”, że dzięki tym 35 000 żyje 11 ludzi, w tym 5 małych dzieci i całe lata chora żona. „*Pan do mnie nie ma żadnej sprawy, ale ja do pana – mam*”.

– Ale dlaczego?

– Ja jestem studentem, przyszłością Rosji, a pan jest starcem i – do niczego.

Bardzo miłe.

Sz. P.

Często czytałem w gazetach: ktoś się utopił, ktoś się zastrzelił, ktoś się otrul, przed śmiercią pozostawiając kartkę: „Nie mam co jeść”, „Nie mam za co żyć”. Po przeczytaniu o czymś samobójstwie, myślałem: „Nieprawda, nie może tak być, żeby człowiek, który ma ręce i chce pracować, nie miał za co żyć. W takim wypadku chodzi o usprawiedliwienie przed kimś swojej przedwczesnej śmierci”. Myślałem, że taki człowiek przeżywa jakiś duchowy dramat, nie ma sił, żeby go przetrzymać – więc pozbawia się życia. Kartka? – kartka mówi jedynie o części, o małej części dramatu duchowego, jest prostym zbiegiem okoliczności.

Tak myślałem i dochodziłem do wniosku: człowiek, jeśli może i chce pracować, zawsze znajdzie dla siebie pracę i będzie miał środki do życia, nigdy nie zdecyduje się, aby z takiego powodu pozbawiać się życia. Z jeszcze większym przekonaniem mówiłem tak w wypadku kawalera.

Jednak w sposób zupełnie dla mnie nieoczekiwany musiałem dojść do odwrotnego wniosku. I to nie przy pomocy jakichś wniosków logicznych, a po prostu sam tego doświadczyłem.

Powiem trochę o sobie.

Jestem technikiem, ukończyłem niższą szkołę techniczną, w której byłem najlepszym uczniem, i to nie dlatego, że bardzo się uczyłem, a dlatego, że bardzo łatwo zdobywałem to, co innym przychodziło z wielkim trudem. Pracowałem i uczyłem się w domu, bardzo chciałem zdać maturę. Widząc jednak, że gdy się pracuje, to jest mało czasu na naukę – a na korepetytora nie mam pieniędzy – postanowiłem pojechać do Petersburga, gdyż wiedziałem, że w tym mieście mogę się dobrze przygotować do egzaminu (za niewielkie pieniądze), poświęcając na naukę wolne wieczory.

Przyjechałem. Początkowo od razu znalazłem pracę. Zacząłem szukać mieszkania. Ale praca się skończyła, nowej nie mogę znaleźć. Już 2 miesiące szukam pracy: pracy nie ma. Szukałem jej w różnych dziedzinach: mógłbym być rysownikiem planów, ślusarzem,

pracować jako tokarz przy obróbce metalu lub drewna, mógłbym obsługiwać maszynę parową, sprężynową lub dynamo-maszynę, bądź być monterem w elektryce. Gdzie bym jednak nie prosił, godząc się na jakąkolwiek pensję, zawsze spotykałem się z odmową<sup>29</sup>. „Mamy komplet pracowników”. „Wszystkie etaty zajęte”. Oto typowa odpowiedź, którą otrzymywałem w kantorach i zarządach, lub od stróża, gdyż nie wpuszczano nie tylko do pracy, ale nawet po to, żeby o nią poprosić. Wszystkie pieniądze, jakie przywiozłem ze sobą i zarobiłem, zostały przejezione lub wydane na konieczne potrzeby: pozostało z nich 3 ruble oraz niezbyt ciekawa perspektywa śmierci głodowej. Umrzeć z głodu! Jak to brzmi? Nie, nie dojdę do tego, popełnię samobójstwo.

W Rosji nikt z głodu nie umierał, a ja nie będę służyć jako przykład. Pójdę starą, wytyczoną przez innych dróżką.

Co prawda, są jeszcze inne możliwości: prosić o wsparcie, zostać chłopcem na posyłki, ale tym nie chcę się zajmować, gdyż po prostu nie mogę.

Chcę żyć! Chcę pracować! Mogę pracować! Jestem silnym człowiekiem. Co mam jednak robić, gdy dostaję taką odpowiedź: „Wszystkie etaty zajęte!” Co?

„Pełen komplet pracowników. Więcej nie potrzebujemy”.

A tu kipi życie! Idzie praca! A ja? – Ja jestem zbędny. Przecież nie jestem tak samo zbędny, jak zbędny pud dla człowieka, który przenosi ciężary, jak zbędny człowiek w szalupie w czasie katastrofy morskiej. Połóż zbędny pud na plecy tragarza, a on upadnie i nie przeniesie ciężaru. Posadź zbędnego człowieka w łódce, a łódka utonie i nikt się nie uratuje. Przecież ja nie jestem tak samo zbędny! Jak pan myśli?

A czas płynie. Nadejdzie taka chwila, że będzie o jednego człowieka mniej. Takie jest życie! Wszystkiego mnie nauczono – mogę robić jedno, lub drugie – ale nie nauczono mnie głównego: Jak żyć? Jak dostosować się do życia? – tego zapomniano nauczyć. Dali wiele lampek na drogę, ale nie dali zapalek, a lampki zgasty, jedna po drugiej. Zbłądziłem! Ciemno! Ciemno!

Gdybym dołączył do tego listu mój adres, to lękam się, że pan mógłby pomyśleć, że chcę się wymądrzać, lub – co jeszcze gorsze – mógłby pan pomyśleć, że proszę o wsparcie. Postanowiłem więc posłać panu ten list bez adresu i nazwiska. Tak będzie lepiej! Tak!

Proszę przyjąć wyrazy szacunku

...OW

SPB

11 października 1911 r.

---

<sup>29</sup> *Wszystkie prace* są już zajęte przez Żydów lub Niemców, wszystkie *praktyczne* zajęcia – oni już zdobyli. „Rosjanina po prostu nigdzie *nie dopuszczą*” – to aksjomat ulicy, targu. „Idź na targ, albo zostań chuliganem, albo rewolucjonistą”, tam cię nakarmią, ale karmić będą też cudzoziemcy. Nakarmią według bardzo prostego motywu: „Przećz z drogi, konkurenci!” O tej stronie „problemu robotniczego” nic nie mówią panowie Hornfeld, Korolenko, Miakotin i Pieszeczonow. Być może, Plechanow i księżę Kropotkin coś by odpowiedzieli. No, ale wszyscy oni są „astronomami”, patrzą w niebo i nie zauważają ziemi. Ach, panowie, okropne rzeczy dzieją się na tej ziemi... Prasa? Wolność myśli? Wolność, żeby zakrzyknąć? Wskazać?

– Cha! Cha! Cha! Cha! Cha! Cha!...

– Pokrzyucz sobie, pokrzyucz. Proszę bardzo!

Zdaje się, że wszystko jest już „urządzone” i „skończone”.

Ach, jest nadzieja! Gerszenon usłyszy, przecież on jest słowianofilem!

Moi przyjaciele, Rosjanie: Nikt was w Rosji nie usłyszy, wszystko jest już „opracowane” i wszystko się już „skończyło”...

Ba! Ba! Ba! – Maksym Gorki, Leonid Andriejew?...

Wokół śmiech Żydów:

– Cha! Cha! Cha! Jakże oni mogą coś powiedzieć przeciwko tym, którzy tyle lat ich chwala, sławią i nazywają geniuszami...

Wszystko się ułożyło... Związane „mocnym węzłem”...

Jakiż dziwny list! Moje wysiłki, żeby uprzędzić nieszczęście – list w gazecie do anonima, aby przyszedł do mnie – są raczej spóźnione.

\* \* \*

685. Tołstoj zadziwia. Dostojewski wstrząsa.

\*

Każdy utwór Tołstoja jest budowlą. Co by on nie pisał lub nawet nie zaczynał pisać („urywki”, „początki”) – jest budowlą. Wszędzie młot, pion, miara, plan, „przemyślane i postanowione”. Już od początku każdy jego utwór jest w istocie do końca zbudowany.

I w tym wszystkim nie ma strzały (w istocie, nie ma serca).

Dostojewski jest jeźdźcem w pustyni, z jednym kołczanem strzał. Tam, gdzie trafi jego strzała, kapie krew.

Dostojewski jest drogi człowiekowi. Nic z „drogi” nie ma w utworach Tołstoja. Wiecznie „przekonuje”, niech więc idą za nim „przekonani”. Z „przekonań” zresztą w ogóle nic nie wychodzi, poza zwałami papieru i zbierającymi ten papier bibliotekami i księgarniami, sporami w prasie, a w ostatecznym rozrachunku – metalowego pomnika.

A Dostojewski żyje w nas. Jego muzyka nigdy nie umrze.

(wrzesień)

\* \* \*

686. Na tamtym świecie, jeśli trafisz do rajcu, to zamiast wody będą poić arbuzami.

(jedząc arbuza)

\* \* \*

687. – Jaki pan chciałby mieć pomnik?  
– Tylko jeden: pokazujący widzom figę.

(trudny dzień, wrzesień)

\* \* \*

688. We mnie jest jakiś fetyszizm szczegółów. „Szczegóły” są moimi „bogami”. Ciągłe się z nimi bawię.

Kiedy ich nie ma: pustynia. A ja się boję pustyni.

\* \* \*

689. „Parostatek literatury” płynie – płynie przy bólu, nieszczęściu, udreće duszy... Wszystko „płynie” i „płynie”... Korekty, rękopisy...

(historia z rzyżym koniem w Lisino)

\* \* \*

690. Mocniej zamykaj drzwi domu, żeby nie wiało.  
Nie otwieraj ich za często. I nie wychodź na ulicę.

\* \* \*

691. Nie schodź ze schodów twego domu – tam zło.

\*

Poza domem jest zło dlatego, że tam jest – obojętność.

(Lisino)

\* \* \*

692. Tak, jeden obok drugiego wałęsa się: Hornfeld ociera się o plecy Korolenki, Pietriszczew biega gdzieś między nogami, wychodzi – gromada; ta gromada ociera się o taką samą gromadę „Sowriemienego Mira”. Wychodzi z tego szum, przeważnie „wzajemnych sympatii” i wzajemnego zachwycania się talentem. Ale dlaczego „szum literatury”? Rosja powinna się wziąć za „swój postęp”.

Nie rozumiem. Nie zrozumie ani rolnik, ani rzemieślnik, raczej nie zgodzi się urzędnik. „Ja też jestem papierowym królestwem – pomyśli urzędnik – i nie rozumiem, dlaczego oni oddzielają się ode mnie. My jesteśmy bardzo harmonijni”.

\* \* \*

693. Lepiej byś, demokrato, nie podsłuchiwał pod drzwiami, niż efektownie witał się z lokajami i kucharkami, podając im rękę. Z tego powodu życie nie stanie się piękniejsze, ale z powodu podsłuchiwania życie po prostu cuchnie. A przy tym trzeba mieć bardzo dużo zachwyty nad samym sobą i miłości własnej, żeby myśleć, że ci ludzie zostaną uszczęśliwieni przez to, że podasz im rękę. Oni mają *swoją godność* i chociaż to dziwne, w niej zawiera się i to, żeby dostać parę kopiejek „za palto”, ale ty nigdy tych kopiejek nie dajesz.

(L.)

\* \* \*

694. – Nie, tato, ty się mylisz. Kiedy mieszkaliśmy tam przez dwa tygodnie, pamiętasz, po powrocie z Kaukazu, to ja raz ukradłam z kuchni marchewkę, a ona to zobaczyła. Co z marchewką? Uciekłam i nie dojadłam, rzuciłam do rynsztoku i z przerażenia powiedziałam, że nie wzięłam. A ona tak mnie męczyła, tak męczyła. – „Ty, Taniu, jesteś złą dziewczynką, ukradłaś i skłamałaś. Powiem twojej mamie”. I poskarżyła się mamie, że ja skłamałam, kiedy mama wróciła. No, i co z tą marchewką?

(socjal-purytanka Lidia Erastowna)

\* \* \*

695. Wstrętny giez – nie na rogach, a na plecach byka ciągnącego ciężki wóz – oto nasza publicystyka, i Czernyszewski, i Błogoswietow: kłują plecy byka.

\* \* \*

696. Rosja niekiedy wydaje się ogromnym bawołem, który zjadł na łące zioła, zjadł jakąś „gadzinę-roślinę” z trucizną: zatruty przez nią on zaczął się szaleńczo kręcić.

\* \* \*

697. Córka studentka. Ma przyjaciółki. Rozmowy, szepty, nadzieje...  
My „będziemy to”; „my tego za nic w świecie”... „Zgodzimy się”... „Nie zgodzimy się”...

\*

Wszystkie – przed przerwą i nikt im tego nie powie:

„Gdy tylko wyjdziecie z zaczarowanego kręgu studiów, dostaniecie papierek, że „skończyście” – nie spotkacie nikogo, ani jednej ręki, ani jednej twarzy, ani jednego urzędu, gdzie by otworzyli drzwi i powiedzieli: <Jesteś nam potrzebna>”.

Ten lodowaty chłód – „Nikomnie nie potrzebna” – zmrozi was i, być może, wielu zabije.

Ale bądźcie cierpliwi. Walczcie. Przez to lodowate morze każdy musi przepłynąć, a kto je przepłynie – wypełźnie na brzeg.

Bez piór, bez trenu, ale wypełźnie.

\*

Dlaczego już *teraz*, na studiach, nie myślicie o swojej pracy? U Żydów jakoś to wychodzi: „krewni” i „póki co, niech dyżuruje w sklepiku”. „Niech uczy” niezliczone dzieci. U Rosjan – nic. Ani sklepiku. Ani krewnych. Ani dzieci. Poza abstrakcyjnym stwierdzeniem: „Trzeba by zacząć pracować”. Ale w odpowiedzi na to usłyszysz: „Nie ma wolnych miejsc”.

\* \* \*

698. Dwie studentki i czterech gimnazjalistów w imię „prawdy swojej duszy” postanowiło zrobić w Rosji przewrót.

Nie wiedzą, biedni, że i bez „przewrotu” po skończeniu nauki nie będą mieli co jeść. I będą mówić „Ekscelencjo”, żeby tylko nie umrzeć z głodu.

A prasa ich popiera: „Idźcie! Szturmujcie!” – Szefowie, mili ludzie. Azefowie i – nic więcej.

(*Korolence i Pieszehonce*)

\* \* \*

699. Wszyscy ludzie są umęczeni swoim brakiem wykształcenia – jedynie G. znajduje w tym źródło pychy i rozkoszy. Poprzednio, kiedy uważał się za „socjalistę narodnika” (z takim nazwiskiem!), to mówił w duchu socjalistów, że „choć niczego się nie uczył, to jednak wszystko wie i może na każdy temat mieć swoją opinię”. Nie można mu wyjaśnić, że Portugalia i Hiszpania – to różne państwa, gdyż on płacze „Półwysep Pirenejski” z „Hiszpanią”. Teraz, kiedy stał się „narodnikiem i działaczem państwowym”, to uważa za właściwe nie zgadzać się ze swoimi „rosyjskimi przekonaniem”, ale z uszczęśliwioną miną zaczął mówić, że jakoby „powiedział Stołypinowi, że jego poglądy na Rosję są całkowicie błędne”.

– Aleksandrowi Arkadiewiczowi Stołypinowi?

Jakby jadł galaretkę:

– Ni-e-e-e. Piotrowi Arkadiewiczowi. Powiedziałem mu, że zupełnie się z nim nie zgadzam.

Tout le monde est frappé que G. jest niezadowolony.

Nie wiem, czy Stołypin był szczęśliwy rozmawiając z G., ale G. był szczęśliwy, że porozmawiał ze Stołypinem.

Gdy wracał do domu tramwajem konnym, to prawdopodobnie myślał:

– Co teraz Stołypin myśli o mnie?

To zajmowanie się Stołypina G-om i G-a Stołypinem wydaje mi się być wielkim faktem historycznym. „W stos historii powinien być położony wszędzie swój kamyczek”. I G. gorliwie położył „swoją”.

(z okazji „zaproszenia” do Towarzystwa Słowiańskiego)

\* \* \*

700. Do *siły* – wszystko przystaje, z *siłą* (w sojuszu z nią) – wszystko jest bezpieczne; oto historia nihilizmu lub, ściślej, nihilistów w Rosji.

Trzeba porównać pozbawione blasku, zapędzone „gdzieś w kąt” życie Strachowa, który niekiedy nie miał nawet szczypty herbaty, żeby zaparzyć ją dla gościa – z szumnym, wspaniałym życiem Czernyszewskiego i Dobrolubowa, którzy prawie „nie zaszczycaли rozmową” samego Turgieniewa. Trzeba porównać ubogie życie Dostojewskiego w haniebnym zaułku Kuznieckim, gdzie stoją jedynie domy dorożkarzy i mieszkają w pokoikach prostytutki – z życiem ożenionego z Żydówką-milionerką Stasiulewicza we własnym murowanym domu na ulicy Galernej, gdzie mieściła się „opozycyjna redakcja” czasopisma „Wiestnik Europy”. Trzeba porównać nędzne życie – życie *jako nieszczęście i ból* – Leontiewa i Gilarowa-Płatonowa z życiem magnata literackiego Pantelejewa, w którego pałacu zbierało się „Towarzystwo Hercena” (1910-1911) z setką gości-członków z życiem „Wasyla Wasiljewicza i Barbary Dmitrijewnej”, z Ge i Iwanowem przy szklance herbaty – żeby zrozumieć, że nihilisci rosyjscy dawno już temu domyślili się, gdzie „raki zimują” i pobiegli

po złoto, pobiegli do obcego, sytego stołu, pobiegli do drogich win, wszędzie pobiegli z zatroskaniem tego, *który nic nie posiada* – do tego, *który posiada*. Nihilizm od dawna już *liże łapy bogaczy* – oto, w czym rzecz. Nihilizm *przypochlebia się znanym ludziom* – oto, w czym rzecz. Do „Mikołaja Konstantynowicza” na zimowego i wiosennego Mikołaja (imieniny obchodził dwa razy w roku), zjeżdżali się goście nie tylko z Petersburga, ale także literaci z Moskwy: z Moskwy specjalnie przyjeżdżał z pozdrowieniami Maksym Gorki, studentki – z bukietami i studenci – oczywiście, żeby poszeptać o swojej „opozycji” i „pозdrowić”, a on rozdzielał swoje pochwały i potępienia, awansował i poniżał. O tym niedomytym nihiliscie Błogosławieństwie słyszałem od Suworina, że w jego gabinecie były drzwi z czarnego drewna ze złotą inkrustacją, przed którymi stał sługa-Murzyn, „jak u hrabiów i książąt”; to już nie jest mieszkanie biednego Rcy z jego Olgą Iwanowną. Właśnie tych „szczegółów” nie zna nasza naiwna i łatwowierna prowincja, można się o nich dowiedzieć dopiero po przyjeździe do Petersburga, a gdy się już ktoś dowie, dziwi się niezmiernie. Gdy byłem gimnazjalistą w VI-VII-VIII klasie, to dziwiłem się, jak rząd troszczący się o kulturę i cywilizację, może tolerować istnienie tak wstrętnego czasopisma, które wyzywa wszystko, co istnieje. Wydawało mi się, że takie czasopismo mogą wydawać jacyś pijani seminarzyści, którzy „nie ukończyli studiów”, którzy piszą swoje artykuły przy ogarkach świec, po czym upijają się i śpią na wspólnych łóżkach ze swoimi „studentkami”: jednak „czarne drzwi z Murzynom” mnie i nikomu w Niżnym nie przychodziły do głowy... Wtedy wszystko wydałoby się nam inne. „Nihilizm” wydawał się nam „rozpaczą studentów”, dopuścmy, że wraz ze studentkami, ale wszystko – „świetnie”, wszystko – „wspaniale”, wszystko – „dusza z duszą” narodu, z prostotą, z nędzą. Murzyn nikomu nie przychodził do głowy. Wchodziliśmy w „nihilizm” i w „ateizm” jako w cierpienie i nędzę, jako w śmiertelną i męczącą walkę ze wszystkim, co jest syte i tryumfalne, ze wszystkim, co zasiada przy „uczcie życia”, ze wszystkim, co „tłamsi naród” i „nas, biednych studentów”, a już w ostatnim rządzie także i nas, stłamszonych gimnazjalistów. Byłem niezmiernie zdumiony, kiedy po przyjeździe do Petersburga nagle zobaczyłem, że „i Tertij Iwanowicz w opozycji”, a jego ulubieniec, który ma 2 000 „arendy” (aż do śmierci, coroczna nagroda z rozkazu cesarza), wyraża się bardzo pochlebnie o zamachach: zakręciło mi się w głowie, w duszy płomień i dym. „Oto, gdzie opozycja: z orderem Aleksandra Newskiego i Białego Orła, z tysiącami w kieszeni, z łososiem na stole”. – „To zupełnie *inna sprawa*”. Potem znajomość ze Strachowem, który mówił „jak po rosyjsku” w pięciu językach i jak wirtuoz znał biologię, matematykę i mechanikę, znał filozofię i był subtelnym krytykiem, ale nie miał gdzie drukować poza słabo płacącym „Russkim Wiestnikiem”... Potem przyszedł Piercow, który odszedł od Michajłowskiego, ze swoimi wspaniałymi (pomimo skromnych środków) wydaniem cudzych dzieł...

Zrozumiałem, że w Rosji „być w opozycji” – znaczy kochać i szanować cesarza, „być buntownikiem” w Rosji – znaczy pójść do cerkwi na nabożeństwo, a w końcu „postąpić jak Stienka Razin” – to dać w mordę Michajłowskiemu z jego „dwoma imieninami” (opowieść Piercowa). Zrozumiałem, że „Russkije Wiedomosti” – to departament, który „każdego może awansować”, że Elżbieta Kuskowa – to „mająca rangę dama”, której wszystko samo idzie „pod pióro”, gdyż ona wydawała cenione czasopismo „Bez Tytułu”. Ale ubogimi i prostytutkami całe życie zajmuje się księżna Dondukowa-Korsakowa (wstrząsająca biografia – w książce Stasowa o swojej siostrze), natomiast „długie treny” noszą Elżbieta Kuskowa i Sofia Kowalewska, a przed nimi idą „damy kawalerskie” z Zasulicz i Pierowską na czele, które wielkoduszną i świętą Dondukową-Korsakową nawet nie dopuściły „na audiencję u siebie” w Szliselburgu. Wtedy zrozumiałem, gdzie opozycja, co znaczy być z „poniżonymi i znieważonymi”, co znaczy być z „biednymi ludźmi”. Zrozumiałem, gdzie koryto i świny, i gdzie – wieniec cierniowy, gwoździe i męka.

Potem ta idiotyczna cenzura, która jak kwas przeżera „prawosławie, autokrację i naród”, zabierając im wszystkie książki – nie przepuszczenie mojego artykułu o monarchii i paralelnie opieka nad socjaldemokratycznym czasopismem „Dzieło”. Nagle oprzytomniałem i zrozumiałem, że w Rosji „hulanka i oszustwo”, że w niej zawsze lewicowa „opryczyna” rządzi całym państwem i chluśnie witriolem w twarz każdemu, kto nie zwiąże się z „opozycją z łososiem”, z „opozycją z szampanem”, z „opozycją z Kutlerem i rentą w wysokości 6 000 rubli”...

Poszedłem do tej spokojnej, bezsilnej, być może, w istocie mającej zostać zdeptaną opozycją, która polega na tym, żeby:

- 1) pomodlić się,
- 2) wstać wcześniej rano i pracować.

(15 września 1912 r.)

\* \* \*

701. Gdzie jednak przepadła sprawa Rosji, duch rosyjski? Jak *to* wszystko (patrz wyżej) mogło się stać? Dokonać się?

W oficjalności, w tryumfalizmie i nowych „nagrodach”.

W tym samym „smrodzie”, w którym teraz ginie (?) nihilizm.

Wszystko najlepiej wytłumaczyć *przypadkiem*, w którym gdzieś wyczytał mój brat Kola (17 lat temu).

Pewnego razu cesarz Mikołaj Pawłowicz przechodził przez pałac i usłyszał, jak wielkie księżniczki-podrostki zebrały się w komnacie i śpiewają „Boże, cara chroń”. Zatrzymał się więc przy drzwiach komnaty, a po skończonym śpiewie wszedł i powiedział zarazem groźnie i łaskawie:

– Dobrze śpiewałyście i ja wiem, że to z dobrych pobudek. Ale w przyszłości *nie śpiewajcie*: to jest święty hymn, którego nie należy śpiewać przy

każdej okazji, kiedy ma się na to ochotę, prawie bawiąc się lub próbując swój głos. Ten hymn można śpiewać *bardzo rzadko* i z *bardzo ważnych powodów*.

Rozwiązanie wszystkiego.

W naszych gimnazjach, a zwłaszcza w ówczesnym podłym gimnazjum w Symbirsku, za Wiszniewskiego i Kildjuszewskiego z ich okropnym szacunkiem dla wszelkich rang, który wykręcał żołądek, zmuszano całe gimnazjum w *każdą sobotę*, aby przed portretem cesarza śpiewało „Boże, cara chroń”, a i teraz, z powodem i bez powodu wszędzie każdy tłum śpiewa „Boże, cara chroń”...

Jak?

– Oczywiście, bezdusznie!

Nie można w każdą sobotę doświadczać uczuć patriotycznych i wszyscy wiedzieliśmy, że to „Kildjuszewskiemu i Wiszniewskiemu jest potrzebne”, aby zasłużyć się przed gubernatorem Jermiejewem: a my, gimnazjaliści, jesteśmy narzędziem tego podłego zasługiwania się.

Oczywiście, „śpiewaliśmy” w każdą sobotę i w każdym gimnazjaliście coś ulatywało z zielonego drzewa uczuć narodowych: „śpiewali” – a w małych dziecięcych piersiach rósł żółciowy, melancholijny i rozjątrzony nihilizm.

Pamiętam, że właśnie *Symbirsk* był ojczyzną mojego nihilizmu. Byłem tam w II i III klasie, w IV-ej przeniosłem się do Niżnego.

W tym oficjalnym i tryumfalnym, ale przymusowym „patriotyzmie” – cała rzecz. Niekiedy myślę, że niech nawet pozostaną „urzędy”, ale trzeba z nich zdjąć pozłotę i naszywki, zresztą bardzo śmieszne i kuse, *kuriozalne*. Jak i ordery, poza najwyższymi, wstęgi i gwiazdy. Wszystkie te „krzyżyki” dawno już temu stały się pośmiewiskiem. „Urzednicy” powinni być odziani w proste czarne marynarki – można przecież wymyślić coś prostego i poważnego. Również te wszystkie „pozdrowienia władz z okazji świąt”, raczej przeszkadzające w odpoczynku, spędzeniu czasu z rodziną – cała ta plugawa nikczemność powinna zostać wymieciona, po prostu „w jeden piękny dzień” należy ją zakazać.

Uczucie żywione do ojczyzny – powinny być surowe, oszczędne w słowach, nie bełkotliwe, kwieciste, bez „machania rękoma” i wybiegania do przodu (żeby zauważyli).

Uczucie żywione do ojczyzny powinno być wielkim gorącym milczeniem.

(15 września)

\* \* \*

702. A teraz poszukajcie Magnickich i Rusili, Arakczejewa i Tadeusza Benedyktowicza Bułgarina – w swoim obozie, panowie.

(radykałom)

\* \* \*

703. Całe „nasze wychowanie” – nie rosyjskie, ale europejskie, nam współczesne – wyraża się w:

– Panowie! Proponuję powstać i uczcić zmarłego minutą milczenia.

Wszyscy wstają.

Poza tym końskim sposobem traktowania przerażającego, nieprawdopodobnego i niewypowiedzianego faktu śmierci, wstrząsającego Niebem i Ziemią, nasza cywilizacja nic nie wymyśliła, nic nie wycisnęła ze swojej duszy.

– „Wstańcie, panowie!” – oto cała miłość.

– „Wstańcie, panowie!” – oto cała mądrość.

Darwin, parlament i wojny Napoleona wszystkim niezliczonym zmarłym i umierającym, mówią:

– „Wstaliśmy” – „Kiedy wy umrzecie – my wstaniemy”.

Jest to tak nędzne w sensie naszych „zdolności”, w sensie naszej „miłości”, w sensie naszego „szacunku do człowieka”, że...

No i co, czy będziemy „reformować Kościół” z takimi zdolnościami?...

Przecież w nikim z nas, w *całej naszej cywilizacji* nie ma ani jednej kropli tej miłości, nie ma ani jednej kropli tego bezgranicznego szacunku do człowieka, jakie zostały powiedziane przez Kościół przy tworzeniu tych obrzędów (pogrzebowych), słów, pieśni, czytań, a wszystko to zostało zapieczętowne jako *dokument*. A jakież my mamy *dokument* miłości?!

„Wstańcie! Postali!!”

– Osły!

Cóż można powiedzieć poza tym jednym słowem: „osły”.

\* \* \*

704. Ta „ważna próba reformy” – próba z pustym sercem, próba z nędznym rozumem – wstrząśnie Europą... Tu są „i dekadenci”, i „my”, „i ego-futuryści”, wszelcy „odnowiciele”, i jeszcze „Duma” i Karaułow.

Tak, „postaliliśmy” też nad Karaułowem. A on powinien na nas z tamtego świata kichnąć i powiedzieć: „Mało”.

\* \* \*

705. Opowieść Kuskowa (P. A.):

– Wszyscy skarżą się, że policja uciska biednych obywateli i ogranicza wolności obywatelskie. „Dusimy się”. Zaszedłem kiedyś na oddaloną od centrum ulicę, trotuary – drewniane, a naprzeciw mnie idzie pijana kobieta. Zdaje się, że porozwijały się jej tasiemki i przód spódnicy ciągnie się po ziemi. Co zrobiła rok do przodu, to przydeptywała sobie spódnicę. Ponieważ powstrzymywało to jej „marsz”, więc ze złością podciągnęła spódnicę do góry. Ale bluzka oddzieliła się od spódnicy, ona tego nie zauważyła i ciągnie za koszulę. Ciągnie coraz wyżej i widzę, że ma goły brzuch. Spódnica zupełnie

„obsunęła się” w dół, spelzła na biodra, a bluzka podciągnięta go góry. Poczulem obrzydzenie i zwracam się do policjanta:

– Co pan tak patrzy? Odprowadziłby ją pan do domu lub na posterunek.

Zasalutowawszy rzeczywistemu radcy stanu (Kuskowowi), policjant odpowiada:

– W żaden sposób nie mogę, Ekscelencjo. Zabroniono. Ona idzie sama i nie mogę jej zabrać, gdyż mamy polecenie, żeby zabierać tylko wtedy, gdy pijany *leży* na ulicy.

Kuskow do przejścia na emeryturę nigdy nie wyjeżdżał z Petersburga, wydarzenie miało miejsce w stolicy.

W minionym roku jeździłem z mamą do Romanowych. Przejeżdżając przez nieduży plac, zdaje się koło rynku Sytnego, *o godzinie 1 po południu*, w jasny słoneczny dzień – aż krzyknąłem i odwróciłem się.

Natychmiast *w tym kierunku* spojrzała też żona.

– Młodziutka, ma 18 lat – powiedziała żona.

Vis-à-vis stał tłum. Rozproszony, nie w zbitej grupie. Chłopcy, kobiety.

A naprzeciwko nich ta, co miała „18 lat”, podniosła nad gołymi nogami spódnicę, że „wyżej już nie można”, i pokazała wszystkim...

Stolica.

*(jej twarz nie wskazywała na to,  
że jest prostytutką)*

\* \* \*

706. Ciągle gdzieś coś łowi – w jakiejś mętnej wodzie łowi jakąś ambitną rybkę.

Ale przynętę ma kiepską, wędkę słabą, a haczyk tępy.

Nie daje jednak za wygraną. I znowu zarzuca wędkę.

*(rybak G. w gazetach)*

\* \* \*

707. Styl jest duszą rzeczy.

\* \* \*

708. A to ich chwalili, chwalili...

A to ich głaskali, głaskali...

*(rewolucjoniści u Boguczarskiego i Glinskiego)*

\* \* \*

709. Głupcy jesteście, wszystkie moje utwory nie są przygotowywane na wodzie, nawet nie na oliwie – a na nasieniu ludzkim. Dlaczego więc nie powinniście za nie drożej płacić?

*(jadąc dorożką)*

\* \* \*

710. Mamusia nie znosiła Gogola i mówiła krótko, zdecydowanie:

– Nienawidzę.

Jak i o duchowieństwie, chociaż sama z tego stanu pochodziła:

– Nienawidzę klechów.

– Dlaczego, Barbaro Dmitrijewno, nienawidzi pani duchownych?

Nie wahała się:

– Kiedy schodzą z dorożki, to zawsze odgarną na bok sutannę, wyjmują swoją portmonetkę i rozliczają się. To „odgarnięcie na bok” wygląda tak, jakby ktoś chciał im odebrać pieniądze – wstrętne! Zawsze dają dorożkarzowi zamiast „5 kopiejek” tę ze... szczególnym orłem, starego „piątaka”, którego potem nikt od dorożkarza nie weźmie za więcej, niż trzy kopiejki.

– A dlaczego Gogola?

One jednak nie wyjaśniała. Kiedy próbowałem czytać jej coś Gogola, którego Sasza Żdanowa (jej kuzynka) tak szaleńczo lubiła, to delikatnie czekała (póki czytałem), a potem mówiła:

– Lepiej poczytaj coś innego.

Zdumiewało mnie to. Na wszystkie próby pozostawała głucha.

„– Co takiego???! Gogol!!!” – Nic nie rozumiałem.

Nierzadko śmiała się swoim wspaniałym śmiechem, który w chwilach szczęścia przechodził w swawolę – małą i krótkotrwałą. Jej dusza była (wtedy) delikatna i łaskawa, bez cienia posępnosci (też wtedy). Ona nie analizowała ludzi i nie pozwalała sobie na to: „Jestem jeszcze za młoda” (26 lub 28 lat). Jej stosunek do ludzi był niesłychanie przychylny, ale bez stronnictwa i zachwyty. Właściwie ona żyła dość dziwnie: i – „nie z tego świata”, i – „z tego świata”. Coś pośredniego, przejściowego... Przed nią – nic; wokół – nic; za nią – szczęśliwa miłość pierwszego związku, który trwał cztery lata.

Mąż powoli umierał na jej oczach z nieznanego powodu. On niezwykle powoli tracił wzrok, a potem – krótko i gwałtownie – postradał zmysły i zmarł. „Uszyli mi wszystkie szaty żałobne, ale ja ich nie założyłam, jak byłam w kolorowym płaszczu – tak i szłam za nim” (na cmentarz; nie miała sił, żeby się przebrać).

Ten kolorowy płaszcz za trumną pozostał w mojej duszy.

„– Dlaczego ona nie lubi Gogola? *Nie znosi*”.

Dla wszystkich łaskawa, nie kłaniała się jedynie Ewłampii Iwanownej S-woj, żonie nauczyciela religii i duchownego z katedralnej cerkwi.

– Dlaczego?

– Ona czeka na ukłon, a ja robię wrażenie, że jej nie zauważam.

Za wyjątkiem takich pełnych pychy ludzi, których ona omijała, ze wszystkimi innymi było „dobrze”. Bardzo lubiła swoje krewne, które były bardzo dobre: Marię Pawłówną Głagolewą, Lizę Butiaginę (†), przyjaciółkę z dzieciństwa, wujka Dymitra Adrianowicza.

W stosunku do innych była spokojna i raczej obojętna. Szanowała matkę, była jej posłuszna, i nic poza tym. Szczególne pobudzenie nastąpiło dopiero potem – w małżeństwie ze mną.

Dlaczego ona nie lubi Gogola? Kiedy jej czytałem utwory Gogola, „puszczała je mimo uszów”. „Dlaczego? Dlaczego?” – pytałem.

– Dlatego, że mi się „nie podoba”.

– Co się „nie podoba”? Przecież to dokładne opisy, Cziczikow na przykład.

– No, co z Cziczikowem?

– Plugawy taki. Podły.

– No i co z tego, że on jest...

Ona nie wymawiała słowa „podły”.

– Przecież Gogol go wyśmiewa!

– Dlaczego?

– Jak to – dlaczego? Przecież bywają takie typy!

– Jeśli „bywają”, to ty ich nie znasz. Jeśli zobaczę, wtedy i... powiem „podły”. Dlaczego mam mówić o człowieku „podły”, kiedy rozmawiam z tobą, kiedy jesteśmy tutaj, kiedy coś czytamy lub o czymś rozmawiamy, wtedy słowo „podły” nawet nie przychodzi mi do głowy, gdyż wokół siebie nie widzę „podłych”, widzę zwykłych ludzi, bardzo przyjemnych. Nie wiem, do kogo ma się odnosić słowo „podły”...

Jest to jej skrócona wypowiedź, mniej umotywowana. Ona z uporem odmawiała czytać o „podłych” ludziach, nie rozumiejąc, albo też po prostu ich nie widząc, nie wiedziała do kogo odnosi się to słowo i z kim je łączyć.

Ona nigdy się nie gniewała. Nie była też pamiętliwa.

Jej całe życie było raczej – wokół, w przyszłości, a przede wszystkim w przeszłości – pociągnięte szarą krepą, tęskne i bardzo smutne we wspomnieniach.

Wydaje mi się, że raz powiedziała:

– Nienawidzę Gogola za to, że on *się śmieje*.

To znaczy, że w Gogolu była istota *śmiechu*.

Jeśli i nie kłaniała się Ewłampii Iwanownej, to nie było w tym żadnej nagany, a tym bardziej anegdota, plotki. Nigdy, przez całe życie, nie usłyszałem od niej negatywnej opinii o jakimś człowieku, chociaż zdarzały się ostre odłączenia, a ze dwa razy doszło do całkowitego zerwania znajomości, ale zawsze bez żadnych komentarzy (z Hamburgerami).

Wtedy (w 1889 i 1890 r.) zrozumiałem, że istota śmiechu Gogola była niezgodna z tembrem jej duszy, ze srebrzystym i czystym dźwiękiem tego tembru, w którym nie było żadnego brudu i krzyku. Ani kłótni jako *widowiska*, ani krzyków jako *protestu* – ona nie znosiła.

Wniosłem ten element do mojej oceny Gogola („Legenda o Inkwizytorze”), zgodziwszy się z nią, że *śmiać się* – to coś niegodnego, że

śmiech jest niższą kategorią duszy człowieka. Śmiech jest „od Kalibana”, a nie „od Ariela” („Burza” Shakespeare’a).

Mama tego nie rozumiała, a jej tego nie wyjaśniałem.

Potem ona bardzo nie lubiła Mereżkowskich – do przestrochu, do „ledwo mogę z nimi siedzieć w jednym pokoju”, ale i wtedy nie powiedziała ani jednego słowa nagany, żadnej kpiny, a tym bardziej „szyderstwa”. To było zupełnie poza jej istotą. Później, kiedy rozstałem się z Mereżkowskimi i zacząłem na Dymitra Siergiejewicz wylewać swoje „jady” – to myślałem, że ona będzie zadowolona. Ale z tego powodu, że w moim „jadzie” był *śmiech*, ona nie czytała lub też była głucha na moje artykuły (czytała do ½, nie kończyła), a potem mówiła:

– Nie wyobrażaj sobie, że ty ich rozsierdzisz. Oni prawdopodobnie śmieją się z ciebie. Ty sam jesteś śmieszny i nędzny w swoich kpinach. Złosisz się, że oni ciebie nie uznają i wpadasz w histerię. Sobie tylko szkodzisz, a nie im.

Nie mogłem więc mamy wciągnąć w swoją „satyrę”. Myślę zresztą, że „satyra” wywodzi się z piekła i dopóki jeszcze tam nie trafiliśmy i żyjemy na ziemi – satyra nie jest godna naszego istnienia i naszego umysłu.

Niech to będzie „kanon mamy”.

\* \* \*

711. Posmarowali samochwałę po mordzie – oto cała „Historia socjalizmu w Rosji”.

(na spacerze w lesie)

\* \* \*

712. „...to dlatego, że to, co jest *jej* – to należy do *mnie*”.

„A to, co *jego* – należy do *mnie*” – myśli dziewczyna.

Na tym bazują wszystkie zgorszenia i okrutne fakty.

\*

Tak jest urządzony świat. Co można zrobić? „Każdy zdobywa swoją ziemię obiecaną”.

(na odwrocie ulotki)

\* \* \*

713. Miłość jest całkowitym oddaniem siebie innemu.

„Mnie” już nie ma, a „wszystko jest twoje”.

Miłość jest cudem. Moralnym cudem.

\* \* \*

714. Rozwód jest regulatorem małżeństwa, jego ciała, jego duszy. Gdyby ktoś zechciał zniszczyć małżeństwo, ale anonimowo, w tajemnicy, ukrywając „całą sprawę pod obrusem” – to wystarczyłoby zniszczyć rozwód.

„Nauka (i prawo) o rozwodzie” nie jest tylko nauką o rozwodzie, ale jest prawie nauką o samym małżeństwie. W niej wszystko jest już zawarte: mądrość, wola. Niestety, „w naszej” nauce nic się nie zawiera, poza głupotą i nadużyciem.

\* \* \*

715. ...jak drobny złodziejasek wychodziłem od Burego, schowawszy w kieszeni pudełeczko ze złotym łańcuszkiem (do zegarka L. Ademars N° 10 165). Dzieci nie mają żadnych porządných strojów, mama – chora, a ja kupiłem sobie rozkosz za 300 rubli.

Wieczorem nic nie powiedziałem, ale następnego dnia przed śniadaniem: „Mamo, kupiłem sobie coś nowego”. Wszyscy się ucieszyli. I mama. I dzieci.

L. Ademars – najlepsze zegarki na świecie. Wykonane około 1878 r. (sądząc po medalach z wystaw, reprodukowanych na specjalnym patencie do zegarka), takich zegarków teraz nigdzie się już nie robi, a w historii zegarów ten mistrz nigdy nie został prześcignięty. Zegarek – chociaż ma prawie 30 lat – był mało używany (prawdopodobnie leżał w sklepie). Właśnie dlatego go kupiłem, a nie przypadkowo.

\* \* \*

716. Zginęła kobieta i pięcioro dzieci.

Zdenerwowałem się i wstałem.

Było ciemno. Usłyszałem szept: „Poswawol sobie i zamilcz, a oni potem (6) to zrozumieją”.

Zapaliłem światło i zobaczyłem, że i o „swawoli” i o „milczeniu” szeptał pierwszy autorytet na ziemi.

Oto moje zwycięstwo i moja historia. Czy mogłem nie zawołać:

– Zwyciężyłem!

\*

717. W oddali zobaczyłem śmiertelne łoże. Zwycięzcy umierają jak zwyciężeni, a zwyciężeni jak zwycięzcy.

Będzie padał śnieg i ziemia jest pusta.

Wtedy powiedziałem: Boże, oddal to. Boże, powstrzymaj.

Zwycięstwo zbladło w mojej duszy. Dlatego – że pobladła dusza. Gdyż tam, gdzie umierają, tam nie walczą. Nie zwyciężają, nie biegną.

Pozostają jako nieruchome kości, na które pada śnieg.

\* \* \*

718. ...wiem, że opisuję tego „obrzydliwca literatury”, do którego ona tak się przyssała, a on ciągle ją bije. To fatum i los.

\*

Nie mam żadnego skrepowania w odniesieniu do literatury, gdyż literatura to prostu moje spodnie. A to, że jest „jeszcze jakaś literatura”, że ona istnieje obiektywnie – cóż mnie to obchodzi?

\* \* \*

719. Tak, rację miał Chrystus, że „nie z ciała i z krwi” należy się urodzić, ale „z ducha”: ja „urodziłem się na nowo”, w istocie po prostu „urodziłem się” – 35 lat temu – w Jelcu, przy mojej obecnej żonie, jej matce (55 lat) i wnuczce (7 lat). Właśnie „Rudniewowie-Butiaginowie” (wdowa – córka) byli moimi „rodzicami”, rodzicami *mojej duszy*.

Pamiętam, na kamieniu zamieniliśmy się krzyżykami: ona dała mi swój złoty, pamiątkowy, a ja zdjąłem mój z błękitną emalią. Od tamtego czasu ona ciągle nosi mój błękitny krzyżyk, a ja noszę jej złoty krzyżyk.

Weszła we mnie jej dusza, łagodna, współczująca, a w nią zaczęła tajemniczo wchodzić moja dusza, surowa i osądzająca, krytykująca się i gniewliwa.

Ona stawała się surowsza – w stosunku do wad, braków, do słabości. Natomiast ja „wszystko wybaczałem”. Ale ja wybaczałem dzięki temu szczęściu, które ona mi dała, a ona stawała się surowsza dzięki tym cierniom, zaśniadom, goryczom, jakie jej, niestety, dałem.

Ciągle całuję „rączki dam” (przykład Połonskiego, „szkoła” F-s). A ona wybuchnie:

– Co ty tak ciągle oblizujesz damy?

Jakie to okropne. Rzeczywiście, okropne: jest to w istocie głupia maniera mężczyzn „całowania rączek”. Przed ślubem nigdy tego nie robiłem, a po ślubie – zawsze (z powodu dobrego nastroju ducha).

Nie mogłem się odzwyczaić od tej głupoty. I od innych, takich samych głupot. A ją to dręczyło i rozdrażniało. Mówiła z godnością:

– Ty nie rozumiesz moich uczuć. Jest mi przykro, że ty się ponizas, ponizas swoją godność i swoje 40 lat, oblizujesz się jak chłopczyk...

We mnie faktycznie aż kipiał „chłopczyk” (był taki duch)...

– A to, że będą na ciebie patrzeć jak na chłopczyka, jest mi przykre.

I – wszystko.

Wszystko wydawało mi się dobre, i S-nicha, i wszystko. Dlatego, że byłem szczęśliwy. Szczęśliwy z powodu jej złotego krzyżyka.

Ja nawet S-noją całowałem w rękę, nie podejrzywałem, co to za „osoba”.

\* \* \*

720. Cały zdenerwowany zakładałem buty i zapytałem Nadzię: – „Czy nie jest za późno?” – „Nie, dopiero wpół do jedenastej” – „Znaczy, spóźnię się! Boże mój! Przecież zaczyna się o dziewiątej” – „Nie. O *dziesiątej*”. W dwie minuty założyłem uroczyste ubranie (do cerkwi) i napisałem:

### **Za spokój duszy staruszki Aleksandry.**

Wziąłem dorożkę za 10 kopiejek do Aleksandra Świrskiego i zaraz tam byłem.

Ciasno. Duszno. Podaję: – „Czy nie za późno?” – „Nie”. Kładę na tacę 10 kopiejek. „Proszę o dwie świecek po pięć kopiejek” – I poszedłem do „panichidnika”.

Pierwszy raz stawiam „*na panichidniku*” świeczkę *za zmarłego*. Zawsze lubiłem „panichidnik”, ale z daleka, nie podchodząc. Teraz zobaczyłem dziurki dla świeczek w marmurowym blacie i postawiłem swoją świeczkę. Pokłoniłem się i idę postawić „Zbawicielowi”, za chorą.

Przeciskam się. Ścisk, duszno. Jakaś studentka przyśpiewuje chórzystom: „Panie, zmiłuj się”. – „Będę stawiał świeczkę Zbawicielowi” – pomyślałem. „Pomoże”. Ale ciągle myślę o „panichidniku” i o tym, co napisałem:

### **„Za spokój duszy”...**

Jak to, „za spokój duszy”? To znaczy, że ona *jest... żyje... widzi* mnie, niestety, tak głupiego i grzesznego... a **kto** tego wszystkiego nauczył?

– **Kościół.**

Kościół, tak bardzo znieważany, wyzywany w prasie, w społeczeństwie, że „obowiązek służby”, że tam „pachnie kozuchami”, że „nic nie można zrozumieć”...

A to Kościół nauczył o tym, czego ledwo śmiał się domyślać Platon i dowodził filozoficznymi zakrętami myśli. Kościół natomiast wprost i jasno powiedział:

– Wierz! Kładź 10 kopiejek! „Wyjmę cząstkę” z prosfory i duszy będzie lżej. Dusza spojrzy na ciebie z tamtego świata, a ty poczujesz to spojrzenie.

„10 kopiejek” – to takie jasne. Jak i to, że za 10 kopiejek dostanie się dwie bułki. Znaczy, „nieśmiertelność duszy” jest tak samo niewątpliwa, bliska, dotykalna, jak bułka w piekarni.

\* \* \*

721. Czy należy uwierzyć, że jej nieustanna modlitwa miała ten sens:

– Dlaczego oni mnie nie leczą?

– Daj im rozum! Wskaż im!

\*

W Monachium, w Neuheimie (w Łudze – i na Siwirskiej już nie)...  
zawsze to:

Piszę artykuł. Cały w natchnieniu. Linijki, jak czarne paciorki, płyną po białym papierze, jest ich coraz więcej i więcej... Obejrzę się. Raz... drugi... i trzeci.

Ona podniesie oczy znad akatystnika i kiwnie głową. Uśmiechnę się do niej:

– Co, miła?

A ona opuści oczy na porozrywane kartki akatyst „Wszystkich Strapionych Radość” – i czyta.

A ja nie rozumiem, smutno mi. „Dlaczego ona ciągle czyta jeden akatyst?” Lęk.

Kończy. I wstanie. Zaczyna pracować.

Na pytanie o akatyst odpowie:

– Uspokaja mnie.

Nigdy nie czytała przed ikoną, na kolanach. Zawsze siedziała – nie na kanapie, a na łóżku. Nie pamiętam dokładnie, jak siedziała – ale na pewno nie leżała. Raczej była pochylona – i modliła się do „Wszystkich Strapionych Radości”.

W Łudze już nie mogła, i ja czytałem akatyst. Ona leżała na łóżku, a ja klęczałem na podłodze, ale tak, żeby ona mnie wiedziała, a ja mogłem widzieć ikonę i zapaloną przed nią lampkę.

\*

W niedziele i wigilie świąt – jakie to było wspaniałe! Na starej tacy (niepotrzebnej) stoją lampki. We wszystkie wlano oliwę. Wtedy czytałem w salonie, a lampki stały, jak świece „na panichidniku” w cerkwi...

A potem te lampki roznoszono (w rękach) do różnych pokojów, do sypialni, do dziecięcych, do gabinetu...

Ona nigdy nie miała swego oddzielnego pokoju, a nawet przez całe lata nie mieliśmy sypialni: na noc wyjmowaliśmy z kufra (w korytarzu) materac i rozkładaliśmy w moim gabinecie.

(24 września)

\* \* \*

722. Rewolucje bazują na entuzjazmie, królestwa – na cierpliwości.

\*

\*

\*

Rewolucje wywodzą się z młodego „ja”. Królestwa – z pokory wobec losu.

\*

On był piękny, ożenił się z najmłodszą z licznych siostr, która niedawno ukończyła gimnazjum i póki co, był gościem jej najstarszej siostry. Jej mężem był stary, kaszlący urzędnik, który gotował się na śmierć.

Na co on nie był chory: wątroba, nerki, serce, kości. Był żółty i gruby, ale z młodym zięciem (to znaczy z mężem młodszej siostry żony) – o którym wiedział, że jest rewolucjonistą – ale starał się być opanowanym i odpowiadał krótkimi frazami:

– Nie wiem...

– Jak sobie chcecie...

– ale unikając rozmów. A swoją żonę, do której miał wszystkie prawa, bezlitośnie wyzywał, był ordynarny, nie krępując się gości i ich nastrojów rewolucyjnych.

Ona wyszła za niego, gdy miała 29 lat, dla „spełnienia przeznaczenia kobiety”, a on miał wtedy ponad 40 lat. Teraz jest po pięćdziesiątce, ale jest zbiorowiskiem różnych chorób i z powodu swego stanu ciągle wszystkich wyzywa.

Wkrótce zmarł. Pamiętając, że ciągle wszystkich wyzywał, zapytałem o to Piotrka (młodsze brata rewolucjonisty), który pokornie przygotowywał się do zawodu nauczyciela rysunków. On ze zdumieniem wysłuchał moją opowieść:

– Nie, on nie był złym człowiekiem. Wyzywał? – to dlatego, że był bardzo schorowany. W ostatnich tygodniach przed śmiercią bardzo troszczył się o to, żeby jego wdowa nie została „bez niczego” i chociaż nie miał wystarczającej wysługi lat, żeby dostać emeryturę, to zadbał o napisanie o nią podania i przedstawienie świadectw lekarskich. Również majątek, co prawda nieduży, przepisał tylko na żonę, aby nie mogli o niego występować inni krewni. Nie, on był dobrym człowiekiem i dobrym mężem. Był stary, ale przecież ona nie wyszła za młodzieńca.

Wołodzia siedział w więzieniu i żona nosiła mu obiady. Ona była bardzo brzydka, męski typ urody. Natomiast on był niezwykle urodziwy, wysoki i przystojny, z łagodną twarzą i głosem młodzieńca. Ona nie miała żadnych pieniędzy, ale dostała skądś 1 000 rubli i za te pieniądze wydostała go z więzienia, za kaucją.

Widziałem ich wkrótce po jego wyjściu z więzienia. Ona była tak pełna miłości, a równocześnie kontrast jego urody i jej brzydoty był tak wielki, że ona nie mogła nawet kilka minut być z nim razem w jednym pokoju. Nie widziałem ich razem, rozmawiających.

Ona jedynie skądś patrzyła na niego, słuchała jego głosu z innego pokoju. Ale ciągle dbała o to, żeby być „w pobliżu”.

On był dla niej bardzo dobry, jak i dla wszystkich. W ogóle był bardzo dobry, łagodny i delikatny.

Był wspaniałym człowiekiem. Pięknym od dzieciństwa. Ukochane dziecko kochanych rodziców.

To od niego usłyszałem zdumiewające słowa:

– Oczywiście, uniwersytet należy do *studentów*, bo jest ich *większość*. *Studenti* mają prawo ustanawiać przepisy odnoszące się do porządku w uniwersytecie.

To w odpowiedzi na moje niezadowolenie z powodu buntów organizowanych przez studentów.

On sam świetnie skończył gimnazjum, ale został usunięty z wydziału medycznego uniwersytetu w Moskwie, gdyż wraz z innymi tupał nogami przy pojawieniu się w audytorium Zacharina. Zacharin był arystokratą i leczył tylko bogatych, a Wołodzia był biedny i demokratą, więc chciał, żeby Zacharin leczył biednych.

Dlatego (tupiąc nogami) domagał się od władz, żeby usunięto Zacharina, ale władze wołały usunąć kilku studentów i pozostawić Zacharina, który leczył całą Rosję.

On najpierw ukrywał się, a potem wyemigrował. W końcu trafił do więzienia, skąd wyszedł za kaucją.

Wkrótce uciekł. Ale jeszcze przed ucieczką wydarzył się dramat.

Gdy odwiedzałem jego żonę, to zawsze słyszałem odpowiedź, że „Wołodzia wyszedł”. Z sąsiedniego pokoju w watowanej koszuli i spódnicy wychodziła jakaś rewolucjonistka, tak wstrętna, że nie mogłem na nią patrzeć.

*(jestem zmęczony) (Wołodzia zostawił swoją żonę, związał się z Żydówką, którą w myślach nazywałem kobiałeczką i która, chociaż żyła z nim w jednym pokoju, to go tresowała, a on strasznie cierpiał. Opowiadanie jego żony, jak pojechała nad brzeg morza w pobliżu Rygi i słuchała po nocach szumu fal – jesienią – i była tylko z jego portretem. Porównanie: rewolucjoniści żyją dla siebie, a starzy kaszlący urzędnicy żyją dla żon, ograniczają się, cierpią, nie zrywając kwiatków – jak ten Wołodzia – w miłości, ale pracując się i troszcząc o człowieka z którym związał ich los)*

\* \* \*

723. Minął rok i jak wiele stron „Odosobnionego” stało mi się obcych, a dokładnie pamiętam, że nie wydałem ani jednego dźwięku „niewiernego” (przeciwko stanowi duszy). I „dosłownie leciałem”...

Teraz – to tylko pióra ptaka, który przeleciał. Same leżą na polu. Puste. Nikomu nie potrzebne.

\*

To nie „my zmieniamy myśli, jak rękawiczki”, ale, niestety, nasze myśli stają się znoszone jak rękawiczki. Stają się rozciągnięte. Nie obejmują ręki. Nie obejmują duszy.

My ich nie wyrzucamy, po prostu przestajemy je nosić.  
Przestajemy o nich myśleć przez całe lata.

\* \* \*

724. Dobra jest malina, ale lepsze są okruchy tytoniu. On palił zawinięty cynamon i koło kromki chleba leżała gdzieś laska cynamonu – sucha (na słoneczku), to znaczy – zaraz można zapalić.

Myśmy ją z Sieriożą nie od razu brali, a wskazywali na nią palcem, jak sęp na kurę – staliśmy przez pewien czas, pomiaukując:

– Czerwońce.

– Cekiny.

Tak nazywały się banknoty w „Tarasie Bulbie” („ruble” nas, oczywiście, nie interesowały – nie było to romantyczne): po znalezieniu 1-2 takich cynamonów, siadaliśmy „niewidzialni” pod krzakiem porzeczeki i zwinąwszy skręta (ludowa nazwa) – preparowaliśmy dobro, wsypywaliśmy tytoń i po kolei – ze strasznym zakazem, że nie można zaciągnąć się dwa razy pod rząd – paliliśmy papierosa.

Słodkie ogłupienie płynęło w żyłach. W oczach łzy (moc i głębia zaciągania się).

Tytoń był słodszy od wszystkiego – od jagód, cukru. Kobiety nas jeszcze wtedy nie interesowały. A przecież kobiety – to też narkotyk. Dlaczego w wieku 7-8 lat tytoń był nam bardziej potrzebny, niż chleb?

\* \* \*

725. Jak bez *amor utriusque sexus* mogłaby wyjść ta sprawa? Jak moglibyśmy odnosić się do swoich (*noster sexus*) z tą przyjemnością, z tą łaskawością, z tą łagodnością, z jaką zwykle i z *natury* odnosimy się do płci przeciwnej, do *alter sexus*?... bez czego nie ma głębi relacji, a bez *amor nostri sexus* nie ma relacji. *Universaliter debet amor mundi*. Ale wtedy łaska wyraźnie powinna rozpościerać się i tu, i – *tam*. W ten sposób, rzeczywiście zadziwiające dostosowanie się do tego *in natura rerum* – ma swoje wyjaśnienie. *Organizm indywiduum jest zdumiewająco harmonijny, „współbrzmi” z organizmem ludzkości.*

(o problemie zorganizowania ludzkości  
i o problemie powszechnej harmonii)

\* \* \*

726. Niektóre z napisanych o mnie artykułów były przyjemne, i – oczywiście – jestem związany nieskończoną wdzięcznością z ludźmi, którzy analizowali moje utwory (co to dla nich za dzieło?) – Griwcow, jakiś Zakrzewski (w Kijowie), Wołzski. Jednak w najwyższym stopniu jedno było nieprzyjemne: oni w ogóle nie mogli odgadnąć mojej tajemnicy. To jak Byron „gdzieś wzleciał”. To – jak „szatan”, czarny i w płomieniach. Nic podobnego!

Dobry chłopiec! Ileż czarnych karaluchów powyciągałem z wanny, żeby przypadkowo, gdy odkręcę kran, któryś z nich nie utonął. Cz. był jedynym, który odgadł (ściślej – potrafił określić) „układ kości” we mnie, naturę, krew, temperament. Niektóre z jego określeń są zdumiewające. Problemy? Przecież są widoczne dla każdego, a zresztą – do diabła z problemami! „Tematy bywają różne” – tym razem odpowiem cynicznie. Ale on nie odgadł tego, co jest we mnie intymne. To – ból; jakiś bezprzedmiotowy, bez przyczyny i prawie nieustanny. Wydaje mi się, że to jest najbardziej zdumiewające, w każdym bądź razie – nie do wyjaśnienia. Wydaje mi się, że urodziłem się w bólu: jego pierwszy atak pamiętam na długo przed gimnazjum, miałem 7-8 lat: leżałem za plecami seminarzystów, którzy siedzieli na łóżku i śpiewali swoje „seminaryjne pieśni”. Leżałem bez żadnych wrażeń, raczej „było mi dobrze”, to znaczy, że ja leżę, a oni śpiewają. I nagle słyszę wiersz:

I nad Gambią znojną,  
Tam, gdzie płynie Senegal...

sens był taki, że „nad tymi miejscami” przeleciał sokół do biednej swojej towarzyszki lub też do jakiejś swojej tęsknoty. Melodia była, to prawda, tęskna, ale przecież wcześniej też słuchałem tęskne pieśni. Raczej ogarnęło mnie wrażenie pustyni i monotonii, rozłąki. Ledwo dźwięki wpadły w ucho, a cały mój organizm, wszystkie moje nerwy ścisnęły się we mnie: i, tając dźwięki gdzieś w poduszkę, wylałem potoki łez; było mi tak smutno, „tak nudno” – nasz dom, śpiewacy, mama – o braciach i zabawach nawet nie wspomnę: pojawił się jakiś poryw „bycia z tym sokołem”, a konkretnie – ogarnęła mnie taka tęsknota za tym sokołem, z którym łączyłem „duszę człowieka”, „los człowieka”, że płakałem i płakałem, długo płakałem...

Powtórnie zdarzyło się to w 4 klasie gimnazjum: zmarł Dymitr Stiepanowicz Troicki, lekarz w Niżnym „dla szewców” (leczył tylko biednych), człowiek bardzo wykształcony, a zarazem – co było dziwne – mój przyjaciel, który rozmawiał ze mną o Locke’u, rewolucji angielskiej i równocześnie cierpiący (choroba formalna) na alkoholizm. Zmarł i odbył się pogrzeb. On był bratem żony mojego brata Koli. Nie pamiętam nic z jego pogrzebu. Ale dobrze pamiętam, jak stałem w moim ciemnym pokoju, przerobionym z kuchni. Była w nim smutna siostra zmarłego, która też bardzo kochała brata, oraz mój brat, który bardzo go szanował. W chwili, kiedy zostałem sam, ja znowu – z powodu myśli o swojej samotności – strasznie się rozplakałem, trwało to co najmniej ½ godziny, nie mogłem się powstrzymać i nikt nie mógł mnie powstrzymać. W tym płaczu było coś z febry, ale przeniknięte takim bólem i rozpaczą – stan duszy był do tego stopnia straszny, czarny – jakbym sam stał się czarny – nie potrafię tego wyrazić. Ani jego matka, ani też siostra tak nie płakały.

To były *lzy mistyczne* – inaczej nie potrafię tego określić. Myślę, że to określenie jest bardzo precyzyjne. Stan mojej duszy był tak ciężki, że gdyby

jeszcze trochę bardziej stał się „ociężały” – nie dałoby się już żyć, „organizm” by tego nie wytrzymał.

\*

Taki stan zbliża się do bólu. Mój ból zawsze odnosił się do czegoś samotnego, czegoś chorego, czegoś dalekiego, a mówiąc ściślej – to ja byłem samotny i nie ja byłem czemuś daleki, ale sama dał bolała – ja odczuwałem ból, że jest tylko dal... W tym wypadku jest jakiś „poryw”, „niemożliwość”, poczucie, że ja sam i wszystko – „nie to, nie to”...

\* \* \*

727. Nic tak bardzo w dzieciństwie nie obrażało we mnie „człowieka” jak to, że nie pozwalano mi „samemu” chodzić do piwnicy po kwas chlebowy.

– Nie potrafisz dobrze włożyć zatyczki. Kwas zacznie wypływać. Gdy pójda dorośli, wtedy pójdziesz i ty.

A ja czekałem. Godzinę. Dwie. Pragnienie męczy. Kwas kusi. Dlaczego „nie potrafię dobrze włożyć zatyczki”? Potrafiłbym.

\* \* \*

728. „Knut” Fl. już od miesiący pali mi duszę: „Kościół *bije knutem*, gdyż *inaczej byłoby jeszcze gorzej*”. Kościół nie tylko „bije knutem”, ale niekiedy „wyczyszcza kieszenie swego brata”, jak to zdarzyło się z 200 kapłanami domowych kaplic w Petersburgu. Nie rozumiem, dlaczego *w tym wypadku* „byłoby jeszcze gorzej”, ale na podstawie „tego zdarzenia” wnioskuję, że *w tych wypadkach* bije „knutem” nie z troski o dobro, a z głupoty, jeśli nie z czegoś *gorszego*...

\*

Czyżby ten entuzjasta Kościoła został reformatorem? Za 20 lat on dojdzie do wniosku, że nie zawsze Kościół postępuje kierując się zasadą „żeby było lepiej”, a niekiedy i „w mosznę”, i „w brzuch”, lub po prostu: „Nikogo nie lubimy”.

*(Fl. broniący prawa kanonicznego  
i surowości Kościoła: rozwód,  
epitymie dla rozwiedzionych  
i dzieci pozamałżeńskie)*

\* \* \*

729. Wszystkie moje wady są mokre. Ani jednej ognistej wady.

Ani żądza honorów, ani żądza władzy, ani zazdrość nie paliły mojej duszy.

Jakże więc mogę osądzać tych, którzy nie mogą sobie poradzić z ognistymi wadami (ja ich nie osądzam), skoro ja nie potrafiłem sobie poradzić z moimi mokrymi wadami.

\* \* \*

730. Książka powinna być droga. Książka to nie knajpa, nie wódka i nie panienska spacerująca po ulicy.

Książka rozmawia. Książka poucza. Książka opowiada.

Książka powinna być droga.

Ona nie powinna się narzucać, ona powinna być niewinna.

Ona za nikim nie biega, nikomu nic nie proponuje. Ona leży i nawet „nie oczekuje na kupującego”, po prostu leży.

Książkę trzeba umieć znajdować, trzeba ją wyszukiwać, a po znalezieniu – strzec, chronić.

Książek nie należy „dawać do czytania”. Książka, którą „dało się do czytania” – znieprawia. Utraciła coś ze swego ducha, ze swojej niewinności i czystości.

„Czytelnie” i „biblioteki publiczne” (poza cesarskimi, które przechowują książki dla całego imperium) to „miejsca publiczne”, deprawujące miasta tak samo, jak domy rozpusty.

\* \* \*

731. Wszystkim wielkim ludziom odgryzłbym głowy. Dla mnie nasza służąca Nadia jest wartościowsza od Napoleona, taka łagodna, miła, z rzadka się uśmiecha.

Napoleon dla nikogo nie jest interesujący. Napoleon jest interesujący wyłącznie dla głupich ludzi (bazar, tłum).

*(na pokwitowaniu pocztowym)*

\* \* \*

732. Chora na nowotwór, ona siedziała u nas, kokieteryjna, przy herbacie. Jej siostra powiedziała, że jakoby 30 lat temu byłem w niej zakochany. Wtedy byliśmy znajomymi, a teraz ona przyjechała z siostrą, aby „pokazać się” temu, kto „kiedyś był we mnie zakochany”.

To jest pomyłka. Spacerując po ulicy Komarowskiej (Briansk) ja widziałem mały domem „K-kich” i widziałem przez okno, że „oni ciągle piją herbatę”. Wtedy ona była chuda, delikatna, a jeśli nie była piękna, to prawie piękna. Ona była taka skromna, że ja byłem „prawie zakochany”. Jej siostra była wtedy gimnazjalistką. Wtedy oni byli „młodożeńcami”, nie mieli jeszcze dzieci. On- wojskowy, służył w arsenale. Teraz jest siwym generałem.

A ona siedziała i śmiała się. Usunięto jej obie piersi i „wyjęto wszystko pod pachami” i „tu” (na boku) – prawie do kości. Siostra-chirurg wszystko „usuwała” i „usuwała”, stopniowo.

Nie zauważyłem na jej twarzy żadnego nieszczęścia. „Chciałabym jeszcze pożyć 6 lat, żeby najmłodszy (12 lat) dorósł” – siostra, przyjaciółka (wtedy) naszego domu, powtórzyła nam jej słowa.

Ona i teraz była piękna. 40 lat. Przyjemna, biała cera twarzy i coś „nieuchwytnego i plastycznego”, dzięki czemu podobają się nam kobiety.

(anons o „†” w „Nowoje Wriemia”, 3-4 października 1912 r.)

Wieczny jej odpoczynek. Chociaż spotkaliśmy się tylko przez chwilę – wieczny jej odpoczynek.

(1913 r.)

\* \* \*

733. Niekiedy wydaje mi się, że przewycięzę całą literaturę.

Nie dlatego, że jestem silny. Ale „Pan jest ze mną”. Właśnie tak. Tak. Tak.

(pakując się przed wyjazdem)

\* \* \*

734. Lewicowi „dziennikarze” nawet się nie domyślają, że pozwala się im wyzywać – jak pijanym, lub przemawiać – jak prowokatorom na zebraniu.

(sens rosyjskiej wolności)

\* \* \*

735. Wyjaśnienie szczególnej zazdrości starców:

– Je ne puis pas tout-a-fait.

Pozostają westchnienia, gwiazdy, rozwinięte kwiaty, i...

Biedny bierze różę i wacha.

Ale to tak – jak przedstawiali 20 lat temu starego, grubego franciszkanina, który podniósł różę do nosa:

– Robak!!

„Człowiek zjadł zabę” i w szaleństwie zabija tego, kto włożył zabę do róży.

\*

Mimo woli zaczynasz podejrzewać, śledzić, zamykać na klucz. „Wieczne niebezpieczeństwo, że zamiast wina można się napić octu”. Można zwariować.

Biedni, oni bardzo cierpią.

\*

Jest w tym wypadku *corrigenda*. Jakieś 20 lat temu wysłuchałem dziwnej opowieści o mężczyźnie w średnim wieku, a może i starszym, który zalecał się do młodzietkiej dziewczyny i mając na uwadze różnicę wieku, mówił:

– Pani może żyć z kim chce, proszę tylko wyjść za mnie za mąż. Chcę być pani mężem i być przy pani, nie będę pani w niczym ograniczał i sam nie będę się pani narzucał.

Nie zwróciłem uwagi na tę opowieść, dopóki na pogrzebie Żydówki (żony Cynamgzwarowa, Gruzina) młoda kobieta, która była na pogrzebie i z którą wsiadłem do dorożki (deszcz, błoto) na moje zapytanie, kim jest, odpowiedziała:

– Uczę się dentystyki. – Jestem zamężna. – Sama będę zarabiała na chleb. – Po skończeniu gimnazjum pojechałem do miasta Złotoust i wysłałem za mąż za oficera. – Młodego. – Okazało się, że strasznie pije. Ale nie dlatego odeszłam od niego, a dlatego, że on mi mówił: „Dlaczego prosisz o pieniądze na gospodarstwo? Przecież zostawiam cię w cztery oczy z kolegami, a oni mają pieniądze, ty też zawsze możesz mieć pieniądze”. – Tego nie mogłam znieść. Odeszłam.

Wtedy zrozumiałem „propozycję” starszego pana, jego warunek dla zawarcia małżeństwa. Ale pełen próśb – „*proszę być moją żoną, przy mnie*”.

Oczywiście, ostatni nędzarz „rwałby włosy na głowie” na samą myśl o zdradzie. Wcale nie chodzi o to, żeby „mieć pieniądze”. Pieniądze są raczej – pretekstem, usprawiedliwieniem i „wprowadzeniem”... „Wszystko jak gdyby jest u wszystkich”. Ale subtelna osobista struna wprowadza w rozumienie archaicznej formy małżeństwa – poliandrii, która przede wszystkim nie bazowała na instynkcie kobiety, a na strasznym pociągu mężów do „robaków” i „żab”.

Pewien dorożkarz (jechałem nocą do redakcji) opowiedział mi o swojej wsi (w guberni nowogrodzkiej) – reagując na moje słowa, że „wiejskie dziewczyny lub kobiety łatwo się oddają, za 3 ruble” (słowa A. S. Suworina o czasach swojej młodości):

– Dlaczego dziewczyny? Zamężne też. U nas na wsi za 3 ruble każda się odda. Niechby ktoś chciał moją żonę.

Przeraziłem się. Tak prosto! Dorożkarz był ładny, z niewielkimi wąsikami, szczupły. Młody. Miał 27 lat.

I nie zmieszał się. Ani bólu, ani wstydu. Znaczy – żadnej zazdrości.

\*

A oto fundamentalny problem dla Florenskiego, kapłanów i profesorów prawa kanonicznego: Czy Kościół powinien rozwiązać małżeństwo w wypadku, kiedy to sam mąż prosi żonę, żeby „oddawała się”, a ona czując niechęć do takich stosunków i tego typu rodziny – prosi Kościół o rozwiązanie jej nieudanego małżeństwa oraz pozwolenie na zawarcie nowego?

Czy jest to „nierząd”? Póki co – nie. Kościół, „komentując i wyjaśniając”, uważa takie małżeństwo za niepodlegające rozwiązaniu. „Ani świadków”, „ani skargi męża”, „ani – zdrady”. Żona nie może powiedzieć: „Mąż mnie zdradza”, przecież on nie zdradza. A ona? Ona też *może nie zdradzać*. Jaki jest więc formalny powód dla rozwodu? Kościół nakazuje, aby tego typu zadziwiający

związek trwał, chociaż przy takim małżeństwie przypadkowa „zdrada” męża lub żony, „nierząd” z powodu nagłej burzy miłości – wydaje się być czymś niewinnym i dziecinnym.

Od kogo, panowie duchowni, idzie rozpad rodziny, od was czy też od „nieposłusznych żon”, jak tradycyjnie i łatwo się skarżycie? Od was, według mnie, to fakt. Kto znieważa sakrament małżeństwa? Wasze brudne spojrzenie na małżeństwo, wasze prawa, kalające małżeństwo. Z „robakiem” i „żabą”.

Tak: na tamtym świecie za wasz stosunek do małżeństwa i rodziny dadzą wam jeść „robaka” i „żabę”.

\*

Dodatek do rozmowy z dorożkarzem:

Tołstoj (taki zazdrosny i zachęcający do zazdrości) w genialny sposób zauważył spokojny stosunek chrześcijan do poliandrii:

– Głupiec. Nie złapałem butów.

Kochanek przysnął od żony: mąż żałował jednego, że „wystraszywszy” go nie domyślił się, iż przedtem powinien wziąć buty kochanka, stojące tuż obok.

Mąż wrócił z podróży. Dowiedziawszy się o kochanku zbił żonę, jak należy, po czym nie poszedł z nią spać i wlażł na piec. Żona wstała w nocy i przyszła do niego. On był jeszcze rozwścieczony i nie chciał jej wpuścić. Ale ona zwróciła się do niego w tak wspaniałych słowach. Tołstoj przedstawił to w niezwykłych słowach. Mąż ją wziął. I o wszystkim zapomniał, i ona o wszystkim zapomniała. To jest poliandria w starożytności i teraz.

*(opowiadanie Tołstoja na ten temat w jego dziełach; zapomniałem tytuł)*

\* \* \*

736. Patrzyłem na Lowę z taką zazdrością o jego wzrost, o jego urodę, o jego godność.

On był w III klasie i nie wiedziałem, czy mogę do niego podejść i go później pozdrowić (kiedy skończy się nabożeństwo).

Ja byłem w I lub II klasie, kocmołuch. On zwykle chodził z grubą laską (samodzielny jego wyrób) i mógł mnie pobić, mógł wszystkich pobić.

Słuchał śpiewów (w przejściu między cerkwią zimową i letnią). Wszystko piękne. Jestem rozproszony. Jakby coś pociągnęło.

Obejrzałem się.

Za plecami, w odległości 1 ½ kroku stała mama i uśmiechnęła się do mnie. Był to jedyny jej uśmiech, jaki widziałem w całym życiu.

*(w cerkwi Opieki Bogurodzicy w Kostromie, 1868 lub 1869 rok)*

*(piszę oparty o ścianę na ul. Włoskiej)*

\* \* \*

737. Oglądam akademickie wydanie Lermontowa. Chciałem znaleźć komentarz do „Saszki”. Nie znalazłem (jakieś słabe to wydanie). „Może w I tomie?” Szukam i widzę na okładce IV, II, V i III. „Gdzie jest pierwszy tom? Czyżbym go gdzieś zagubił?” Z trwogą szukam I tomu. Widzę tylko cztery tomy. „Zagubiłem!” Nagle zauważam, że akuratnie i z uwagą pisałem na obwolucie: „Tom drugi”, „Tom trzeci”, „Tom czwarty” i „Tom piąty”, i to pod wydrukowanym: „Tom pierwszy”, „drugi”, „trzeci”, „czwarty”. W jaki sposób, *uważnie* pisząc (radość z dokonanego zakupu) numerację tomów, mogłem nie zauważyć, że błędnie piszę (na obwolucie!) zaraz *pod wydrukowaną cyfrą* swoją numerację? Znaczący, *patrzyłem i nie widziałem*. To somnambulizm, sen. Przypominam sobie, że gdy kupiłem pierwszy tom, przyszło zawiadomienie o chorobie mamy, co dręczyło mnie całe lato: „Co mam robić, *jeśli nic nie widzę?*” „*Taki się urodziłem*”, „*Taki kaleki*”. To jest fatum biednej mamy, że wyszła za Fausta, a nie za asesora kolegiąlnego. To przecież grzech i nieszczęście, ale – *fatum*.

Ileż to czasu, siedząc nad morzem na wysokiej górze, z kartką w rękę wyliczałem procenty od papierów wartościowych! Było tego coś 16 lub 18 tysięcy – nie starczy, aby zabezpieczyć dzieci. Cały czas zajmowałem się papierami wartościowymi – co „sprzedać”, a co „kupić”. To było w tym roku, kiedy ona była taka mroczna, smutna i rozdrażniona. Dręczyłem się. Po co siedziałem nad tym morzem? Gdybym zastanowił się nad stanem jej duszy, wtedy sam bym się zatrwożył, dlaczego ona jest w takim stanie – zacząłbym myśleć jak z tym walczyć, z czymś bardzo dziwnym, trafiłbym na ślad i ostatecznie we właściwym czasie znalazłbym i wezwał Karpinskiego. I ona byłaby uratowana.

To, że zajmowałem się pieniędzmi, numizmatyką i pisaniem artykułów, zamiast zdrowiem mamy, jest powodem, dla którego piszę „Odosobnione”. Błąd całego życia.

\*

Bezsilnie krzemy, gdy przejdziemy fałszywą drogę.

\* \* \*

738. Nie, ja czuję, przewiduję – że jeśli nie zatrzymam się tutaj, to nie zatrzymam się też i – tam. I co? Czy Nowosiołow, który tyle opublikował, powiedział choć *jedno słowo, jedną linijkę, jedną stroniczkę* (w sposób ogólny, bez żadnego podkreślania) – *na dręczące mnie tematy*? Czyżby im (aż wstyd to powiedzieć, udręka) potrzebne były moje linijki, a *nie była im potrzebna moja dusza* – dusza ostatniego z ubogich, wcale nie „pisarza” (niech go diabli porwą). Czy można uwierzyć, że im – Kożewnikowowi, Szczerbowowi – *nie jest potrzebna dusza*? Fl-ski to przemilczy, czuję, że przemilczy. „Nie wypada”, a i po co „rujnować zgodę” – w istocie „dobrej kompanii”. N-w o swojej tylko to powiedział: „Królestwo jej niebieskie, tam jest jej lepiej” (w liście do mnie). A o

tatę tak się troszczył, żeby nie „tam było lepiej”, a „tu było dobrze”. Ale – żonom-chrześcijkom w ogóle „tam byłoby lepiej”, a kamilawki i wszystko inne – „nam pozostaną” i „będziemy je nosili tutaj”, a więc „tu będzie nam *dobrze*”... Cóż to za koszmary, wśród których żyję, gorszych od nich nie będzie nawet na tamtym świecie. Przecież to są moi przyjaciele, bliscy, *najlepsi ze spotkanych ludzi*, jeśli u nich nie jest „dobrze”, to gdzie jest dobrze? Przyszedłem, do nich przyszedłem – i... wydaje się, że jest „dobrze”, ale *pod pewnym kątem* u nich też *nie jest dobrze*. A tymczasem szczególny mój los każe mi poszukiwać i stukać, stukać i poszukiwać – *specjalnego dobra w tej dziedzinie*. Cóż Fl-ski napisał o N: „knut” i „trzeba przemilczeć”. Co to za rozwiązanie?

Czyżby nie tylko los, ale i sam Bóg mówił do mnie: „Wyjdź, wyjdź, dla ciebie nie ma tutaj miejsca”? Gdzie jest moje „miejsce”? Czyżbym był bez „miejsca” w świecie? Tymczasem, patrząc na słabości i głupoty odczuwam, że nie ma we mnie żadnego „kainowego” dodatku, żadnego „demonizmu”. Jestem bardzo przeciętnym człowiekiem, prostym człowiekiem, czuję – dobrym człowiekiem.

Umrzeć bez „miejsca”, żyć bez „miejsca”: najważniejsze – *bez najmniejszej woli walki*.

\* \* \*

739. – Dziecko płacze. No, wstań! Przecież śpisz obok niego.

– Jeśli płacze, to co ja mogę? Ono na rękach też będzie płakał. Daj, potrzynam je.

(*od czego rozpadają się rodziny*)

\*

Ona była tak samo wykształcona, jak i ta druga, która (ja tego nie zauważyłem) potem przy okazji powiedziała:

– Kiedy brałam mamkę (swojego mleka nie było, a dlaczego nie było – tego ani my, ani doktor nie wiedzieliśmy) i pieniądze szły na to, co ja sama powinnam wypełniać, to wtedy zwolniłam służącą i sama stanęłam przy kuchni.

(*od czego umacniają się rodziny: nasza mama*) (15 października)

\* \* \*

740. Ach, Bechtieriew, Bechtieriew – wszystkie moje łzy przez ciebie, przez ciebie...

Gdyby nie pana „diagnoza” w 1896 (97?) r., przeżyłbym szczęśliwie jeszcze 10 lat, równo tyle, ile potrzeba, żeby zostawić dzieciom 3 600 rocznie na pięćoro – po 300 na miesiąc, co byłoby wystarczające, opublikowałbym katalog swojej wspaniałej kolekcji monet greckich, opublikowałbym Egipt (atlas z wyjaśnieniami), „Lew i Baranek” (rękopis) oraz sam bym pozbierał i wydał w oddzielnych tomach swoje artykuły.

(początek października)

\* \* \*

741. Moim pragnieniem jest umrzeć – pójść w las, daleko, daleko. Pomodlić się i umrzeć. Nic nikomu nie mówiąc.

A coś usłyszeć? O, jakże bym chciał! Ale jak i za życia – wszystko będzie „z niedopowiedzeniami”, i „unikami”. A ci obcy, gawędziarze – ich w ogóle nie potrzeba.

Znaczy – nie ma nic do usłyszenia.

(głęboką nocą)

\* \* \*

742. Chłód na sercu. Czy znacie to?

(w smutku)

\* \* \*

743. W wieku 57 lat Bóg pobłogosławił mnie przyjaźnią Cw.

(w smutku) (październik 1912)

\*

Jak ja go lubię! I jak szanuję.

\* \* \*

744. Gdyby Bechtieriew zobaczył naszą mamę, leżącą na kanapie i ściskającą prawą ręką chorą lewą rękę...

Nie zobaczy. Widzi męża.

\*

Oni nie mają serca. Jak można było nie uratować, jeśli on wiedział, że można uratować, że jest jeszcze czas, nie jest za późno.

\* \* \*

745. Wiem, fizyka: lewa ręka jest zimniejsza od prawej i ona ciągle ją grzeje. Ale ten *widok* przyciśniętych do piersi rąk – piąstka do piąstki – jakże on jest pełen prośby, błagania i... beznadziejności.

Ciągle mam go przed oczyma, całe dni. Odwrócisz głowę, podejdziesz do stołu, przejdiesz się po pokoju i wrócisz z powrotem: ciągle te ściśnięte piąstki, ciągle te ściśnięte piąstki. Dni, godziny, każda godzina, całe miesiące.

(zima 1912 r.)

\* \* \*

746. Nadzy się rodzimy, nadzy wracamy do ziemi.  
Czymże są nasze szaty?

Rangi, znaczenie, stanowisko?  
Żeby pospacerować.

\*

Piękny dzień, wszyscy wyszli na Newski. Ale jest czas, gdy wszyscy pójdziemy „do domu”. A „do domu” znaczy – do ziemi.

(październik)

\* \* \*

747. Jakże nie całować ręki Kościoła, jeśli on nawet analfabecie dał modlitwy: ciemna starucha zapaliła lampkę oliwną i powiedziała:

„Panie, zmiłuj się” (słyszała w cerkwi, a i „sama” też powie) i pokłoniła się do ziemi.

„Pomodliła się” i uradowała. Lżej stało się na duszy samotnej i starej kobiety.

Kto to wymyślił? Pitagoras nie „odkryje”, Newton nie „wyliczy”.

Kościół to uczynił. Zrozumiał. Potrafił.

Kościół wszystkich tego nauczył. Hosanna Kościołowi – Hosanna jak Chrystusowi – „Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie”.

\* \* \*

748. ...tak, szuler –

Uderzy w serca mocą prawdy swej okrutnej.

Interesująca historia naszej literatury.

(u Gerszenzona na temat Ogariowej,  
jak ją okradli, staruchę)

\* \* \*

749. Jak narodził się rakowa rośnię i wszystko niszczy, wysysa siły organizmu i nie ma żadnej siły, żeby ją powstrzymać, tak samo socjalizm. To jest wyniszczające marzenie – nie do zrealizowania, beznadziejne, ale które wysysa wszystkie żywe siły młodzieży, gimnazjalistów i gimnazjalistek. Ono oczarowuje najbardziej idealnych ludzi i ciągnie nieszczęsnych na szubienicę – w tym samym czasie, gdy oni są przekonani, że socjalizm przyniesie im szczęście.

W jednym pokoleniu, w drugim, w trzecim. Iluż socjalizm zaciągnął już na szubienicę, a ciągle jest lubiany. „Marzenie powszechnego szczęścia wśród powszechnego nieszczęścia”. Tak: ale właśnie *marzenie* o szczęściu, a nie praca dla szczęścia. To marzenie jest przeciwstawne powolnej, inżynierskiej pracy nad szczęściem.

– Trzeba wykopać rów i nawodnić goły step.

– Nie... po co? Będziemy siedzieć w gołym stepie i marzyć o tym, jak dzieci naszych prawników będą na skrzydłach latały w powietrzu – wtedy będą mogły łatwo dolecieć do dalekiego wodopaju.

(czytając „Sowriemiennik”)

\* \* \*

750. W latach 1904-5 chciałem napisać coś w rodzaju „hymnu wolności”... Napisałem 8 linijek – na więcej nie starczyło żaru: poczułem, że zapędziłem się w retorykę... A teraz!...

.....  
.....  
...uciekać jak zarzynana krowa, schwyciwszy się głowę, za włosy i ryczy, ryczy, nad sobą ryczy, oczywiście, a nie nad tym, że „rząd jest zły” (wieczne *extemporatia* osłów)

(październik)

\* \* \*

751. – Jakże okropne są pańskie utwory!  
– Tak. Ale wszystko przygotowuję w pracy.

\* \* \*

752. „Chrześcijaństwo nie jest *ani* za płcią, *ani* przeciwko płci, a przeniosło człowieka na całkowicie inną płaszczyznę”.

(Flor.)

– Gospodarz nie jest *przeciwko* remontowi domu i nie jest też *za* remontem domu, a zajmuje się bibliografią.

Wydaje mi się, że dom się rozwali. Chociaż bibliografia nie pozostaje w sprzeczności z zarządzaniem domem, ale jednak go zjada.

Problem małżeństwa dotyczy przecieź każdej rodziny, mnie, pana. Dręczy całe dni, noce, ciągle, każdego. Jakże więc można powiedzieć: „Ja nikomu nie zabraniam, a jedynie idę do biblioteki publicznej zajmować się rękopisami”.

(8 października)

\* \* \*

753. Czyż Puszkina jest winny, że Pisariew „nie czytał” jego utworów? Czy Kościół jest winny, że Büchner i Moleschott „go nie rozumieją”, czy chrześcijaństwo jest winne, że my sami „bełkoczemy”?

\* \* \*

754. Straszne, kiedy następuje rozdrażnienie duszy... Dusza ziębnie.

\* \* \*

755. – Wasia, wyjdź, a ja sobie pojęczę.

– Jęcz, Waria, przy mnie...

– Ale ja tobie przeszkadzam.

– Dziecko, kto z tobą zostanie, jeśli ja wyjdę? A ja chcę zostać...

*(kiedy Szura wyszła po raz drugi 23 października)*

\* \* \*

756. Mimo wszystko umrę w całkowitej, w całkowitej niepewności. W religijnej niepewności.

Największą winę ma w tym Fl. Jego przemilczenia.

Z Bogiem nigdy się nie rozstawałem. A wszystko pozostałe...

\* \* \*

757. Oczekiwana, upragniona i wypatrywana cecha metropolity Petersburga – skromność.

Uczoność – dobrze, świętość – pięknie, asceza – wspaniale, ale najważniejsza jest skromność.

Milczenie, łagodność i uległość.

Jeśli poza tym ma dobry wzrost, melodyjny głos i godne maniery – to dla takiego „kandydata” nie byłby strasznym konkurentem i Filaret, i Złotousty, i „wszyscy trzej hierarchowie”.

*(28 października, przed † metropolity Antoniego, przy wieczornej herbacie)*

\* \* \*

758. Pół-szczerłość – to ona towarzyszy teraz wszystkim sprawom kościelnym.

Myli się każdy, kto mówi o szczerości. Jemu natychmiast wskażą na patetyczny głos, wielki zachwyty, wzruszenie, oddanie.

Ale proszę *nie badać* tej patetyczności: policzki pobledną, język zacznie się plątać. Wszystko skończy się na unikach i przemilczeniach.

Teraz wszystko – w „połowie”..., nigdy – w „pełni”.

*(też przed † metropolity Antoniego)*

\* \* \*

759. Nawet gdyby to miejsce było pełne robaków i zniszczenia – ja zostanę *tutaj*.

Zostanę – z głupimi. Zostanę – z szalbierzami.

Dlaczego?

Tutaj mówią o nieśmiertelności duszy. O Bogu. O życiu wiecznym. O nagrodzie i karze.

Tu – Ołtarz. Zaiste Ołtarz, jedyny na ziemi.

Gdzież można stąd pójść?

(przed † metropolity Antoniego,  
28 października w nocy)

\* \* \*

760. Być może, inni nie mają prawa umierać *sami*, ale ja mam prawo umierać *samemu*.

\* \* \*

761. Zmarł Tilling, dyrektor szpitala ewangelickiego, w którym kiedyś „ona leżała” (niebezpieczny krwotok – na skraju mogiły).

Rosche w Monachium, Nauk gdzieś za granicą, a teraz Tilling (taki gigant!), wcześniej odpowiedzialny za krwotok (kazał robić masaż przed zdjęciem szwów), Renteln – wszyscy †††. I jeśli Nemezis...

Grzech! Grzech! Grzech!

(28 października w nocy)

\* \* \*

762. Na wypadek „gdyby” – oto plan wydania moich artykułów, które jeszcze nie zebrałem w książki:

1) *Przy ścianach cerkwi, III*. Artykuły o Kościele, o zarządzaniu Kościołem, o szkołach kościelnych. To wszystko „ku pomocy klechom”, a także naszym miłym duchownym. Pieriedolski dobrze to nazwał „Boży krewni”. Tak i jest: przez 1 000 lat duchowieństwo przeniosło i zachowało bez wahania ideę Nieba, ideę Prawdy, ideę Sądu... Niech pomodli się za nieszczęsne sługi Boże „Wasyła i Barbarę”. Ojciec Ustynski cały czas za nas się modli. Dzięki mu za to, miłemu...

2) *O pisarzach i literaturze*. Cztery tomy. Artykuły o literaturze. Jest wstęp do tej książki, napisany w natchnieniu. Do tego tomu powinny wejść (są w rękopisie) niedokończone artykuły „Pascal”, „Chrześcijaństwo i język”, „Faust”.

3) *Judaizm*. Na początku – „Wspaniała pieśń żydowska”, potem „Żyd nad Mojką”, „Wyczucie słońca u roślin i starożytnych Żydów”, na koniec – „Judaizm”. To – I tom. W II tomie, z podtytułem „Materiały” – gruby zeszyt, znajdujący się w mojej bibliotece, Żyda Cynchenszteina, a następnie – ale któż będzie potrafił dokonać wyboru? – fragmenty z „Talmudu” i ze „Świątyni starotestamentowej”.

4) *Zmierzch oświaty* – drugie wydanie, uzupełnione, ale przede wszystkim z dodaniem „W obietnicach dnia”. Zebrać artykuły wydane w okresie nieładu i buntu w szkołach, ich zagubienia się. W ten sposób powstaną dwa tomy – „Zmierzch oświaty” i „W obietnicach dnia”. To – dla miłych gimnazjalistów.

5) *Problem rodzinny w Rosji*, tom III. Tu artykuł: „W świecie miłości, przestrochu i wstydu”. To – dla cierpiętników.

6) *Embriony*. Z książek, z gazety handlowej („Z dziennika pisarza”), „Notatki z podróży”, z „Grażdanina”. Należy wydawać w formie „Odosobnionego”, zaczynając każdy aforyzm od nowej strony. Nie należy w żadnym wypadku łączyć i mieszać z „Odosobnionym”. „Odosobnione” – bez czytelnika, „Embriony” – dla czytelnika.

7) *Wrażenia z Niemiec*. Nauheim, Monachium... Należy tu umieścić z książki „Wrażenia z Włoch” ostatni rozdział: „W Niemczech”. A „Wrażenia z Niemiec” (książkę) zaczynać od artykułów o Berlinie i cesarzu Wilhelmie.

8) *Wrażenia z Kaukazu*.

9) *Rosyjski Nil* (wrażenia z Wołgi). Tu dodać artykuły „Izrael” i „W obecnych nastrojach”, z „Rosyjskiego Słowa” za 1907 r. (N°N° 194 i 200), gdyż wszystko to „Rosyjski Nil”, a jedynie redakcja zmieniła tytuły.

10) *Urzędnik. Zarys państwowości rosyjskiej*. Artykuły z „Rosyjskiego Słowa” i „Nowego Słowa” o urzędnikach.

11) *W związku ze sztuką*. Artykuły „Modląca się Ruś” (o Nesterowie), „Gdzie jest religia młodości?”, „Sycylijczycy w Moskwie”, „Pomnik Aleksandra III”, „Dlaczego nie udał się pomnik Gogola?”, „Aktor”, „S. S. Botkin”, „Pamięci Komissarzewskiej”, „Teatr i młodość”, być może także „Tajemnice niewinności” (o Duncan) i „Zembrich”.

12) *Literaccy wygnańcy*. „Korespondencja z Leontiewem” (z przypisami) i „Korespondencja z Raczińskim” (z przypisami). Listy do mnie miłego N. N. Strachowa (z jego portretem – chudy, z założonymi rękoma, w sadzie – zrobionym w Jasnej Polanie po operacji), listy do mnie Rcy (i mój portret z Sonią, chrześniaczką), listy do mnie Szperka i portret „Umierający Szperk” (w Chalile, z rodziną; poprosić o wygrawerowanie W. W. Mate, adres – w Akademii Sztuk Pięknych, powinno kosztować 200 rubli, ale myślę, że zwróci się w sprzedaży książki), listy do mnie P. A. Florenskiego (trzeba poprosić o zgodę; adres: Ławra Świętej Trójcy i św. Sergiusza, Akademia Teologiczna) i listy A. A. Cwietkowa. To mogą redagować P. A. Florenski lub S. A. Cwietkow. Adres Cwietkowa: Moskwa, Ostozhenka, zaułek Mołocznyj 2 m. 2.

13) *Drzewo życia i idea skopców*. Artykuły o płci (zwłaszcza „Płeć i dusza”).

14) *Czarny ogień*. Artykuły o rewolucji i rewolucjonistach.

15) *Na dziedzińcu pogan*. „Kultura i wieś”, „Obeliski egipskie”, „Piękno egipskie”, „Ganiciel Balaama” biskupa Serafima (notatka bibliograficzna), „O czci ziarna”, Butkiewicza „Niewiara XIX w.” (notatka bibliograficzna), „Afrodyta-Diana”, „O wykładzie Włodzimierza Sołowjowa”, „Bajkowe królestwo”, „Wschód” (podpisano: *Orion*), „Wielka chwila historii”, „Interesujący wieczór”, „Maleńka poprawka historyczna”, „Seria nieporozumień” (?), „Cuda w życiu i historii”, „Temat naszych czasów”, „Hellenizm”, „Demon Lermontowa w otoczeniu starożytnych mitów”, „Atlantyda – była”, „Ze wschodnich motywów”. Dodać piękny rysunek pióra Baksta.

16) *Lew i Baranek*. Duży rękopis nieukończonych książki, znajduje się w ogniotrwałej szafie. W miejscach, gdzie brakuje tekstu – po prostu dać stronę kropek. To nie naruszy sensu i związku. Redagować tom powinien Florenski, a jeśli on nie może – Cwietkow, a gdyby i on nie mógł – poczekać. Trzeba pamiętać: „Robota nie zająć, nie ucieknie”.

\* \* \*

763. Spotkałem się z Filosofozem i Mereżkowskim na zebraniu religijno-filozoficznym. Jakby nic się nie wydarzyło. Wyczułem przyjaźń. A w prasie wyzywaliśmy się, oni nawet zażądali w „Russkim Słowie”, żeby mnie wyrzucili, gdyż w przeciwnym wypadku „oni odejdą”.

Nawet poklepałem Filosofoza, gdy przechodził obok mnie. Przyjaźń w pełni. Jak gimnazjaliści.

Strasznie lubię lata gimnazjalne. Chciałbym ciągle być gimnazjalistą. „Do diabła z poważnym życiem”.

\*

Kiedy współpracuję z gazetami – zawsze z wewnętrznym śmiechem – zawsze z tą myślą: „My jeszcze wam pokażemy, kim są gimnazjaliści”.

\*

Dlatego jest mi wszystko jedno, jakie mam pisać artykuły, „lewicowe” czy „prawicowe”. Wszystko to głupstwo i nie ma żadnego znaczenia. „Szaleństwa gimnazjalisty z Niznego” (pływaliliśmy w Czarnym stawie).

(29 października)

\* \* \*

764. Mam parasol Filosofoza, nożyk z masą perłową (syczoryk, wspaniały) Suchodriewa, a teraz laskę od Tyczynkina.

– Ona jest brudna.

– Tym lepiej. To w moim stylu.

\*

Parasol Filosofoza ma dziurkę. Ale ma taką wspaniałą laskę, czarna z korbami, nie porusza się i jest niezwykle lekka.

Ci dekadenci potrafili produkować niezwykle wytworne przedmioty. Proste i stylowe.

(29 października)

\* \* \*

765. ...*odchylenie się* wszystkich rzeczy od swego kierunku, *odchylenie się* wszystkich planet od „linii prostej”...

Co to takiego?!!!

Strach, strach...

\*

Być może świat chce być „zapięty na wszystkie guziki” i nie pokazywać wewnętrznych kieszeni ani reporterom, ani Newtonowi.

Jeśli tak – to można się uspokoić. „Ciemno. Nic nie widzę”. Niech tak mówi krzywonogi Wij, którego nogi wrosły w ziemię.

A jeśli jest inaczej?...

Co?

Nawet nie chcę powiedzieć. Boję się.

\* \* \*

766. Wszystkie moje wady były albo mało znaczącą ciekawością umysłu, albo po prostu „tak sobie”, a w istocie – bez przyczyny. Ale nigdy wada nie wywoływała „zawrotu głowy” i „łaskotania pod dołkiem”.

\* \* \*

767. Dlatego bardzo słabo znam „wady świata”. Stąd też moje opinie na temat świata nie są zbyt głębokie. W ognistych wadach ujawnia się jakoś „ta strona księżycy”, która nigdy się do mnie nie zwracała.

\* \* \*

768. Plan „Martwych dusz” – jest w istocie anegdotą, jak i „Rewizora” – też anegdota. Jak pewien pan chciał kupić zmarłe „dusze” po rewizji i dać je pod zastaw, a inny pan-oszust został uznany w mieście za rewizora. Wszystkie jego utwory sceniczne – „Ożenek”, „Gracze” i opowiadania, jak „Płaszcz” – to po prostu petersburskie anegdoty, które mogły się zdarzyć i mogły się nie zdarzyć. Nic nie charakteryzują i nie zawierają żadnej treści.

Zdumiewająca jest ta prostota, elementarność zamysłu. Gogol nie miał sił, żeby skomplikować plan powieści lub opowiadania w sensie rozwoju wydarzeń – wyczuwa się, że on *nie mógłby przedstawić* nawet prób w tym kierunku – w rękopisach nie ma o tym żadnych wzmianek.

Cóż to takiego? Zadziwiająca *elementarność* duszy. Zdumiewa, że sam Gogol się *nie rozwijał*, w nim nie dokonywała się zmiana duszy, nie zmieniały się przekonania. Przechodząc od opowiadań ukraińskich do anegdot petersburskich on jedynie skierował oczy z południa na północ, ale oczy pozostały *takie same*.

\* \* \*

769. Niedostatek Piercowa polega na niewystarczająco wyrazistej i nawet niewystarczająco określonej indywidualności.

Stwarzając go Bóg jakby popadł w zadumę, dłuto zatrzymało się i cała postać stała się matowa. Oczy „nie *sterczą*” z marmuru i wargi nigdy nie wydadzą krzyku. Rozumu i dalekowzroczości, jak i trafnego słowa (w jego utworach) jest tyle, że „daj, Boże, każdemu”, a zwłaszcza pociągająca jest jego szlachetność i altruizm, ale wszystkie te cechy są ukryte w tumanie nieokreślonych czynów, cicho wypowiedzianych słów, jakieś „szuranie bytu”, ale nie skakanie bytu.

Jest jednak „szlachetnym rycerzem”, szlachetnym i *starym* (według wzoru) w naszej nieszczególnej publicystyce.

Kontrastem dla niego jest Rcy, którego Bóg przerobił, a potem splunął z odrazą i odszedł. Od tego czasu Rcy ciągle biega za Bogiem i odmawia (w duszy) najpiękniejsze modlitwy, jakie zna świat.

Niestety, w literaturze prawie się to w niczym nie wyraziło. On pisał tylko o jedzeniu, o Rosji i niekiedy o Ojcach Kościoła. Teraz, biedny, zamilkł.

\* \* \*

770. Czymże jest dusza literacka?

To Hamlet.

To chłód i pustka.

(*idąc spać*)

\* \* \*

771. Nie byłoby mi tak strasznie i tak boleśnie, gdyby nie okropności jasnowidzenia. Żyję jak „w Opatrzności”: dlatego, że przez całe lata, przez długie lata – cała przyszłość otworzyła się w jakichś wieszczych trwogach.

Byliśmy w teatrze w Kisłowodzku. Wystawiano „Mądremu biada”. Ani dobrze, ani źle. W którymś z antraktów obmyślałem, czy nie należałoby napisać artykułu do „Nowego Wriemieni” za 70 rubli (bilety – po 6 rubli, potrzeby są i to dość poważne).

– Popatrz, Wasia.

Podniosłem głowę i patrzyłem na opuszczoną kurtynę z postaciami najad i herosów.

– Nie tam, a wyżej.

Kurtyna była spuszczana z sklepienia, na którym były przedstawione... zdaje się, antyczne maski.

– Tam, w kącie... Taka przerażająca... Kiedy będę umierała, będę miała taką twarz.

Była to skażona przerażeniem i rozpaczą twarz „maski tragicznej”.

Zaśmiałem się. Moje wargi coś bezsilnie szeptały, ale jej głos, „pełen przekonania”, przerażał mnie i później, kiedy budziłem się w nocy.

Kilkakrotnie, kiedy chciałem zaproponować jej odpoczynek w sanatorium (jakże byłoby to zbawienne, we właściwym czasie postawiono by diagnozę), to ona była przerażona: jak ptak, który ucieka do kąta i boi się z niego wyjść.

Ciągła podejrzliwość. I ciągle przerażenie. – „Chcesz zostać *sam*, beze mnie” (oczywiście, dla jakichś lekkomyślnych celów). – „Ty chcesz się odczepić *ode mnie*”...

Przestawałem mówić.

„– Jakie to straszne... Wtedy wydawało mi się, że wiozą mnie do domu wariatów. Zasłony w oknach są opuszczone”.

Ona stawała się zimna. I ja stawałem się zimny. Centrum przerażenia znajdowało się w „opuszczonych zasłonach”.

A „zasłony” w jej duszy faktycznie były opuszczone. Ona atonicznie, w niszczący sposób oddzielała się od świata.

Moja cierpiętница. I znowu mówiła: „Ja znowu widziałam w śnie Michała Pawłowicza. Tak wyraźnie. I on pytał: Czy szybko, Wareńko, przyjdiesz do mnie? Czekam na ciebie”.

To pierwszy mąż. Od niego wszystko się zaczęło. Nawet nasza miłość zaczęła się od cudnej elegii, w której ona opowiadała o niewyjaśnionej szybkiej śmierci jej pierwszego męża. Została wdową mając 21 lat, z 2-wu letnią Saniczką i matką.

\*

Bóg posłał mnie z darem słowa i nic innego mi nie dał. Oto, dlaczego jestem taki nieszczęśliwy.

\*

Nic tak pięknie nie kładzie się na młodości, jak bieda.

Ale bez obłudnych „dziur”...

Bieda jest czysta.

\*

Moja dusza jest jak rozplataną nitką. Nawet nie lniana, a papierowa. Cała „rozłazi się” i nie ma jej czym wzmocnić.

*(jadąc nocą dorożką)*

\*

Wyszedłem z ohydy spustoszenia i tak należy mnie określać: „Wygnaniec z ohydy spustoszenia”.

Jakież to nieludzkie!

Wrogość do wszystkich ludzi.

Nas nie znali nawet sąsiedzi, jak i my nie znaliśmy sąsiadów. Chyba tylko krawca na rogu (jego chatynka stała tuż obok). Wszyscy nas unikali i my unikaliśmy wszystkich.

Wszyscy klóciliśmy się. Piękna Wiera zmarła tak młodo (miałem wtedy 8-7 lat), a kiedy zmarła, to wszystko ostatecznie zlodowaciało, a przede wszystkim stało się brudne. Nie pamiętam, żebyśmy się o coś troszczyli, żeby

sam o coś się troszczył. Wszyscy „wałęsali się”, a nie żyli, nikt nie miał świadomości, że *powinien coś robić*. W ogóle słowo „powinien” nie występowało w naszym języku, nie słyszałem go do 14 roku życia, kiedy usłyszałem, że „*powinienem odrobić lekcje*” (i natychmiast znienawidziłem słowo „powinienem”). Wszyscy „spędzali” dni (nie można nawet powiedzieć, że „żyli”), ale tak, żeby „było jak *najlżej*” i „jakby tu czegoś uniknąć”. Dopiero teraz (57 lat) myślę, że Kola miał rację, że pozostał u nas tylko 3 dni, wyjechał milczący i nigdy nie odpowiadał na żadne listy. Oceniał okiem i doświadczeniem dorosłego człowieka, że tu wszystko jest martwe, chociaż porusza się i oddycha. Nic nie można wskrzesić, można jedynie utonąć i jedynie w ten sposób wyjść z takiej sytuacji.

*(nocą w łóżku, wspominając dzieciństwo do 13 lat)*

\*

Któż to jest „pisarz”?

Porzucone dzieci, zapomniana żona, i próżność, próżność...

Interesująca postać.

*(zasypiając)*

\* \* \*

772. Kościół wszystkich ludzi nauczył się modlić.

Jaki może być inny stosunek do Kościoła, jak tylko całować w rękę.

To dobrze, że prawosławni całują duchownych w rękę.

Duchowny jest ojcem. Jedynym ojcem. Przecież i naturalni ojcowie bywają głupi, ale nie mówimy dzieciom – nienawidźcie ich, pogardzajcie nimi. Gdyby tak mówiono, to demoralizowano by dzieci, gubiono ich duszę i przyszłość. Właśnie dlatego, choćby i były podstawy do osądzania duchownych – nie należy ich osądzać.

Gdy osądzamy duchowieństwo, wtedy sami giniemy. Bez duchowieństwa – naród zginie. Duchowieństwo strzeże jego duszę.

*(1 listopada)*

\*

Co jest ważniejsze, miłość czy miłosna historia?

Ach, wszystkie „miłosne historie” nie są warte cząstki miłości.

Ja piszę teraz „historię”, gdyż przeminęło moje szczęście.

\*

„Bóg zabrał” Rcy troje dzieci – Wanię, Sieriożę i jeszcze... zapomniałem imię. Sierioża zmarł później. Jedną za drugą wynoszono dziecięce trumienki z ulicy Pawłowskiej 2, dom Jefimowa, 2-gie piętro.

Było to coś wstrząsającego. Jak w wypadku „takiego nieszczęścia” człowiekowi „nie łamią się kości”? On – nieruchomy, rozbity, ona – cała w męce, i Hess (lekarz) mówi: „Którą to już dobę Olga Iwanowna nie zamyka oczu”? (matka).

I Helena Iwanowna...

Ale znieśli to, co znieśli. Czego w ogóle nie można znieść. Pod czym łamią się kości i dusza. Jak oni mogli to znieść?

A jak nie mieli tego znieść? Zostali, żeby żyć. Bóg „jednych zabiera”, innych „pozostawia”: kogo zostawia – ten „będzie żyć”.

Śmiechu i przedtem nie było. Zawsze były potrzeby. Teraz – często bardzo poważne. Ale wtedy (na imieninach Olgi Iwanownej) był śmiech. Uśmiech i teraz się zdarza. Nie często, ale zdarza się. Mówi. Troszczy się. Ciągłe czyta Apokalipsę. Czyta. Myśli. Wczytuje się. Jego lektury to – Apostoł Paweł i „Nowoje Wriemia” (o wszystkim – bieżący dzień), niekiedy „Bogosłowskij Wiestnik”.

On był licealistą w Moskwie. Mądry. Jego zainteresowania – Rembrandt i Rossini. Pisze. Ale coś „nie wychodzi”. Urodził się przed wynalezieniem druku i „pogardza życiem w tym wieku”. On nie zna *praesens*, a jedynie *perfectum* i *plusquamperfectum*. *Futurum* z gniewem odrzuca.

I żyją.

Żyją pasywnym życiem (po cierpieniach), gdyż życie aktywne nie jest już możliwe.

Właśnie dlatego należy szanować starość: ona jest „po cierpieniach”.

W gimnazjum nie przychodziło nam to do głowy.

\*

Święte słowo.

.....  
.....  
Moja zależność od matki – jak zależność niemoralnego lub słabo moralnego od moralnego.

Gdzieś pełźnie, miota się, skłania i ciągle ogląda się do tyłu.

I ta ciągła troska o mnie – jak Opatrzność. Dlatego tak strasznie jest mi zostać samemu, bo zostanę bez Opatrzności<sup>30</sup>.

Ani – *gdzie* iść.

Ani – *gdzie* odpocząć.

Jestem zagubiony, jak pies na obcej ulicy.

\*

Podstawa mojego przywiązania – moralna. Chociaż wszystko mi się podoba w jej ciele, w figurze, w słabym i króciutkim palcu (zadziwiająco

---

<sup>30</sup> To znaczy bez pewnego jej cienia, realizacji jej na ziemi, jej „dotykalności”.

wytworne ręce), w jednej „dziurce” na policzku (po śmierci pierwszego męża druga „dziurka” zniknęła) – ale to nie przeszkadzało w rozwoju miłości moralnej.

Obecnie tylko w chrześcijaństwie możliwa jest miłość moralna, przywiązanie moralne. *Ciało jako świątynia (Stary Testament)* rzeczywiście umarło i miłość cielesna nie jest możliwa. Miłość cielesna została tylko dla ulicy i ma uliczne formy.

Kochałem ją tak, jak grzech kocha sprawiedliwość i jak to, co krzywe, kocha to, co proste, i jak to, co głupie – kocha prawdę.

\*

Oto, dlaczego w mojej miłości jest to straszne „rozdzielenie”. To ono dodało jej zgryzot, płaczu. To ono uczyniło ją wiecznym pragnieniem, bez nasycenia i zadowolenia. To ono nappełniło ją tęsknotą, męką i niezwykłym szczęściem.

\*

Prawie zawsze, gdy byliśmy sami i ona nie rozmawiała ze mną, to modliła się. Wcześniej też tak bywało, ale w ostatnich 5-6-7 latach ciągle. Czy przez te lata, kiedy obok siebie widziałam ciągle modlącego się człowieka, nie mogłem nie przywyknąć, nie wychować się, nie przekonać się, nie poczuć z całą mocą, że modlitwa jest tym, co najlepsze, co najważniejsze.

*(nocą w łóżku, 1 listopada w łóżku)*

\*

Powracam do tego idealizmu, z jakim pisałem „Legendę” (znajomość z Warią) i „Zmierzch oświaty” (życie z nią w Białym). Do starej ciszy prowincjonalnej. Petersburg jedynie mnie zmęczył i, być może, zdemoralizował. Najpierw (niechęć do wysoko postawionego liberała-oświeciciela i oszusta) szaleńczy konserwatyzm, potem równie nieopanowana rewolucyjność, zwłaszcza religijna, antykościelna, a nawet antychrześcijańska. Do tego stanu doprowadziła mnie sytuacja rodzinna. Należy to rozumieć tak: obecne duchowieństwo skromnie nie uważa się za zbyt święte, raczej za słabe i z tego powodu *boi się* poruszać w tych rzeczywiście świętych formach życia, „regułach”, „prawach”, jakie zachowały się od Starożytności. Również teraz Paweł postąpiłby tak samo i *slusznie* osądziłby jedno i usprawiedliwił drugie. Bez tego ducha „świętości w sobie” (teraz), jak mają się poruszać? I oni zamarli. Nie jest to konserwatyzm, a skromność, nie jest to suchość, a lęk przed zaszkodzeniem, naruszeniem „reguł”, które trzeba by naruszyć w innych wypadkach i dla innych osób w sytuacjach niezbyt jasnych i białych, ale szarych i czarnych. Przyszłoby pozostać ze zmienioną „regułą” i to ze swoim sumieniem, które nie jest sumieniem „Pawła”, ale sumieniem Antonich, Nikonów, Sergiuszy, Włodzimierzy i Konstantynów (Pobiedonoscew) – jakże

można na nie włożyć „ciężar świata”? „Mnie nie da się jeszcze przekupić, ale mojego następcę już przekupią”: świat nie będzie podporządkowywał się „regule”, a przekupstwu. I świat zachwieje się i zginie.

Tak powinienem to rozumieć, że mnie nikt nie osądza za moje małżeństwo i Kościół wcale nie osądza mojej Warrii, nie chce mnie też oderwać od dzieci, a jedynie lęka się publicznie, głośno, w druku ogłosić, że „w ostatecznych czasach nie ma już Pawłów, a są Nikonarowie i Innocenci”. A to dlatego, że dar prorocstwa i arcykapłaństwa jest rzadki, był też rzadki w pierwszym Kościele starotestamentowym i w drugim, nowotestamentowym. Amen i pokój.

\* \* \*

773. Wszystko przepadło, wszystko przepadło. Wszystko przepadło.  
Życie przepadło. Przepadł sam sens życia.  
Nie dopatrzyłem.

(3 listopada)

\* \* \*

774. Tak ją kochałem, że w żaden sposób nie mogłem przestać w nocy palić.

(Prawda – próbowałem, ale ona sama mówiła: „Zapał” – i wtedy paliłem).

\* \* \*

775. Ach, panowie, panowie, gdybyśmy wszyscy wiedzieli, jacy jesteśmy biedni...

Gdybyśmy wiedzieli, jak bardzo jesteśmy ubodzy, nędzni...

Jacy z nas „darwiniści”: jesteśmy po prostu kobyłami, które powinny rozwozić wodę.

Po prostu „pies spod bramy”, żeby pilnował domu dobrej właścicielki.

A ona rzuca mu kawałek chleba.

„Oto Spencer i my”.

„I dzieła Auguste’a Comte’a, Milla i Spencera, i problem kobiecy”  
(miałem o tym lekcję dla gimnazjalistów).

I „wstęp Cebrikowej”.

(5 listopada)

\* \* \*

776. Robak urodził robaka.

Robak popełznął.

Potem umarł.

Oto nasze życie.

(o 3 godzinie w nocy)

\*

...wybierzcie orędownika za Ziemię Ruską. Nie szukajcie mądrego, nie szukajcie uczonego. Nie jest też potrzebny chytry i fałszywy. Posłuchajcie, czyja modlitwa jest najgorętsza – żeby przedstawiał on Bogu bóle i cierpienia naszej ziemi, modlił się za jej rany i niósł jej ciężary.

(na temat wyboru patriarchy Rusi)

\*

Życie – to niewolnik marzenia.

W historii autentycznie realne są jedynie marzenia. One są żywe. Nie zniszczysz ich ani kwasem, ani ogniem. One się rozprzestrzeniają, rozwijają, „opanowują powietrze”, wpełzają z głowy do głowy. Wobec takiego łańcuchowego istnienia jakże słabe są kamienne ściany, żelazne baszty, dobre uzbrojenie. Z marzeniem nie da się walczyć ani przy pomocy tarczy, ani przy pomocy włóczni.

A fakty – ciągle linieją.

\* \* \*

777. Do Boga wcale nie trzeba było mnie „doprowadzać”: od 2-go (lub 1-go?) roku uniwersytetu nie to, żebym Go odczuwał, ale uczucie Jego obecności przy mnie – nigdy mnie nie opuszczało, nie ulegało przerwaniu nawet na godzinę. Byłem „pełen Boga” – i to zawsze.

Ale do Chrystusa trzeba było „przyprowadzić”.

Czyżby więc całe moje życie było – od 1889 r. – „doprowadzaniem”? Od 1889 do obecnego 1912 r., a nawet ściśle do 7 listopada, kiedy po raz pierwszy „mignęła” ta myśl...

Przecież do 7 listopada byłem całkowicie „poza Nim”. Do takiego stopnia, jak chyba nikt na świecie. Powiedziano przecież: „*Oreż przeniknie twoje serce*”...

Oto, co „przyprowadza”...

(7 listopada)

\* \* \*

To nie pokorni są pokorni, a ci, którzy zostali upokorzeni.  
Nie chcę takiego punktu widzenia: jest mi on wrogi. Nie – Fatum.  
I potem – pokora.

Dusza dręczy się. Dręczy się straszną udręką.  
Moje jutro jest bez światła. Moja noc jest bez snu.

\*

To mama otworzyła książkę i pokazała mi jakiś tekst: - „Co to takiego? To jest *śluszne*”.

Spojrzałem i przeczytałem:

„Człowiek swej drogi jest nieświadomy, Bóg sam ją przed nim zamyka”.

To z Księgi Hioba (3, 23). Pomyślałem: „Oto, co chciałbym napisać na twoim grobie, moja biedna”. Miało to miejsce 18 lat temu.

Dlatego zawsze ją czułem, znałem. Jak i u niej, u mnie też była niewyjaśniona trwoga, teraz już znana (dawna choroba). Wydawało się, że wszystko jest zabezpieczone, dzieci oddane do najlepszych szkół, mama „w porządku”: a myśl „biedna! biedna!” wysysała duszę. Do tamtej mojej trwogi odnoszę słowa Niekrasowa:

Jadę nocą ulicą ciemną,  
gdyż często jeżdżę do redakcji w nocy (korekta). I zawsze - trwoga, jakby jutro miał nastąpić koniec świata.

\* \* \*

778. Mam świerzb wad, ale nie ciągnie mnie do nich, nie mam ich mocy.

To brud, w którym snuje się wesz. Nigdy nie znałem ognia i gorliwości wad. Przecież jestem łagodny, „pokorny”.

Często przy stole patrzyłem na moich gości i myślałem, że są wolni od tych wad – z jaką zawiścią i wdzięcznością (że czyści), i męką grzechu patrzyłem na nich.

Rozmawiam o literaturze lub na zebraniu religijno-filozoficznym, ale z ledwością zdaję sobie sprawę, o czym mówię.

\* \* \*

779. Całe moje życie było ciężkie. Wewnątrz grzechy. Na zewnątrz nieszczęścia. Jedyna pociecha była w pisaniu. Dlatego ciągle pisałem.

(8 listopada)

\*

Teraz wszystko się skończyło. „Grzebię w węgielkach”, jak w wygasłym piecu. Trzeba będzie zamknąć szyber.

\*

Miałem pychę religijną. „Oceniałem” Kościół jako coś obcego i nie odczuwałem potrzeby Kościoła dla siebie, gdyż „byłem z Bogiem”.

Pamiętam, jak w Briansku z pychą mówiłem: „To człowiek Kościoła”, lub też: „Tak, to człowiek Kościoła, ale to wcale nie znaczy, że jest on religijnym człowiekiem”... „Ja nie jestem człowiekiem Kościoła, ale jestem człowiekiem religijnym”.

Ale nadszedł czas „powrotu do ojców”. Trzeba odejść „do matki-ziemi”. I obudziła się potrzeba Kościoła.

Kościół – to „my wszyscy”, Kościół – to „ja z wszystkimi”. I „my wszyscy z Bogiem”.

W odróżnieniu od pełnej pychy „religijności” – poczucie „bycia w Kościele” jest pokorne, proste, ludowe, ogólnoludzkie.

(8 listopada)

\*

Filozofowie, i to nie wszyscy, mówili o Bogu, Platon nauczał o „nieśmiertelności duszy”. Jeszcze kilku innych. Kościół nie „nauczał”, nie „mówił”, a *nakazywał* wierzyć w Boga i karmić się nieśmiertelnością duszy. Tylko Kościół. Zawsze. Bez zmian. Bez wahania.

Kościół niósł to Imię, tę Wiarę, to Znamię bez wahania, od początku, i doniósł do naszych czasów. O wahających się Kościół mówił: „Ty – *nie jesteś mój*”. Nie można sobie wyobrazić prostego diaczka, który powiedziałby sobie: „Być może, *nie ma* nieśmiertelności duszy”. Każdy diaczek jest przekonany o tym, czego z trudem domyślał się i z ledwością osiągał Platon.

„Suma nauk Kościoła” jest niezmiernie w porównaniu z systemem Platona. I wszystko jest takie proste. Kościół podejździe do rodzącej kobiety. Kościół podejździe do trumny. To jest *potrzebne*. Właśnie owego „potrzebne” nie mógł dodać do swoich idei Platon.

Czymże są nasze uniwersytety i „nauki” w Akademiach Teologicznych w porównaniu z Kościołem?

Trawa w lesie. Nie: trawa w świecie (kosmos).

Świat – Kościół.

A nauki, i uniwersytety, i studenci – to tylko trawa, kwiatki: „przejździe sierp i je skosi”.

\*

Kto domyślił się podejść ze słowem do umierającego? Kto pomyślał, że trzeba podać rękę rodzącej?

Nie przyszło to do głowy Spencerowi.

Bockłowi – też nie przyszło.

Nawet Platonowi nie przyszło do głowy, ani Pitagorasowi w Związku Pitagorejskim. Nie wiem, czy przychodzi ksiądz, ale pastor na pewno nie przychodzi. „Zbyt brudno i duszno” jest w pokoju rodzącej.

Prawosławny kapłan przychodzi.

(8 listopada)

\*

W wielu sprawach nie byłem w Kościele na poziomie. Rzadko chodziłem z dziećmi do cerkwi. Ale to „rzadko” jest tak szczęśliwym wspomnieniem. To światłość.

Ta „światłość” jest rozlana po całym kraju. „Przyjdź i bierz ją za darmo”. Kto nie jest leniwy – ten przychodzi. Jakiż to brak na wsiach, że nie ma tam nabożeństw w dni powszednie. To jest niedopatrzenie. Przychodziłyby staruszki. Przychodziłyby dzieci. Przecież to jest pouczenie.

Dlaczego kapłanów obarczono statystyką? I wszelkimi głupotami, poza ich obowiązkiem, który nie jest spełniany.

(8 listopada)

\*

Rosjanie nie mają świadomości swoich przodków i nie mają świadomości swego potomstwa.

„Duchowy naród”... „Tylko ledwo co w ciele”...

Stąd – nihilizm: „przed nami nie było nic ważnego”. Rosyjski nihilizm zawsze jest radykalny: „Wszystko zbudujemy od początku”.

(8 listopada)

\*

Wkrótce skończą się moje dni... O, jakże one nie są mi potrzebne! To nie „ten czas jest ciężki”, a każda godzina jest ciężka”.

(8 listopada)

\*

Coraz więcej myślę o Kościele. Coraz częściej i częściej. Kościół stał mi się potrzebny. Przedtem podziwiałem, zachwyciałem się, wyobrażałem sobie. Oceniałem pożytek. To zupełnie coś innego. Kościół jest mi potrzeby – od tego wszystko się zaczyna.

Przed tym stwierdzeniem, w istocie, niczego nie było.

(8 listopada)

\*

Kościół bazuje na „**POTRZEBUJE**”. To wcale nie jest wpływ kulturowy. To nie jest „oświecanie ludu”. Wszystkie te kategorie przeminą. „Oświatę” trzeba brać od nihilistów, „wpływ kulturowy” dadzą Żydzi.

**JA POTRZEBUJĘ**: oto kamień, na którym budowany jest Kościół.

\*

Odpuśćmy im ich grzech, aby i oni odpuścili nam nasz grzech.

(o duchowieństwie, 8 listopada głęboką nocą)

\*

Przecież oni są stanem, warstwą społeczną. Prawie wszyscy zostają kapłanami, diakonami. Jakże *warstwa społeczna* może istnieć bez głupich ludzi, niekiedy – okropnych ludzi? Do kapłaństwa idą „wszyscy”, bez przebierania ziarna. Trafia się kłos pusty, kłos ze sporyszem, a na 100 – *jeden pełnowartościowy*. To naturalne.

\*

Przebaczmy im. Przebaczmy im. Przebaczmy im. Przebaczmy i zostawmy.

Przecież „od Ruryka” oni za nas się modlą. Obojętnie, nieuważnie, ale przecież to im zlecono wypowiedzianie tych słów.

Pozostańmy przy „przecież”. Świat jest tak mały, tak pełen cierpienia, sytuacja człowieka jest tak straszna, że ograniczmy się i zadowolmy tym „przecież”...

A „przecież” Serafim Sarowski i Ambroży z Optino byli z *nich*. Przecież nie z „literatów”...

U literatów nie ma „przecież”.

U literatów – samochwalstwo.

\* \* \*

780. Wyobrażać sobie coś jest łatwiej, niż pracować: stąd bierze się socjalizm (przynajmniej leniwy socjalizm rosyjski).

(9 listopada)

Kuzniecowa, deputowany II Dumy, został aresztowany jako przywódca szajki złodziejskiej w Petersburgu. To straszne.

O tym nie krzyczą gazety, jak o „Gurko Lidwału” przez cały miesiąc po 3-4 kolumny w każdym numerze. Wrażenie z powodu podwójnego stosunku gazet do takich wydarzeń: administracja to – *złodzieje*, od których Rosję uratują – *ludzie pracy*.

(przypadkowo natknąłem się w gazecie na tę informację)

\*

Jutro konsylium 4 lekarzy. „Czy jest wskazane, aby pojechała za granicę”? Dla Tani – materiał na białą suknię (25 rubli). Wieczorek w gimnazjum, z możliwością zaproszenia znajomych. Trzeba zaprosić młodych Akimowów, bardzo dobrze wychowanych i sympatycznych.

Jedne kwiaty więdną, a inne rozkwitają. Już 13 lat współpracuję z czasopiśmem „Nowoje Wriemia”: początkowo planowałem, że będę z nimi współpracował 10 lat, żeby zostawić dzieciom 20 000 rubli. Teraz mógłbym już „zamknąć komin”. Brakuje odwagi. Nie spisałem jeszcze testamentu i nie wiem, jak się to robi. W banku mam dług 5 000 rubli, na wyjazd „za granicę” trzeba

będzie wziąć 3 000 rubli. Dzieciom zostanie 30 000, a wydane już książki z opłaconymi kosztami druku będą dawały dochody po 600 rubli każda.

A tymczasem jedna opłata za naukę wymaga 2 000 rubli rocznie. Nie wiem, skąd brać te pieniądze, jeśli „zamknę komin”.

\*

Powiniennem jeszcze żyć dwa lata (opłaty w drukarniach i dług w banku).

\* \* \*

781. Moje przerażenie wszystko zniszczyło...

Anfimow (profesor z Charkowa) dobrze (prawie) określił chorobę (1896 r.). Opadły mi ręce. A one powinny się podnieść i pracować.

Gdybym nie był tak przerażony, to po powrocie do Petersburga zacząłbym leczenie, bez sprawdzania diagnozy przez Bechtieriewa. Wszystko byłoby uratowane: nie byłoby ani zapalenia mięśnia sercowego, ani zwyrodnienia naczyń, ani ataku apopleksji (Karpinski).

To znaczy, tych 3 rzeczy, które złamały nasze życie.

W domu nie byłoby mroku, „trwogi”, nieokreślonego lęku. Całe życie, poczynając od współpracy z czasopismem „Nowoje Wriemia” (zabezpieczenie) rozwijałoby się zupełnie inaczej, weselej, radośniej. W związkach z ludźmi.

Mama, która ginęła, nie unikałaby tak ludzi: „Nie trzeba”, „Wszyscy tacy ciężcy, nikogo nie chcę widzieć”, zwłaszcza nie chcę widzieć – wesela i radości.

(10 listopada)

\* \* \*

782. Ani Nowosiołow, ani Florenski, ani Cwietkow, ani Bułgakow, którzy cały czas myślą, czują i mówią o Kościele, o chrześcijaństwie, nic nie powiedzieli i, co najważniejsze, nie powiedzą nic o małżeństwie, o rodzinie, o płci. Włodzimierz Sołowjow napisał „Sens miłości”, ale przecież „sens miłości” – to naturalny temat filozoficzny: ale i on w dziesięciu tomach swoich utworów nie poświęcił ani jednej linijki rozwodowi, dziewiczości zawierających małżeństwo, zdradzie, po prostu cierniom i udrękom rodziny. *Nie pomógł jej ani jedną linijką.* Kiedy wydałem dwa tomy „Problemu rodziny w Rosji”, to nie tylko, że nie zwrócono uwagi na tę książkę, ale w całej prasie nie pojawiła się ani jedna recenzja, ani jedno omówienie, nikt też nie powołał się na tę książkę.

„Problem rodziny w Rosji” nie istnieje. Rodzina jest tak bardzo potrzebna każdemu, że wszyscy kolektywnym umysłem chrześcijańskim i sercem kościelnym są w stosunku do niej – obojętni i oziębli.

To sprawa policji i konsystorza – sprawa łapówki, protokołu i haniebnego sądu. Jest dla wszystkich oczywiste, że to nie jest „sakrament”, a brud i ohyda *w całej swej realnej treści* („dwoje będą jednym ciałem”) – jak o tym wszyscy mówią w swoim sercu, w swoich utworach i w swoim milczeniu.

Florenski mógłby powiedzieć, że coraz bardziej i bardziej uchodzi w suchą, pełną pychy i okrutną „kościelność”. „Usychają kwiatki” Franciszka z Asyżu.

(poświęcam dobremu kapłanowi N. R. Antonowowi)

O moje lenistwo rozbijał się wszelki podskok.

I klasyczne gimnazjum Tołstoja, i dziesięć przykazań. I „jak należy się prowadzić”.

Wszystko ugrzęzło w mojej nieforemności (jak myśliwy w błocie).

\*

Kiedy boli dusza – wtedy nic nam do pogaństwa. Zapytajcie, kto z „bolącą duszą” chciałby mieć coś wspólnego z pogaństwem.

\*

Wszystkim *ściskam* dłoń i wszyscy *ściskają* moją dłoń. Patrzą *oczyma* na cały świat i cały świat patrzy w moje oczy. *Wącham* fiołki, róże i narcyze. *Słucham* szumu lasu i fal morza, muzyki Beethovena i rosyjskiej żalosnej pieśni.

Jakaż *prostyucja* we wszystkim! Zaiste, ja „należę *do wszystkich* i wszyscy należą *do mnie*”. Poza jednym organem.

Który, jeśli oddam *jeszcze komuś* – poza *jedyną* – wszyscy podniosą na mnie kamienie.

Co za cud: znaczy, tylko on *jeden* jest we mnie cnotliwy? Jeden tylko nie może osiągnąć tego, żeby *wszyscy* go dotykali i on *dotykał wszystkich* – to znaczy prostytuujący „w samym sobie”, w „swojej naturze”.

Gdyż rzucają na mnie kamienie nie za grzech przeciwko nim... Za jaki? Przecież *nim* sprawiam radość!

A – za grzech przeciwko *naturze organu*! Tajemnicze „ukamienowanie” (zaiste, tajemnicze!) jako osądzenie za nierząd jest symbolem, że cały świat uważa się za stróża mojego *jedynego* organu, właśnie jego cnotliwości, właśnie jego nie prostytuowania się.

Co za cud!

Przecież nie karzą organu: nie odrywają go, nie kaleczą, nie odcinają. Organowi nic nie robią, „jak niewinnej Ewie”, ale karzą noszącego go człowieka za to, że nie ustrzegł jego czystości i niewinności.

Oto „od stworzenia świata” wpisany w istotę rzeczy dowód „*cultus phalli*”.

\*

Teraz wyjaśniłem sobie werset, kiedyś przeczytany w Talmudzie: „ukamienowanie” było przywilejem Żydów i Żydówek, którego nie mieli prawa stosować do grzeszących z innego plemienia, jeśli oni mieszkali w Jerozolimie lub w Judei. „Ukamienowanie” było nieoddzielne od „obrzezania”.

\*

Gnuśność prasy, być może, ma wielką i świętą, potrzebną stronę: „Przemija postać tego świata” (Dostojewski). – No, jeszcze nie bardzo... Ale to, że „przemija postać prasy” – to jest dość wyraźne i coraz powszechniejsze, wynikające z gnuśności prasy, zauważanej przez wszystkich. Nie czytają. Rzucają. Nikt nie powołuje się na prasę. Nikt nie uważa jej za autorytet.

„Skończył się piękny zachwyty”.

Był to właśnie „zachwyty”, „nawóz Gutenberga”. Dopóki publikowali Goethe i Schiller – nie można było nawet pomyśleć o „końcu” tego zachwyty. „Nadeszło królestwo, a jego końca nie będzie na wieki”.

Należało, żeby zaczęli upadać pisarze. Żeby rozszedł się smród. „A – to jest sprawa”. Zaczął przemijać „warsztacik Gutenbergów”. – „Po co płacić za takie głupoty, lepiej w ogóle nic nie drukować”. W końcu XX w. drukarnie będą sprzedawane na tony.

Ich nikt nie kupuje  
I nikt za darmo nie bierze.

Ludzie staną się wolni od „piszącej braci” – być może, wtedy nauczą się tańczyć, urządzać rauty, polubią muzykę, polubią liturgię, znowu będą kochać święcie i szczerze. Będą szczęśliwi i poważni.

Bowiem przy „prasie” – ludzie, oczywiście, nie zobaczą szczęścia i powagi, jak i nie zobaczą „swoich uszu”.

Znowu możliwe stanie się kaznodziejstwo. Będzie Savonarola. Możliwy będzie Apostoł Paweł.

Czy tak będzie? Czy naprawdę zaigrają te zorze?

Zorze piękne i wielkie.

Nowe. Wszystko nowe.

\*

Idźcie więc, idźcie, idźcie gęsto, Grzegorz Pietrowie, Amfiteatrowie i „Kopiejko”, i Boborykinie, i wy wszyscy, tłumy Bobczinskih. Idźcie i wszystko zadcpczcie. Nadszedł was czas. Rozłokujcie się i świętujcie.

Wasze święto ma wielkie zalety.

Wszyscy powiedzą: „Co za dym! Skąd taki upał? I duszno. I pragnienie nizin”.

Tak, obok mnie idzie literatura.

Nie, to błąd, że zostałem literatem.

A jednak idzie.

*(17 listopada na myśl o tym, że nie przeczytałem  
przez cały rok ani jednego artykułu... Te teksty  
mogą wchodzić jedynie w ołowiane głowy)*

Ołowiana literatura. Piszą ją ołowiani ludzie. Ona istnieje dla ołowianych czytelników.

*Sic et finis.*

Oczywiście, Florenski jej nie czyta. Cwietkow nie czyta. Rcy czyta tylko Apostoła Pawła i „Nowoje Wriemia”.

Nikt „z mądrych” nie czyta. I ja. A pozostali – do diabła. A nawet do tych dwóch liter w „Odosobnionym”, które zobaczywszy cenzura poczuła, że została pozbawiona niewinności.

\*

Obrzezanie – oczywiście – to nowe zaślubiny. Obrzezanie – miesiąc miodowy ludzkości. Stąd – „pozdrowienie młodego księżycy” (święto żydowskie) i „księżyc mahometan” (to znaczy, też obrzezanie). A obrzezanie stąd, że *obrzezani* czują się jak nowożeńcy.

No, a „nowożeńcy” nawet w chatynce są weseli ( optymizm Żydów).

\*

Ale to wszystko, kiedy żona jest chora – po prostu nie jest potrzebne. Nie jest interesujące. „Nie chcę patrzeć”. Nie myślę.

\*

Chrystus wszedł w moje „nie myślę”. To – jeszcze wiara: w tym smutku, kiedy wszelka wiara jest ciemna.

Wtedy należy się modlić...

Nauczyłem się.

Czy tak?

\* \* \*

783. To drogi, drogi dla mnie list. Ktoś „odezwie się” – to wszystko, co jest potrzebne pisarzowi:

Czytam „Odosobnione” i „Opadłe liście” z żądzą, dzień i noc. Niektóre fragmenty – z wewnętrznym drzeniem. Wszystko jest ważne i znaczące. Od dawna już siedzę w studni: tłuszcza jest mi obca. Myślisz, myślisz o takich rzeczach i zaczynasz wątpić: Czy nie myślę właśnie tak z powodu swojej głupoty i obrzydliwości? I nagle głos z dalekiej studni. Ulga. Mam ochotę powiedzieć: Dziękuję.

„Lubię pańską Tanię”. Chciałabym przeczytać o niej całą książkę<sup>31</sup>. A to, że ma pan „przyjaciela” – zazdroszczę. Ja nie mam. Widocznie, nie zasłużyłam.

Jeśli chodzi o płeć i Boga objawiającego się w płci – nie tak to u mnie wyszło. Wcześniej, niż doświadczenie – wyobrażałam sobie tak, jak pan... Gorąco w to wierzyłam, i kazania, i obelgi ze strony „chrześcijan”. Doświadczenie nastąpiło w imię tej wiary. I... nic,

---

<sup>31</sup> Dziękuję staruszce (?) za Tanię, całuję jej pomarszczoną rękę. Moja (nasza) Tania – „chwałą Bogu”. Ale dużo wkuwa, wysusza rodzicielskie serce.

Bóg ukrył swoje Oblicze. W tym nie objawił<sup>32</sup>. A przecież „z miłości”. Dlaczego tak się stało – nie wiem. I pozostała – tęsknota za „duszą ciała” i „duszą świata”.

Nic z tego.

Dziecko... W nim teraz wszystko. Ale to coś innego. W nim Bóg objawia się, ale nie w radości, a w cierpieniu, kiedy śmierć chce je zabrać, a ja „chwytam się” Boga.

Płeć mnie oszukała. Już, jak się zdaje, wychodzę z „czasu płci”. Nie zobaczyłam Boga.

Duszę świata wyczuwam w pięknie, w przyrodzie, ale ona nie wchodzi we mnie. Nie jestem członkiem przyrody. Myśl, samotność (metafizyczna) i smutek.

A przecież jestem kobietą.

Z. Sz.

P. S. Każdą pana linijkę czytam z żądzą i poszukuję w niej „Rozanowszczyzny”. Kiedy nie ma – kiedy nie napisano „po rozanowsku” – myślę: to napisał „tak sobie”... (?).

Czy Tania będzie taka sama, jak „mama”? A może zbyt gorliwie uczyła się u Dobiasza i Wippa<sup>33</sup>?

Tajemnica „mamy” w tym, że ona uczyła się w domu, gdzie są ikony i kufarki, jak w cerkwi... A tak trwale się tego nauczyła, że gdy trafiła do gimnazjum – nie mogła się zepsuć.

P. S. S. Najlepsze (według mnie), to strony 447-48 „Opadłych liści” –

W ten sposób poznałam Jego. A Jahwe nie znam.

Chcę mówić do tych, którzy siedzą „w studniach”. Bazar mnie nie interesuje.

\*

Rewolucje nie są dokonywane wtedy, kiedy ludowi jest ciężko. Wtedy lud się modli. A kiedy następuje „polepszenie”... wtedy przemienia się z człowieka w świnie i wtedy „tłucze talerze”, „wywołuje gniew”, „podpala dom”. To jest rewolucja.

Umierający z głodu chłopcy (gdzieś nad Wołgą) prosili, żeby odprawić nabożeństwo. Natomiast studenci z państwowymi stypendiami w naturalny sposób buntują się.

A najbardziej „byli zbuntowani” obsypani złotem najbliżsi współpracownicy Pawła I, którzy dokonali znany akt. Byli to prostu – oburzeni. Jak i gwardziści-bogacze, którzy wyszli na Plac Isaakijewski 14 grudnia. Po prostu cierpiętnicy za ziemię rosyjską.

Co za trywialność! I jaki przerażający pesymizm historyczny.

\*

Jak można wyjaśnić to fatalne, ogólnoświatowe: „nieszczęścia są potrzebne”.

Można to wyjaśnić przy pomocy czegoś wrodzonego – w „zakwasie” świata – nieszlachetności.

---

<sup>32</sup> To wszyscy anatemy-mężczyźni nie rozumieją, co robią. Żartują, „mają przyjemność”. Przecież przed spotkaniem czystej dziewczyny oni już „zabawiali się” z prostytutkami lub „sami”, wyniszczyli się w subiektywnych przyjemnościach.

<sup>33</sup> Profesor historii powszechnej w uniwersytecie moskiewskim.

Cierpimy – i dobrze.  
Jesteśmy szczęśliwi – to gorzej.  
O, jakież to *Fatum*.

\* \* \*

784. Wasia stał nad mamą.  
Dzisiaj odwiozą ją do szpitala.  
On idzie do szkoły.  
Wtorek.  
20 listopada.  
Wigilia święta Wprowadzenia.  
Jej twarz ściągnęła się, i usłyszałem jęk:  
– Dzieci żal... Dzieci żal... Dzieci żal... (kilka razy, z przerwami).  
– Wczoraj Domny Wasiljewnej nie było w domu, a one zachowały się tak spokojnie. Niczym mnie nie zdenerwowały.

Teraz ona nie płacze, ale tak jakoś jęczy. Twarz strasznie się ściąga...

*(poświęcam klesze Albowowi, od którego ona  
słyszała jedynie grubiańskie wyrzuty, gdyż uważał,  
że pozwala na to sutanna. Gdy je usłyszała,  
powiedziała: „Co ja jemu zrobiłam?”)  
(20 listopada)*

Cisza leczy duszę.

\*

Jeśli cisza odnosi się do „końca wszystkiego”, jak sen do śmierci, to czyż śmierć jest ostatecznym uleczeniem?

Cóż my wiemy o śmierci?

O, gdybyśmy cokolwiek wiedzieli!

*(20 listopada, wigilia święta „Wprowadzenia”,  
mama leży „dla odpoczynku” w klinice  
Heleny Pawłownej)*

\*

Świat jest wędrowaniem.

Kiedy umilkną kroki – świat się skończy.

\*

I już teraz *milczenie* jest wieczorną zorzą świata.

\*

W końcu wszystkich rzeczy – Bóg.

I na początku rzeczy – Bóg.

On jest wszystkim.

Korzeniem wszystkiego.

\* \* \*

785. *Stąd* poszedł ton samozadowolenia, nadziei wyłącznie w sobie samym, pychy i słów „Wszystkich zwyciężymy”, i to nawet już „jutro”. Ale gdy ma się milion w kieszeni i jest poza zasięgiem „III oddziału”, to dlaczego nie być zadowolonym? Z milionem, a poza tym z 1 000 talentów, jeśli i niezbyt wielkich, to bardzo widocznych. Za to „chomąto” – biorąc „przykład” – chwyтали się także studenci z 5 rublami w kieszeni i biedne studentki z pełną gotowością „kochania” i „oddania wszystkiego” (bez żadnych głupich aluzji), a jakże im teraz ciężko. A i zdolności takich też nie ma, chociaż, być może, duszę mają „bardziej głębszą”. Stało się bardzo ciężko. Rewolucja rosyjska lub raczej „protest rosyjski” wziął w Hercenie fałszywą nutę, zbyt wysoką – falset i stojąc na czubkach palców. A w żaden sposób nie da się „spuścić z tonu”: otrzymamy kakofonię nie do wytrzymania. W Hercenie nie zrodziła się, a *zginęła* rewolucja rosyjska, która od jego czasów krzyczy falsetem i kręci się w jednym miejscu, z jego frantowskim hasłem: „Ani kroku do tyłu!” „My, Rosjanie, na *nic innego* się nie godzimy”.

I jedzą, biedni, śledzia, popijając wódką, śpiąc ze „studentką” i mając nadzieję obudzić się jutro w zorzy tryumfującego socjalizmu.

\*

Polityka społeczna, rola *społeczeństwa* w polityce, jego *siła* i *znaczenie* w polityce – zaczną się dopiero wtedy, kiedy *społeczeństwo* poczuje w sobie męstwo wyrzeczenia się Hercena, a przede wszystkim przestanie go uważać za *literata* (wstrętny ton).

Czy powiedzieć na koniec prawdę (którą z ledwością uświadomią sobie za 100 lat), że rola *społeczeństwa* w polityce zacznie się dopiero od tej chwili, kiedy społeczeństwo zdejmie czapkę, pokłoni się cesarzowi i powie:

– Ty jesteś pierwszy na ziemi rosyjskiej, a my – dziesiąci i setni. Jednak i dziesiąci i setni mają swój czas, swoją lekcję, swoje zadanie, swój los, swoje zadanie od Boga. Idź i niech będą błogosławione twoje drogi. Ale i ty oglądaj się na swoje dzieci – pobłogosław także nasze drogi.

Oto droga Rozanowa, a nie Żelabowa. Rozanow napisał książkę „O rozumieniu” i jemu można bardziej wierzyć, niż chłopu, którego zalety polegały na tym, że była w nim zakochana „generałowa (po ojcu) Pierowska”. Cóż, generałowe niekiedy zakochują się w stajennych („Ogrodnik” Niekrasowa, Faustyna – żona Antoninusa Piusa).

(*nocą w łóżku*) (21 listopada)

Ja sam przeszedłem (w gimnazjum) drogę nienawiści do rządu... do jego przedstawicieli, do jego zasad... od dołu aż do szczytu... – drogę płonącego serca do „sami się urządzimy” i „jak młodzi ludzie” (istota rewolucji), a tym

samym można mi uwierzyć, kiedy mając 57 lat (w istocie doszedłem do tego już w uniwersytecie) mówię wam, że w Rosji nie da się nic zrobić bez cesarza i bez wiary w niego: to po pierwsze i wcale nie najważniejsze: najważniejsze jest, że (nie mówiąc o empirycznych wyjątkach, które „wybaczymy”) cesarz jest w istocie najlepszym człowiekiem w Rosji, to znaczy najwięcej o niej myślącym, najwięcej dla niej cierpiącym (wielu cesarzy, „porażki dyplomatyczne”, „wstyd” za zacofanie), najwięcej dla niej pracującym (ileż *pracował* Aleksander II!), a zarazem – póki co – najwięcej mogącym dla niej zrobić. On jest najlepszym człowiekiem w Rosji i, zaiste, pierwszym ze wszystkich dlatego, że ze względu na swoją sytuację i linię tradycji („z mlekiem matki” i „wrodzone predyspozycje”) nie ma po prostu żadnych innych zainteresowań, jak tylko dobro Rosji, dobro narodu, w warunkach bez warstw społecznych i poza prowincjonalizmem. Samo pojawienie się takiej osoby jest zaiste fenomenem i cudem: a gdyby go nie było, to stwórzcie taką drugą osobę, która myślałaby „tylko o narodzie, o jego pomyślności i sławie”. Tak myśleli herosi i święci – jak Perykles: właśnie za to go tak sławią. Sławią wcale nie za sukcesy (jakież szczególne sukcesy miał Perykles?), a za to, że znalazł się „prywatny człowiek”, który „całkowicie poświęcił się ojczyźnie” i który poza ojczyzną nie miał żadnej prywatnej myśli. Tacy byli Perykles, Kimon i jeszcze kilku, ze siedmiu ludzi. Arystydes. Ale już Temistokles nie był takim, nie był też takim Cromwell, Cezar, najwięksi z „republikanów”. Tak, tylko *siedmiu* ludzi. Jakież to jest fenomen i *święty* cud, że przez wieki cierpień i cierpliwości, przez wieki pokory i *modlitwy za carów* (prawdopodobnie działa to hipnotycznie i magicznie) naród rosyjski wypracował *taki urząd*, taką „godność” i „osobę”, że gdy tylko nowy car obejmuje władzę, zaczyna myśleć i działać „jak Arystydes i Kimon”, to znaczy z modlitwą tylko o jedno – „jak można najsprawiedliwiej”, jak można „najlepiej dla kraju”, a – „nic dla mnie”, „nic szczególnego i oddzielnego ode mnie”. Władza carska jest cudem. Spróbujcie *teraz* tę władzę przywrócić we Francji, gdy ona już nie istnieje. Może się na nowo pojawić za jakieś 500 lat – nie należy mieć nadziei, że pojawi się wcześniej. *Mylić się*, a nawet *szkodzić*, mogli i Arystydes, i Kimon. Jednak we władzy carskiej i przez jej tajemniczą instytucję zwyciężone zostaje główne zło świata, którego nikt nie potrafił zwyciężyć i nikt nie potrafił uniknąć: *zła wola, złe pragnienie, zła żądza*. Rzecz nie w błędach: poprawienie wszystkich błędów nic nie znaczy; w historii i nawet w świecie, w jego korzeniach leży wszystkiemu właściwa zła wola: Kain, Diabeł, Lucyfer. Oto, z czym nie mogły dać sobie rady narody i rozpadały się całe cywilizacje. To metafizyczne zło historii i nawet metafizyczne zło świata zostało zwyciężone przez wypracowanie w istocie meta-historycznego zjawiska, zjawiska w pewnym sensie anomalnego i anormalnego (oczywiście!) – cara, w którym zła wola *pur sang* jest *contradictio in adjecto*, niemożliwość i coś niebywałego. Dlatego też złe zamiary przeciwko carowi oraz odmowa podporządkowania się carowi, jeśli z powodu choroby jest gniewliwy (Iwan Groźny) lub nawet gdyby był pozbawiony rozsądku – *przerażające zjawisko w*

*całej historii*, także w przyszłości – gdyż tego typu złe zamiary mogłyby w następnych władcach zniszczyć to, co jest główne, co stanowi istotę wszystkiego: ich łaskawość i ich całkowitą, bez reszty łaskawość do wszystkich i wszystkiego w swoim kraju. Perykles, wiedząc, że go „wypędzą” lub mogą wypędzić, nagle zaczęłyby „odkładać pieniądze na czarny dzień i na wszelki wypadek”. Właśnie w wypadku cara wyłączony jest „wypadek” i „czarny dzień”. Wszystkie dni cara są świetliste i o te świetliste dni dla cara modli się cały naród, gdyż jego światłość jest zarazem tą światłością, która oświeca cały kraj. Dlatego właśnie historia z Pawłem I była czarna, podła, obrzydliwa dla wspominania i jej anty-łaskawy charakter, „szkodliwy w swoich skutkach” był taki sam, jakby Rosja przegrała 1812 r. Z tego powodu panowie z Genewy i Paryża nie powinni być po prostu skazywani, ale likwidowani, gdyż w istocie sami niszczą całą światłość, całą radość, cały sens, którym żyje i karmi się cały naród rosyjski. Dlatego „rozdrażnianie” władcy, sprawianie mu „przykrości” – jest największym przestępstwem. „Okradli Peryklesa”, „spoliczkowali Peryklesa”, „Peryklesa gonili z pistoletem w dłoni” – „Nie ma Peryklesa!” – a, co znaczy dla Aten „Nie ma Peryklesa”, wie nie tylko Iłowajski. Dlatego likwidacja wszystkich wrogów władcy i wszelkiej wrogości do niego jest tym samym, co osuszenie bagien, co lepsza uprawa ziemi, co „deszcz dla pól”. Żadnego czarnego dnia dla władcy, wszystkie jego dni powinny być świetliste – jest to *troska narodu*, na którą jak na dobry deszcz odpowiada urodzaj, to w tym wypadku odpowiada miłość Boga do swego narodu, troska o ten naród.

A teraz – o wierze, Ewangelii i Chrystusie, to znaczy o Kościele, który jeszcze nic nie robi i nic nie wie, poza tym jak chronić, mówić, nauczać i rozpowszechniać Ewangelię, Chrystusa i życie wieczne.

Ledwo to powiedziałem, a wszyscy zawołali: „Przecież to jest cywilizacja!” Czy nie rozumiecie, że cywilizacja to nie Bocklik z Darwinkiem, to nie Spencerek w 20 tomach, to nie nasz Mikołaj Gawryłowicz (Czernyszewski), wszystkie te łapcie i onuce rosyjskiego Oświecenia, że cywilizacja to czas od najazdu Hunów i Alaryka do Edwarda Wyznawcy, do wypraw krzyżowych, do rycerstwa, do Cervantesa, do Shakespeare’a i do samej rewolucji. Dlaczego więc „w wydaniach Pirożkowa” trzęsą się Renan i Strauss, gdy tymczasem należało wytargać ich za uszy, dać im kopniaka i posłać do diabła. Po co bronić rosyjskiego „Sowriemiennika” i dziewicy Kuskowej – należy ich po prostu wypędzić. Co robi się z robakiem, który z sufitu spadł komuś do jedzenia? Bierze się na łyżkę i wyrzuca do diabła. Co mają do siebie życie wieczne i Bockl, nauka Apostołów i 43 roczniki „Wiestnika Europy”, który ani razu nie był godny swojej nazwy i prawdopodobnie nawet nie wie, że było „12 Apostołów” („czasopismo *historyczne*”)? Cóż za porównanie! „Wiestnik Europy” jest potrzebny 6 000 prenumeratorów, a Ewangelia jest potrzebna ludzkości od dwudziestu wieków, *każdemu* człowiekowi. Któż chroni łopian, który zaśmieca ogród, któż chroni robaka, który niszczy jabłko, któż chroni bandytę, który morduje na ulicy? Nie ma żadnej wątpliwości – to

wszystko jest do wyrzucenia. Mówię o korzeniach (historycznych), kiedy tak rozsądzam: w Ewangelii – w *jednej* księdze, i w Kościele – to znaczy w *jednej* instytucji. Europa – to nie Rosjanie i Niemcy, Europa – ma to *jedyne*, jakby „wzięte w garść”, czego nie miała Grecja i Rzym, czego nie mają Chiny i Indie. Jeśli tam jest Budda i Konfucjusz, jest to – *filozofia*, która jeszcze ma konkurentów w bardziej starożytnych postaciach. A Europa, i tylko *ona jedna*, ma *jedno* zrodzenie z jednej Osoby – Chrystusa. Nie ma „Europy”, jest „Świat Chrześcijański”, co jest pojęciem bardziej wieloznacznym i obszerniejszym, niż „Europa”, a „Chrystus” jest większy od „Świata Chrześcijańskiego”, jest „Wiecznością” i „Wszystkim”.

Czy więc rozumiecie, że Spencerka należało wytargać za uszy, a „Mikołajowi Gawryłowiczowi” dać po mordzie, jak stajennemu, który nasmrodził w pokoju? Że nie wolno było wdawać się z nimi w żadne rozmowy? Że należało takiego wziąć po prostu za rękę i wyprowadzić, jak wyprowadza się od stołu jegomościów, którzy zamiast jeść, zaczynają smrodzić? Czy domyślacie się w końcu, że cywilizacja XIX w., która w znacznym stopniu była anty-chrześcijańska, wcale nie była „cywilizacją”, a skandalem, wcale nie była „postępem”, a „nabrudzili na podłodze” i trzeba to po prostu wytrzeć? Przyszły świnię i swoimi mordami zryły cały ogród: wcale to nie znaczy, że nie powinno być ogrodu i na jesień należy zostać bez warzyw i owoców, a znaczy, że świnię należy przegnać lub zabić, naprawić płot i to, co zostało wryte, powtórnie zasadzić, a jesienią zebrać owoce.

A Kościół tak bardzo przewyższa Rosję, a także Europę, że car rosyjski, o którym napisałem wszystkie te słowa, jakie napisałem, skłania się jedynie przed Kościołem jako Wiecznym Źródłem życia wszystkich – i tak samo lęka się znieważyć Kościół, jak każdy z nas lęka się znieważyć władcę.

Dlatego Kościół i car, w połączeniu, stanowią nieboskłon nad chłopem i nad Rosją, nad każdym i nad wszystkimi. A tego nie miał ani Rzym, ani Ateny.

.....  
(jestem zmęczony, nocą 21 listopada w łóżku)

\*

Cały parlament jest w istocie bełkotaniem bezrogich krów i „krytykowaniem byka” przez nadętą żabę. Przynajmniej parlament rosyjski i przynajmniej dotychczas.

Parlament udał się jedynie w Anglii. Tam jest on – *narodowy* i „z Hosanna”. W Rosji pozostaje on w sprzeczności „z *Panie, zmiłuj się*” i prawdopodobnie kiedyś po prostu się skończy.

Potrzebne jest coś innego. Ale co – nie wiadomo.

Do szaleństw naszego 5-cio letniego dzieciątka należy i to, że zdążyło już znieważyć Kościół. Tego „już” w żaden sposób nie da się zetrzeć i jego skutków nie da się uniknąć. Skutki zaś są takie, że parlament na zawsze pozostanie obcy i wrogi ludowi kościelnemu, a ci członkowie narodu, którzy są poza Kościołem,

są chuliganami. Parlament przyciągnął do siebie chuliganów, a odrzucił historię. Co z nim teraz robić? Takie rzeczy można bowiem „robić”, ale „z nich coś zrobić” – nie da się. A „zrobił” wyłącznie z głupoty.

Parlament nie jest nawet *zjawiskiem politycznym*, a po prostu klubem na utrzymaniu państwa. Gdyby był *zjawiskiem politycznym*, to natychmiast zaczęłyby szukać sojuszników, „wzmocnienia” swojej pozycji. A nasz pięciolatek po prostu natychmiast objawił:

– Ja, na-pa-słem się, ze wszystkich jestem najsilniejszy.

Póki co, nie dostał jeszcze po nosie. Wtedy nasz jesiotr zanurkował do wody, a następnie przepadł, nie wiadomo gdzie: pojechał do Londynu i po roku ocknął się w Paryżu. Tak bardzo, biedny, się przeraził. Zresztą wszyscy parlamentarzyści są niezwykle bojaźliwi. Rodiczew sformułował znieważającą aluzję („krawat Stołypina”) – a potem nie tylko przeproszał, ale rozchorował się z powodu okazanego bohaterstwa (wręczył choremu „bukiet”).

Tymczasem jego rola rzeczywiście była wielka i w najwyższym stopniu prosta. Należało uwolnić się od tego „nasienia pokrzywy”, z którym wojnę zaczął już Sumarokow – od urzędników. Ściślej, nie uwolnić się, a podporządkować sobie i swojej ostrej kontroli. W tym celu należało wejść w porozumienie z carem, z duchowieństwem, ze szlachtą, z kupcami, których urzędnik *de facto* wszystkich „zjadł”. Zjadł, a na ich miejsce postawił swoją bezosobowość i bezkształtność. Należało przywrócić „osobowość” wszystkim tym uciskanym zasadom historii rosyjskiej – osobowość, godność, działanie.

Zamiast tego parlament przedstawił się „dziennikarzem”, tym dziennikarzem, którzy są biedni i dlatego wyzywają bogatych, są bez władzy i dlatego wyzywają ludzi znaczących, Żyd jest nieochrzczony i dlatego wyzywa Rosjan i wiarę. Jest to niedorzeczne i zadziwiające zjawisko, całkowicie obrzydliwe, a w gutenbergońskim naborze czcionek stało się jeszcze bardziej obrzydliwe, gdyż zajmuje się roztrząsaniem „praw”. Stało się zjawiskiem komicznym i niczym, poza komicznymi zasługami, nie może się wyróżnić.

\*

Panie! Przebacz mu grzech, przebac mu grzech, przebac mu grzech.

Dlatego, że on jest dziedzicem Twego bogactwa, które Ty zostawiłeś światu, żeby świat nie zbłądził. Jeśli nie będzie tego bogactwa, świat zbłądzi. A nie będzie go, jeśli zginie Kościół.

Nie daj zginąć Kościołowi. Podtrzymuj go. Podtrzymuj i umacniaj.

\*

Drepczące w sytuacji Kościoła jest to, że on nie zna pośredniej drogi między zuchwałością i renegactwem samej wiary (G. Pietrow) oraz pokorą przechodzącą w tchórzostwo, popuszczenie i pochlebstwo”.

Nie ma bohaterstwa, nie ma bohaterstwa – w tym prawie wszystko.

(21 listopada)

\* \* \*

786. Potrzebuję jedynie pociechy, potrzebuję tylko Chrystusa.

.....  
.....  
.....  
.....

(Pogaństwo i judaizm nawet nie przychodzą mi do głowy).

(przy korekcie w redakcji w nocy 22 listopada)

\* \* \*

787. Oto, co znaczy rwać się do nieudanego tematu: Francja ginie i już prawie zginęła (nawet jej ludność ulega *zwyrodnieniu*) w pełnych drgawek wysiłkach osiągnięcia po prostu głupiego tematu – Wolności.

Należy osiągać harmonię, szczęście, cnoty, heroizm, chleb, kobiety; jeśli już myśleć o osiągnięciu czegoś negatywnego – należy osiągać nierząd.

Ale nie – *puszkę*, a wolność jest po prostu pustką.

– Dom jest *pusty*, niech wchodzi, kto tylko chce. Nie jest zajęty, jest *wolny*.

– To mieszkanie jest *puste*, ono jest *wolne*.

– Ta kobieta jest *wolna*. Nie ma męża, możesz się do niej zalecać.

– Ten człowiek jest *wolny*. Nie ma żadnych obowiązków.

Szereg negatywnych określeń, a „wolność” łączy je wszystkie.

– Jestem *wolny*, nie jestem zajęty.

Od „wolności” wszyscy uciekają: robotnik – do *pracy*, inny człowiek – na *posadę*, kobieta – do *męża*. Każdy – do *czegośkolwiek*.

*Wszystko* jest lepsze od wolności, „byle co” jest lepsze od wolności, ale czegoś gorszego od „wolności” po prostu nie ma, wolność jest potrzebna chuliganowi, łobuzowi i sutenerowi.

Dzięki temu sympatycznemu ideałowi, „obejmując powietrze”, Francja zaczyna się walić. I rozbiła się w pustce.

A tymczasem należało dążyć do harmonii, porządku i pracy. A tymczasem można się rwać: do heroizmu – bez Boga, do świętości – w Bogu.

(w gabinecie, 23 listopada)

Śmierć nie jest straszna dla kogoś, kto wierzy w nieśmiertelność.

Ale jak w to uwierzyć?

Chrystus kazał wierzyć.

Ale jak mam uwierzyć Chrystusowi?

Znaczy, najważniejsza w moim przerażeniu jest – niewiara w Chrystusa.

Moja udręka bierze się stąd, że jestem daleki od Chrystusa.

Kto mnie doprowadzi do Chrystusa?

Kościół prowadził, ale ja nie szedłem.

(23 listopada w redakcji nocą, kłopoty z artykułem)

\* \* \*

788. Od wszystkiego oszczędłem i do niczego nie doszedłem.

(o sobie)

\* \* \*

789. Ze wszystkich rozkoszy świata ona lubiła tylko czystość ciała.

(dzieciom – jako testament od mamy)

Miała kaftanik z aksamitu (w młodości błękitny), ale sukni w takim samym kolorze nie miała. Miała, oczywiście, jedwabne kaftaniki.

\* \* \*

790. ...Tak moje życie, jak widzę, łamie się z powodu strasznych cierpień sumienia. Zawsze nie troszczyłem się o sumienie, myślałem, że „*go nie ma*”, że „*żyję, jak chcę*”. Po prostu – wcale o nim nie myślałem. Wtedy dodano mi sumienie (jeśli jest „*droga*”, a ja widzę, że ona *jest*) w postaci „*przyjaciela*”, na którego patrzyłem i którym się zachwyciałem, ale nie postępowałem według niego.

Stąd takie cierpienia: przyjaciel ginie na moich oczach i w istocie z mojej winy. Dano mi w każdej godzinie widzieć jej cierpienia, a te godziny trwają już trzy lata. A kiedy „*sumienie*” odejdzie ode mnie: pozostawszy bez „*sumienia*” zobaczę głębię ciemności, w jakich żyłem i w które sam wszedłem.

To straszne: a jeśli, na przykład, pozostanę z tym cierpieniem nie na 3 lata, a na cały „*świat pozagrobowy*”, na całe życie wieczne, to czyż nie będzie to *piekło*, którego skraj odczuwam. Natomiast Ona, mój „*przyjaciel*”, która całą siebie oddała innym – przejdzie do wiecznej radości.

\* \* \*

791. Będę nieszczęśliwy przez pozostałe 10 lat życia dlatego, że *we właściwym czasie* nie wezwałem Karpinskiego.

A w dzieciństwie: swój domek, brat 19 letni, silny, mądry i *utalentowany*, siostra wróciła (z Kołogrywu) po skończeniu szkoły... Matka – po prostu zmęczona. I dwoje małych dzieci. Jeszcze brat 16-to letni – trochę słabowity intelektualnie, „*przygłupi*”, ale łagodny i szlachetny, „*płaczący*” (kiedy go znieważali „*rozumni*”, a oni go znieważali).

Dlaczego by nie pożyć? Duży ogród. Inspekty. Aleje lipowe (lub brzoźowe? – już nie pamiętam) wyrąbano. Dużo ziemi.

Mieliśmy swoją krowę (czarną).

Dlaczego by nie pożyć?

Ale 19-to letni brat, kiedy go posyłano do apteki Zeignica, przynosił w szklanej flaszeczce coś mętnego. Z tego powodu, że zamknięcie nie było „*urzędowe*” (jakieś kolorowe papierki) domyślaliśmy się, iż sam nalewał.

Natomiast pieniądze brał sobie. Pewnego razu powiedział przy mnie (byliśmy sami – słyszałem słowa, ale nie rozumiałem ich sensu): „To dla dziewczynek”. „I trochę wina”.

I „dla dziewczynek” wnosił z domu ostatnią pościel z komody (matki, siostry i naszą, dziecięcą). Rozmawialiśmy o tym. Ale jak z nim walczyć, gdy jest ze wszystkich najsilniejszy (najstarszy w domu)?

Mama leżała (choroba).

Dzieci bawiły się. Ja na nosidle ciągle dźwigałem nawóz do inspektów (bardzo ciężki, ręce „się urywały”, kolana uginały). Potem – podlewałem (lżej, ale okropnie, gdyż wyciągając wiadra ze strumienia zawsze oblewałem sobie spodnie). Potem – połec. Miałem 7, 8, 9 lat (dobrze jest popracować, ale zawsze *bez uśmiechu i ani jednego słowa wdzięczności*, a to znaczy, że pracowałem jak katorżnik). 19-to letni i 17-to letnia – niczego sobie. (Nie można było ich zmuszać, a nawet obrażali się „na prośbę”).

I wszystko się rozwaliło. W przekleństwach. Rozpaczy. Dlaczego? Nie było harmonii. Gdzie? *W domu*. Tak – „w domu”, a nie – „w społeczeństwie”, do którego i tak nie mogliśmy się doczołgać, jak i ono do nas.

Jak więc przekonacie mnie do słuszności Lassalle’a i Marksa?

A kto nas „uciskał”? Przecież byliśmy wolni, jak kawki w polu lub sokoły w stepie. I – przekleństwo, rozpacz i zguba.

A mogliśmy być nie tylko zadowoleni, ale także szczęśliwi. Tak: była jeszcze emerytura w wysokości 300 rubli rocznie, po 150 rubli na pół roku (otrzymywaliśmy raz na pół roku).

(wspominam w nocy w łóżku)

\* \* \*

792. On dosłownie rączką kreśli swoje cnoty. I tak, jak deseń jest piękny, on też ciągle jest cnotliwy.

Ale to nie jest cnota.

Cnota współczuje. Cnota jest aktywna. Cnota nie ogląda się. Cnota nie szuka „siebie” i „swego” w swych czynach: ona postrzega w swoim czynie jedynie oblicze tego człowieka, któremu jest potrzebna.

Cnota nie rozdaje jałmużny, cnota czyni braterstwo. Wszyscy jesteśmy braćmi, bogaci i biedni, znani i prości. Bowiem jutro bogaty może stracić swoje bogactwo, a „znany człowiek” znaleźć się w więzieniu.

\* \* \*

793. W 1895-6 r. – dokładnie pamiętam – brakowało mi tematów.

Muzyka (w duszy) jest, a pokarmu dla zębów nie było.

Piec płonie, ale nic się na nim nie gotuje.

W tym wypadku historia rodzinna i ogólnie mój stosunek do „przyjaciela” odegrały ważną rolę. Pobudzenie zainteresowania judaizmem, zainteresowanie się pogaństwem, krytyka chrześcijaństwa – wszystko to wyrosło z jednego bólu,

wszystko to wyrosło z jednego punktu. Sprawy literackie i osobiste połączyły się do tego stopnia, że dla mnie nie istniała „literatura”, a jedynie „moja sprawa”. Literatura właściwie zupełnie zaniknęła poza jej „odniesieniem do mojej sprawy”. To, co osobiste, przekształciło się w to, co uniwersalne.

Tak i jest w samej istocie.

Stąd moja niechlujność w literaturze. Jakże mogę nie być niechlujem w swoim domu? Literaturę odczuwam jak „sвій dom”. Żadnego uczucia, że „powinienem” coś w niej zrobić, że ode mnie czegoś się „oczekuje”.

\* \* \*

794. Na „tamnym świecie” zapytam:

– No, cóż, Wiero, donosiłaś stare kalosze?

Dlatego, że na „tym świecie” ona powiedziała:

– Ma pan słabe kalosze. Niech pan mi je da.

A ja, zasypiając po obiedzie, powiedziałem:

– Weź, Wiero.

Ona była ciemna, chuda i prawie martwa, miała 45 lat, ale wiernie mi służyła.

Nigdy nie domyśliłem się, żeby coś jej podarować. Nie przyszło mi do głowy (rzeczywiście). A teraz dręczy mnie to wspomnienie. To było 23 lata temu.

Ona była milcząca i nieodpowiedzialna. Zakisiła ogórki. Podaje we wrześniu. Twarde, strasznie twarde.

– Co to za okropne ogórki, Wiero?

– To z estragonem. Mocniejsze. Za 2 tygodnie będą zupełnie dobre.

Kotlety. I – czarne śliwki!!!

– Co to za głupota, Wiero????!!!

– Tak gotowałam u kupców. Ze śliwkami.

Rzeczywiście, było bardzo smaczne.

(*O Jelcu*)

\* \* \*

795. Rodziewicz miał służącą. Bardzo sympatyczną. On sam natomiast był okrutny (nauczyciel matematyki).

Wtedy ja, Strojcow, Zapolski, Sztejn (mieszkali u Wasyla Maksymowicza) postanowiliśmy zemścić się na nim za ciągle dwóje.

Długim korytarzem (nauczycielskim) służąca niesie swemu panu zupe. Obie ręce ma zajęte. „Dosłownie, jakby coś nas natchnęło”: podskoczyliśmy z trzech stron i zaczęliśmy... szukać czegoś w jej kaftaniku. Zdenerwowała się, chce się bronić, ale nic nie może zrobić (ręce ma zajęte). Uciec też nie może (upuści wazę). A nasze ręce jak karaluchy biegają po jej kaftaniku. Nic szczególnego, raczej skromnie. IV klasa gimnazjum... „Głuptaski i nic nie rozumiemy”. Powinniśmy podręczyć Rodziewicza.

On był Polakiem, katolikiem, hipokrytą, został zesłany do Niżnego za „bunt”. Bezceremonialnie wszystkim Polakom stawiał nie mniej, niż trójkę (nawet Górskiemu, który nic nie wiedział i zuchwale udawał), a nam, Rosjanom, stawiał prawie wyłącznie dwóje.

Był mały, miał prawie miniaturowy wzrost, z bródką kozła, chudy, zły i z jakiegoś powodu wokół szyi okręcał długi i brudny szal.

Głos – gromowy. Istny satyr lub diabeł.

Następnego dnia, po wejściu na katedrę nie usiadł, ale grobowym, głuchym głosem, niezrozumiałym dla nikogo w klasie (poza naszą „czwórką”), powiedział:

– „Wy-y-y!” Bełkot... „Zdemoralizowani mło-mło-młodzieńcy... Niektórzy z was... Ośmielają się... Nie szanować nawet swoich nauczycieli”...

Ale był tak chytry, że *na tej lekcji* nikogo z nas nie wezwał do tablicy (udowodnić twierdzenie).

Dopiero później nas dręczył.

(w Niżnym)

\* \* \*

796. Miłość *sprzedajna* wydaje się być „bardzo wygodna”: „Kto ma pięć rubli, niech wchodzi i *bierze*”. Tak, ale

Opadły płatki z kwiatów  
I pogasły ognie...

Cóż on bierze? Kawalek martwego kauczuku. Rękawiczkę zrobioną z wyprawionej psiej skóry, a przy tym oplutą i rzuconą na podłogę, która jest podnoszona i naciągana na dłoń oficera i na dłoń studenta. „Sprzedajna miłość” jest obrzydliwością, która powinna być zlikwidowana przy pomocy armat (moje marzenie gimnazjalisty), prochem i nożem. Należy na nią patrzeć, jak na produkcję „fałszywych monet”, podrywających „finanse państwa”. Ponieważ te wszystkie „lunapary” i w nocy *ulice pełne* wałęsających się prostytutek – „podrywają finanse rodziny”, „obalają rodzinę”, czynią „małżeństwo (wręcz doświadczalnie) niepotrzebnym”. A przecież „małżeństwo” i „rodzina” nie są mniej ważne dla narodu, niż fiskus, niż kasa.

Ale „prostytcja wcale nie ustępuje”: *świadectwo* historii. A to znaczy, że „niech będzie”, ale w zupełnie innej postaci, niż teraz: nie w postaci wałęsających się po ulicy brudnych suk „dla każdego”, nie w postaci „kramu sprzedającego na sztuki”, w którym każdy bierze „ziarenka za trzy kopiejki”. Potrzebna jest *inna jej postać*: niezbezczeszczona, nie rozpustna.

Coś przyszło mi do głowy: Wieczorem, między 7 i 9 godziną (i *tylko*), wszystkie wolne kobiety (*bez* mężów i nie „księżycowej poświaty”) wychodzą i siadają na drewnianych ławeczkach, każda przed swoim domem, skromnie ubrane – każde trzyma w ręku kwiatek. Ich oczy powinny być skromnie spuszczone ku ziemi, nie powinny śpiewać i mówić. Nikogo nie powinny też

wołać. Przechodzący mężczyzna zatrzymywałby się przed tą, która mu się spodobała, i mówił: „Witaj. Ja dzisiaj będę z tobą”. A ona by wstała i nie patrząc na niego weszła do swego domu. Tego samego wieczoru zostałaby jego żoną. W tym celu należałoby wyznaczyć określone dni w tygodniu, w każdym miesiącu i w całym roku. Niech to będą dni „rozgrzeszonej grzesznicy” – na jej pamiątkę.....  
.....  
.....

Do tej grupy powinny należeć wszystkie kobiety kraju – lub miasta, dużej wsi – niezdolne do monogamii, niezdolne do prawdy, wzniosłości i mocy monogamii. One nie powinny być ani ganione, ani chwalone. One są po prostu – *faktem*. Ale one powinny strzec swojej czystości i swojego spokoju. Powinny być ciągle świeże: dlatego powinno się wypędzać wszystkie te, które przyjęłyby w jeden wieczór dwóch (teraz ogromne ilości) mężczyzn, które przyjęłyby kogokolwiek w dni swojego „oczyszczenia miesięcznego” i w ogóle w „niedozwolone dni”. Tym samym „knajpa” prostytucji zostałaby zlikwidowana, a „dusza prostytucji”, która *istnieje*, zostałyby oczyszczona z brudu. Oczywiście, one powinny mieć dzieci, one powinny być płodne. Powinny prowadzić życie rodzinne, ale byłyby „wdowami” z każdym porankiem i każdego wieczora „znowu wychodziłyby za mąż” (psychologia, poczucie własnej godności, wcale nie są w nich zabite, lub zmniejszone).

Pewien krawiec opowiedział mi historię swojego brata: on nawet „nie widywał swojej żony”, córki szwajcara w niezwykle wysoko postawionym domu. Ona miała tylko 18 lat i, jak później się dowiedział, rodzice mówili jej: „Ty wytrzymaj chociaż do ślubu” (to znaczy, „a potem – rób, co chcesz”). Ona była zupełnie nieopanowana w „oddawaniu się” i nie mogła nie oddać się każdemu, kto się jej spodobał. Mąż (ponury mieszczech, gorliwy, „sama proza”) był jej zupełnie obcy i ona schodząc ze schodów zaraz po ślubie nie pozwoliła, żeby podał jej palto, z pogardą odwróciła się od niego. „Do mojego domu sprowadziła swoją ciotkę, która z nią spała w noc poślubną”. Po 5 dniach żona wróciła do rodziców. Codziennie z kuzynką męża szła do kawalerki swojego własnego kuzyna, który przez godzinę był jej „mężem”. Rodzice już jej nie powstrzymywali, nic nie dało się zrobić. Jest godne uwagi, że policja była po jej stronie (była oczarowana?) i posadziła męża „w celi” lub „u siebie” i trzymała go tak długi, „póki nie da jej pozwolenia na oddzielne życie”. Nie dawał tak długo, póki nie przyszedł do mnie poradzić się (wtedy pisywałem o rozwodach). Powiedziałem mu to, co wiedziałem, to znaczy, że „Kościół nie da mu rozwodu („brakuje świadków”) i on musi cierpieć”. On przede wszystkim był zdenerwowany faktem, że żona przeszkadza mu w pracy, zakłóca porządek dnia i to tak, że on „nie może spokojnie myśleć” i sam już nie rozumie, czy „jest jej mężem, czy też nie jest”. Taką kobietę spotkałem raz sam – wykształconą, piękną, z *doskonałymi manierami* – i ona opowiedziała mi o swoim życiu, a

poza tym zdumiewającą historię o kobiecie tego typu opowiedziała mi Eugenia Iwanowna, i dodała: „Nie mogłem jej nie lubić, tak bardzo była *sympatyczna i miła*”. Sama Eugenia Iwanowna jest kobietą niezwykle cnotliwą. Oto fakty.

\* \* \*

797. ...Jak tłok działa w cylindrze pompy? – Pod tłokiem tworzy się pustka. I natura z jej *terror vacui* dąży do jej wypełnienia. Występują i podnoszą się wody ziemi, zbierają się wody ziemi (gruntowe) i dążą do uciekającego tłoka... I życie, i siły, i krew. Oto, dlaczego „cały organizm” jakby zbiera się w jednym punkcie. Ten punkt jest równocześnie „ogniskiem organizmu i życia” – podobnie, jak „ognisko” w szklach optycznych.

\* \* \*

798. Zrodzenie dzieci w nieopisany sposób wchodzi w rodziców: „Oto jestem przymocowany do ziemi”, „ziemia stała mi się pokrewną”, „teraz z ziemi (planety) nic mnie nie usunie”, nie zgładzi, nie zlikwiduje.

Stąd u wszystkich narodów obrzęd, pieśni, kwiaty, a u nas – ślub, biała suknia, korony na głowach zawierających małżeństwo.

Jest to jednak coś głębszego, niż obrzęd; obrzęd „pojawił się później” i nie wskazuje na ważność samego obrzędu, a ma *ważność tego, do czego został dodany*.

Stąd w Starożytności „uczta zaczynała się”, kiedy młodzi zostali odprowadzeni do sypialni (w Jerozolimie – do „chuppy”) i zaczęli współżyć ze sobą w czasie samej uczy. W Rosji do niedawna „na ucztę” wynoszono i pokazywano gościom zdjętą po akcie seksualnym koszulę panny młodej, ze wszystkimi znakami *jego* siły i *jej* czystości. Nie jest to jednak „sprawdzenie”: Czyż psychologia uczy jest taka, żeby „sprawdzać podpis na kwicie dłużnym”? Początkowo było to dokonywane z naiwnej i szczerzej radości rodziców, że nastąpiło „zmieszanie krwi”, dwa ród – jego ród i jej ród – połączyły się w jedną rzekę, zrosły się w jeden konar Wiecznego Drzewa, „Drzewo Życia” zwyciężyło i zrodziło nowe jabłko. Andrzej Bołotow w swoich „Notatkach” szczegółowo opisuje wyniesienie koszuli panny młodej. W guberni smoleńskiej tryumf splamionej krwią koszuli zachował się do dzisiaj wśród prostego ludu, u mieszczan w miastach i wszędzie po wsiach.

Wszystko to – „dodatki”. U podstaw leży uczucie rodziców, że oni jakby powtórnie i w *pełniejszy sposób* rodzą się w świecie. Połączenie się dzieci jest dla rodziców ich własnymi powtórными narodzinami. Gdy tylko krwi – przerwawszy tkanki – połączą się, w rodziców wchodzi metafizyczna wiedza, że od nich oddzieliła się nić, która związała się w węzeł z nicią wychodzącą z pępowiny „kogoś innego”, „zupełnie nowego”, „obcego dla *naszego* rodu”. Jest to bliskie do tego, jak owad-najeźdźca opuszcza swój narząd rozrodczy, przebija skórę gąsienicy i składa w jej ciele swoje jajeczko, z którego rozwinię się „ja” tego najeźdźcy i będzie się żywić ciałem gąsienicy. W tym wypadku jest to

okrutne i zabójcze, a w wypadku małżeństwa przyjemne, ku rozkoszy „składających jajeczka” i na życie wieczne. Stąd starożytne obyczaje: Fenicjanki wychodziły na brzeg morza i oddawały się przybyłym cudzoziemcom, to znaczy – „jak ciało gąsienicy”, ale z rozkoszą, „przyjmując jajeczko najeźdźcy”, aby zanieść je do swego domu, urodzić i wychować. Stąd prawie wszędzie w Starożytności istniejąca „prostytucja rodzinna”, która wcale nie była wstrętną formą zarabiania pieniędzy, ale „przyjęciem w siebie jajeczka” jako pewnej absolutnej wartości światowej, co jest zresztą prawdą. Dlatego ta „prostytucja” nikogo nie znieważała, przeciwnie – znieważała rezygnacja cudzoziemca, wędrowcy lub gościa, który nie chciał dać swojego „jajeczka”. „Jak kura – była przez dobę w domu, ale nic nie zostawiła”. Właśnie to znieważało, zniechęcało, dzieliło, sprawiało smutek i wywoływało łyzy. Przeciwnie, po „przyjęciu jajeczka” cieszą się i krzyczano, jak kura po zniesieniu jaja. Dlaczego kura krzyczy? Gdyż „przyniosła pożytek światu”, nie jest już „*obca światu*”, więc krzyczy: „Świat jest – *mój*”, a „Ja jestem – *świata*”, to znaczy należę do świata, jestem teraz „*istotą światową*”, w „centrum świata”, a nie gdzieś na jego „pobrzeżach” (na końcu świata).

Jeśli odczuwa to kura, to ileż wyraziściej i silniej odczuwa człowiek!

Dzieci – nie wierzcie rodzicom, oni coś ukrywają.

Przeklęte zmęczenie skłoniło ich czoła ku ziemi. Ale to jest – tęsknota czasowa i ona przeminie.

Podnieście oczy: wschodzi słońce.

Słońce życia...

Słońce uśmiechów...

(odkrycie Rozanowa)

\* \* \*

799. Związek płciowy – każdy jeden i małżeństwo jako nić i łańcuch tychże związków – ma określony wiek. Rok, miesiąc i dzień. Ten wiek równa się połowie sumy lat życia obu małżonków. Jeśli *on* ma 24 lata, a *ona* 16 lat, to związek jest dwudziestoletni:  $(24+16):2 = 40:2 = 20$ .

A tym samym, związek ma lat 25 – jeśli *on* ma 34 lata, a *ona* 16 lat.

I dalej: związki mają po 25 lat, jeśli:

*on* ma 32 lata, a *ona* 18 lat

*on* ma 30 lata, a *ona* 20 lat

*on* ma 28 lata, a *ona* 22 lat

*on* ma 26 lata, a *ona* 24 lat

*on* ma 24 lata, a *ona* 26 lat

*on* ma 22 lata, a *ona* 28 lat

*on* ma 20 lata, a *ona* 30 lat

*on* ma 18 lata, a *ona* 32 lat

*on* ma 16 lata, a *ona* 34 lat

*on* ma 14 lata, a *ona* 36 lat.

Lub:

30, jeśli małżonkowie mają 16 i 44 lat

35, jeśli małżonkowie mają 16 i 54 lat

40, jeśli małżonkowie mają 16 i 64 lat,

i tak dalej...

Wyjaśnia to dziwne małżeństwa, nawet zdumiewające miłości, jak i gwałtowne związki, na przykład:

45 i 16 daje wiek małżeństwa – 30 lat, ale:

45 i 14 daje wiek małżeństwa – 29 lat,

45 i 12 daje wiek małżeństwa – 28 lat,

i tak dalej...

Wyjaśnia to, na przykład, fakt o pobitym (zdaje się przez Tagijewa) inżynierze. Czytałem wtedy: starzec Tagijew miał syna, który ożenił się z jakąś dziewczyną. Nagle młodsza siostra mówi do swojej zamężnej siostry:

– Wiesz, Zelmo – *wkrótce zostanę twoją matką.*

Ta zdziwiła się i nie uwierzyła, ale szybko wyjaśniło się, że jest to prawda. Okazało się, że starzec Tagijew (Tatar-milioner w Baku – ropa naftowa) oświadczył się i ożenił z młodszą siostrą żony swego syna. To znaczy, *jakby pojął za żonę wnuczkę.* Był surowym i kochającym mężem. Nie da się zaprzeczyć, że ona go kochała, zgodnie z instynktem podrostków: „Jak najszybciej być – *dorosłą*”, „Jak najszybciej – *wyrosnąć*”. Zdarzyło mi się obserwować (w Niemczech) kochającą się parę, w której *ona* miała 24 lata (wysoka, piękna i zdrowa), a *on* miał nie mniej, niż 66 lat (tym samym związek miał 45 lat). Ona powiedziała w towarzystwie, że razem z mężem zimą jeżdżą na łyżwach przy księżycu, ciągle jest przy mężu i nie szuka innego towarzystwa. Po roku urodziło się im dziecko.

(w klinice Heleny Pawłownej)

\* \* \*

800. ...już sam dotyk sprawia przyjemność, a nawet myśl o dotyku. Dotykanie *kogokolwiek*, myśl o dotykaniu *kogokolwiek*. Jak więc można uniknąć „grzechu”?

Człowiek jest otoczony dotykiem, jak morzem.

Dlaczego to ma być „grzech”? Jakie są na to dowody? Gdzie?

Z powodu braku dowodów morze jest jeszcze bardziej mętne, a człowiek jeszcze bardziej zagrożony.

Nie mówiąc o mężczyźnie, któremu w tajemnicy „wszystko wolno”, ale jak przekonać dziewczynę, że jej „nie wolno” i ona nie może mieć dzieci „nie doczekawszy się” męża? A ona „czeka na niego” do 25, do 30, do 37 lat, a w końcu jak długo jeszcze „ma czekać” – do ustania miesiączki, kiedy urodzenie dziecka nie jest już możliwe???

Do *jakiego wieku* należy czekać – to powinno być określone w prawie państwowym i w prawie kanonicznym. Przecież jest zupełnie jasne, że kobieta przed ustaniem miesiączki powinna „wypełnić prawo ziemi” (Księga Rodzaju, zdaje się, 17 rozdział – słowa wypowiedziane przez samotne, z powodu zniszczenia miasta, córki Lota, niemające ani narzeczonych, ani też nadziei na pojawienie się narzeczonych).

Nie należy drażnić psa na łańcuchu. Pies może zerwać się z łańcucha. Może człowieka przewrócić do rysztoła, a dodatkowo pogryźć stróża.

*(w klinice Heleny Pawłownej)*

\* \* \*

801. Bez wiary w siebie nie można być silnym. Ale wiara w siebie rozwija w człowieku nieskromność.

Zlikwidowanie tej sprzeczności jest jednym z najtrudniejszych zadań życia i osoby.

\* \* \*

802. Polne i leśne części człowieka nigdy nie zanikną i raczej nie jest wskazane, żeby całkowicie zaniknęły.

Wszyscy byliby w smokingach, jak Skałkowski – Nie! Nie!

*(zakładając płaszcz w klinice)*

\* \* \*

803. Zbyt mało słońca – oto wyjaśnienie całej historii Rosji.

I długie noce. Oto wyjaśnienie rosyjskiej psychologii (literatura).

\*

\*

\*

My nie stworzymy cywilizacji. Ale za to stworzymy zarząd więzień – całe ministerstwo.

*(paląc papierosa po wyjściu z kliniki)*

\* \* \*

804. Socjaldemokrata ma tylko jedną troskę: kto wzięłby go na utrzymanie. Stara dama, bardzo popularny pisarz, mający „potrzebę popierania młodzieży”, śpiewak – każdy jest dobry.

Nie wiem, jakie zagrożenie dla rządu stanowią ci panowie.

*(paląc papierosa po wyjściu z kliniki)*

\* \* \*

805. Serce i ideał mam monogamiczne, ale ciekawość i wyobraźnię mam poligamiczną.

Stąd bolesne rozdarcie mojej osobowości i biografii.  
Byłem i szamocący się i niezachwiany.

(jadąc do kliniki)

\* \* \*

806. Kobieta – to istota spódniczkowa.  
Dodaje się do tego: „I – *piekielna*”.  
– Nie! Kobieta jest istotą niebiańską.

(jadąc do kliniki)

\* \* \*

807. *Cultus phalii* jest niezrozumiały i niemożliwy poza pokrewieństwem, w pokrewieństwie natomiast jest zrozumiały i nieunikniony jako centrum tego pokrewieństwa, jego źródło i pobudziciel, jego tajemna poezja i, w końcu, religia.

„*Cultus phalli*” został nakazany przez kogoś bardzo starego, „starodawnego”. Młodemu człowiekowi nie może on nawet przyjść do głowy, w młodym człowieku może on wywołać jedynie „śmiech lub zabawną reakcję”.

Ten kult jest śmieszny dla braci i synów, ale nie jest śmieszny – dla rodziców. Jest śmieszny dla córek i dla sióstr – ale nie jest śmieszny „dla świekra i świekrowej, dla teścia i teściowej” Jest w pełni zrozumiały dla każdego dziadka i babci. Ten, „kto pierwszy dał ten kult” (ludzkości) – na pewno miał „rozwiązane na wietrze siwe włosy”, był *okiem* (widzenie, widzenie wszystkiego).

\* \* \*

808. Kto zapładnia dziewczynę, ten czyni to, co należy czynić.

(kanon Rozanowa, 28 listopada)

\* \* \*

809. Ostatni moment – wzburzenie duszy, wzburzenie żywiołu.  
Przecież powiedziano, że on jest „w burzy”.

\* \* \*

810. Małżeństwo jest jak zamek i klucz – jeśli coś nie pasuje, można wyrzucić. „Nie da się otworzyć”, „Nie da się zamknąć”, „Nie da się chronić majątku”. Jedyne wyrzucić (rozwiązanie małżeństwa, rozwód).

Ale Rosjanie strasznie lubią chronić swoje majątki przy pomocy zamków, do których nie pasuje „klucz”. „Złodziej nie domyśli się i nie tknie”. I są szczęśliwi.

(listopad) (w klinice Heleny Pawłownej)

\* \* \*

811. Uczenie się – to subtelna muzyka i nauczanie – to subtelna muzyka.

Nie na każdym instrumencie da się je zagrać.

Mamy jedynie schematy szkół. Ciągłe ich mnożenie według szablonów. Jedynie w rzadkich wypadkach coś się zmienia. Daje się „oświecić” 2-3 na 500 uczniów, a „oświeca” chyba tylko *jeden* na 15 nauczycieli.

Pozostałość – szablonowe przygotowywanie szablonowych inteligentów, a to jest raczej *minus* dla oświaty, niż *plus*.

(w klinice Heleny Pawłownej)

\* \* \*

812. Tak, jest Pisariew i „Sowriemiennik”, jest też Nat-Pinkerton. Tak samo prosto, płasko, ta sama „nowa cywilizacja” i zastosowanie „ostatnich osiągnięć nauki”. Wszystko – odważnie i śmiało. Nie można zrozumieć, dlaczego Czukowski zaczął się dziwić.

(klinika Heleny Pawłownej. Rok temu Czukowski miał wykład „Dlaczego wszyscy zachwycają się Nat-Pinkertonem”?)

\* \* \*

813. I niechaj wśród zieleni młodej  
Nad grobem moim igra życie,  
I obojętnej blask przyrody  
Pięknością wieczną lśni w rozkwicie.

Ktoś usłyszał ten wiersz i zapłakał.

Pisariew wstał:

– **NIE RO-ZU-MIEM.**

Nieopisany zachwyty ogarnął społeczeństwo. A Profesorowie, studentki – wszyscy zagwizdali, zaśmiali się i powiedzieli:

– **GLU-PIO.**

\*

Jak można obronić „Poetę i czerń”? Pisariew ciągle bronił chłopów przed Puszkinem, podczas gdy Puszkini nigdy nie rozumiał chłopów. „Czerń” chodzi w lakierowanych butach i ciągle wygłasza oświecające lekcje.

„Czerń” – to Grzegorz Pietrow, B. i Akademia Nauk z jej honorowym członkiem Anatolem Fiodorowiczem.

(w klinice Heleny Pawłownej)

\* \* \*

814. Czy to prawda, że wszyscy, którzy chodzą po ulicach, też umrą?  
Co za okropność.

(przechodząc przez plac przed cyrkiem, w lęku)

\* \* \*

815. Ona ulitowała się nade mną, jak nad sierotą.  
I ja ulitowałem się nad nią, jak nad sierotą (ówczesna historia). Obydwoje  
byliśmy zgaszeni, poniżeni.  
Oto cała nasza miłość.

\*

Kościół powiedział: „Nie”. A ja mu pokazałem figę z makiem.  
Oto cała moja literatura.

*(siedząc przy łóżku mamy w klinice Heleny Pawłownej)*

\* \* \*

816. Rzadko, rzadko pojawia się myśl, że mocą swojej psychologii  
przezwyciężę literaturę. To znaczy, że „potem” wszyscy będą psychologami –  
jak ja i „nasi” (Rcy, Fl., Szperk i jeszcze kilku, niewielu).

Co to byłoby za szczęście! Przeminieliby ci „bałwani”. Przecież istota nie  
w tym, że są „lewicowi”, a w tym, że są bałwanami.

\* \* \*

817. Poza bandycką (obecnie) nie ma żadnej prasy. Nie wiem, co robić z tą  
„6-tą władzą” (Napoleon).

\* \* \*

818. Główne hasło prasy: przeklinaj, nienawidź i kłam.

*(wspominam artykuły po † Suworina)*

\* \* \*

819. Dostojewski, który ocierał się o rewolucjonistów (Pietraszewski) –  
miał odwagę powiedzieć o nich: „Łajdacy”. „Rosyjska rewolucja została  
dokonana przez łajdaków” (Nieczajew, „Biesy”).

Przy tym zdaniu należy postawić wielkie

**SIC.**

\* \* \*

820. Człowiek ma tylko jeden godny siebie pomnik – mogiła i drewniany  
krzyż.

Złoty pomnik można postawić tylko nad psem.

\* \* \*

821. Gwiazdko zamglona, gwiazdko błada,  
Ciągłe płoniesz przede mną jedna.

Ty jesteś chora, ty drżysz,

Niedługo znikniesz zupełnie...

(w klinice Heleny Pawłownej, palarnia)

\* \* \*

822. Żeby duszę przeniknął Chrystus, musi teraz przewyciężyć nie jakieś tam doświadczenie „rybaków” i wrażenia morza z jego ani „tak”, ani „nie” w stosunku do Chrystusa, a należy przeniknąć całą bryłę wrażeń „współczesnego człowieka”, cały ten brud i dobro, przewyciężyć gimnazjum, przewyciężyć uniwersytet, przewyciężyć służbę państwu, odpowiedzialność wobec władz, jakieś tańce, jakieś flirciki, znajomych, przyjaciół, książki, Büchnera, Lermontowa..., i – powrócić do prostoty rybaków, w celu zdobycia chleba. Czy to jest możliwe? Jak „umorzanego człowieka” przemienić w „zjawisko naturalne”? Chrystus miał do czynienia ze „zjawiskami naturalnymi”, a chrześcijanin (Kościół) ma do czynienia ze zjawiskami brudnymi, ze zjawiskami połamanymi, ze zjawiskami skażonymi – ma do czynienia z owocami rozkładu, zwichnięcia, oszpeceń. Oto, dlaczego Kościół (między innymi) tak mało ma sukcesów, a Chrystus miał ich tak dużo.

Chrześcijaninowi jest znacznie trudniej, niż Chrystusowi. Kościołowi jest obecnie trudniej, niż Apostołom.

(w klinice Heleny Pawłownej) (30 listopada 1912 r.)

\* \* \*

823. Stare, sympatyczne babcie – chrońcie prawdę ruską. Chrońcie, nie ma komu jej chronić.

\* \* \*

824. Robaki pogryzły wszystko – i marmur, kiedyś biały, teraz jest żółty, jak kość wyjęta z grobu. Wszędzie ciernie, śmiecie i plewy.

– Cóż to? Czy to jest Partenon?

...nie, to jest Kościół.

...to nasz stary, zapijający się duchowny. I ołowiana taca z kopiejkami...

\*

\*

\*

...zwiększyć opłaty – potworność, nie odnowić – wszystko się rozsypie... nienawidzę, kocham...

...ciągle mam nadzieję...

...wszystko jest beznadziejne...

\*

\*

...ale tutaj, przyjaciele, tylko tutaj żyje nieśmiertelność duszy.

(jadąc nocą dorożką do redakcji)

\* \* \*

825. Kościół jest duszą społeczeństwa i narodu.  
Czy można podnieść rękę na duszę? Choćby nawet ta dusza miała wady?

\*

Wierni, idąc spać, powinni odmawiać modlitwę: „Boże, nie zabieraj nam świętego Kościoła. Zachowaj go w prawdzie i nieskalaności jako swoją Oblubienicę”.

To wszystko. Nie należy Kościołowi mówić grubiaństwa, lamentów i cynizmu.

*(listopad)*

\* \* \*

826. Co znaczyłby Chrystus bez

**MIŁOSIĘRDZIA?**

Nic.

Czy w Kościele jest miłosierdzie?

O, gdyby było!

*(nocą w redakcji) (oderwałem się od „wstępniaka”)*

Pociechy! Pociechy! Pociechy!

– Gdzie jest Pocieszyciel?

*(nocą w redakcji)*

\* \* \*

827. „Umarł! On umarł”! – wyje człowiek-zwierzę.

Kościół podszedł i cicho powiedział:

– Nie, on *zasnął w Panu*.

I pogłaskał ręką twarz zwierza, i zwierz stał się człowiekiem.

\*

Cała ludzkość odstąpiła od Kościoła.

I określiła Kościół strasznymi nazwami.

I przekląła Kościół.

W nocy do zamkniętej cerkwi podszedł staruszek i zastukał kosturem w drzwi. Drzwi otworzyły się. Ten „staruszek w cerkwi” jest jaśniejącym Kościołem, Kościołem w pełni.

A cała „ludzkość” to – nicość.

*(po powrocie do domu, w łóżku)*

\* \* \*

828. Ona zawsze wzruszała się wzruszeniem innego i zawsze miała trudności, kiedy ktoś miał trudności.

*(o mamie – w teatrze,  
kiedy ona leży w klinice)*

\* \* \*

829. Zhańbione, drapieżne, z ogolonymi plecami, na które przez pomyłkę można usiąść zamiast na kanapie...

*(11 godzina; mama na pewno już śpi  
w klinice Heleny Pawłownej, a ja w teatrze)*

\* \* \*

830. Proszę sobie wyobrazić, że „Główny zarząd przygotowania prochu dla armii” wszędzie, gdzie tylko by spotkał, likwidowałby: 1) siarkę, „bo ona nieładnie pachnie”, 2) węgiel, „bo jest czarny” i 3) saletrę, „bo ona nie ma żadnego znaczenia”. Tak właśnie postępuje Kościół, „matka małżeństwa”, lub duchowieństwo: 1) nienawidząc aktu płciowego dlatego, że „nie wygląda on tak, jak powinien wyglądać”, 2) miłości – gdyż jest „ona różana” i 3) strojów świata, gdyż one „są marnością”.

Małżeństwo powinno być nakazem, bez miłości, nawet bezpłodnym, ale za to bardzo dochodowym.

*(w teatrze, z dziećmi) (na plakacie)*

\* \* \*

831. „Kochajcie waszych wrogów. Błogosławcie tym, którzy was przeklinają”...

– Nie mogę. Boli mnie ropień podokostny szczęki.

*(w holu teatru, wychodząc)*

\* \* \*

832. – „Ty teraz nie doświadczasz już szczęścia. Dlatego wspominasz przeszłość”.

*(mama, po przeczytaniu w „Śmiertelnym”  
fragment o Iwanie Pawłowiczu  
i „całej sprawie” w Jelcu)*

\* \* \*

833. Mama to – geniusz moralny, oto istota wszystkiego.

Z tego powodu tak się do niej przywiązałem, tak bardzo jestem od niej uzależniony.

*(po jej rozmowie z lekarzami,  
po której szybsze bicie serca, roztargnienie  
i całkowity upadek sił)*

– Ty im wszystko opowiedziałaś, jak mnie? – zapytałem, porażony jasnością i dokładnością.

– Tak.

„Doktor (profesor) wstał, z radością poklepał po plecach i powiedział:

– Patrzcie, ona żyje, a nie opowiada. Każde słowo zabiera jej siły.

Właśnie na podstawie tego objawu Sirotinin pięć lat temu określił chorobę:

– Zmęczenie serca.

To określenie mnie poraziło. Nigdy nie słyszałem. I nawet nie zakładałem, że istnieją takie choroby.

Serce jest „zmęczone” dlatego, że 19 lat na moich oczach, a w istocie od 14-go roku życia (jej pierwsza miłość), ona już „wkładała całe serce” (w ludzi, w swoje czyny, w swoje stosunki z ludźmi).

\* \* \*

834. Dopijam 1-1 ½ szklanki kawy. Odrzucam gazetę i energicznie mówię:

– Do cerkwi!

– Do cerkwi, Wasylu Wasiljewiczu, jesteśmy spóźnieni. Dwunasta godzina. – (Domna Wasiljewna). – „Dwunasta godzina!!! Wszystko jedno – cerkiew Aleksandra Świrskiego pod bokiem”. Wchodzę do cerkwi. Śpiewają Wyznanie Wiary.

Nie słucham. „Oj, ta bizantyjska teologia”. I nagle słuch zostaje porażony:

„Oczekuję wskrzeszenia umarłych”... Podszedłem do skrzynki ze świecami:

– Proszę dwie świece „za wieczny odpoczynek”. I jedną – dla ikony święta (imieniny).

(4 grudnia 1912 r.)

\* \* \*

835. Nigdy nie widziałem tej staruszki. Napisała do mnie list 4 grudnia, w dniu wielkiej męczennicy Barbary:

...”W tym drogim dla pana dniu pragnę pozdrowić wszystkich i życzyć wszystkiego najlepszego pańskiej drogiej Solenizantce-„Przyjacielowi” i całej pańskiej rodzinie.

Wcale nie chcę niepokoić pana korespondencją, ale nie mogę nie powiedzieć, jaką radość sprawiły mi „Kiriejewscy” i maleńka notatka o Villarim! *On en mangerait avec délice!* Co za miód! Bądźcie zdrowi, wszystkiego najlepszego, z szacunkiem S. Szcz.

P. S. Moja córka miesiąc temu była w Kijowie i podała w pańskiej intencji prosforę w monasterze św. Michała!”

W monasterze św. Michała spoczywają relikwie wielkiej męczennicy Barbary: gdzie i ja się modliłem, gorąco się modliłem, a tam też modliła się – Aleksandra Adrianowna Rudniewa, 49 lat temu.

Dla takich staruszek, jak S. Szcz., piszę moją „literaturę”. Młodzi czytelnicy w ogóle nie są mi potrzebni. Sam jestem stary (57 lat) i chcę być ze starymi.

\* \* \*

836. Średni wiek człowieka, od 30 (nawet od 24) lat do 45 lat, nazywam *fizycznym*.

Tu wszystko jest zrozumiałe, racjonalne. Idzie praca. Idzie służba. „Dzień po dniu”, „nie ma się co oglądać”.

Mechanika. W której nie wspomina się i nie przeczuwa.

Nigdy nie interesował mnie ten wiek i nie lubiłem ludzi w tym wieku.

Za to szaleńczo kochałem staruszków i dzieci.

Ich wiek jest – *metafizyczny*. Pełen zainteresowania i znaczenia. Tu wyczuwa się „Hades” i „Niebo”. Wyczuwa się „mojry”.

(6 grudnia 1912 r.)

\* \* \*

837. Sztunda – to marzenie, żeby „przemieniwszy się w Niemca” stać się jeśli nie „świętą” – to marzenie zarzucono – to przynajmniej dobrze wymyta Rusią, bez wszy, bez oszustw oraz bez przekleństw w domu i na ulicy.

– Zabierajcie stąd ikony!

– Dajcie miotłę!

Ruś z „miotłą” i „bez ikon” – to właśnie jest sztunda.

Jest to zjawisko ogromne, nieuchwytne i powszechne.

\* \* \*

838. Sztunda – to nie tylko zjawisko protestancko-kościelne. Sztunda – wszystko to, co robił Piotr Wielki, co zamierzał, co widział w snach. Sztunda – to Winawer i Miljukow, to Struwe i jego „Oswobodzenie”. Gdyby Piotr Wielki wiedział wtedy, że *jest* sztunda i jest *możliwa*, znał ją, to by zawołał: „Tak! Tak! *To jest to!* Ja *nie potrafiłem tego nazwać!* *Róbcie* to i tak *wierzcie*, to najważniejsze!!”

To – wyczyszczone do „blasku złota” stare klamki w klinice Heleny Pawłownej przed obchodem profesora Jawejna, „oświatowe i kulturalne wysiłki” gimnazjum Stojuninej, cały Tołstoj z jego „czytajcie wszyscy Ewangelię, czytajcie ciągle” i pędzący przez Syberię kurierzy, informujący o dniu przybycia i wygłoszenia wykładu przez ex-kapłana Pietrowa. To wszystko są – drogowskazy.

(na kopercie zaproszenia na wystawę)

\* \* \*

839. Tak, istnieje cynizm polityczny. Dlatego, że polityka jest cynizmem. A jeśli jeszcze dodać do tego tragizm – zbyt wiele honoru.

(7 grudnia) (jadąc dorożką do kliniki) (o sobie)

Ja nie myślę o królestwach. Dlaczego, że dusza moja jest ważniejsza od królestw.

Ona jest wieczna i Boża. A królestwa „tak sobie”.

(Królestwa to – bazar).

(jadąc do kliniki)

\* \* \*

840. Przez 1 900 lat po Chrystusie spośród głosicieli Jego słowa (kapłanów) na dziesięciu jest jeden porządny, a na stu – jeden *bardzo* porządny. A jednak w ciągu tych 1 900 lat trafiali się ludzie zdumiewający. Natomiast w ciągu 50 lat po śmierci Hercena, który był próżny, ambitny i ogólnie człowiek z wadami, nie ma ani jednej *takiej* (jak Hercen) postaci, to znaczy dość niedoskonalej.

Jest to bowiem – Rewolucja, a nie – Kościół.

Jakże można nie powiedzieć, że Kościół jest bardziej stabilny, a tym samym *wewnętrznie wartościowszym* od Rewolucji? Że z dwóch wrogów stojących naprzeciw siebie – Kościoła i Rewolucji – Kościół jest idealniejszy i bardziej wzniosły.

Co będzie z Hercenem po 1 900 lat? – Z Wolterem i Rousseau, ojcami Rewolucji? Taki okres czasu – *tysiąc dziewięćset lat* – przerazi najbardziej płomiennego ich zwolennika, który zawoła:

– Co wyście sobie wymyślili za okres czasu?! Za 1 900 lat, być może, nie będzie już Francji, Europa przemieni się w to, czym stała się „Atlantyda”, a zresztą nie da się nic zgadnąć na tak długi okres czasu... „Wszystko się zmieni” – sama nazwa „rewolucja” stanie się śmieszna, ledwo przypominana, przypominana sobie tak samo, jak „żegluga Priama do Lacjum od królowej Dydony (załóżmy).

Tymczasem kapłan podnosząc Ewangelię nad ludem, gorliwie wygłasza modlitwy, z poczuciem niezwykłego realizmu, jako coś „ciągle żywego”. A diakon donośnym głosem woła: „Bądźmy uważni!” Diakon mówi z taką mocą, że drżą szyby w oknach: jak Wolter – w Ferney, ale nie jak Wolter w 1840 r., kiedy już go jadły myszy. Nasuwa się więc myśl o całej Rewolucji, „o nich wszystkich”, że są pokarmem dla myszy.

Na 300 lat starczy im pary, porywu i sensu, ale nie na dłużej.

\*

Dlaczego diakon tak donośnie woła, a Wolter tak zgaśł?

Już za życia Woltera, w jego żywych ustach, słowo nie było szczególnie cenne. Proszę powiedzieć od razu, bez zastanawiania się, co Wolter powiedział człowiekowi wartościowego, na całe życie i całą historię? Nic nie przychodzi do głowy. A Chrystus: „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla

sprawiedliwości”. Nie po prostu „oni dobrze czynią”, lub „należy kochać sprawiedliwość”, albo „trzeba cierpieć dla sprawiedliwości”, – a *inaczej*:

**„BŁOGOSŁAWIENI, KTÓRZY CIERPIĄ PRZEŚLADOWANIE  
DLA SPRAWIEDLIWOŚCI,  
ALBOWIEM DO NICH NALEŻY KRÓLESTWO NIEBIESKIE”.**

Jak wyrzeźbione. I trwa 1 900 lat. I będzie trwało jeszcze 1 900 lat, a co może powiedzieć ten sam zwolennik Woltera, który powiedział:

– Co wyście sobie wymyślili za *okres czasu*?!...

\*

Ewangelia jest wieczna. A wszystko inne czasowe – oto, w czym rzecz.

\*

A diakon woła. I ja, zakurzony pisarz, z kurzem i błahostkami w duszy i na duszy, stojąc w kącie cerkwi, uśmiechając się i ocierając łzy, powiem wesoło i smutno:

– Wołaj, ojczulku, ile sił w płucach. I „bez wahania” po przyjsciu do domu, zmęczony, zjedz kaszę gryczaną i kapustę, i wszystko, co należy, jedz razem ze swoją matuszką-diakonową, z dziećmi i z wnukami. Stoicie na trwałym miejscu i budujecie w życiu wieczną prawdę.

(17 grudnia 1912 r.)

\* \* \*

841. Autonomia uniwersytetów, o której kiedyś byłem tak przekonany, teraz wydaje mi się zupełnie niemożliwa i niepotrzebna, haniebna dla państwa rosyjskiego (które, jak sobie chcecie, panowie, ale *istnieje*, przyznajmy się do tego, choćby i „ze wstydem za Rosję”). Autonomia wcale nie oznacza wolności nauczania, niezależności korporacji profesorskiej i likwidacji „cenzury nad nauką”. Wcale nie. O takiej naiwności można było myśleć, a nawet *byłoby to prawdą*, gdyby profesorowie *in corpore* (poza niezwykle rzadkimi wyjątkami, w rodzaju czarnych łabędzi) nie pokazali haniebnej nicości moralnej, całkowitego tchórzostwa wobec studentów i pełnej od nich zależności.

Ani swojego „credo”, ani swojego „amo”.

W takiej sytuacji „autonomia uniwersytetów” byłaby autonomią studentów.

Wołodzia („wędrujący” socjaldemokrata) mówi” „*Oczywiście, uniwersytet należy do studentów, gdyż stanowią oni większość, jest ich więcej, niż profesorów, a poza tym uniwersytet istnieje dla studentów*”

Rzeczywiście: *causa materialis* i *causa finalis* (cel i materia instytucji). Jest to *dla Rosjan* taki sam aksjomat, jak – „ziemia Boża”. „Uniwersytet to – własność studentów, jest w ich władzy”, jak ziemia jest – *Boża*, co znaczy – *niczyja*. Aksjomat i piosenka są nie do przewyciężenia. W takim wypadku na próżno coś się rozważa.

„Autonomia uniwersytetów” znaczyłaby więc „autonomia studentów” i ustanie wszelkich działań państwowych i praw w odniesieniu do uniwersytetów. „Dlatego, że tam nauka”. Przy tym chodzi o „naukę” lub „ja – to nauka”, a o tym nie może decydować ktoś inny, poza właścicielem, to znaczy studentami. „Nie wtykaj tu swego nosa” – w tym istota *zapropionowanej* autonomii.

„Jesteśmy eksterytorialni”, jak papież w Watykanie.

Dla celów nauki i wolności nauczania można byłoby to dopuścić na podstawie absolutnej, można tak powiedzieć, nieszkodliwości i bezinteresowności nauki. Jeśli jednak „nauka” jest spokojna, to uczący się nie muszą być spokojni. Jak kiedy. Gdyby jednak nasi profesorowie byli z „amo” i „credo”, to nawet wśród „niespokojnych” studentów można by dopuścić autonomię: doszłoby wtedy do walki między profesurą i nauką oraz studentami i polityką. Żądza tej walki jest nieskończona. Od niej w znacznym stopniu zależy szczęście Rosji, możliwy jej „sens”.

Ale profesorowie nagle uciekli, zdaje się, że jeszcze przed możliwością ich pobicia. Uciekli, gdy tylko rozległo się „trzaskanie drzwiami”. Zresztą profesorowie wszystko i wszystkich sprzedali, sprzedali i uciekli, a raczej zgodnie z faktami – wymknęli się. „Oto Iwan Iwanowicz” i pracownica prosekatorium „Katarzyna Siemionowna”. Właśnie w tym momencie, kiedy oni „wymknęli się” – na „autonomię uniwersytetów” na wieki spadła kurtyna.

Jej jedyny motyw – wychowanie nieuczących się i niewychowanych, po prostu niedojrzałych ludzi, przez wywieranie wpływu i walkę (odwieczną) dojrzałych, wychowanych i uczonych ludzi – ten motyw przepadł.

Ale i studenci, ze swej strony, nie są samodzielni: są poruszani nitkami Żydów i zagranicznych emigrantów. Nitkami „mojego Wołodzi”, którego też „pociągają”. Obecnie w całej Rosji „autonomia uniwersytetów” przemieniłaby się w „rosyjskie wydarzenia” – które wybuchłyby w każdym mieście, w którym jest wyższa szkoła, „niedostępna cytadela” do walki z „nieznośnym starym porządkiem”, który to porządek nie ma żadnego odniesienia do uniwersytetu. „Niedostępna twierdza”, jak Watykan, rzeczywiście jest niezwyciężona, gdyż Watykanu nie mogą zdobyć całe Włochy. W Rosji byłoby (wszystkie szkoły wyższe) około czterdziestu „Watykanów”, z prawem robienia wypadów i wypowiedania wojny.

Bowiem „ściany” uniwersytetu są niedostępne, ale studenci wcale nie żyją w ścianach uniwersytetu, uniwersytet wcale nie jest pensjonatem, jak Watykan dla papieża, uniwersytet wędruje. Wędruje po całej Moskwie, po całym Petersburgu, jeździ „z lekcjami” po całej Rosji. Ich „młodzi” koledzy to gimnazjaliści, a „starsi” – społeczeństwo. Jednym słowem, uniwersytet jest jak kłębek, a jego nici są rozciągnięte po całej Rosji.

„Autonomia uniwersytetów” wcale nie oznaczałaby „wolności nauczania”, ale coś zupełnie nowego i zdumiewającego: wydzielenie czterdziestu niedostępnych dla nikogo miejsc, „nie do zdobycia” (i co –

najważniejsze) i oddanie ich ludziom, którzy wypowiedzieli „wojnę współczesnemu społeczeństwu i współczesnemu ustrojowi”.

Właśnie oto toczy się wojna. Wszystko pozostałe – to sos. „Oddaj nam twierdzę, wrogu!” Po pierwsze, dziwne jest prosić o coś „wroga” – powołując się na „oświatę” i „przyjaźń”, ogólnie na „sympatyczną młodzież”. Była to więc nie tylko sprawa „wojenna”, ale w najwyższym stopniu wiarołomna. Państwowość rosyjską atakowali Batu-Chan, kapral i Talleyrand.

Kapral – żołnierz, „bezlitosny wróg”.

Batu-Chan – nasza pierwotna dzikość.

Talleyrand – to obłuda wszelkich Burcewów i Bakajów.

Kapral nie jest straszny dla Rosji, ale mogli jej w najwyższym stopniu zaszkodzić Batu-Chan i Talleyrand. Poza tym niektórych „nie można wyciągać” z samego „serca Rosji”, gdyż chronią ich „święte ściany instytucji naukowej”.

...jak jakieś świątynie-observatoria Babilonu lub Teb – z Timiriazewem i Miljukowem, jeden w smokingu i drugi w surducie, ale w perukach siwowłosych „najwyższych kapłanów” i z „pastorałami”.

Cień Hercena mnie usynowił  
I w rewolucję tryumfalnie wprowadził.  
Wokół mnie robotników zbuntował  
I wszystkie trony skazał na śmierć.

Blef, opera i oszustwo. „Falszywa tragedia klasyczna Książniczka” nie udała się. Zapachniało wódeczką i dziewczynkami, przyszedł policjant i wszystkich spałował. „Tak kończą się rosyjskie historie”.

\* \* \*

842. Dajesz pieniądze i prosisz, a mimo to rosyjska świnią zrobi tobie świństwo.

*(jakaś „Katusza” lub „Mariusza” zerwała z wezgłowia  
mamy łóżka cudowny obrazek, „zmieniając pościel”.  
Obrazek rozbił się)*

O czym ona myślała? O kochanku, czy o zjedzonym ciastku?

„Niech pani wybaczy. Co za nieszczęście! Zupełnie nie zauważyłam”.

Podczas gdy On patrzy nawet na wchodzącego do pokoju.

*(8 grudnia 1912 r.)*

\* \* \*

843. Najwięcej myśli przychodzi do głowy w konnym tramwaju. Konny tramwaj trzęsie, sam się trzęsę, mózg się trzęsie, z mózgu wytrząsają się myśli.

\* \* \*

844. Rewolucjoniści zdobywają ludzi tym, że są otwarci. „Chcę strzelać w brzuch” – i strzela.

Nikt inny nie ma takiej odwagi. Dlatego rewolucjoniści zwyciężają.

Gdyby jednak przedstawiciel „czarnej sotni” (załóżmy, że generał M., będący na procesie Gerszuni) strzelił w sędzie w głowę Gerszuni nie czekając na „wydanie wyroku” – gdyby publiczność na procesie uczestników 1 marca przeskoczyła przez barierki i powystrzelała bandytów od Żelabowa do Kibalczyna („taki uczone”), to rewolucjoniści, oczywiście, wszyscy co jednego dawno już byliby zlikwidowani.

Karpowicz strzelił Bogolepowowi w gardło – „nie wahając się”, nie pytając, czy ma on dzieci, żonę. „W Szlisselburgu zjawił się taki radosny i wszystkich nas ożywił” – pisze we wspomnieniach Figner. Gdyby jednak owej Figner straż więzienna „otwarcie i z fizjologiczną radością” powiedziała, że pani jako człowiek jest już skończona, ale ciągle jest pani kobietą, a nasi żołnierze mają pewne potrzeby, że wszystkimi skutkami – to, po pierwsze, co powiedziałyby o tym cała prasa, ciesząca się ze strzału Karpowicza? A po drugie, jakby poczuła się w roli rewolucjonistki Figner i czy rewolucjoniści byliby tak odważni jak teraz, spotykając taką „otwartość” na swoją „otwartość”.

Raczej nie.

I zwycięstwo rewolucjonistów, lub ich 50 letnie powodzenie, bazują na tym, że są oni nieludcy, a „stary reżym”, który oni chcą zniszczyć, pamięta o krzyżu i nie chce pozbawiać się człowieczeństwa.

Rewolucjoniści są – goli. Stary reżym – w ubraniu. Rewolucjoniści mogą „oddychać spokojnie” dopóty, dopóki stary reżym nie pozwoli sobie na „rozebranie się”, czyli odrzucenie człowieczeństwa.

(9 grudnia, dzień)

\* \* \*

845. Fonwizin próbował być okcydentalistą w „Nedorostku” i słowianofilem w „Brygadierze”. Nie udało się ani jedno, ani drugie. On bywał w Paryżu „jako rosyjski szlachcic” – ale nie był bardzo wykształcony. Dziecię czasów Katarzyny, jeszcze bardzo grubiańskich. Bez subtelności.

Jego komedie są, oczywiście, błyskotliwe i dla swoich czasów genialne. Pogodin słusznie powiedział, że „Nedorostek” należy w całości przedrukowywać w podręcznikach historii Rosji XVIII w. Bez „Nedorostka” historia ta jest niezrozumiała. Bezimienna. Jednak w głębi rzeczy Fonwizin jest powierzchowny, grubiański i, w istocie, nie rozumie tego, co lubi, jak i tego, czego nie lubi. Jego wpływ na współczesnych był zdumiewający, ale później – zgubny. Powierzchowne umysły podchwyciły jego formuły, słowianofile „Wrалmana”, a okcydentaliści i bardzo szybko nihiliści „Czasosłów” i pod tym pozorem rosyjskie leniwość nie chciało zachodnich nauk i wyśmiewało swój Kościół (liturgię, modlitwy). To do zwrotu „No, poczytamy Czasosłów, Mitrofanuszko!” sięgają dzikie określenia Szczedriny i całe lokajskie zacięcie ducha rosyjskiego, którego nie miał sił zwyciężyć wykształcony Racziński, a także Odojewski i Kiriejewscy.

(10 grudnia, czytając artykuł Cwietkowa)

\* \* \*

846. Ledwo zna geografię w granicach drugiej klasy gimnazjum, ale w prasie daje rady rządowi – jak rządzić Rosją. Zadziwiająco utalentowana jest natura rosyjska.

Może wszelakich Newtonów  
I bardzo rozumnych Platonów  
Rosyjska rodzić ziemia.

I tak dalej. Można by w to wątpić, ale jest przecież Hofsztetter.

(10 listopada)

\* \* \*

847. Chruszczow, jak martwa głowa Rusłana, rozdziawił wargi i wyrzucił z nich w powietrze słowa:

– Metody pedagogiczne, metody pedagogiczne.

Miałem wtedy ochotę wsunąć mu kołek w gardło.

(kurator charkowski u Berga w latach 1894-5)

(10 grudnia, czytając artykuł Cwietkowa)

\* \* \*

848. Kiedy słyszę o „demonicznej” i „szatańskiej” zasadzie w świecie, to dla mnie ma to takie znaczenie, jak czarne karaluchy w naszej wannie (zawsze są i ja je lubię): ani strachu, ani troski. „Jest ta zasada” – i Bóg z nią, „nie ma jej” – i nie ma sprawy.

To nie jest moja sprawa, moja dusza, to nie jest mój interes.

Dlatego też myślę, że w ogóle we mnie nie ma pokrewieństwa z „demonizmem” (jeśli on istnieje). „Do-o-o-bro-o-duszny człowiek”. Piotr Piotrowicz Pietuch „z nieciekawymi pomysłami”.

Ponieważ *równocześnie* jest we mnie bezsporny *fallizm* i ja lubię „wszystko to” nie tylko w idei, ale także w naturze, więc wnioskuję, że w *fallizmie* nie ma nic demonicznego i biesowskiego. A określenia „ciemna siła” i „nieczysta siła” (same epitety wskazują, że odnoszą się do sfery fallicznej) są opiniami apokryfów, a nie Pisma Świętego.

Ejże, zapach róż nie jest cechą kozłów, a w takiej postaci przedstawia się biesów. Zapach róż wydzielają róże i olejkiem różanym namaszcza się święty całun.

Aromat olejku różanego napełnia świątynie, ale w *świeckich* pałacach byłby obcy.

Będziemy, panowie, wachać róży.

\* \* \*

849. Coś ważnego na temat dziewczyn „bez historii” napisała w liście do mnie od wielu lat chora, piękna kobieta (32 lata):

„Bardzo, bardzo dziękuję panu za przyslaną mi książkę Opadłe liście. Proszę wybaczyć, że nieco spóźniam się z podziękowaniami, ale chciałam napisać do pana przeczytaniu książki. Przeczytałam książkę z wielkim zainteresowaniem i, oczywiście, nie mogę jej krytykować, ale chcę powiedzieć panu, że przy czytaniu jednego fragmentu „płonęło mi serce”, a mianowicie, gdy pisze pan o „Pocieszycielu”. Czuję, że pan – chociaż prawie zawsze Go prześladuje – to jednak kocha, być może bardziej od tych, którzy nie prześladują. Wiem, jak niekiedy panu bywa ciężko, całą duszą życzę panu, aby jak najczęściej pan Go odczuwał tak, jak wtedy w nocy, a wtedy Jego brzemię będzie dla pana lekkie, a śmierć nie będzie tak straszna. Drogi Wasylu Wasiljewiczu, wyraził pan nadzieję, że w drugiej połowie mego życia czeka mnie coś świetlistego. Ja pragnę tylko Jego światłości i myślę, że pozostała mi już mniejsza część życia.

Powiem panu jeszcze jedno słowo: za co pan, taki dobry, sprawia przykrość biednym dziewczynom, które nie mają dzieci lub nie są zamężne? Czy wiele z nich ponosi winę za tę sytuację?

Przecież pan nie zna ich duszy: ani jedna z nich nie otworzy przed panem, przez wstydlivość, swojej duszy do końca, a jak często ich życie jest ciągłą ofiarą, której nikt nie docenia. Uważam, że wydawanie za mąż bardzo młodych dziewczyn, które nawet nie mają świadomości samych siebie – to zabijanie w nich Boga. Zawsze jest mi ciężko, kiedy w pana książce czytam na ten temat, nawet staram się opuszczać te fragmenty, gdyż one przeszkadzają mi lubić pana jak człowieka, a tego nie chcę<sup>34</sup>. Proszę wybaczyć, wielce szanowny Wasylu Wasiljewiczu, jeśli napisałam coś nieprzyjemnego, ale co robić – przecież są to główne problemy mego życia. Proszę przekazać serdeczne pozdrowienia W. D., A. M. i całej pańskiej rodzinie. Pozostaję z szacunkiem i oddaniem – M. P. I-wa.

\* \* \*

850. No, i cóż robić, jeśli kobieta „pod”, a chevalier „nad”: każda inna pozycja niewygodna, niezręczna i zaraz jest zamieniana na „normalną”. Kobiety, które poszwały z Aspazją i Cebrikową, znowu wracają do „pozycji wyrażającej podporządkowanie”.

\*

Jakże nie uznać w tym” wielkiej metafizyki, jeśli nawet takie głupstwa, jak *situatio in actu*, podyktowały plan historii powszechnej – ściślej, tę podstawową w niej linię, że „Rzymianki były wierne mężom”, „Greczynki tępo rodziły dzieci” w swych legowiskach, chrześcijanki nie mogą wchodzić do prezbiterium, a ja czytałem w gimnazjum (książeczkę): „Comte, Mill (i jeszcze ktoś) o podporządkowaniu kobiety”.

(jadąc dorożką w deszczu)

\* \* \*

---

<sup>34</sup> Jakie to głębokie i ważne! Jakie piękne! Tysiące dziewczyn podziękuję swojej szlachetnej „siostrze” za tę spowiedź-obronę.

851. Rozciągliwa materia obejmuje przedmiot nierozciągliwy, *bez względu* na jego wielkość. Ona – zawsze jest „większa”...

Wąż grubości ręki, a największy grubości nogi, połyka koźlą.

Na tym bazują różne dziwne zjawiska. Także apetyt węży i kóz.

– Tak, oczywiście, nieco boli i ciasno, ale – poszło...

Wydaje się, że nie da się naciągnąć na dłoń rękawiczki leżącej na wystawie – taka wąska i „niewinna”. A da się, i dobrze obejmuje dłoń.

Istnieje metafizyczne ciążenie świata ku „mocnemu uściskowi”.

W „mocnym uścisku” Bóg trzyma świat...

Wszystko dąży nie tylko do wolności i „otchłani”, ale istnieje także całkowicie przeciwny apetyt – wejść na „wąską drogę”, drogę, która się zwęża.

(w tramwaju)

\* \* \*

852. To, co mocne, właśnie – to, co mocne – poszukuje wąskiej drogi. A „otchłań” – u staruszków, staruszek oraz w starczym wieku planety.

\*

Świat ożenił się ze staruszką: to rewolucja francuska i jej wszystkie trzy hasła.

\* \* \*

853. Kościół śpiewa: „Święty Boże, Święty Mocny...”

.....  
Coś błąka się w myślach, że te słowa już śpiewano, w czasie pogrzebu faraonów w piramidach.

.....  
Również inne określenia jakże podobne: „Potężny”, „Pan”, „Ojciec wszystkiego”, „Dawca życia”...

Co za starożytność.

\* \* \*

854. Cała historia *społeczeństwa* rosyjskiego w XIX w. wydaje mi się nieustannym szaleństwem.

(18 grudnia)

\* \* \*

855. Założyli mu *mundur*.

Ten mundur to czarna bluza, rzemienny pas i stalowy łańcuszek do zegarka, grubości prawie łańcucha dla psa („pies” na łańcuchu).

Tak ubrany, siedział on przy stole i pił herbatę. Był stary, słaby i siwy. Ponieważ był bezdzietny, w domu gospodarzyła krewna z zepsutymi zębami, też

zwolenniczka radykalizmu, ale nosząca złote binokle. Zawsze długo stoi w korytarzu, poprawiając swoje niemoce.

On długo pracował w departamencie liberalnego ministerstwa, miał 35 lat wysługi i otrzymywał emeryturę w wysokości 2 000 rubli.

On mówił, a słowa jego były jasne, wyraźne i przekonujące:

– Jak mogę określić mój stosunek do rządu? Jestem zbyt słaby, aby odwołać się do realnego protestu, który bym zastosował, gdybym był młodszy... gdybym był silniejszy. Ale jako obywatel i to szlachetny obywatel, byłbym winny, gdybym dopuszczał myśl, że jestem spokojny, że jestem zadowolony, podczas gdy kipi we mnie niezadowolenie. Zrobiłem, co było w mojej mocy: przeszedłem do Kościoła protestanckiego. Poszedłem do ich pastora i wszystko mu opowiedziałem. Pastor dał mi katechizm, abym mógł się zapoznać z nowym wyznaniem. Muszę powiedzieć, że podczas lektury ten katechizm wydał mi się godny uwagi i rozumny... Wszystko jasne, zdrowe – pod wieloma względami zdrowsze, niż u nas... Potem zostałem protestantem.

Pomilczał. My też pomilczeliśmy.

– Tym aktem dokonałem zerwania z rządem, którego nie mogę szanować nie tylko moralnie, ale także pod każdym innym względem.

Wyraźne, jasne, umotywowane. On sam siebie słuchał i, jak się zdaje, był z siebie zadowolony – odniósł się do aktualnej sytuacji społecznej.

Wszyscy milczeli, opuściwszy oczy.

„A emeryturka?”. Nie można jednak było tego powiedzieć prosto w oczy.

*(na ławie oskarżonych, 21 grudnia,  
proces w sprawie „Odosobnionego”.  
Ludzie z łańcuchami, którzy nie czytali  
książki, kazali usunąć niektóre strony,  
a mnie skazali na 2 tygodnie aresztu)*

\* \* \*

856. Niczego tak nie cenię u duchowieństwa, jak dobrego...

*(po powrocie z sądu)*

\* \* \*

857. Płodźcie święte nasienie, przecież naród zdziczał.

*(o wielodzietności duchowieństwa)*

Wszystkim matuszkom dałbym taki tytuł honorowy: „Jej Wysoko Błogosławioność” – po mężu, gdyż żony są przecież tytułowane według zawodu męża.

Matuszki należy bardzo cenić, one chronią wiarę.

*(po powrocie z sądu)*

\* \* \*

858. Właśnie to, właśnie to, Dymitrze Siergiejewiczu, pana **nigdy, nigdy** nie rozumieją ci, **z którymi**...

Pan wyczuł słowo „car”, a oni nie wyczuli... Ale zostawmy piekący obie strony postrach...

Pan *kiedyś* lubił Puszkina, no – i dobrze.

I nigdy, nigdy, nigdy pan nie obejmie świńskiego ryja rewolucji... Chyba, że ze względu na „złożoną taktykę”, której jednak nie rozumiem.

Mój przyjacielu: proszę objąć i pocałować Włodzimierza Nabokowa. Mdl! – No, a Grzegorza Pietrowa? Nie można? No, ale przecież jest to konkretny, dotykalny, a nie oszukańczy termometr odczuć skórnych. „Ideowo” może pan mówić, co pan chce, ale gdyby pana ułożyć w jednym łóżku ze „studentką” – to wypchnie ją pan nogą. Właśnie to – o wszystkim decyduje. Ale wczepi się pan w warkocz „popadii” i będzie z nią krzychał na swoje ulubione tematy, pokrzyczy do 4 rano, a w końcu połączy się z nią o 4 godzinie, jeśli tylko pan w ogóle jest zdolny do takiego połączenia (wątpię w to).

W tym rzecz, mój miły – „z kim możesz się połączyć”. A rozmowy – to po prostu głupoty, „tam”, „siam”, „i to, i sio”...

Jest pan *wykształconym, oświeconym człowiekiem*, nie pozornie oświeconym, ale wewnętrznie. Niech nawet będzie – głupi, zimny (jak i ja), kochający pieniądze (jak i ja), niech nawet obaj tkwimy w smrodzie, brudzie, grzechu.

Ale w panu jest *westchnienie*.

A w tych, którzy też są „wyuczzeni w uniwersytecie” i „piszą książeczki”, jak się zdaje, są do nas podobni, gdyż są nawet od nas bardziej czystszy, bezinteresowni, bez kochanek, „spłacają długi we właściwym czasie”, „nie są zadłużeni w sklepie”, a także mają inne cnoty...

Ale nie mają westchnienia.

To wszystko: ale – niebiosa otworzyły się i rozwarła się ziemia, na jednym skraju otchłani oni, a na drugim skraju otchłani – my.

My – święci.

Oni – nicość.

Złodzieje i święci, prostytutki i święci, przestępcy i święci. Oni są „w pełni porządnymi ludźmi” i już.

Struwe śpi tylko z żoną, a ja ze wszystkimi kobietami (założmy): a tymczasem on nawet nie jest mężem swojej żony i nawet nie jest mężczyzną, a – transparentem, na przykład, można „coś na nim napisać”, lub jest ciężarkiem na szali, „dzięki któremu można dobrze ważyć”. A ja – mimo wszystko jestem mężem, a pomimo „wszystkich kobiet” – najwierniejszym tylko jednej.

On „nikomu nic nie jest winien”, a ja tylko myślę, żeby komuś coś „zabrać” (założmy): a jutro-pojutrze mogę otworzyć światowy bank z uczciwymi kontami.

To wszystko – w „westchnieniu”... W „tchnieniu”, „duchu”. „Ludzie porządni” są po prostu nieuduchowionymi istotami – „linijka” i „transparent”,

„redaktor” i „kantora”: z tego nie da się zrobić ani królestwa niebieskiego, ani nawet banku światowego, albo też jakiegoś znośnego męża.

W moim westchnieniu jest wszystko. „Westchnienie” jest bogatsze od królestwa, bogatsze od Rothschilda, nawet jeśli chodzi o *pieniądze*: z „westchnienia” popłyną złote rzeki, i tron, i królestwo, i wszystko.

Westchnienie – historia powszechna, jej początek. A „porządny człowiek” jest porządnym człowiekiem, na którym wszystko się kończy i on sam jest już Śmiercią i Grobem.

„Prochem jesteś i w proch się obrócisz”...

Natomiast „westchnienie” – Życie Wieczne. Niegasnące.

Bóg przyjdzie do „westchnienia”: ale proszę powiedzieć, czy Bóg przyjdzie do porządnego człowieka? Jego można posłać jedynie do tych dwóch liter, przez które zakazano druku „Odosobnionego” i dlatego nie mam prawa pisać tych dwóch liter, ale mogę odesłać do tego, „co nie wydrukowane”.

No, Bóg z panem – do widzenia. Pan to zrozumie. Pan sam już wzdycha w duszy, wiem o tym.

*(przeczytałem o referacie Filosofowa  
i polemice ze Struwem, 22 grudnia)*

\* \* \*

859. Ocean – to kobieta. Łąd – to mężczyzna.

Burze i cisza, wilgoć i niebezpieczeństwo.

Moc, pierwotny byt i potop...

*(24 grudnia, jadąc do kliniki)*

\*

Żona swoim zapachem wchodzi w męża i sprawia, że on cały nią pachnie, jak i cały dom.

\*

Bismarck, który powiedział, że „Teutończycy to – mąż, a Słowianie – żona” (co ma być jakoby „nawozem dla kultury niemieckiej”), nic innego nie stwierdził poza tym, że kiedyś Niemcy zostaną zalane rosyjskim smrodem, rosyjskim błotem, rosyjską mętami, rosyjską knajpą. Wszędzie pójdą „rosyjskie kobiety” i „rosyjscy studenci”, z anarchią, „kolektywnymi” łózkami i piętami.

Wspaniale.

Rozanow z zadowoleniem postawi kalosze na tronie Hohenzollernów, splunie w stronę gronostajowego płaszcza i wszystko przykryje swym chałatem.

\*

Widziałem pewnego Niemca z Saksonii, bardzo uczonego, ożenionego z „rosyjską (jak sądzę) studentką”. On chodził po pokojach na palcach, a gdy ona tylko powiedziała:

– Fryc! Pora do domu! –

natychmiast przerwał uczone rozmowy na temat chemii, poszedł do przedpokoju i założył jej kalosze. Bardzo pięknie „podniosła nóżkę” (podstawiła w celu założenia kalosza).

Ona nie była dobra, było w niej coś drażniącego. Ale jak on pobiegł za tym czymś „drażniącym”...

Potem słyszałem, że ona się pudruje i maluje. Ogólnie – pełne świństwo. Przyjęła jego cudzoziemskie obywatelstwo, a on sam został w Rosji i nawet przeniósł się do Moskwy.

\*

Znałem jeszcze dwóch Niemców, na wysokich stanowiskach, ożenionych z Rosjankami. Byli to panowie godni, aktywni i bogaci. Rosjanki nic nie robiły (bardzo „utalentowane”): i znowu, jaka głęboka pokora tych Niemców wobec rosyjskich bab!

\*

A wszystko – zapach.

\*

Jak Szperk kochał swoją Annę Ławrowną! Co za pokora! Ona, jak się zdarzało, nie powie ani jednego słowa, ciągle coś szyje lub dzierga. Szczupła twarz, wysoki wzrost i bardzo duży biust.

„Nic szczególnego”.

On stał się słowianofilem. Zmienił przekonania. Zachwycał się, gdy jakiś chłop zrzucił kapelusz i złamał parasol panu na Newskim, gdy przejeżdżał car i zawołał: „Ty mi zasłaniasz cara!”

O żonie mówił:

„Ania – niezauważalna i miła”.

Ona skończyła 4 klasy gimnazjum. Jak się zdaje, nie bardzo zapamiętała „kurs lekcji”.

Ciągle szyła. I „przyszyła” do siebie ciało męża, jego duszę, jego biografię, „wszystko”.

„Nie ma Szperka, a jest Anna Ławrowną”.

Właśnie za to tak szaleńczo go kochałem („wyrzeczenie się siebie”, „egoizmu”, pychy i miłości własnej).

\* \* \*

860. Styl jest wtedy, gdy Bóg pocałuje rzecz.

(25 grudnia, Boże Narodzenie)  
(u mamy, w klinice)

\*

Patrzę na świat jakimiś zamglonymi oczyma. Nic nie widzę.  
I paralelnie we mnie wieczna zabawa. Ognie. Błyski. Rozmowy.  
Szum narodów. Szum balu.  
I jak krople rosy skądś padają łzy.  
To moja dusza płacze nad sobą.

(przy łóżku chorej mamy)

\*

Rzeczy stylowe są rzeczami doskonałymi.  
I dlatego już są martwe. I dlatego nie są wieczne.  
Dlatego, że nie mogą się zmienić. Zawsze są takie same.

\*

Równocześnie styl jest czymś zewnętrznym. Jest to powierzchowność rzeczy. Skóra rzeczy. Ale przecież człowieka całujemy w usta i nikt nie pomyśli, że trzeba go pocałować w jakże ważne i potrzebne serce.

(w klinice, u mamy, wieczorem 25 grudnia)

\* \* \*

861. Struwe ostrożnie, krokami długości jednego werszka – myślę, że nie jest szczery w tej ostrożności – podchodzi do tezy, która nadciąga jak obłok na nas wszystkich: **Należy uznać rząd**.

Troska o Południe, o narody bałkańskie, o „interesy na Morzu Czarnym”... Ostatecznie – odrodzone przez Rosję, to znaczy *in concreto* przez **rząd rosyjski**, życie narodów bałkańskich: Proszę powiedzieć, jaką rolę odegrały w tym wszystkim „listy Bielinskiego”, „Michel” (Bakunin), Hercen z jego „Natalie”, Czernyszewski, piszący z małej litery „Ty” do swojej żony, i cały ten galimatias, cała ta, zaiste, życiowa trywialność, wszystkie te drobiazgi, do tego stopnia małe, że nie można ich zobaczyć pod mikroskopem – cała nasza literacka „obywatelskość”, która nie przekroczyła ram „Jak pokłócił się Iwan Iwanowicz z Iwanem Nikiforowiczem”. Nawet znaczące przemówienia Iwana Aksakowa i Komitety Słowiańskie – galimatias i galimatias, nikiący w swej drobiazgowości wobec faktu: „Ten batalion wreszcie świetnie strzela”.

„Ten batalion świetnie strzela” – oto cała istota, oto ciężarek na wadze świata, wobec którego „Listy Bielinskiego do Hercena” nie są ważniejsze od „Listów Szponki do cioci” (u Gogola). Proszę popatrzeć, w jakiej pozie stoi Bielinski ze swoimi „listami” przed tym batalionem, a nie tylko Bielinski, a także rozsądny (teraz) Struwe z jego artykułikami i „my” wszyscy, „my” – a zresztą i „oni”, „oni” – gdyż ja zdecydowanie do tych wspaniałych „listów” nie przynależę.

Dawno już stała mi się głęboko obca ta chełpliwa i podła poza, w której społeczeństwo skręca się na widok „marnego” **rządu**, którego „marność” polega na tym, że zajmował się **sprawą**, a przy tym sprawą takich rozmiarów, do

których świńskie społeczeństwo zdecydowanie nie miało sił podnieść swój chrząkający „ryjek” (koniec mordy). Społeczeństwo rosyjskie miało właśnie nie *oblicze*, a mordę, nie miało duszy, a świński ryjek, co w niczym się tak doskonale nie wyraziło, jak w najpodlejszym z podłych stosunkiem do **swojego rządu**, który społeczeństwo przez cały wiek biło po twarzy za to, że rząd nie czytał „listów Bielinskiego” i nie rzucił batalionów w obronie „listów Bielinskiego”.

Jednak z „**listami Bielinskiego**” i żoną Czernyszewskiego, gdyby na nasze podobieństwo nurzało się w nich, powtarzając

Ach, żono, ty żono,  
Ach, niebiańska ty moja, –

to Bałkany pozostałyby, oczywiście, Bałkanami, Serbia byłaby wioseczką u stóp Austrii, dziewczyny bułgarskie szłyby do haremów tureckich, mężczyźni bułgarscy ocieraliby łzy... A sam Struwe, **SAM** całuje pięty i kolana podłego Żelabowa, uważa go za geniusza politycznego”, a nie za chępliwca-chłopa, którego w soboty należałoby douczać w gimnazjum, a przy braku poprawy po prostu powiesić, jak zadżumionego szczura wyrzuci się ze statku... Cóż to takiego, cóż to za mieszanina **Szaleństwa** i **Podłości**, że kiedy zabito Aleksandra II, który swoją **Pracę** i **Pot** oddał Bałkanom, ten sam Struwe nie wyciśnie z siebie ani jednej łzy za cesarza, nie powie ani jednego słowa nad jego grobem, a pochlebco i jak lokaj przysiadła przy Żelabowie, zdejmuje mu buty i myje mu stopy, jak pańszczyźniana dziewczyna swojemu rozczapierzonemu panu?

Tak, od czasów dekabrystów, a nawet już od czasów Radiszczewa **Społeczeństwo** rosyjskie nic nie robiło poza pisaniem „listów Szponki do swojej cioci”, a wszyscy ci „Herceni i Bielinscy” ćwiczyli się w kaligrafii znacznie mniej pożytecznej i głupszej, niż Akakij Akakijewicz...

Ten rękopis pisał  
I treść onego nie pochwalił  
Piotr Zudotieszyn.  
Piotr Zudotieszyn.  
Piotr Zudotieszyn.

Oto „dzieła wszystkie” Hercena, Bielinskiego i ludzi „lat sześćdziesiątych”.

### **Batalion i Elewator.**

Ale kto je budował? Aleksander II i Kleinmichel. Tak, ten rzeźnik, którego przyszło carom wziąć w czarny czas historii – dlatego, że własne społeczeństwo, że **sami** Rosjanie wszyscy ukryli się w „liście cioci do Szponki”, w czarującej Natalii i w całym onanizmie literackim. Onaniści – oto właściwe określenie tego społeczeństwa i tej literatury. Onaniści pod watowaną prowincjonalną kołdrą, uszytą z „kawałków”, które potnieją i zajmują się swoimi nikczemnościami, oddając się fantazjom nad rozebraną popadają.

O, jacyż to powiatowi czuchłomscy zadzumieni, ci rosyjscy **socjaldemokraci**, wszyscy ci znakomici **Marksieści**, wszystkie te „**Listy Bakunina**” i ciągle wytrzeszczający oczy HERCEN. Czuchłoma. Wietługa, trywialna popadia – i nic więcej. Nikomu nie są oni potrzebni. Po prostu są – do niczego.

Ta zapocona Czuchłoma, przeoczyła pod swoim nosem **Aleksandra II** i **Kleinmichela**, którzy stworzyli **Ermitaż**, stworzyli **Bibliotekę Publiczną**, stworzyli **Akademię Sztuk Pięknych**, stworzyli jednak **8 uniwersytetów**, które jeśli nawet są g...ne, to już nie z winy Kleinmichela i Aleksandra II, którzy są winni jedynie za to, że nie wychłostali skurczonych profesorów, jak należałoby.

– **Bacność, zapocone nasienie** – taki należałoby im wydać rozkaz.

– Wyłazić spod kołdry, wymyć się w studziennej wodzie i marsz dokonać z **NAMI historyczną sprawę** wyzwolenia Słowian i budowy elewatorów.

W tym momencie dokonuje się okrutna rozprawa ze słowianofilami:

– Ech, wszystko to – **BEŁKOT**, wszystko to – „Ptaszek Boży nie zna”, podczas gdy w Rosji

**Nic nie ma.**

**Elewatorów nie ma.**

**Zboże gnije na polach.**

**Niemiec lub Japończyk jutro zetrze nas z oblicza ziemi.**

– Profesorów do wojska!

Tak, to jest właściwy rozkaz, którego, choć retrospektywnie, należy oczekiwać jak manny z nieba...

Boże mój! Cały wiek pasożytnictwa i takiej chełpliwości.

W „Rzeczach minionych i rozmyślaniach” o zadzumionych szcurach opowiedziano „20 tomów”, czego nie opowiedziano o *całej* wojnie Rosji z Napoleonem, a tym bardziej o „wszystkich elewatorach” w Rosji, ani o Susaninie, ani o wszystkich „Iwanach”, którzy budowali Ruś i wyzwalali ją z niewoli tatarskiej.

Zaiste, carowie rosyjscy w XIX w. powtarzali wysiłek pierwszych carów moskiewskich – w warunkach niesprzyjających budowaniu czegokolwiek, a nawet zbierania i uchronienia czegokolwiek. W „niesprzyjających warunkach”, to znaczy, kiedy społeczeństwo nic nie robi i znajduje w tym powód dla swojej chwały.

Szaleństwo, szaleństwo, szaleństwo: szalone społeczeństwo.

Co tłumaczy i Arakczejewa i wybuchy okrucieństwa w rządzie rosyjskim:

– **Dlaczego wy nic nie robicie?**

O Arakczejewie ciągle krzyczą, że odgryzł komuś nos. Załóżmy, że odgryzł, ale z tego powodu cała Rosja nie została pozbawiona nosów i nie stała się „beznosa”. Podli: szlajając się po domach publicznych straciliście nie jeden „nos”, a 100 nosów, 1 000 nosów, powiadają, że nawet sam „finansista” nie ma nosa, a gdyby we właściwym czasie **Zwierz-Arakczejew** posłał do diabła te...,

to tenże **Zwierz-Arakcejew** uratowałby 1 000 nosów, a 1 000 nosów można zamienić na jeden odgryziony nos. Należy.

### **ŻELAZO.**

Tym żelazem był „Siła Andriejewicz”, którego czepiają się jeszcze za „Natalię”, chociaż „oburzony tym faktem profesor” sam lezie w nocy do swojej „Paraskiewy”, do kuchni, pod watowaną kołdrę. Przecież są to „światowi kochankowie”, a nie jest to cecha jednego tylko Arakcejewy.

**JEDEN** Arakcejew jest znacznie bardziej ważną i znacznie bardziej **TWÓRCZĄ**, a tym samym bardziej **LIBERALNĄ** („**ruch NAPRZÓD**”) Osobą, niż wszystkie marności 20 tomów „Rzeczy minionych i rozmyślań”, z Michajłowski – „dozorczą”, Trigoni i wszystkimi powieściami i bajkami o „wybuchu w Pałacu Zimowym”. „Kołokoł” Hauptmana – dzwoni nim Arakcejew, a nie Trigoni; Schiller i Shakespeare – pisali o Arakcejewie, a nie o Żelabowie. Poezja, filozofia historii rosyjskiej, jej święte miejsce – a znajduje się pod nogami...

...strasznie i łzawo powiedzieć, ale jak nie powiedzieć, patrząc na całe Bałkany, na **ODRODZENIE** 18 milionów ludzi, że

...ta święta ziemia Rosji – pod nogami, powiemy to okropne słowo,

### **KLEINMICHELA.**

Tak. Luteranina i Niemca. Urzędnika, urzędasza. Nędznej duszyczki, która jedynie umiała się podporządkowywać.

Ale podporządkowywała się bez szemrania i idiotycznie, bez szemrania, jak latający w niebiosach anioł –

### **CAROWI,**

który sam jeden wszystko wykonał. Oto odpowiedź na „Historię literatury rosyjskiej”.

*(czytając artykuł Struwego na temat Bałkanów, grudzień)*

\* \* \*

862. Dziękuj za każdą chwilę istnienia i uwieczniaj każdą chwilę istnienia.

*(dlaczego piszę „Odosobnione”)*

Sens – nie w tym, co Wieczne, sens – w Chwilach.

Chwile są wieczne, a Wieczność jest jedynie ich „oprawą”. Mieszkanie jest dla lokatora. Chwila – to lokator, chwila – to „ja”, Słońce.

\* \* \*

863. Świat żyje wielkimi oczarowaniami.

Świat zresztą jest oczarowaniem,

I „kręgi” historii, i epicykle planet.

\* \* \*

864. Bóg jest chętny do świata. A świat jest chętny do Boga.

Oto religia i modlitwy. Świat „przyczesa się” przed Bogiem, a Bóg mówi („Księga Rodzaju”, 1) „jakie to dobre”. Każda rzecz i każdy dzień.

Świat trochę „czaruje” Boga: i oddał swego Syna Jednorodzonego za świat.

Oto tajemnica.

Ach, nie wystyga, jeszcze nie wystyga świat. Tak się tylko wydaje. Jego istotą jest gorąco, jego istotą jest – miłość.

I smukły kwiat. I płonące policzki. I piersi świata. I tajemnice jego łona.

I maleńki Rozanow, który gdzieś się tuli przy jego piersiach. I wiecznie ssie z nich mleko. Lubię ten sutek świata, smukły i wonny, z włoskami wokół niego. Moje ręce obejmują prężne piersi i na mój temat Głowa świata ma jakąś mglistą wiedzę i strzeże mnie.

I daje mi mleko, a w nim mądrość i ogień.

Dlatego kocham Boga.

(24 grudnia 1912 r., u mamy w klinice)

## EMBRIONY

865. – Co robić? – zapytał niecierpliwy młodzieniec petersburski.

– Jak to, co robić? Jeśli jest *lato* – to zbierać jagody i przygotowywać konfitury, a jeśli *zima* – to pić z tymi konfiturami herbatę.

\* \* \*

866. Życie Zachodu przebiega według praw liryki, natomiast życie rosyjskie – w formach eposu. Kiedyś Rosja też wejdzie w formy liryki.

Problem Czernyszewskiego, postawiony w tytule jego powieści, jest problemem typowo lirycznym, nie na czasie, można na niego dać jedynie odpowiedź bytową: należy robić to, co robiono wczoraj wieczorem.

\* \* \*

867. Lata sześćdziesiąte nie poznają siebie samych w dekadentach i symbolistach: to rehabilitacja ciała, co stało się możliwe po 30 latach „wolności”; to tryumf „osoby” nad środowiskiem, to – „dzieci”, które nagle okazały się impotentami i nie mogą urodzić wnuków.

Kara nastąpiła zbyt szybko po przestępstwie.

\* \* \*

868. Doskonałość formy jest cechą upadających epok.

\* \* \*

869. Kiedy naród umiera – pozostawia same formy: to – szkielet jego ducha, jego twórczości, jego ruchów wewnętrznych i zewnętrznych. Republika, monarchia – czyż nie są to formy? Tragedia, epos, „jamb trzyczłonowy” – czyż nie są to formy? Czyż formami nie są Partenon, jak i Dziewiąta Symfonia? A w końcu, metafizyka Platona lub Hegla?

Właśnie dlatego, kiedy naród kończy swoje istnienie – formalna strona wszystkich tworzonych przez niego rzeczy zbliża się do swojej doskonałości.

\* \* \*

870. XIX w. jest wiekiem *lubującym się* swoim upadkiem; jest mu w najwyższym stopniu właściwe uczucie Sardanapala płonącego na swoich bogactwach i ze swoimi żonami.

\* \* \*

871. Geniusz przeważnie jest *bezdzienny* – jest to jego głęboka i, być może, wszystko *wyjaśniająca* cecha. On nie może rodzić i, kto wie – czy w ogóle jest mu to potrzebne? On jest w pewnym sensie *Ding an sich*.

Jako narzędzie, jako nędzny środek, jako ziemską stronę tajemnicy niebiańskiej – anomalie płciowe często występują u geniuszy: pociąg do nierządu, wczesny rozwój płciowy, „wady dzieciństwa”.

Lermontow i Byron w wieku 11-14 lat doświadczają miłości; jakie *to* jest kalekie i jak genialni są *oni*. Rafael i Aleksander Macedoński byli bezdzietni, bezdzietnymi byli też Cezar i Newton.

Potomstwo geniusza, jeśli nawet ono jest – słabe i szybko umiera; przeważnie jest to – *żeńskie* potomstwo. Przypomnijmy sobie Napoleona I i cara Piotra Wielkiego. Jest to zarazem wyjaśnienie faktu, dlaczego po *genialnych* władcach dynastie przeważnie kończą się i następują „rokosze”.

\* \* \*

872. W *Dzienniku* Amiela, tak wonnym, subtelnym, głębokim, tak szlachetnym, występuje dziwny brak, który nie został zauważony: straszna *pasyność* autora – brak żądz, a tym samym buszujących w nich emocji. Hrabia Tołstoj porównał *Dziennik* z książką Marka Aureliusza – ale nie jest to pochwała, jak on sądzi. Obie książki są dziełami epoki zmięczenia, jesieni – są utworami tego okresu w roku, kiedy soki w ludziach-roślinach nie biegną ku górze, nie pobudzają ludzi, ale dążą do dołu, do ziemi i w ziemię.

W wypadku Amiela jest to otchłań rozumu, krytyki i – żadnej twórczości. Jest to – zapach śmierci. Po przeczytaniu każdej strony ma się ochotę zapytać: Ile dni życia pozostało jeszcze jej autorowi?

Żona Marka Aureliusza nie była mu wierna, a Amiel, jak się wydaje, nie odważył się ożenić. Są to ludzie, którzy potrafili pozostawić po sobie jedynie piękny „Dziennik” *pośmiertny*. Jeden był znudzonym, smutnym imperatorem, a drugi – jeszcze gorszym uczonym i profesorem, bardzo bojaźliwym i nietowarzystkim.

Cóż za przeciwieństwo – Busłajew, aż do starości odważny i żywy, z tłumem gorących uczniów, którzy roznieśli słowa nauczyciela po Rosji i zastosowali jego myśli do różnych dziedzin wiedzy; cóż za przeciwieństwo – Piotr Wielki, „kapitan rotty bombardującej”, poszukujący w Lipiecku złóż żelaza, budujący na północy statki, spotykający jako pilot pierwszy holenderski statek na Newie. Każdy jego krok był czynem, każdy ruch był faktem historycznym... To ludzie rodzący nowe epoki, w „wodach”, we krwi, przy krzykach materii i jej konwulsyjnych drgawkach – rodzi się wspaniały chłopak. A tu czujemy jedynie zapach namaszczonego trupa...

Wieczny im odpoczynek, ale chcemy ich czytać wyłącznie przed śmiercią.

\* \* \*

873. Cały świat jest grą możliwości. Chcę powiedzieć – grą pewnych embrionów, duchowych lub fizycznych, martwych lub żywych. Trójkąt jest połową kwadratu, przeciętego w określony sposób, co kształtuje jego cechy, możliwość dokonania pomiaru, relacje do innych figur. Ziemia jest „pierścieniem Saturna”, który oderwał się od Słońca, rozerwał się, skłębził – i dlatego ciąży ku Słońcu. Każda rzecz jest częścią niezliczonych innych rzeczy, ich embrionem, tworzącą je potencją – i dlatego tylko ona wchodzi w relacje z tymi rzeczami, wiąże się z nimi, a od innych, przeciwnie, jest odpychana. Dlatego też mówię, że życie przyrody jest życiem embrionów, prawa życia są prawami embrionalności, a cała nauka, to znaczy wszystkie i wszelkie nauki są jedynie gałęziami pewnej kosmicznej embriologii.

\* \* \*

874. Co nazywamy „mistycznym”? – Przede wszystkim to, co jest *niejasne*, ale takie – w czym czujemy głębię, chociaż nie możemy jej ani zbadać, ani udowodnić. Następnie „mistycznym” nazywamy to, w czym podejrzewamy odblask – ukośny, przełamane światła Bożego, a w końcu i to, w czym domyślamy się prażywiołu w stosunku do wszystkich rzeczy.

Na przykład uderzenie kamieniem – nie jest, oczywiście, mistyczne, ale śmierć będąca tego wynikiem – w pełni mistyczna. Ona jest mistyczna jako *akt*, a nawet jest mistyczna jako moment w losie człowieka, jako jego możliwe ukaranie za grzech.

Można powiedzieć, że to, co mistyczne, nie tyle jest w przyrodzie, co w samym człowieku: można patrzeć mistycznie na wszystkie rzeczy, wszystkie zjawiska, ale można też patrzeć – naturalnie. Kamień spadł na człowieka i

człowiek zmarł: to czysty naturalizm, ale dlaczego spadł na *tego* człowieka – to już jest mistyka.

W naturalizmie człowiek i pies są podobni: pies też został uderzony i zawył, a jeśli silniej uderzony – zmarł. Nie ma żadnych pytań. Ale człowiek nigdy nie chciał się do tego ograniczać i stawiał pytania: tu „zaczyna się” człowiek.

\* \* \*

875. W nocy rozbłysła błyskawica: deska została przez nią *oświetlona*, pies – *zadrżał*, a człowiek – *zamyślił się*. Trzy granice bytu, które na próżno próbowalibyśmy zmieszać.

\* \* \*

876. Wszyscy geniusze dążą do tego, co jest ponad światem. Czyż nie jest uprzedzeniem tej cechy to, że wszyscy ludzie ciążą do tego, co jest niezwykle, dziwne, a nawet przerażające. Pies nie dąży do tego, co jest straszne, a jedynie ucieka. Człowiek też ucieka, ale ogląda się i interesuje się tym. Oto *główna* cecha człowieka.

\* \* \*

877. *Szukam rękawic – a obie mam za pasem*. „Straszne jest to, że nie ma nic strasznego” – powiedział smutny Turgieniew. Zauważył w sobie to, za czym tęsknił. Dlaczego nieustraszonosc była dla niego straszna – czyż nie jest to straszna tajemnica duszy człowieka, jego duszy? Widzę dzień, ale pragnę nocy, tęsknię za nocą. Widzę całe życie wyłącznie jako dzień – i pytam, *nigdzie nie widząc i nigdy*, „dlaczego nie ma nocy? Gdzie jest noc? Jest mi straszno i przykro bez nocy”. Czyż nie jest to *czarnowidztwo* – straszna tajemnica, znacznie bardziej straszna, niż wszystkie przerażające sztuczki kuglarskie? „Pieśni tryumfującej miłości”, którymi w przeczuciu niewidzialnej nocy on bawił się w starości?

To jest właśnie – przerażająca noc, wszystkie nasze lęki są uzasadnione – gdyż noc nie jest wymysłem, nie jest fikcją, ona *jest*. To stąd lecą na nas sny; w snach jest pewna względna prawda, chociaż jest też, oczywiście, skażenie wnoszone przez naszą wyobraźnię. Zwracając się tutaj, ku nocy, modlimy się, przerażeni, wstrząśnięci, nasze serce zamiera, przyciskamy się jeden do drugiego... To jest – Kościół.

Wszystkie tajemnice religii – stąd. Niegdyś stąd zadźwięczało: „Nie lękajcie się...”, rozległa się „Dobra Nowina”.

Wczoraj przerażeni – dzisiaj wzruszeni. Oto Ewangelia i Biblia.

\* \* \*

878. Poczucie Boga jest w człowieku najbardziej transcendentne, najdalsze, najtrudniej osiągalne. Jedynie najsilniejsi ludzie i to przez doświadczenia, bóle, cierpienia, a najbardziej przez grzech, często dopiero na starość, osiągają te wysokości – ledwo i jedynie częstką swego rozwoju, jedną gałązką dotykają „innych światów”, a inni tylko pośrednio – pod warunkiem czystości duchowej – osiągają drugą strefę: to – Kościół. Ci, którzy dotknęli „innych światów”, ojcowie świata chrześcijańskiego, pozostawili słowa opisujące owo dotknięcie, a słowa te ułożyły się w obrzęd, rytuał, wyrosły jako obyczaj, jako instytucja; kanon okrzepł, powstała liturgia, zbudowano świątynię. Powstała masa materialnych świętości, zawartych w formach czasu i przestrzeni, spoczęła na nich światłość Boża, jak święty spoczywa w swoich relikwiach. W tym wypadku każdy może dotknąć. Jest to środek zbawienia, dostępny dla wszystkich.

Ale ręce ludzkie nie dotykają tej największej świętości całej ludzkości. Naruszenie czegoś, zmiana, poprawienie, a nawet polepszenie (bez wiedzy o „innych światach”) – jest większym przestępstwem, bardziej przerażającym, niż wywołanie krwawej wojny, zawarcie hańbiącego pokoju, oddanie wrogowi przez zdradę części kraju. Wprowadzenie złego programu dla seminariów, zlikwidowanie stanu diakońskiego – jest gorsze, niż nieudana bitwa pod Sewastopolem, niż podpisanie traktatu paryskiego, a nawet, niż „odrodzenie Polski”.

Oj, ci naprawiacze tajemnej i żywej historii!

\* \* \*

879. Często porównuje się stoików z chrześcijanami i przeprowadza paralele między ostatnią filozofią pogańską i nową „Dobrą Nowiną”. Tymczasem nie ma nic bardziej sprzecznego, nawet epikureizm jest bliższy chrześcijaństwu.

Stoicyzm jest zapachem śmierci, a chrześcijaństwo – potem, bólem i radością rodzącej matki, krzykiem nowonarodzonego dziecka. „Zawsze radujcie się” – powiedział Apostoł. Czy mógłby powiedzieć to jakikolwiek stoik? „Dzieci moje, strzeżcie tradycji” – czy to jest język umierającego Rzymu? Chrześcijaństwo – bez zuchwałości, bez wina i upijania się – jest nową wesołością, zadziwiającą lekkością ducha, żadnego smutku, nic ciężkiego. Asceci i męczennicy byli weseli, jedni na pustyni, inni idąc na męki. Jakiś potok wewnętrznej radości był nawet w męczennikach, nawet w chwili męczeństwa spędzał z ich twarzy cień ciemności...

Ojciec Ambroży z Optino i Jan z Kronsztadu – najlepsi i najbardziej typowi z chrześcijan, jakich mogliśmy obserwować – obaj niezwykle świetliści, radośni, pełni życia. U ojca Ambrożego prawie tylko żarciki, przypowiadki – w listach i rozmowach, a twarz ojca Jana jest wszystkim znana – sama radość.

Stoik – mówimy to, gdyż chrześcijanin nie może nie śmiać się szczerze nad nim – *fait bonne mine à mauvais jeu*. On opanowuje się, wysila, napina, zupełnie nie rozumiejąc w jakim celu.

Położywszy rękę na ramię stoika, chrześcijanin mógłby pośmiać się z niego: „Stoik – oto wino falern! O czym myślisz?” Być może, on wybiłby jemu kielich z ręki, ale nie potrafiłby nic odpowiedzieć.

Istnieje nieuchwytna i subtelna cecha, łącząca stoików z faryzeuszami: jedni i drudzy żywią odrazę w stosunku do świata: jeden ucieka od świata do wanny i podcina sobie żyły, czytając „Fedona”, a drugi odchodzi na bok i zaczyna się modlić.

\* \* \*

880. Nie wystarczy dostatecznie akcentować fakt, że chrześcijaństwo jest radością, tylko radością i zawsze radością.

„My jesteśmy z Bogiem” – czyż to nie jest odczuciem chrześcijanina? Gdzie tu zniechęcenie?

\* \* \*

881. Porównywano chrześcijaństwo z buddyzmem: „W obu religiach – te same cnoty”. Tak, to prawda, ale wady są inne:

„Ducha zaś... zniechęcenia zabierz ode mnie”.

– oto modlitwa chrześcijanina. Buddysta natomiast modli się – a raczej nie modli się, a milczy, w wiecznym zniechęceniu.

Istnieje też inna cecha zbieżna i przeciwstawna między buddyzmem i chrześcijaństwem: buddyzm jest światowym pesymizmem i jest ateizmem. To głębia duszy człowieka, ujawniająca się w tym: Bóg jest radością, bez Boga – zniechęcenie.

\* \* \*

882. Cała tajemnica prawosławia – w modlitwie i tajemnica bycia prawosławnym zawiera się w umiejętności modlenia się.

Przyznajmy się, odczuwamy odrazę za każdym razem, gdy zaczyna się rozmowa o cesaropapizmie lub papocezaryzmie. Gdy stoisz w świątyni i widzisz modlących się – jak w takiej sytuacji można stosować te pojęcia: czy modlący się są cesaropapistami, czy też papocezarystami? Wszystko to – interesujące nas tematy, ale interesujące jedynie wtedy, gdy przestaliśmy się modlić.

\* \* \*

883. Wysiłki, żeby wygłaszanie kazań w cerkwiach uczynić czymś normalnym, a nawet obowiązującym, nie podobają mi się: czy to w ogóle jest

coś prawosławnego, a na pewno nie ma nic wspólnego z ludem. Są to – protestanckie wysiłki wokół prawosławnej świątyni.

Liturgia prawosławna już jest kazaniem. Przecież kazanie jest nauczaniem, a liturgia jest pełnym kręgiem nauczania, poza którym człowiek niczego już nie potrzebuje. O co – w przepięknych litaniach – modli się diakon, a z nim lud? O niczym nie zapomniano: ani o grobie, ani o żeglujących, ani o zwycięstwie władcy, ani o pokoju dla świata, ani o sprzyjających warunkach atmosferycznych. „My, którzy Cherubinów” – czyż nie jest to nauczanie? „Odłóżmy teraz wszelką życia troskę” – cóż za nauka, jakież wezwanie może się z nią równać? Okadzenia, dokonywane przed ikonami, modlitwy kapłana – wszystko jest przeniknięte sensem i pięknem.

Ciągłe i obowiązkowe kazania są zrozumiałe w opustoszałych świątyniach protestanckich. W tych świątyniach wszystko jest wyzute z sensu, poezji nauczania; jeśli nie będą śpiewać psalmów, pastor nie będzie mówił kazania, a organy nie będą grać – wszyscy zasną. Co innego mogą zrobić? Niczego nie ma – po prostu nie ma liturgii. Lekcja i koncert stanowią istotę protestanckich zgromadzeń religijno-społecznych i dlatego łatwo zrozumieć, że oni z takim uporem trzymają się resztek zniszczonego Kościoła. Natomiast w prawosławiu długie i nieumiejętne kazanie jedynie ukryje piękno i istotę samej liturgii.

Lud nie bardzo lubi kazania: obecni w cerkwi przy pierwszych słowach kaznodziei – połowa wiernych przesuwa się w stronę prezbiterium, a połowa idzie ku wyjściu. Stojący w pierwszych rzędach starają się niezauważalnie dostać do wyjścia.

Co w takim razie całą cerkiew gromadzi w jeden zbity tłum? To – *akatyst*. Akatyst jest wyłącznie modlitwą, ale żadna część liturgii nie wywołuje takiego wzruszenia, żaru, a u wielu – łez, jak akatyst do Jezusa lub do Matki Bożej. Oto, co jest – ludowe i prawosławne. „Policzki jej płonęły i arcykapłan widząc to, pomyślał: Czy ona jest pijana?” – uważne spojrzenie zawsze zauważy jednego, dwóch, trzech tak właśnie modlących się w czasie akatysty. Wszyscy klękają – o, to jest prawosławny zwyczaj. Wielu wiernych zna akatysty na pamięć i przed kapłanem szepcze słowa, słowa – zawsze odnoszone do siebie... Widać tyle osobistych, rodzinnych tajemnic w płonących oczach, w duchu to skruszonym, to weselącym się.

Można powiedzieć – akatysty wychowały Ruś.

\* \* \*

884. Najniebezpieczniejsza strona w chrześcijaństwie XIX w. – ono zaczyna być retoryczne. Jest to zauważalne nawet w stylu, nawet u trzeciorzędnych pisarzy. Nie ma apostołów – są „galilejscy rybacy”; nie ma Jezusa Chrystusa – jest „Boski Nauczyciel”. *Génie de christianisme* Chateaubrianda jest znacznie mniej chrześcijańskim utworem, niż *Pucelle* Woltera – napisane w znacznie mniej chrześcijańskiej epoce. To, że przeciwko

chrześcijaństwu kierowano kpiny, ironiczne uśmiechy, bezczelność – znamy to od pierwszych dni nowej religii. Natomiast to, że sami chrześcijanie zaczynają rozumieć swoją wiarę retorycznie – jest to zjawisko ostatnich czasów.

Dlatego raskolnikom tak dobrze z „Isusom”. Być może, oni jeszcze zbawią świat, ze skarbem wiary, w nich ukrytej; tym lepiej, że oni są „nieociosani”: pozostali tak gorliwie „ociosywali samych siebie” w historii, że już nic nie zostało, ociosali nawet rdzeń samych siebie.

\* \* \*

885. Nie ma bardziej *oszukańczej* rzeźby, niż „Mojżesz” Michała Anioła: *takiego Mojżesza nie było* – to fantazja artysty, jego myśl *a priori*, ale błędna.

Mojżesz jąkał się. *Autor* ksiąg, którym równych nie zna świat, *nie mógł* mówić. Czyż nie jest to zdumiewające? Cała moc *słowa* skoncentrowała się w duchu, a dla cielesnego języka, dla tego bełkoczącego kawałka mięsa – nic nie zostało.

Poza tym on wyprowadził lud izraelski z Egiptu i przeprowadził go przez pustynię, doprowadził do „Ziemi Obiecanej”. Zadziwiający człowiek! Jakże słuszne, *przenikliwe* są słowa Heinego: „Jakże mały jest Synaj, gdy stoi na nim Mojżesz”. Są to słowa największego zachwyty, wypowiedziane pod adresem Mojżesza, jakie tylko znamy, które wyrwały się z ust pisarza-poganina w pogańskiej epoce.

Myślę, że – Mojżesz był mały i chorowity, być może, bez brody lub z rzadkimi włosami na podbródku. Myślę, że w swoim ciele on był tak samo niemy w stosunku do swoich dokonań, jak był niemy w języku w stosunku do napisanych przez siebie ksiąg.

On cały jest w sobie, skoncentrowany. Bez wątpliwości, on był piękny, jak nikt z ludzi – nikt przed Chrystusem, ale jest to piękno nieuchwytne, nie do przekazania, a w każdym bądź razie nieprzekazane.

Michał Anioł pomylił się i oszukał innych.

## EMBRIONY

865. – Co robić? – zapytał niecierpliwy młodzieniec petersburski.

– Jak to, co robić? Jeśli jest *lato* – to zbierać jagody i przygotowywać konfitury, a jeśli *zima* – to pić z tymi konfiturami herbatę.

\* \* \*

866. Życie Zachodu przebiega według praw liryki, natomiast życie rosyjskie – w formach eposu. Kiedyś Rosja też wejdzie w formy liryki.

Problem Czernyszewskiego, postawiony w tytule jego powieści, jest problemem typowo lirycznym, nie na czasie, można na niego dać jedynie odpowiedź bytową: należy robić to, co robiono wczoraj wieczorem.

\* \* \*

867. Lata sześćdziesiąte nie poznają siebie samych w dekadentach i symbolistach: to rehabilitacja ciała, co stało się możliwe po 30 latach „wolności”; to tryumf „osoby” nad środowiskiem, to – „dzieci”, które nagle okazały się impotentami i nie mogą urodzić wnuków.

Kara nastąpiła zbyt szybko po przestępstwie.

\* \* \*

868. Doskonałość formy jest cechą upadających epok.

\* \* \*

869. Kiedy naród umiera – pozostawia same formy: to – szkielet jego ducha, jego twórczości, jego ruchów wewnętrznych i zewnętrznych. Republika, monarchia – czyż nie są to formy? Tragedia, epos, „jamb trzyczłonowy” – czyż nie są to formy? Czyż formami nie są Partenon, jak i Dziewiąta Symfonia? A w końcu, metafizyka Platona lub Hegla?

Właśnie dlatego, kiedy naród kończy swoje istnienie – formalna strona wszystkich tworzonych przez niego rzeczy zbliża się do swojej doskonałości.

\* \* \*

870. XIX w. jest wiekiem *lubującym się* swoim upadkiem; jest mu w najwyższym stopniu właściwe uczucie Sardanapala płonącego na swoich bogactwach i ze swoimi żonami.

\* \* \*

871. Geniusz przeważnie jest *bezdzienny* – jest to jego głęboka i, być może, wszystko *wyjaśniająca* cecha. On nie może rodzić i, kto wie – czy w ogóle jest mu to potrzebne? On jest w pewnym sensie *Ding an sich*.

Jako narzędzie, jako nędzny środek, jako ziemską stroną tajemnicy niebiańskiej – anomalie płciowe często występują u geniuszy: pociąg do nierządu, wczesny rozwój płciowy, „wady dzieciństwa”.

Lermontow i Byron w wieku 11-14 lat doświadczają miłości; jakie *to* jest kalekie i jak genialni są *oni*. Rafael i Aleksander Macedoński byli bezdzietni, bezdzietnymi byli też Cezar i Newton.

Potomstwo geniusza, jeśli nawet ono jest – słabe i szybko umiera; przeważnie jest to – *żeńskie* potomstwo. Przypomnijmy sobie Napoleona I i cara

Piotra Wielkiego. Jest to zarazem wyjaśnienie faktu, dlaczego po *genialnych* władcach dynastie przeważnie kończą się i następują „rokosze”.

\* \* \*

872. W *Dzienniku* Amiela, tak wonnym, subtelnym, głębokim, tak szlachetnym, występuje dziwny brak, który nie został zauważony: straszna *pasywność* autora – brak żądz, a tym samym buszujących w nich emocji. Hrabia Tołstoj porównał *Dziennik* z książką Marka Aureliusza – ale nie jest to pochwała, jak on sądzi. Obie książki są dziełami epoki zmierzchu, jesieni – są utworami tego okresu w roku, kiedy soki w ludziach-roślinach nie biegną ku gorze, nie pobudzają ludzi, ale dążą do dołu, do ziemi i w ziemię.

W wypadku Amiela jest to otchłań rozumu, krytyki i – żadnej twórczości. Jest to – zapach śmierci. Po przeczytaniu każdej strony ma się ochotę zapytać: Ile dni życia pozostało jeszcze jej autorowi?

Żona Marka Aureliusza nie była mu wierna, a Amiel, jak się wydaje, nie odważył się ożenić. Są to ludzie, którzy potrafili pozostawić po sobie jedynie piękny „*Dziennik*” *pośmiertny*. Jeden był znudzonym, smutnym imperatorem, a drugi – jeszcze gorszym uczonym i profesorem, bardzo bojaźliwym i nietowarzyskim.

Cóż za przeciwieństwo – Busłajew, aż do starości odważny i żywy, z tłumem gorących uczniów, którzy roznieśli słowa nauczyciela po Rosji i zastosowali jego myśli do różnych dziedzin wiedzy; cóż za przeciwieństwo – Piotr Wielki, „kapitan roty bombardującej”, poszukujący w Lipiecku złóż żelaza, budujący na północy statki, spotykający jako pilot pierwszy holenderski statek na Newie. Każdy jego krok był czynem, każdy ruch był faktem historycznym... To ludzie rodzący nowe epoki, w „wodach”, we krwi, przy krzykach materii i jej konwulsyjnych drgawkach – rodzi się wspaniały chłopak. A tu czujemy jedynie zapach namaszczonego trupa...

Wieczny im odpoczynek, ale chcemy ich czytać wyłącznie przed śmiercią.

\* \* \*

873. Cały świat jest grą możliwości. Chcę powiedzieć – grą pewnych embrionów, duchowych lub fizycznych, martwych lub żywych. Trójkąt jest połową kwadratu, przeciętego w określony sposób, co kształtuje jego cechy, możliwość dokonania pomiaru, relacje do innych figur. Ziemia jest „pierścieniem Saturna”, który oderwał się od Słońca, rozerwał się, skłębził – i dlatego ciąży ku Słońcu. Każda rzecz jest częścią niezliczonych innych rzeczy, ich embrionem, tworzącą je potencją – i dlatego tylko ona wchodzi w relacje z tymi rzeczami, wiąże się z nimi, a od innych, przeciwnie, jest odpychana. Dlatego też mówię, że życie przyrody jest życiem embrionów, prawa życia są prawami embrionalności, a cała nauka, to znaczy wszystkie i wszelkie nauki są jedynie gałęziami pewnej kosmicznej embriologii.

\* \* \*

874. Co nazywamy „mistycznym”? – Przede wszystkim to, co jest *niejasne*, ale takie – w czym czujemy głębię, chociaż nie możemy jej ani zbadać, ani udowodnić. Następnie „mistycznym” nazywamy to, w czym podejrzewamy odbłask – ukośny, przełamany światła Bożego, a w końcu i to, w czym domyślamy się prażywiołu w stosunku do wszystkich rzeczy.

Na przykład uderzenie kamieniem – nie jest, oczywiście, mistyczne, ale śmierć będąca tego wynikiem – w pełni mistyczna. Ona jest mistyczna jako *akt*, a nawet jest mistyczna jako moment w losie człowieka, jako jego możliwe ukaranie za grzech.

Można powiedzieć, że to, co mistyczne, nie tyle jest w przyrodzie, co w samym człowieku: można patrzeć mistycznie na wszystkie rzeczy, wszystkie zjawiska, ale można też patrzeć – naturalnie. Kamień spadł na człowieka i człowiek zmarł: to czysty naturalizm, ale dlaczego spadł na *tego* człowieka – to już jest mistyka.

W naturalizmie człowiek i pies są podobni: pies też został uderzony i zawył, a jeśli silniej uderzony – zmarł. Nie ma żadnych pytań. Ale człowiek nigdy nie chciał się do tego ograniczać i stawiał pytania: tu „zaczyna się” człowiek.

\* \* \*

875. W nocy rozbłysła błyskawica: deska została przez nią *oświetlona*, pies – *zadrzał*, a człowiek – *zamyślił się*. Trzy granice bytu, które na próżno próbowałibyśmy zmieszać.

\* \* \*

876. Wszyscy geniusze dążą do tego, co jest ponad światem. Czyż nie jest uprzedzeniem tej cechy to, że wszyscy ludzie ciążą do tego, co jest niezwykle, dziwne, a nawet przerażające. Pies nie dąży do tego, co jest straszne, a jedynie ucieka. Człowiek też ucieka, ale ogląda się i interesuje się tym. Oto *główna* cecha człowieka.

\* \* \*

877. *Szukam rękawic – a obie mam za pasem*. „Straszne jest to, że nie ma nic straszego” – powiedział smutny Turgieniew. Zauważył w sobie to, za czym tęsknił. Dlaczego nieustraszoność była dla niego straszna – czyż nie jest to straszna tajemnica duszy człowieka, jego duszy? Widzę dzień, ale pragnę nocy, tęsknię za nocą. Widzę całe życie wyłącznie jako dzień – i pytam, *nigdzie nie widząc i nigdy*, „dlaczego nie ma nocy? Gdzie jest noc? Jest mi straszno i przykro bez nocy”. Czyż nie jest to *czarnowidztwo* – straszna tajemnica, znacznie bardziej straszna, niż wszystkie przerażające sztuczki kuglarskie?

„Pieśni tryumfującej miłości”, którymi w przeczuciu niewidzialnej nocy on bawił się w starości?

To jest właśnie – przerażająca noc, wszystkie nasze lęki są uzasadnione – gdyż noc nie jest wymysłem, nie jest fikcją, ona *jest*. To stąd lecą na nas sny; w snach jest pewna względna prawda, chociaż jest też, oczywiście, skażenie wnoszone przez naszą wyobraźnię. Zwracając się tutaj, ku nocy, modlimy się, przerażeni, wstrząśnięci, nasze serce zamiera, przyciskamy się jeden do drugiego... To jest – Kościół.

Wszystkie tajemnice religii – stąd. Niegdyś stąd zadźwięczało: „Nie lękajcie się...”, rozległa się „Dobra Nowina”.

Wczoraj przerażeni – dzisiaj wzruszeni. Oto Ewangelia i Biblia.

\* \* \*

878. Poczucie Boga jest w człowieku najbardziej transcendentne, najdalsze, najtrudniej osiągalne. Jedynie najsilniejsi ludzie i to przez doświadczenia, bóle, cierpienia, a najbardziej przez grzech, często dopiero na starość, osiągają te wysokości – ledwo i jedynie częstką swego rozwoju, jedną gałązką dotykają „innych światów”, a inni tylko pośrednio – pod warunkiem czystości duchowej – osiągają drugą strefę: to – Kościół. Ci, którzy dotknęli „innych światów”, ojcowie świata chrześcijańskiego, pozostawili słowa opisujące owo dotknięcie, a słowa te ułożyły się w obrzęd, rytuał, wyrosły jako obyczaj, jako instytucja; kanon okrzepł, powstała liturgia, zbudowano świątynię. Powstała masa materialnych świętości, zawartych w formach czasu i przestrzeni, spoczęła na nich światłość Boża, jak święty spoczywa w swoich relikwiach. W tym wypadku każdy może dotknąć. Jest to środek zbawienia, dostępny dla wszystkich.

Ale ręce ludzkie nie dotykają tej największej świętości całej ludzkości. Naruszenie czegoś, zmiana, poprawienie, a nawet polepszenie (bez wiedzy o „innych światach”) – jest większym przestępstwem, bardziej przerażającym, niż wywołanie krwawej wojny, zawarcie hańbiącego pokoju, oddanie wrogowi przez zdradę części kraju. Wprowadzenie złego programu dla seminariów, zlikwidowanie stanu diakońskiego – jest gorsze, niż nieudana bitwa pod Sewastopolem, niż podpisanie traktatu paryskiego, a nawet, niż „odrodzenie Polski”.

Oj, ci naprawiacze tajemnej i żywej historii!

\* \* \*

879. Często porównuje się stoików z chrześcijanami i przeprowadza paralele między ostatnią filozofią pogańską i nową „Dobrą Nowiną”. Tymczasem nie ma nic bardziej sprzecznego, nawet epikureizm jest bliższy chrześcijaństwu.

Stoicyzm jest zapachem śmierci, a chrześcijaństwo – potem, bólem i radością rodzącej matki, krzykiem nowonarodzonego dziecka. „Zawsze radujcie

się” – powiedział Apostoł. Czy mógłby powiedzieć to jakikolwiek stoik? „Dzieci moje, strzeżcie tradycji” – czy to jest język umierającego Rzymu? Chrześcijaństwo – bez zuchwałości, bez wina i upijania się – jest nową wesołością, zadziwiającą lekkością ducha, żadnego smutku, nic ciężkiego. Asceci i męczennicy byli weseli, jedni na pustyni, inni idąc na męki. Jakiś potok wewnętrznej radości był nawet w męczennikach, nawet w chwili męczeństwa spędzał z ich twarzy cień ciemności...

Ojciec Ambroży z Optino i Jan z Kronsztadu – najlepsi i najbardziej typowi z chrześcijan, jakich mogliśmy obserwować – obaj niezwykle świetliści, radośni, pełni życia. U ojca Ambrożego prawie tylko żarciki, przypowiadki – w listach i rozmowach, a twarz ojca Jana jest wszystkim znana – sama radość.

Stoik – mówimy to, gdyż chrześcijanin nie może nie śmiać się szczerze nad nim – *fait bonne mine à mauvais jeu*. On opanowuje się, wysila, napina, zupełnie nie rozumiejąc w jakim celu.

Położywszy rękę na ramię stoika, chrześcijanin mógłby pośmiać się z niego: „Stoik – oto wino falern! O czym myślisz?” Być może, on wybiłby jemu kielich z ręki, ale nie potrafiłby nic odpowiedzieć.

Istnieje nieuchwytna i subtelna cecha, łącząca stoików z faryzeuszami: jedni i drudzy żywią odrazę w stosunku do świata: jeden ucieka od świata do wanny i podcina sobie żyły, czytając „Fedona”, a drugi odchodzi na bok i zaczyna się modlić.

\* \* \*

880. Nie wystarczy dostatecznie akcentować fakt, że chrześcijaństwo jest radością, tylko radością i zawsze radością.

„My jesteśmy z Bogiem” – czyż to nie jest odczuciem chrześcijanina? Gdzie tu zniechęcenie?

\* \* \*

881. Porównywano chrześcijaństwo z buddyzmem: „W obu religiach – te same cnoty”. Tak, to prawda, ale wady są inne:

„Ducha zaś... zniechęcenia zabierz ode mnie”.

– oto modlitwa chrześcijanina. Buddysta natomiast modli się – a raczej nie modli się, a milczy, w wiecznym zniechęceniu.

Istnieje też inna cecha zbieżna i przeciwstawna między buddyzmem i chrześcijaństwem: buddyzm jest światowym pesymizmem i jest ateizmem. To głębia duszy człowieka, ujawniająca się w tym: Bóg jest radością, bez Boga – zniechęcenie.

\* \* \*

882. Cała tajemnica prawosławia – w modlitwie i tajemnica bycia prawosławnym zawiera się w umiejętności modlenia się.

Przyznajmy się, odczuwamy odrazę za każdym razem, gdy zaczyna się rozmowa o cesaropapizmie lub papocezaryzmie. Gdy stoisz w świątyni i widzisz modlących się – jak w takiej sytuacji można stosować te pojęcia: czy modlący się są cesaropapistami, czy też papocezarystami? Wszystko to – interesujące nas tematy, ale interesujące jedynie wtedy, gdy przestaliśmy się modlić.

\* \* \*

883. Wysiłki, żeby wygłaszanie kazań w cerkwiach uczynić czymś normalnym, a nawet obowiązującym, nie podobają mi się: czy to w ogóle jest coś prawosławnego, a na pewno nie ma nic wspólnego z ludem. Są to – protestanckie wysiłki wokół prawosławnej świątyni.

Liturgia prawosławna już jest kazaniem. Przecież kazanie jest nauczaniem, a liturgia jest pełnym kręgiem nauczania, poza którym człowiek niczego już nie potrzebuje. O co – w przepięknych litaniach – modli się diakon, a z nim lud? O niczym nie zapomniano: ani o grobie, ani o żeglujących, ani o zwycięstwie władcy, ani o pokoju dla świata, ani o sprzyjających warunkach atmosferycznych. „My, którzy Cherubinów” – czyż nie jest to nauczanie? „Odłóżmy teraz wszelką życia troskę” – cóż za nauka, jakież wezwanie może się z nią równać? Okadzenia, dokonywane przed ikonami, modlitwy kapłana – wszystko jest przeniknięte sensem i pięknem.

Ciągłe i obowiązkowe kazania są zrozumiałe w opustoszałych świątyniach protestanckich. W tych świątyniach wszystko jest wyzute z sensu, poezji nauczania; jeśli nie będą śpiewać psalmów, pastor nie będzie mówił kazania, a organy nie będą grać – wszyscy zasną. Co innego mogą zrobić? Niczego nie ma – po prostu nie ma liturgii. Lekcja i koncert stanowią istotę protestanckich zgromadzeń religijno-społecznych i dlatego łatwo zrozumieć, że oni z takim uporem trzymają się resztek zniszczonego Kościoła. Natomiast w prawosławiu długie i nieumiejętne kazanie jedynie ukryje piękno i istotę samej liturgii.

Lud nie bardzo lubi kazania: obecni w cerkwi przy pierwszych słowach kaznodziei – połowa wiernych przesuwają się w stronę prezbiterium, a połowa idzie ku wyjściu. Stojący w pierwszych rzędach starają się niezauważalnie dostać do wyjścia.

Co w takim razie całą cerkiew gromadzi w jeden zbity tłum? To – *akatyst*. Akatyst jest wyłącznie modlitwą, ale żadna część liturgii nie wywołuje takiego wzruszenia, żaru, a u wielu – łez, jak akatyst do Jezusa lub do Matki Bożej. Oto, co jest – ludowe i prawosławne. „Policzki jej płonęły i arcykapłan widząc to, pomyślał: Czy ona jest pijana?” – uważne spojrzenie zawsze zauważy jednego, dwóch, trzech tak właśnie modlących się w czasie akatysty. Wszyscy klękają – o, to jest prawosławny zwyczaj. Wielu wiernych zna akatysty na pamięć i przed kapłanem szepcze słowa, słowa – zawsze odnoszone do siebie... Widać tyle

osobistych, rodzinnych tajemnic w płonących oczach, w duchu to skruszonym, to weselącym się.

Można powiedzieć – akatysty wychowały Ruś.

\* \* \*

884. Najniebezpieczniejsza strona w chrześcijaństwie XIX w. – ono zaczyna być retoryczne. Jest to zauważalne nawet w stylu, nawet u trzeciorzędnych pisarzy. Nie ma apostołów – są „galilejscy rybacy”; nie ma Jezusa Chrystusa – jest „Boski Nauczyciel”. *Génie de christianisme* Chateaubrianda jest znacznie mniej chrześcijańskim utworem, niż *Pucelle* Woltera – napisane w znacznie mniej chrześcijańskiej epoce. To, że przeciwko chrześcijaństwu kierowano kpiny, ironiczne uśmiechy, bezczelność – znamy to od pierwszych dni nowej religii. Natomiast to, że sami chrześcijanie zaczynają rozumieć swoją wiarę retorycznie – jest to zjawisko ostatnich czasów.

Dlatego raskolnikom tak dobrze z „Isusom”. Być może, oni jeszcze zbawią świat, ze skarbem wiary, w nich ukrytej; tym lepiej, że oni są „nieociosani”: pozostali tak gorliwie „ociosywali samych siebie” w historii, że już nic nie zostało, ociosali nawet rdzeń samych siebie.

\* \* \*

885. Nie ma bardziej *oszukańczej* rzeźby, niż „Mojżesz” Michała Anioła: *takiego* Mojżesza *nie było* – to fantazja artysty, jego myśl *a priori*, ale błędna.

Mojżesz jąkał się. *Autor* ksiąg, którym równych nie zna świat, *nie mógł* mówić. Czyż nie jest to zdumiewające? Cała moc *słowa* skoncentrowała się w duchu, a dla cielesnego języka, dla tego bełkoczącego kawałka mięsa – nic nie zostało.

Poza tym on wyprowadził lud izraelski z Egiptu i przeprowadził go przez pustynię, doprowadził do „Ziemi Obiecanej”. Zadziwiający człowiek! Jakże słuszne, *przenikliwe* są słowa Heinego: „Jakże mały jest Synaj, gdy stoi na nim Mojżesz”. Są to słowa największego zachwyty, wypowiedziane pod adresem Mojżesza, jakie tylko znamy, które wyrwały się z ust pisarza-poganina w pogańskiej epoce.

Myślę, że – Mojżesz był mały i chorowity, być może, bez brody lub z rzadkimi włosami na podbródku. Myślę, że w swoim ciele on był tak samo niemy w stosunku do swoich dokonań, jak był niemy w języku w stosunku do napisanych przez siebie ksiąg.

On cały jest w sobie, skoncentrowany. Bez wątpliwości, on był piękny, jak nikt z ludzi – nikt przed Chrystusem, ale jest to piękno nieuchwytnie, nie do przekazania, a w każdym bądź razie nieprzekazane.

Michał Anioł pomylił się i oszukał innych.

## NOWE EMBRIONY

886. Prometeusz „wykradł” ogień z nieba i przyniósł na ziemię. O bestii apokaliptycznej powiedziano: „I będą dziwić się jej narody, i powiedzą: Któż jest podobny do tej bestii? Ona *dała nam ogień z nieba*”. Interesująca zgodność, ale jak się wydaje, nikt nie zwrócił na nią uwagi.

\* \* \*

887. Niezwykle interesujące są próby *pomieszania, mieszania* tego, co grzeszne, i tego, co święte. Co *zwycięży?* Co *przeżyje?* Co jest *silniejsze?* Niezwykle interesujące. Samo chrześcijaństwo jest do pewnego stopnia próbą takiego mieszania: *Bóg* zstąpił na *Ziemię* – Najświętszy wśród grzeszników. Nie da się zaprzeczyć, że jest właśnie tak.

\* \* \*

888. Są ludzie z wielkimi *tematami*, ale bez słów, i są ludzie ze wspaniałymi słowami, ale którzy *urodzili się bez tematu*.

\* \* \*

889. Zdumiewające jest *dążenie* do modlitwy, widoczne *u wszystkich* narodów. Po co ono miałoby być, gdyby człowiek odnosił się do Boga wyłącznie *intelektualnie?* Zauważyłem (w Ermitażu), że wszystkie statuetki egipskie (nawet te najmniejsze) *idą*, co jest najbardziej zdumiewającą ich cechą: negacja *spokoju*. Planety, a także gwiazdy – wszystkie są *w ruchu*, „kręcą się”, przypominając nieco naszych chłystów. Nie jest to wcale tak nieinteresujące, żeby przejść obok i tylko się uśmiechnąć. Krew – „krwiobieg”.

\* \* \*

890. Spartanie byli nieco głupkowaci. Czy nie z tego powodu, że zabijali chorowite niemowlęta? Newton, kiedy się urodził był tak słaby, że wszyscy myśleli, iż on umrze za kilka godzin, a potem – że za kilka dni. Newton żył 87 lat i dokonał wielkich odkryć.

\* \* \*

891. Kościół nie jest mieszkaniem pamięci, a jest mieszkaniem sumienia.

\* \* \*

892. Stosunek do Boga może być albo werbalny – przez wyznanie (Zachód, Europa), albo realny (Wschód, świat „obrzezania”).

\* \* \*

893. W Dubbelnie, przechodząc z dworca na pocztę z nieskończonym zainteresowaniem patrzyłem na tłumy Żydów i Żydówek. W ich długich czarnych płaszczach (nigdy w kolorowych), „przy cylindrze”, jest coś strasznego, estetycznie nie do zniesienia. Wiele o tym myślałem i wolną ¼ godziny spędziłem na rynku przed dworcem.

\* \* \*

894. Żydówki nawet nie można sobie wyobrazić bez pierścionków i broszek, ona błyszczy, jest „błyszcząca”. Żadnych rosyjskich „biednych wiosek”:

Te biedne wioski  
Ta uboga przyroda...

Nic z religii skopców.

\* \* \*

895. Są narody o ciśnieniu arteriowym i są narody o podciśnieniu żylnym.

\* \* \*

896. O Abrahamie. Bóg „obrzezał” poświęconego sobie człowieka i to w jego „poświęconym” punkcie. Zaręczając się, ślubując sobie – mąż i żona „tajemniczo” jednoczą się, to znaczy w samym najbardziej ukrytym, intymnym, świętym punkcie swojego „ja”. Dlatego nie „umową”, nie „związkiem”, nie „usynowieniem”, ale przymierzem nazwano dawne połączenie się człowieka z Bogiem przez Abrahama.

\* \* \*

897. Niezwykle dużo wyjaśniający termin u Ezechiela (44, 9):

„Dlatego tak mówi Pan Bóg: Żaden cudzoziemiec, nie obrzezany na sercu i na ciele, nie może wstępować do mego przybytku, żaden z obcych, którzy żyją wśród Izraelitów”.

U Mojżesza i u innych proroków, poza tym fragmentem, pojawia się ten sam termin: „nieobrzezane serce”. Zauważmy, że Żydzi mieli „obrzezane płody”, które „stały się własnością Boga”, zostały „poświęcone Bogu”. Wezwanie do „obrzezania serca” oznacza, oczywiście, u proroków – „zwróćcie wasze serca ku Bogu, „wspomnijcie w waszym sercu Boga”, „opamiętajcie się w waszych nieprawościach”. Stąd całkowicie błędne tłumaczenie sensu obrzezania cielesnego: zwrócenie, ale już *seksu*, ku Bogu. „Zwróćcie wasze serca ku Bogu, jak zwrócone są ku Bogu (przez obrzezanie) wasze *genitalia*”.

\* \* \*

898. Upadek poczucia Biblii – najbardziej charakterystyczne zjawisko naszych czasów. My czytamy Biblię – tak; nasi teolodzy piszą do niej „komentarze”. Pojawił się Lyell z książką: „Świat przed stworzeniem człowieka na podstawie badań geologicznych”, w której powiedziano, że Ziemia ma już ponad 80 000 lat starości – a teolodzy całej Europy oburzyli się na niego za naruszenie chronologii biblijnej. A przecież w samych teologach nie ma ducha biblijnego. Któż z nich nazwał, z bezmierną rozkoszą wspomnień, swego syna Izaakiem? Gdzie wśród jego córek są Lea lub Rachela? Przecież ulubione imię bierzemy od ukochanego człowieka. Nie lubimy człowieka biblijnego, a jedynie żujemy biblijne litery.

\* \* \*

899. „Wербalne wyznanie”... Po co kłócimy się z racjonalizmem? Przecież wielbimy racjonalizm, a jak już „nazwał się bedłką, to leż do koszyka” – „Niewygodnie!” – Przecież o wygodzie nie było mowy.

\* \* \*

900. Europa usycha, wysycha, widoczne jest w niej zniszczenie, ale wewnątrz, z centrum, idzie przekształcanie Europy w „święte relikwie”. Ale z obitego złotem i drogocennymi kamieniami relikwiarza zmarły chwytą kawałki mięsa z żywych: oto zerwał skórę z Chin, oto wyrwał wnętrzności z Afryki. I nie może się nasycić.

\* \* \*

901. Skąd w *brzydocie* jest swoje *piękno*? Cóż to za nowe piękno i jakie jest jego źródło? Pewne brzydkie twarze, „takie sobie” – są strasznie *pociągające*. Wydaje się, że w tym wypadku – piękno tego, co zostało *przeżyte*, piękno historii, sens biografii. Z tego powodu mnóstwo pięknych twarzy „bez biografii” jest w istocie odpychających: „piękno lodowate”, „piękno powierzchowne”, piękno skóry, a często jedynie *pudru*. Pierwsze piękno jest – Boże, a drugie – ludzkie, gdyż Bóg jest życiem, „biografią”; „pot” i „praca”; pot Adama i trudy Ewy – są błogosławione. Stąd „błogosławione piękno”, na przykład Rebeki i „odpychające piękno” Fryny: czyż nie tu jest punkt rozejścia się *piękna semickiego* i *piękna aryjskiego*, tak mało do siebie podobnych.

\* \* \*

902. Proszę sobie przypomnieć dziwne zapędy Swidgrygajłowa oraz pomieszać z nimi filozofię Iwana Karamazowa (miłość do „lepkich listków”, która „wszystkiego się pozbędzie i wszystko przeżyje”), a także całą karamazowszczyznę, z rozpustnie dobrym Mitią i „świętym” Aloszą, który jednak w najwyższym stopniu rozumie wszystko to, co jest „karamazowskie” („i ja jestem taki sam”, mówi Alosza); nie unikajcie też Fiodora Karamazowa,

pamiętając komentarz z *notatek* Dostojewskiego: „My wszyscy jesteśmy Fiodorami Karamazowymi”, to znaczy nieco „na jego obraz, na jego podobieństwo”. Dodajcie też do tego bukietu Gruszeńkę z jej niezwykłym sposobem poruszania się. Otrzymacie wielki wóz – siana. To jest jeszcze „żarcik”, „tak sobie”, nie „burza” i nie „mgła”. Teraz proszę to położyć pod prasę z ogromnym naciskiem i sprasujcie do grubości kartki papieru: to straszne napięcie żądz, które się otrzyma – nagle zajaśnieje łagodnym światłem Wschodu. Tu jest i – Damaszek, i „córa Syjonu”, i „cielce w Betel”, które postawił Jeroboam, i cała Biblia. Ale też odwrotnie: dlatego „stosik” Dostojewskiego pachnie biblijnie, a sam pisarz – „w prorokach” Zachodu.

\* \* \*

903. Nie rozumiejąc żydowskiego „obrzezania”, nie rozumiejąc „szabatu” – co my właściwie rozumiemy w Starym Testamencie? Nic. – Zrozumieliśmy i przyjęliśmy Biblię jedynie retorycznie, jako „piękny tekst”. Mówię nie tylko o hebraistach i orientalistach, ale także o dogmatykach-komentatorach Pięcioksięgu i proroków. Nawet więcej: w Ewangelii niedwuznacznie trwa walka *przeciwko* szabatowi i *za*, w *obronie* szabatu; czy można to rozumieć tak, że walka toczyła się o „święteczny odpoczynek”, jak w naszych czasach, o co niepokoją się gazety i pracodawcy? O „nie-pracowanie” lub „pracowanie” w niedzielę? Oczywiście – nie. Oczywiście, że „szabat” ma całkowicie inny sens, niż nasze święta i ogólnie niż nasze *świętowanie* – rzecz dotyczyła *zaciemnienia* lub *nie zaciemnienia* tego sensu, *niczym* i *w żaden sposób*. „Ulecz – ale w poniedziałek”, „ulecz – w czwartek”, ale nie w szabat. Pomimo tak gwałtownej kolizji ani razu nie postawiono pytania, to znaczy, że ani ciekawość, ani wyobraźnia nowych uczonych nie zapytała: „Czymże jest – *szabat*?” To znaczy, że nie rozumiemy nerwu tej walki. Cóż więc rozumiemy w Starym Testamencie?

\* \* \*

904. Któryż gospodarz nie dogląda ziemi, nie zrasza jej, nie orze i nie czyni urodzajną? Tym samym jest dziewictwo: to – niwa niebieskiego Gospodarza. Dlatego należy dbać o dziewictwo. Trzeba usuwać z niego brud i plewy. A w przyjemny Bogu czas, powinno ono przyjąć w wypukłe bruzdy święte nasienie i urodzić Bożą pszenicę – człowieka.

\* \* \*

905. Wysławiają „dziewictwo” – a my wyobrażamy sobie przepiękną dziewicę, którą *właśnie instynkty płci* zakazują nam zanegować: cóż dla płci jest miłszego od dziewictwa? W ten sposób walka z płcią w dziwny sposób bazuje na płci i korzysta z dwuznaczności słów. Należy poprawić słowa: wywyższa się „bezplodność” nad „płec”, akcentuje „staropanieństwo” i „starokawalerstwo”.

Oto, czego bronicie. W tym wypadku *pleć* nie jest już po waszej stronie, a wasza logika na próżno będzie poszukiwać argumentów.

\* \* \*

906. Asceta nigdy nie nosił niemowlęcia na rękach, nie trzymał w swojej ręce spoczonej ręki rodzącej i sam drżąc ze strachu nie pocieszał jej, ku jej pociesze i uspokojeniu nie czytał przy jej łóżku „Żywy pod opieką Najwyższego...”. Nie słyszał rano przebudzenia się swoich dzieci, kiedy one nie mogą sobie poradzić ze skarpetkami i bucikami. Nie cierpiał przy umierającym dziecku. O czym więc on ma wydawać sądy? A on nawet mówi o tej sferze: „Dajcie mi berło rządzenia nad nierządem, którego nie znam”.

\* \* \*

907. Ewangelia jest cudem. Boże, jakże głupi są niemieccy „uczeni”. On szedł po morzu – επι της θαλασσης, ale w języku greckim rzeczownik niekiedy jest opuszczany przy określeniu i należy czytać „επι ριπητης θαλασσης” – „nad brzegiem morza”. Wtedy cudu nie było. Głupcy! Popatrzcie na jego Oblicze! To Oblicze jest – cudem. I wszystkie jego słowa są – cudem, i są – niezwykle.

Nie, gdyby mi całą historię ewangeliczną opowiedziała moja ciocia, gdyż nie istniałby żaden spisany zabytek, i to nawet nie z V, ale z XV w. – zawołałbym: „To jest historia Chrystusa!” Inna sprawa to – *pełnia* tej historii i odwieczna bojaźń: „Będziecie jak bogowie”.

Wszystko jest niezwykle. Ale niezwykle jest też miłość matki do dzieci, a jakże często są one odrywane od matki z powołaniem się na słowa: „Kto nie opuści ojca i matki ze względu na Mnie – ten nie jest Mnie godzien”. Matka nie szłaby za Nim, nie szłoby też jej dziecko, a tylko całowałiby Jego imię. Poznałem taką rodzinę w Jelcu. „Dlaczego nazywasz się Sz., a twoja mama P.?” – zapytałem, stawiając ocenę w „dzienniczku” ucznia. A chłopak był wspaniały: zdumienie pojawiło się na jego twarzy – jemu to rozdarcie w ogóle nie przychodziło do głowy. „Nie wiem” – i uśmiechnął się. „Widocznie twoja mama jest powtórnie zamężna?” – „Nie”. Nagle domyśliłem się, przypomniałem sobie wzruszającą historię, kiedyś zasłyszana, jak to piękną dziewczynę oszukał profesor i jak ojciec wypędził ją z domu. A ona dręczyła się, czy wziąć chłopca i wychowywać – „taki wstyd dla dziewczyny” – czy też oddać obcym ludziom. Pojechała więc do ojca Ambrożego (Pustelnia Optina). „A gdzie jest twój chłopiec?” – zapytał jasnowidzący. Biedna dziewczyna aż zadrżała. – „Zabierz go od swojej znajomej i wychowuj sama”. Zapytałem chłopca: „Czy twoja mama bywa w pustelni?” – „Co roku jeździ tam dwa razy i mnie zabiera ze sobą”. – „Widziałeś ojca Ambrożego?” – „On mnie lubi, za każdym razem, gdy jesteśmy u niego, daje mi dużo orzechów, a taki jest wesoły i dobry”. – „Co robi twoja mama?” – „Maluje obrazy”. – „To dobrze, od dawna chcę mieć obraz swego świętego. Gdzie mieszkacie?” – „Ona panu nie namaluje”. – „Dlaczego?”

– „Ona maluje tylko dla pustelni. Kończy i odwozi do ojca Ambrożego”. Bohaterstwo tej wspaniałej dziewczyny nie zostało zapisane, ale pamięć o nim zachowa się. No, dobrze: miną lata, być może już nadeszły, a biedny chłopiec nosi na sobie piętno. Cóż przy tym *Universitas fidei*? Czyżby, gdy święty człowiek przebaczy, to nie ma miłosierdzia i „daru Świętego Ducha”, aby przebaczyć i zgładzić, zetrzeć grzech?... Człowiek pocieszył człowieka; tak – ale człowiek... powinniśmy *dla niego*, siwowłosego starca, spleść wianek.

\* \* \*

908. Zwierzęta mają duszę dziecka, ale dusza ta nigdy się nie rozwinie.

Dzieci – co obserwowałam – do drżenia (z niecierpliwości, żeby się zbliżyć) kochają zwierzęta. Trzyletnie dziecko bez zmęczenia łapie, chociaż bez rezultatów, kurę. Dzieci *czują* zwierzęta. Również odwrotnie – zwierzęta czują coś w dzieciach (nigdy ich nie gryzą). Jestem przekonany, że gdyby małe dziecko ostrożnie wnieść do klatki drapieżników, to nie zaatakują dziecka. „Dzieci Babilońskie” w „piecu ognistym” – wśród płomieni, ale nie spłonęły. Straszne wspomnienie: W Leśnej, podczas pożaru dachy spłonął trzyletni chłopczyk. Co czuli rodzice?... Jakie było potem ich życie? Zdumiewająca (dla naszych czasów) przyczyna: rodzice wynieśli inne dzieci, a tego chłopca powierzyli niańce, ale ona wytaszczyła swoją walizę (swoją majątek). Jadę konnym tramwajem i słyszę rozmowę o tym wydarzeniu. Rozmawiają dwie służące i bronią „swojej siostry”: „Każdemu jest drogie to, co jest jego...”. Tu nie ma serca, a jakieś przytępienie wyobraźni (nasza cywilizacja, która nie jest orgiastyczna, ale przytępiona, cywilizacja „żył”, a nie „arterii”).

\* \* \*

909. Przeczytałem „Fajdrosa” i „Uczte” Platona. W tajemnicy anomalii seksualnej, której głównych przedstawicieli można nazwać Platono-Safonistycznymi, znajduje się rozwiązanie tajemnicy greckiej cywilizacji. Była to cywilizacja παιδων’iczna, przeniknięta wertykalnymi promieniami nie obrzezania, nie pod „dębem w Mambre”, ale w strasznej do niego bliskości. Jedyne cienka kartka oddziela „dom ojców naszych Jakuba, Izaaka i Abrahama” od rozsypującego się Partenon, Peryklesa i tego błyskającego, szmaragdowego piękna. Punkt ich związku w bliskości, zbliżeniu – w παιδων’ie; tak bliski, że „wejdź na wzgórze i popatrz – oto grzeszne miasta” (Bóg do Abrahama). Nie powinna nas oszukać kara, która spotkała miasta: syn Judy padł martwy, porażony przez Boga, gdy jedynie *rykoszetem* spełnił Boże żądanie. W nigdy nierozwiązanej tajemnicy „obrzezania”, tajemnicy z „tamtego świata”, Bożej tajemnicy dokonuje się straszna, dotychczas nieumierająca anomalia. Prawie jak Abraham, blisko Abrahama, Grecy także wstąpili w „niedoskonałe”, a co najważniejsze samowolne przymierze z Bogiem: zdobyli „ogień” („ona da nam *ogień* z nieba”, powiedziano w Apokalipsie o bestii; Prometeusz – przyniósł ludziom „ogień” z nieba) i zapłonęli od tego ognia

właśnie tą niezbadaną anomalią, zapłonęli swoją osobliwą i błyszczącą cywilizacją. Grecy dali ludzkości marmurową Biblię, wyrzeźbili Boga, prawdziwego i prawdziwie, i umarli. Według Platona w Elidzie, Beocji i na wyspach Jońskich istniały prawa regulujące relacje międzyludzkie, „prawa i obowiązki”, jak w naszym małżeństwie – w dziwnej anomalii („Uczta”). Według Tukidydesa byli nią związani Hermodiusz i Arystogiton, którzy spleli taki wspaniały węzeł w złocistym dywanie zdumiewającej kultury; także – Achilles i Patrokles, Aleksander i Parmenion, Platon i Fajdros, to znaczy Starożytność i czasy nowożytnie, dzieciństwo i starość oraz pełen męstwa średni wiek kraju; cała geografia, cała historia. Niewyjaśnione wzruszenie, które tak wyraziście Platon opisał w *Uczcie* mówi coś o niebiańskiej Afrodycie, różniącej się od ziemskiej i wulgarnej, poznawanej z kobietami – rozlewało się po całej Helladzie w ciągu krótkich 600-700 lat jej życia; równocześnie, nic nie wyjaśniając, Platon wyraźnie mówi, że to wcale nie jest to, co „z potrzeby bywa na morzu, u wulgarnych marynarzy”, że poza „patrzeniem”, „dotykaniem”, „wszystkimi zmysłami” nie ma tu nic i – niewyjaśnionego wzruszenia w dziwnym punkcie, wziętym przez Boga „dla obrzezania”. Prawie „obrzezanie” i każdy παιδιον’ista był „obrzezającym” lub „obrzezywanym” w znaczeniu z innego świata, z treścią z innego świata, także dla nas niezrozumiałą, jak i ta anomalia – operacja. Jest godne uwagi, że dotychczas wchodzący w tę anomalię „odwracają się od kobiet”, „nie kalają się z kobietami”. Jak Romeo i Julia, dzieci grające burzliwą scenę, która poruszyła całe miasto – Grecy burzliwie, z mocą wyrwali się z mitów, zawirowali w wichrze zupełnie dla nas niezrozumiałych odczuć i stworzyli krótkotrwały mit swojej historii. Jakiż mit? Mit, który przeżył wszelką historię – zgniłych Rzymian, Ostrogotów i żyje dotychczas, nie umarł, żyje w myśli i swoim znaczeniu. Wszystko, co tylko zbliża się do „obrzezania”, staje się noumenalnym: przecież i małżeństwo jest sakramentem „obrzezania”, jego kategorią; wszystko, co jest poza *circulus* „obrzezania”, jest – fenomenalne, ziemskie, świeckie, laickie. Puste, powierzchowne i przemijające. W marmurach Grecja obnażyła się właśnie παιδιον’icznie: to „dzieci” Murilla, zastygłe w gipsie. Coś niedopowiedzianego, a ostatecznie bezsilnego było w Grecji: z tego powodu ona umarła, podczas gdy Juda żyje. Nie autentyczne „obrzezanie”, ale z nim „sąsiedztwo”; samowolne obrzezanie i nie według świętego rytuału. Ale – to jest *obrzezanie*. Z tego powodu, jeśli już nie samo plemię, to jego zabytki są *wieczne*, jak i *słowo* Judy. Bez zrozumienia tej anomalii nic nie można zrozumieć z cywilizacji greckiej. Jak się wydaje Winckelmann, sądząc ze sposobu jego śmierci i z fragmentu jednego bardzo zagmatwanego listu, w którym on pisze i nie dopowiada o „szczególnej przyjaźni”, której „przepiękny obyczaj znali starożytni Grecy” – on także był παιδιον’istom: i pierwszy, prosty nauczyciel wzruszył się uczuciami Hellenów, „ogniem Prometeusza” i odgadł prawa dawnych rzeźb. Uczoność prawie nie pomaga w tym wypadku, z uczonością można jedynie czytać lub układać „katalog” śmiertelnych resztek.

Jednak *myśląc przez lata* można co nieco zrozumieć w *logice, sensie*, w *motywie* dziwnego zjawiska. Instykt milczenia jest w tym wszystkim zdumiewający, a nawet wywołuje pobożne zdziwienie. Jakbyśmy dosłownie schodzili po lejącej drabinie do „pierwszego placu” świata, podziemnego (lub niebiańskiego?) fundamentu. Tajemny głos krzyczy: „Nie patrz!”, „Nie mów, co widzisz!”. Węzeł świata, bezspornie, jest ukryty w 4-5 anomaliach seksualnych i jedynie według nich może zostać odczytany.

\* \* \*

910. Płeć jest dziwnym zjawiskiem fizjologiczno-mistycznym, w którym są niezwykle poplątane nici romansu i Kościoła, „mięsa” i ducha, gdzie tyle tego, co ziemskie, ale też oczywiście, tyle niebiańskiego. Nie ma takiego zjawiska, w którym zbiegałoby się tyle różnorodnych ścieżek: nauka i poezja spieszą tutaj, tu zdąża sztuka i tu podąża kapłan. Każdy znajduje tu coś *swojego, swój* pokarm, *swój* temat. Równocześnie nie ma dziedziny mniej zbadanej w swej głębi: epitet *tajemnica* – jest zwłaszcza właściwy w tym wypadku. Niezbadane, „niepoznawalne” lub przynajmniej z wielkimi wysiłkami i poznawane w małych porcjach. Embryony zauważają, że w ważniejszych sekundach procesu rozwoju żywej istoty i w ważniejszych punktach, w których skoncentrował się ten rozwój, dokonuje się *zaciemnienie*: proces przebiega w sposób rozczłonkowany, pozorny. Również dalej będzie przebiegał tak samo pozornie i rozczłonkowany, ale w punkcie krytycznym, w krytycznym przełamaniu nagle pojawia się *zmętnienie* i wszystkie moce mikroskopu i ostrość skalpela lub igły okazują się niewłaściwe. Zmętnienie trwa minuty, pół godziny: wtedy dokonuje się coś bardzo istotnego. Ale tego można się jedynie domyślać, gdyż pole obserwacji znowu staje się pozornie widzialne, wszystkie elementy poprzedniej istoty embrionalnej okazują się być całkowicie przemienione: *jak, przez jakie moce* – to, oczywiście, przyroda wyrwała spod ciekawskiego spojrzenia człowieka. „Małżeństwo” – temat fizjologii i prawa kanonicznego, Dantego i Grzegorza Hildebranda, Salomona i Offenbacha – jest w swojej niezbadanej głębi jakimś niejasnym piętnem „zaciemnienia” świata. Tu wchodzi całe światy, stąd wychodzą całe światy. Tu jutro naszego „ja”, z nieśmiertelną duszą, w pięknie form. Tak bardzo się chce i tak trudno zajrzeć tutaj; trudno – a jednak *znowu i znowu* chce się zajrzeć do studni, której cembrowiny są proste i ubogie, a głębia lejka sięga centrum ziemi i, jak się wydaje, drugim „wrąb” wchodzi w krainy podziemne, w rejony piekielne – gdzie, jak mówiono w czasach Kolumba o Ameryce – „żyją tacy sami ludzie”, jak w Europie, ale „chodzą nogami do góry i głową do dołu”.

# ŚMIERTELNE

911. Tylko taka miłość jest w człowieku autentyczna, nie skierowana przeciwko istocie miłości i jej celowi, w której ukochanej nie oddziela się od siebie nawet w myślach, nie oddziela jakby w samej krwi i nerwach. Taką miłość do człowieka znalazłem w moim „przyjacielu” i w jej matce, Al. Adr. Właśnie dlatego one dwie stały się moimi wychowawczyniami i „gwiazdami przewodnimi”. Moja miłość do W. zaczęła się wtedy, gdy zobaczyłem jej twarz pełną łez (właśnie twarz płakała, a nie oczy) przy „†” mojego przyjaciela, Iwana Feoktystowicza Pietropawłowskiego (w Jelcu), ich sublokatora, który płacił za 2 pokoje i wyżywienie 29 rubli (był w klasie wstępnej). Zobaczyłem taki ból „po obcym człowieku” (nieoczekiwana, ale też nie nagła śmierć), że zatrzymałem się jak wkopany w ziemię. To zadecydowało o moim wyborze, losie i przyszłości.

Nie omyliłem się. Potem ona także lubiła każdego człowieka, co do którego była moralnie przekonana.

Waria jest najbardziej moralnym człowiekiem, jakiego spotkałem w życiu i o którym czytałem. Ona by raczej umarła, aniżeli powiedziała nieprawdę, nawet w drobiazgach. Ona po prostu nie mogłaby, nie potrafiła. W ciągu 20 lat nie widziałem, żeby choć skierowała się ku fałszowi, nawet w jakichś głupstwach. Nigdy nie przychodzi jej do głowy, żeby powiedzieć coś innego, niż myśli.

Zadziwiająca i naturalna.

*(19 grudnia 1911 r.)*

\* \* \*

912. Taka sama jest też jej matka. Waria („następne pokolenie”) jest tylko bardziej uduchowiona, poetyczna i nerwowa.

„Wierność” Warii jest zadziwiająca: jej przekonania nie mogli zachwiać ani rodzice, ani biskup Jonafan (Jarosław), kiedy będąc w wieku 14 ½ lat pokochała Michała Pawłowicza Butjagina, któremu była wierna także po śmierci, chodząc na jego grób (na cmentarzu w Jelcu)... A ja zakochałem się w jej miłości i w jej pamięci o człowieku, bardzo nieszczęśliwym (choroby, utrata wzroku), z którym (choroba i bieda) bardzo cierpiała.

Jej opowieść „o ich przeszłości”, kiedy spacerowaliśmy wieczorem wokół cerkwi Wwiedienskiej w Jelcu... też zadecydowała o moim „losie”.

Moja Waria jest jedyna w świecie.

\* \* \*

[546.] Dlaczego ciągle napadam na Wiengierowa i Kariejewa? To jest wręcz drobiazgowość... Nie mówiąc już o tym, że nie ma w tym żadnej „cnoty”.

Jego prace są godne szacunku. A to, że całe życie pracuje nad Puszkinem, to jest nawet wzruszające. W kontaktach osobistych (raz) wywiera przyjemne wrażenie. Ale jak spojrzę na jego brzuch – to już piszę (w myślach) ognisty artykuł.

[547.] Strasznie dużo gniewu było w mojej działalności literackiej. Wszystko niepotrzebnie. Dlaczego nie lubię Wienigierowa? To jest aż dziwne: dlatego, że jest gruby i czarny (jak brzuchaty karaluch).

\* \* \*

[544.] Jedyne taka lektura jest zadawalająca, kiedy książka jest *przeżywana*. Nie warto czytać „dla zadowolenia”. Nawet „dla pożytku”. Więcej pożytku można mieć „na nogach” – po prostu żyjąc, pracując.

*Przeżywałem* Leontiewa (K.) i po części Talmud. *Zacząłem* „przeżywać” Maeterlincka: czytałem 8 stron przez tydzień i prawie zawsze po przeczytaniu 8 linijek wpadałem w godzinną zadumę (czytałem w tramwaju konnym). Rzuciłem *właśnie* z powodu przeżyć – wspaniałych, ale zbyt męczących.

Potem „czytałem” coś innego – nie pamiętam. Nic nowego i nic zdumiewającego.

Puszkin... je go *jadłem*. Już znasz stronicę, scenę: czytasz jeszcze raz, tak – to jest *pokarm*. Wszedł we mnie, krąży we krwi, odświeża mózg, oczyszcza duszę z grzechów. Jego

Kiedy dla śmiertelników ucichną dnia gwary,  
jest równorzędne z Psalmem 50 („Zmiłuj się nade mną, Boże”). Tak samo wspaniałe, wielkie, ogłuszające i religijne. Ta sama prawda.

\* \* \*

[529.] Są ludzie, którzy rodzą się „ładnie” i którzy rodzą się „nieładnie”.

Ja urodziłem się „nieładnie” i z tego powodu mam taką dziwną, „kłującą” biografię, ale dość interesującą.

Człowiek, który „nieładnie” się urodził, zawsze czuje się „nie na swoim miejscu”: właśnie ja zawsze tak się czułem.

Przeciwnieństwo – babcia (A. A. Rudniewa), jej szlachetne życie. Oto, kto urodził się... „ładnie”. W biedzie, w strasznej sytuacji – z niej nieprzerwanie

jaśniej światłość. I pożytek. Ze mnie, jak myślę, nie ma żadnego „pożytku”. Ze mnie – „smutek”.

\* \* \*

[555.] Dlaczego poddaję się uczuciu chciwości, że mało o mnie piszą? To zaiste chamskie uczucie. Czy wiele piszą o Piercowie lub Filosofowie? Jakże ponizająca jest ta świadomość swojego chamstwa. Tak... nie można się pozbyć „lokajstwa”, jakie jest w nas. Lokaj i geniusz. Zawsze, a być może i wszędzie ten sam los człowieka (poza „przyjacielem”, który „lokajem” nigdy nie był, nawet przez chwilę, obojętny w stosunku do zachwyków i wyzwisk. Tak samo jak babcia, jej mama).

\* \* \*

[534.] Dlaczego opublikowałem „Odosobnione”? Należało.

Miałem też uboczne cele (główny i jasny – zjednoczenie się z „przyjacielem”). A poza tym, ponadto, coś ślepego, nie do przewyciężenia.

#### NALEŻAŁO

Dosłownie coś mnie „pociągnęło”, kiedy prawie automatycznie zacząłem numerować kartki i wysyłać do drukarni.

\* \* \*

[531.] Praca i cierpienie – oto całe moje życie. I pociecha, że widziałem troskę „przyjaciela” o mnie.

Nie: widziałem „przyjaciela” w samym sobie. To, co „sportretowane”, przewyższało to, co „wypracowane”. Ona jeszcze bardziej ode mnie cierpiała i jeszcze więcej pracowała.

Kiedy jej ręka już tylko bezsilnie zwisała – w gniewie na jej nieruchomość (wiosna 1912 r.) ona zatrzymała się na środku pokoju – i kilka razy machnęła obydwoma rękami: prawa wykonywała pełny obrót, a lewa podnosiła się jedynie na kilka centymetrów, i ze łzami w oczach zaczęła wykrzykiwać, jakby besztając chorą rękę:

– Pracuj! Pracuj! Pracuj! Pracuj!

Całą twarz miał w łzach. Zamarłem. W zachwycie i współczuciu.

*(lewa ręka ma życie jedynie w barku i łokciu,  
ale impuls nerwowy nie dochodzi już do dłoni)*

\* \* \*

913. Matka umiera, a dzieci nawet się nie obejrzały.

– Nie przeszkadzaj nam w zabawie!

I oglądają „portrety wielkich pisarzy”... I ostatniego „przyjaciela”.

\* \* \*

[532.] „Dotknij jego *skóry*” – kusił Szatan Boga, prosząc o Hioba...

Tę „skórę” ma każdy, wszyscy, ale nie jest ona jednakowa. Spróbujcie pisarzom, wielkodusznym i gotowym „umrzeć za człowieka” (ludzkość), zanegować ich *twórczość* i powiedzieć: „*Złe piszecie*, panowie, sama *nuda*” – a oni zedrą z was skórę. Filantropi, jak się wydaje, bardzo nie lubią „*pytań o pieniądze*”. Jeśli chodzi o „osoby duchowne”, to oni, oczywiście, „wszyscy w łasce”, ale zaatakujcie ich od strony „rubla” i nagród – na święto – „*palicą*”, krzyżem lub kamiławką, a „osoba” tak zacznie wyzywać, jakby Rosjanie nigdy nie zostali ochrzczeni za rządów Włodzimierza...

No, a ty, Wasylu Wasiljewiczu, gdzie masz „skórę”?

Teraz nie przychodzi mi to do głowy, ale, oczywiście, – *mam*.

Zdumiewające, ale „przyjacieli” i Ustynski – nie mają „skóry”. „Przyjaciel” – na pewno, a Ustynski – jak się wydaje, też nie ma. Nigdy nie widziałem „przyjaciela” obrażonego i *zagniewanego* (w tym rzecz, o tym mówił Szatan). To, co w nim zachwyca – to całkowita i spokojna duma, milcząca, która ani razu się nie sprężyła i rozwinąwszy jak sprężyna, odpowiedziałaby ciosem (w *tych* rzecz). Kiedy ją atakują – wycofuje się, jeśli gwałtownie spojrzeć na nią – odejdzie na bok, wycofa się. Nigdy nie pokłóciła się, „komu zejść z trotuaru”, komu stanąć „na dywan” – zawsze pierwsza każdemu ustąpi, bez wezwania, przed możliwym sporem. Oto wdzięk: kiedy ona wycofywała się – zawsze była królową, a ten, kto „wszedł na dywan” – był i *wydawał się* w tej chwili „takim sobie”. Kto tego nauczył?

To jest wrodzone.

Wdzięk manier i zachowania się – zawsze. Wrodzone. Tego nie można się nauczyć. „W moim sposobie chodzenia – moja dusza”. Niestety, ja sam, jak się zdaje, mam okropny sposób chodzenia.

\* \* \*

[523.] Straszna pustka życia. O, jakże ona jest przerażająca...

\* \* \*

[525.] Przynoszą listy i jakieś czasopisma teozoficzne (wcale ich nie zaprenumerowałem). Jakiś „Tarok”... Po co mi to?

Jest i reklama: „Zajrzyj i przeczytaj”.

Dlaczego powinienem zaglądać do wszystkich czasopism?

\* \* \*

[565.] Zapomnieć o ziemi wielkim zapomnieniem – jakie to dobre!  
(*idąc do Sądu Okręgowego – w sprawie „Odosobnionego”*)

\* \* \*

914. – *Gdzie ja „pojadę”... Nigdzie nie „pojadę”... Ja umieram... „Pojadę” do ziemi... A gdzie wy „pojedziecie” i kto po mnie będzie mieszkał w tych siedmiu pokojach... nie wiem... (donośnie, donośnie – bardziej donośnie, niż „na cały pokój”, ale nie krzycząc, a „akcentowała”).*

Wszyscy zamarliśmy. Dzieci tępo i rozdrażnione. Wszystkie złościły się na matkę, że albo krzyczy, albo płacze. Przeszkadza ich „spokojnemu nastrojowi”.

(*po przeprowadzce na nowe mieszkanie,  
a zarazem w dniu wyjazdu Szury,  
z tego powodu ona cały dzień gorzko płakała.  
27 maja przy wieczornej herbacie*)

\* \* \*

[554.] Kpiny Turgieniewa z religii – jakże one są nędzne.

\* \* \*

[562.] Kto nie zaznał bólu, ten nie zna religii.

\* \* \*

[536.] Kochać – to znaczy „nie mogę bez ciebie żyć”, „ciężko mi bez ciebie”, „wszędzie jest smutno, gdzie ciebie nie ma”.

Jest to opis zewnętrzny, ale bardzo dokładny.

Miłość wcale nie jest ogniem (często tak właśnie jest określana), miłość – to powietrze. Bez niej – nie ma oddechu, przy niej „łatwo się oddycha”.

To wszystko.

\* \* \*

915. – Wasia, idź, kup dziesięć sucharków.

Wtedy mieszkał u nas geodeta. Przy herbacie siedział z seminarzystą. Pobiegłem. Młody chłopak w piekarni – z powodu wspaniałej pogody lub udanej miłości – odliczył pięć par i wrzucił do szarej torebki jeszcze jeden:

– To dla ciebie jedenasty.

Boże mój, jak ja chciałem go zjeść! Sucharki kupowali tylko sublokatorzy, my sami – nigdy. W ustach czułem jakąś słodycz. Słodycz oczekiwania i możliwości.

Szedłem równym krokiem. Serce waliło.

– *Mogę*. To *mój* sucharek. Nie dowiedzą się. Przecież on *mi dał* tego sucharka. Kupuję *dla nich* i wrzucił *do ich* torebki. Wszystko jedno, posłali po dziesięć sucharków, więc przyniosę im dziesięć.

Problem „kradzieży” nie był w tym wypadku ważny: ciągle kradłem tytoń.

Było to coś innego – godność, wielkoduszność, wspaniałość.

Szedłem coraz wolniej. W końcu wręczyłem torebkę.

Teraz już nie pamiętam, czy powiedziałem: „Tu jest jedenaście”. Była pokusa, żeby powiedzieć i *jeszcze większa pokusa*, żeby nie powiedzieć. Nie pamiętam, czy powiedziałem i czy dali mi (domyślili się) jedenasty sucharek. Nic nie pamiętam, prawdopodobnie z powodu zdenerwowania. Ale te chwile wspaniałej walki, w której zwyciężyłem – czuję je jeszcze teraz.

Dlatego pamiętam o tej chwili, że zwykle byłem zwyciężonym, a nie zwycięzcą. Ale później, później, gdy byłem duży i grzeszny.

(w *Kostromie*, 1866-7)

\* \* \*

[651.] Siostra Wiera (umierała na gruźlicę w wieku 19 lat) zawsze wyjmowała mięksisz z bułki i mi oddawała. Nie wiedziałem, dlaczego ona nie je (nie miała apetytu). A ja te masy mięksiszu (z bułki za 5 kopiejek) zjadałem momentalnie i była to rozkosz. Ona posyłała mnie po bułki, a kiedy przynosiłem, mówiła: „Poczekaj, Wasia”. I zaczynała, po rozłamaniu bułki, wyjmować mięksisz z boku i ze środka.

Miała ciemne włosy (ale nie kasztanowe) i nosiła je upięte w „kok”, wysoko nad czołem, za kokiem grzebień, wąski i półokrągły. Była blada, chuda i bardzo ładna (w rodzinie *tylko ja* nie byłem ładny). Kiedy w końcu postanowiono wezwać Łagowskiego, ona leżała w prawym pokoju (na 2-gim piętrze), obitym zielonym materiałem. Gdy lekarz wszedł, ona wstała z łóżka, na którym ciągle leżała. Lekarz powiedział potem przy mnie do matki:

– Ona zdobyła się na odwagę i chciała pokazać, że „wszystko w porządku”. Proszę zmienić pokój, zielone obicia są dla nie szkodliwe. Jej stan jest zły.

Nic nie pamiętam, jak ona umierała, nie pamiętam też pogrzebu.

Kiedys ona powiedziała do mnie: „Wasia, przynieś nożyczki”. Miałem wtedy 8 lat. Przyniosłem. Ona wycięła z gazety wąski i krótki pasek, który troskliwie schowała do swojej książki, a resztę wyrzuciła. Było wydrukowane: *Samojło*. „Nikommu o tym nie mów, Wasia”. Kiwnąłem głową.

Gdy poszedłem do gimnazjum, zobaczyłem na lekcji historii naturalnej nauczyciela, którego nazywano „Samojło”. Był średniego wzrostu, gładko wygolony, miał z lekka falujące ciemnorude włosy i zawsze chodził w czarnym surducie (pozostali – w granatowych frakach), był niezwykle uroczy, a raczej jakiś wspaniały. Nigdy nie schodził z katedry i nie chodził „demokratycznie” po klasie. W nim nie było nic demokratycznego. Wśród innych nauczycieli, bardzo uczonych, on był bogiem uczoneości i ważności. Być może, w ciągu roku uśmiechnął się ze dwa razy, przy szczególnie złej odpowiedzi ucznia, to znaczy jego wargi trochę się zwięzały w „mieszek”, a raczej marszczyły się, ale z rodzajem wyrozumiałości w stosunku do zabawnego ucznia, co pozwalało się domyślać, że on się uśmiecha. Gdy mówił, to znaczy wypowiadał nieliczne słowa, to zawsze trzymał (rysując na papierze) pióro jak można najdalej od stalówki i widziałem jego wąskie, długie, szlachetne palce, a na ich końcu długie i ostre paznokcie, bez najmniejszego brudu pod nimi, a paznokcie były przycięte „pod długość palców” (jakby przycięte z obu stron).

Uczyliśmy się z podręczników Radonieżskiego lub Uszynskiego:

„Chociaż jestem maleńkim człowiekiem, to mam 32 kręgi i 12 żeber”... I inne, wątpliwe wiadomości. W 3 klasie (brat Fiodor) on (Samojło) uczył botaniki. Istniał gruby podręcznik Grigoriewicza „Botanika”, ale to już były rzeczy niedostępne, na które nie mogłem spoglądać.

\* \* \*

916. Od trzech lat mam jedno marzenie. Być może, ktoś, kto mnie lubi (Florenski? Cwietkow?), spełni to marzenie. Z mojej kolekcji rzymskich monet trzeba wybrać 100 lub 200 egzemplarzy denarów konsulów oraz denarów Trajana, Hadriana i Antoninusa Piusa (są bardzo liczne). Każdą monetę trzeba umieścić w osobnym pudełeczku (mam ich duży zapas) i umieścić napis, co to jest za moneta („Rzymska republikańska. Ród patrycjuszów Manliusów”, „Juliusza”...). Dna tych pudełeczek należy pomazać gumą arabską i przykleić do niedużych oszklonych gablot – najpierw republikańskie w porządku alfabetycznym, a następnie cesarskie, w porządku chronologicznym. Gabloty należy zamknąć (mam ich dużo). Następnie ofiarować, to znaczy poprosić o przyjęcie kierownika Szkoły Grigorowskiego (teraz pensjonat? gimnazjum?) w Kostromie – dla tej szkoły. Trzeba też wezwać ślusarza i porozwieszać gabloty w korytarzu uczennic starszych klas, lub – gdyby były przeszkody – w jednej ze starszych klas, przybić gabloty do ścian, a od dołu zrobić małe „odchylenie” od ściany (przy gablotach są odpowiednie po temu elementy). W ten sposób

gabloty będą znajdowały się we właściwym położeniu. Nad gablotami należy umieścić nieduży wianek ze srebra – z pozostawionych przez mnie pieniędzy należy przeznaczyć na to 150-200 rubli – z tabliczką pośrodku i napisem:

Dla Szkoły Grigorowskiego  
od uczennicy z lat 1860-867  
**Wiery Rozanowej**

Wiera była szlachetna i delikatna. Przypominała swego starszego brata Kolę (godność), ale nie przypominała nikogo z nas.

\* \* \*

917. Sztejnauer mocno chwycił mnie za rękę. Patrzyłem na niego przerażony, nagle cały się spociłem. On był gładko wygolony, miał piękną głowę.

– Co ty robisz?

– Co takiego? – zapytałem, nie wiedząc o co chodzi.

– Chodźmy.

I pociągnął mnie do pokoju nauczycielskiego.

– Czy widzieliście takiego artystę? – zwrócił się ze śmiechem do innych nauczycieli. Wśród nich był też inspektor Aunowski. – On na mojej lekcji zaśpiewał piosenkę.

Zrozumiałem. Rzeczywiście, opuściwszy głowę najpierw cichutko, „pod nosem”, a potem coraz głośniej, w końcu na całą klasę zaśpiewałem:

W dół po rzece  
W dół po Kazance,  
Płynie błękitna łódź.

To jedna z tych piosenek, które lubiłem śpiewać w domu. Zupełnie zapomniałem, że jestem w szkole, że jest nauczyciel, że sam jestem gimnazjalistą.

Odezwała się we mnie „natura”...

Stałem w pokoju nauczycielskim, zupełnie załamany.

Myślę, że to było naturalne „wprowadzenie” do tego, co nastąpiło „potem”: czy mógłbym napisać „O rozumieniu”, gdyby zapomniał o swojej nauce...

Tak, rzeczywiście, wszystko, wszystko „potem”...

Ten pedagogiczny „folklor” poświęcam Florenskiemu.

\* \* \*

918. Stiepanow (matematyka) przyłapywał nas w następujący sposób. Miał wielką i czerwoną głowę, jak kula sera holenderskiego, i opierał ją na dłoni, postawiwszy łokieć na stole. My nie zauważaliśmy, że pozostawiał wąską szczelinę między palcami – i śledził nas „z boku”, *równocześnie będąc zwrócony twarzą do „tablicy”*, przy której uczeń mówił mu jakieś głupstwa.

Wtedy uczeń Umow, widząc, że są „sprzyjające warunki atmosferyczne”, wyrwał kartki i robił z nich rybki. Następnie spuszczał je na podłogę. W ten sposób na podłodze, u nóg ucznia, tworzyła się „nasza Swijaga” (lokalna rzeczka), a w niej rybki. Kiedy już wszystko było gotowe, uczeń spoglądał na Stiepanowa. Nauczyciel siedzi nieruchomo i z pogardą patrzy na długonogiego Pachomowa, który stoi przy tablicy i milczy, nie wie, co pisać i mówić.

Umow uważa, że „sprzyjające warunki atmosferyczne” trwają nadal, przyczepia do nitki zgięty drut i zaczyna łowić ryby. Zaczepia haczykiem o papier i wyciąga na ławkę.

Cisza. Raj. Szczęście. Patrzę z daleka i zazdroszczę. Zaczynam przygotowywać coś podobnego, chociaż wołałem „muzykę na stalówkach”.

Jak dobrze... Jak dobrze...

Nagle grom, gwałtowny, gwizdzący. Rzecz w tym, że Stiepanow ciągle jest nieruchomy i zapatrzony w tablicę. Tym bardziej nieoczekiwany jest jego wybuch:

– Umow, bałwan! Marsz do kąta! Marsz do kąta, bałwanie!

Umow aż podskoczył. Drży. Rybka wypadła mu z rąk.

– Ty tam, bałwanie, ryby łowisz, ryby łowisz!

– Mordą do ściany! Mordą do ściany!

Umow aż przyciska się do ściany. A ten przeklęty Stiepanow tak to robił, że cała klasa czuła się sterroryzowana – „przeklęta i skazana na śmierć”. Stiepanowa uważaliśmy za „Boga, który nas karze”.

Był zły i czerwony.

Na jego lekcjach nie miałem odwagi zajmować się „muzyką”. Byłem bardzo skromny, ponieważ nic nie wiedziałem z matematyki (nie rozumiałem). Zwykle „muzyka” wyglądała tak: stalówkę „N”(apoleon) przyciskało się do ławki, ostrze rozchyłało się, wciskano je w „szparę” ławki (jedno, dwa) i patrząc z uwagą na nauczyciela, mając wygląd „spokojnego ucznia”, zaczynało trącać

stalówkę, która wydawała dźwięki. Inny uczeń rozpoczynał taką samą „muzykę”, potem trzeci... Nauczyciel wychodził z siebie. Nie mógł jednak znaleźć winowajcy. Wszyscy mają twarze łagodne, spokojne i opanowane.

(w *Sybirsku*, 1871-72)

\* \* \*

[621.] Dyrektor zapytał Kostię Kudriawcewa na powtórny egzaminie:

– Proszę powiedzieć, co pan wie o *kumie*?

Kostia miał grubą twarz (szczególny model twarzy), włosy ostrzyżone na jeża, spojrzenie odważne i gwałtowne. A duszę miał łagodną. Uśmiechnął się i odpowiedział:

– Nic nie wiem,

– Proszę siadać. Wystarczy.

I postawił mu jedynekę.

Zrozpaczony Kostia mówił do mnie (czekałem na niego pod drzwiami):

– Cóż to za podlec! Gdyby powiedział do mnie *kwum* – to ja bym odpowiedział. Na temat *kwum* są trzy strony u Kremera (gramatyka). A on, czort jeden, wymówił – *kum!* (można i tak wymawiać, ale rzadko kto posługuje się tą wymową). Pomyślałem: „*kum!* – przyimek *z*”. Co o tym można powiedzieć, poza tym, że „*z* narzędnikiem”?... A to „rozumie się samo przez się”, więc uznałem za hańbę odpowiadać na takie pytanie w piątej klasie.

I wyrzucili. W tym czasie umarł jego ojciec. Więc Kostia poszedł pracować, żeby utrzymać matkę i rodzeństwo, najpierw – do policji, i pisał do mnie listy pełne rozpacz („Wasia, czy myśleliśmy, że przyjdzie mi pracować w przeklętej policji”), a potem – na pocztę, gdzie „zajmuję się sortowaniem” (sortowaniem listów według miast).

W tym czasie akuratny i dobry chłopiec „Sierioża Muromiec” uczył się (gdzieś) wspaniale, dyrektor głaskał go po głowie, skończył szkołę z medalem, w uniwersytecie – także – medal, a w końcu został profesorem, pozostającym „w pewnej opozycji”... I, potwierdzając Niekrasowa

...Do dobrego miasteczka  
Dopełniesz jak zaskroniec,

– został posłem I Dumy Państwowej. Wygłosił wspaniałe *mot*: „Duma Państwowa *nie może się mylić*”. Dlaczego mój Kostia zawałił egzamin państwowy??!

Tak, nie widział nic o *kum*: ale był on zręczny, silny, rozumny, taktyczny „we wszystkich sprawach świata”. A jak wspaniale pływał łódką! A jak – w ukryciu – pił piwo grając w bilard! I bez przerwy czytał.

Gdzie jest mój miły towarzysz?!

\* \* \*

919. Aleksander Piotrowicz, pobrzękując łańcuszkiem zegarka, zatrzymał mnie na korytarzu:

– Rozanow, nie popełniłeś ani jednego błędu w etymologii...

Stałem ze skromnie spuszczoną głową, jak Madonna na „Zwiastowaniu” Botticellego.

– Ale syntaksa... niemożliwa. Straszna!!! Dlaczego??!!

Milczę. Uśmiecham się przepraszająco.

Wszystko jest bardzo proste. Jak nauczyciel podyktuje temat, to moi biedni przyjaciele natychmiast przystępują do pracy i śpieszą się, śpieszą. A „zły Rozanow” wkłada chytrze ręce do kieszeni. Patrzy przez okno. Patrzy na słońeczko. Dopiero, gdy się całkowicie uspokoi, „przystępuje” do pracy.

Dobrze wiedziałem, że „za żadną syntaksę nie postawią dwójki” (nie mają prawa), dwójki stawiają wyłącznie za etymologię. Problem polegał na tym, żeby nie popełnić błędu etymologicznego. Ponieważ nie znałem *optativu* i *coniunctivu* – lub też pamiętałem coś w rodzaju „kaszy” (plątanina w głowie) – to ostrożnie nieco przeinaczałem frazy i wszędzie stosowałem „tryb oznajmujący”. Czort wie, jak mówili w moim wydaniu Persowie i Grecy, ale gryzący ze złością pióro nauczyciel nie miał prawa podkreślić dwoma linijkami („poważny błąd etymologiczny”) żadnego słowa.

Biedny był ten Aleksander Piotrowicz (Zabołocki) – zmarł na owrzodzenie żołądka – w Wiaźmie. Był bardzo dobry i łagodny dla uczniów. Uczniowie natomiast strasznie go dręczyli. Stąd – choroba. Już dwadzieścia lat przed śmiercią on ciągle niedomagał na żołądek i jeździł do Jessentuki leczyć „katar żołądka”. Nie był to jednak katar, a początek owrzodzenia żołądka. Całe jego życie było przyćmione i nieszczęśliwe.

(egzamin dojrzałości z języka greckiego)

\* \* \*

[619.] Mamusia nigdy nie potrafiła odróżnić *klębów* pary od dymu i po wejściu do łaźni, gdy leżałem sobie na półce, krzyczała ze strachem: „Co za czad!...”. Nie potrafiła też otworzyć żadnego zamka, jeśli nie otwierał się on na skutek prostego obrócenia klucza w prawo. Kiedy jej powiedziałem, że pewne

słowo należy pisać przez „x”, a nie przez „ks”, to ona wszędzie pisała „x”. Kiedy więc powiedziałem, że lepiej już wszędzie pisać „ks”, to ona nie zechciała zmieniać swego nawyku i wszędzie pisała „x”.

Zresztą nie mogła wniknąć w żadne *chytryści* i w żadne *głupoty* (szczegóły): słuchała o nich jednym uchem i nawet nie usiłowała zająć nimi *umysłu*.

Ale to ona znalazła dla dzieci *najlepsze szkoły* w Petersburgu. Poszła do Sztemberga (dla Wasi). Spodobał się jej dyrektor. Gdy jednak wyszła na boisko, w czasie przerwy, to zaczęła obserwować uczniów i po przyjściu do domu powiedziała, że „wszystko dobrze, i dyrektor, i porządek”, ale „*zespół kolegów będzie wulgarny*”. Poszła do szkoły Tieniszewej – i zdecydowanie powiedziała: „Tutaj”. Dla dziewczyn wybrała gimnazjum Stojuninej, a dla nerwowej, padającej na bok Tani, jak i dla gwałtownej Basi wybrała szkołę Lewickiej. I rzeczywiście, *cechom* dzieci odpowiadały *cechy* szkół, ona ich nie odgadła, a zdecydowanie sprawdziła.

Zdecydowanie w opiniach i czynach – to jej stała cecha. Żadnej kaszy i mamlenia, braku zdecydowania i wahań. Nigdy „natychmiast”, „z hazardu”, „nagle”. Zastanawiała się zawsze 2-3 dni, podczas których bardzo usilnie rozmyślała.

A zamka nie umiała otworzyć: bo to rzeczywiście jest *głupota*. Przecież zamki powinny się po prostu *zamykać*, i – *tyle*, to znaczy zawsze „w prawo”, a co jest ponadto, to „od złego”. A ona nie rozumiała tego, co „od złego”.

Kiedyś coś mi zagrażało i podczas rozmowy powiedziałem jej, że kupię sobie rewolwer. Nagle wieczorem ona wchodzi z płonącym obliczem do mojego mieszkania w domu Rogaczowej. Ledwo mnie pocałowała i mówi:

– Rozmawiałam z Tichonem (brat, prawnik)... On powiedział, że to *pachnie Sibirią*.

– Syberią...

– Sibirią... – poprawiła mnie – obojętna, jeśli chodzi o prawidłową wymowę, gdyż zawsze mówiła tak, jak kiedyś usłyszała. Była zajęta myślą o zsyłce, a nie gramatyką.

Mocno ją uścisnąłem i obsypałem pocałunkami. Do dzisiaj trwoga o los ukochanego człowieka jest dla mnie niepodzielna z określeniem „pachnie Sibirią”.

Cała płonęła i zabraniała (kupić rewolwer). Zresztą nie umiałem strzelać.

Skończyła 3 klasy gimnazjum. W szkole wszystko brudziła (mazała ławkę atramentem), gdy zauważyła, że Iwan Iwanowicz (Leonow) prowadząc lekcję

opierał się palcami o ławkę (był ogromnego wzrostu i gruby). Ciągle brudził sobie palce. Poskarżył się dyrekcji. I postawili jej z zachowania „4”. Mama (Al. Adr. Rudniewa) wyobraziła sobie, że „4 z zachowania w wypadku *dziewczyny*” musi być aluzją do „VII przykazania”, obraziła się i powiedziała:

– Tak nie może być. Zabieram cię z gimnazjum. Oni *nie mają prawa demoralizować dziewczyn*.

Wypadło to na początek jej miłości do Michała Pawłowicza. „Mama, zdarzało się, pośle mnie po nici, a ja korzystam z okazji i szybko biegnę do Czarnej Słobody, żeby choć spojrzeć na dom, w którym on mieszkał”.

\* \* \*

[609.] A jednak zadziwiający jest brak przenikliwości naszych krytyków... Jestem dobry, a przynajmniej całkowicie dobrotliwy. Nawet osoby, które przyczyniły mi niezliczoną ilość cierpień i poniżeń – Afonka i Tercjusz – nie budzą we mnie specjalnej złości, a wyłącznie śmieszność i „nie pragnę nawet popatrzeć”. Nigdy nie pragnąłem ich cierpień. Struwe – no, tak, chciałbym go uderzyć, ale dobrodusznie, w plecy. Boże, gdybym miał go „uderzyć”, to bym się rozplakał i powiedział: „Uderz mnie dwa razy silniej”. W ten sposób *zemsta* nigdy nie przychodziła mi do głowy. Przychodziła jedynie w stosunku do urzędów, państwa, Kościoła. Ale to nie są – osoby, to nie jest dusza.

W ten sposób moją *istotą* jest dobroć – najzwyczajniejsza, bez „dwuznaczności”. Cierpienie żadnego człowieka nigdy nie było dla mnie *radością* – a przecież w tym cała rzecz, w tym istota „demonizmu”. Jestem go zupełnie pozbawiony – aż do *nie wyobrażania go sobie u kogokolwiek*. Wydaje mi się, że wszystko to zostało wymyślone, przede wszystkim przez szlachciców, jak Byron – i przez *młodość*. „Były bajki o duszkach, a potem wymyślili coś bardziej interesującego – demona”.

Smutny i tak dalej

.....

Tymczasem wszystkie artykuły na mój temat zaczynają się od określeń: „*demonizm* Rozanowa”. Szukają go, szukają. Czytam i po prostu nic nie rozumiem. „To – nie ja”. Wrażenie do tego stopnia *obce*, że wydaje mi się dziwnym, iż stoi przy nim moje nazwisko. Piszą o „krowie”, że ona „skacze”, a nawet w tajemnicy „tańczy”, a przede wszystkim – ma „kły” i „po nocach jej oczy świecą zielonym blaskiem”. To bardzo dziwne i niedorzeczne, a takie wrażenie wynoszę z lektury wszystkiego, co napisali o mnie Mereżkowski, Wołoski, Zakrzewski, Kuglarski (tylko u Czukowskiego jest 8 wierszy osobistych i prawdziwych – o ciśnieniu krwi, o temperaturze, o wielości serc). Z Nietzsche... żadnego podobieństwa! Z Leontiewem – żadnego podobieństwa. Ja tylko go lubię. Ale podobieństwo i „lubię” – to różne pojęcia.

Jestem bardzo przeciętnym człowiekiem; proszę pozwolić, że podam swój pełny tytuł: „Radca kolegialny Wasyl Wasiljewicz Rozanow, piszący utwory”.

A teraz, o tych „utworach”... Tak, wiele spraw przyszło mi do głowy, które wcześniej *nikomu* nie przychodziły, w tym także Nietzsche i Leontiew. Ze względu na złożoność i ilość myśli (punktów widzenia, deseń tkanki myślowej) uważam się za *pierwszego*. Niekiedy mi się wydaje, że zrozumiałem *całą historię* tak, jakbym „trzymał ją w ręku”, jakbym *sam tworzył* historię – z takim samym uczuciem pokrewieństwa i całkowitego zrozumienia. W tym wypadku decydowała moja „sytuacja” („przyjaciół” i historia z nim), a więc przychodziły odpowiednie *myśli*, a to – nie *ja sam*. Ja jestem dobry i mały (*parvus*): a jeśli „myśli” są rzeczywiście wielkie, to czyż chłopiec nie „odkryje słońca” i „gwiazd”, całych „niebios” i to, że „jabłko spada” (odkrycie Newtona), a nawet to, co trudniejsze i głębsze – pierwszą modlitwę. To ja jestem takim „chłopcem, któremu nikt nie utarł nosa” – „wszystko odkryłem”. To jest moja *sytuacja*, ale nie – *ja*. Z tego powodu uważam, że jestem „w Bogu”... Mam głębokie przekonanie: Bóg *dlatego* skierował mnie (dosłownie wzięwszy za rękę), *abym* spotkał się z „przyjacielem”, *abym* nieskończenie naiwnym i dobrym wzrokiem *zobaczył* „morze zła i zguby”, a przecież – *ukryte* „przed mądrymi ziemi”, o czym nigdy nie mieli nawet najmniejszego pojęcia wiejscy duchowni, a także „święci” ich kategorii – nikt się nigdy nie domyślał, uważając wszystko za „empirię”, „przypadek” i „zdarzenie”, podczas gdy jest to istota, dusza, i to z *samego źródła*. Posłuchajcie, ludzie, *co jest dla nas najbardziej przekonujące?* Coś, co sami żeśmy zobaczyli, poznali, dotknęli, powąchali. Jednym słowem: *wiem* – i basta. Jak dla bandyty jest jasne, że może otworzyć każdy zamek; dla ekonomisty – że nie pomyli się na giełdzie; dla Marksa – że robotnikom należy dać władzę. Każdy człowiek posiada taką wiedzę, która jest owocem jego życia, właśnie *jego*; doświadczenia, cierpienia, węchu i spojrzenia. Dla mnie (przecież znam *samego siebie*) było jasne w Jelcu w 1886-1981 r., że ja – ginąłem, że ja – nie jestem potrzebny, a w końcu, że jestem – zły (wtedy był „demonizm”), że przecież ginę, być może w nierządzie, w kartach, a raczej w jakimś nędznym pyle powiatowym, napisawszy jedynie swoje „O rozumieniu”, z którego wszyscy się śmieli...

920. Wtedy żyłem porzucony, opuszczony – *bez mojej* winy. Przyszedł człowiek i zrobił świństwo.

Nagle spotykam, przy śmierci kogoś *trzeciego* (przyjaciela), łzy... Zdziwiłem się... „Czym są łzy?” „Ja nigdy nie płaczę”. „Nie rozumiem, nie czuję”.

Cały skamieniałem w mojej złości i opuszczeniu, i marnych „kartach”.

Płacz – przy grobie kogoś *trzeciego* – był dla mnie jak jabłko dla Newtona. „Tak więc, można współczuć, płakać”... Zdziwiony, porażony („moment Newtona”), zacząłem wnikać, przysłuchiwać się, patrzeć.

*To też jest los, to też jest opuszczenie.* Jednak reagująca na zło płaczem, bez osądzania, bez wątpliwości, bez żadnej złości, bez domyślania się, że w świecie jest złość, oto „demonizm”, oto „opętanie”.

Wyciągnąłem dłoń – długo nikt jej nie uściśnął z powodu braku przekonania. Przecież ja chodziłem w głębokich kaloszach gumowych w czerwcu i w ogóle byłem „kukłą”. Zresztą „nie można było” (administracja). Jednak wahania szybko minęły: wydarzyło się (z powodu nerwowości) nieszczęście (po kilku miesiącach okazało się urojeniem) – które, można tak powiedzieć, „gumowe kalosze” wydłużało do otchłani i sprawiało, że byłem „niemożliwy”. Ale „łzy po kimś trzecim” zadecydowały o wszystkim: właśnie gdy wszystko wydawało się „zniszczone i zgubione”, i to do skończenia świata, kiedy *podejść do mnie* znaczyło *zginąć samemu* (szczególna tajemnica osobista), i ja o tym wszystkim szczerze opowiedziałem – ręka została uciśnięta ze słowami „wahania się skończyły”. Dalej, więcej, lata, a nagle „brody-łopaty” mówią:

– Stop!

Nie zwracam uwagi, ale po nich oświeceni ludzie, jak S. A. Racziński, mówią:

– Nie wolno!

– *Co to takiego?* Przecież nie jestem „chłopczykiem w spodenkach”, który nic nie rozumie i nic nie osiągnął. Nieskończenie naiwna natura (ja) musiała zderzyć się z faktem, żeby zrozumieć... że „przecież to jest coś sztucznego, że jabłko spada w dół, gdy oderwie się od gałązki: naturalne byłoby, gdyby pozostało w powietrzu, a jeśli już leci, to dlaczego nie w górę, a w dół. To oznacza – że *ziemia przyciąga*”. Zrozumiałem (jako pierwszy), że rzecz nie w „brodach-łopatach”, którym „wszystko jedno”, i nie w Raczińskim, który jest szlachetny, dobry w stosunku do mnie, a w czymś innym, z czego Racziński nie chciał zrezygnować, a „łopaty” są przystawione „do tego parkanu”. Komuś dalekiemu-dalekiemu, czemuś wielkiemu-wielkiemu potrzeba...

– Czego potrzeba?

– Grajcie sobie, jak dawniej, w preferansa, i zginiecie, a zresztą, czy mało ludzi ginie? I ten pański „przyjaciół” (już wtedy z ukrytą chorobą)... też zginie... No i cóż?... Przecież tak *jest, bywa* – bywa śmierć i choroba, i nierząd, i pustka życia lub twarzy... Cóż w tym szczególnego, dlaczego od razu trzeba się denerwować?...

– Ależ nie, rzecz w tym, że byłem zły, wściekły, zapomniałem o *Bogu*, nie potrzebowałem *ludzi*... A teraz jestem w pełni *wasz*, z ikonami, lampką oliwną, chrześcijaństwem, Chrystusem, z Kościołem... Jestem – *wasz*...

– A właśnie, że nie „*nasz*”, takiego nam w ogóle nie potrzeba, jesteście *razem, zjednoczeni*. Będziecie „*nasi*” dopiero wtedy, gdy *się rozejdziecie*”.

– „*Rozejdziecie się?*... Znaczy – znowu złość, ateizm, szkodzenie ludziom...

– To już jest nasza sprawa, wszystko bierzemy na siebie. Pomodlimy się w kwestii pańskiej złości, i ateizm omodlimy, wszystko dobrze się skończy, po cichu i bez uszczypliwości. *Któż*, w końcu, nie szkodzi ludziom, czyż wszyscy właśnie tak nie wierzą, jak my? Obejdzie się. Porządek zostanie zachowany: a jeśli pan zginie po rozejściu się, to przecież ciągle ginie dużo ludzi. Nic w tym nowego, a nawet, proszę wybaczyć, nie ma w tym nic interesującego.

Oczywiście, przy „*uporze*” można byłoby „*przełamać*” i wyszłoby chamstwo, ale nie byłoby to żadnym odkryciem. Ale ja byłem łagodny – a także naiwny lub „*naturalny*” (dziki człowiek) – i przez całe lata *nic* nie zauważyłem... Jak i całe lata później dokonałem swego „*odkrycia Newtonowskiego*”, że „*jabłko spada prosto na ziemię*” z **konkretnego powodu**.

Pewnego razu stałem w cerkwi z Tanią, która miała wtedy trzy lata.

Nabożeństwa nie było, ale cerkwi nigdy nie zamykano. Było to w Petersburgu, na stronie Petersburskiej. Szczególnie – cicho, szczególnie – sam. Lubiłem chodzić do cerkwi z Tanią, która była chudziutka i pełna gracji, baliśmy się, że zachoruje na zapalenie opon mózgowych, jak pierwsze dziecko i właściwie nie wierzyliśmy, że „*wyżyje*”. Jest cicho-cicho... Pięknie... Nagle w tę ciszę i spokój kapnęła jakaś kropka, jakby jakiś głos wyszeptał:

„...wy tutaj – jesteście *obcy*. *Po co* tutaj przyszliście? Do *kogo*? Nikt was *nie oczekiwał*. Nie myślcie sobie, że „*tak należy*”, że przychodzicie „*we dwójkę*” jako „*ojciec i córka*”. Jesteście – „*smutasy*”, ciągnie od was „*smutkiem*” właśnie dlatego, że jesteście „*ojcem i córką*” i tak rozpasaliście się „*odważnie we dwójkę*”.

Nagle ikony jakby zaczęły ciemnieć i marszczyć się z powodu obrazy, jaka je spotkała... Zamknęły się przed nami... Odeszły do swojej „*prawidłowości*”, gdyż my „*nie byliśmy prawidłowi*”. Odeszły, wyobcowały się... jakby wskazały lub powiedziały: „*Tutaj nie jest wasze miejsce*, ale innych ludzi, autentycznych, wy natomiast idźcie gdzieś indziej, a gdzie – nam jest wszystko jedno.

Powtarzam, że bandyta wie, jak „*otworzyć zamek*”, a kto „*modli się*” i jest szczęśliwy – też wie, że właśnie on się modli o właśnie on jest szczęśliwy,

że jest mu „dobrze na duszy” i w ogóle w tej chwili, być może *tylko w tej chwili w życiu* – on sam jest dobry.

Znowu kładę nacisk na to, że rzecz dotyczy łagodności, a ja zawsze byłem człowiekiem łagodnym, spokojnym, posłusznym i kochającym pokój. „Jak wszyscy”.

Gdy usłyszałem ten głos, być może mój własny, ale *po raz pierwszy wypowiadający tę myśl*, bez wstępu i przygotowania, jako „nieoczekiwane”, „nagle”, „skądś” – to wyszedłem z cerkwi, nagle obłany jasnością i dumą oraz *jako zwycięzca*. Zwycięzca tego, czego nikt nie zwycięża – nawet tego, *kogo nikt nie zwyciężał*.

– Pójdźmy, Taniu, stąd...

– Pora do domu?

– Tak... pora do domu.

I wyszliśmy. Cała rzecz w „kluczu”, który *otwiera drzwi* i – „w łagodności”, *którą znałem*.

– Łagodność mam ja, a u was – ściany. U mnie jest – modlitwa, a u was znowu – ściany. Bóg jest ze mną. I religia jest we mnie. Cały los „sprowadził się” do tej chwili. Żeby to, co jest tajemnicze, w końcu stało się jasnym, dotykającym, oczywistym, do powąchania.

– Jesteście okrutni i pełni pychy (*ja mam „klucz”*)... Właśnie – jesteście zimni... Nie ma w was Boga, sami zresztą też nic nie macie, poza słowami... obietnicami, nadzieją, pustką i dzwonem. Wy wszyscy i cała *pełnia waszych środków i narzędzi*, waszych bogactw i bibliotek, uczoności i mądrości, a nawet samych, jak mówicie, „sakramentów dających łaskę”, nie mogą uczynić kropelki dobra, żywego, realnego, jeśli ma być ono *nowe, a nie według szablonu i na podstawie dawnych przykładów*: rzecz nie w tym, że „nie możecie”. Wy wszyscy, „brody-łopaty” jesteście dobrzy sami ze siebie lub też jest wam „wszystko jedno”, a coś was powstrzymuje i łatwo czynicie *nowe zło*, jak odebraliście duchowieństwu w Petersburgu pieniądze, które ono nie otrzymuje z parafii, ale jeśli chodzi o nowe dobro, to wasze ręce są związane przez jakąś straszną, wam samym nieznaną siłę, która jest tak samo „daleka”, „niedotykalna” i „nieogarniona”... jak przyciąganie ziemi. *A ja to odkryłem* i od tego zaczyna się nowa era *rozumienia świata*, wszystko – nowe, zaczynaj liczyć: „pierwszy rok”, „drugi rok”. A to wszystko wydarzyło się w 1896 lub 1897 r.

\*

921. Ach, jak mam tego wszystkiego dość, jakie jest mi to obce!

*(teraz i często – o chłampie rwącym się z ulicy do domu: listy od obcych ludzi z prośbami o „recenzje”, a także o „załatwienie*

\* \* \*

922. Z jakiegoś powodu w wypadku mamy przerażenie było twórcze, a w moim wypadku było paraliżujące. W jej wypadku przerażenie przechodziło w wybuch działania, a przy tym bardzo sensownego, a w moim wypadku – w bezsilne łzy, rozpacz, pisanie (skarga, opowieść).

Taka była jej historia z Szurą (klecha, omdlenie, Mierzejewski) i historia z wyrokiem Anfimowa (wykrycie jej choroby w 1897 r. w Piatigorsku): powiozłem ją gruzińską drogą wojenną i na Krym, żeby „pokazać całe piękno świata” przed powolnym odchodzeniem. Ale nie potrafiłem walczyć. Żeby walczyć, trzeba iść równym krokiem: a mnie trzęsło i kładłem się jak chory.

\* \* \*

[527.] Z wybałuszonymi oczyma i oblizuje się – oto moja powierzchowność. Nieładnie? Jedynie z ogromnym wysiłkiem mogłem się doprowadzić, na godzinę, na dwie, do *comme il faut*.

\* \* \*

[607.] ...„dawajcie książkom wysokie ceny”. Jest to rozmysłne: książka – to nie taniocza, nie nierząd, nie lura, która kusi „zaniedbanego człowieka”. Nie panna z cyrku, która kusi swoją tanioczą.

Książkę trzeba szanować, a pierwszą tego oznaką jest gotowość zapłacenia za nią wysokiej ceny.

Następnie, trzeba powiedzieć: moje książki – to lekarstwo, a lekarstwo jest droższe od wódki. Przygotowanie też jest bardziej złożone, a i użyte substancje (dusza, mózg) są cenniejsze.

\* \* \*

923. Babcia nazywała ją „Saniuszą”, my – „Szurą”, ale ona sama nigdy tak siebie nie nazywała i nie podpisywała tak swoich listów. A – lub „Ala”, lub powściągliwie – „A”. Tak nazywały ją przyjaciółki, poczynając od wstąpienia na francuskie kursy. „Zenia” i „Marta”, potem tylko „Zenia”, później przez długie lata tylko „Marta”, a potem – „Wiera” i wszystko opanowała „Żenia”, a w końcu „Natasza”. „Ala”, „Alecinka”, „nasza Ala”, „moja Ala”. Dzieci też zaczęły ją nazywać „Alą” i „Alusią”.

A ona po prostu kąpała się w tych swoich różnych imionach.

Ale zaczęła chudnąć. Teraz ma już 30 lat, ale przy swoim wysokim wzroście jest lżejsza, niż 13-letnia Nadia.

Dlaczego – nikt nie wie.

Ona jest smutna i wesoła. Chora i ciągle rozkwitająca.

Do domu ona tylko wpada.

– Co, mamusiu, lepiej? O, tak, oczywiście, lepiej. Dzisiaj możesz siedzieć (to znaczy: nie leżysz). Znacznie lepiej...

I odwraca się, łowi uśmiech przyjaciółki.

– To nic, mamusiu, ja przyjdę! Przyjdę! Dzisiaj śpieszę się do biblioteki. Do widzenia! Nie będę jeść śniadania.

I już trzasnęły drzwi.

Ona zawsze była *odchodząca*, lub – przemykająca się.

.....

.....

[564.] Bywało:

– Waria! Znowu dziurawe rękawiczki? Przecież kupiłem tobie nowe!

Milczy.

– Waria! Gdzie rękawiczki?

– Oddałam Szurze.

Miała 12 lat. Ona była – „dama” i „kobietą”.

Zawsze chodziła jako „dama w podartych rękawiczkach”.

A teraz (2 lata) ciągle leży, ręce zaciśnięte w pięści.

\* \* \*

[576.] Nie każdą myśl można zapisać, a jedynie taką, która jest muzykalna. I nikt nie powtórzy „Odosobnionego”.

\* \* \*

924. „Nasz Dobczyński wszędzie dotrze”...

Zaczynał jako socjaldemokrata i był nim chyba do czterdziestki. Ale ciągle polemizował z Michajłowskim, a Michajłowski go w ogóle nie zauważał. Wtedy zaczął zwracać się ku państwu i ludowi. Obecnie jest jednym z najgwałtowniejszych publicystów-nacjonalistów i działaczy państwowych. Na wszystko się rzuca. I nikt go nie zauważa.

To jest fatum. Być niezauważanym.

Czy jest on rozumny? W każdym bądź razie nie jest głupi. Nie uczył się w żadnych szkołach. Ale dużo czytał – broszurek, a także gazet. Niekiedy nawet próbował czytać poważne książki.

– „Mówię Stołypinowi”...

– Aleksandrowi Arkadiewiczowi?

– Nie-e-e! (słodko): Pio-tro-wi Ar-ka-die-wi-czo-wi! Mówię mu: „Zupełnie nie zgadzam się z pana programem”.

Nasz Dobczyński doszedł aż do tego. „Jak on trafił do Stołypina?” Nie jest to wcale proste. I po co? Znaczący, prosił o audiencję. Ale, po co? Żeby powiedzieć: „Nie zgadzam się z panem”. A przecież Stołypin dobrze wiedział, że „z nim wielu się nie zgadza”. Po więc to powiedział? Żeby Stołypin wiedział, że to właśnie Dobczyński „nie zgadza się”.

To właśnie jest – Dobczyński.

A jaki ponury. Milczy. W jakich łachmanach chodzi. Czytając „gromiące go artykuły” nawet się nie domyśla, że chodzi o jego skromną osobę.

Czy tylko mnie powiedział, że „był u Stołypina, był przez całą godzinę”?! – i że „powiedział Stołypinowi, że nie zgadza się z jego programem”? Ze mną spotyka się rzadko, a to znaczy, że mówił o tym wielu ludziom. W tym i haczyk.

Biedny Dobczyński.

A równocześnie jak on płonie w artykułach! A mówiąc dokładniej – „szybko biega w artykułach”. Bliźni go zapewniają, że jest „najszlachetniejszym człowiekiem w Rosji”. Nie będę się spierał. Nie wiem. Wydaje mi się zresztą, że to w ogóle nie ma znaczenia, czy Dobczyński jest szlachetny, czy też nie jest.

(Hofszetter)

\* \* \*

925. Mamusia! Mamusia! Nasza wieczna mamusia.

Jeden obraz – jak modliłaś się w Nauheimie, Monachium, w domu, wszędzie... Ten obraz (dzieci go nie widziały) przeszył moją duszę jak rozpalona igła. Mamusia modli się, a ja... Mamusia ciągle chora, a ja jestem ciągle zdrowy. I to straszne (wtedy, zawsze), jak huragan, uczucie: zamienić świat na „mamusię”, wszystko rozbić, wyrzec się wszystkiego, *odejść od wszystkiego* – aby być z „mamusią”.

Być z *modlitwą* i z *bólem*.

To jest ostatnia prawda mego życia. Po niej, co jest naturalne, wszystko przeżyte przez mnie nazwałem „fałszem”.

Zostałem posłany na świat dla „mamusi” i więcej dla nikogo: wręcz namacalnie – uzbierać 35 000 i jeździć do szpitala. No, i dusza...

\* \* \*

926. – Już czas – powiedziała mama.

Poszliśmy do parku miejskiego. Miałem na sobie czarny surdut i letni płaszcz. Ona w białym płaszczu, na który coś narzuciła. Początek czerwca. Egzaminy skończone, żadnych trosk na duszy. Przyszłość wydaje się świetlana.

Słońce paliło niemiłosiernie. Spacerowaliśmy główną aleją i już zrobiliśmy dwie rundy, kiedy w „bokówce” Iwana Pawłowicza otworzyło się okno, w którym pokazał się on sam, zakrywając swoją „tubalną postacią” całe okno. Śmiał się i kiwał na nas.

Po minucie był z nami. Ogromny, wesoły.

– I będą korony, Iwanie Pawłowiczu?

– Oczywiście!

Zrobiliśmy jeszcze jedną rundę. – „No, to chodźmy”. Weszliśmy za nim na podwórze. On podszedł do stróżówki. – „Taki i taki (imię i imię ojca), proszę o klucz od cerkwi”.

Staruszek podał ogromny klucz, jak „od twierdzy” (widziałem w soborach: „Klucz od takiej to twierdzy, wzięty przez wojska rosyjskie”).

– Idziemy, pokażę wam.

Ciężkie drzwi otworzyły się z trzaskiem. Ja stałem... A on zamknął drzwi. „Mocno”. Twarz w uśmiechu, żadnego śladu lęku. Zwróciliśmy się obaj w stronę schodków:

Moja Waria klęczy... Jak tu wejść na schodki – stopni 6 – a na ścianie ikona. Gdy ją zobaczyła, „żegnając się znakiem krzyża” Waria rzuciła się na kolana i coś gorąco, płomiennie szeptała.

A ja „nic”. Też się przeżegnałem.

Weszliśmy.

Przed boczną ikoną „czerwone sukno”. Iwan Pawłowicz wcześniej opowiadał: „Nie ma parafian. Tylko z przytułku. Myślałem, myślałem: ta ikona jest najbardziej widoczna. Na schodkach prowadzących do ikony też położyłem czerwone sukno, od dolnej ramy do podłogi też dałem czerwone sukno. I naród ruszył. A przedtem nabożeństwa były monotonne. Nikogo. Teraz będzie dużo świec – wszyscy przychodzą do tej ikony – tłumy, tłumy.

– „Wszystko będzie, jak trzeba”. I zaprowadził mnie do prezbiterium. *Silentium*.

I wszystko było dobrze. Cicho. On wszystko głośno czytał, za kapłana, za diakona i za chór (czytał). Według trebnika – który mi podarował, w ciemnozielonej oprawie (chciałem się sfotografować z tym trebnikiem, gdy Bakst malował mój portret). A zawsze najlepszy jest – koniec.

On wszystko robił poważnie, a w tym wypadku *jeszcze* poważniej. Kiedy napiliśmy się wody, powiedział: „Proszę poczekać”. Zatrzymaliśmy się. A on powiedział:

– Proszę pamiętać, Wasylu Wasiljewiczu, że moja droga bratowa (wdowa po zmarłym bracie) nie ma żadnej innej opory w życiu poza panem, poza pana miłością do niej i opieką. Pański obowiązek wobec Boga – zawsze ją ochraniać. Innych chroni prawo, ludzie. Ona jest sama, ma na całym świecie tylko pana. Pocałujcie się.

Nigdy nie zapomnę tych słów. Od tej chwili on stał mi się bardzo drogi, jak krewny. On już umarł (zjadł rzodkiewki po tyfusie). Wieczny mu odpoczynek.

Wyszliśmy. On zamknął drzwi. Spokojnie oddał klucz staruszkowi, który pokazał się w drzwiach. Nie było nikogo. Ani na dworze, ani w domu. „Panie z przytułku” gdzieś się podziały (pojechały na daczę?). I sama Kałabina – też na daczę. To ona, 2-3 lata później, posłała mi „pierwsze rzodkiewki”. Bardzo go lubiła i szanowała za jego niezwykłą moralność.

– No, Bóg z wami. Żegnajcie. Wsiadliśmy do dorożki i wrócili do domu. Także nasz domek naprzeciw cerkwi Wwiedienskiej) był pusty. Saniuszę wysłaliśmy do Kazaków (do wujka). Mama:

– Już po wszystkim?

– Tak.

I nas pocałowała. Nie pamiętam, czy wtedy (to znaczy: po wizycie w cerkwi), czy też przed wyjazdem, ona klęczała przed ikonami i gorąco modliła się za swoją Warię, ciągle podnosiła ręce: wtedy zauważyłem, że w gorącej modlitwie ludzie zwracają *dłonie do ikon* („W świecie tego, co niejasne i nierozwiązane”). Właśnie ona tak się modliła... Jej modlitwa była piękna, ona cała, miła staruszka (wtedy po prostu starsza kobieta, miała 55 lat), była piękna, natchniona i mądra.

Jej ojcem duchownym był ojciec Iwan (Wukołow), „wysoki siwy kapłan” (porównaj koniec „Legandy o Wielkim Inkwizytorze”). Ona wszystko mu powiedziała, już wcześniej go się radziła, a potem dopowiedziała.

On kiwał głową.

– Dlaczego tylko diak?

Ona była mądra i odpowiedziała:

– Mimo wszystko pochwalam. Przecież sprawa jest straszna.

Tymi słowami wyprowadziła go z nieprzyjemnej sytuacji. On powiedział:

– Tak, tak! Oczywiście! Cóż robić?

Iwan Pawłowicz był jego krewnym. Dalekim.

Pobyli u nas.

– No, cóż. Trzeba zjeść obiad. Druga godzina.

I pobiegła na dół, do kuchni.

Zjedliśmy obiad.

– Pójdę do kuchni, poznoszę naczynia. Zmęczyliście się, musicie odpocząć. A Wasyl Wasiljewicz zawsze śpi po obiedzie.

I pocałowała mnie.

Położyliśmy się.

Pospaliśmy.

– Tak, mamusiu. Prosimy o herbatę.

Napiliśmy się.

– A teraz idźcie na spacer.

Poszliśmy.

Całe miasto wesole. I ja się wystroiłem, i Waria się wystroiła. Pojechaliśmy do męskiego monasteru – pierwszy raz. Niedaleko za miastem. Weszliśmy w aleję ogromnego sadu: patrzymy – spaceruje Iwan Pawłycz. Porozmawialiśmy, pożartowaliśmy. Igumenem monasteru był... nie pamiętam, ojciec Józef, chyba – ojciec Dawid (jeśli to możliwe). Imię na pewno było patriarchalne. Nauczyciel Morrison opowiadał, że oni „zawsze jeżdżą do monasteru, kiedy mają pieniądze”. „Samotność” i „wszystko można”.

Iwan Pawłycz był bardzo wesoły. My radośni. Porozmawialiśmy. Wróciliśmy do domu.

Teraz sobie przypominam, że egzaminy jeszcze się nie skończyły: dlatego, że pewnego rano usłyszałem zza drzwi strwożony głos mamusi:

– Dziewiąta!! To nie chodzi o mnie!!! On musi iść do gimnazjum!

Po pięciu minutach – samowar. „Do końca egzaminów” było nie więcej, niż tydzień. Tyle przeżyliśmy we troje: ja, Waria i mamusia. Saniuszę zatrzymali w Kazakach.

Mamusia była cierpliwa. Jak ja ją, miłą, Kocham (i codziennie wspominam). Otworzyła drzwi, śmieje się cicho, zwraca się do mnie:

– Podoba się panu Waria?

– Po-po-doba...

– No, cóż, staruszka (27 lat). Trzeba by znaleźć młodszą.

I śmiech. I śmiech.

– A czy *pan* jej się podoba?...

W mojej duszy jakaś nieśmiałość.

Zawsze i teraz, i potem, ona była przy nas. Strasznie kochała swoją Warię. Jeszcze przed ślubem mówiła:

– Waria nigdy nie była wesoła. Zdarzało się, że zbiorą się dziewczyny – rozmowy, szum. Ona siedzi gdzieś sama, w kącie.

A Waria opowiadała:

– Do 13 lat, już duża, ciągle grałam „w klasy”: rysowałyśmy na dworze kwadrat, potem dzieliłyśmy. Trzeba było na jednej nodze przeskakiwać z klasy do klasy. Już wtedy kochałam Michała Pawłowicza.

Mamusia o niej:

– Nic mi „nie wychodziło”. Ślubowałam więc Barbarze wielkiej męczennicy, że jak zajdę w ciążę, to pojedę pokłonić się jej relikwiom w Kijowie. I zaszłam w ciążę. Przedtem leczył mnie młody lekarz, Żyd, bardzo się mną zajmował. Ciągle mi powtarzał: „Pani będzie zdrowa”. A ja mu odpowiedziałam, że to „wbrew Bogu, nie mogę tak uważać”, już „lepiej być chorą”. Wcale nie mogłam wychodzić z domu, jak trzeba było kupić materiał na płaszcz, to Dymitr Naumycz przynosił materiał do domu. Zaszłam w ciążę i w jej połowie pojechałam do Kijowa: gorąco modliłam się, żeby donosić. I doniosłam. Nazwałam ją „Barbarą”, bo pomogła mi święta Barbara.

Kiedy byłem w Kijowie (Waria była już chora), gorąco modliłem się przed tymi samymi relikwiami o wyzdrowienie „służebnicy Bożej Barbary” i o „zdrowie staruszki Aleksandry”.

Był tam bardzo dobry mnich. Dałem 3 ruble – żeby „się modlił za chorą”.  
A on dał mi dla chorej wody święconej.

Tak u nas wszystko „wyszło”. I strasznie, i dobrze.

*(głęboką nocą)*

\* \* \*

[832.] – „Ty teraz nie doświadczasz już szczęścia. Dlatego wspominasz przeszłość”.

*(mama, po przeczytaniu urywka o Iwanie Pawłowiczu  
i o „całej sprawie” w Jelcu)*

\* \* \*

[755.] – Wasia, wyjdź, a ja sobie pojęczę.

– Jęcz, Waria, przy mnie...

– Ale ja tobie przeszkadzam.

– Dziecko, kto z tobą zostanie, jeśli ja wyjdę? A ja chcę zostać...

*(kiedy Szura wyszła po raz drugi 23 października 1912 r.  
Na rachunku za wydane książki)*

# SPIS TREŚCI

H. Paprocki, „Zapiekły reakcjonista” (Wstęp).....	
ODOSOBNIONE.....	
OPADŁE LIŚCIE (Koszyk pierwszy).....	
OPADŁE LIŚCIE (Koszyk drugi).....	
EMBRIONY.....	
NOWE EMBRIONY.....	
ŚMIERTELNE.....	